

# Klatwa tygrysa

Wyzwanie

COLLEEN HOUCK



*Houck Colleen*

*Kłątwa tygrysa 02*

*Kłątwa tygrysa Wyzwanie*

Serce Kelsey zostało złamane, pradawne zaklęcie - nie.

Po powrocie do domu dziewczyna próbuje zapomnieć o indyjskim księciu Renie i poukładać sobie życie na nowo. Jednak mroczne siły nie zostały pokonane, a niebezpieczeństwo czai się na każdym kroku. Kelsey musi wrócić do Indii - tym razem z niepokornym bratem Rena, Kishanem, nad którym również ciąży klątwa.

Czy Kelsey znajdzie odwagę, by uwierzyć w miłość i stanąć do walki ze złem? Czy to wyzwanie przybliży całą trójkę do złamania zaklęcia, czy przeciwnie - pozbawi ich złudzeń?

*Krosna czasu*

Ludzkie życie na krosnach tkane —  
Jego wzoru nie zna nikt z nas.  
Praca wre, a czółenka skaczą,  
Aż się w wieczność zamieni czas.  
Jedna nić jest przędziona ze srebra,  
Inna znowu ze złotych lśniń,  
Bywa też, że ciemniejsze pasmo  
Na tkaninę położy cień.  
Lecz jest ktoś, kto na oku ma stale  
Każdej nici niechybny bieg,  
Kto je zręcznie, powoli układa  
W tajemniczy, misterny ścieg.  
Bóg z pewnością dogląda warsztatu  
I planuje czółenek lot,  
Aby nici i jasne, i ciemne  
W tylko sobie znany złożyć splot.  
Jego piękno On jeden dostrzega,  
Zręczną dłonią prowadząc nić.  
Tylko On wie, która nić ma rzucić  
Czarny cień, a która złotem lśnić.  
A kiedy na dobre ucichnie  
Szum i stukot warsztatu tkackiego,  
Bóg pokaże gotowy materiał  
I wtedy wyjaśni, dlaczego  
W zręcznej dłoni Wszechmocnego Tkacza  
Ciemna nić jest tak samo potrzebna,  
By ułożyć wzór nieodgadniony,  
Jak nici ze złota i srebra.  
autor nieznany

## **PROLOG**

### **POWRÓT DO DOMU**

Mocno trzymałam się skórzanego fotela. Poczułam ścisk w sercu, gdy prywatny samolot, w którym siedziałam, wystartował i zaczął oddalać się od Indii. Byłam pewna, że gdybym odpięła pas bezpieczeństwa, zapadłabym się w podłogę, a potem zleciała w dół, w stronę koron drzew setki metrów pode mną. Wtedy dopiero poczułabym się dobrze. Zostawiłam serce w Indiach. Wypełniała mnie dojmująca pustka, jakbym była tylko wydrążoną skorupą. A co najgorsze -to wszystko na własne życzenie.

Jak mogłam się zakochać? I to w kimś tak skomplikowanym? Ostatnie kilka miesięcy minęło w mgnieniu oka. Zaczęło się od pracy w cyrku, potem była podróż do Indii z tygrysem, który okazał się indyjskim księciem, a skończyło na walkach z mitycznymi stworzeniami i próbach spełnienia warunków zaginionej przepowiedni. Przygoda dobiegła końca, a ja zostałam sama.

Trudno mi było uwierzyć, że zaledwie kilka minut temu pożegnałam się na lotnisku z panem Kadamem. Poklepał mnie delikatnie po plecach, a ja chwyciłam go kurczowo i uściskałam z całych sił, jakbym miała go już nigdy nie puścić. W końcu wyzwolił się z moich żelaznych objęć i mamrocząc słowa pociechy, powierzył mnie pieczy swojej pra-pra-pra-prawnuczki Nilimy.

Na szczęście w samolocie Nilima zostawiła mnie w spokoju. Nie miałam ochoty na towarzystwo. Przyniosła mi lunch, ale nie byłam w stanie myśleć o jedzeniu, choćby nie wiem jak smakowitym. Zdawało mi się, że balansuję na skraju połaci ruchomych piasków, które

w każdej chwili mogą mnie wciągnąć w otchłań rozpacz. Posiłek był ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. Czułam się wyczerpana i pozbawiona życia, jak zgnieciony papier, pozostały po świątecznych prezentach.

Nilima zabrała nietknięty lunch i próbowała skusić mnie ulubionym napojem — zimną wodą z cytryną — lecz bez skutku. Bóg wie, jak długo gapiałam się na pełną szklanekę, obserwując krople formujące się na jej zewnętrznych ściankach i spływające na blat stolika, gdzie tworzyły małą kałużę.

Usiłowałam zasnąć, żeby choć na parę godzin o wszystkim zapomnieć, ale błoga, mroczna nieświadomość nie nadchodziła. Wpatrywałam się w przestrzeń, a w głowie kotłowały mi się myśli o białym tygrysie i pradawnej klątwie, której padł ofiarą. Patrzyłam na pusty fotel pana Kadama naprzeciw mojego, wyglądałam przez okno albo wbijałam wzrok w migające światełka na suficie. Od czasu do czasu spoglądałam na własną dłoń i miejsce, w którym jeszcze niedawno znajdowały się całkiem już teraz wyblakłe rysunki szamana Pheta.

Nilima wróciła z odtwarzaczem MP3. Kilka znajdujących się na nim piosenek pochodziło z Indii, ale w większości była to amerykańska muzyka. Wyszukałam najsmutniejsze utwory, takie, których słucha się po zerwaniu, i nacisnęłam przycisk *play*.

Rozpięłam plecak i wyciągnęłam pled babci, przypominając sobie poniewczasie, że wcześniej zawinęłam w niego Fanindrę. Rozłożyłam pled, wyjęłam złotego węża, dar od samej bogini Durgi, i umieściłam go obok siebie, na oparciu siedzenia.

Zamieniony w bransoletę gad spał, a przynajmniej tak mi się zdawało. Pogłaskałam jego gładki, złoty łeb i wyszeptałam:

— Mam już tylko ciebie.

Okryłam nogi pledem, ułożyłam się w odchylanym fotelu i wbiłam spojrzenie w dach kabiny. Słuchając cicho piosenki *One Last Cry*<sup>1</sup>, położyłam Fanindrę na kolanach i gładziłam jej lśniąca sploty. Blask szmaragdowych oczu węża miękko oświetlał wnętrze samolotu i pocieszał mnie, podczas gdy muzyka wypełniała puste miejsce w mojej duszy.

1 *One Last Cry* - Ostatni raz, kiedy płaczę (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

## UNIWERSYTET ZACHODNIEGO OREGONU

Kilka otepiających godzin później samolot wylądował wreszcie na lotnisku w Portland. Moje stopy dotknęły asfaltu. Podniosłam wzrok w stronę szarego, zasnutego chmurami nieba. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby owiał mnie chłodny wietrzyk. Poczułam zapach lasu. Na moich nagich ramionach osiadła delikatna mgiełka wilgoci — znak, że niedawno padał deszcz. Dobrze znów być w domu.

Wzięłam głęboki oddech i poczułam, jak Oregon ustawia mnie do pionu. Byłam częścią tego miejsca, a ono było częścią mnie. To tu dorastałam, tu spędziłam całe życie. Tu były moje korzenie. Tutaj zostali pochowani moi rodzice i babcia. Oregon powitał mnie jak swoje ukochane dziecko, otoczył chłodnymi ramionami, uciszył skłębione myśli i szeptem sosnowych igieł obiecał spokój.

Nilima zeszła za mną po schodkach i spokojnie czekała, aż nacieszę się znajomym otoczeniem. Usłyszałam szum silnika i zza rogu wyłonił się błękitny kabriolet.

Eleganckie sportowe auto miało kolor jego oczu.

To z pewnością sprawka pana Kadama. Wywróciłam oczami na myśl o zamiłowaniu mojego przyjaciela do luksusu. Pan Kadam jak zawsze zaplanował każdy najmniejszy szczegół — i jak zawsze pokazał klasę. Przynajmniej ten samochód jest wypożyczony, zauważyłam w duchu.

Zapakowałam torby do bagażnika i przeczytałam napis nad tablicą rejestracyjną.

Porsche Boxster BS 60 Spyder. Potrząsnęłam głową i wymamrotałam:

— Cholera jasna, przecież mogłabym wrócić do Salem autobusem.

— Słucham? — odezwała się uprzejmie Nilima.

— Nic takiego. Po prostu cieszę się, że już jestem w domu. Zamknęłam bagażnik i usiadłam na szarobłękitnym skórzanym fotelu. Jechaliśmy w milczeniu. Nilima dokładnie знаła drogę, uznałam więc, że nie ma potrzeby udzielać jej wskazówek. Odchyliłam się na siedzeniu, obserwując niebo i przesuwaną się za oknem zielen krajobrazu.

Minał nas samochód pełen pogwizdujących nastoletnich chłopców. Nie wiem, co tak podziwiali, egzotyczną urodę i długie, powiewające na wietrze włosy Nilimy czy luksusowy samochód. Z pewnością nie chodziło im o mnie. Miałam na sobie zwykłą koszulkę, tenisówki i džinsy. Pasma złotobrazowych włosów wymykały mi się z luźno zaplecionego warkocza, opadając na zaczerwienione oczy i zalane łzami policzki. Starsi mężczyźni mijając nas, nie gwizdali, lecz gapili się z wyraźną przyjemnością. Nilima nie zwracała na nich uwagi, a i ja wkrótce zaczęłam ich ignorować, myśląc, że z pewnością wyglądam tak samo okropnie, jak się czuję. Wjechaliśmy do centrum Salem, minęliśmy most Marion Street, przerzucony przez rzekę Willamette, i pomknęliśmy autostradą numer 22 w stronę farm Monmouth i Dallas. Próbowałam tłumaczyć Nilimie, że pojechała w złą stronę, ale ona tylko wzruszyła ramionami i oświadczyła, że wybrała drogę na skróty.

— Jasne — odpowiedziałam sarkastycznym tonem. — Po takiej podróży kilka minut zrobi nam wielką różnicę.

Nilima potrząsnęła swoimi pięknymi włosami, uśmiechnęła się i jechała dalej, wśliznąwszy się w sznur samochodów, zmierzających w stronę południowego Salem. Nigdy nie byłam w tej okolicy. Z pewnością jechaliśmy okrężną drogą do Dallas.

Nilima skręciła w stronę rozległego lesistego wzgórza. Przejechaliśmy kilka kilometrów, wspinając się powoli krętą, wysadzaną drzewami szosą, od której odchodziły prowadzące w las ścieżki. Co jakiś czas w zielonej gęstwinie dostrzegałam pojedyncze domy, ale ogólnie okolica zdawała się nietknięta palcem cywilizacji. Zupełnie jakby miasto nigdy tu nie dotarło. Wzgórze było przepiękne. Nilima zwolniła i skręciła w jedną z prywatnych drózek, po czym ruszyła w górę. Minęliśmy kilka krętych podjazdów, lecz nie dostrzegłam ani jednego domu. Nagle droga skończyła się i zahamowałyśmy przed bliźniakiem, wtulonym w sosnowy las.

Każda z identycznych części budynku miała parter oraz piętro, garaż, mały ogródek z tyłu, a także wielkie okno panoramiczne z wi-

dokiem na las. Drewniana okładzina na ścianach pomalowana została na zielono i brązowo, zaś dach pokryty był szarozielonym gontem. Całość przypominała nieco górską chatkę. Nilima zgrabnie zaparkowała w garażu.

— Jesteśmy w domu — oświadczyła.

— W domu? Jak to? Przecież miałaś mnie zabrać do moich opiekunów! — odezwał się, zbity z tropu.

Nilima uśmiechnęła się znacząco, a potem łagodnym tonem odparła:

— Nie. To jest twój dom.

— Mój dom? Nic nie rozumiem. Ja przecież mieszkam w Dallas.

— Mieszkasz tutaj. Wejźmy do środka. Wszystko ci wyjaśnię. Przez przedsionek z pralką wkroczyliśmy do kuchni — niedużej,

ale z nowiutką stalową zabudową, cytrynowożółtymi zasłonkami w oknach i ścianami ozdobionymi wzorkiem w tym samym kolorze. Nilima wyjęła z lodówki dwie butelki dietetycznej coli. Rzuciłam plecak na podłogę i usiadłam.

— No dobrze, Nilimo, powiesz mi wreszcie, o co tutaj chodzi? Zignorowała moje pytanie. Podała mi napój, którego nie przyjął, a potem kazała iść za sobą.

Westchnąwszy, zsunęłam z nóg tenisówki, żeby nie zabrudzić puszystych dywanów, i podreptałam za nią do niedużego, przytulnego salonu. Usiadłyśmy na pięknej skórzanej sofie w kolorze kasztanowym. W rogu kusiła wysoka biblioteczka, pełna elegancko wydanych książek w twardych oprawkach, które musiały kosztować fortunę. Moją uwagę przyciągnęły również duże, słoneczne okno oraz telewizor z płaskim ekranem, zawieszony nad lśniącą drewnianą szafką. Nilima zaczęła szukać czegoś w papierach leżących na stoliku.

— Kelsey — powiedziała. — To jest twój dom. Stanowi część zapłaty za twoją pracę w Indiach tego lata.

— To przecież nie była prawdziwa praca.

— Dokonałaś czegoś niezwykle ważnego. Osiągnęłaś rzeczy, o jakich nam się nie śniło. Mamy wobec ciebie wielki dług, a ten dom stanowi zaledwie jego drobną część. Pokonałaś gigantyczne przeszkody i prawie straciłaś życie. Wszyscy jesteśmy ci niezwykle wdzięczni.

— No cóż, skoro tak uważasz... — zażartowałam, zakłopotana. — Ale chwileczkę! Powiedziałaś, że dom to tylko część mojej zapłaty? Czyli jest coś jeszcze?



Nilima pokiwała głową i odparła:

— Owszem.

— Nie, nie. Naprawdę nie mogę tego przyjąć. Już sam dom to o wiele za dużo. Znacznie więcej niż to, na co się umawialiśmy. Potrzebuję tylko trochę pieniędzy na podręczniki. On nie powinien był tego robić.

— Kelsey, on nalegał.

— Trudno, będzie musiał przestać nalegać. To za dużo, Nilimo. Naprawdę. Dziewczyna westchnęła i spojrzała mi w oczy, w których widoczny był stalowy upór.

— On pragnie, żebyś przyjęła ten dom, Kelsey. Jeśli to zrobisz, będzie szczęśliwy.

— Ale to przecież zupełnie niepraktyczne! Jak mam stąd dojeżdżać do szkoły? Chcę się zapisać do college'u, a tu przecież nie jeżdżą autobusy!

Nilima spojrzała na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

— Jak to autobusy? Hm, skoro ci na nich zależy, możesz podjechać autem na najbliższy dworzec.

— Autem? Jakim autem? Nie rozumiem.

— To ja nie rozumiem. Czemu nie możesz jeździć do szkoły samochodem?

— Ja nie mam samochodu.

— Masz. Stoi w garażu.

— W garażu... Nie! Nie ma mowy! To chyba jakiś żart!

— Nic podobnego. Porsche należy do ciebie.

— Nieprawda! Wiesz, ile ten samochód jest wart? Nie ma mowy! Wyciągnęłam telefon i wyszukałam numer pana Kadama. Już miałam wysłać wiadomość, gdy nagle znieruchomiałam.

— Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć? Nilima skrzywiła się lekko.

— Hm... Pozwoliliśmy sobie również zapisać cię na Uniwersytet Zachodniego Oregonu. Kursy i podręczniki są już opłacone. Książki leżą na blacie w kuchni, obok planu zajęć, bluzy z logo uczelnianej drużyny oraz mapy kampusu.

— Zapisał mnie na uniwersytet? — spytałam, nie dowierzając. — Planowałam naukę w małym dwuletnim college'u i pracę, a nie studia uniwersyteckie.

— Najwyraźniej uznał, że uniwersytet bardziej ci się spodoba. Zaczynasz w przyszłym tygodniu. Jeśli chodzi o pracę, możesz jej oczywiście poszukać, jeśli sobie tego życzysz, ale nie będzie to konieczne.

On założył ci również konto w banku. Karta leży na kuchennym blacie. Nie zapomnij jej podpisać. Przełknęłam ślinę.

— A... ee... ile dokładnie pieniędzy jest na tym koncie? Nilima wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia, ale z pewnością starczy na wszystkie codzienne wydatki. Oczywiście rachunki nie będą przesyłane tutaj, lecz prosto do księgowego. Dom i samochód również są opłacone, podobnie jak wszelkie sprawy związane ze studiami.

Przesunęła w moją stronę stertę papierów, po czym rozsiadła się wygodnie na sofie, popijając colę.

Przez chwilę siedziałam bez ruchu, wstrząśnięta, po czym przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić do pana Kadama. Znów zaczęłam szukać numeru.

— Czy na pewno chcesz to wszystko odrzucić, Kelsey? Wiem, że jemu bardzo zależy na tym, aby cię obdarować — odezwała się Nilima.

— Cóż, pan Kadam powinien wiedzieć, że nie potrzebuję jego dobroczynnych gestów. Wyjaśnię mu, że zwykły dwuletni college w zupełności mi wystarczy, mogę też mieszkać w akademiku i jeździć autobusem.

Nilima pochyliła się w moją stronę.

— Ależ Kelsey, to nie pan Kadam to wszystko zaaranżował.

— Co? Skoro nie pan Kadam, to kto... Och! — Zatrzasnęłam telefon. O nie, do niego nie zadzwonię, nie ma mowy. — A więc to jemu tak strasznie zależy? Uniesione brwi Nilimy zmarszczyły się pytająco.

— Owszem, jemu.

To, że musiałam od niego odejść, niemal rozerwało mi serce na strzępy. A teraz, mimo że jest w Indiach, jedenaście tysięcy pięćset osiemdziesiąt jeden kilometrów i dwadzieścia cztery metry stąd, wciąż ma mnie w garści.

— Proszę bardzo — burknęłam pod nosem. — Przecież on i tak zawsze dostaje to, czego pragnie. Jeśli mu odmówię, z pewnością wpadnie na jakiś inny niesamowity pomysł, który jeszcze bardziej skomplikuje nasze stosunki.

Z podjazdu przed domem dobiegł dźwięk klaksonu.

— Muszę wracać na lotnisko. — Nilima wstała, po czym rzuciła: — Och, zapomniałabym. Mam dla ciebie jeszcze to. — Wcisnęła mi w dłoń nowiutki telefon komórkowy, po czym szybko mnie uściskała i ruszyła w stronę drzwi frontowych.

— Nilimo, zaczekaj chwilę!

— Nie martw się, Kelsey. Wszystko będzie dobrze. Papiery potrzebne na uczelnię leżą w kuchni. W lodówce jest jedzenie, a twoje rzeczy są na górze. Możesz wziąć samochód i jeszcze dziś odwiedzić rodzinę. Czekają na twój telefon.

Odwróciła się, pełnym wdzięku krokiem wyszła z domku, wsiadła do samochodu i radośnie pomachała mi na pożegnanie. Kiwnęłam ponuro dłonią. Wkrótce elegancki czarny sedan zniknął mi z oczu. Nagle zrobiło się cicho, zostałam sama w środku lasu.

Po wyjeździe Nilimy postanowiłam zwiedzić miejsce, które miałam odtąd nazywać domem. Napiłam się coli z butelki i zaczęłam zaglądać do szafek. Były w nich szklanki, talerze, przybory kuchenne, sztuce, patelnie i garnki. Zastanowiło mnie, co może się znajdować w dolnej szufladzie lodówki — okazało się, że jest pełna cytryn. Wyglądało to na sprawkę pana Kadama. Wiedział, że woda z cytryną poprawia mi humor.

Wpływ pana Kadama nie kończył się na wystroju kuchni. Toaleta na parterze była utrzymana w odcieniach bladej zieleni i cytryny. Nawet mydło miało cytrynowy zapach.

Wrzuciłam buty do wiklinowego kosza na wyłożonej kafelkami podłodze przedsiionka, obok nowiutkiej pralki, po czym przeszłam do niewielkiego gabinetu. Na biurku stał mój stary komputer, a obok niego — nowy, lśniący laptop. Poza tym w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze krzesło ze skórzanym obiciem, komoda oraz półka, na której leżały papier i inne przybory piśmiennicze.

Złapałam plecak i weszłam na górę, żeby obejrzyć sypialnię. Pod ścianą stały piękne, duże łóżko z brzoskwiniowymi poduszkami i kremową narzutą oraz stary drewniany kufér. W rogu, pod wychodzącym na las oknem, ustawiono wygodne fotele do czytania.

Na łóżku leżał liścik, który od razu poprawił mi humor. *Cześć, Kelsey!*

*Witaj w domu. Zadzwoń do nas jak najszybciej! Chcemy się dowiedzieć wszystkiego o Twoich, podróżach! Twoje rzeczy czekają w szafie. Masz piękny dom!*

*Ucałowania Mike i Sara*

To, że byłam z powrotem w Oregonie, w połączeniu z karteczką od Mike'a i Sary, jakoś mnie uspokoiło. Oni wiedli normalne życie. I ja przy nich normalniałam. Przyjemnie będzie dla odmiany znaleźć się w pobliżu zwyczajnej rodziny. Spanie na ziemi w dżungli, rozmowy z hinduskimi boginiami, no i zakochiwanie się w tygrysach - to zdecydowanie nie było normalne. O nie.

Otworzyłam szafę. Znalazłam w niej swoją kolekcję wstążek do włosów i wszystkie ubrania, przewiezione tu od Mike'a i Sary. Przesunęłam palcami po kilku rzeczach, niewidzianych od miesiący. Kiedy otworzyłam drugie skrzydło, ujrzałam nowe ciuchy, które dostałam w czasie pobytu w Indiach, kilka z nich wciąż w pokrowcach. Zamknęłam drzwi do szafy, postanowiwszy twardo, że tej części już nigdy nie otworzę.

Podeszłam do toaletki i wysunęłam pierwszą szufladę od góry. Sara ułożyła w niej moje pozwijane skarpetki rzędami - dokładnie tak, jak lubiłam. Jednak gdy zajrzałam do następnej szuflady, uśmiech natychmiast zniknął z mojej twarzy. Znalazłam w niej jedwabną piżamę, którą specjalnie zostawiłam w Indiach. Przesunąwszy dłonią po miękkiej tkaninie, poczułam piekący ból w sercu. Stannowczym ruchem zamknęłam szufladę i skierowałam się do lśniącej, białobłękitnej łazienki. W tym momencie naszła mnie myśl, która sprawiła, że zaczerwieniłam się jak burak. Jasna, przestronna sypialnia była utrzymana w brzoskwiniowo-kremowych barwach.

To on musiał wybrać kolory. Powiedział kiedyś, że pachnę jak brzoskwinie ze śmietanką. Najwyraźniej znalazł sposób na to, żebym o nim myślała nawet, gdy dzielą nas oceany.

Rzuciłam plecak na łóżko, po czym natychmiast tego pożałowałam, uświadomiwszy sobie, że w środku znajduje się Fanindra. Wyjęłam ją ostrożnie, przeprosiłam i ułożyłam na białej poduszce z brzoskwiniowym haftem. Przez chwilę gładziłam węza po złotym łebku. Potem zabrałam się do rozpakowywania bagaży.

Kiedy skończyłam, opadłam na łóżko i wyciągnęłam z kieszeni dzinsów nowy telefon z logo Prądy. Jak wszystkie pozostałe prezenty był bardzo kosztowny i zupełnie niepotrzebny. Włączyłam aparacik. Spodziewałam się, że od razu wyświetli mi się jego numer, tak się jednak nie stało. Nie miałam też żadnych wiadomości. Jedyne numery zapisane w kontaktach należały do pana Kadama oraz Mike'a i Sary.

Targały mną sprzeczne emocje. Na początku odetchnęłam z ulgą. Potem poczułam zamęt w głowie, a po nim rozczarowanie. Pomy-

słałam, że właściwie byłoby miło, gdyby się odezwał. Chociażby po to, aby się upewnić, że doleciałam bezpiecznie.

Zła na samą siebie, zadzwoniłam do moich przybranych rodziców. Oznajmiłam im, że jestem już w domu, zmęczona podróżą, i że jutro wieczorem przyjadę na kolację. Rozłączyłam się, z lekkim niepokojem wyobrażając sobie, jaka niespodzianka kulinarna czeka mnie tym razem. Z całą pewnością będzie miała coś wspólnego z tofu. Stwierdziłam jednak, że z radością zniosę koszmar zdrowej żywności, byle tylko zobaczyć się z rodziną.

Zeszłam na dół, włączyłam muzykę, przygotowałam sobie przekąskę składającą się z plasterków jabłka z masłem orzechowym i zaczęłam przeglądać uczelniane dokumenty, leżące na kuchennym blacie. Pan Kadam jako pierwszą specjalizację wybrał dla mnie stosunki międzynarodowe, jako drugą zaś - historię sztuki. Spojrzałam na plan zajęć. Jakimś cudem pan Kadam już na pierwszym roku zdołał zapisać mnie na bardziej zaawansowane kursy, i to również te zimowe, mimo że oficjalnie nie były jeszcze dostępne.

**KELSEY HAYES, NUMER LEGITYMACJI 69428L7**  
**UNIwersytet Zachodniego Oregonu**

#### TRYMESTR JESIENNY

Język akademicki: Wstęp do pisania prac naukowych. Łacina: Wstęp do tacy.

Antropologia: Religie i rytuały. Studia antropologiczne nad praktykami religijnymi ludów z różnych stron świata (z naciskiem na konkretne tematy, w tym opętanie przez duchy, mistycyzm, czary, animizm, kult przodków), a także mieszanie się największych religii świata z lokalnymi wierzeniami i tradycjami.

Geografia: Subkontynent Indyjski. Geografia Azji Południowej z naciskiem na geografę Indii. Stosunki gospodarcze Indii z innymi państwami, tendencje, istotne zagadnienia i wyzwania związane z położeniem geograficznym Indii oraz badania nad etniczną, religijną i językową różnorodnością mieszkańców Indii na przestrzeni wieków oraz współcześnie.

#### TRYMESTR ZIMOWY

Historia sztuki: Od prehistorii do sztuki romańskiej. Badania nad wszelkimi formami sztuki tego okresu, ze szczególnym uwzględnieniem ich znaczenia w historii i kulturze.

Historia: Kobiety w społeczeństwie indyjskim. Życie kobiet w Indiach, ich wierzenia i religie, miejsce kobiet w społeczeństwie, a także związana z nimi mitologia.

Język akademicki: Przeprowadzanie badań i pisanie prac naukowych. Politologia: Stosunki międzynarodowe. Porównanie zagadnień globalnych oraz polityki grup państw o podobnych i / lub konkurencyjnych interesach.

Uczelnia otrzymała zapewne niemały datek z Indii, pomyślałam, uśmiechając się półgębkiem. Nie zdziwiłabym się, gdyby pod koniec roku w kampusie stanął nowy budynek.

Klamka zapadła. Oficjalnie zostałam studentką uniwersytetu. A raczej: studentką, która po godzinach zajmuje się zdejmowaniem starożytnych klątw, pomyślałam, przypominając sobie, że w Indiach pan Kadam nie ustaje w swoich badaniach. Trudno będzie się skupić na zajęciach, profesorach i pracach trymestralnych po wszystkim, co wydarzyło się w lecie. Czułam się dziwnie, wracając do swojego dawnego życia w Oregonie. Czułam, że w jakiś sposób przestałam tu pasować. Na szczęście wszystkie tematy zajęć brzmiały interesująco, zwłaszcza te dotyczące religii i magii. Pan Kadam wybrał dla mnie kursy, na które pewnie sama bym się zdecydowała - z wyjątkiem łaciny. Zmarszczyłam nos. Nigdy nie byłam dobra z języków. Szkoda, że na uniwerku nie uczą hindi. Dobrze byłoby je poznać, szczególnie jeśli mam wrócić do Indii, żeby podjąć się pozostałych trzech zadań opisanych w przepowiedni Durgi. Być może...

W tym momencie w radiu rozbrzmiało / *Told You So* Carrie Underwood. Otarłam łzę i pomyślałam, że o n zapewne bardzo szybko znajdzie sobie kogoś nowego. Na jego miejscu nie przyjąłabym mnie z powrotem. Rozważanie tego choćby przez chwilę było zbyt bolesne.

Zepchnęłam wspomnienia w najciemniejszy zakątek serca, starając się zastąpić niewesołe myśli nowymi: o studiach, o rodzinie i o tym, że znów jestem w Oregonie. Na razie okazało się to skuteczną metodą. A jednak wiedziałam, że jego duch nadal unosi się w cichym, ciemnym zakątku mojego serca i tylko czeka, aż poczuje się samotna lub na chwilę

stracę czujność, żeby znów wypełnić mój umysł myślami na swój temat.

Będę musiała dbać o to, żeby zawsze mieć coś do roboty, postanowiłam. To będzie moje wybawienie. Będę się uczyć jak szalona, odwiedzać znajomych i chodzić na randki. Tak jest! Tak właśnie zrobię. Ciężka praca i spotkania towarzyskie sprawiają, że będę zbyt zmęczona, żeby o nim myśleć. Moje życie potoczy się dalej. Nie mam innego wyjścia.

Gdy kładłam się do łóżka, było już późno, a ja padałam ze zmęczenia. Pogłaskałam Fanindrę, wsunęłam ją pod kołdrę i zasnęłam.

Następnego dnia zadzwonił mój nowy telefon. Na ekraniku wyświetlił się numer pana Kadama, co sprawiło, że ogarnęły mnie jednocześnie radość i rozczarowanie.

- Dzień dobry, panno Kelsey - rozległ się wesoły głos. - Cieszę się, że bezpiecznie dotarła pani do domu. Mam nadzieję, że wszystko w porządku i jest pani zadowolona.

- Nie spodziewałam się tego - odparłam. - Mam straszne wyrzuty sumienia w związku z domem, samochodem, kartą kredytową i studiami.

- Proszę się tym w ogóle nie przejmować. Cieszę się, że mogłem to wszystko dla pani załatwić.

Nie udało mi się powstrzymać ciekawości i spytałam:

- A jak panu idzie z przepowiednią? Wymyślił pan coś?

- Usiłuję właśnie przetłumaczyć resztę inskrypcji z monolitu, który pani znalazła. Po pani wyjeździe wróciłem do świątyni Durgi i sfotografowałem pozostałe trzy kolumny. Wygląda na to, że każda reprezentuje jeden z czterech żywiołów: ziemię, powietrze, wodę i ogień.

- Rzeczywiście - potwierdziłam, przypominając sobie przepowiednię. - Ta pierwsza musiała mieć związek z ziemią, bo byli na niej rolnicy składający w ofierze owoce i zboża. Poza tym Kiszkinda jest pod ziemią, a pierwszą rzeczą, o jaką poprosiła Durga, był złoty owoc.

- Zgadza się. Istniał również piąty filar, ale został zniszczony dawno temu. Reprezentował kosmos, czyli motyw często spotykany w hinduizmie.

- Cóż, jeśli ktokolwiek jest w stanie obmyślić dalszy plan działania, to tylko pan. Dziękuję za telefon - dodałam, po czym ustaliliśmy, że wkrótce porozmawiamy znowu, i się rozłączyłam.

Przez następne pięć godzin studiowałam swoje nowe podręczniki. Potem pojechałam do sklepu z zabawkami i kupiłam po pomarańczowo-czarnym pluszowym tygrysie dla Rebecki i Sam-my'ego, ponieważ uświadomiłam sobie, że zapomniałam przywieźć im prezenty z Indii. Wbrew zdrowemu rozsądkowi wykosztowałam się również na wielkiego białego tygrysa dla siebie.

Wróciłam do domu, chwyciłam maskotkę i zatopiłam twarz w jej futerku. Było miękkie, ale nie pachniało jak trzeba. On zawsze pachniał cudownie, jak wodospad i drzewo sandałowe. Wypchany pluszak był tylko atrapą. Miał szkliste, puste błękitne oczy. Jego oczy były barwy kobaltu. Poza tym nie zgadzał się układ prążków.

Co, do cholery, się ze mną dzieje? Nie powinnam była w ogóle tego kupować. Teraz jeszcze trudniej będzie mi zapomnieć.

Otrząsnęłam się z czarnych myśli. Przebrałam się i wyruszyłam z wizytą do Mike'a i Sary.

Pojechałam okrężną drogą, byle tylko ominąć miejsce, gdzie kiedyś stał cyrk pana Maurizio, i uniknąć kolejnych bolesnych wspomnień. Gdy zaparkowałam przed domem, drzwi otworzyły się szeroko i Mike wyszedł mi na spotkanie. Nie mógł się oprzeć urokowi porsche. Minał mnie i podbiegł prosto do auta.

- Kelsey! Mogę? - zapytał przymilnie.

- Jasne, nie krępuj się - odparłam ze śmiechem. Pocziwy stary Mike, pomyślałam i rzuciłam mu kluczyki.

Sara objęła mnie w talii i poprowadziła do domu.

- Tak się cieszymy, że wróciłaś! Oboje! - zawołała, popatrując groźnie na Mike'a, który radośnie pokiwał nam ręką i zaczął wycofywać samochód z podjazdu. -

Martwiliśmy się o ciebie, bo nie odzywałaś się zbyt często, ale pan Kadam dzwonił co parę dni. Opowiadał, co robisz i jak bardzo jesteś zajęta.

- O! A co dokładnie mówił? - spytałam, zaciekawiona, jaką historyjkę wymyślił mój przyjaciel.

- To wszystko było takie ekscytujące! Pomyślmy... Mówił o twojej nowej pracy, że będziesz u niego stażystką w każde wakacje i od czasu do czasu przy różnych projektach w ciągu roku. Nie miałam pojęcia, że interesują cię stosunki międzynarodowe. To cudowna specjalizacja. Niezwykle ciekawa. Mówił też, że kiedy skończysz



studia, możesz pracować w jego firmie na pełen etat. To dla ciebie fantastyczna szansa! Uśmiechnęłam się.

- Rzeczywiście, pan Kadam jest super. Trudno o lepszego szefa. Traktuje mnie bardziej jak wnuczkę niż jak pracownicę i okropnie mnie rozpieszcza. Widziałaś przecież dom i samochód, no i jest jeszcze szkoła.

- Przez telefon wychwalał cię pod niebiosa. Przyznał nawet, że nie umie sobie już radzić bez ciebie. To bardzo miły człowiek. Powtarzał wciąż, że jesteś jego... Jak on to powiedział? ... niezwykle cenną inwestycją na przyszłość.

Rzuciłam Sarze spojrzenie pełne zwątpienia.

- Cóż, mam nadzieję, że się nie zawiedzie. Sara roześmiała się, ale po chwili spoważniała.

- Kelsey, Mike i ja nie mamy wątpliwości, że jesteś wyjątkowa i czeka cię wspaniała przyszłość. Może w ten sposób los rekompensuje ci stratę rodziców. Chociaż wiem, że nic ich nie zastąpi.

Pokiwałam głową. Sara cieszyła się z moich sukcesów. A i to, że jestem zabezpieczona finansowo, mogę mieszkać sama i żyć na przyzwoitym poziomie, musiało być dla niej i dla Mike'a dużą ulgą.

Sara uściskała mnie, po czym wyciągnęła z piekarnika jakąś dziwnie pachnącą potrawę. Ustawiła ją na stole i powiedziała:

- No to jemy!

Udając entuzjazm, zapytałam:

- Co jest na kolację?

- Pełnoziarnista lasagne z tofu i szpinakiem, z dodatkiem sojowego sera i siemienia lnianego.

- Mniemam, nie mogę się doczekać - oznajmiłam, zmuszając się do półuśmiechu. Z tęsknotą pomyślałam o pozostawionym w Indiach magicznym złotym owocu, który błyskawicznie wyczarowywał najpyszniejsze potrawy. Cóż, pozostawała mi wiara w talent kulinarny Sary.

Po spróbowaniu stwierdziłam, że jednak w niego nie wierzę.

W tym momencie do kuchni wpadli sześciolatnia Rebecca i czteroletni Samuel i zaczęli skakać wokół mnie, starając się zwrócić na siebie uwagę. Uściskałam oboje i usadziłam przy stole. Podeszłam do okna, żeby zobaczyć, czy wrócił Mike. Właśnie zaparkował porsche i szedł tyłem w stronę domu, nadal wlepiając wzrok w samochód. Otworzyłam przed nim drzwi.

- Mike, obiad.

- Tak, tak, już idę - rzucił przez ramię, wciąż wpatrzony w auto.

Usiadłam przy stole pomiędzy dzieciakami, każdemu z nich nałożyłam po kawałku lasagne, po czym ukroiłam małą porcję dla siebie. Sara uniosła brwi, wykręciłam się jednak, zapewniając, że zjadłam duży lunch. Mike wszedł do kuchni i jak nakrecony zaczął mówić o samochodzie. Spytał, czy może go pożyczyć i zabrać Sarę na randkę w któryś piątkowy wieczór.

- Jasne. Przyjadę i popilnuję dzieci.

Mike uśmiechnął się promiennie, a Sara przewróciła oczami.

- Masz zamiar zabrać na randkę mnie czy samochód?

- Oczywiście, że ciebie, kochanie. Samochód będzie tylko pretekstem, żeby pochwalić się piękną kobietą, siedzącą u mego boku.

Spojrzałyśmy po sobie, uśmiechając się z przekąsem.

- A to dobre, Mike.

Po kolacji przeszliśmy do salonu, gdzie wręczyłam dzieciakom maskotki.

Wydawszy z siebie pisk radości, maluchy zaczęły biegać po pokoju, powarkując jak tygrysy. Tymczasem Sara i Mike wypytывali mnie o pobyt w Indiach, więc opowiedziałam im o ruinach Hampi i o rezydencji pana Kadama (która, technicznie rzecz biorąc, nie należała do niego, ale oni nie musieli o tym wiedzieć). Gdy spytali, jak tygrys pana Maurizio czuje się w nowym domu, na chwilę odebrało mi mowę, ale szybko się otrząsnęłam i oznajmiłam, że zwierz ma się dobrze i wygląda na zadowolonego. Na szczęście pan Kadam wyjaśnił im wcześniej, że często zwiedzaliśmy przeróżne ruiny w poszukiwaniu zabytkowych artefaktów, a moim zadaniem było robienie notatek i katalogowanie znalezisk - co właściwie me odbiegało daleko od prawdy, a przy tym tłumaczyło wybór historii sztuki jako jednej z moich specjalizacji.

Miło było przebywać w towarzystwie Mike'a i Sary, ale przez cały czas denerwowałam się, że wyrwie mi się coś dziwnego. Nigdy by nie uwierzyli we wszystko, co mi się przydarzyło. Mnie samej czasem trudno było w to uwierzyć. Wiedziałam, że chodzą wcześniej spać, zebrałam się więc i pożegnałam. Uściskałam ich na do widzenia i obiecałam, że wpadnę w przyszłym tygodniu.

Po powrocie do domu spędziłam jeszcze kilka godzin, czytając książki, po czym wzięłam gorący prysznic. Kładąc się do łóżka w ciemnej sypialni, wydałam stłumiony okrzyk, kiedy natrafiłam dłonią na miękkie futro. Przypomniał mi się o swoim dzisiejszym zakupie, odepchnęłam tygrysa na skraj łóżka i wetknęłam dłoń

pod policzek. Nie mogłam przestać o n i m myśleć. Zastanawiałam się, co robi i czy mnie wspomina, czy w ogóle za mną zatęsknił. Może przemierza właśnie parne gęstwiny skapanej w tropikalnym upale dżungli? Może walczy z Kishanem? Czy kiedykolwiek jeszcze tam wrócę - i czy naprawdę tego chcę? Cokolwiek bym postanowiła, w mojej głowie pojawiały się wciąż nowe pytania. Westchnęłam, wyciągnęłam rękę i chwyciłam pluszowego tygrysa. Objęłam go, zatopiłam nos w jego futrze i zasnęłam, wtulona w miękką łapę.

## WUSHU

Kolejnych kilka dni minęło szybko i niewiele się wydarzyło, aż nadszedł początek roku akademickiego. Poznawszy tematy prac trymestralnych, stwierdziłam, że moje doświadczenia z Indii przydadzą mi się w szkole. Mogę napisać o Hampi w eseju o indyjskich metropoliach, opisać kwiat lotosu jako symbol religijny w wypracowaniu z antropologii, a jako temat pracy z religioznawstwa wybrać boginię Durgę.

Jedynym przedmiotem, który wydał mi się naprawdę trudny, była łacina.

Wkrótce udało mi się uporządkować moje nowe życie. Często odwiedzałam Mike'a i Sarę, regularnie jeździłam na zajęcia, a w każdy piątek rozmawiałam przez telefon z panem Kadamem. W pierwszym tygodniu pomógł mi w ustnej prezentacji na temat różnic między terenówką SUV a indyjskim nano. Jego ogromna wiedza motoryzacyjna oraz moje jeżące włos na głowie doświadczenia z poruszaniem się po indyjskich drogach pomogły i dostałam najlepszą ocenę w grupie. Nauka wypełniała mi czas i nie miałam kiedy martwić się o cokolwiek innego.

Jedna z tych piątkowych rozmów przyniosła intrygującą niespodziankę. Gdy już pogawędziliśmy o studiach i ostatniej zadanej mi pracy, dotyczącej klimatu w Himalajach, okazało się, że pan Kadam ma dla mnie nowinę.

— Zapisalem panią na jeszcze jeden kurs — oświadczył. — Myślę, że się pani spodoba, ale z pewnością będzie czasochłonny, więc zrozumieć, jeśli pani odmówi.

— Chętnie zajmę się czymś nowym — odparłam, zaintrygowana.

— Cudownie! Zapisalem panią na zajęcia z wushu, które odbywają się w Salem, w poniedziałki, środy i czwartki między wpół do siódmej a ósmą wieczorem.

— Wushu? A co to takiego? Jakiś indyjski dialekt? — spytałam, z lekkim rozczarowaniem w głosie.

Pan Kadam parsknął śmiechem.

— Och, doprawdy czasem bardzo mi pani brakuje. Nie, wushu to rodzaj sztuki walki. Wspomniała pani kiedyś, że to panią interesuje.

Odetchnęłam z ulgą.

— Och, tak! Brzmi świetnie. Na pewno znajdę czas. Kiedy są pierwsze zajęcia?

— W przyszły poniedziałek. Podejrzywałem, że się pani zgodzi, i pozwoliłem sobie wysłać paczkę z niezbędnym sprzętem. Prawdopodobnie dotrze jutro.

— Ależ naprawdę, nie trzeba było. Musi się pan wreszcie powstrzymać od obsypywania mnie prezentami, bo nigdy nie będę w stanie spłacić tego długu.

Pan Kadam aż się zachłysnął.

— Panno Kelsey, to ja nigdy, przenigdy nie zbliżę się choćby do spłacenia naszego długu wobec pani. Proszę przyjąć to, co mogę zaoferować. Uszczęśliwi pani starego człowieka.

Roześmiałam się.

— Dobrze, niech już pan nie dramatyzuje. Przyjmę prezent, jeśli to panu sprawi przyjemność. Ale jeżeli chodzi o samochód...

— Zobaczymy. A tak przy okazji, odszyfrowałem fragment tekstu z drugiej kolumny. Może mieć coś wspólnego z powietrzem, choć za wcześnie jeszcze, by wyciągać wnioski. To między innymi dlatego chciałbym, żeby uczyła się pani wushu, które pozwala osiągnąć równowagę między ciałem a umysłem. Może się to przydać, gdyby nasza kolejna przygoda rozegrała się nad ziemią.

— Chętnie nauczę się walczyć we własnej obronie. Wushu przydałoby mi się przy spotkaniu z *kappa* — zażartowałam, po czym spytałam: — A co z kłatwą? Wie pan już, jak ją złamać? Czy tłumaczenie jest bardzo trudne?

— Z pewnością... stanowi wyzwanie. Opisy, które przetłumaczyłem, nie dotyczą miejsc w Indiach. Zaczynam się martwić, że pozostałe trzy przedmioty, których szukamy, mogą być porzucane po całym świecie. Chyba że jestem już tak zmęczony, że się mylę...

- Znow pan pracował całą noc. Proszę się przespać. Zrobić sobie rumiankowej herbaty. Musi pan choć trochę odpocząć.
- Być może ma pani rację. Może rzeczywiście zaparzę sobie herbaty i dla rozrywki poczytam trochę o tych pani Himalajach.
- Bardzo proszę, żeby pan odpoczął. Tęsknię za panem.
- Ja za panią też. Dobranoc.
- Do usłyszenia.

Pierwszy raz od powrotu do Stanów poczułam falę adrenaliny. Ale gdy tylko się rozłączyłam, znow zastąpiło ją przygnębienie. Cieszyłam się na cotygodniowe rozmowy z panem Kadamem i zawsze było mi smutno, gdy dobiegały końca. Tak samo czułam się po świętach Bożego Narodzenia. Po miesiącu radosnego oczekiwania, gdy już wszystkie prezenty zostały rozpakowane, potrawy zjedzone, a ludzie rozstawali się i ruszali każdy w swoją stronę, ogarniało mnie dojmujące poczucie straty. Teraz jednak w głębi serca wiedziałam, że tak naprawdę jestem smutna, bo jedynym prezentem, jakiego pragnęłam, było to, żeby o n zadzwonił. Ale tak się nie stało. Każdy kolejny tydzień, kiedy nie słyszałam jego głosu, zabijał we mnie nadzieję. Wiedziałam, że to ja wyjechałam z Indii po to, by on mógł zacząć nowe życie z kimś innym. Powinnam się cieszyć, że ma szansę na szczęście. A jednak byłam załamana.

Ogarnął mnie smutek, jak zawsze, gdy kończą się wspaniałe wakacje i trzeba wrócić do szkoły. On był najlepszym prezentem, jaki mogłam dostać, moim własnym, osobistym cudem, który odrzuciłam. Zupełnie jakbym wygrała bilet za kulisy, żeby poznać gwiazdora z marzeń, po czym oddała wygraną na cele charytatywne. Czułam się z tym naprawdę beznadziejnie.

W sobotę kurier przyniósł tajemniczą paczkę od pana Kadama. Była wielka i ciężka. Postawiłam ją na podłodze w salonie, chwyciłam nożyczki i przecięłam taśmę. W środku znalazłam strój sportowy z logo Studia Sztuk Walki Shing, na którym jeden mężczyzna walił w szczękę drugiego, a ten z kolei kopał przeciwnika w brzuch. Wyciągnęłam także z pudła dwie pary butów oraz czerwony jedwabny komplet, składający się ze spodni oraz kimonowej góry z czarnymi haftkami i szarfą. Nie miałam pojęcia, kiedy będę miała okazję go założyć, ale strój bardzo mi się podobał. Gdy sięgnęłam głębiej, przekonałam się, czemu paczka była taka ciężka: w środku znalazłam kilka mieczy, jakieś dziwne haki, łańcuchy oraz broń składającą się z trzech pałek połączonych metalowymi obręczami, podobną do nunczako, a także kilka innych

przedmiotów, których me byłam w stanie nazwać, bo nigdy wcześniej ich nie widziałam.

Jeśli pan Kadam ma zamiar zrobić ze mnie wojowniczkę ninja, srogo się rozczaruje, pomyślałam, przypominając sobie, jak zamarłam bezradnie, zaatakowana przez panterę. Ciekawe, czy cały ten kurs naprawdę mi się przyda. Podejrzewam, że kiedy wrócę do Indii, dobrze będzie umieć stanąć do walki z tym, co będzie zagradzać mi drogę do zdobycia drugiego daru dla Durgi. Na samą myśl włoski na karku stanęły mi dęba.

W poniedziałek pojawiłam się na łacinie nieco wcześniej i porządek mojego dnia został zburzony, kiedy Artie, pomocnik profesora, podszedł do mojego stolika. Stanął bardzo blisko. Za blisko. Spojrzałam na niego z nadzieją, że rozmowa przebiegnie szybko i Artie się odsunie. Spośród facetów, których znałam, był jedynym obdarzonym wystarczającą dawką odwagi, by nosić zestaw składający się z dzianinowego bezrękawnika oraz muszki. Niestety, bezrękawnik był na niego za mały i Artie wciąż musiał go obciążać na swoim dość okazałym brzuchu. Ten człowiek idealnie wpisywał się w scenerię starego, zmurszałego college'u.

- Cześć, Artie. Co słyhać? - spytałam niecierpliwie.

Artie poprawił sobie środkowym palcem okulary o szklach niczym denka od butelek i otworzył kalendarzyk. Od razu przeszedł do rzeczy.

- Czy jesteś wolna w środę o piątej po południu?

Stał nade mną z ołówkiem uniesionym w gotowości i przewiercał mnie spojrzeniem wodnistych brązowych oczu. Kiedy patrzył w dół, robił mu się podwójny podbródek. Czekał na odpowiedź.

- Ee... jasne, czy profesor ma do mnie jakąś sprawę?

Artie zignorował moje pytanie i zaczął bazgrać z ważną miną w swoim kalendarzu, tu coś skreślając, tam dopisując. Najwyraźniej dokonywał istotnych zmian.

Następnie z trzaskiem zamknął notes, wetknął go sobie pod ramię i sumiennie obciągnął brązowy bezrękawnik aż do sprzączki paska. Staralam się me zauważać, że dzianina natychmiast powędrowała z powrotem w górę.

Artie uśmiechnął się do mnie słabo.

- Ależ me - odparł wreszcie. - O piątej po południu w środę zabieram cię na randkę.

- Po czym, bez słowa wyjaśnienia, minął mój stołek i skierował się w stronę drzwi.

Czy ja się przesłyszałam? Co to miało znaczyć?

- Artie, poczekaj. Jak to: „na randkę”?

Zajęcia właśnie się zaczynały, a bezrękawnik zniknął za progiem. Opadłam na krzesło, osłupiała. Może on nie miał na myśli randki, tłumaczyłam sobie. Może nasze definicje randki różnią się od siebie. A jednak powinnam się upewnić. Przez cały dzień bezskutecznie usiłowałam dopaść Artiego w sali od łaciny. Cóż, wyjaśnienia będą musiały poczekać.

Tego wieczoru miałam pierwszą lekcję wushu. Włożyłam czarne spodnie, podkoszulek i białe tenisówki. Otworzyłam dach kabrioletu i ruszyłam przez las do Salem. Owiewał mnie chłodny wieczorny wietrzyk, który sprawił, że całe moje ciało się rozluźniło. Zachodzące słońce zabarwiało chmury na fioletowo, różowo i pomarańczowo.

Studio sztuk walki było duże, zajmowało pół budynku. Po przekroczeniu progu znalazłam się z tyłu przestronnej sali z lustrami na ścianach i niebieskimi matami na podłodze. Wewnątrz było już pięcioro ludzi. Trzech chłopaków i wysportowana dziewczyna rozgrzewało się z jednej strony. W drugim rogu na podłodze rozciągała się kobieta w średnim wieku o matczynym wyglądzie. Uśmiechnęła się do mnie. Widać było, że jest lekko zestresowana, ale w jej oczach lśniła determinacja. Usiadłam obok niej i również zaczęłam się rozciągać, próbując dotknąć stóp palcami.

— Cześć. Mam na imię Kelsey.

— Jetmifer. — Kobieta zdmuchnęła grzywkę z czoła. — Miło cię poznać.

Do sali wszedł nauczyciel w towarzystwie jakiegoś młodego mężczyzny. Siwy trener wyglądał na bardzo zwawego i silnego. Mówił z mocnym akcentem.

Przedstawił się jako Chu... coś tam, ale polecił, byśmy mówili do niego Chuck.

Młodzieniec stojący obok był jego wnukiem i miał na imię Li. Li wyglądał jak młodsza wersja swojego dziadka. Miał krótko obcięte czarne włosy, był wysoki, szczupły i umięśniony. I bardzo miło się uśmiechał.

Chuck rozpoczął zajęcia krótką przemową:

— Wushu to chińska sztuka walki. Słyszeliście o mnichach z klasztoru Shaolin? Oni właśnie uprawiają wushu. Moje studio nazywa się Shing, co oznacza „zwycięstwo”. Wszyscy będziecie mogli poczuć zwycięstwo, gdy poznacie wushu. Słyszeliście o kung-fu?

Pokiwaliśmy głowami.



- Kung-fu oznacza „umiejętność”. To nie styl walki. Znaczy tylko, że coś umiecie. To może być jazda konna albo pływanie. A wushu to styl. Wushu to wykopy, rozciągnięcie, gimnastyka i walka z bronią. Czy wiecie, jacy sławni ludzie praktykowali wushu?

Nikt się nie odezwał.

- Jet Li, Bruce Lee i Jackie Chan, oni wszyscy używali wushu. Najpierw nauczę was powitań. Oto jak witacie nauczyciela przed każdymi zajęciami. Ja mówię: *Ni hao ma?*, a wy odpowiadacie: *Wo Mn hao*. To znaczy „Jak się macie?” i „Mamy się dobrze”. *Ni hao ma?*

- *Wu hena /W* - rozległy się niepewne głosy z obu stron sali.

- *Wo... hen... hao*.

- *Wó hen hao*.

Chuck wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bardzo dobrze! A teraz się porozciągamy.

Rozgrzaliśmy mięśnie nóg i ramion, a potem Chuck polecił nam usiąść na podłodze i dotknąć rękami palców u stóp. Oświadczył, że powinniśmy się tak rozciągać kilka razy dziennie. Następnie kazał nam robić szpagaty. Czwooro uczniów z drugiej strony sali radziło sobie całkiem nieźle, żal mi tylko było Jennifer. Od samego rozciągania dostała zadyszki, ale najwyraźniej postanowiła się nie poddawać.

Chuck uśmiechał się do nas wszystkich i zachęcał Jennifer do dalszych starań. Po chwili poprosił wnuka o zademonstrowanie pierwszej pozycji, zwanej po chińsku *ma bii*, która przywodziła mi na myśl jazdę konną. Następnie przeszliśmy do *gong bu*, od której strasznie bolały łydki, i *xu bu*. Pozycja *pu bu* była najtrudniejsza. Stopy należało ustawić równolegle przodem, a ciało nienaturalnie wykręcić w bok. Jako ostatniej nauczyliśmy się *zuópan bu*, czyli tak zwanej postawy odpoczynku, która jednak z odpoczynkiem nie miała nic wspólnego.

Ćwiczyliśmy te pięć pozycji do końca zajęć. Li pomógł mi właściwie ustawić stopy i przez dłuższy czas pokazywał mi *pu bu*, której wciąż me mogłam opanować. Przez cały czas mnie dopingował i często się uśmiechał.

Jennifer była czerwona z wysiłku, ale pod koniec zajęć wyglądała na zadowoloną. Czas minął bardzo szybko. Czułam, że ćwiczenia dobrze mi robia, i już się cieszyłam na kolejną lekcję, która wypadła w ten sam wieczór, co moja randka z Artiem.

We wtorek trzy razy zaglądałam do pracowni językowej w poszukiwaniu Artiego, żeby wyjaśnić sytuację. Kiedy go w końcu dopadłam, urządził wielkie przedstawienie i ostentacyjnie przewracał stroniczki kalendarza, aż skończyły mi się wymówki. Poczułam wyrzuty sumienia i uznałam, że się z nim umówię — przecież od tego nie umrę. Nie pociąga mnie w najmniejszym stopniu, ale być może zyskam dobrego kolegę. Zgodziłam się więc na spotkanie za parę tygodni.

Dni mijały bez przygód, aż znów znalazłam się w niezwyklej sytuacji. Jason, który siedział obok mnie na zajęciach z antropologii, zaprosił mnie na doroczny mecz futbolowy. Na początku byłam zaskoczona, ale już po chwili w głowie zapaliła mi się żarówka i uświadomiłam sobie, że dotąd ignorowałam wszystkie sygnały, które mi wysyłał. Jakbym patrzyła na świat przez płachtę plastikowej folii. Skupiłam się wyłącznie na nauce i przez cały czas zakładałam, że jemu też nie zależy na niczym innym.

Jason wyglądał na miłego chłopaka, choć nie umywał się do mężczyzny, którego zostawiłam w Indiach. Zaczęłam wyliczać w głowie zalety ich obu i Jason przegrał z kretelem. Wiedziałam, że nie powinnam ich porównywać. W końcu z nim nikt nie może się równać. Na myśl o randce z Jasonem nie byłam podniecona ani przerażona, szczęśliwa ani zdenerwowana. Czułam tylko pustkę.

Wiedziałam, że kiedyś będę musiała zacząć spotykać się z innymi. Przygryzłam wargę. Cóż, prawdopodobnie on zrujnował moje szanse na szczęście z kimkolwiek innym. Jak może mi się jeszcze kiedyś ktoś spodobać?

Zdegustowana własnym pokrętnym rozumowaniem, odpowiedziałam Jasonowi, że chętnie pójdę z nim na mecz. Wyglądał na zachwyconego, co sprawiło, że zaczęłam się martwić, czy nie pomylił przypadkiem mojej chęci zapomnienia o przeszłości z prawdziwym zainteresowaniem.

Tego dnia na wushu zaczęliśmy się uczyć kopnięć. Było ich kilka rodzajów: kopnięcie proste, boczne, po obrocie i piętą. Najbardziej jednak spodobała mi się technika polegająca na jednoczesnym kopnięciu palcami i wyrzuceniu przed siebie pięści. Wreszcie poczułam, że naprawdę uczę się walczyć.

Ćwiczyliśmy kopnięcia prawie przez całą lekcję. W pewnym momencie Chuck zaczął wykrzykiwać ich nazwy w przypadkowej

kolejności, żeby sprawdzić, jak dobrze je zapamiętaliśmy. Na koniec polecił nam dobrać się w pary. Moją partnerką była Jennifer. Li poprosił, żebym zademonstrowała kolejne kopnięcia, i pomógł mi odpowiednio ułożyć ramiona. Wkrótce oznajmił, że to koniec na dzisiaj. Podziękowałam mu i poćwiczyłam jeszcze chwilę sama.

— Li cię lubi — stwierdziła Jennifer konspiracyjnym szeptem, kiedy skończyłam.

— Nie wiem, czy odważy się zrobić pierwszy krok, ale to dość oczywiste. Cały czas na ciebie patrzy. A ty? Co ty na to?

— Nic. To miły chłopak, ale nigdy nie myślałam o nim w ten sposób.

— Och. Czyli jest ktoś inny? Zmarszczyłam brwi.

— Nie. Już nie.

— Kochanie, nie możesz pozwolić, żeby życie przeciekło ci przez palce, bo kiedyś ktoś złamał ci serce. Jedyne wyjście to pozbierać się i spróbować jeszcze raz. Życie jest zbyt krótkie.

Jennifer od piętnastu lat była szczęśliwą mężatką. Jej mąż, przemiły, lekko łysiejący facet, wprost ją ubóstwiał. Każdego wieczoru po zajęciach powtarzał, że wygląda fantastycznie i gdy stanie bokiem, już prawie jej nie widać. Potem całował jej wilgotne ciemne loki i otwierał przed nią drzwi samochodu. Jeśli ktokolwiek mógłby być ekspertem w sprawach miłości, to właśnie Jennifer.

Spoglądała na mnie uważnie, a ja myślałam o tym, co właśnie powiedziała.

Wiedziałam, że ma rację. Ale jak zmienić swoje uczucia?

Jennifer uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco, zebrała swoje rzeczy i ścisnęła mnie za ramię.

— Do zobaczenia, Kelsey.

Pomachałam jej na pożegnanie, a potem zapatrzyłam się w ciemną, pustą ulicę, zatopiona w myślach. Kiedy wróciłam do sali, żeby zebrać swoje rzeczy, zauważyłam, że wszyscy już poszli. Li stał przy drzwiach wejściowych, czekając cierpliwie, aż będzie mógł zamknąć studio.

— Wybacz, *Li*. Zdaje się, że straciłam poczucie czasu. Uśmiechnął się do mnie.

— Nic nie szkodzi.

Zabrałam swój ręcznik, kluczyki i butelkę z wodą, po czym ruszyłam do wyjścia. Ledwie zdążyłam wsiąść do samochodu, kiedy Li zawołał:

— Hej, Kelsey! Poczekaj! — Podbiegł, a ja opuściłam szybę. — W Halloween spotykamy się z grupką znajomych, żeby pograć

w Osadników z Catanu. Chciałbym i ciebie zaprosić. Moja babcia uwielbia gotować, więc będzie dobre jedzenie. Przyjdiesz? Nauczę cię zasad gry.

— Hmm. — Niczego nie planowałam na Halloween. Wiedziałam, że dzieci nie będą odwiedzać mojego domu, gdyż stoi na uboczu. Nie miałam też specjalnej ochoty na wizytę u Mike'a i Sary. Wszystkie maluchy z sąsiedztwa omijały ich dom, bo rozdawali słodycze bez cukru i pouczali rodziców o niebezpieczeństwach wynikających z przejadania się słodkościami.

Li czekał, więc w końcu odpowiedziałam:

— Jasne, to brzmi ciekawie. Uśmiechnął się.

— Świetnie! Do zobaczenia.

Jadąc do domu, czułam się dziwnie. Gdy tylko przekroczyłam próg, rzuciłam torbę na kanapę i wyciągnęłam z lodówki butelkę wody. Udałam się na górę, do sypialni, i wyszłam na balkon. Usiadłam na leżaku, odchyliłam głowę do tyłu i zapatrzyłam się w gwiazdy.

Trzy randki. W ciągu najbliższych dwóch tygodni miałam trzy randki i nie cieszyłam się na żadną z nich. Najwyraźniej coś było ze mną nie tak.

## RANDKI

## RANDKA NUMER 1

Dzień mojej randki z Artiem nadszedł niespodziewanie szybko. Zaparkowałam na terenie kampusu i znieruchomiałam za kierownicą, odwlekając nieuniknione. Nie miałam ochoty spotykać się z Artiem. A jednak skłonił mnie do tego swoim uporem. Podejrzywałam zresztą, że nie jestem pierwszą dziewczyną, wobec której zastosował tę taktykę.

Zrezygnowana ruszyłam w stronę pracowni językowej. Artie stał przed drzwiami, gapiąc się na zegarek, z jakimś brązowym pakunkiem pod pachą. Podeszłam, wsuwając ręce do kieszeni.

— Cześć, Kelsey. Chodź, jesteśmy spóźnieni — rzucił, ruszając żwawo korytarzem.

— Muszę najpierw wpaść na pocztę. To paczka dla przyjaciółki z dawnych czasów

— wyjaśnił, wskazując na pakunek.

Artie był nie tylko gruby, ale i wysoki, i stawiał znacznie dłuższe kroki niż ja.

Musiałam prawie biec, żeby za nim nadążyć. Opuściwszy budynek, przemierzył parking i skierował się w stronę miasta.

— Ee... może pojedziemy twoim samochodem? — zaproponowałam. — Poczta jest prawie cztery kilometry stąd.

— O nie, ja nie mam samochodu. Są zbyt kosztowne.

Dobrze, że włożyłam tenisówki, pomyślałam. Na razie jest dokładnie tak okropnie, jak się spodziewałam.

Artie kroczył przed siebie sztywno i w milczeniu, uznałam więc, że to na mnie spoczywa obowiązek podtrzymania konwersacji.

— No to... dla kogo jest ta paczka?

— Dla mojej byłej dziewczyny. Studiuje w innym mieście, a ja lubię podtrzymywać stare znajomości. Ona, podobnie jak ja, umawia się niezobowiązująco z wieloma osobami — przechwalał się Artie. — Spotykam się z mnóstwem dziewczyn. Powinnaś zobaczyć mój kalendarz. Jest wypełniony na kilka lat do przodu. To był najdłuższy marsz w moim życiu. Próbowałam sobie wyobrazić, że wędruję przez indyjską dżunglę, ale było zbyt zimno. W górze straszło ciemne, zasnuwane chmurami niebo i wiał ostry, nieprzyjemny wiatr. Pogoda zdecydowanie nie sprzyjała spacerom. Trzęsłam się w cienkiej kurtce. Jednym uchem słuchałam Artiego, równocześnie przyglądając się okolicznym domom, przystrojonym / okazji zbliżającego się Halloween.

W końcu dotarliśmy na pocztę. Artie wszedł do środka, a ja rozejrzałam się po ulicy, myśląc o tym, w której z niedużych restauracyjek zjemy kolację. Byłam głodna jak wilk. Tego dnia nauka tak mnie pochłonięła, że zapomniałam o lunchu. Zapach chińskiego jedzenia, dochodzący z lokalu obok, sprawiał, że ciekła mi ślinka. Było bardzo zimno. Potarłam ręce, żeby je trochę ogrzać. Gdybym wiedziała, że tak długo będziemy na dworze, wzięłabym rękawiczki. Gdy Artie wreszcie wyszedł z poczty, okazało się, że ma w kieszeni parę skórzanych rękawiczek, ale założył je na własne dłonie. Mój mściwy umysł podpowiadał mi, że po tym, co już wycierpiałam, powinien mi je odstąpić. O n oddałby mi rękawiczki. Co tam rękawiczki, oddałby mi ostatnią koszulę, gdyby uznał, że jej potrzebuję.

— Dokąd teraz? - spytałam, z nadzieją spoglądając na chińską restaurację.

— Z powrotem do kampusu. Mam dla ciebie wyjątkową niespodziankę.

Spróbowałam zmusić się do entuzjastycznego uśmiechu.

— To... świetnie.

W drodze powrotnej Artie znów opowiadał o sobie. Gadał o swoim dzieciństwie i rodzinie, o zdobytych nagrodach i o tym, że jest przewodniczącym pięciu stowarzyszeń, w tym klubu szachowego. Ani razu nie spytał o mnie. Zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że wie, jak mam na nazwisko.

Moje myśli odpłynęły w stronę zupełnie innego mężczyzny. Słyszałam w głowie jego ciepły, hipnotyczny głos. Nagle znalazłam się pod tym samym drzewem, pod którym się z nim pożegnałam,

spoglądając w jego błękitne oczy. Ustał zimny, ostry oregoński wiatr i poczułam we włosach delikatny, ciepły, balsamiczny powiew z indyjskiej dżungli. Szary, pochmurny wieczór zniknął we mgle, a ja wpatrywałam się w gwiazdy mrugające na czystym nocnym niebie. On dotknął mojej twarzy i przemówił:

„Kelsey. Prawda jest taka, że... zakochałem się w tobie, i to już jakiś czas temu. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Proszę... Proszę... Proszę... Powiedz, że ze mną zostaniesz”. Był taki piękny, jak wojowniczy anioł zesłany z nieba. Jak mogłam mu odmówić, zwłaszcza że pragnął tylko mnie?

„Mam coś dla ciebie. To bransoletka na kostkę. Bardzo popularna w tych stronach. Kupiłem ją, żebyśmy już nigdy nie musieli szukać dzwonka”.

Poczułam lekkie mrowienie w miejscu, które musnął palcami, zapinając bransoletkę. „Kells, proszę... Potrzebuję cię”. Jak mogłam go zostawić?

Otrząsnęłam się i wróciłam do rzeczywistości, starając się powstrzymać emocje.

Artie nawijał o jakiejś wygranej debacie, a ja strofowałam się w duchu za to, że pozwoliłam wyobraźni zabłądzić w niebezpieczne rejony. Zresztą nawet jeśli rzeczywiście zaczynałam wątpić w słuszność swojego wyboru, i tak były to jałowe rozważania, bo on przecież ani razu do mnie nie zadzwonił. Co dowodziło, że podjęłam właściwą decyzję. Gdyby mnie naprawdę kochał, zadzwoniłby.

Postarałby się. Przyjechałby po mnie. Wiedziałam jednak, że on teraz potrzebuje przestrzeni. Dobrze zrobiłam. Może wreszcie o nim zapomnę.

Z trudem zebrałam myśli i skupiłam się na słowach Artiego. Nie było mowy, żeby został moim chłopakiem (nie sądziłam zresztą, że jakkolwiek dziewczyna byłaby tak głupia), ale to przecież nie znaczyło, że nie mam już szans na nowy związek.

Wciąż czekała mnie jutrzejsza randka z Jasonem i przyszlotygodniowe spotkanie z Li.

Kiedy dotarliśmy znów do kampusu, w brzuchu burczało mi tak głośno, że było to słychać w promieniu trzech przecznic. Miałam nadzieję, że wkrótce usiadziemy w uczelnianym barze.

Artie poprowadził mnie do centrum multimedialnego w bibliotece uniwersyteckiej, poprosił o dwie pary słuchawek i wręczył kobiecie za kontuarem jakiś papierek.

Potem przysunął dwa drewniane krzesła do sześciocalowego czarno-białego telewizorka w rogu sali.

— Świetny pomysł, prawda? Możemy obejrzieć sobie film, a ja nie wydam na to ani centa! — Uśmiechnął się z zadowoleniem, zupełnie

ignorując wyraz zdumienia na mojej twarzy. — Sprytnie to urządziłem, nie sądzisz? Zamknęłam usta.

— O tak, bardzo sprytnie — rzuciłam i umilkłam gwałtownie, z trudem powstrzymując się od wygłoszenia jakiejś jadowitej uwagi.

Czy on naprawdę myśli, że dziewczyny lubią być tak traktowane? Nie chodziło o pieniądze. Irytowało mnie tylko to, jak bardzo Artie był z siebie zadowolony, i to, że — zapraszając mnie na randkę — ani razu nie zadał sobie trudu, by się czegoś o mnie dowiedzieć. Byłam oburzona i wściekle głodna. Gdy film się zaczął, Artie włożył ogromne szare słuchawki i gestem nakazał mi zrobić to samo.

Otarłam ze słuchawek kurz skrawkiem bluzy, podłączyłam do telewizorka i gwałtownym ruchem założyłam na uszy. Na myśl o tym, że mam tu spędzić kolejne dwie godziny, aż gotowałam się ze złości. Po ekranie przesuwały się napisy początkowe filmu *Brigadoon*, a ja usiłowałam telepatycznie skłonić Gene'a Kelly'ego do tego, żeby tańczył szybciej.

Po godzinie Artie wykonał pierwszy ruch. Nie odrywając wzroku od maleńkiego ekranu, wyciągnął swoje masywne ramię i objął nim oparcie mojego krzesła.

Zerknęłam na niego kątem oka. Uśmiechał się lekko, zadowolony z siebie.

Wyobraziłam sobie, jak odhacza w głowie kolejne punkty swego planu:

- Uwieść dziewczynę opowieściami o swoich podbojach;
- Zrobić na niej wrażenie, gadając o sukcesach i nagrodach;
- Nie wydać ani centa;
- Puścić jej kiczowatą ramotę w telewizorku w bibliotece;
- Niby od niechcienia pochwalić się swoją oszczędnością;
- Objąć dziewczynę dokładnie w połowie filmu.

Odchyliłam się do przodu i przez resztę seansu siedziałam w niewygodnej pozycji na skraju krzesła. W pewnym momencie wstałam, udając, że muszę iść do łazienki.

Artie zerwał się i podszedł do kobiety za biurkiem. Przechodząc obok, usłyszałam, jak ją prosi, żeby zatrzymała film i przewinęła go trochę do tyłu, na wypadek gdybyśmy w czasie tej krótkiej przerwy zapomnieli, co wydarzyło się przed chwilą.

Świetnie! A więc czeka mnie dodatkowe pięć minut tej bajecznej przygody!

Śpieszyłam się, jak mogłam, żeby przypadkiem nie przyszło mu w tym czasie do głowy, że powinniśmy zacząć oglądać film



jeszcze raz od początku. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie rzucić się do ucieczki, ale Artie widział ze swojego miejsca drzwi do łazienki, a ja nie chciałam potraktować go aż tak brutalnie. Postanowiłam wytrwać jakoś do końca i dopiero wtedy uciec gdzie pieprz rośnie.

Wreszcie, wreszcie film się skończył, a ja zeskoczyłam ze swojego krzeselka, jakbym usłyszała alarm przeciwpożarowy.

— No dobra, Artie. Świetnie się bawiłam. Zaparkowałam przed biblioteką, więc... zobaczmy się w poniedziałek, okej? Dzięki za film.

Niestety, Artie nie zrozumiał aluzji i uparł się, żeby odprowadzić mnie na parking. Wcisnęłam się za drzwi samochodu, a on oparł się na nich całym swoim korpulentnym ciałem, tak że jego muszka znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od mojego nosa. Wykrzywił twarz w wymuszonym, sztucznym uśmiechu.

— Cóż, świetnie się z tobą bawiłem i chętnie bym to powtórzył w przyszłym tygodniu. Co powiesz na piątek?

Tym razem uznałam, że lepiej zdusić jego zakusy w zarodku.

— Nie mogę. Umówiłam się już z kimś innym.

— Och — rzucił bez mrugnięcia okiem. — To może w sobotę? — zaproponował, niezrażony.

Zaczęłam gorączkowo szukać w głowie wymówki.

— Ee... Nie wzięłam ze sobą kalendarza, więc nie pamiętam, czy mam jakieś plany. Pokiwał głową, jakby w pełni rozumiał moją sytuację.

— Słuchaj, Artie, strasznie boli mnie głowa. Zobaczymy się na zajęciach, dobrze?

— Jasne. Zadzwoń do ciebie później.

Szybko wśliznęłam się do samochodu i z uśmiechem zatrzasnęłam drzwi, pamiętałam bowiem, że nie podałam mu swojego numeru. Ruszyłam ulicami Monmouth, a potem w górę, w stronę mojego przytulnego, spokojnego domku.

## RANDKA NUMER 2

Przed spotkaniem z Jasonem przygotowałam się lepiej. Włożyłam czerwoną bluzę z logo uczelni, cieplejszą kurtkę i czerwony kaszmirowy szalik. Pamiętałam też o rękawiczkach.

Ujrzawszy Jasona na parkingu, natychmiast zaczęłam notować sobie w głowie jego zalety. Miał miłą powierzchowność, był szczupły

i dość niski, fajnie ubrany, a przy tym całkiem inteligentny. Oparty o swoją starą toyotę corollę, aż uniósł brwi z wrażenia, gdy zobaczył, jak wysiadam z porsche.

— Rany, Kelsey! Niezły wózek!

— Dzięki.

— Gotowa?

— Jasne. Prowadź.

Wtopiliśmy się w tłum ludzi zmierzających w stronę boiska futbolowego.

Większość z nich była ubrana na czerwono, w barwy drużyny Western Wolf, ale zauważyłam też kilka grupek odzianych w biało-granatowe stroje kibiców drużyny przeciwnej, czyli Zachodniego Waszyngtonu, a nawet parę osób w czapeczkach Wikingów z Uniwersytetu Stanowego. Jason powiódł mnie w stronę bufetu z tyłu dużego samochodu, otoczonego przez piknikujące pary. Nieduży grill pełen był dymiących kiełbasek i hamburgerów.

— Hej! Przedstawiam wam Kelsey. Poznałem ją na zajęciach z antropologii.

Kilka osób odwróciło się w naszą stronę, wykręcając szyje, by lepiej mi się przyjrzeć. Pomachałam im nieśmiało.

— Cześć.

W odpowiedzi usłyszałam zdawkowe słowa powitania, po czym wszyscy wrócili do swoich spraw, jakby zapomnieli, że w ogóle się pojawiliśmy.

Jason napełnił mój talerz jedzeniem, po czym zajrzał do niedużej przenośnej lodówki.

— Hej, Kelsey, chcesz piwo? Pokręciłam głową.

— Poproszę jakiś zwykły napój, najlepiej dietetyczny.

Jason podał mi zmrożoną puszkę, sięgnął po piwo dla siebie, a potem wskazał na dwa puste składane foteliki.

Kiedy tylko usiedliśmy, natychmiast wepchnął sobie do ust pół hot doga i uśmiechnął się do mnie, przeżuwając głośno. Było to prawie tak samo okropne, jak widok tygrysa pożerającego antylopę, l.yle że mniej krwawe.

Ech, co się ze mną dzieje? Chyba specjalnie szukam dziury w całym. Naprawdę muszę wyluzować albo sprawdzą się przepowiednie .lennifer i życie faktycznie przecieknie mi przez palce. Odwróciłam wzrok i zaczęłam dziobać jedzenie na swoim talerzu.

— Widzę, że nie jesteś fanką piwa? - rzucił Jason.

— Hmm, raczej nie. Po pierwsze: jestem niepełnoletnia. A po drugie: alkohol jakoś mnie nie kręci po tym, jak parę lat temu moi rodzice zginęli, zabici przez pijanego kierowcę.

— Och. Przepraszam... — Jason skrzywił się i ukrył swoją butelkę za nogą fotela. Co ja robię? jęknęłam w duchu i natychmiast zmieniłam ton.

— Nic nie szkodzi, Jason. Wybacz, że psuję ci nastrój. Obiecuję, że podczas meczu będę radośniej sza.

— No co ty, nie przejmuj się — odparł i dalej opychał się hot dogami, gawędząc wesoło z przyjaciółmi.

Problem polegał na tym, że nie potrafiłam się nie przejmować. Wiedziałam, że śmierć rodziców to nie najlepszy temat na pierwszą randkę, ale... on z pewnością zareagowałby zupełnie inaczej. Może dlatego że był starszy, i to o ponad trzysta lat, albo dlatego że pochodził z innej kultury. A może dlatego że i on stracił rodziców. Nie, chyba chodziło po prostu o to, że... był idealny.

Starłam się odepchnąć od siebie myśli o nim, ale nie potrafiłam. Przypomniało mi się, jak pewnej nocy obudziłam się z koszmaru, w którym po raz kolejny przeżyłam śmierć rodziców, a on był przy mnie. Czulałam, jak tulił mnie w ramionach, ocierając łzy z mojej twarzy. „Cicho już. *Main apki raksza karunga*. Jestem tu. Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało, *prijatama*”. Gładził mnie po włosach i szeptał kojąco do ucha, aż zbladło wspomnienie koszmaru.

Sprawdziłam później, co znaczyły słowa, których wtedy nie rozumiałam. „Jestem tu. Zajmę się tobą. Moje serce. Moje kochanie”. Gdyby był ze mną teraz, przytuliliby mnie i smucilibyśmy się razem. Pogłaskałby mnie po plecach. Rozumiałby, co czuję.

Otrząsnęłam się. Nie. Nie rozumiałby. Może kiedyś, ale teraz ma swoje życie. Nie ma go przy mnie i nie liczy się już, co by zrobił ani jak by zareagował.

Jason nakładał sobie na talerz kolejną porcję, a ja starałam się przywołać na twarz wyraz zainteresowania i włączyć się w rozmowę. Pół godziny później wszyscy wstaliśmy i ruszyliśmy w stronę boiska.

Miło było spędzać czas na świeżym powietrzu w rześki jesienny wieczór, ale ławki były lodowate, a nos prawie odpadł mi z zimna. Jasonowi i jego znajomym chłód najwyraźniej w ogóle nie dawał się we znaki. Raz po raz zrywali się z miejsc i głośno kibicowali swojej drużynie. Próbowałam ich naśladować, ale nie miałam pojęcia, kogo i za co właściwie oklaskuję. Z daleka ledwo widziałam piłkę. Poza tym nigdy nie interesowałam się futbolem. Zdecydowanie wolałam filmy i książki.

Zerknęłam w górę, na tablicę z punktami. Właśnie kończyła się pierwsza połowa. Dwie minuty. Minuta. Dwadzieścia sekund. Bzzzz! Obie drużyny zbiegły z boiska. Zaczęła się parada. Na stadion wyjechało kilka zabytkowych samochodów, z których machały do tłumu piękne dziewczyny, odziane w szyfony i jedwabie. Jason i jego koledzy gwizdali z uznaniem wraz z rozgorączkowanym tłumem. Nagle na trybunach zapachniało drzewem sandałowym, a miękki, cichy głos wyszeptał mi do ucha: „Jesteś najpiękniejszą ze wszystkich kobiet tutaj”. Gwałtownie rozejrzałam się wokoło, ale nie było go za mną. Jason nadal stał z kolegami, wznosząc okrzyki. Opadłam z powrotem na miejsce. Świetnie. Do tego wszystkiego mam halucynacje. Ścisnęłam palcami skronie z nadzieją, że wypchnę go w ten sposób z zakamarków pamięci. W drugiej połowie meczu już nawet nie udawałam entuzjazmu. ()to kolejna randka zmieniła mnie w sopel lodu. Ciało powoli przymarzało mi do ławki. Szczękałam zębami. Po meczu Jason odprowadził mnie do samochodu i niepewnie objął za ramiona, rozcierając je, żeby mnie ogrzać. Tarł jednak zbyt mocno i sprawił mi ból. Nie chciało mi się nawet pytać, która drużyna wygrała.

— Hej, Kelsey, świetnie się dziś z tobą bawiłem. Czy on w ogóle cokolwiek o mnie wie?

— Aha, ja też.

— Mogę do ciebie zadzwonić?

Zastanowiłam się przez chwilę. Jason nie był zły... był po prostu zwykłym facetem. Pierwsze randki zazwyczaj bywają niezręczne, uznałam więc, że dam mu drugą szansę.

— Jasne. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. - Uśmiechnęłam się do niego bez przekonania.

— Pewnie. Do zobaczenia na zajęciach w poniedziałek. Na razie.

— Na razie.

Jason wrócił do swoich rozwrzeszczanych znajomych, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle mamy ze sobą cokolwiek wspólnego.

### RANDKA NUMER 3

Zanim zdążyłam się zorientować, nadeszło Halloween — i dzień mojej randki z Li. Li miał w sobie coś, co sprawiało, że czułam się

przy nim swobodnie. Był lepszym kompanem niż Jason i z niechęcią przyznałam, że być może lubię jego towarzystwo dlatego, że trochę przypomina mi człowieka, o którym wciąż starałam się zapamiętać.

Z wahaniem otworzyłam drzwi tej części szafy, której miałam już nigdy nie otwierać, i znalazłam w niej ceglastoczerwoną bluzkę, krojem przypominającą nieco krótki trencz, wiązaną w pasie i ozdobioną drewnianymi guzikami. Do tego dobrałam parę elastycznych granatowych dżinsów. Były idealnie dopasowane, zupełnie jakby ktoś uszył je specjalnie dla mnie. Wsunęłam nogi w ciemne kozaki i okręciłam się przed lustrem. Strój sprawił, że poczułam się szykownie i stylowo, co rzadko mi się zdarzało.

Włosy rozpuściłam. Pomalowałam usta morelowym błyszczakiem i wyruszyłam do studia wushu, uważając, aby nie rozpędzać się zbyt szybko, gdyż ulice roiły się od rozbawionych dzieciaków, wędrujących od domu do domu.

Li siedział w swoim samochodzie, kiwając głową w takt muzyki. Gdy mnie dostrzegł, natychmiast wyłączył radio i wysiadł. Uśmiechnął się.

— Kelsey! Świetnie wyglądasz! Roześmiałam się swobodnie.

— Dzięki, Li, to miło z twojej strony. Jeśli jesteś gotowy do drogi, pojedę za tobą. Podeszłam z powrotem do samochodu. Li wyminął mnie prędko i otworzył przede mną drzwi.

— Uff, ledwo zdążyłem. — Znow się uśmiechnął. — Dziadek zawsze mi powtarzał, żebym otwierał drzwi przed damą.

— Och, prawdziwy z ciebie dżentelmen.

Li skłonił lekko głowę, roześmiał się, a potem wrócił do swojego samochodu.

Jechał powoli i raz po raz spoglądał w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy poradziłam sobie z kolejnym skrzyżowaniem. Zatrzymaliśmy się w ładnej, starej dzielnicy.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Li. Weszliśmy do środka.

— Zawsze spotykamy się tu, żeby pograć, bo dziadkowie mają duży stół. Poza tym babcia wspaniale gotuje.

Li wziął mnie za rękę i pociągnął do przytulnie urządzonej kuchni, w której unosił się bardziej smakowity zapach niż w jakiegokolwiek znanej mi chińskiej restauracji.

Drobniutka, siwa kobieta

pochylała się nad garnkiem ryżu. Podniosła głowę i spojrzała na nas przez zaparowane okulary.

— Kelsey, to moja babcia, Zhi. Babciu, *huó* Kelsey. Staruszka uśmiechnęła się, pokiwała głową i podała mi rękę.

— Witaj. Miło cię poznać. Odwzajemniłam uśmiech.

— Panią również.

Li zanurzył palec w cicho skwierczącej zawartości patelni. Pani Zhi trzepnęła go lekko drewnianą łyżką i powiedziała coś po chińsku. Li roześmiał się.

— Na razie, babciu.

Gdy wychodziliśmy z kuchni, zauważyłam, że spoglądając na wnuka, staruszka uśmiecha się z dumą.

Poszłam za Li do pokoju. Wszystkie meble były przesunięte na bok, żeby zrobić miejsce na duży, rozkładany stół. Grupa młodych Azjatów zawzięcie omawiała rozkład pionków na planszy. Podeszliśmy bliżej.

— Hej, chłopaki. To jest Kelsey, która dziś z nami zagra. Jeden z kolegów uniósł brwi.

— Super!

— Nic dziwnego, że się spóźniłeś.

— Masz szczęście, że Wen przyniósł rozszerzoną wersję.

Rozległy się pomruki i skrzywienie przesuwanych krzeseł. Wydawało mi się, że do moich uszu doszedł jakiś cichy komentarz o dziewczynach, które pchają się gdzie nie trzeba, ale nie dosłyszałam, kto go wygłosił. Po kilku chwilach wszyscy zasiedli przy stole i rozpoczęła się gra.

Li usiadł obok mnie i prowadził mnie przez meandry rozgrywki. Na początku nie miałam pojęcia, czy lepiej kupić cegłę, surowce mineralne, czy owcę, ale zawsze mogłam poprosić go o pomoc. Po kilku rundach zaczęłam się czuć na tyle pewnie, by radzić sobie sama. Kiedy zamieniłam dwie osady na miasta, chłopcy jęknęli zgodnym chórem.

Pod koniec gry stało się jasne, że o zwycięstwo będę konkurować / . chłopakiem o imieniu Shen. Shen drażnił się ze mną dobrodusznie, twierdząc, że nigdy nie uda mi się wygrać. Położyłam na stole owcę, rudę oraz zboże i kupiłam kartę rozwoju, tym samym zbierając komplet punktów.

— Wygrałam!

Kilku kolegów Li zaczęło mrużyć coś pod nosem o tym, że początkujący zawsze mają szczęście, i ostentacyjnie liczyć jeszcze raz

moje punkty, żeby się upewnić, że nie zaszła pomyłka. Zdziwiłam się, jak szybko minął czas, o którym przypomniało mi burczenie w brzuchu.

Li wstał i się przeciągnął.

— Czas coś zjeść.

Babcia Zhi przygotowała wspaniałą ucztę. Chłopcy zaczęli napełniać talerze smażonym ryżem, chińskimi pierożkami, warzywami z patelni i krewetkowymi sajgonkami. Li wziął dla nas po napoju i usiedliśmy przy stole w salonie.

Li z wprawą sięgnął pałeczkami po pierożek z mięsem i poprosił:

— Kelsey, opowiedz mi coś o sobie. Coś poza tym, że ćwiczysz wushu. Jak spędziłaś wakacje?

— Och, wakacje. Ee... pracowałam w Indiach jako stażystka.

— Niesamowite! Co tam robiłaś?

— Głównie katalogowałam ruiny, dzieła sztuki, takie tam historyczne sprawy. A ty? Jak tobie minęły wakacje? — Musiałam szybko zwrócić uwagę na niego, żeby uniknąć dalszych pytań o mój pobyt w Indiach.

— Przez większość czasu pomagałam dziadkowi. Zbieram pieniądze na studia medyczne. Zrobiłam licencjat z biologii na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii. Dokonałam w głowie szybkich obliczeń. Coś mi się nie zgadzało.

— Ile masz lat, Li?

— Dwadzieścia dwa — odparł z uśmiechem. — Zrobiłam intensywny kurs, chodziłam też na letnie zajęcia. Właściwie to wszyscy tutaj studiujemy. Shen robi specjalizację z informatyki, Meii z chemii, a Wen pracuje nad magisterką z analiz statystycznych.

— Wygląda na to, że wszyscy macie... sprecyzowane cele.

— A ty, Kelsey? Jaką wybrałaś specjalizację?

— Stosunki międzynarodowe i historię sztuki. Właśnie uczę się o Indiach. No i na pewno będę musiała wziąć dodatkowe lekcje wushu, żeby spalić te wszystkie kalorie — rzuciłam w żartach.

Li roześmiał się i wziął ode mnie talerz. Przeszliśmy z powrotem do pokoju, w którym odbywała się gra. Zatrzymałam się, żeby obejrzeć zdjęcie Li z dziadkiem Chuckiem, na którym każdy z nich trzymał w dłoniach po trzy trofea.

— Wasze studio wygrało te wszystkie nagrody? Li zerknął na fotografię i zaczerwienił się.

— Nie studio, ja. Brałam udział w turnieju sztuk walki. Uniosłam brwi ze zdziwienia.

- Nie wiedziałam, że jesteś aż tak dobry. To duże osiągnięcie.

- Moi dziadkowie z pewnością zechcą ci o tym opowiedzieć - odparł Li, prowadząc mnie z powrotem do kuchni. - Przechwalanie się mną to ich ulubione zajęcie. Prawda, babciu? - rzucił, cmokając ją w policzek, a ona zamachała rękami, odpędzając go od zlewu, w którym zmywała naczynia.

Chłopcy rozłożyli na stole inną grę, znacznie łatwiejszą do opanowania. Przegrałam, ale bardzo dobrze się bawiłam. Skończyliśmy po północy. Li zaproponował, że odprowadzi mnie do samochodu, i wyszliśmy w zimną, rozgwieżdżoną noc.

- Dzięki, że przyszedłeś, Kelsey. Było świetnie. Masz ochotę to powtórzyć? Spotykamy się co dwa tygodnie.

- Jasne, brzmi super. Ale czy to, że wygrałam swoją pierwszą grę, znaczy, że dostanę fory na następnych zajęciach wushu? - przekomarzałam się.

- Nic podobnego. Wręcz przeciwnie, będę bardziej wymagający. Roześmiałam się.

- Przypomnij mi, żebyśmy następnym razem przegrała. A jeśli ty wygrasz?

Li wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Muszę się nad tym poważnie zastanowić - odparł, po czym cofnął się i stał na ganku, dopóki nie odjechałam.

W domu zmęczona wgramoliłam się do łóżka z myślą, że mogłabym naprawdę, naprawdę polubić Li. Był zabawny i uroczy. Nie czułam do niego nic poza przyjaźnią, ale być może w przyszłości i o się zmieni. Zwykle życie zaczynało znów być... zwykle. Obróciłam się na bok i otuliłam pledem babci, przez przypadek strącając z łóżka mojego białego pluszowego tygrysa.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zostawić go na podłodze albo nie schować do szafy. Zbierałam się na odwagę, leżąc bez ruchu i wpatrując się w sufit w milczeniu. Wytrzymałam jednak zaledwie pięć minut. Zła na samą siebie, wychyliłam się z łóżka i przytuliłam zwierzaka do piersi, przeprasząc go za to, że przeszło mi przez myśl, by się go pozbyć.



## GWIAZDKOWY PREZENT

Halloween dobiegło końca, a moje życie skupiło się na dwóch sprawach: nauce do egzaminów i unikaniu Artiego. Jakimś cudem zdobył mój numer telefonu i dzwonił codziennie, punktualnie o piątej po południu. Czasem czekał też na mnie po zajęciach. Facet był nie do zdarcia.

Próbowałam również uporządkować swoje uczucia wobec Jasona. Byliśmy na kilku randkach i za każdym razem czułam, że nadajemy na zupełnie innych falach. On uważał, że Szekspir, poezja i książki to nuda, ja zaś nie potrafiłam docenić subtelnej różnicy między ligą uniwersytecką a zawodową. Nie sądzę jednak, by jemu przeszkadzały różnice między nami. W głębi serca wiedziałam, że znajomość z Jasonem donikąd mnie nie zaprowadzi, był jednak nieszkodliwy, a poza tym lubiłam współpracować z nim na zajęciach.

Kiedy już prawie stwierdziłam, że randki mogą stać się dla mnie zwykłą, nieskomplikowaną formą spędzania wolnego czasu, *Li* postanowił utrudnić mi zadanie. Gawędziliśmy właśnie po zajęciach z wushu, gdy nagle umilkł i zaczął nerwowo bawić się trzymaną w dłoniach butelką wody.

W końcu przemówił:

- Kelsey... chciałem spytać, czy zgodziłabyś się ze mną spotkać. Sam na sam. To by była taka prawdziwa randka.

Zdębiałam, a myśli zaczęły galopować w mojej głowie jak szalone.

- O... Hmm, jasne - odparłam z wahaniem. - Lubię spędzać z tobą czas. Jest świetnie i dobrze nam się rozmawia.

Li skrzywił się.

- No tak, ale czy ty mnie lubisz tak naprawdę, czy jako kolegę? Zastanowiłam się przez chwilę.

- Cóż, jeśli mam być szczerą, uważam, że jesteś super, i naprawdę cię lubię. Chyba bardziej niż kogokolwiek innego tutaj. Ale nie wiem, czy chcę się w tej chwili poważnie wiązać. Niedawno z kimś zerwałam i wciąż jeszcze nie udało mi się po tym pozierać.

- Och. Rozumiem, takie sprawy bywają trudne. Mimo to chciałbym cię widywać. Jeśli masz ochotę i jesteś na to gotowa.

Zadumałam się na chwilę.

- Dobrze, zgoda.

- Może w takim razie zaczniemy od kina? Tu niedaleko jest przegląd starych filmów z gwiazdami sztuk walki. W piątek, o północy. Wybierzemy się?

- W porządku, pod warunkiem że nauczysz mnie potem najfajniejszych ciosów z tych filmów - odparłam, zadowolona, że udało nam się dogadać. Przynajmniej do pewnego stopnia, pomyślałam, kiedy się żegnaliśmy.

Zaczęłam więc spotykać się z Li. Zachowywał się jak dżentelmen, a randki z nim zawsze były zabawne i ciekawe. Mimo to w głębi duszy czułam się samotna i wiedziałam, że towarzystwo innych osób wcale mi nie pomoże... Najgorsze były noce, kiedy czułam jego obecność. Mimo że dzielił nas ocean, łączyła mnie z nim jakby zaciśnięta wokół serca niewidzialna nić. Miałam nadzieję, że któregoś dnia w końcu pęknie.

Zajęcia z wushu pomagały mi odreagować frustrację. Wymagały precyzyjnych, pozbawionych emocji ruchów, co było pozytywną odmianą. Poza tym szło mi coraz lepiej. Poczułam się silniejsza, zarówno fizycznie, jak i wewnętrznie. Gdyby ktoś mnie zaatakował, być może potrafiłabym się obronić, co znacznie wpływało na moją pewność siebie. Komu potrzebny tygrys? W razie konieczności kopnę napastnika prosto w twarz.

Nawet Li zauważył, że kopię coraz mocniej. Jako początkujący nie powinniśmy wyobrażać sobie, że stoimy naprzeciw prawdziwego wroga, uznałam jednak, że ja jako jedyna napotkałam na swej drodze oszalałe małpy i krwiożercze demony, kopałam więc wyimaginowanych przeciwników tak mocno, jak się dało.

Li dotrzymał obietnicy i nauczył mnie ciosu z filmu, który razem widzieliśmy. Pozwolił mi przećwiczyć go na sobie, ale nie wyszło i upadliśmy razem na matę, zanosząc się śmiechem.

— Kelsey, wszystko w porządku? Nic ci nie zrobiłem?

Nie mogłam przestać się śmiać. W końcu się opanowałam i otarłam łzę z oka.

— Nic mi nie jest. Niezły cios, prawda? Li nachylił się, zbliżając twarz do mojej.

— Świetny. W końcu mam cię tam, gdzie chciałem.

Gdy tylko to powiedział, panującą między nami swobodną, radosną atmosferę zastąpiło nerwowe napięcie. Li zbliżył się jeszcze bardziej, ale zawahał się, zauważywszy moją reakcję. Znieruchomiałam i poczułam, jak zalewa mnie fala smutku. Zamknęłam oczy i lekko odwróciłam twarz, cały czas czując na sobie jego spojrzenie. Po chwili Li usiadł i przyciągnął mnie do siebie. Czułam się okropnie, ale nie potrafiłam go pocałować. Jego bliskość była przyjemna, lecz nie wywoływała u mnie gęsiej skórki. Coś się nie zgadzało.

— Przepraszam, Li. Pogłaskał mnie pod brodą.

— Daj spokój. Chodźmy na shake'a, co ty na to? — Spojrzenie miał odrobinę smutne, ale najwyraźniej twardo postanowił nie robić z tego sprawy i szybko skierował moją uwagę w inne rejony.

Niedługo później pan Kadam zadzwonił z dobrą nowiną. Odszyfrował dużą część przepowiedni i poprosił mnie o pomoc, co przyjąłam z dużą radością. Wyciągnęłam notatnik i spytałam:

— Słucham, co pan dla mnie ma?

— Test czterech domów. Ściślej rzecz biorąc, jest dom tykw, dom pokus oraz dom skrzydlatych istot.

— Jakich skrzydlatych istot? — Z przejęcia głośno przełknęłam ślinę.

— Jeszcze nie jestem pewien.

— A czwarty dom?

~ Wygląda na to, że są dwa domy ze skrzydlatymi stworzeniami. Pierwsze z nich może być jakimś ptakiem, chociaż później w przepowiedni wspomniane są także ptaki z metalu bądź żelaza. Ta druga istota określona jest jako coś dużego, i ten sam symbol powtarza

się w dalszej części przepowiedni. Chciałbym, żeby przejrzała pani wszelkie mity i legendy mówiące o domach oraz testach i dała mi znać, jeśli znajdzie pani coś ciekawego.

— Zgoda.

— Cieszę się.

Reszta rozmowy upłynęła nam na bardziej przyziemnych sprawach. Choć byłam zadowolona, że pan Kadam angażuje mnie w swoje badania, to na myśl o powrocie do Indii skręcał mi się żołądek. Nie chodziło o magię, niebezpieczeństwa i mityczne potwory, lecz o to, że znów musiałabym stanąć twarzą w twarz z n i m. Wprawdzie radziłam sobie z codziennością, ale w środku czułam, że czegoś mi brakuje, jakbym znajdowała się nie tam, gdzie powinnam. Indie mnie wzywały, czasem po cichu, czasem głośnym rykiem, ale bezustannie, i nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę w stanie przyzwyczać się ponownie do zwykłego życia.

Dzień Dziękczynienia oznaczał tofu u Sary i Mike'a. Mimo że ich świąteczne dyniowe dekoracje wyglądały nieszkodliwie, ominęłam je szerokim łukiem, zastanawiając się, jaką rolę w mojej następnej wyprawie odegrają groźne tykwy. Dzień był zimny i deszczowy, ale na szczęście w domu moich przybranych rodziców ogień w kominku buzował na całego. Co dziwne, niektóre dania nawet mi smakowały, chociaż bezglutenowy placek bez cukru, który Sara podała na deser, i uż nie był w stanie mnie przekonać.

- Co u ciebie? - zaczęła mnie w pewnej chwili Sara. - Masz na oku jakiegoś chłopaka?

- Hmm, no właściwie to umawiam się z dwoma - przyznałam nieśmiało. - Jeden ma na imię Li, a drugi Jason. Ale to nic poważnego. Spotkałam się z nimi tylko kilka razy.

Sara była bardzo podniecona i oboje z Mikiem zasypali mnie pytaniami, na które wcale nie chciałam odpowiadać.

Na szczęście dość prędko udało mi się wyjść, dostaliśmy bowiem z Li zaproszenie na świąteczną kolację u Jennifer. Jennifer mieszkała w ładnym domu w zachodniej części Salem. Przywiozłam ze sobą ciasto bezowo-cytrynowe, które upiekłam po raz pierwszy, więc byłam z niego bardzo dumna. Wprawdzie beza odrobinę za bardzo się spiekła, ale poza tym deser był bez zarzutu.

Li rozpromienił się, ujrawszy mnie w drzwiach.

— No widzisz? — powiedział do Jennifer. — Świąteczne życzenia się spełniają. Wyznał mi na boku, że zdążył się już objeść na rodzinnym obiedzie, ale specjalnie zostawił sobie miejsce na moją bezę — i, jak się okazało, nie rzucał słów na wiatr. Pochłoniął połowę za jednym posiedzeniem. Jennifer upiekła ciasto dyniowe, placek z jagodami i sernik. Spróbowałszy każdego z nich, poczułam się jak w niebie. Li jęknął głośno i stwierdził, że z tak pełnym brzuchem będzie musiał zostać na noc. Dzieciaki Jennifer, przystrojone w kapelusze pielgrzymów, zaczęły podskakiwać, zachwycone tym pomysłem, ale natychmiast się uspokoiły, gdy włączyła im na DVD *Charliego Browna*.

Pomagałam Jennifer posprzątać w kuchni, gdy porozumiewawczym szeptem zapytała:

— No i...? Jak ci idzie z Li?

— Hmm, wszystko w porządku.

— Ale czy wy jesteście... no wiesz, czy jesteście razem?

— Trudno powiedzieć. Chyba jeszcze za wcześnie, żeby tak to określić.

Wyraźnie zawiedziona Jennifer wbiła wzrok w pełen naczyń zlew i zmarszczyła brwi.

— Czy wciąż chodzi o tego drugiego chłopaka, o którym nie chcesz mówić?

Zamarłam z wilgotną szmatką w ręku.

— Przepraszam, jeśli byłam niegrzeczna — odparłam w końcu. — Po prostu trudno mi jest o nim opowiadać. Co byś chciała wiedzieć?

— Hmm. — Jennifer wzięła do ręki kolejny talerz, umyła go i zanurzyła w misce do płukania. — Kim on właściwie jest? Gdzie mieszka? Czemu nie jesteście razem?

— Cóż... on mieszka w Indiach — szepnęłam. — A nie jesteśmy razem, bo... bo go zostawiłam.

— Złe cię traktował?

— Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Był... idealny.

— To znaczy, że nie chciał, żebyś wyjeżdżała?

— Nie.

— A chciał pojechać z tobą?

Wbrew woli uśmiechnęłam się półgębkiem.

— Musiałam go błagać, żeby tego nie robił.

— W takim razie nie rozumiem. Czemu od niego odeszłaś?

- Bo był za bardzo... To znaczy... ja byłam za bardzo... - Westchnęłam. - To skomplikowane.

- Kochałaś go?

Odłożyłam półmisek, który wycierałam już od dobrych pięciu minut, i wykręciłam ściereczkę w dłoniach.

- Tak — odparłam cicho.

- A teraz?

- A teraz... kiedy jestem sama... czasem czuję się, jakbym nie mogła oddychać.

Jennifer pokiwała głową i wróciła do mycia naczyń. Srebrne sztucce brzęczały cicho w spienionej od detergentu wodzie.

- Jak on ma na imię? - spytała, lekko przekrzywiając głowę. Wbiłam pusty wzrok w kuchenne okno. Na zewnątrz było ciemno i widziałam w szybie odbicie swoich zgarbionych ramion i martwego spojrzenia.

- Ren. Ma na imię Ren.

Dźwięk tych słów dodatkowo zranił moje już i tak złamane serce. Poczulałam łzę spływającą po policzku i znów spojrzałam w okno, w którym dostrzegłam odbicie Li, stojącego za mną. Odwrócił się i wyszedł z kuchni, ale zdążyłam jeszcze zobaczyć jego minę. Sprawiała mi ból.

Jennifer ścisnęła mnie za ramię.

- Idź z nim pogadać. Radzę ci od razu mu wszystko wyjaśnić. Później będzie tylko gorzej.

Miałam wrażenie, że gorzej już być nie może, ale Jennifer miała rację. Musiałam z nim porozmawiać.

Li zdążył już wyjść z domu. Zebrałam swoje rzeczy i podziękowałam Jennifer, która odprowadziła mnie do drzwi i pomachała mi z progu.

Wysłałam na zewnątrz. Zastałam go opartego o samochód, z rękami założonymi na piersi.

- Li?

- Tak?

- Przykro mi, że musiałeś to usłyszeć. Westchnął głęboko.

- Nie szkodzi. Od początku ostrzegałaś mnie, że będzie ciężko. Mam do ciebie tylko jedno pytanie.

- Słucham?

Odwrócił się do mnie i spojrzał mi głęboko w oczy.

- Wciąż go kochasz?

- Chyba... chyba tak.

Zgarbił się, jakby uszło z niego powietrze.

- Ale Li, to nic nie znaczy. On już się nie liczy. Mieszka na innym kontynencie.

Gdyby naprawdę chciał ze mną być, mógłby. A jednak go tu nie ma. Nawet do mnie nie zadzwonił. Ja po prostu... potrzebuję czasu. Jeszcze trochę czasu żeby... żeby o nim zapomnieć... -Wzięłam go za rękę. - Wiem, że to niesprawiedliwe wobec ciebie. Zasługujesz na kogoś, kto me dźwiga z sobą takiego bagażu.

- Kelsey, każdy ma jakiś bagaż. - Li kopnął oponę swojego samochodu. - Zależy m, na tobie i chciałbym, żebyś odwzajemniła moje uczucia. Może uda nam się, jeśli nie będziemy się śpieszyć. Na początek nauczmy się być przyjaciółmi.

- I to ci wystarczy?

- W przectwnym razie musiałbym przestać cię widywać, a tego chyba bym nie zniósł.

- Dobrze, w takim razie nie śpieszmy się.

Li uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek.

- Warto na ciebie czekać, Kelsey. A tak na marginesie, tamten facet jest chyba wariatem, skoro pozwolił ci odejść.

Mimo przeszukania stert książek wypożyczonych z biblioteki i niezliczonych godzin spędzonych w Internecie wciąż nie mogłam znaleźć żadnych przydatnych informacji na temat testu czterech domów. Miałam nadzieję, że wspomniane w przepowiedni skrzydlate stworzenia okażą się nieszkodliwymi motylkami, podskórnie czułam jednak, że zadanie nie będzie tak proste.

Ponieważ większość czasu spędzałam z nosem w książkach, dni między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem minęły bardzo szybko. W oknach sąsiadów i witrynach sklepowych pojawiły się barwne gwiazdkowe dekoracje. Dalej spotykałam się zarówno z Li, jak i z Jasonem. W połowie grudnia Li zaprosił mnie na ślub swojego kuzyna.

Przez ostatnie dwa tygodnie powtarzałam sobie bezustannie, że naprawdę chciałabym, by ułożyło mi się z Li, i że dobrze by było otworzyć przed mm serce. Kiedy zjawił się przed moim domem, wyglądał bardzo szykownie. Miał na sobie ciemny garnitur i gdy go ujrzałam, serce szybciej mi zabiło. Może me była to miłość, ale z pewnością cieszyłam się, że go widzę.

— Kelsey! Wyglądasz wspaniale!

Po raz kolejny zajrzałam do zakazanej części szafy i wyciągnęłam z niej bajeczną brzoskwińową sukienkę z satyny i jedwabiu, składającą się z dopasowanego gorsetu i rozkloszowanej spódnicy do kostek.

Wesele zorganizowano w ekskluzywnym kompleksie rekreacyjnym. Po oficjalnej ceremonii na scenie pojawili się muzycy oraz lancerze przebrani w tradycyjny kostium lwa, którzy poprowadzili wszystkich gości do sali weselnej. Jeden z muzyków grał na mandolinie, która przypominała mi instrument zawieszony na ścianie w pokoju muzycznym pana Kadama.

Jadalnię udekorowano czerwonymi parasolkami, złotymi chińskimi wachlarzami i misternym origami, co, jak wyjaśnił Li, było chińską tradycją. Panna młoda miała czerwoną suknię, a zamiast prezentami, goście obdarowywali nowożeńców czerwonymi kopertami pełnymi pieniędzy.

Li wskazał grupkę chłopców w czarnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych. Zrobiłam wielkie oczy i musiałam zdusić chichot, gdy uświadomiłam sobie, że to nasi znajomi gracze. Uśmiechali się i machali do mnie. Jeden z nich miał przypiętą kajdankami do nadgarstka dużą walizkę.

— Czemu się tak ubrali? I co tam mają? — spytałam. Li roześmiał się.

- Równy tysiąc w nowiutkich jednodolarowych banknotach. Przykują tę walizkę do pana młodego. To taki żart. Mój kuzyn też kiedyś z nami grał, ale potem zbyt pochłonęła go praca. Żeni się jako pierwszy, więc walizka należy do niego.

Gdy nadeszła nasza kolej, Li przedstawił mnie swojemu kuzynowi i jego świeżo poślubionej żonie. Była drobniutka i bardzo piękna, a równocześnie robiła wrażenie nieco nieśmiałej. Następnie znaleźliśmy swoje miejsca przy stole. Wkrótce dołączyli do nas koledzy Li. Droczyli się z nim, pytając, czemu i on nie założył ciemnych okularów.

Państwo młodzi zapalili świece na cześć przodków, po czym podano obiad: ryby — symbolizujące obfitość, homary w całości, które oznaczały pełnię, kaczkę po pekińsku na znak radości i szczęścia, zupę z płetwy rekina — mającą zapewnić bogactwo, makaron jako Nyrnbol długiego życia oraz sałatkę ze strzykwami — gwarantującą harmonię w małżeństwie. Li namawiał mnie do skosztowania słodkich bułeczek z nasionami lotosu, mających symbolizować płodność.

- Hmm, dzięki — odparłam z wahaniem. — Chyba jednak zjem coś innego.



Młoda para zaczęła pierwszy taniec. Li ścisnął mnie za rękę i wstał.

— Kelsey, mogę cię prosić?

— Jasne.

Zdażył tylko raz okrócić mnie na parkiecie, kiedy do akcji ruszyli jego koledzy.

Przez całe wesele nie udało mi się zatańczyć z nim więcej niż jeden taniec.

Kilkadziesiąt minut później wniesiono trzywar-stwowy tort, w środku pomarańczowy, na zewnątrz zaś polany perłowym lukrem o smaku migdałów i przystrojony orchideami z cukru.

Kiedy tamtego wieczoru Li odwiózł mnie do domu, byłam szczęśliwa. Naprawdę cieszyłam się, że mogłam stać się częścią jego świata. Uściskałam go i cmoknęłam w policzek na pożegnanie, a on uśmiechnął się, jakby właśnie zdobył puchar świata w wushu.

Dzień Bożego Narodzenia spędziłam u Mike'a i Sary. Sącząc gorącą czekoladę, patrzyłam, jak dzieciaki otwierają prezenty. Sara i Mike podarowali mi strój do joggingu. Zawsze usiłowali przekonać mnie do biegania. Od maluchów dostałam czapkę i szalik. Powiedziałam im, że trafiły w dziesiątkę. Po przedpołudniu spędzonym z rodziną zaplanowałam spotkanie z Li.

Li miał po mnie przyjechać o drugiej po południu. Prezent dla niego, kolekcja filmów z mistrzami sztuk walki w rolach głównych, leżał na stoliku w salonie. Postanowiłam już, że jeśli pod koniec dnia nie spróbuje mnie pocałować, ja to zrobię. Powiesiłam nawet jemiolę nad drzwiami. Jakaś irracjonalna część mojego umysłu podpowiadała mi, że być może pocałunek z nim będzie kluczem do zerwania więzi łączącej mnie wciąż z człowiekiem, którego zostawiłam w Indiach. Wprawdzie czułam, że to nie będzie takie proste, ale powtarzałam sobie, że od czegoś trzeba zacząć.

Myślami byłam już przy naszym spotkaniu. Dzieciaki bawiły się nowymi zabawkami, a dorośli siedzieli przy choince, słuchając kolęd i rozmawiając cicho, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

— Spodziewasz się kogoś? — zwróciłam się do Sary, wstając.

— To pewnie kurier z paczką od pana Kadama. Mówił, że to ma być niespodzianka. Przekręciłam zasuwkę i otworzyłam drzwi.

W progu stał najpiękniejszy mężczyzna świata. Serce mi zamarło, a potem zaczęło bić jak szalone. Pełne niepokoju spojrzenie

błękitnych oczu omiatało każdy centymetr mojej twarzy. Nagle jego napięte oblicze się wygładziło. Westchnął głęboko, jak człowiek, który za długo przebywał pod wodą.

Mój wojowniczy anioł uśmiechnął się łagodnie i z wahaniem dotknął mojego policzka. Poczułam, jak niewidzialna nić między nami naprężyła się, a potem skracała, pociągając nas ku sobie. Objął mnie nieśmiało i dotknął czołem mojego czoła, przyciskając mnie do siebie. Delikatnie kołysał mnie w ramionach i głaskał moje włosy. Westchnąwszy, wyszeptał tylko jedno słowo:

- Kelsey.

## POWRÓT

Zatopiona w jego objęciach, słuchałam bicia własnego serca. Jak u Grincha z kreskówki - okazało się, że było dotąd o dwa rozmiary za małe. Kiedy Ren mnie dotknął, wszystkie powstrzymywane dotąd emocje wylały gwałtowną falą, powoli zapełniając pustkę. Poczułam przypływ nowej energii. Ren był jak słońce, a czułość, którą mi okazał - jak życiodajna woda. Uspiona wcześniej część mojego jestestwa poderwała się do życia, rozprostowała sękatę korzenie, uniosła gęste zielone liście i wypuściła skrecone wici, które oplotły nas i pociągnęły ku sobie.

Dochodzące z kuchni pytania Sary przywołały mnie do rzeczywistości.

— Kelsey? Kelsey? Kto to?

Cofnęłam się o krok. Ren wypuścił mnie z objęć, przesunął dłonią po moim ramieniu i wziął mnie za rękę. Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć Sarze, ale nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

Ren wyczuł to i sam się zaanonsował.

— Państwo Neilson?

Na jego widok Mike i Sara zamarli w pół kroku. Ren posłał im czarujący uśmiech i wyciągnął rękę.

— Witajcie. Jestem wnukiem pana Kadama. Mam na imię Ren. Serdecznie uścisnął dłoń Mike'a, po czym zwrócił się do Sary, która ujrawszy z bliska jego uśmiech, zaczerwieniła się jak pensjonarka. Poczułam się nieco lepiej, wiedząc, że nie jestem jedyną

Kobietą, która traci przy nim głowę. Okazało się, że miał hipnotyzujący wpływ na panie w każdym wieku.

- Ha, Ren — odezwał się Mike. — Co za zbieg okoliczności. Kelsey, czy ten tygrys nie nazywał się przypadkiem...

- Ach, tak — rzuciłam, robiąc gwałtowny krok do przodu. — Zabawne, prawda? — Spojrzałam na Rena i wskazałam na niego kciukiem. — Ale Ren to właściwie tylko jego ksywka. Tak naprawdę ma na imię... Al. — Szturchnęłam go w ramię. — Zgadza się, Al?

Ren z zaskoczeniem uniósł brwi, a jednocześnie miał taką minę, jakby ledwo powstrzymywał śmiech.

- Zgadza się, Kelsey.

Znów zwrócił się do Mike'a i Sary.

- Al, a właściwie Alagan. Możecie mówić mi Ren, wszyscy tak robią.

Sara najwyraźniej zdążyła przez ten czas odzyskać zmysły.

- Cóż, Ren. Wejdz, proszę. Poznasz nasze dzieci. Książę uśmiechnął się do niej i odpowiedział:

- Z największą przyjemnością.

Sara zdusiła kokieteryjny chichot i poprawiła włosy. Ren pochylił się, by podnieść z ziemi kilka sporych paczek, a ja umknęłam do pokoju.

Mike pomagał Renowi z pudłami, a tymczasem Sara zapytała szeptem:

- Kelsey, skąd ty go wytrzasnęłaś? Przez chwilę zdawało mi się, że wreszcie poznamy Li. Co się dzieje?

- Sama chciałabym wiedzieć — wymamrotałam, wbijając wzrok w choinkę.

Obaj mężczyźni weszli do salonu. Ren zdjął czarny trencz w jodełkę i powiesił go na krześle. Miał na sobie džinsy oraz dopasowaną szarą bluzę z kołnierzykiem polo.

- Kim jest Li? — zapytał. Otworzyłam usta ze zdziwienia.

- A ty skąd... — zaczęłam, po czym przypomniałam sobie o jego tygrysim słuchu. — Li to... eee... chłopak... znajomy.

Sara uniosła brwi, ale zmilczała.

Ren przyglądał mi się bacznie. Uprzejmie poczekał, aż usiądę, po czym rozparł się obok mnie na kanapie. W tym samym momencie obskoczyły go dzieciaki.

- Mam dla was prezenty — konspiracyjnym tonem zwrócił się do Rebecki i Sammy'ego. — Otworzycie je razem?

Dzieci z przejęciem pokiwały głowami, a Ren roześmiał się i przesunął w ich stronę duże pudło. Rebecca i Sammy gorączkowo rzucili się otwierać paczkę i wyciągnęli z niej kolekcjonerski zestaw książeczek Dr. Seussa. Rzuciło mi się w oczy, że wyglądają jakoś inaczej niż zwykłe książki.

Wzięłam jedną z nich do ręki i uświadomiłam sobie, że to prawdziwe białe kruki.

— Kupiłeś im pierwsze wydania? — szepnęłam. — Przecież każde z nich musiało kosztować parę tysięcy dolarów!

Ren założył mi kosmyk włosów za ucho, nachylił się w moją stronę i szepnął:

— W domu czeka na ciebie taki sam zestaw. Nie bądź zazdrosna. Zaczerwieniłam się jak burak.

— Nie o to mi chodziło.

Parsknął śmiechem i schylił się po następny prezent. Tymczasem Mike raz po raz rzucał przez okno ukradkowe spojrzenia na samochód Rena.

— Widzę, że masz hummera — odezwał się. Ren podniósł wzrok.

— Owszem.

— A nie wziąłbyś mnie kiedyś na przejażdżkę? Zawsze chciałem pojeździć takim autem.

Ren poskrobał się po brodzie.

— Jasne, tylko nie dzisiaj. Muszę się urządzić w nowym domu.

— Och... a więc przyjechałeś na dłużej?

— Taki mam plan, zostanę przynajmniej do końca trymestru. Zapisalem się na parę kursów na Uniwersytecie Zachodniego Oregonu.

— To świetnie. Będziecie z Kelsey chodzili do tej samej szkoły. Ren uśmiechnął się szeroko.

— Zgadza się. Może nawet od czasu do czasu wpadniemy na siebie na korytarzu.

Po tej wymianie zdań uwagę zachwyconego Mike'a znów pochłonał samochód. Sara przyglądała mi się uważnie. Staralam się zachować obojętny wyraz twarzy, choć w mojej głowie kotłowała się cała masa pytań.

Co on sobie myśli? Ma zamiar tu zamieszkać? Gdzie? Będzie ze mną studiował? Co on tu w ogóle robi?

Ren schylił się i podał dużą paczkę Mike'owi i Sarze.

— A to dla was.

Mike pomógł żonie otworzyć prezent. W środku był nowiutki robot kuchenny, z dziesiątkami rozmaitych końcówek. Nie zdziwiłabym się, gdyby można było nim wykonać rzeźbę z lodu. Podekscytowana Sara od razu zaczęła opowiadać o zdrowych przysmakach, które będzie mogła dzięki niemu przygotować.

Ren sięgnął po mniejsze pudełko i podał je mnie.

— Od pana Kadama.

W środku znalazłam oprawione w skórę egzemplarze indyjskiej *Mahabharaty*, chińskich *Dziejów Trzech Królestw* i japońskiej *Opowieści o księciu Genji*, wszystkie przetłumaczone na angielski. Do książek dołączony był krótki liścik, w którym pan Kadam pytał, co u mnie, i życzył mi wesołych świąt.

Przesunęłam palcami po skórzanych okładkach, ostrożnie odłożyłam książki na stolik i pomyślałam, że koniecznie muszę później zadzwonić i podziękować przyjacielowi. Ren wręczył mi kolejny prezent.

— A to od Kishana.

Sara podniosła wzrok znad swojego robota i spytała:

— Kto to jest Kishan?

— Kishan to mój młodszy brat — odparł Ren.

W spojrzeniu Sary widać było matczyną irytację, na co ja z zakłopotaniem wzruszyłam ramionami. Nigdy nie wspominałam jej o Renie ani Kishanie, nic dziwnego więc, że nabrała podejrzeń. Ja na jej miejscu zareagowałabym tak samo. Rozpakowałam prezent, który okazał się niedużym puzderkiem od Tiffany'ego. W środku znalazłam cienki łańcuszek z białego złota. Do łańcuszka dołączony był liścik.

*Hej, Kells! Tęsknię za Tobą.*

*Mam nadzieję, że niedługo przyjedziesz.*

*Pomyślałem, że chętnie zawieszysz amulet ode mnie na nieco bardziej kobiecym łańcuszku.*

*Jest jeszcze jeden prezent. Może Ci się przyda.*

*Kishan*

Odłożyłam naszyjnik i po chwili na dnie paczki znalazłam coś małego o cylindrycznym kształcie, zawiniętego w chusteczkę. Gdy ją odwinęłam, na dłoń wypadła mi zimna metalowa puszka. W środku był gaz pieprzowy. Kishan przykleił do opakowania obrazek tygrysa

w przekreślonym kółku, na zakrętce zaś dużymi czarnymi literami napisał: „Środek przeciwko tygrysom”.

Zachichotałam. Ren wziął ode mnie puszkę, a kiedy przeczytał etykietkę, zmarszczył brwi i wrzucił prezent z powrotem do pudła. Sięgnął po kolejną paczkę. — A to jest ode mnie.

Jego słowa natychmiast mnie otrzeźwiły. Podniosłam wzrok, żeby sprawdzić, jakie miny mają Sara i Mike. Mike był pogodny i całkowicie nieświadomy napiętej sytuacji, ale Sara bardzo uważnie mi się przyglądała. Zamknęłam na chwilę oczy, modląc się, żeby zawartość pudełka, cokolwiek by to było, nie spowodowała miliarda niechcianych pytań.

Wsunęłam dłoń pod warstwę ozdobnego papieru. Moje palce napotkały gładką drewnianą powierzchnię. Dzieciaki rzuciły się rozrywać opakowanie. W środku znajdowała się ręcznie rzeźbiona szkatułka.

Ren nachylił się w moją stronę.

— Otwórz.

Nerwowo przesunęłam palcami po drewnianej powierzchni. Ułożyłam sobie szkatułkę na kolanach i ostrożnie uchyliłam wieczko. Wewnątrz znajdowały się wyłożone aksamitem szufladki, a w każdej z nich — zwinięta w rulonik wstążka do włosów.

— Można wyjmować poszczególne segmenty. Widzisz? Uniósł górną część, potem następną. Części było pięć, a w każdej z nich około czterdziestu wstążek.

— Każda wstążka jest inna. Nie ma dwóch w tym samym kolorze. No i masz przynajmniej po jednej z każdego większego kraju świata.

Oślupiała, powiedziałam:

— Ren... ja...

Podniosłam wzrok. Mike zdawał się niczego nie zauważać. Pewnie sądził, że takie rzeczy zdarzają się codziennie. Za to Sara patrzyła na Rena w całkiem nowy sposób. Wyraz podejrzliwej troski na jej twarzy został zastąpiony przez pełen aprobaty półuśmiech.

— Wygląda na to, że całkiem nieźle znasz Kelsey. Ona naprawdę kocha wstążki. Nagle Sara odchrząknęła głośno, wstała i poprosiła, byśmy popilnowali dzieci, podczas gdy ona i Mike wybiorą się na małą przebieżkę. Przynieśli nam po parującym kubku gorącej czekolady i poszli na górę, przebrać się w stroje do joggingu. Chociaż biegali codziennie, w święta zazwyczaj robili sobie przerwę. Czyżby Sara chciała

dać mnie i Renowi trochę czasu sam na sam? Nie byłam pewna, czy powinnam ją uściskać, czy raczej błagać, żeby zostali.

Szkatułka wciąż leżała na moich kolanach, a ja bezwiednie obracałam w palcach wstążkę. Mike i Sara pomachali nam wesoło i wybiegli na dwór.

— Nie podoba ci się?

Spojrzałam w błękitne oczy Rena i zachrypniętym głosem odparłam:

— To najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Jego twarz rozpogodziła się w uśmiechu. Wziął mnie za rękę i delikatnie pocałował koniuszki moich palców. Potem, zwracając się do dzieciaków, spytał:

— Kto ma ochotę na bajkę?

Rebecca i Sammy chwycili jedną z książek i wdrapali się Renowi na kolana. Objął ich i ożywionym tonem zaczął czytać:

Tomek-Przytomek! Tomek-Przytomek! Złości mnie taki Głupi przydomek! Lubisz zielone Jajka sadzone Albo zieloną Szynkę wędzoną?<sup>1</sup>

Zająknął się dopiero przy słowach „dreszcz zgrozy”, ale z pomocą dzieciaków po chwili wymawiał je poprawnie i nie zrobił już potem żadnego błędu. Byłam pod dużym wrażeniem. Najwyraźniej pan Kadam uczył go czytać po angielsku. Po chwili Ren wręczył Sammy'emu książkę i wolną ręką przyciągnął mnie bliżej do siebie. Ostrożnie odłożyłam szkatułkę na podłogę i się przysunęłam. Oparłam głowę o jego ramię, a on głaskał mnie delikatnie.

Gdy w drzwiach stanęli Mike i Sara, poderwałam się i zaczęłam zbierać swoje rzeczy, jakby się paliło. Nerwowo zerknęłam na Rena i dostrzegłam jego lekko rozbawione spojrzenie.

Mike i Sara podziękowali nam i pomogli mi zapakować rzeczy do samochodu. Ren grzecznie pożegnał się ze wszystkimi.

1 Dr. Seuss, *Kto zje zielone jajka sadzone?*, tłum. S. Barańczak, Poznań 2004, s. 9—10.



Sara popatrzyła na mnie, jakby mówiła: „Musisz mi wyjaśnić parę rzeczy”, po czym zamknęła drzwi. W końcu zostaliśmy sami.

Ren zdjął rękawiczkę i przesunął ciepłymi palcami po mojej twarzy.

- Jedź do domu, Kells. Na razie o nic mnie nie pytaj. To me jest właściwe miejsce. Później będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy. Do zobaczenia.

- Ale...

- Później, *radzkumari*. - Włożył rękawiczkę i podszedł do swojego hummera.

Kiedy zdążył się nauczyć prowadzić samochód? Wyjechałam z podjazdu i obserwowałam go w lusterku, aż zniknął w bocznej ulicy.

W mojej głowie kłębiły się tysiące pytań. Na razie jednak mu siałam skupić się na jeździe po śliskiej drodze.

Kiedy dotarłam do domu, zauważyłam, że coś się zmieniło. Po dłuższej chwili uświadomiłam sobie różnicę. W oknach niezamieszkanego dotąd bliźniaka pojawiły się zasłony. Ktoś się wprowadził.

Zaparkowałam w garażu i zapukałam do nowego sąsiada, ale nikt nie otworzył.

Kiedy nacisnęłam kłamkę, drzwi się otworzyły. Dom był urządony prawie tak samo jak mój, tyle że w ciemniejszych, bardziej męskich barwach. Moje podejrzenia sprawdziły się, kiedy na skórzanej sofie dostrzegłam wysłużoną mandolinę. Nowym lokatorem był Ren.

Rozejrzałam się po kuchni. Spizarnia i lodówka świeciły pustkami. W dolnej połowie tylnych drzwi zamontowano sporą kłapkę.

Hmm... zaproszenie dla złodziei. Chociaż próba kradzieży mogłaby się dla nich źle skończyć.

Biegiem wróciłam do siebie i zamknęłam drzwi. Stwierdziłam, że nie ma sensu zwiedzać piętra i oglądać eleganckich, markowych' ciuchów, które bez wątpienia wisiały w szafach. I tak nie miałam wątpliwości, kto został moim sąsiadem.

Ledwo zdążyłam zdjąć buty i płaszcz, gdy z zewnątrz dobiegł mnie niedający się pomylić z niczym innym szum silnika hummera, wjeżdżającego na podjazd.

Wyjrzałam przez okno. Ren był dobrym kierowcą. Udało mu się przeprowadzić okazałych rozmiarów auto między wystającymi gałęziami i nie zadrapać przy tym karoserii. Zaparkował w swoim garażu i już po chwili usłyszałam chrzęst jego kroków na oblodzonej ścieżce, prowadzącej do moich frontowych drzwi.

Otworzyłam, weszłam do salonu, usiadłam w fotelu, podwinęłam pod siebie stopy i założyłam ramiona na piersi. Wiedziałam, że specjaliści od języka ciała określiliby to jako klasyczny przykład postawy defensywnej, ale nie dbałam o to.

Usłyszałam, jak Ren zamyka za sobą drzwi, zdejmuje buty i wiesza płaszcz w szafie w przedpokoju. Po chwili wszedł do pokoju. Przez jakiś czas przypatrywał mi się bacznie, jakby szukał czegoś w moich oczach, a potem przeczesał palcami swoją czuprynę i usiadł naprzeciw mnie. Od naszego ostatniego spotkania urosły mu włosy i opadały mu teraz na czoło jedwabistymi kosmykami. Odgarnął je z irytacją. Był jakby większy, bardziej muskularny. Chyba zaczął się lepiej odżywiać.

Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie w milczeniu. W końcu odezwałam się pierwsza:

— A więc... jesteś moim nowym sąsiadem.

— Owszem. — Westchnął cicho. — Nie mogłem już wytrzymać z dala od ciebie.

— Nie wiedziałam, że próbowałaś.

— Poprosiłaś mnie o to. Staralem się uszanować twoją prośbę. Chciałem dać ci czas do namysłu. Na to, żebyś oczyściła umysł i... posłuchała serca.

Nie da się ukryć, że dał mi aż nadto czasu. A jednak czułam się kompletnie zagubiona. Od wyjazdu z Indii nie byłam w stanie trzeźwo myśleć. Nie słuchałam też serca od tamtego poranka, kiedy obudziłam się u boku Rena w Kiszkindzie.

— Czy to znaczy, że twoje uczucia się nie zmieniły?

— Moje uczucia są silniejsze niż kiedykolwiek. Przypatrywał mi się bacznie błękitnymi oczyma. Ponownie przesunął palcami po włosach i nachylił się w moją stronę.

— Kelsey, każdy dzień z dala od ciebie doprowadzał mnie do rozpacz. Czułem, że wariuję. Gdyby pan Kadam nie dostarczał mi wciąż nowych zajęć, wsiadłbym w samolot już po tygodniu. Codziennie cierpliwie wykonywałem jego polecenia, ale jestem człowiekiem tylko przez sześć godzin dziennie. Resztę czasu jako tygrys spędzałem chodząc tam i z powrotem i wydeptując ścieżkę w dywanie w sypialni. Pan Kadam był bliski sięgnięcia po sztucer ze środkiem uspokajającym. Nie wiedział, co robić. Byłem wiecznie roztrzęsiony, jak dzikie zwierzę bez... swojej partnerki.

Drgnęłam, zakłopotana.

— Poprosiłem Kishana, żeby ze mną trenował, bo muszę odzyskać siły.

Walczyliśmy bezustannie, jako ludzie i jako zwierzęta.

Używaliśmy broni, pazurów, zębów i gołych rąk. Te potyczki to chyba jedyne, co utrzymywało mnie przy zdrowych zmysłach. Co wieczór padałem na dywan w sypialni, zakrwawiony i wyczerpany. A jednak. .. wciąż czułem twoją obecność. Byłaś na drugim końcu świata, ale często po przebudzeniu czułem twój zapach. Tęskniłem za tobą, Kells, tak mocno, że to bolało. Choćby Kishan spuścił mi nie wiem jakie lanie, i tak nie przyćmiewało to mojego bólu. W snach wyciągałem dłoń, żeby cię dotknąć, ale ty pozostawałaś zawsze kilka centymetrów poza moim zasięgiem. Kadam powtarzał wciąż, że wyjdzie mi to na dobre i że muszę się wiele nauczyć, zanim przyjadę do Oregonu. Pewnie miał rację, ale nie chciałem go słuchać.

— Ale skoro chciałeś ze mną być, czemu nie zadzwoniłeś?

— Pragnąłem tego. Co tydzień, gdy rozmawiałaś z Kadamem, przeżywałem tortury, słuchając twojego głosu. Zawsze czekałem wtedy obok z nadzieją, że poprosisz, by przekazał mi słuchawkę. Nie chciałem wywierać na tobie presji. Pragnąłem uszanować twoją wolę. Chciałem, żeby to była twoja własna decyzja.

O ironio! Ile razy to ja chciałam zapytać o niego, ale nie potrafiłam się na to zdobyć.

— Słuchałeś naszych rozmów?

— Tak. Mam świetny słuch, pamiętasz?

— Aha. W takim razie... co się zmieniło? Czemu przyjechałeś? Ren roześmiał się z przekąsem.

— To robota Kishana. Któregoś dnia trenowaliśmy i jak zwykle wygrywał.

Właściwie to wówczas już nawet nie starałem się z nim walczyć. Chciałem, żeby sprawił mi ból. To mi pomagało. Nagle znieruchomiał. Obszedł mnie dookoła i zmierzył wzrokiem od stóp do głów. Stałem z założonymi rękami, czekając, aż znów zaatakuje. Wtedy zamierzył się pięścią i wałnął mnie z całej siły.

Trafił prosto w szczękę. Nawet nie próbowałem się bronić. Kishan zamierzył się ponownie i tym razem dostałem w brzuch. Zgiąłem się wpół, ale szybko się wyprostowałem i czekałem na kolejny cios. Nic mnie nie obchodziło. Kishan warknął i wykrzyczał mi wszystko prosto w twarz.

— Co mówił?

— Różne rzeczy. Większości wolałbym nie powtarzać. Ogólnie chodziło mu o to, że muszę się wreszcie otrząsnąć i skoro jestem aż tak nieszczęśliwy... wziąć się w garść i wreszcie coś z tym zrobić.

— Och.

— Szydłił ze mnie, powtarzając, że potężny książę Imperium Mudzulain, Najwyższy Protektor, triumfator w bitwie stu koni i następca tronu został pokonany przez młodą dziewczynę. Twierdził, że nie ma nic bardziej żalosego niż tygrys, który z podkulonym ogonem liże swoje rany.

Jego słowa nie wywarły na mnie najmniejszego wrażenia do chwili, gdy oświadczył, że nasi rodzice wstydziłiby się za mnie. Hyłoby im wstyd, że wychowali tchórza. To wtedy podjąłem decyzję.

— Decyzję, żeby tu przyjechać.

— Zgadza się. Postanowiłem, że muszę być przy tobie, nawet jeśli pozostaniemy tylko przyjaciółmi. Wiedziałem, że będę tu szczęśliwszy niż w Indiach. — Ren wstał, ukląkł przede mną i wziął mnie za rękę. — Postanowiłem cię odnaleźć, rzucić ci się do stóp

i błagać o litość. Uwierz mi, Kelsey, zgodzę się na wszystko. Tylko błagam, nie każ mi znów żyć z dala od ciebie. Dłużej tego nie zniosę.

Jak mogłabym pozostać niewzruszona? Jego słowa przeniknęły przez cieką barierę wokół mojego serca. Ren dotknął czołem mojej dłoni, a ja natychmiast dałam za wygraną. Objęłam go za szyję, przytuliłam i wyszeptalam:

— Indyjski książę nie powinien klękać i błagać o litość. Dobrze, możesz zostać.

Ren westchnął i przycisnął mnie mocno do siebie. Uśmiechnęłam się z przekąsem.

— Nie chciałabym przecież mieć do czynienia z towarzystwem opieki nad zwierzętami za znęcanie się nad tygrysem.

Roześmiał się cicho.

— Poczekaj chwilę — powiedział i wyszedł drzwiami łączącymi tiasze domy.

Wrócił z długim, czarnym, wąskim pudełkiem, przewiazanym czerwoną wstążką.

Gdy je otworzyłam, ujrzałam bransoletkę. Do ciekiego łańcuszka był przyczepiony owalny medalionik z białego złota. W środku znajdowały się dwie miniaturowe fotografie: Rena-księcia i Rena-tygrysa.

Uśmiechnęłam się.

— Wiedziałeś, że tygrys też jest dla mnie ważny.

Ren zapiął bransoletkę na moim nadgarstku i westchnął.

— Owszem. Chociaż muszę przyznać, że jestem o niego trochę zazdrośny. Spędza z tobą dużo więcej czasu niż ja.

— Hmm, na pewno nie tyle co kiedyś. Tęsknię za nim. Ren skrzywił się.

— Wierz mi, w ciągu najbliższych tygodni będziesz mogła spędzić z nim mnóstwo czasu.

Poczułam na ramieniu lekki dotyk ciepłych palców Rena. Serce zaczęło mi dudnić. Wziął mnie za rękę, przyjrzał się bransoletce i ucałował wnętrze mojej dłoni.

Z łobuzerskim błyskiem w oku powiedział:

— A więc podoba ci się?

— Tak. Dziękuję. Ale... — nagle zrzędała mi mina — ja nie mam nic dla ciebie.

Objął mnie w tali i powiedział:

— Dałaś mi dziś najlepszy prezent, jaki mogłem sobie wymarzyć. Roześmiałam się.

— Chyba kiepsko go zapakowałam.

— Hmm, masz rację. W takim razie teraz to ja ciebie zapakuję.

Chwycił babciny pled, leżący na tylnym oparciu fotela, i owinał mnie nim jak mumię. Kopałam i piszczalam, a on mnie złapał i usadził sobie na kolanach.

— Poczytajmy coś, Kelsey. Jestem gotów na kolejną sztukę Szekspira. Próbowałem czytać sam, ale ciężko mi było wymawiać te wszystkie trudne słowa.

Odchrząknęłam znacząco z wnętrza swojego kokonu.

— Jak widzisz, mój porywaczu, mam pewien problem z poruszaniem rękoma.

Ren czule potarł nosem moje ucho, po czym nagle znieruchomiał.

— Ktoś tu jest.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Ren podskoczył, ustawił mnie na podłodze i w mgnieniu oka rozwinął pled. Przez chwilę tkwiłam w miejscu, zdezorientowana i lekko oszołomiona. W końcu odzyskałam zmysły i zaczerwieniłam się jak burak.

— Co się stało z twoim tygrysim słuchem? — syknęłam.

— To twoja wina, Kells — odparł, szczerząc zęby w uśmiechu. — Rozproszyłaś mnie. Spodziewasz się kogoś?

Nagle dotarło do mnie, kto stoi za drzwiami.

-Li!

-Li?

Skrzywiłam się lekko.

— Byliśmy umówieni... na randkę. Ren spochmurniał i powtórzył cicho:

— Na randkę?

— Tak — odparłam z wahaniem.

W mojej głowie kłębiły się myśli o mężczyźnie, który stoi obok mnie, i tym drugim, czekającym za drzwiami. Ren wrócił, ale co to oznacza? Co ja mam teraz zrobić? Dzwonek rozległ się ponownie. Wiedziałam jedno: nie mogę pozwolić, żeby Li czekał zbyt długo.

Odwróciłam się do Rena i wyjaśniłam:

— Muszę iść. Proszę, zostań tu. Lodówka jest pełna, możesz sobie zrobić kanapki. Niedługo wrócę. Bądź cierpliwy i proszę... nie gniewaj się.

Ren założył ramiona na piersi i zmrużył oczy.

— Skoro tego chcesz. Odetchnęłam z ulgą.

— Dziękuję. Wrócę tak szybko, jak się da.

Włożyłam buty i chwyciłam zapakowany zestaw płyt DVD, który kupiłam dla Li.

Ren z zaciśniętymi ustami pomógł mi założyć nowy biały płaszczyk i po cichu wycofał się do kuchni. Oparł się o blat, z założonymi rękoma i uniesionymi brwiami. Uśmiechnęłam się przeprasząco i ruszyłam do przedpokoju.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że mam prezent dla Li, a dla Rena nie, ale szybko się otrząsnęłam i otworzyłam drzwi, starając się zachowywać tak, jakby nic się nie stało.

— Cześć.

— Wesołych świąt, Kelsey — odparł Li, całkowicie nieświadomy olbrzymiej zmiany, jaka właśnie zaszła w moim życiu.

Nasza randka nie poszła tak, jak to sobie zaplanowałam. Mieliśmy iść do kina na film z Jackie Chanem, a potem na świąteczną kolację do babci Zhi. Ryłam jednak w ponurym nastroju, a moje myśli wciąż dryfowały w stronę Rena. Trudno mi było skupić się na Li — w ogóle na czymkolwiek.

— Co się dzieje, Kelsey? Jesteś jakaś cicha.

— Li, czy wybaczysz mi, jeśli zrezygnujemy z kina i od razu pójdziemy na wczesną kolację? Muszę dziś jeszcze zadzwonić w parę miejsc. Wiesz, złożyć znajomym świąteczne życzenia.

Li był wyraźnie zawiedziony, ale jak zwykle robił dobrą minę do złej gry.

— Jasne. Nie ma sprawy.

Właściwie to nie skłamałam. Naprawdę miałam zamiar zadzwonić później do pana Kadama. Jednak nie zmniejszyło to mojego poczucia winy.

Gdy dotarliśmy do domu babci Zhi, chłopcy byli właśnie w połowie planszowego maratonu. Włączyłam się do gry, ale byłam rozkojarzona i wciąż podejmowałam złe decyzje — tak złe, że nie uszło to ich uwadze.

— Co się dziś z tobą dzieje, Kelsey? — zapytał Wen. — Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się przechytrzyć cię takim prostym ruchem.

Uśmiechnęłam się do niego.

— Sama nie wiem. To chyba święta tak na mnie działają. Przegrywałam z kretesem, więc Li złapał mnie za rękę i poszliśmy do salonu otwierać prezenty.

W tym samym momencie rozdarliśmy papier i oboje wybuchnęliśmy głośnym śmiechem. Okazało się, że kupił dla mnie dokładnie to samo, co ja dla niego. Miło było choć raz zapomnieć o panującym między nami napięciu.

— Najwyraźniej lubimy te same filmy. — Li zachichotał.

— Wybacz. Powinnałam być wymyślić coś oryginalniej szego.

— Nie przejmuj się — odparł Li, wciąż roześmiany. — To dobry znak, jak powiedziałyby babcia Zhi. Oznacza, że pasujemy do siebie.

— Rzeczywiście — przyznałam, zamyślona. — Chyba masz rację. Zjedliśmy i rozegraliśmy jeszcze jedną partię, ale ja przez cały czas myślałam o tym, co powiedział. Miał rację. Pasowaliśmy do siebie, i to chyba o wiele bardziej niż ja z Renem. Podobnie jak Sara i Mike, Li i jego rodzina byli normalni, a Ren... Był nieśmiertelny, a zarazem cudowny i wyjątkowy pod każdym względem. Zbyt idealny.

Łatwo mi było wyobrazić sobie życie z Li. Byłoby wygodne i bezpieczne. Li zostałby lekarzem i założył prywatny gabinet na przedmieściach. Mielibyśmy dwójkę dzieci i jeździlibyśmy z nimi na wakacje do Disneylandu. Dzieci trenowałyby wushu i piłkę nożną. Święta spędzilibyśmy z jego dziadkami, a jego koledzy z żonami przyjeżdżaliby do nas na grilla.

Trudniej było mi sobie wyobrazić życie z Renem. Na pierwszy rzut oka nie byliśmy ani trochę podobni. To jakby połączyć Kena z bohaterką *Truskawkowego Ciastka*. On potrzebował Barbie. Co właściwie Ren miałby robić w Oregonie? Znaleźć sobie pracę? Co by napisał w CV? „Najwyższy Protektor i były indyjski książę”? Ten pomysł nie miał sensu. Nie mogłam jednak dłużej zaprzeczać, że coś do niego czuję. Moje buntownicze serce w bolesnie oczywisty sposób wyrywało się do niego. I choćbym nie wiem jak bardzo chciała przekonać samą siebie, że jestem zakochana w Li, i tak czułam, że

ciągnie mnie do Rena. Lubiłam Li. Może któregoś dnia mogłabym go nawet pokochać. I z całą pewnością nie chciałam go skrzywdzić. Co mam zrobić? Po kolejnej przegranej partii Li odwiózł mnie do domu. Gdy dojechaliśmy na miejsce, był wczesny wieczór. Zerknęłam w okno, w poszukiwaniu znajomej sylwetki, ale w domu panowała ciemność. Li odprowadził mnie do drzwi. — Czy mnie oczy nie mylą? Zawiesiłaś jemiołę? — zapytał, ściskając mnie za łokieć.

Zerknęłam w górę i przypomniałam sobie o swoim postanowieniu, żeby go pocałować. Zdawało mi się, że powzięłam je wieki temu. Teraz chyba wszystko się zmieniło? Co z Renem? Czy naprawdę moglibyśmy być tylko przyjaciółmi? A może powinnam zaryzykować i dać mu szansę? Czy raczej wybrać bezpieczną przyszłość u boku I i? Na co się zdecydować?

Milczałam przez dłuższą chwilę. Li czekał cierpliwie na moją odpowiedź. W końcu odwróciłam się do niego i powiedziałam:

— Tak. Powiesiłam jemiołę.

Położyłam mu dłoń na policzku i delikatnie pocałowałam go w usta. Pocałunek był przyjemny. Nie tak namiętny, jak planowałam, ale jemu najwyraźniej się podobał. Musnął palcami moją twarz i uśmiechnął się. Dotyk Li był miły. Dawał poczucie bezpieczeństwa. Nie miał jednak nic wspólnego z uczuciem, które mnie ogarniało, gdy był przy mnie Ren. Pocałunek Li w stosunku do pocałunku Rena był jak drobny pyłek w porównaniu z wszechświatem, jak kropla wody wobec dudniącego wodospadu.

Jak można zadowolić się czymś tak przeciętnym po tym, jak doświadczyło się czegoś wyjątkowego? A może muszę po prostu nauczyć się żyć wspomnieniami? Przekręciłam klucz w zamku i otworzyłam drzwi.

— Dobranoc, Kelsey! Do poniedziałku! — zawołał Li radośnie. Patrzyłam, jak odjeżdża, a potem weszłam do domu, żeby stawić czoła mężczyźnie, który czekał na mnie w środku.



## DECYZJE

Weszłam do domu i zamknęłam drzwi. Pozwoliłam, żeby moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Nie wiedziałam, czy Ren jest u siebie i czy powinnam z nim jeszcze dziś rozmawiać.

Przekroczyłam próg salonu i wydałam z siebie stłumiony okrzyk, dostrzegłszy błękitnookiego białego tygrysa rozciągniętego na skórzanej sofie. Ren podniósł łeb i jego spojrzenie przeszło mnie na wskroś.

Poczułam łzy w oczach. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo tęskniłam za moim tygrysem. Uklękłam obok kanapy, zarzuciłam mu ręce na szyję i płakałam rzewnymi łzami, pozwalając, by płynęły mi po policzkach prosto w jego miękkie białe futro. Pieściłam jego łeb i głaskałam go po grzbiecie. Ren był ze mną. Już nie byłam sama. Nagle zrozumiałam, że on też musiał czuć się samotny przez te wszystkie miesiące z dala ode mnie.

— Ren — wykrztusiłam, szlochając. — Tak bardzo za tobą tęskniłam. Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Po prostu nie chciałam odbierać ci wolności. Potrafisz to zrozumieć?

Wciąż ściszałam go za szyję, kiedy poczułam, jak się zmienia. Już wkrótce siedziałam mu na kolanach, a on mnie obejmował. Jego biała koszula była mokra od moich łez. Przytulił mnie mocno i powiedział:

— Ja też za tobą tęskniłem, *iadala*. Bardziej, niż ci się zdaje. I rozumiem, dlaczego wyjechałaś.

— Naprawdę? — wymamrotałam w jego koszulę.  
— Tak. Ale chciałbym, żebyś i ty coś zrozumiała, Kells. Nie odbierasz mi wolności. Ja już wybrałem. Ciebie.  
Zapłakana, pociągnęłam nosem.  
— Ale Ren...  
Przytulił moją głowę do swojego ramienia.  
— Ten facet, Li. Całowałaś się z nim? — zapytał. Pokiwałam głową w milczeniu. Nie było sensu zaprzeczać. Na pewno słyszał nas przez drzwi.  
— Kochasz go?  
— Bardzo go lubię i szanuję, jest moim przyjacielem, ale na pewno nie straciłam dla niego głowy. Przynajmniej jeszcze nie.  
— Dlaczego więc go pocałowałaś?  
— Chyba... dla porównania. Żeby się dowiedzieć, co naprawdę do niego czuję. Ren zdjął mnie sobie z kolan i usadził na kanapie. Zaskoczyło mnie to, że nie wyglądał na rozgniewanego.  
— A więc do tego służą randki?  
— Tak — odparłam z wahaniem.  
— Czy umawiałaś się już wcześniej, czy to był pierwszy raz?  
— Masz na myśli randki z Li? Ren uniósł brew.  
— A więc byli inni chłopcy?  
— Owszem. — Zmarszczyłam czoło. -Ilu?  
— W sumie trzech: Li, Jason i Artie. Chociaż nie wiem, czy liczyć Artiego. Ren, po co mi zadajesz te wszystkie pytania?  
— Po prostu jestem ciekaw, jak w dzisiejszych czasach zdobywa się kobietę. Co więc robiliście na tych randkach?  
— Chodziliśmy do kina, na kolacje, z Li byłam na weselu, a z Jasonem na paradzie świateł.  
— Czy całowałaś się z nimi wszystkimi?  
— Nie! Tylko z Li, i to dziś po raz pierwszy.  
— A więc to Li jest twoim faworytem — wymamrotał Ren pod nosem, po czym spojrzał na mnie i złapał mnie za rękę. — Kelsey, myślę, że powinnaś dalej się z nimi spotykać.  
Aż otworzyłam usta ze zdziwienia.  
— Co takiego?  
— Ja nie żartuję. Myślałem o tym, kiedy cię nie było. Mówiłaś o wolności wyboru. Ja już swojego dokonałem, teraz czas na ciebie.

— Ren, to szaleństwo! O czym ty mówisz?

— Spotykaj się z Li, z Jasonem, z kimkolwiek masz ochotę, a ja obiecuję, że nie będę się wtrącał. Ale chcę mieć równe szanse. Chciałbym, żebyś spotykała się również ze mną.

— Ren, ty chyba nie rozumiesz, jak to działa. Nie mogę w nieskończoność umawiać się na randki z kilkoma facetami naraz. Przecież chodzi o to, żeby w końcu związać się z tym, który najbardziej mi się podoba.

Ren pokręcił głową.

— Nie, Kelsey. Chodzi o to, żeby związać się z tym, kogo kochasz.

— Nawet jeśli — oburzyłam się — to co, mam oświadczyć Li: „Och, a tak przy okazji, Ren wrócił i uważa, że to świetny pomysł, żebyśmy widywała się z wami obydwoma”?

Wzruszył ramionami.

— Jeśli Li boi się uczciwej rywalizacji, lepiej żebyś od razu się o tym dowiedziała.

— To bardzo skomplikuje nasze lekcje wushu.

— Niby dlaczego?

— Li jest moim instruktorem.

Ren uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Znakomicie. Przyłączę się do ciebie. Chcę go poznać, a poza tym przyda mi się mały trening.

— Ee, Ren, to są zajęcia dla początkujących. Nie będziesz tam pasował, a poza tym nie chcę, żebyś walczył z Li. Naprawdę wolałabym, żebyś nie szedł ze mną.

— Będę się zachowywał jak dżentelmen, obiecuję. — Przyjrzał mi się uważnie. ~ A może się boisz, że to pozbawi cię jakichkolwiek wątpliwości?

— Nie — odparłam z irytacją. — Boję się raczej tego, że zgnieciesz go jak robaka!

— Nie zrobiłbym mu krzywdy, Kelsey. Nawet gdybym miał ochotę, to nie jest dobry sposób na zdobycie twoich uczuć. Nawet ja to wiem. Zgadzasz się więc chodzić ze mną na randki?

— Będzie mi trudno.

— Dlaczego? Tylko nie opowiadaj mi znów o rzodkiewkach. To niedorzeczne.

Czemu łatwiej ci się spotykać z innymi niż ze mną?

— Ponieważ... — wyjaśniłam cicho — ponieważ gdyby nam nie wyszło, potrafię bez nich żyć.

Ren ucałował koniuszki moich palców, spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział:

— *Iadala*, nigdy, ale to nigdy mnie nie stracisz. Zawsze będę w pobliżu. Daj mi szansę, proszę.

Westchnęłam, zapatrzona w jego piękną twarz.

— Dobrze. Spróbujmy.

— Dziękuję. — Oparł się na sofie, bardzo z siebie zadowolony. — Chcę to zrobić jak trzeba. Traktuj mnie tak samo jak wszystkich innych chłopców.

Jasne. Nie ma sprawy. Mam traktować najcudowniejszego i najpiękniejszego faceta na ziemi, który przy okazji jest także trzystuletnim indyjskim księciem zaklętym w tygrysa, tak jak każdego innego faceta. Żadna dziewczyna przy zdrowych zmysłach nie byłaby w stanie, popatrzawszy na niego, stwierdzić, że jest zwykłym, przeciętnym gościem.

Po kilku minutach Ren pocałował mnie w policzek.

— Dobranoc, *radzkumari*. Zadzwoń do ciebie jutro.

Następnego dnia z samego rana rozległ się dzwonek telefonu. Hen zaprosił mnie na kolację. Miała to być nasza pierwsza oficjalna randka.

Ziewnęłam, zaspana.

— Dokąd chcesz pójść? — zapytałam.

— Nie mam pojęcia. Co proponujesz?

— Zazwyczaj to mężczyzna powinien znaleźć miejsce, zanim zadzwoni, ale tym razem ci odpuszczę, bo to twoja pierwsza próba. Już wiem, gdzie możemy się wybrać. Ubierz się normalnie i przyjdź po mnie o wpół do szóstej. Oczywiście, jeśli chcesz, możesz wcześniej wpaść z wizytą.

— Do zobaczenia o wpół do szóstej, Kells.

Przez większość dnia snułam się po domu, gapiąc się na łączące nas drzwi, ale Ren uparcie tkwił po swojej stronie. Upiekłam nawet ciasteczka czekoladowe, z próżną nadzieją, że skusi go ich zapach.

Dokładnie o wpół do szóstej zapukał do frontowych drzwi. Kiedy otworzyłam, wręczył mi różę i podał ramię. Choć nie planowaliśmy eleganckiego wyjścia, był jak zwykle ubrany niesłychanie szykownie.

Wyszliśmy na zewnątrz. Ren otworzył przede mną drzwi hummera. Poczułam ciepły strumień powietrza. Ren objął mnie w talii i pomógł wdrapać się na wysokie siedzenie. Upewnił się, że mam dobrze zapięte pasy, i zapytał:

— Dokąd jedziemy?

— Pokażę ci dumę Północnego Zachodu. Zabieram cię do Rurgerville.

Po drodze Ren mówił o wszystkim, czego się uczył przez ostatnie kilka miesięcy, włącznie z prowadzeniem samochodu. Opowiedział mi śmieszną historię o tym, jak Kishan wjechał jeepem prosto w fontannę, przez co pan Kadam zabronił mu zbliżać się do rolls-royce'a.

— Kadam uczył mnie wszystkiego — mówił. — Studiowałem nowoczesne nauki polityczne, historię powszechną, finanse i biznes. Okazało się, że setki lat jego mądrych inwestycji opłaciły się. Jesteśmy bogaci.

— Jak bogaci?

— Na tyle, by zarządzać własnym krajem.

Szczęka opadła mi z wrażenia. Ren nonszalanckim tonem ciągnął:

— Pan Kadam ma kontakty na całym świecie. To niezwykle cenne. Zdziwiłabyś się, ile ważnych osób jest mu winnych przysługę.

— Ważne osoby? Na przykład kto?

— Generałowie, dyrektorowie wielkich firm, politycy z każdego liczącego się kraju świata, członkowie rodzin królewskich, a także przywódcy religijni. Poza tym nawet gdybym mógł spędzać z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, nigdy nawet nie zbliżyłbym się do tej wiedzy, którą on posiadał przez stulecia. Już jako doradca mego ojca był niezwykle mądry, teraz jednak stał się geniuszem. Nie sposób odpowiednio wynagrodzić mu wielu lat lojalności wobec naszej rodziny. Marzę o tym, żeby kiedyś móc właściwie wyrazić mu wdzięczność.

Zaparkowaliśmy przed restauracją. Ren podał mi ramię, a ja powiedziałam:

— Nieśmiertelność ma swoją cenę. Pan Kadam wydaje się bardzo samotny. To łączy całą waszą trójkę. Jesteście rodziną. Nikt nie zrozumie tego, co przeżyliście z Kishanem, lepiej niż pan Kadam. Myślę, że najlepszą nagrodą za jego lojalność będzie odpłacenie mu tym samym. Uważa was za swoich synów, a najlepszy sposób, w jaki syn może oddać szacunek ojcu, to przysporzyć mu powodów do dumy.

Ren przystanął, uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek.

- Jesteś bardzo mądrą kobietą, *radźkumari*. To znakomita rada. Gdy przyszła nasza kolej na złożenie zamówienia, Ren poprosił o siedem dużych kanapek, trzy porcje frytek, duży napój i wielki koktajl jagodowy. Kiedy kobieta za ladą zapytała, czy zamówienie jest na wynos, zdeorientowany pokręcił głową i odparł, że zjemy kolację w lokalu. Roześmiałam się i oświadczyłam ekspedientce, że mój znajomy jest bardzo, bardzo głodny. Przy stoisku z napojami Ren spróbował kilku, aż w końcu wybrał imbirowy. Obserwowanie, jak odkrywa nowe smaki, sprawiało mi dużą radość. Przy kolacji rozmawialiśmy o studiach i moim niedokończonym projekcie badawczym dla pana Kadama, dotyczącym skrzydlatych stworzeń i testu czterech domów. Opowiedziałam mu również trochę o Jasonie i mojej okropnej randce z Artiem. Ren zmarszczył brwi. Nie mógł zrozumieć, jak można z własnej woli umówić się z takim osobnikiem.

- Artie ma swoje sposoby, żeby skłonić dziewczynę do spotkania - wyjaśniłam. - Niestety, dopiero później okazuje się zadufanym w sobie bufonem.

- Hmm. - Ren odwinął z papierka ostatnią kanapkę i gapił się w nią w zamyśleniu. Parsknęłam śmiechem.

- Najadłeś się, tygrysie? Szkoda by było nie spróbować jagodowego koktajlu. Robią je tu najlepsze w całym Stanach.

Ren sięgnął po drugą słomkę i wbił ją w wieczko plastikowego kubka.

- Wypijmy go razem.

Pociągnęłam łyk, a Ren tymczasem nachylił się i jednym haustem pochłonął mniej więcej jedną trzecią zawartości kubka, po czym uśmiechnął się szeroko.

- A mówiłaś, że już nigdy nie podzielisz się ze mną nawet koktajlem mlecznym.

- Och! Rzeczywiście! - zawołałam z udawanym oburzeniem. - Ale ten się nie liczy. Miałam wtedy na myśli twoją lepszą, tygrysią połówkę. Tak więc tamta obietnica wciąż jest aktualna.

- O nie, właśnie ją cofnęłaś. A moja tygrysia połówka wcale nie jest lepsza od ludzkiej. To, że tak twierdzisz, motywuje mnie tylko, by udowodnić ci, że się mylisz.

Po kolacji pojechaliśmy na spacer do pobliskiego parku. Ren wyjął koc z bagażnika.

— Czy pozwolisz potrzymać się za rękę na pierwszej randce? — zapytał.

— Przecież zawsze mnie trzymasz za rękę.

— Ale nigdy jeszcze nie byliśmy na randce.

Przewróciłam oczami i wyciągnęłam do niego rękę. Przez jakiś czas przechadzaliśmy się po parku. Ren zadawał mi mnóstwo pytań o amerykańską historię i kulturę. Łatwo mi się z nim rozmawiało. Wszystko było dla niego nowe i ciekawe.

Przystanęliśmy nad stawem. Ren usiadł, przyciągnął mnie do siebie i objął.

— Nie chcę, żebyś zmarła — rzucił obronnym tonem, kiedy posłałam mu znaczące spojrzenie.

— To sposób stary jak świat — zadrwiłam. Roześmiał się i musnął ustami moje ucho.

— Doprawdy? Może są jeszcze jakieś inne sposoby, które mógłbym na tobie wypróbować?

— Coś mi mówi, że sam na nie wpadniesz.

Przekomarzałam się z nim, ale tak naprawdę było mi dobrze i ciepło w jego objęciach. Jeszcze przez parę godzin rozmawialiśmy, wpatrzeni w rozświetloną księżycem tafelę wody. Ren chciał wiedzieć o wszystkim, co robiłam od czasu wyjazdu z Indii. Chciał zobaczyć park Silver Falls, pójść na festiwal szekspirowski, chodzić do kina i wypróbować każdą restaurację w mieście. Gdy skończył zasypywać mnie pytaniami o oregońskie rozrywki, ton naszej rozmowy nagle się zmienił. Ren przytulił mnie mocno i powiedział:

— Stęskniłem się za tobą.

— Ja za tobą też.

— Kiedy wyjechałaś, nic już nie było takie samo. Dom stracił życie. Wszyscy to czuliśmy. Nawet pan Kadam zmarkotniał. Kishan powtarzał wciąż, że współczesny świat nie jest dla niego, i groził, że wróci do dżungli. Ale nieraz zdarzyło mi się nakryć go na tym, że i on podsłuchiwał moje rozmowy z Kadamem.

— Nie chciałam komplikować wam życia. Przeciwnie, miałam nadzieję, że je wam ułatwię. Ze kiedy wyjadę, szybciej zaaklimatyzujecie się w nowej rzeczywistości.

— Ale ty mi nie utrudniasz życia. Kiedy jesteś blisko, wiem dokładnie, gdzie jest moje miejsce: przy tobie. Kiedy cię nie ma, kręcę się bez sensu w kółko. Moje życie bez ciebie straciło równowagę i ostrość.

— Czyżbym była dla ciebie jak ritalin?

— A co to jest?

— Lek ułatwiający koncentrację.

— Zgadza się. - Ren wstał, przytulił mnie i dodał: - Pamiętaj, że potrzebuję regularnych dawek.

Zaśmiałam się i cmoknęłam go w policzek. Ren pomógł mi się podnieść, objął mnie ramieniem i wróciliśmy do samochodu.

Ryło mi dobrze. Po raz pierwszy od miesiący czułam się szczęśliwa i na swoim miejscu. Wróciliśmy do domu. Ren odprowadził mnie do samych drzwi i powiedział:

— *Subhratri*, Kells.

— Co to znaczy?

Uśmiechnął się do mnie w sposób, który sprawił, że ugięły się pode mną kolana, i powoli ucałował wewnątrz mojej dłoni.

— Dobranoc.

Zdezorientowana i odrobinę sfrustrowana położyłam się spać.

Dezorientacja i odrobina frustracji towarzyszyły mi stale podczas randek z Renem. Pragnęłam, żeby był przy mnie, kiedy tylko się da, ale on uparcie trzymał się tego, co nazywał „współczesnymi obyczajami”. W praktyce oznaczało to, że poza umówionymi spotkaniami byłam sama. Nie pozwalał nawet, bym widywała go jako tygrysa.

Codziennie dzwonił, żeby sprawdzić, czy mam dla niego czas. Zapraszał mnie do kina, na kolację, na gorącą czekoladę albo zakupy w księgarni. Gdy uznawał, że czas randki minął, znikał i przez resztę dnia nie ukazywał mi choćby skrawka pasiastego futra. Nie chciał mnie również całować, twierdząc, że ma wiele do nadrobienia.

Wprawdzie wiedziałam, że jest za ścianą, ale i tali tęskniłam za moim tygrysem.

Zaczęliśmy czytać razem *Otella*. Ren bardzo lubił głównego bohatera - do momentu gdy ten został oszukany przez Jagona.

- Otello zniszczył swój związek z Desdemoną, tak samo jak Romeo z Julią - stwierdził po namyśle. - Nie ufał swojej żonie. Gdyby tylko ją spytał, co się stało z chusteczką albo co naprawdę czuła do Kasja, poznałby prawdę.

- Otello i Desdemoną niezbyt dobrze się znali - odparłam. - Być może w ogóle się nie kochali. Myślę, że jedyne, co ich do siebie zbliżyło, to opowieści Otella o jego niezwykłych przygodach. Trochę przypomina mi w tym ciebie.



Ren leżał z głową na moich kolanach. Przez chwilę w zamyśleniu bawił się moimi palcami, po czym zapytał z wahaniem:

— Czy to dlatego ze mną jesteś, Kelsey? Chodzi ci o przygodę? Pewnie się nudzisz, siedząc tu i czytając mi Szekspira, podczas gdy mogłabyś wędrować po dżungli w poszukiwaniu magicznych przedmiotów i walczyć z demonami.

Zastanowiłam się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Nie. Lubię twoje towarzystwo, nawet kiedy jemy popcorn i czytamy książki.

Ren chrząknął i ucałował koniuszki moich palców.

— To dobrze.

Znów zaczęłam czytać, gdy on nagle podskoczył i zaciągnął mnie do kuchni, ponieważ poczuł nagłą potrzebę nauczenia się sztuki prażenia kukurydzy w mikrofalówce.

Któregoś popołudnia tak bardzo brakowało mi mojego tygrysa, że postanowiłam złożyć mu niezapowiedzianą wizytę. Zapukałam do drzwi łączących nasze domy, a nie usłyszawszy odpowiedzi, po prostu weszłam do jego salonu. Na blacie leżało kilka nieotwartych pudeł, poza tym dom wydawał się pusty. Ruszyłam po schodach na górę.

— Ren!? — zawołałam. Nie było odzewu.

Gdzie on się podział?, pomyślałam i wetknęłam głowę do gabinetu. Laptop był włączony, a na ekranie dostrzegłam trzy otwarte okna. Usadowiłam się wygodnie na obitym skórą krześle przy biurku. Okazało się, że w pierwszym okienku była strona markowego sklepu z odzieżą, w drugim link do informacji o historii zalotów i sztuki uwodzenia, zaś w trzecim — wiadomość od pana Ka-dama. Czułam się winna, czytając nie swoją korespondencję, ale treść e maili była tak krótka, że zanim się spostrzegłam, przeczytałam je wszystkie.

Od: [masteratarms@rajaramcorp.com](mailto:masteratarms@rajaramcorp.com) Do: [whttgr@rajaramcorp.com](mailto:whttgr@rajaramcorp.com) Temat:

Dokumenty

Ren,

sprawa dokumentów jest już rozwiązana.

Kadam

Od: [masteratarms@rajaramcorp.com](mailto:masteratarms@rajaramcorp.com) Do: [whttgr@rajaramcorp.com](mailto:whttgr@rajaramcorp.com) Temat:

Przeprowadzka

Ren,

zgodnie z Twoją prośbą na wszelki wypadek załączam plik.

Kadam

Dokumenty? Co oni kombinują? Najechałam kursorem myszki na załączony plik.

Zawahałam się, z palcem na przycisku, zastanawiając się, jak daleko zaprowadzi mnie moja ciekawość. W tym momencie aż podskoczyłam, gdyż za moimi plecami rozległ się znajomy głos:

- Do dobrych obyczajów należy prośba o pozwolenie, zanim zaczniesz węszyć w czyjejś osobistej korespondencji, nie sądzisz?

Zminimalizowałam okno i gwałtownie podniosłam się z krzesła. Ten stał w progu z założonymi rękami, oparty ramieniem o framugę.

- Ja... szukałam cię i zobaczyłam to... - wymamrotałam, zmieszana.

- Rozumiem. - Wszedł do gabinetu, delikatnie zamknął laptopa i przysiadł bokiem na biurku, przyglądając mi się uważnie. - Chyba znalazłaś więcej, niż się spodziewałaś?

Przez kilka sekund z zawstydzeniem wpatrywałam się we własne sznurowadła, ale po chwili irytacja zwyciężyła nad poczuciem winy. Podniosłam głowę.

- Czy ty coś przede mną ukrywasz? -Nie.

- Czy dzieje się coś ważnego, o czym mi nie mówisz?

- Nie — powtórzył.

- Przyrzeknij - poprosiłam. - Daj mi królewskie słowo honoru. Ren ujął moją dłoń, spojrzał mi w oczy i powiedział:

- Przysięgam ci, jakem księżę Imperium Mudzulain, że nie masz się czym martwić. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Kadama. -Nachylił się bliżej. - Bardzo pragnę, żebyś mi ufała. Nie oszukam cię, Kelsey.

- Mam nadzieję - odparłam zdecydowanie i lekko szturchnęłam go w pierś.

Uniósł moje palce do ust i w tej chwili wszystko inne stało się nieważne.

- Obiecuję - wyszeptał i odprowadził mnie do domu.

Gdy tylko romantyczna chwila minęła, ogarnęła mnie złość i wymamrotałam coś pod nosem o sekretach i tańczeniu, jak mi Ren zagra.

W poniedziałek po świętach znów zaczęłam lekcje wushu. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć Li. Ren zgodził się tym razem zostać w domu, żebyśmy mogła porozmawiać z Li na osobności. Przez całe zajęcia nie mogłam się skoncentrować i wszystko wychodziło mi byle jak. Nie mogłam nawet spamiętać nazw figur, których się uczyliśmy.

Po treningu nadszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy. Co mam mu powiedzieć, żeby mnie nie znienawidził?

- Li, czy możemy porozmawiać?

- Jasne. — Uśmiechnął się.

Był beztroski i wesoły, a ja wręcz przeciwnie - tak się denerwowałam, że musiałam usiąść na własnych dłoniach, żeby powstrzymać ich drżenie.

Li wyciągnął długie nogi i oparł się o ścianę obok mnie. Łyknął wolno wody z butelki, otarł usta i zapytał:

- O co chodzi, Kelsey?

- Hmm... Nie wiem, jak ci to powiedzieć... Ren wrócił.

- Och. Zastanawiałem się, kiedy się pojawi. Wiedziałem, że nie wytrzyma zbyt długo z dala od ciebie. Rozumiem, że w takim razie zrywasz ze mną - stwierdził rzeczowym tonem.

- Niezupełnie. Ren chce, żebyśmy spotykała się z wami obydwoma.

- Co? Który facet chciałby... Poczekaj... Czy to znaczy, że ze mną nie zrywasz?

- Nie - wyjaśniłam pośpiesznie. - Ale zrozumieć, jeśli się nie zgodzisz. Ren uważa, że sama powinnam dokonać wyboru.

- To bardzo... sportowo z jego strony. A jakie jest twoje zdanie? Położyłam mu rękę na ramieniu.

- Zgodziłam się spróbować, ale powiedziałam mu, że tak się nie robi i że ty na pewno na to nie przystaniesz.

- Co odpowiedział? Westchnęłam.

- Stwierdził, że jeśli boisz się rywalizacji, lepiej żebyśmy od razu się o tym dowiedziały.

Li zacisnął pięści.

— Jeśli mu się wydaje, że z miejsca dam za wygraną, to się grubo myli! Podejmuje wyzwanie.

— Żartujesz?

— Dziadek zawsze mnie uczył, żeby stawiać sobie cele i dążyć do nich, choćby nie wiem co. Jeśli mężczyzna nie potrafi zawalczyć o dziewczynę, to znaczy, że na nią nie zasługuje.

Byłam kompletnie zaskoczona. Okazało się, że Li i Ren, choć pochodzą z różnych epok, są ulepieni z tej samej gliny.

— A więc Ren zamieszkał w okolicy? — zapytał Li.

— Nawet więcej. - Westchnęłam. - Jest moim nowym sąsiadem.

— Rozumiem. W takim razie ma przewagę na starcie.

— Widzę, że obaj jesteście w wojowniczym nastroju - mruknęłam z przekąsem.

Li albo tego nie usłyszał, albo postanowił milczeć. Pomógł mi wstać i odprowadził mnie do samochodu.

Spuściłam szybę, a kiedy się nachylił, dodałam:

— Ren chce przychodzić na zajęcia. Li klasnął w dłonie i uśmiechnął się.

— Znakomicie! Zobaczymy, na co go stać. Przyrowadź go jutro. Możesz mu powiedzieć, że funduję mu trening za darmo.

— Ale Li, on nie jest na tym samym poziomie co ja.

— Jeszcze lepiej! Będzie miał przyśpieszony kurs!

— Nie, źle mnie zrozumiałeś, on...

Li mocno pocałował mnie w usta, skutecznie mi je zamykając.

1 Jśmiechnął się szeroko i zatrzaskał drzwi auta, zanim zdążyłam się odezwać.

Machając mi ręką, zniknął w ciemnym wnętrzu studia.

Następnego wieczoru znalazłam wypisaną starannie sentencję, przy lepioną taśmą do kartonu z sokiem w lodówce.

*Ze wszystkich rodzajów ostrożności ostrożność w miłości jest najbardziej zabójcza dla prawdziwego szczęścia.*

*Bertrand Russell*

Westchnęłam, odkleiłam karteczkę, i wetknęłam ją do pamiętnika. Ponieważ Ren najwyraźniej nie miał ochoty widywać mnie poza naszymi randkami, zadzwoniłam do niego z informacją, że

został zaproszony na lekcję wushu, po czym prosto z mostu wygarnęłam mu, co o tym wszystkim sądzę. Moja reakcja me zrobiła jednak na mm wrażenia. Oznajmił, że Li wygląda mu na godnego rywala i że z chęcią go pozna.

Poirytowana, zrezygnowałam z odwodzenia go od tego pomysłu i gwałtownie się rozłączyłam. Ren dzwonił do mnie po tym jeszcze kilka razy, ale postanowiłam ignorować sygnał telefonu i wziąć długą, gorącą kąpiel w wannie pełnej piany.

Jakiś czas później Ren wyprowadził hummera z garażu i zapukał do moich drzwi.

Naprawdę, naprawdę nie chciałam znaleźć się w jednym pomieszczeniu z Renem i Li. Cieszyłam się, że nasze lekcje me są jeszcze na tyle zaawansowane, by używać broni. Ren uśmiechnął się od ucha do ucha. - Gotowa? Nie mogę się doczekać pierwszego treningu. Moje ponure milczenie nie zdołało zbić go z tropu. Przez całą drogę emocjonował się nadchodzącym początkiem nowego trymestru na uczelni.

Dotarliśmy na miejsce kilka minut spóźnieni. Trening już się zaczął. Jennifer rozgrzewała się w naszym kąciku. Wbiegłam na salę ze spuszczonego wzrokiem, rzuciłam torbę i szybko zdjęłam płaszcz. Ren kroczył za mną z pewną siebie miną. Zerknęłam na Jennifer, która rozciągała się obok, i dostrzegłam jak zamarła w połowie skłonu, wpatrując się w Rena oczyma tak' wielkimi, że prawie wyszły jej z orbit. Li ponad moją głowę wbił w Rena wyzywające spojrzenie, które ten odwzajemnił nieustępliwie, oceniając słabości przeciwnika.

Ren zdjął kurtkę, co wywołało cichy pisk Jennifer. Wpatrywała się jak w obrazek w złocistobrazowe bicepsy oraz szeroką klatkę piersiową, rysującą się pod idealnie dopasowanym podkoszulkiem

- Na miłość boską, Ren! - syknęłam. - Biedaczka dostanie przez ciebie palpacji serca!

Mój towarzysz uniósł brwi, zmieszany.

- O co ci chodzi, Kells?

- Jak to o co? O ciebie. Jesteś taki... - Skrzywiłam się - Nieważne. - Odchrząknęłam.

- Witaj, Li, przepraszamy za spóźnienie. Dobry wieczór wszystkim. To jest Ren, mój gość z Indii.

Jennifer otworzyła usta w niemym „och”.

Li przyjrzał mi się badawczo, a po chwili kontynuował przerwany trening.

Demonstrując kolejne kopnięcia i figury, zdawał się coraz bardziej poirytowany, gdy widział, że Ren zna każdy ruch

W końcu połączył nas w pary tak, że Ren ćwiczył z Jennifer, a on ze mną. Jennifer zaczerwieniła się jak burak aż po cebulki włosów, gdy Ren zwrócił się do niej z przyjaznym uśmiechem. Ćwiczyliśmy rzuty. Li zademonstrował jeden z nich na mnie i poprosił wszystkich, żeby spróbowali go naśladować. Ren rozmawiał już całkiem swobodnie z Jennifer, delikatnie kierując jej ruchami i udzielając przydatnych wskazówek. Wkrótce zachowywali się wobec siebie jak starzy znajomi. Ren był czarujący i uprzejmy, a kiedy Jennifer próbowała powalić go na ziemię, wykonał zapierający dech w piersiach, dramatyczny upadek, po czym zaczął rozcierać sobie kark, powodując u niej wybuch niekontrolowanego chichotu. Uśmiechnęłam się z myślą, że przecież i na mnie tak działa. Cie szyłam się, że jest miły dla mojej przyjaciółki. Nagle zdałam sobie sprawę, że leżę na plecach i wpatruję się w jarzeniowe lampy na suficie. Zagapiłam się na Rena i Jennifer, a Li tymczasem uderzył mną o podłogę. Właściwie nic się nie stało, byłam tylko zaskoczona. Na twarzy Li natychmiast pokazały się wyrzuty sumienia.

— Przepraszam, Kelsey. Nic ci nie jest? Nie chciałem... Zanim zdążył dokończyć przeprosiny, wylądował ciężko na macie kilka metrów dalej.

— Wszystko w porządku, Kells? — pytał Ren, klęcząc nade mną. — Nic ci nie zrobił?

Zła i zażenowana, syknęłam:

— Ren! Nic mi nie jest! Po prostu nie uważałam. To się zdarza.

— On powinien być ostrożniejszy — warknął Ren.

— Nic mi nie jest — wyszeptałam. — Musiałeś go rzucać prawie na drugi koniec sali?

Ren odburknął coś pod nosem i pomógł mi się podnieść. Li wstał i podszedł do mnie, ostentacyjnie ignorując Rena.

— Wszystko w porządku, Kelsey? Położyłam mu rękę na ramieniu.

— Wszystko okej, nie przejmuj się. To moja wina, nie byłam skoncentrowana.

— Tak, to dobre określenie — powiedział i zerknął na Rena. — Niezły rzut, ale chciałbym zobaczyć, jak go powtarzasz.

Ren wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Polecani się na przyszłość.

Li uśmiechnął się lekko i zmrużył oczy.

— Nie mogę się doczekać.

Stojąca obok mnie Jennifer z podniecenia aż dostała drgawek. Otworzyła usta, zapewne z zamiarem obsypania mnie gradem pytań, ale zanim zdążyła się odezwać, wyciągnęłam do góry palec.

— Nie teraz, proszę. Chcę jakoś przetrwać te zajęcia. Obiecuję, że potem wszystko ci opowiem.

— Obiecujesz? — powtórzyła niemym szeptem.

Jennifer spędziła resztę zajęć, bacznie obserwując naszą trójkę. Widząc jej reakcję na każdą uwagę, spojrzenie czy najniewinniejszy nawet dotyk, z łatwością mogłam sobie wyobrazić, co się dzieje w jej głowie. Li nauczył nas kilku prostych figur, po czym nagle ogłosił koniec lekcji. Przez cały czas on i Ren nie spuszczaali się nawzajem z oczu. Kiedy odprowadziłam Jen do drzwi, ścisnęła mnie za ramię i powiedziała:

— Ten twój Ren jest cudowny. I piękny jak młody bóg. Rozumiem, czemu nie mogłaś o nim zapomnieć. Gdybym była kilka lat młodsza i nie miała kochającego męża, zamknęłabym się z nim gdzieś i wyrzuciła klucz. Co masz zamiar zrobić?

— Ren chce, żeby umawiała się z nimi obojwoma. Jennifer otworzyła usta ze zdumienia, więc szybko dodałam:

— Ale nie podjęłam jeszcze decyzji.

— To takie podniecające! Lepsze niż mój ulubiony serial. Powodzenia, Kelsey. Do zobaczenia w czwartek.

Gdy jechaliśmy z Renem do domu, zapytałam:

— O czym rozmawialiście z Li?

— Będę chodził na treningi, ale kazał mi zapłacić kosmiczną sumę. Chyba myślał, że nie mam tyle pieniędzy.

— Nie podoba mi się to. Czuję się jak dziecko, o które walczą rozwiedzeni rodzice.

— Możesz spotykać się z nami obojwoma albo od razu zerwać z Li — odparł miękko Ren. — Ale żeby było sprawiedliwie, dałbym mu chociaż tydzień.

— Ha! A skąd niby wiesz, że wybiorę ciebie? Li też jest świetnym facetem!

Ren pomasaował dłońią podbródek i łagodnym tonem powiedział:

— Tak. Myślę, że masz rację.

Zaskoczyło mnie to stwierdzenie i myślałam o nim przez resztę drogi do domu. Ren odprowadził mnie do drzwi, a potem jak zwykle zniknął u siebie.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami umawianie się jednocześnie z Renem, Li i Jasonem okazało się niedorzecznym pomysłem. Czułam się jak otoczona przez rycerzy pojedynkujących się o moje względy. Podczas gdy oni paradowali w zbrojach, ostrzyli lance i dosiadali rumaków, ja zastanawiałam się, co zrobić. Potrafiłam zrozumieć Rena, przynajmniej do pewnego stopnia. Za jego czasów walczone o kobiety, a tygrysia część jego natury mogła skłonić go do pozbycia się rywali. Zaskoczyła mnie jednak reakcja Li. Nie sądziłam, że aż tak mu zależy. Gdyby po prostu ze mną zerwał, pomyślałam, moja rola w tym spektaklu byłaby o wiele mniej skomplikowana. Może się w końcu pozabijają jak w *Hamlecie*. Na czwartkowym treningu Li i Ren wyglądali, jakby zawarli niepisany pakt, by ignorować się nawzajem. Żaden z nich nie ćwiczył też ze mną więcej w parze. Z początku wszyscy obserwowali ich uważnie, ale po pewnym czasie atmosfera wróciła do normy.

Li wychodził ze skóry, planując dla mnie romantyczne kolacje i pomysłowe pikniki. Z Renem siedzieliśmy raczej w domu, czytając książki i oglądając filmy. Przepadał za przekąską, której przygotowanie opanował do perfekcji - była to prażona kukurydza z odrobiną cukru, soli i skropiona oliwą. Często oglądaliśmy stare filmy. Ren zadawał mi przy tym tysiące pytań. Najbardziej podobały mu się *Gwiezdne wojny*. Był fanem Luke'a Skywalkera, zaś Hana Solo uważał za rozrabiakę, który nie jest wart książniczki Lei.

W piątek wieczorem mieliśmy właśnie włączyć kolejny film, kiedy przypomniało mi się, że umówiłam się z Jasonem. Powiedziałam Renowi, żeby obejrzał film beze mnie. Odburknął coś niezadowolony i poszedł do kuchni, wstawić kukurydzę do mikrofal.

Kiedy zeszałam na dół w ciemnoniebieskiej sukience, pantofelkach na obcasie i z wyprostowanymi włosami, Ren zerwał się z kanapy, upuszczając na podłogę miskę z popcornem.

- Czemu się tak ubrałaś? Dokąd idziecie?

- Jason zaprosił mnie do teatru w Portland. Zdawało mi się, że obiecałeś się nie wtrącać i dać mu szansę.



— Kiedy jesteś tak ubrana, mam prawo się wtrącać, ile mi się podoba. Zadzwiećcał dzwonek do drzwi. Kiedy otworzyłam, Ren nagle znalazł się tuż za mną i pomógł mi założyć płaszcz. Jason przestąpił niepewnie z nogi na nogę i spojrzał na niego z niepokojem.

— Ee, Jason, to mój przyjaciel z Indii, Ren.

Ren wyciągnął rękę i uśmiechnął się z przekąsem.

— Pamiętaj, żeby dbać o moją Kelsey - powiedział takim tonem, jakby miał za chwilę dodać: „bo jak nie...”.

Jason przełknął ślinę.

— Aha. Się zrobi.

Wepchnęłam Rena w głąb korytarza i zamknęłam mu drzwi przed nosem.

Spotkania z Jasonem były dla mnie w pewnym sensie wytchnieniem. Nie czułam tej presji, która towarzyszyła randkom z Renem i Li, chociaż żaden z nich nie wywierał na mnie nacisków — zwłaszcza Ren zdawał się obdarzony nieziemską cierpliwością. Wynikała ona zapewne z tygryziej części jego natury.

Jason zaprosił mnie na *Króla lwa*. Kostiumy i scenografia były niesamowite. Przez chwilę żałowałam nawet, że nie ma z nami Rena, który z pewnością zakochałby się w zwierzęcych bohaterach.

Po przedstawieniu tłum wysypał się z teatru na chodnik. Ludzie rozchodzili się nieśpiesznie na wszystkie strony, zmuszając auta do niebezpiecznych manewrów w wąskich przesmykach wolnej przestrzeni. Jakaś starsza pani upuściła program i właśnie schylała się, °y g° podnieść, gdy zza rogu wyjechał samochód.

Nie zastanawiając się wiele, wybiegłam na jezdnię i zaczęłam machać do kierowcy, żeby się zatrzymał. Mężczyzna nacisnął hamulec o sekundę za późno. Kiedy zbiegałam z ulicy, obcas utkwił mi w szczelinie w asfalcie. Samochód potracił mnie i upadłam.

Jason nadbiegł z pomocą. Kierowca wysiadł z auta. Na szczęście nic mi się nie stało. Moja sukienka oraz duma doznały uszczerbku, oprócz tego miałam tylko kilka lekkich siniaków i zadrapań. Zatrudniony w teatrze fotograf wybiegł, żeby zrobić mi zdjęcie. W rozdartej sukience i z rozmazanym makijażem stanęłam obok Jasona, który podał fotografowi moje imię i nazwisko, dodając, że moja odwaga uratowała życie starszej pani.

Z obrzydzeniem ściągnęłam zniszczony but i ruszyłam w stronę auta. Jason z podnieceniem rozprawiał o wypadku i o tym, że moje zdjęcie być może znajdzie się nawet w teatralnym magazynie.

Przez całą drogę do domu trajkotał o swoich planach i jakiejś imprezie, na której niedawno był. Kiedy zatrzymaliśmy się na podjeździe, nie wysiadł i nie otworzył przede mną drzwi. Westchnęłam, myśląc o tym, że dzisiejsza młodzież ma za nic rycerskie zasady. Jason popatrywał to na moją podartą sukienkę, to na okna domu. Pewnie bał się, że Ren utrzyma mu nosa za to, co się stało. Odwróciłam się na siedzeniu i spojrzałam mu w oczy.

- Musimy porozmawiać.

- Jasne. O czym?

Westchnęłam cicho i oświadczyłam:

- Myślę, że powinniśmy przestać się spotykać. Nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego. Chciałabym jednak, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

- Masz kogoś innego? - zapytał, znów spoglądając na drzwi mojego domu.

- Tak jakby.

- Cóż, jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

- Dzięki, Jason. Jesteś świetnym facetem. - Odrobinę bez charakteru, ale miłym, dodałam w myślach. Pocałowałam go w policzek na do widzenia. Odjechał w całkiem niezłym nastroju.

Nie było tak źle, choć wiedziałam, że z następnym rozstaniem na pewno nie pójdzie mi tak łatwo.

Weszłam do domu. Na kuchennym blacie znalazłam kolejną kartkę obok miseczki pełnej prażonej kukurydzy.

*Ten, kto kocha, nigdy nie przegrywa. Przegrywa ten, kto powstrzymuje się od miłości.*

*Barbara De Angelis*

Wszystko zaczyna układać się w całość, pomyślałam. Sięgnęłam do lodówki po dietetyczny napój, wzięłam miseczkę z popcornem i powoli, na bosaka, wspierałam się po schodach na górę.

Jeden z głowy. Został jeszcze jeden.

## POWRÓT DO SZKOŁY

Następnego ranka Ren zadzwonił z pytaniem, czy możemy zjeść razem śniadanie. Zgodziłam się. Wciąż jeszcze byłam trochę obolała po wypadku, połknęłam więc aspirynę i wzięłam gorący prysznic.

Wkrótce na piętro doszedł zapach spalenizny. Zeszłam do kuchni. Bekon skwierczał na patelni, a Ren tymczasem bełtał w misce jajka na jajecznicę. Wokół pasa przewiązał sobie mój falbaniasty fartuszek. Widok był piorunujący.

— Trzeba było mnie zawołać — powiedziałam, zdejmując z drugiej patelni spalonego naleśnika.

— Chciałem ci zrobić niespodziankę.

— Udało ci się bez dwóch zdań. — Roześmiałam się, przejmując dowodzenie nad kuchenką. — Po co ci masło orzechowe?

— Jak to? Do naleśników oczywiście. Dodam do nich jeszcze banany. Parsknęłam śmiechem.

— Doprawdy? A jak wpadłeś na tak oryginalny pomysł?

— Metodą prób i błędów.

— Niech będzie — zgodziłam się. — Ale musisz spróbować też moich ulubionych naleśników z czekoladą.

— Umowa stoi.

Sięgnęłam po czekoladowe wiórki i zabrałam się do roboty. Wreszcie wysokość sterty naleśników go usatysfakcjonowała i siedliśmy przy stole. Ren wziął duży kęs ze swojej porcji.

-I jak?

— Wyśmienite. Ale według mojego przepisu byłyby jeszcze lepsze.

Kiedy sięgnęłam po syrop klonowy, Ren dostrzegł długiego fioletowego siniaka na moim rannemu i dotknął go ostrożnie.

- Co to? Co ci się stało?

- Ach... to. Wczoraj wieczorem potrąciło mnie auto.

- Co takiego!?

- Ratowałam starszą parną przed wpadnięciem pod samochód. Zamiast w nią, uderzył we mnie.

Ren skoczył do góry jak oparzony, podbiegł i zaczął obmacywać mnie ostrożnie, dotykając kość i poruszając kończynami w stawach.

- Gdzie cię boli?

- Ren! Naprawdę wszystko w porządku. Mam tylko parę zadrapań Au! Nie naciskaj tu! - opędzalam się. - Przestań już! Nie ,estes lekarzem. Mam tylko kilka guzów i siniaków. Poza tym Jason był ze mną.

- Czy jego też potrącił samochód?

- W takim razie me było go przy tobie. Niech go tylko zobaczę, sam będzie miał parę guzów i siniaków.

- Ren, przestań się odgrażać. A poza tym to i tak bez znaczenia.

Zerwałam z nim.

Ren uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Dobrze Mimo to uważam, że powinien dostać nauczkę.

- Ale me od ciebie. Za to, że jesteś takt nieznośny, ja dziś wybieram film. I mam zamiar wybrać najbardziej dziewczynski, jaki znajde.

Ren stęknął, mruknął coś pod nosem i dalej jadł naleśniki.

Chociaż pomógł mi posprzątać po śniadaniu, me miałam zamiaru mu odpuszczać.

Wsunęłam płytę z filmem do odtwarzacza i z szerokim uśmiechem zasiadłam na kanapie, czekając, aż Ren zacznie się

To zbrzmiały pierwsze takty *Dźwięków muzyki* Zachichotałam na myśl o tym, jak

Ren nacierpi się przez następne dwie godziny. Nic z tego Był zachwycony. Objął

mnie ramieniem i siedział wpatrzony w ekran, bawiąc się wstążką przy moim

warkoczu. Co jakiś czas nucił razem z bohaterami. W pewnym momencie zatrzymał

odtwarzacz, wstał i wyszedł. Po chwili wrócił z mandoliną i zaczął wygrywać nuty

*My Favorite Things*<sup>1</sup>. Jego instrument brzmiał bardziej, egzotycznie niż brzdąkanie gitary w filmie.

i *My Favorite Things* - szlagier z filmu *Dźwięki muzyki*.

- Jak pięknie! - zawołałam. - Kiedy nauczyłeś się grać?  
- Dawno temu, ale kiedy wyjechałaś, znów wyciągnąłem mandolinę. Zawsze miałem dobry słuch. Matka często prosiła mnie, żebym dla niej grał.  
- Ale jakim cudem od razu potrafiłeś powtórzyć tę piosenkę? Słyszałeś ją już kiedyś?

- Nie. Po prostu umiem rozpoznawać nuty.

Znów zaczął grać piosenkę z filmu, która już wkrótce przeobraziła się w jakąś nieznaną mi, smutną, lecz piękną melodię. Zamknęłam oczy, odchyliłam głowę do tyłu i poczułam, jak muzyka zabiera mnie w niezwykłą podróż. Początek był poważny, melancholijny i tęskny, ale wkrótce rozbrzmiały tkliwe, pełne nadziei dźwięki. Zdawało mi się, że serce bije mi w rytm melodii. Zalała mnie fala wzruszenia. Piosenka opowiadała swoją historię, a jej końcówka sprawiła, że poczułam dojmujący smutek. Zapadła cisza.

Otworzyłam oczy.

- Co to było? Nigdy nie słyszałam niczego podobnego. Ren westchnął i ostrożnie odłożył mandolinę na stolik.

- Napisałem to, kiedy wyjechałaś.

- Ty to napisałeś!?

- Tak. Ta piosenka nosi tytuł *Kekey* i jest o tobie... o nas.

- Dlaczego się smutno skończyła? Ren przecesał palcami włosy.

- Tak się czułem, kiedy wyjechałaś.

- Och. Ale przecież nasza historia jeszcze nie dobiegła końca, prawda? -

Przysunęłam się i objęłam go.

Ren przytulił mnie, wtulił twarz w moją szyję, wyszeptał moje imię i powiedział:

- Nie. Na pewno nie.

Odgarnęłam mu włosy z czoła i powiedziałam cicho:

- Melodia jest piękna, Ren.

Siedzieliśmy przytuleni. Serce biło mi coraz szybciej. Spojrzałam w jego błękitne oczy, a potem przesunęłam wzrok na idealnie wykrojone usta. Pragnęłam, żeby mnie pocałował. Nachylił się w moją stronę, ale w ostatniej chwili znieruchomiał. Przyjrzał mi się, uniósł brew i odwrócił głowę.

- O co chodzi? - spytałam.

Ren westchnął i zatknął mi kosmyk włosów za ucho.

- Nie mam zamiaru cię całować, dopóki nie podejmiesz decyzji. Chcę, żebyś myślała trzeźwo, kiedy będziesz wybierać, a wiem, że

gdy tylko cię dotknę, od razu miękna ci kolana. Nie mam zamiaru tego wykorzystywać. Trudno dotrzymać obietnicy złożonej w chwili namiętności, a ja nie chcę, żebyś, wybrawszy życie ze mną, czegokolwiek żałowała.

— Poczekaj — wysapałam z niedowierzaniem. — Czy ja dobrze zrozumiałam? Nie pocałujesz mnie, bo uważasz, że nie potrafię wtedy jasno myśleć? Że omdlewając z rozkoszy w twoich ramionach, nie podejmę świadomej decyzji?

Ren z lekkim wahaniem pokiwał głową.

— Czy to wszystko wynik twoich studiów nad historią zalotów? A czy wiesz, że wiele z tego, co tam wyczytałeś, to przestarzałe brednie?

- Wiem, Kelsey. — Przeczesał palcami włosy. - Po prostu w żaden sposób nie chcę wywierać na tobie presji.

Rozzłoszczona zeskoczyłam z kanapy i zaczęłam chodzić w kółko.

- To największy nonsens, jaki słyszałam w życiu! - oznajmiłam, po czym udałam się do kuchni po coś do picia. W tym momencie uświadomiłam sobie, że niestety Ren ma rację. Rzeczywiście za każdym razem, gdy mnie dotykał, miękły mi kolana.

Nagle poczułam się jak pionek na planszy podczas turnieju gier w domu babci Zhi.

Cóż, zobaczymy, czy z niego mocny przeciwnik. Postanowiłam przypuścić atak.

Skoro toczy się wojna o moje uczucia, czemu sama nie miałabym wziąć w niej udziału? My, kobiety, mamy w końcu swoje sposoby, myślałam, planując strategię.

Postanowiłam sprawdzić siłę jego woli. Zmuszę go, żeby mnie pocałował.

Natychmiast wcieliłam swoje zamiary w czyn. Gdy znów usiedliśmy przed ekranem, położyłam mu głowę na ramieniu, tak, że moje usta znalazły się zaledwie kilka centymetrów od jego warg, i delikatnie, okrężnymi ruchami gładziłam palcem wierzch jego dłoni. Moja natarczywość zbiła go z tropu. Wiercił się i raz po raz zmieniał pozycję, ale się nie odsunął.

Gdy film się skończył, Ren zerwał się z miejsca i oświadczył, że to koniec randki.

I kto teraz ma władzę? Musnęłam palcami jego muskularne ramię i wydełam usta, nadąsana.

- Tak krótko każdego dnia możesz być człowiekiem. Nie chcesz spędzić tego czasu ze mną?

Dotknął mojej twarzy.

— Pragnę tego bardziej niż powietrza.

Na dźwięk tego wyznania nogi same się pode mną ugięły. Osunęłam się w jego ramiona, ale on tylko delikatnie mną potrząsnął i powiedział:

— Nie pocałuję cię, Kelsey. Chcę, żebyś w stu procentach zdawała sobie sprawę z tego, czego naprawdę pragniesz. Oczywiście jeśli ty zechcesz mnie pocałować, nie będę się opierał.

Odepchnęłam go, nachmurzona.

— Ha! Na to nie licz. — Położyłam zaciśnięte w pięści dłonie na jego biodrach. — To musi być szok dla faceta, który zawsze dostaje to, czego chce — zauważyłam z przekąsem.

Ren przytulił mnie do piersi, a jego usta znalazły się zaledwie parę centymetrów od moich.

— Jeszcze nie dostałem... tego... czego chcę najbardziej.

Na chwilę zamarł, czekając na mój ruch. Nic z tego. Uśmiechnęłam się szeroko.

Najwyraźniej żadne z nas nie zamierzało się poddać. W końcu Ren się odsunął.

— Jesteś dla mnie zbyt dużą pokusą, Kelsey. Koniec randki. Nagle zrozumiałam, że nic w świecie nie jest dla mnie tak ważne jak wygranie tej bitwy z Renem.

Przysunęłam się bliżej, niewinnie zatrzepotałam rękami i najbardziej uwodzicielsko-niewinnym tonem, na jaki było mnie stać, zapytałam:

— Czy jesteś absolutnie pewien, że chcesz już iść?

Poczułam, jak przyspiesza mu puls i napinają się mięśnie. Dotknął mojego policzka. Z nadzieją, że wreszcie go sprowokuję, delikatnie pocałowałam wewnątrz jego dłoni. Gdy moje usta musnęły jego skórę, usłyszałam, jak wstrzymuje oddech. Nie miałam pojęcia, że tak na niego działałam. To będzie prostsze, niż mi się zdawało.

Lekko ścisnęłam go za ramię i ruszyłam w stronę schodów. Cały czas czułam na sobie jego spojrzenie. Odwróciłam się po raz ostatni i tonem godnym Scarlett O'Hary powiedziałam:

— Cóż... tygrysie. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać. — Lekko przesunęłam palcami po balustradzie i weszłam na górę.

Niestety, nie poszedł za mną. Wyobraziłam go sobie w roli Rhetta Butlera, który nie zdolawszy przewyciężyć swoich pragnień, porywa mnie w ramiona i niesie na górę. Ale Ren spojrzał tylko z rozbawieniem i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

A niech to! Panuje nad sobą lepiej, niż przewidywałam.

Nie zraziłam się. Resztę dnia spędziłam, planując kolejne posunięcie. Jak zaskoczyć starego, czujnego tygrysa? Trzeba wykorzystać jego

słabości: zamiłowanie do jedzenia, wrażliwość na kobiece wdzięki, zainteresowanie poezją i nadopiekuńczość. Biedak nie ma ze mną szans.

Następnego ranka otworzyłam zakazaną część szafy i wyciągnęłam z niej granatowy rozpinany sweterek, kolorową spódniczkę, wąski pasek oraz parę brązowych kozaków. Wyprostowałam włosy i spędziłam sporo czasu przed lustrem, robiąc makijaż i szczególnie uważnie malując usta brzoskwińowym błyszcznikiem. Następnie przygotowałam mu wielką, smaczną kanapkę i wsunęłam do mej liścik miłosny. Poezja to gra dla dwojga, pomyślałam z przekąsem.

*Dusza, co z oczu wyziera, może całować spojrzeniem.*

*Gustavo Adolfo Bécquer*

Kiedy Ben przyszedł, żeby zabrać mnie na zajęcia, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i powiedział:

- Wyglądasz pięknie, Kelsey, ale to me zadziała. Podał mi płaszcz, a ja stwierdziłam niewinnie:

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Chcesz, żebym cię pocałował. Uśmiechnęłam się i powiedziałam skromnie:

- Dziewczyna nie powinna zdradzać wszystkich swoich sekretów, nie sądzisz?

Ren nachylił się, przycisnął usta do mojego ucha i aksamitnym głosem wyszeptał:

- W porządku, Kells. Zachowaj swoje sekrety. Cokolwiek chcesz osiągnąć, nie uda ci się. Ja też mam parę asów w rękawie.

Ignorował mnie przez całe popołudnie. Kiedy wysiadał z samochodu przed treningiem wushu, wetknęłam mu do torby kolejną karteczkę.

*Razem w dusz i warg złączeniu<sup>1</sup>.*

*Percy Bysshe Shelley*

Rozciągałam się właśnie na podłodze, gdy dostrzegłam, jak wyjmuję liścik z torby. Przeczytał go kilka razy, a potem popatrzył na mnie. Odwzajemniłam spojrzenie, uśmiechnęłam się

1 P.B. Shelley, *Prometeusz wyzwolony*, tłum. L. Elektorowicz, Kraków u)82, s. 167.



niewinnie, po czym pomachałam wesoło Jennifer, która właśnie weszła na salę. Po treningu wróciliśmy razem do domu. Gdy zaparkowaliśmy w garażu, Ren otworzył przede mną drzwi samochodu, ale zamiast pomóc mi wysiąść, nachylił się, mrużąc miękko. Jego usta musnęły wrażliwą skórę za moim uchem.

— Ostrzegam cię, Kelsey — powiedział uwodzicielskim, niebezpiecznym tonem.

— Jestem wyjątkowo cierpliwym człowiekiem. Życie w skórze tygrysa nauczyło mnie, że upór i pracowitość zawsze się opłacają. Ostrzegam cię, *prijatama*.

Rozpocząłem polowanie, złapałem twój trop i nic mnie z niego nie zwiedzie.

Cofnął się i wyciągnął rękę. Nie przyjąłem jej i wysiadłam sama. Ruszyłam w stronę drzwi, sztywno wyprostowana i na drżących nogach. Usłyszałam jego cichy śmiech, a potem Ren zniknął w swojej części domu.

Doprowadzał mnie do szału. Miałam ochotę staranować drzwi i rzucić mu się w objęcia, ale twardo postanowiłam, że nie dam za wygraną. Sprawię, że to on przyjdzie do mnie. Jeszcze będzie mnie błagał o litość.

Wkrótce uświadomiłam sobie, że zaangażowana w rozgrywkę z Renem, niemal zupełnie zapomniałam o Li. Nawet podczas rozmów z nim myślałam tylko o tym, jak uwieść Rena. Przy tym nie umiałam się zbyt dobrze maskować i Li wkrótce zauważył, że coś jest nie tak.

— Halo, ziemia do Kelsey. Może byś wreszcie zwróciła na mnie uwagę? — powiedział lekko rozdrażniony pewnego wieczoru, kiedy oglądaliśmy jeden z jego ulubionych filmów.

— Słucham?

— Kelsey, od tygodnia jesteś jakaś nieobecna.

— No wiesz... Skończyły się ferie, ciągle myślę o zadaniach domowych.

— Wiem, że nie chodzi o naukę, Kelsey. Chodzi o niego. Natychmiast dopadło mnie poczucie winy. Li nie zasłużył sobie na takie traktowanie.

— Wybacz, I<sup>^</sup>i. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że cię ignoruję. Masz całkowitą rację. Słucham cię, powiedz mi jeszcze raz, czemu ten film to klasyk.

Li przez chwilę bacznie mi się przyglądał, po czym zaczął opowiadać o *Wężu i cieniu orła*, filmie z Jackie Chanem. Naprawdę mnie zaciekał i najwyraźniej go to uspokoiło.

Reszta wieczoru upłynęła miło, ale ja nadal miałam wyrzuty sumienia. Nie poświęcałam Li uwagi, na którą zasługiwał. Co gorsza, przez cały czas żałowałam, że Ren nie ogląda filmu razem z nami.

Gdy późnym wieczorem wróciłam do domu, przykleiłam karteczkę po jego stronie drzwi łączących nasze mieszkania.

*Kiedyś całą*

*Duszę spił z moich ust tak śmiało Jak słońce rosę, kiedy dniało.*

*Alfred Tennyson*

Minęły trzy tygodnie, a Ren wciąż mnie nie pocałował. Powoli zaczynałam kapitulować. Spróbowałam wszystkiego, co tylko przyszło mi do głowy. Przy okazji stałam się posiadaczką całej kolekcji szminek oraz błyszczaków i wypróbowałam każdą sztukę. Na próżno.

Na wushu Ren wyciągnął z torby kolejny liścik, przeczytał go i spojrzał na mnie z uniesioną brwią. Nic dziwnego - była to moja ostatnia i najbardziej desperacka próba.

*Pocałuj mnie raz, dziesięć - mogę przysiąc, Że będzie pocałunków sto i tysiąc.*

*Tysiąc przez drugi tysiąc wnet pomnożę [ milion ich na twoich ustach złożę. A gdy rachubę stracisz, moja głowa W tym, by całować zacząć cię od nowa.*

*Robert Herrick*

Ren nic mi nie powiedział, przewiercił mnie tylko płomiennym spojrzeniem.

Odwzajemniłam je śmiało i poczułam, jak iskrzy łącząca nas więź, która paliła gorącem, mimo że dzieliła nas cała sala. Nie mogłam oderwać od niego oczu. On zdawał się mieć dokładnie ten sam problem.

Nagle Li ogłosił, że zaczynamy ćwiczyć rzuty, których unikał od czasu pierwszego spotkania z Renem. Tego dnia mieli

zademonstrować je razem. Li polecił nam usiąść pod ścianą. Ren niechętnie oderwał ode mnie wzrok i stanął oko w oko z przeciwnikiem.

Dwaj rywale zaczęli krążyć wokół siebie. Li zaatakował pierwszy kopnięciem z półobrotu, które Ren odparł bez specjalnego wysiłku. Li przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i podciął Renowi kolano, jednocześnie atakując ciosem w pierś. Ren zrobił unik i zablokował uderzenie spodem dłoni. Li wyskoczył w górę, okręcił się w powietrzu, oparł rękę o podłogę i zamachnął się nogą. Ren chwycił go za stopę i wykręcił ją, sprawiając, że Li runął na brzuch. Li przeturlał się gwałtownie, wstał i zaatakował serią ciosów, które Ren za każdym razem skutecznie blokował.

Li zrozumiał, że przegrywa. Udał, że uderza, złapał Rena za ramię i szarpnął do tyłu, żeby kopnąć go w twarz. Ren jednak zdołał zachwiał nim na tyle, że Li straciwszy równowagę, upadł na matę. Potężnym wyrzutem nóg w górę zerwał się z podłogi i po chwili przeciwnicy znów krążyli wokół siebie.

— Naprawdę chcesz to ciągnąć? — zapytał Ren. — Udowodniłeś już, że potrafisz walczyć.

— Nie chcę nic udowadniać. — Li uśmiechnął się złośliwie. — Chcę tylko, żebyś przestał gapić się na moją dziewczynę. — W tym momencie zaatakował Rena szybkim podwójnym ciosem w pierś.

Ren złapał go za nadgarstki i wykręcił je. Li krzyknął z bólu i zrobił krok w tył, by spróbować kopnięcia w twarz. Ren złapał go za piętę.

— Ona jeszcze nie zdecydowała, czyją jest dziewczyną. — Rzucił Li o ziemię tak, że ten nakrył się nogami. — Ale gdybym miał się zakładać, nie dałbym ci zbyt wielkich szans.

Wydałam z siebie zduszony okrzyk gniewu i upokorzenia. Ren obrócił się i spojrzał na mnie. Li wykorzystał okazję, chwycił go od tyłu za ręce i wykręcił je w górę, co unieruchomiłoby większość przeciwników. Ren jednak momentalnie rozpedził się i podczas gdy Li wciąż trzymał go za ramiona, odbił się od ściany, przeleciał nad nim saltem i wylądował na macie. Kiedy jego stopy dotknęły podłoża, skrzył nadgarstki, powodując, że to łokcie Li były teraz skierowane w *górze*, a on sam dyszał z bólu.

Ren natychmiast puścił przeciwnika, a wtedy Li obrócił się i znów spróbował podciąć mu nogi, ten jednak w ostatnim momencie podskoczył, unikając ciosu, i przygwoździł rywalą do ziemi.

Jennifer rzuciła mi nerwowe spojrzenie i złapała mnie za rękę. Li był wściekły. Otarł usta i splunął na podłogę.

- Pozwól, że sam będę się martwił o swoje szanse. - Obrócił się i kopnął Rena w klatkę piersiową. Siła kopnięcia sprawiła, że obydwaj cofnęli się o kilka kroków.

- Ja przynajmniej nie poddałem się i nie pozwoliłem jej odejść - stwierdził zaczepnie Li.

W tym momencie walka nabrała takiego tempa, że nie potrafiłam już rozróżnić poszczególnych ruchów. W pewnej chwili Ren wziął rozbieg, skoczył, wykonał podwójne salto w powietrzu, a gdy znalazł się nad przeciwnikiem, położył mu ręce na ramionach i popchnął tak mocno, że tamten padł plackiem na matę. Wszyscy zaczęli klaskać i wiwatować.

Ren przycisnął Li do ziemi, unieruchamiając go, po czym warknął cicho:

- Jeszcze nie, ale zrobisz to. Ona jest moja.

Gdy tylko Ren go puścił, Li zaczął zachowywać się jak rozwścieczony byk na korridzie i atakował już ze wszystkich stron. Oddychał przy tym ciężko i pot spływał mu po twarzy. Ren uwijał się coraz szybciej, ale Li i tak udało się wreszcie zadać mu kilka ciosów. Byłam przerażona. Bili się o mnie. P u b l i c z n i e. A jednak nie potrafiłam oderwać od nich oczu.

Li był godnym przeciwnikiem, mimo to od Rena dzieliła go przepaść. Prawie jakby poruszali się z dwiema różnymi prędkościami.

Patrzyłam, jak Ren walczy. Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku. Każdy jego ruch był zachwycający. Jak zahipnotyzowana podziwiałam jego siłę i niezwykłą precyzję. Był wspaniały. Wojownik

o sercu tygrysa. Jego zaborcze deklaracje, i to składane przy wszystkich, wprawiały mnie we wściekłość, ale równocześnie gwałtowność jego uczuć powodowała, że szybciej biło mi serce. Naprawdę był wojowniczym aniołem. Moim wojowniczym aniołem.

Po jakichś piętnastu minutach bezowocnej walki Li skapitulował i dysząc ciężko, ogłosił koniec zajęć.

Próbowałam z nim porozmawiać, ale on tylko machnął ręką i ukrył twarz w rękawiku.

Przez następny tydzień Li ani razu nie zadzwonił. Po piątkowym ireningu poprosił mnie o rozmowę, oświadczając Renowi, że odwiezie mnie do domu. Ren skinął głową i po cichu wyszedł z sali. Od czasu pamiętnej walki byli dla siebie dziwnie uprzejmi.

Li usiadł i poklepał matę obok siebie.

— Kelsey, chcę cię o coś zapytać i proszę, odpowiedz mi szczerze.

— Dobrze.

— Czemu odeszłaś od Rena? Drgnęłam, zakłopotana.

— Odeszłam bo... bo do siebie nie pasowaliśmy.

— Co przez to rozumiesz?

Po chwili milczenia odparłam:

— Było kilka powodów. Ale przede wszystkim... trudno to wyjaśnić. Po pierwsze: on jest zabójczo przystojny, a ja... żadna ze mnie piękność. Poza tym jest bogaty.

Pochodzi z królewskiej rodziny. Wychował się w innej kulturze i...

— Ale Kelsey, my też pochodzimy z dwóch różnych kultur, a jakoś ci to nie przeszkadza. Czyżby jego krewni cię nie lubili?

— To nie tak. Jego rodzice nie żyją, a brat mnie lubi. — Wykręciłam palce z zakłopotania. — Chyba przede wszystkim boję się tego, że któregoś dnia się obudzi i dotrze do niego, że nie jestem księżniczką z bajki. Obawiam się, że mogłabym go rozczarować. W końcu zostawiłby mnie dla kogoś innego, kogoś lepszego.

Li spojrział mi w oczy z niedowierzaniem.

— A więc chcesz mi powiedzieć, że zostawiłaś go, bo uważałaś, że jest dla ciebie za dobry?

— Właściwie tak. Gdyby się ze mną związał, wpadłby w pułapkę. Nie byłby szczęśliwy.

— A czy kiedykolwiek zachowywał się przy tobie jak nieszczęśliwy człowiek? — Nie.

Li pomyślał chwilę, po czym powiedział:

— Kelsey, nie masz pojęcia, jak ciężko mi to mówić, ale Ren zrobił na mnie wrażenie niezwykle rozważnego i troskliwego faceta. Gdy walczyliśmy, używałem wszystkich możliwych chwytów, a on prawie nie atakował. To jasne, że był ode mnie lepszy. Nigdy nie widziałem tak utalentowanego zawodnika. Zupełnie jakby uczył się od dawnych mistrzów.

To całkiem możliwe, pomyślałam.

— A jednak w czasie naszego pojedynku Ren chwilami przyjmował ciosy po to, żeby nie zrobić mi krzywdy. To dowodzi nie tylko jego niezwykłych umiejętności, ale i tego, że bezbłędnie przewidywał moje ruchy.

Wzruszyłam ramionami.

- To nic nowego, wiem, że potrafi walczyć.

- Nie, nie rozumiesz, o co mi chodzi. Wypracowanie takiej sprawności wymaga ogromnej dyscypliny wewnętrznej. Mógł roztrzaskać mnie o matę, a jednak tego nie zrobił. - Li roześmiał się gorzko. -Przez większość czasu nawet na mnie nie patrzył. Interesowałaś go tylko ty i twoje reakcje. Nie zwracał uwagi na człowieka, który próbował go zabić!

- Co chcesz przez to powiedzieć, Li?

- To, że facet jest w tobie desperacko zakochany. Ja to widzę i widzą to wszyscy inni. A jeśli i ty go kochasz, musisz mu o tym powiedzieć. To, czego się boisz, w ogóle mi do niego nie pasuje. Jak już mówiłem, to typ człowieka, który podejmuje stanowcze decyzje po to, żeby się ich trzymać. Nie wierzę, że ma nieszczerze zamiary.

- Ale...

Li wziął mnie za rękę i spojrzał mi w oczy.

- Kelsey. Dla niego liczysz się tylko ty. Wlepiłam wzrok we własne dłonie.

- A jeśli chodzi o te brednie, że nie jesteś dla niego wystarczająco dobra, to jest dokładnie odwrotnie. To on nie jest wystarczająco dobry dla ciebie.

- Tylko tak mówisz.

- Nieprawda. Jesteś niesamowita, urocza i śliczna. Jeśli dasz mu szansę, to będzie oznaczało, że jest wielkim szczęściarzem.

- Li, dlaczego mi to mówisz?

- Bo... naprawdę go polubiłem. Bo go szanuję. Bo widzę, że czujesz do niego znacznie więcej niż do mnie. Jesteś z nim szczęśliwsza.

- Z tobą też jestem szczęśliwa.

- Owszem, ale to nie to samo. Wracaj do niego, Kelsey. To jasne, że go kochasz. Powiedz mu to. Daj mu szansę. - Li zachichotał złośliwie i dodał: - Ale pamiętaj, żeby mu również przypomnieć, że z nas dwóch to ja wykazałem się szlachetnością i ustąpiłem pola jak dżentelmen. - Powiedziawszy to, uściskał mnie mocno. - Będę za lubą tęsknił, Kelsey.

Nagle wszystko się zmieniło, jakby zapaliła mi się w głowie jakaś żarówka. Nadszedł czas, by pozwolić Li odejść. Nie miałam prawa dłużej go tak traktować. Moje serce nigdy nie należało do niego. W głębi duszy wiedziałam o tym już od jakiegoś czasu. Podpierałam się na nim dotąd jak na kulach. Nasza relacja stała się wymówką, pozwalającą mi zyskać na czasie, zanim stawię czoła uczuciom do Rena. Niezależnie od

tego, czy będę z Renem, czy nie, wiedziałam, że muszę skończyć z Li. Wzruszona, odwzajemniłam uścisk.

— Ja też będę za tobą tęskniła. Byłeś dla mnie taki dobry. Nie zapomnę cię.

Podziękuj chłopakom za to, że nauczyli mnie grać.

— Jasne. Chodź. — Wstał, pomógł mi się podnieść i delikatnie pocałował mnie w policzek. — Odwiozę cię do domu. Aha, Kelsey...

-Tak?

— Gdyby on naprawdę kiedyś cię skrzywdził, powiedz mu, że będzie miał ze mną do czynienia.

Zaśmiałam się prawie przez łzy.

— Przepraszam cię za wszystko, Li. Wzruszył ramionami.

— Było warto. Poza tym coś mi się zdaje, że gdybym postawił ci ultimatum, kiedy tylko Ren się pojawił, i tak wybrałabyś jego. A tak przynajmniej spędziłem z tobą trochę więcej czasu.

— Ale to nie było w porządku wobec ciebie.

— Czy ktoś nie powiedział kiedyś, że w miłości jak na wojnie, wszystkie chwytaki są dozwolone? W tym przypadku mieliśmy do czynienia z odrobiną miłości i odrobiną wojny. Jeśli chodzi o mnie, to niczego nie żałuję.

Ścisnęłam jego rękę obiema dłońmi.

— Kobieta, z którą się kiedyś zwiążesz, będzie wielką szczęściarą. I mam nadzieję, że to „kiedyś” nadejdzie już niedługo.

— Gdyby się przypadkiem okazało, że masz siostrę bliźniaczkę, przyślij ją do mnie. Roześmiałam się, chociaż właściwie chciało mi się płakać.

Li odwiózł mnie do domu. Jechaliśmy w milczeniu, a ja myślałam

o tym, co powiedział. Miał rację. Ren rzeczywiście był troskliwy i rozważny. Miał całe wieki na zastanawianie się, czego w życiu pragnie.

i z jakiegoś powodu pragnął właśnie mnie. W głębi duszy wiedziałam, że mnie kocha i nigdy by mnie nie zostawił. Wiedziałam też, że gdyby nawet pokochał kogoś innego, i tak zawsze by mnie wspierał.

Moje uczucia do niego nigdy nie ulegały wątpliwości. Li miał rację. Powinnam mu powiedzieć, że dokonałam wyboru. Od kilku tygodni usilnie starałam się go uwieść, a teraz, gdy wreszcie miałam dostać to, czego chciałam... denerwowałam się.

Zaczęłam się wahać. Nagle poczułam się krucha i niepewna. W głowie jedna myśl goniła drugą. Co mam mu powiedzieć?

Li zatrzymał się przed domem, pomógł mi wysiąść i jeszcze raz powtórzył:

— Powiedz mi, Kelsey. - Uściskał mnie szybko i odjechał. Mijały minuty, a ja stałam przed drzwiami, usiłując znaleźć właściwe słowa.

Drzwi się otworzyły i ujrzałam Rena. Był boso, ubrany w podkoszulek oraz białe spodnie. Z powagą spojrzał mi w twarz i westchnął smutno.

— Co masz mi powiedzieć, Kells? Zachrypniętym, sztucznym głosem zapytałam:

— Słyszałeś?

— Owszem. - Na jego twarzy malowało się napięcie. Nagle zrozumiałam: myślał, że wybrałam Li.

Ren przeczesał włosy palcami.

— Co chciałaś mi powiedzieć?

— Że podjęłam decyzję.

— Tak myślałam.

Wyciągnęłam ręce i objęłam go za szyję, ale on tkwił sztywno w miejscu, nie poruszył się. Stałam na palcach, żeby znaleźć się bliżej jego twarzy.

Ren westchnął, objął mnie i unióśł. Przycisnął mnie do twardej jak skała piersi.

Moje stopy uniosły się kilka centymetrów nad ziemię.

— Wybieram ciebie - wyszeptałam mu do ucha.

Ren znieruchomiał, a potem odchylił głowę, żeby spojrzeć mi w oczy.

— A więc Li...

— Już się nie liczy.

Ren błysnął promiennym uśmiechem, który rozświetlił ciemną noc.

— W takim razie my...

— Możemy być razem.

Przyciągnęłam go do siebie i delikatnie pocałowałam. W pierwszej chwili odsunął się i spojrzał na mnie z zaskoczeniem, ale już po chwili odwzajemnił pocałunek. Ten jednak nie był delikatny i niewinny, lecz płomienny, zniewalający.

Istnieją różne rodzaje pocałunków. Namiętny na pożegnanie -w ten sposób Rhett całował Scarlett, gdy jechał na wojnę. Pocałunek niespełnionej miłości - jak między Supermanem i Lois Lane. Pierwszy niewinny pocałunek - zawsze delikatny, ciepły i pełen niepewności. Jeszcze inaczej całują się ludzie, którzy są dla siebie stworzeni, należą do siebie nawzajem - tak właśnie całował mnie Ren. W jego pocałunku było coś więcej niż namiętność czy pożądanie.



Były w nim tęsknota, pragnienie i miłość, ale też mnóstwo obietnic, niektóre łagodne i czułe, inne zaś podniecające i niebezpieczne. Ren brał mnie w posiadanie. Chwył mnie gwałtownie jak tygrys swoją ofiarę. Nie było ucieczki. Nie chciałam uciekać. Z radością zginęłabym w jego pazurach.

Należałam do niego. Chciał mieć pewność, że o tym wiem. W moim sercu rozkwitły tysiące tygrysiich lilii. Byliśmy dla siebie stworzeni. O niczym w życiu nie byłam tak przekonana.

W końcu uniósł głowę i wymruczał prosto w moje usta:

— Najwyższy czas, kobieto.

Ren pocałował mnie, wziął na ręce, zaniósł do domu i jednym kopnięciem zamknął za nami drzwi, ani na chwilę nie odrywając ust od moich. W końcu dostałam swego Rhetta Butlera. Ren usiadł w fotelu, wziął mnie na kolana, chwycił pled i mnie nim owinął.

Całował mnie wszędzie — we włosy, w szyję, w czoło i policzki, ale zawsze wracał do ust, jakby były dla niego centrum wszechświata. Westchnęłam miękko i poddałam się lawinie jego pocałunków -upajających, delikatnych, zmysłowych, tych, które trwały zaledwie sekundę, i tych ciągnących się w nieskończoność. Łatwo było sobie wyobrazić, że mój wojowniczy anioł unosi mnie prosto do nieba. Z jego piersi dobiegł głęboki pomruk.

Odsunęłam się ze śmiechem.

- Czy ty na mnie warczysz?

Ren zaśmiał się cicho, obracając w palcach wstążkę, którą pociągnął lekko, rozluźniając mój warkocz. Ugryzł mnie delikatnie w ucho i wyszeptał:

- Przez trzy tygodnie doprowadzałaś mnie do szaleństwa. Masz szczęście, że tylko warczę.

- Czy to znaczy, że teraz będziesz tu spędzał więcej czasu?

- Każdą minutę — wymruczał w moją szyję.

- Och... wpadałaś tak rzadko. Myślałam, że nie chcesz mnie widywać.

Ujął mnie pod brodę i odwrócił moją twarz ku swojej.

- Nigdy, przenigdy nie unikałbym cię specjalnie - oświadczył, muskając palcami moją szyję i obojczyk.

Nie dałam się zdekoncentrować.

- Ale przecież nie chciałeś przychodzić.

- Nie chciałem wywierać na tobie presji, więc się nie narzucałem, ale zawsze byłem w pobliżu, słyszałem cię cały czas. - Wtulił twarz w moje włosy i westchnął. - A twój zapach... brzoskwinie ze śmietanką... doprowadzał mnie do szału. Mimo to postanowiłem, że będę cię widywał tylko wtedy, gdy umówisz się ze mną na randkę! Kiedy zaczęłaś mnie uwodzić, myślałem, że zwariuję.

- Aha! Więc jednak mi się udało!

- To był najstraszniejszy rodzaj *pralobhana*, pokusy. Gdybym uległ, miałbym cię przez chwilę, ale potem mógłbym cię stracić na zawsze.

Dziwna sprawa. Teraz, kiedy już przyznałam głośno, że chcę z mm być, nie czułam niepewności czy wahania. Czułam się... wyzwolona. Radosna. Obsypałam pocałunkami jego policzki, czoło, nos i rzeźbione usta. Obrysowałam palcami owal jego twarzy. Jego' piękne błękitne oczy tonęły w moich brązowych. Uśmiechnął się tak, że serce zaczęło mi bić jak szalone, bo wiedziałam, że ten idealny mężczyzna należy do mnie.

Odgarnęłam mu włosy z czoła i cicho powiedziałam:

- Kocham cię, Ren. Zawsze cię kochałam.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Mocno mnie przytulił i wyszeptał moje imię.

- To ja ciebie kocham, *kamana*. Gdybym wiedział, że po setkach lat niewoli to ty będziesz moją nagrodą, przetrwałbym je, wdzięczny moim prześladowcom.

- Co znaczy słowo *kamana*?

- To cudowny dar, którego pożąda się ponad wszystko inne.

- Hmm. - Przyłożyłam usta do jego szyi, wdychając ciepły sandałowy zapach. — Ren?

- Tak? - spytał, okręcając wokół palców pasma moich włosów.

- Przykro mi, że byłam taką idiotką. To wszystko moja wina. Zmarnowałam tyle czasu. Wybaczysz mi?

Jego palce znieruchomiały, zaplątane w moje loki.

- Nie masz mnie za co przeproszać. Zbyt szybko się pośpieszyłem. Powinienem być już w Indiach starać się o ciebie jak należy. Nie używałem właściwych słów.

- Ależ nie, wierz mi, były właściwe. Po prostu ja nie byłam gotowa na to, żeby je usłyszeć i żeby w nie uwierzyć.

— Powinienem był wiedzieć, że pośpiech jest złym doradcą. Nie byłem wystarczająco cierpliwy, a niecierpliwy tygrys nie je kolacji. Parsknęłam śmiechem.

— Czy wiesz, że poczułem coś do ciebie, jeszcze zanim dowiedziałaś się, że jestem człowiekiem? Pamiętasz, jak pewnego wieczoru biegałem gorączkowo po arenie podczas spektaklu?

— Owszem.

— Myślałem, że wyjechałaś. Słyszałem, jak Matt mówił ojcu, że jedna z dziewcząt zrezygnowała z pracy. Uznałem, że chodzi o ciebie. Musiałem się dowiedzieć, czy nadal tam jesteś. Tamtego dnia nie przyszłaś mnie odwiedzić. Byłem przygnębiony i niespokojny. Nie potrafiłem nad sobą zapanować, zanim nie ujrzałem cię na widowni.

— Ale teraz już jestem przy tobie i nie zostawię cię, tygrysie. Zamruczał, przytulił mnie i żartobliwie zagroził:

— Tylko spróbuj. Już nigdy nie spuszczę cię z oka. A teraz porozmawiajmy o tych wszystkich wierszach, które od ciebie dostałem... Sądzę, że część z nich należy dogłębnie przeanalizować.

— Bez dwóch zdań.

Pocałował mnie delikatnie. Ujął moją twarz w dłonie. Serce wywinęło mi fikołka. Pocałowawszy kąciki moich ust, westchnął głęboko. Siedzieliśmy tak, przytuleni, aż skończył mu się czas.

\*\*\*

Następnego wieczoru przygotowałam Renowi wyjątkową kolację. Kiedy słynne nadziewane conchiglie według przepisu mojej mamy były już gotowe, Ren nałożył sobie na talerz ogromną porcję i zaczął zajadać z zadowoleniem.

— To jedna z najlepszych rzeczy, jakie w życiu jadłem, *ćittaharini*. Przegrywa tylko z masłem orzechowym.

— Cieszę się, że ci smakuje, to przepis mojej mamy. Hej, jeszcze mi nie mówiłeś, co znaczy *ćittaharini*.

Ren ucałował moje palce.

— *Cittaliarini* znaczy: fascynująca.

— A *iadala*?

— Ktoś najdroższy memu sercu.

— W takim razie i ty jesteś dla mnie *iadala*. Jak się mówi „kociłam cię”?

— *Mudźhe tumse pjar hai*.

— A „jestem zakochana”?

Ren roześmiał się.

— Jesteś albo *anurakta*, czyli bardzo do kogoś przywiązana, albo *kamart*, co oznacza młodą kobietę odurzoną miłością. Wolałbym, żebyś wybrała to drugie.

Uśmiechnęłam się z przekąsem.

— W to nie wątpię. Zapewne chciałbyś, by wszyscy uważali, że umieram z miłości do ciebie. Jak się mówi „mój chłopak jest przystojny”?

— *Mera sakha sundar hai.*

Otarłam usta chusteczką i spytałam, czy pomoże mi z deserem. Ren zerwał się, pomógł mi wstać od stołu, odsuwając krzesło, i poszedł za mną do kuchni. Cały czas czułam jego bliskość, ponieważ wynajdywał coraz to nowe okazje, żeby mnie dotykać. Kiedy mijał mnie, by odstawić cukier do szafki, muskał moje ramię. Sięgając po wanilię, wtulał nos w moją szyję. W końcu wszystko zaczęło lecieć mi z rąk.

— Ren, rozpraszasz mnie. Daj mi trochę przestrzeni, bo nigdy nie skończę mieszać ciasta.

Spełnił moją prośbę, ale i tak stał na tyle blisko, że ocierałam się o niego za każdym razem, gdy odstawiałam na miejsce kolejne składniki. Uformowałam ciasteczka, ułożyłam je na blasze i oznajmiłam:

— Będą gotowe za piętnaście minut.

Ren chwycił mnie za ramię i mocno przytulił. Ani się obejrzałam, kiedy rozdzwonił się minutnik, a ja aż podskoczyłam. Okazało się, że siedzę na kuchennym blacie i tonę w namiętym uścisku. Rękę miałam zaplątaną w jego jedwabistych lokach, prawdopodobnie po to, żeby przechylić jego głowę nieco na bok, druga zaś tłam-siła materiał markowej koszuli, przed chwilą jeszcze świeżo wyprasowanej, teraz zaś niemożliwie pomiętej. Oszołomiona, rozluźniłam uścisk i wyjąkałam:

— Przepraszam za tę koszulę.

Złapał mnie za rękę, pocałował w spód dłoni i uśmiechnął się łobuzersko.

— W ogóle mi jej nie żal.

Odepchnęłam go i zeskoczyłam z blatu. Położyłam mu palec na piersi i oznajmiłam:

— Jesteś niebezpieczny, kolego. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— To nie moja wina, że tak na ciebie działałam.

Spojrzałam na niego groźnie, ale on w ogóle się nie przejął, niezwykle zadowolony z siebie. Wyjęłam ciasteczka z piekarnika i odwróciłam się, żeby wyciągnąć z lodówki mleko. W tym czasie Ren zdążył już pożreć jedno gorące ciastko i właśnie zabierał się do drugiego.

Przełknąwszy, zawołał:

— Pyszne! Co to?

— Ciasteczka czekoladowe z dodatkiem masła orzechowego.

— To druga najlepsza rzecz, jaką w życiu jadłem. Roześmiałam się.

— To samo mówiłeś przy kolacji.

— Właśnie uzupełniłem listę.

— No i co jest teraz na pierwszym miejscu? Nadal naleśniki z masłem orzechowym?

— Nie. Ty. Ale naleśniki zaraz za tobą. — Po chwili milczenia dodał: — Mój czas minął, Kells.

Poczułam, jak jego ramię przeszywa lekki dreszcz. Postawił mnie na podłodze, jeszcze raz delikatnie pocałował i zmienił się w tygrysa.

Ruszył w kierunku schodów, w kilku susach znalazł się na górze i wszedł do mojej sypialni, gdzie ułożył się wygodnie na dywaniku obok łóżka.

W łazience przebrałam się w piżamę, umyłam zęby, a potem uklękłam obok niego na podłodze. Objęłam go za szyję i szepnęłam:

— *Mudzhe tumse pjar hai*, Ren.

Biały tygrys zaczął mruczeć, a ja sięgnęłam po koc. Nie widziałam Rena w tej postaci od dnia, gdy zjawił się w moim domu w Roże Narodzenie. Tęskniłam za nim. Objęłam go, głaszcząc miękkie futro. Położyłam głowę na puchatych tygrysiach łapach jak na poduszce i zapadłam w sen. Po raz pierwszy odkąd opuściłam Indie, ogarnął mnie spokój.

W sobotę obudziłam się przytulona do pluszowej zabawki. Ren siedział okrakiem na odwróconym tyłem krześle i przyglądał mi się z brodą wspartą na dłoniach.

Jęknęłam i schowałam głowę pod koc.

Ren podniósł pluszowego tygrysa i parsknął śmiechem.

— Dzień dobry, śpiąca królewno. Skoro tak bardzo chciałaś spędzić noc z tygrysem, wystarczyło poprosić. Kiedy go kupiłaś?

— Zaraz po powrocie z Indii. Uśmiechnął się szeroko.

— A więc tęskniłaś za mną? Westchnęłam.

— Jak ryba za wodą — odparłam z uśmiechem.

Ren ukląkł obok łóżka i odgarnął mi włosy z twarzy.

— Mówiłem ci już, że rano jesteś najpiękniejsza? Roześmiałam się.

— No co ty. Rozczochrana i w piżamie?

— Lubię patrzeć, jak się budzisz. Wzdychasz, potem zaczynasz się wiercić, przewracasz się z boku na bok i zazwyczaj mamrociesz coś o mnie pod nosem. Podparłam się na łokciu.

— A więc gadam przez sen? Głupio mi, nie wiedziałam.

— Ale mnie się to podoba. Potem otwierasz oczy i uśmiechasz się do mnie, nawet jeśli jestem tygrysem.

— A kto by się nie uśmiechnął, ujrawszy cię po przebudzeniu? To jak obudzić się w świąteczny poranek i zobaczyć przy łóżku najlepszy prezent na świecie.

Ren roześmiał się i pocałował mnie w policzek.

— Chcę dziś zobaczyć Silver Falls, więc lepiej wstań, leniu. Poczekam na dole.

Po drodze do parku zatrzymaliśmy się w Salem, w malutkim przydrożnym barze White'a, który działał tam od kilkadziesiąt lat. Ren zamówił specjalność zakładu pod nazwą Wielki Bałagan: smażone ziemniaki z cebulą, jajka, kiełbaski, bekon i sos, a wszystko zmieszane razem. Nigdy wcześniej nie widziałam kogoś, kto zjadłby to danie do końca, ale Ren pochłonął całą porcję, a potem jeszcze ukradł mi z talerza grzanekę.

— Masz niezły apetyt — zauważyłam. — Czy ty w ogóle coś jadałeś, odkąd przyjechałeś?

Ren wzruszył ramionami.

— Pan Kadam zamawia dla mnie jedzenie ze sklepu, ale jedyne, co sam umiem przyrządzić, to popcorn i kanapki.

— Trzeba było mi powiedzieć. Częściej bym ci gotowała. Ren ujął moją dłoń i pocałował ją.

— Znam lepsze sposoby na spędzanie z tobą czasu. Krajobraz mijany w drodze do parku był przepiękny: droga, wzdłuż której znajdowały się szkółki leśne, wiodła w górę do lasu.

Podziwialiśmy wodospady South Falls, Winter Falls i Middle North Falls. W planie mieliśmy jeszcze trzy inne. Było zimno, a ja zapomniałam rękawiczek. Gdy tylko Ben to dostrzegł, wyciągnął

z kieszeni kurtki własną parę i założył mi ją na rękę. Były za duże, ale za to grube i ciepłe. Jego miły gest przypomniał mi koszmarną randkę z Artiem. Artie i Ren byli jak ziemia i niebo.

Dyskutowaliśmy właśnie o różnicach między indyjską dżunglą a lasami w Oregonie, gdy nagle zmieniłam temat:

— A więc przez ten cały czas, kiedy spotykałam się z Li, nie byłeś ani trochę zazdrosny?

— Oczywiście, że byłem, i to jak. Każdy facet, który do ciebie podchodzi, działa na mnie jak płachta na byka.

— Nie było tego po tobie widać.

— Szalałem z zazdrości. Nie byłem w stanie jasno myśleć. Kiedy ktoś inny się do ciebie zbliża, mam ochotę go rozszarpać. Nawet jeśli go lubię, tak jak Li. A zwłaszcza, jeśli go nie lubię, jak Jasona.

— Nie masz powodów do zazdrości.

— Teraz o tym wiem. Jason ustąpił mi pola, a Li winien jestem wdzięczność za to, że skłonił cię, żebyś wreszcie przyznała, co czujesz.

— Owszem, masz u niego dług. A tak przy okazji, Li powiedział, że jeśli kiedykolwiek mnie skrzywdzisz, rozprawi się z tobą.

Ren się uśmiechnął.

— To się nie wydarzy.

Przechodziliśmy właśnie przez polanę, gdy Ren podniósł głowę i zaczął węszyć.

— Co czujesz?

— Hmm. Niedźwiedzia, pumę, jelenia, kilka psów, mnóstwo wiewiórek, konie, ryby, wodę, rośliny, drzewa, kwiaty i ciebie.

— Nie przeszkadzają ci te wszystkie mocne zapachy?

— Nie. Z czasem nauczyłem się skupiać tylko na tym, co mnie interesuje, to samo jest ze słuchem. Jeśli się skoncentruję, słyszę setki małych stworzonek ryjących tunele pod ziemią, ale potrafię to ignorować.

Doszliśmy do Double Falls. Ren powiódł mnie na porośniętą mchem skałę, służącą jako punkt widokowy. Choć miałam na sobie płaszcz i rękawiczki, zadrżałam i zaszczękałam zębami. Ren natychmiast ściągnął swoją kurtkę i owinał mnie nią ciasno. Poczułam na twarzy dotyk jego jedwabistych loków, kiedy przytulił głowę do mojego policzka.

— Ten widok jest prawie tak piękny jak ty, *prija*. Jakie to szczęście, że nie musimy obawiać się kolczastych drzew ani małp- demonów.

Pocałowałam go w policzek.



— Jest jednak coś, czego mi brakuje, odkąd opuściliśmy Kiszkindę.

— Naprawdę? Co takiego? Niech zgadnę. Brakuje ci walki.

— Walka u twojego boku jest całkiem ciekawym zajęciem. Ale nie o to mi chodzi. Tam mogłeś przez cały czas być człowiekiem. Nie zrozum mnie źle. Uwielbiam Rena-tygrysa, ale miło byłoby wieść z tobą normalne życie.

Ren westchnął.

— Nie wiem, czy to będzie kiedykolwiek możliwe. — Po chwili milczenia dodał: — Wprawdzie kocham być człowiekiem, ale istnieje część mnie, która pragnie hasać po lesie jako dzikie zwierzę.

Roześmiałam się.

— Wyobrażam sobie wyraz twarzy parkowego strażnika, któremu turyści właśnie donieśli, że widzieli biegającego wśród drzew białego tygrysa.

\*\*\*

Kilka kolejnych tygodni upłynęło nam całkiem zwyczajnie. Wspólnie postanowiliśmy zrezygnować z treningów wushu, co oznaczało długą rozmowę telefoniczną z Jennifer, podczas której pocieszałam ją i zachęcałam, żeby mimo wszystko nie porzucała zajęć.

Ren nie odstępował mnie na krok, nawet jako tygrys. Kiedy siedziałam na podłodze i się uczyłam, kładł się wzdłuż moich nóg.

Wieczorami grywał na mandolinie albo ćwiczył akordy na nowo kupionej gitarze. Czasem dla mnie śpiewał. Miał cichy, głęboki głos, w którym rozbrzmiewały ciepło i radość. Gdy śpiewał, jego akcent stawał się wyraźniejszy, co działało na mnie wręcz hipnotycznie. Jego głęboki, mocny głos sprawiał, że kiedy śpiewał, wpadałam w trans.

Czasem siedziałam po prostu z jego głową na kolanach i patrzyłam, jak śpi.

Głaskałam białe futro i czułam, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada.

Wiedziałam, że tygrys to część jego natury. Choć wcześniej w ogóle mi to nie przeszkadzało, to jednak teraz, gdy już przyjąłam jego miłość, ogarnęło mnie pragnienie, żeby cały czas być tylko z nim, z Renem-człowiekiem.

Byłam sfrustrowana. Chciałam dzielić z nim każdą chwilę, słyszeć jego głos, czuć dotyk jego dłoni. Chciałam kłaść mu policzek na piersi i słuchać, jak czyta.

Tymczasem byliśmy razem jakby nie do końca. Ren-człowiek spędzał większość czasu na uczelni, przez co było mało okazji, żeby rozwijać nasz związek. Gdy go przy mnie

nie było, czułam się, jakbym umierała z głodu. Słyszał mnie, ale nie mógł mi odpowiedzieć. Bardzo szybko stałam się specjalistką od czytania z mowy tygrysięgo ciała.

Co wieczór układałam się obok niego na podłodze, a gdy już zasnęłam, on brał mnie na ręce i zanosił do łóżka. Odrabialiśmy razem zadania domowe, oglądaliśmy filmy, skończyliśmy czytać *Otella* i zabraliśmy się do *Hamleta*.

Byliśmy również w stałym kontakcie z panem Kadamem. Kiedy zdarzało mi się odebrać telefon, rozmawiał ze mną o szkole i Nilimie, powtarzał też, żebym się nie martwiła brakiem informacji o teście czterech domów. Uprzejmie wypytywał o moją zastępczą rodzinę, ale w końcu zawsze prosił do telefonu Rena.

Nie miałam zamiaru podsłuchiwać, ale kiedy Ren zniżał głos do szeptu lub przechodził na hindi, wiedziałam, że coś się dzieje. Raz na jakiś czas dochodziły do mnie obco brzmiące nazwy: Igdrasil, omfalos czy Góra Noego. Pytałam później Rena, o czym rozmawiali, ale on tylko się uśmiechał i powtarzał, żebym się nie martwiła. Twierdził, że dyskutowali o interesach albo że prowadzili rozmowę konferencyjną z ludźmi, którzy nie znają angielskiego. Przypomniał mi się tajemniczy e-mail o dokumentach i podejrzewałam, że Ren coś przede mną ukrywa, ale już chwilę później zachowywał się tak swobodnie i tak się cieszył z mojego towarzystwa, że zapomniałam o niepokoju -przynajmniej do kolejnego telefonu.

Ren zaczął zapisywać na karteczkach krótkie wiersze i wsuwał mi je do torby, żebym odkryła je w środku dnia, podczas przerwy w zajęciach na uczelni. Niektóre były cudzego autorstwa, inne pisał sam. Przechowywałam je w pamiętniku, a dwa ulubione nosiłam cały czas przy sobie.

*Wiesz, że ją kochasz,*

*Kiedy widzisz świat w jej oczach,*

*A jej oczy wszędzie na świecie.*

*David Levesque*

*Gdyby król miał bezcenną perłę, Klejnot, który ukochał nad wszystko, Czy schowałby go głęboko, Ukrył przed ludzkim wzrokiem W obawie, że ktoś go skradnie? A może nosiłby go dumnie*

*W pierścieniu lub w koronie,  
Żeby cały świat mógł się zachwycić jego pięknem I bogactwem, które wniósł w  
królewskie życie? Jesteś moją bezcenną perłą.*

*Ren*

Czytanie jego najskrytszych myśli prawie rekompensowało mi brak wspólnie spędzanego czasu. Nie całkiem. Ale prawie.

Pewnego dnia po zajęciach z historii sztuki Ren stanął znienacka za moimi plecami.

— Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

— Wyszedłem dziś wcześniej i podążyłem za twoim zapachem. Nietrudno wywęszyć placek z brzoskwiniami i bitą śmietaną, który, nawiasem mówiąc, obiecałaś mi dziś wieczorem.

— Pamiętam. — Roześmiałam się i ruszyliśmy w stronę pracowni językowej.

Musiałam oddać film, który kiedyś pożyczyłam i o którym zupełnie zapomniałam.

Podeszłam do biurka i znalazłam się oko w oko z Artiem.

— Cześć, Artie. Odnoszę płytę.

Pulchny asystent z miną ważniaka nałożył okulary.

— Ach, tak. Zastanawiałem się, gdzie się podziała. Należało ją oddać dawno temu.

— Wiem. Przepraszam.

Wsunął płytę w puste miejsce, które zapewne od tygodni doprowadzało go do szaleństwa.

— Cieszę się, że miałaś na tyle przyzwoitości, żeby jednak ją zwrócić.

— Jasne, jestem przyzwoita jak cholera. Na razie, Artie.

— Kelsey, poczekaj. Nie odbierałaś moich telefonów ani nie oddzwaniałaś, zakładałam więc, że masz zepsutą pocztę głosową. Trudno mi będzie znaleźć dla ciebie czas, ale z tego, co pamiętam, mam wolną przyszłą środę.

Sięgnął po kalendarz oraz ołówek i ani się obejrzałam, jak zaczął notować moje imię. Jakim cudem nie dostrzegł tego wysokiego, potężnego mężczyzny za moimi plecami?

— Słuchaj, Artie, ja jestem teraz z kimś innym.

— Dobrze się zastanów, radzę ci. Uważam, że nasza randka była wyjątkowa, i poczułem między nami prawdziwą więź. Jestem pewien, że przemyślisz sprawę. — Tu zerknął przelotnie na Rena. — Nie sądzę, żebyś miała lepszych kandydatów.

— Artie! — wykrzyknęłam zniecierpliwiona.

Artie założył okulary na czoło i zmierzył mnie nieustępliwym wzrokiem.

W tym momencie Ren zrobił krok do przodu i stanął między nami. Artie niechętnie oderwał ode mnie oczy i spojrzał na niego z niesmakiem. Ci dwaj stanowili taki kontrast, że chcąc nie chcąc, musiałam zacząć ich porównywać. Artie miał gruby, miękki brzuch i podwójny podbródek. Ren był szczupły w pasie i szeroki w ramionach. Poza tym oglądałam już jego niesamowite ciało bez koszuli i wiedziałam, że jest również fantastycznie umięśniony. Powaliłby Artiego jednym palcem.

Artie miał bladą, ziemistą cerę, włochate ramiona, czerwony nos i wodniste oczy.

Ren wyglądał jak posąg Adonisa, który przebudził się do życia. Nieraz widywałam na ulicy, jak kobiety potykały się na jego widok i wpadały na drzewa.

To jednak w najmniejszym stopniu nie zraziło Artiego. Jego pewność siebie była absolutnie niezmacona.

— A ty to kto? — wycedził oschle.

— Jestem chłopakiem Kelsey.

Artie spojrzał na mnie z niedowierzaniem ponad ramieniem Rena i szyderczym tonem zapytał:

- Naprawdę wolisz spotykać się z tym... barbarzyńcą niż ze mną? Być może źle cię oceniłem. Najwyraźniej dokonujesz wątpliwych wyborów, podyktowanych czystą rozważnością. Miałem cię za porządną dziewczynę, Kelsey.

- Artie, doprawdy... - zaczęłam, jednak w tym momencie Ren nachylił się nad Artiem i cichym, złowrogim tonem powiedział:

- Tylko spróbuj jeszcze raz ją obrazić. Młoda dama wyraziła się jasno. Jeśli kiedykolwiek usłyszę, że naprzykrzasz się jej albo jakiegokolwiek innej dziewczynie, wrócę i uczynię twoje życie bardzo nieprzyjemnym. - Trącił palcem kalendarz, który Artie wciąż trzymał w dłoni. - Lepiej to sobie zapisz, żebyś nie zapomniał. Możesz również zanotować, że Kelsey nie ma dla ciebie czasu i nigdy me będzie miała.

Nie znałam go od tej strony. Był niebezpieczny. Na miejscu Artiego trzęsłabym się ze strachu, do niego jednak nic nie docierało. Swoim zwyczajem nie zauważał nic poza końcem własnego nosa. Mimo rozszerzonych nozdrzy, nieruchomych oczu i napiętych mięśni Rena, który wyglądał, jakby gotował się do skoku, Artie nie dostrzegł w nim groźnego drapieżnika, zdolnego do rozszarpania rywala.

Dotknęłam ramienia Rena. Efekt był natychmiastowy. Mój obrońca odetchnął, rozluźnił się i położył rękę na mojej dłoni.

— Chodźmy — powiedziałam cicho.

Kiedy doszliśmy do samochodu, Ren otworzył przede mną drzwi. Gdy się upewnił, że zapięłam pasy, nachylił się i spytał:

— Pocałujesz mnie?

— Nie. Ta scena zazdrości była zbędna. Nie zasługujesz na pocałunek.

— Ja może nie, ale ty owszem. — Uśmiechnął się i zaczął mnie całować, aż całkiem mu wybaczyłam.

W drodze do domu milczał.

— O czym myślisz? — zapytałam.

— O tym, że chyba powinienem kupić sobie muchę i dzianinową kamizelkę, skoro tak bardzo cię pociągają.

Roześmiałam się i wymierzyłam mu żartobliwego kuksańca.

Kilka dni później, siedząc na schodach, zauważyłam Rena na korytarzu uczelni, pogrążonego w poważnej rozmowie z jakąś ładną Induską. Wyglądał na poruszonego. Zastanawiałam się właśnie, kim jest ta dziewczyna, kiedy poczułam, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Odwróciłam się i ujrzałam Jasona.

— Cześć, Kelsey — powiedział. Usiadł obok i podążył za moim wzrokiem. —

Czyżby kłopoty w rajcu?

Roześmiałam się.

— Nie. Co u ciebie?

— Niewiele — odparł, po czym sięgnął do plecaka i wygrzebał z niego magazyn teatralny. - Opublikowali artykuł z twoim zdjęciem.

Na okładce pisemka widniała fotografia, na której staliśmy obok pechowego auta, a ja trzymałam rękę na ramieniu wdzięcznej starszej pani.

Wyglądałam okropnie. Jakby dopiero co potracił mnie samochód. Jason zerwał się jak oparzony.

— Ee... możesz to zatrzymać. Do zobaczenia! — rzucił przez ramię i oddalił się pośpiesznie. W tym momencie pojawił się obok mnie Ren.

— Czego chciał? — zapytał, obserwując uciekającego Jasona.

— Zabawne, właśnie miałam zadać ci podobne pytanie. Co to za dziewczyna?

Ren z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę.

— Chodź. Porozmawiamy w samochodzie.

Kiedy wyjechał z parkingu, założyłam ręce na piersi i powtórzyłam pytanie:

— No więc kim ona jest?

Mój ton sprawił, że Ren skrzywił się lekko.

— Ma na imię Amara. — Choć czekałam, nie dodał nic więcej.

— I...? Czego od ciebie chciała?

— Prosiła o numer telefonu do moich rodziców...

— Po co?

— Żeby zaaranżować małżeństwo. Otworzyłam usta ze zdumienia.

— Mówisz poważnie?

Ren uśmiechnął się szeroko.

— Kelsey! Czyżbyś była zazdrosna!?

— Żebyś wiedział. Jesteś mój i tylko mój! Ren pocałował mnie w koniuszki palców.

— Podoba mi się, kiedy jesteś zazdrosna. Nie martw się, *prema*. Powiedziałem jej, że kogoś mam.

— Ren, to jest strasznie dziwne. Jak ona może proponować ci małżeństwo, w ogóle cię nie znając?

— Nie zaproponowała mi małżeństwa, raczej rzuciła taki pomysł. Zazwyczaj zajmują się tym rodzice, ale w Ameryce zwyczajnie nieco się zmieniły. Teraz rodzice oceniają potencjalnych narzeczonych, a dzieci mogą potem wybierać spośród tych, których zaaprobowali.

— Zaraz, przecież ty już przez to przechodziłeś. Miałeś się ożenić z Yesubai. Ale czy naprawdę chciałeś, żeby została twoją żoną? Twoi rodzice wybrali ją specjalnie dla ciebie, prawda?

Ren zawahał się przez chwilę.

— Owszem... - odpowiedział wreszcie ostrożnie. - Przyjąłem wybór ojca i matki.

Cieszyłem się, że będę miał żonę. Miałem nadzieję na szczęśliwy związek, taki jak moich rodziców.

— Ale czy sam wybrałbyś właśnie ją?

— Decyzja nie należała do mnie. - Uśmiechnął się rozbijająco. - Za to ciebie wybrałem całkiem świadomie.

Nie zamierzałam mu odpuścić.

— A więc ożeniłbyś się z nią, chociaż kompletnie jej nie znałeś? Ren westchnął.

— Małżeństwo w kulturze indyjskiej było i nadal jest czymś innym niż tutaj. Wiążąc się z kimś, pragniesz, by twoja rodzina była

zadowolona, że jest przy tobie osoba należąca do tej samej kultury, osoba, która zachowa ważne dla was wszystkie tradycje i obyczaje. Musisz wziąć pod uwagę wiele spraw, takich jak edukacja, stopień zamożności, kasta, religia i to, skąd pochodzisz.

— A więc to trochę jak selekcja na studia. Myślisz, że zdałabym taki egzamin? Ren roześmiał się.

— Trudno powiedzieć. Niektórzy uważają, że spotkanie się z osobą z innej kultury na zawsze pozostawia w człowieku skazę.

— Co w takim razie powiedzieliby o nas twoi rodzice?

— Pamiętaj, to były inne czasy.

— Tak czy inaczej... nie zaakceptowałiby mnie.

— Pan Kadam jest dla mnie w pewnym sensie jak ojciec a o n cię akceptuje. Jęknęłam.

— To nie to samo.

— Kelsey, mój ojciec kochał moją matkę, choć nie pochodziła z Indii. Pochodzili z dwóch różnych kultur, musieli połączyć ze sobą różne tradycje, a mimo to byli szczęśliwi. Gdyby w tamtych czasach ktoś nas rozumiał, to właśnie oni. A czy twoi rodzice polubiliby mnie?

— Mama by cię uwielbiała. Piekłaby ci ciasteczka i chichotała na twój widok jak pensjonarka. Ojciec zawsze uważał, że nikt nie jest dla mnie dość dobry. Z trudem pogodziłby się z tym, że już nie jestem jego małą córeczką, ale jestem pewna, że i on by cię polubił.

Gdy zatrzymaliśmy się w garażu, wyobraziłam sobie, jak wszyscy czworo siedzimy w bibliotece moich rodziców i rozmawiamy o ulubionych książkach. Tak, z pewnością pokochaliby Rena całym sercem.

Uśmiechnęłam się, ale zaraz zmarszczyłam brwi.

— Nie podoba mi się, że inne dziewczyny uganiają się za tobą.

— Teraz wiesz, jak się czułem. *A propos*, o czym rozmawiałaś z Jasonem?

— Och, dał mi to.

Wręczyłam mu magazyn z artykułem. Gdy weszliśmy do domu, Ren usiadł i zaczął czytać, ja zaś podreptałam do kuchni, by przygotować coś do zjedzenia. Po chwili Ren stanął w progu z zatroskanym wyrazem twarzy.

— Kelsey, kiedy zrobiono to zdjęcie?

— Jakiś miesiąc temu. Dlaczego pytasz? Coś się stało?

- Może nic. Muszę zadzwonić do Kadama.

Wystukał numer i zaczął szybko mówić coś w hindi. Siedziałam na kanapie, trzymając go za rękę. Ren wyglądał na zmartwionego. Zanim się rozłączył, usłyszałam, jak wymawia imię Kishana.

- Ren, powiedz mi wreszcie, co się dzieje.

- W magazynie zamieszczono twoje nazwisko i zdjęcie. Na szczęście mało kto go przeczyta, więc możliwe, że nic się nie stanie.

- O czym ty mówisz?

- Obawiamy się, że Lokesh może wpaść na twój ślad.

- Och... - odparłam stropiona. - Ale przecież moje dane są też na legitymacji studenckiej i prawie jazdy.

- Zmieniliśmy je już dawno. Pan Kadam ma wiele znajomości. Załatwił to tak, że nie można połączyć danych z twoim zdjęciem. Jak myślisz, jakim cudem przed wyjazdem do Indii w tydzień dostałaś paszport?

- Nie zastanawiałam się nad tym. - Nowe informacje kłębiły mi się w głowie. Nagle znów stanął mi przed oczami żądny władzy czarownik, którego ujrzałam raz w Indiach. Ogarnął mnie strach.

- Ale Ren, przecież moje nazwisko jest również w szkolnych aktach, a dane z sądu opiekuńczego mogą doprowadzić do Sary i Mike'a. Co będzie, jeśli Lokesh ich znajdzie?

- Pan Kadam zmienił wszystkie zapisy. Akta stanowe mówią, że uzyskałaś pełnoletniość w wieku piętnastu lat, a wszystkie domowe rachunki płacone są z anonimowego konta. Nawet twoje prawo jazdy i wszystkie dokumenty są na fałszywe nazwisko. Kelsey Hayes jest oficjalnie studentką na Uniwersytecie Zachodniego Oregonu, ale zdjęcia zostały zmienione, więc nie można cię na ich podstawie zidentyfikować.

- A co z aktami w moim liceum?

- Tym też się zajęliśmy. Usunęliśmy wszystkie dane w oficjalnych dokumentach. Gdyby skontaktować się z kimś z twojej klasy, kto ma szkolny album, można by dojść po nitce do kłębka, ale szanse na to są nikłe. Ludzie Lokesha musieliby sprawdzić każdą szkołę w kraju, zakładając oczywiście, że wiedzą, w którym kraju szukać.

- A więc twoim zdaniem ten artykuł oznacza...

- Że można cię odnaleźć.

- Czemu wcześniej mi o tym wszystkim nie powiedzieliście?

- Żeby cię niepotrzebnie nie martwić. Chcieliśmy, żebyś żyła tak normalnie, jak to tylko możliwe.

- Co teraz zrobimy?



— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w spokoju dokończymy trymestr, ale na wszelki wypadek posłałem po Kishana.

— Przyjedzie tutaj?

— Jest dobrym myśliwym i pomoże mi mieć wszystko na oku. A przy tym nic go nie będzie rozpraszać.

— No tak...

Ren przyciągnął mnie do siebie i pogłaskał po plecach.

— Nie pozwolę cię skrzywdzić. Obiecuję.

— A jeśli to tobie coś się stanie? Co ja mogę zrobić?

— Kishan będzie mnie pilnował, żebym ja mógł pilnować ciebie.

## KISHAN

Ponieważ Lokesh się nie pojawiał i nie wydarzyło się nic niezwykłego, uspokoiłam się na tyle, by móc zacząć się cieszyć na doroczny bal walentynkowy. Zabawa zapowiadała się przednio, a cały dochód z biletów miał zostać przeznaczony na Muzeum Arktyczne Jensena.

Tego wieczoru Ren wyciągnął z mojej szafy zapakowany w pokrowiec strój i powiesił go na drzwiach łazienki.

- A co to takiego? Czyżbyś miał zamiar zacząć wybierać mi ubrania?

- Podobasz mi się, w cokolwiek jesteś ubrana - odparł, przytulając mnie. - Ale chciałbym dziś zobaczyć cię właśnie w tej sukience. Założysz ją?

- Pewnie chcesz, żebym ją włożyła, bo nie nosiłam jej nigdy na randce z innym facetem - parsknęłam. - Nie możesz znieść tej brzoskwiniowej, wciąż powtarzasz, że pachnie Li, mimo że oddałam ją do pralni.

- Tamta sukienka jest piękna, w końcu sam ją dla ciebie wybrałem. Ale masz rację, przypomina mi o Li, a dzisiejszy wieczór ma być tylko dla nas dwojga. - Pocałował mnie w policzek. - Za dwie godziny zabieram cię na kolację. Nie każ na siebie zbyt długo czekać.

- Dobrze, obiecuję.

Ren dotknął czołem mojego czoła.

- Nienawidzę być z dala od ciebie - wyznał cicho.

Kiedy wyszedł, wzięłam gorący prysznic, owinęłam głowę ręcznikiem, włożyłam szlafrok i otworzyłam pokrowiec. W środku znalazłam ciemnoczerwoną szyfonową suknię z falbaniastymi rękawkami, rozszerzaną od kolan ku dołowi i wiązaną z boku na wysokości talii. Na podłodze leżało pudełko z czerwonymi sandałkami na obcasie.

Westchnęłam. Co za obsesję mają ci faceci na punkcie sandałków na szpilce? Ponieważ od jakiegoś czasu byłam dumną posiadaczką miliarda przeróżnych szminek, z łatwością znalazłam pasujący kolor. Zakręciłam włosy, a potem spięłam je inkrustowanymi grzebykami, zostawiłam tylko kilka opadających luźno kosmyków wokół twarzy. Zrobiłam makijaż i zdążyłam nawet pomalować na czerwono paznokcie u rąk i stóp.

Ren kurtuazyjnie zadzwonił do drzwi. Otworzyłam je i wydałam z siebie cichy okrzyk podziwu. Mój wojowniczy archanioł miał na sobie lśniąca białą koszulę, szarą kamizelkę i czerwony satynowy krawat. Czarną marynarkę swobodnie zarzucił na ramię. Zczesane na bok włosy opadały mu na oko, co sprawiało, że wyglądał niezwykle atrakcyjnie. Można go było wziąć za modela z okładki magazynu „GQ”.

W porównaniu z nim poczułam się jak mała dziewczynka, przebrana za elegancką damę. Ryłam pewna, że każda kobieta na balu będzie pragnęła podejść i zalotnym gestem odgarnąć mu włosy z czoła.

Serce podskoczyło mi w piersi, kiedy uśmiechnął się do mnie i wyciągnął zza pleców bukiet z dwóch tuzinów czerwonych róż. Wszedł do domu i włożył je do wazonu z wodą, który najwyraźniej przygotował wcześniej.

- Ren! Wyglądasz obłędnie, nie mogę tak z tobą iść!

- Nie wiem, o co ci chodzi, Kelsey. - Pociągnął mnie za opadający loczek i ostrożnie zatknął mi go za ucho. - Kiedy stanę koło ciebie, nikt nawet mnie nie zauważy.

Wyglądasz przepięknie. A teraz czas na twój prezent walentynkowy.

- Nie musiałeś mi nic kupować. Ty jesteś dla mnie najlepszym prezentem.

Ren otworzył wyciągnięte z kieszeni puzderko. W środku była para oprawionych w złoto diamentowo-rubinowych kolczyków.

- Są piękne — wyszeptałam.

Pomógł mi je założyć. Podobało mi się, jak zwisały z moich uszu i dotykały twarzy, gdy odwracałam głowę.

Wspięłam się na palce i pocałowałam Rena.

— Dziękuję. Są cudowne.

— Patrząc na twoją minę, wyczuwam jakieś „ale”.

— Chodzi o to, że nie musisz mi kupować drogich prezentów. Całkowicie by mnie zadowoliło coś normalnego, na przykład... skarpetki.

Ren aż się zachnął.

— Skarpetki nie mają w sobie krzty romantyzmu. Walentynki to wyjątkowa okazja. Nie psuj mi wieczoru, Kelsey. Powiedz tylko, że mnie kochasz i że podobają ci się kolczyki.

Objęłam go za szyję i uśmiechnęłam się.

— Kocham cię, a kolczyki są piękne.

Jego twarz rozjaśniła się w najcudowniejszym z uśmiechów, a moje serce znów wywinęło fikołka.

Podalam mu jego prezent, leżący na biurku.

— Jest do niczego w porównaniu z twoim i z różami. Okazuje się, że bardzo trudno znaleźć coś odpowiedniego dla nieprzyzwoicie bogatego tygrysa.

Ren rozdarł papier i wyciągnął z niego mój marny podarek. Była to książka.

— To *Hrabia Monte Christo* — wyjaśniłam. — Opowiada o człowieku zamkniętym w więzieniu na wiele, wiele lat za zbrodnię, której nie popełnił. W końcu ucieka i mści się na tych, którzy go fałszywie oskarżyli. To kapitalna historia. Przypomina mi o tym, że i ty spędziłeś długi czas w niewoli. Pomyślałam, że możemy zrobić sobie przerwę od Szekspira i razem ją przeczytać.

— To idealny prezent. W ten sposób ofiarowujesz mi nie tylko książkę, a jak wiesz, uwielbiam książki, ale i wiele wspólnych godzin spędzonych na czytaniu, a to najlepsze, co mogłam od ciebie dostać.

Nożyczkami odcięłam z bukietu pączek róży i wetknęłam mu w butonierkę. Potem wyszliśmy na kolację. Okazało się, że Ren wynajął dla nas całą salę w restauracji.

Gdy trzech kelnerów upewniło się, że wszystko jest jak należy, i przyjęło nasze zamówienia, wyszeptałam do Rena:

— Normalna restauracja całkowicie by mnie usatysfakcjonowała.

— Setki facetów zabrały dziś setki dziewczyn do normalnych restauracji. Trudno by nam było o prywatność. Chciałem cię mieć tylko dla siebie. — Pocałował mnie w rękę. — Tb moje pierwsze walentynki z kobietą, którą kocham. Chcę widzieć światło świec

odbijające się w twoich oczach. A skoro o tym mowa... — Wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru i wręczył mi ją.

— Co to? — Otworzyłam liścik i rozpoznałam jego pismo. — Napisałeś dla mnie wiersz?

Ren uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Przeczytasz mi go?

Skinął głową i wziął ode mnie kartkę. Ciepłym głosem odczytał:

Zapaliłem świeczkę. Patrzyłem na płomień. Tańczył, migotał, dziki i nieokiełznany.

Odbijał się w moich oczach. Gdy przejechałem nad nim dłonią, zdrzął. Płomień buzował, palił coraz mocniej. Cofnąłem rękę, żar naraz złagodniał, Aż w końcu całkiem ustał. Wyciągnąłem Dłoń, by raz jeszcze posmakować bólu. Czy spiecze, sparzy, czy osmali skórę? Nie! Czułem tylko, jak drgające ciepło Ciało i duszę mą liże płomieniem, Co migotliwie rozświetla ciemności — Rumieniec na jej policzku. Pochylił głowę, jakby zawstydzony własnymi pięknymi słowami. Podeszłam do niego, usiadłam mu na kolanach i objęłam go za szyję.

— To było cudowne.

— Ty jesteś cudowna.

— Mam ochotę cię pocałować, ale nie chcę cię ubrudzić szminką. Co by sobie pomyślała kelnerka?

— Niech myśli, co chce.

— Czuję, że nie mam z tobą szans.

— Zamierzam cię dziś pocałować, i to nie raz.

— Rozumiem. W takim razie chyba nie mam wyjścia?

— Sądzę, że powinniśmy przejść od słów do czynów.

Nie usłyszałam, kiedy wróciła kelnerka. Zaczerwieniłam się jak burak, a Ren roześmiał się cicho.

— Nie przejmuj się. Dostanie duży napiwek.

Kelnerka podeszła do stolika, a ja niezgrabnie ześliznęłam się z kolan Rena. Ku swojemu przerażeniu ujrzałam, że ma dolną część twarzy usmarowaną moją szminką. Wołałam nie wyobrażać

sobie, jak sama wyglądam. Rena zaś najwyraźniej w ogóle to nie obchodziło. Poprosiłam, żeby coś dla mnie zamówił, i pobiegłam do łazienki poprawić makijaż. Gdy wróciłam, kolacja czekała na stole. Ren wstał, odsunął przede mną krzesło, a kiedy siadałam, nachylił się i dotknął policzkiem mojego policzka.

Po chwili zauważył, że w zdenerwowaniu bawię się nowymi kolczykami.

— Nie podobają ci się?

— Są śliczne, ale naprawdę mam wyrzuty sumienia, że tyle na mnie wydajesz. Powinieneś odnieść je jutro do sklepu. Może ci zwrócą chociaż część pieniędzy.

— Porozmawiamy o tym później. Na razie chcę cię w nich oglądać. Po kolacji pojechaliliśmy na bal. Ren wirował ze mną na parkiecie i nie przestawał na mnie patrzeć. Zresztą wyglądał tak oszalamiająco, że i ja nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Kiedy zaczął nucić razem z wokalistą przebój *My Confession*<sup>1</sup>, uśmiechnęłam się i stwierdziłam:

— Ta piosenka dobrze oddaje moją sytuację - powiedziałam z uśmiechem. — Bardzo długo nie potrafiłam się przyznać do własnych uczuć, nawet przed sobą samą.

Ren uważnie wsłuchał się w tekst, po czym uśmiechnął się i odparł:

— Wiedziałem, co do mnie czujesz, od naszego pocałunku w Kiszkindzie, tego, który tak mocno wyprowadził cię z równowagi.

— Ach, chodzi ci o ten, który określiłeś jako „kształcący”?

— Czemu tak bardzo się o to pogniewałaś? Powiedziałem tak, bo ten pocałunek nauczył mnie czegoś nowego: że czujesz do mnie to samo, co ja do ciebie. Nie sposób kogoś tak całować, jeśli się go nie kocha, Kells.

Pogładziłam krótkie włoski na jego karku.

— A więc to dlatego byłeś potem taki zadowolony z siebie?

— Owszem, ale mina szybko mi zrzędła, kiedy wyjechałaś. — Ren spoważniał.

Pocałował koniuszki moich palców, przycisnął sobie moją dłoń do piersi i z przejęciem poprosił: — Obiecuj, że już nigdy mnie nie zostawisz, Kelsey.

Spojrzałam w jego błękitne oczy i odparłam:

— Obiecuję. Nigdy cię nie zostawię.

<sup>1</sup> *My Confession* (ang.) — Moje wyznanie.

Mocno otarł się ustami o moje usta. Nagle uśmiechnął się figlarnie, zakręcił mną i przycisnął mocno do piersi. Otoczył mnie ramionami i odgiął do tyłu. Moje ciało zatoczyło półkole, a wtedy on pociągnął mnie z powrotem do góry i zaczęliśmy płynnie poruszać się w rytm muzyki.

Wiedziałam, że wszyscy na nas patrzą, ale już mnie to nie obchodziło. Nie miałam pojęcia, jak powinnam się ruszać, na szczęście Ren prowadził po mistrzowsku. Nasz taniec był gorący i pełen pasji. Ren, mistrz w sztuce uwodzenia, otoczył mnie woalem duchowych i fizycznych doznań, sprawiając, że całkiem straciłam dla niego głowę.

Gdy piosenka dobiegła końca, musiał podtrzymywać mnie jeszcze przez kilka minut, ponieważ moje nogi zmieniły się w galaretkę. Rozbawiło go to. Roześmiał się, muskając nosem moją szyję.

Zagrano kolejny utwór, wolny i znacznie spokojniejszy. Gdy odzyskałam zmysły na tyle, by wydobyć z siebie głos, powiedziałam:

— Myślałam, że w ten sposób tańczy się tylko w filmach. Gdzie się tego nauczyłeś?

— Matka uczyła mnie tańców tradycyjnych, wiele figur znam z obserwacji. Sporo ćwiczyłem z Nilimą.

Zmarszczyłam brwi.

— Niezbyt mi się to podoba. Jeśli potrzebujesz praktyki, możesz zacząć uczyć mnie.

— Nilima jest dla mnie jak siostra.

— Wiem, ale jednak...

— Dobrze, przyrzekam, że nigdy więcej nie zatańczę z inną kobietą. — Uśmiechnął się. — Chociaż lubię, kiedy jesteś zazdrosna.

Znów zaczęliśmy tańczyć. Oparłam mu głowę na ramieniu, zamknęłam oczy i po prostu cieszyłam się jego bliskością. W połowie piosenki poczułam, jak Ren sztywnieje i spogląda w jakiś punkt za moimi plecami.

— Proszę, proszę... — rozległ się znajomy, jedwabisty głos. — Pamiętasz, jak było ostatnio? — zwrócił się do Rena. — Czas na małą zamianę ról. Ten taniec należy do mnie.

Odwróciłam się.

— Kishan! Tak się cieszę, że cię widzę! — Rzuciłam mu się na szyję. Złotooki księżę chwycił mnie w objęcia, przycisnął policzek do mojego i powiedział:

— Ja też się cieszę, *bilauta*.

## NAJEMNICZY

Kishan odsunął się, żeby lepiej mi się przyjrzeć.

— Tęskniłem za tobą. Mam nadzieję, że ten idiota dobrze cię traktuje? — zapytał, po czym teatralnym szeptem dodał: — Używałaś mojego odstraszacza?

Parsknęłam śmiechem.

— Ren bardzo dobrze mnie traktuje, chociaż dostał ode mnie wyjątkowo marny prezent walentynko wy.

— Ech, on i tak na nic nie zasłużył. A ty co od niego dostałaś? Wskazałam palcem na kolczyki.

— To. Ale są dla mnie zbyt ekstrawaganckie.

Kishan wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jednego z kolczyków. Jego zawadiacka, zaczepna mina ustąpiła miejsca lekkiemu uśmiechowi.

— Mama byłaby zadowolona — powiedział cicho.

— Czy to znaczy, że należały do waszej matki? — Zwróciłam się do Rena, który skinął głową. — Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

— Nie chciałem, żebyś się czuła zobowiązana je nosić. Są nieco staroświeckie, mogły ci się nie spodobać.

— Powinieneś był mi powiedzieć. — Zarzuciłam mu ramiona na szyję i pocałowałam go delikatnie. - Dziękuję, że podarowałeś mi coś, co jest dla ciebie tak cenne.

Ren przytulił mnie i pocałował w policzek.

Za moimi plecami rozległo się dramatyczne westchnienie.



— Ech, woląłem już chyba, jak jęczał i marudził. Nie mogę na to patrzeć.  
Ren warknął cicho.  
— A kto cię tutaj zapraszał? -Ty.  
— Owszem, ale kto zapraszał cię tutaj? Jak nas znalazłeś?  
— Powęszyłem trochę po domu i zobaczyłem zaproszenie na kuchennym blacie. Nie chciałem przepuścić takiej okazji. Wygląda jednak na to, że wszystkie ładne dziewczyny są już zajęte, więc może... mógłbym pożyczyć t w o j ą?  
Kishan wyciągnął rękę, ale Ren natychmiast wystąpił do przodu i zagroził:  
— Po moim trupie.  
Kishan podwinął rękawy swetra.  
— Nie ma sprawy, braciszku. No dalej, kawalerze, pokaż, na co cię stać.  
Uznałam, że czas na interwencję. Najprzymilniejszym tonem, na jaki mnie było stać, powiedziałam:  
— Kishanie, przyszliśmy tu we dwoje. Bardzo się cieszę, że cię widzę, ale może pojechałbyś do domu? Jak widzisz, to nie żadna impreza, ale kameralne spotkanie. Niedługo wrócimy. W domu czekają pełna lodówka i wielki talerz ciastek. Proszę...  
— W porządku, pójdę sobie. Ale tylko dlatego, że ładnie prosisz.  
— A ty aż się prosisz, żeby... — zaczął Ren. Kishan dał mu prztyczka w ucho.  
— Owszem, i może się w końcu doproszę — odparował. — Do zobaczenia, Kelsey. Miałam bardzo silne przeczucie, że moja dłoń na ramieniu Rena to jedyne, co powstrzyma go przed pogonią za bratem. Nawet kiedy Kishan zniknął nam z oczu, Ren nie potrafił już się rozluźnić. Próbowałam z powrotem zwrócić na siebie uwagę.  
— Ren...  
— Za dużo sobie pozwala. Może wezwanie go było jednak błędem.  
— Ufasz mu?  
— To zależy. W większości spraw tak. Z wyjątkiem...  
— Z wyjątkiem?  
— Z wyjątkiem ciebie.  
— Och. Cóż, w tej sprawie nie musisz mu ufać. Wystarczy, że zaufasz mnie.  
— Kells... — oburzył się.

— Ja nie żartuję. — Położyłam mu dłonie na skroniach, zmuszając go, żeby na mnie spojrział. - Chcę, żebyś coś zrozumiał. Być może Yesubai wybrała Kishana, ale ja wybieram ciebie. Tylko ciebie. - Westchnęłam. - Właściwie to mi go szkoda. Stracił ukochaną. To dlatego powinniśmy w pełni wykorzystać nasz czas. Nigdy nie wiadomo, kiedy osoba, którą kochasz, zostanie ci odebrana.

Ren przytulił mnie i tańczyliśmy powoli, policzek przy policzku.

— Nam się to nie przydarzy. Nie opuszczę cię. Jestem nieśmiertelny, pamiętasz?

Uśmiechnęłam się bez przekonania.

— Nie o to mi chodziło.

— Wiem, o co ci chodziło — odparł przekornym tonem. — Ale musiałem pokonać trzech rywali, żeby zdobyć twoje uczucie, i nie mam ochoty walczyć jeszcze z moim bratem.

Roześmiałam się.

— Trochę przesadzasz, Tarzanie. Z nikim nie musiałeś się mierzyć, no może oprócz Li. Moje serce przez cały czas należało do ciebie, zresztą przypuszczam, że dobrze o tym wiedziałeś.

— To, że ja wiedziałem, nie znaczy, że ty wiedziałaś. Zbyt długo byłem samotnym tygrysem. Zasługuję na szczęście u boku ukochanej kobiety. I nie pozwolę, żeby ktokolwiek odebrał mi tę szansę, a zwłaszcza Kishan.

Spojrzałam na niego uważnie. Westchnął i okręcił mnie w tańcu.

— Postaram się wykazać wobec niego więcej cierpliwości, ale on doskonale wie, jak mnie sprowokować. Jest mi niezwykle trudno trzymać przy nim nerwy na wodzy, zwłaszcza, kiedy z tobą llirtuje.

— Spróbuj, proszę. Zrób to dla mnie.

— Dla ciebie zniósłbym naj okrutniej sze tortury, ale nie mogę patrzeć, jak on cię bałamuci.

— Postarajcie się nie powybijać sobie zębów. Żadnych bójek. Nie zapominaj, że Kishan jest nam potrzebny.

— Zgoda, ale jeśli dalej będzie wobec ciebie namolny, nie rękę za siebie.

Po chwili milczenia powiedziałam cicho:

— Nic nie odpowiedziałeś... kiedy powiedziałam, że cię Kocham.

— Kelsey, „ja jestem jak Gwiazda Północna, która w stałości niewzruszonej nie ma na firmamencie żadnej konkurentki”<sup>1</sup>.

1 W. Szekspir, *Juliusz Cezar*, tłum. S. Barańczak, Kraków 2000, s. 75.

— Pamiętaj, że Cezar zginął.

— Miałem nadzieję, że tego nie znasz.

— Znam je wszystkie, Szekspirze.

— Dobrze, w takim razie powiem po prostu: Kocham cię. Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Twoja obecność to jedyne, co może mnie uszczęśliwić. Moim jedynym celem w życiu jest być tym, kim chcesz, żebym był. To nie poezja, ale słowa płynące z mojego serca. Mam nadzieję, że ci wystarczą.

Uśmiechnęłam się kącikiem ust.

— Chyba tak.

Nie zabawiliśmy na przyjęciu zbyt długo, ponieważ mimo moich docinków, pocałunków i miłosnych deklaracji, Renowi wyraźnie pogorszył się humor. Tańczył ze mną, ale myślami był gdzie indziej. Kiedy oświadczyłam, że chciałabym iść do domu, nie protestował.

Gdy zatrzymaliśmy się na podjeździe, zauważyłam, że w moim domu pali się światło. Zanim weszliśmy, Ren objął mnie i czule pocałował. Oparł czoło o moje czoło i powiedział:

— Nie tak planowałam zakończenie naszej romantycznej randki.

— Masz jeszcze całą godzinę. — Uśmiechnęłam się i objęłam go za szyję. — Jakie miałeś plany?

Roześmiał się cicho.

— Właściwie to zamierzałem improwizować, ale Kishan wszystko zepsuł.

Jeszcze raz mnie pocałował. Z wnętrza domu dobiegł jakiś stłumiony komentarz, którego nie zrozumiałam. Ren oderwał usta od moich, warknął cicho, wymamrotał coś w hindi i z wściekłą miną otworzył drzwi.

Kishan oglądał telewizję, pochłaniając przy tym nieprawdopodobne ilości jedzenia. Stolik w salonie zarzucony był torbami chipsów, preclami, popcornem i ciastkami.

— Coś obrzydliwego — mruknął Kishan. — Nie mogliście skończyć się migdalić wcześniej, żebym nie musiał tego słuchać?

Ren pomógł mi zdjąć płaszcz, prychając ze złością. Poszłam na górę, a on obiecał, że do mnie dołączy, jak tylko rozpakuje Kishana.

To „rozpakuje” zabrzmiało w jego ustach nieco złowrogo, ale skinęłam tylko głową z nadzieją, że zachowają wobec siebie choć pozory przyzwoitości i dobrych manier.

Wkładałam właśnie górę od pizamy, kiedy usłyszałam z dołu głos Rena:

— Zeżarłeś wszystkie... moje... ciastka!?

Potrząsnęłam głową. Dwa tygrysy w jednym domu — to dopiero utrapienie. Ponieważ nie dosłyszałam odpowiedzi Kishana, postanowiłam, że pozwolę im załatwić to między sobą. Ostrożnie ułożyłam rubinowe kolczyki na dnie pudełka ze wstążkami, myśląc o matce Rena i Kishana. Włożyłam jedwabne spodnie od pizamy i zmyłam makijaż. Rozpuściłam włosy, pozwalając, żeby spłynęły mi po plecach miękkimi falami.

Gdy weszłam do sypialni, zastałam Rena na łóżku, opartego o wezglowie. Marynarka leżała na krześle. Ren podpierał głowę rękami. Miał rozwiązany krawat i zamknięte oczy.

Przytuliłam się do niego i pocałowałam go w policzek. Objął runie i przyciągnął do siebie, ale nie podniósł powiek.

— Staram się zachować spokój, Kelsey. Ale to bardzo, bardzo trudne.

— Wiem. Gdzie on będzie spał?

— W moim łóżku. - A ty?

Ren otworzył oczy.

— Tutaj. Z tobą. Jak zawsze.

— Hmm... Nie boisz się, że Kishan coś sobie pomyśli... no wiesz, o nas. Ze skoro śpimy tu razem...

— Nie martw się. Wie, że nic się nie dzieje. Parsknęłam śmiechem.

— Ren! Zaczerwieniłeś się!

— Nie. Po prostu nie spodziewałem się tego tematu.

— Widać, że jesteś z innej epoki. Przecież trzeba o tym rozmawiać.

— A jeśli ja nie jestem jeszcze gotów na tę rozmowę?

— Naprawdę? Żyjesz ponad trzysta pięćdziesiąt lat i wciąż nie jesteś gotowy?

Ren mruknął cicho.

— Nie zrozum mnie źle, Kelsey. Bardzo chętnie o tym porozmawiam, ale dopiero wtedy, kiedy złamiemy klątwę.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

— Czy ja dobrze słyszę? Nie możemy być razem, dopóki jeszcze co najmniej trzy razy nie staniemy do walki z nieśmiertelnymi małpami czy innymi demonami? To przecież może potrwać dobrych parę lat!

— Mam nadzieję, że nie aż tak długo. Ale nie, nie przesłyszałaś się.

— I nie ustąpisz, choćby nie wiem co?

— Nie.

— Wspaniale. W takim razie zostanę starą panną, hodującą dwa wyjątkowo wielkie koty!

— Nie będziesz żadną starą panną.

— Owszem, skoro stawiasz takie warunki.

— Kelsey, czyżbyś chciała mi powiedzieć, że już teraz jesteś gotowa?

— Pewnie nie, ale co będzie za rok? Za dwa lata? Doprowadzisz mnie do szaleństwa.

— Mnie też nie będzie łatwo, Kells. Pan Kadam zgodził się, że to zbyt niebezpieczne. Okazało się, że jego potomkowie żyją wyjątkowo długo. Uważa, że dzieje się tak za sprawą amuletu. Wiemy, że Lokesh chciał nas zabić i że amulet uratował nam życie, zmieniając nas w tygrysy. To była niezręczna rozmowa, ale pan Kadam uznał, że najlepiej będzie... nie ryzykować niepotrzebnie. Nie wiemy, jak dokładnie działają amulet i klątwa, więc póki znów nie będę w stu procentach człowiekiem... Nie chcę, żeby coś ci się stało.

— Ren, przecież pan Kadam nie zabił swojej żony — zauważyłam oschle.

— Nie. Ale on nie jest tygrysem.

— Boisz się, że będziemy mieli kocięta? — dokuczałam mu.

— Nawet tak nie żartuj.

— W takim razie czego się boisz? Uświadomię cię, jeśli chcesz. — Nie mogłam się powstrzymać. Sarkastyczne poczucie humoru odziedziczyłam po mamie.

— Nie! — zawołał Ren, mocno zawstydzony. Roześmiałam się. — Kelsey! Nie traktujesz poważnie tego, co mówię!

— Oczywiście, że traktuję cię poważnie. Po prostu w niezręcznych sytuacjach zazwyczaj reaguję humorem i sarkazmem. Ale serio, Ren, mówimy o latach, a ja ledwo się powstrzymuję, żeby już teraz się na ciebie nie rzucić. — Westchnęłam. — Naprawdę myślisz, że to by było niebezpieczne?

— Prawda jest taka, że nie mam pojęcia. Nie wiem, jak zadziałałaby na nas klątwa. I nie chcę się o tym przekonać. Więc proszę, odłóżmy tę rozmowę na później.

— Dobrze — mruknęłam. — Ale powinieneś wiedzieć, że mam przy tobie pewne problemy z zachowaniem rozsądku.

— Hmm... — Przycisnął usta do mojej szyi.

— Nie pomagasz mi. — Westchnęłam. — Zdaje się, że moja przyszłość stoi pod znakiem zimnego prysznica.

— Ja sam najlepiej wiem, co czujesz — wymamrotał Ren. — Czy tak samo nierozsądne myśli miałaś w obecności swoich poprzednich chłopaków?

— Jakich chłopaków?

— Jasona albo Li?

— O Jasonie nigdy nie myślałam inaczej niż jak o koledze. Li był może kimś więcej... mmm... o, jak mi dobrze. Oni byli po prostu ciekawymi ludźmi, z którymi lubiłam spędzać czas. Ale nie kochałam ich tak jak ciebie. Czułam się przy nich zupełnie inaczej... — Jęknęłam cicho. — Zupełnie inaczej.

Ren powoli całował mój podbródek.

— A zanim mnie poznałaś?

— Nikogo wcześniej nie miałam. Jesteś moim pierwszym... moim pierwszym wszystkim.

Ren uniósł głowę i uśmiechnął się tak, jak tylko on potrafił.

— Jestem nadzwyczaj zachwycony i nieprzytomny ze szczęścia, że to słyszę. — Odgarnął mi włosy z ramienia i przycisnął wargi do mojej szyi. — A tak na marginesie, Kells, ty też jesteś moim pierwszym wszystkim.

Zadrżałam. Ren westchnął, znów pocałował mnie delikatnie i przytulił do piersi.

Bawiąc się guzikami jego koszuli, powiedziałam cicho:

— Wiesz, mama rozmawiała o tym ze mną niedługo przed śmiercią. Ona i tata mieli nadzieję, że wezmę z nich przykład i poczekam do ślubu.

— Dla moich rodziców to było oczywiste. W tamtych czasach w Indiach nie istniało coś takiego jak przygodne znajomości.

— Ach — zaczęłam się droczyć. — Więc tak właśnie myślisz o tym, co nas łączy?

— Nie. Ja nie. — Przyjrzał mi się uważnie. — A ty?

— Ja też nie.

— Dobrze wiedzieć. — Ren sięgnął po kołdrę i przykrył nią nas oboje.

— Ren?

— Hmm?

— A co byś powiedział, gdybym ja też chciała poczekać, no wiesz, do...

Uśmiech rozjaśnił jego przystojną twarz.

— Do... czego?

Nerwowo przygryzłam wargę.

— Do... no wiesz.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Czyżbyś miała zamiar mi się oświadczyć? Jeśli chcesz, dam ci numer telefonu do pana Kadama, żebyś mogła poprosić go o moją rękę.

— Chciałbyś, Romeo! - prychnęłam. - Ale Ren, poważnie, gdybym chciała poczekać... czy to by ci przeszkadzało?

Ren ujął moją twarz w dłonie, spojrzał mi w oczy i najzwyczajniej w świecie oświadczył:

— Poczekam na ciebie do końca świata, Kelsey. Westchnęłam.

— Zawsze wiesz, co powiedzieć.

Leżałam obok niego szczęśliwa, aż nagle uśpiona dotąd myśl wpadła mi do głowy i kazała wyprostować się gwałtownie.

— Chwileczkę! Ryłam pierwsza, tak? To, zdaje się, nie do końca prawda. Pan Kadam opowiadał mi, że w młodości włamywał się do Łaźni Królewskich w Hampi. Czy ty mu przypadkiem kilka razy nie towarzyszyłeś?

Ren znieruchomiał.

— Cóż, technicznie rzecz biorąc... Uśmiechnęłam się i drwiąco uniosłam brew.

— Tak, kochanie? Mówiłeś coś?

— Technicznie rzecz biorąc: tak, Kadam, Kishan i ja wkradliśmy się do łaźni. Ale dotarliśmy tylko do drzwi wejściowych. Była noc, wszyscy spali. Nic nie widzieliśmy.

Szturchnęłam go palcem w pierś.

— Na pewno nie kłamiesz, Lancelocie?

— Na pewno.

— A więc jeśli jutro zapytam Kishana, potwierdzi twoją historyjkę?

— Oczywiście — odparł Ren, po czym mruknął pod nosem: — A jeżeli tego nie zrobi, dostanie w twarz.

— Słyszałam. Lepiej, żebyś mówił prawdę. I żadnych bójek z Ki shanem.

— Tylko się z tobą drażnię, Kells. Przysięgam, że nie spojrzałam na inną kobietę od dnia, kiedy po raz pierwszy usiadłaś z książką przy mojej klatce w cyrku. Jesteś jak łabędź między jaskółkami.

— Ładnie powiedziane, ale chyba powinieneś znów zerknąć do swojego przewodnika po współczesności.

Ren zmarszczył brwi, lecz zignorował moją uwagę, powiedział za to:

— A jeśli chodzi o Kishana, powinien dostać w twarz choćby za to, że zjadł moje ciastka.

— Daj mu spokój, jutro upiekę nowe. Roześmiałam się, a on zamknął mi usta pocałunkiem.

Następnego ranka, przy trzecim omlecie (Kishan zjadał już czwarty) Ren oznajmił, że chce wrócić do treningów wushu. Kishan klasnął w dłonie, zachwycony możliwością dołożenia bratu.

Bracia wynajęli małe studio, gdzie mogliśmy być tylko we trójkę. Nie uczyli mnie żadnych skomplikowanych ruchów, a jedynie podstawowych umiejętności rozbrajania przeciwnika. Zgodnie uznaliśmy, że muszę umieć się bronić na wypadek ataku Lokesha, a także mając na względzie nieznane niebezpieczeństwa, czekające na nas podczas kolejnej wyprawy.

Najpierw rozciągaliśmy się przez kilka minut, po czym Ben przystąpił do nauki, wykorzystując Kishana jako worek treningowy.

— Lekcja numer jeden: jeśli napastnik biegnie w twoją stronę, zegnij kolana i czekaj, aż się zbliży. Chwyć go za ramię, okręć się i ściśnij ramionami za gardło. Jeżeli jest pokaźnych rozmiarów, przy-ciśnij go tuż pod żuchwą.

Kishan ruszył w stronę Rena i zaatakował go od tyłu. Potem przyszła moja kolej. Ren zaczął biec w moim kierunku, więc chwyciłam go za ramię i wskoczyłam mu na plecy. Ścisnęłam go za szyję, ale szybko puściłam i zanim zeskoczyłam z powrotem na podłogę, cmoknęłam go w policzek.

— Świetnie. Lekcja numer dwa. Jeśli napastnik jest bardziej zaawansowany od ciebie, nie walcz z nim, lecz staraj się go unieszkodliwić. Wystarczy możliwie jak najsilniejszy cios lub kopnięcie w brzuch albo w krocze.

Kishan ruszył do ataku, wykorzystując skomplikowane ruchy, spośród których rozpoznałam tylko półobrót i kopnięcie z wyskoku zgiętym kolaniem. Ren przybrał postawę defensywną — wycofywał się z zasięgu rąk i nóg brata, aż trafił na moment nieuwagi przeciwnika i z całej siły uderzył go w brzuch.

Kishan natychmiast się podniósł i kontynuował atak. Tym razem był bardziej brutalny i rzucił Rena na ziemię, na co ten wyrzucił w górę pięść i prawie znokautował brata.



— Jeśli masz wybór, celuj w krocze. To o wiele skuteczniejsze. Lekcja numer trzy. Najważniejsze punkty: oczy, jabłko Adama, uszy, skronie i nos. W oczy najlepiej włożyć dwa palce, w uszy grzmotnąć jednocześnie, najmocniej jak potrafisz. W pozostałe miejsca celuj kantem dłoni.

Ren zademonstrował każdy z ruchów, po czym znów poprosił, bym wypróbowała je na nim. Chciał, żebym naprawdę zrobiła mu krzywdę i zasmakowała prawdziwej walki. Nie potrafiłam się na to zdobyć.

Kishan mruknął i wstał, odpychając brata.

— W ten sposób Kelsey niczego się nie nauczy. Musi poczuć prawdziwy atak.

— Nie, jesteś zbyt brutalny. Zrobisz jej krzywdę.

— A jak myślisz, jakie oni mają zamiary? Położyłam Renowi rękę na ramieniu.

— Kishan ma rację. Niech spróbuje.

Ren zgodził się niechętnie i odsunął pod ścianę.

Stałam nerwowo, plecami do Kishana, czekając na atak. Zaszedł mnie od tyłu, mocno chwycił za ramię i wykręcił. Złapał mnie za szyję i zaczął dusić. Usłyszałam z tyłu straszliwy pomruk i Kishan wylądował na ścianie. Ren stał przede mną, delikatnie dotykając czerwonych śladów na mojej szyi.

— Mówiłem ci! — wrzasnął na brata. — Jesteś zbyt brutalny! Przez ciebie będzie miała siniaki!

— Inaczej się nie nauczy. Musi być przygotowana.

— Ren, nic mi się nie stało. Niech spróbuje jeszcze raz. Muszę się bardziej skupić, żeby w czasie ataku zachować trzeźwość umysłu. Być może któregoś dnia będę musiała ruszyć ci z pomocą.

Ren delikatnie pogłaskał ślady na mojej szyi i spojrzał na mnie z wahaniem. W końcu skinął głową i znów się odsunął. Kishan cofnął się na tyły sali i krzyknął:

— Nie myśl, po prostu reaguj!

Odwrociłam się plecami, w oczekiwaniu na atak. Wyteżalałam słuch, ale Kishan zachowywał się bardzo cicho, aż nagle poczułam, jak chwyta mnie od tyłu. Był zbyt silny. Zaczęłam się dusić. Rzuciałam się, miotałam i deptałam mu po stopach, lecz bez skutku.

Zdesperowana, zebrałam powietrze i walnęłam go głową w podbródek. Bolało, i to bardzo, ale Kishan rozluźnił uścisk na tyle, że wyśliznęłam się z jego objęć i osunęłam na podłogę, po czym natychmiast wstałam, zaprawiłam go barkiem w krocze, a potem z całej siły uderzyłam pięścią w brzuch.

Kishan upadł, skulił się i przekręcił na bok. Ren wybuchnął głośnym śmiechem i zdzielił go po plecach.

— Sam tego chciałeś! „Nie myśl, po prostu reaguj"! O, człowieku! Szkoda, że nie mam aparatu!

Trzęsłam się z wysiłku. Udało mi się, ale nadal byłam pewna, że nie dałabym rady więcej niż jednemu napastnikowi. Jak pomogę Ilenowi, skoro sama ledwo potrafię się bronić?

— Kishanowi nic nie będzie? — spytałam.

— Nic się nie stało. Po prostu daj mu chwilę.

Ren był zachwycony moim małym zwycięstwem. Kishan wstał, krzywiąc się.

— Dobrze, Kelsey. Gdybym był normalnym człowiekiem, nie podniósłbym się przez co najmniej dwadzieścia minut.

Poczułam, jak kręci mi się w głowie.

— Hmm, chłopaki, czy możemy skończyć na dzisiaj? Słabo mi. Chyba powinnam wziąć aspirynę. Pamiętajcie, że ja nie odzyskuję sił tak szybko jak wy.

Ren spowaźniał, dotknął mojej głowy i natrafił na spory guz. Uparł się, że zanieś mnie do samochodu, chociaż mogłabym dojść sama. Kiedy dotarliśmy do domu, posadził mnie na kanapie, mocno szturchnął Kishana w żołądek, tak dla zasady, po czym przyniósł z kuchni worek lodu, który przyłożył mi do głowy.

Po dwóch tygodniach treningów zaczęłam czuć, że w wypadku niespodziewanego ataku będę w stanie zachować spokój i myśleć t rzeźwo. Kishan i Ren nabrali zwyczaju patrolowania nocą najbliższej okolicy, żeby mieć pewność, że nikt nie wśliznie się ukradkiem do domu.

Pod przednim siedzeniem samochodu Kishana schowałam plecak z ubraniami i innymi niezbędnymi w nagłym wypadku rzeczami. Ryły tam również dokumenty podrózne, pled babci, rubinowe kolczyki i Fanindra. Ren i Kishan spakowali mi również pieniądze w kilku różnych walutach, a pod drugim siedzeniem ukryli swoje własne bagaże. Zaparkowali auto mniej więcej dwa kilometry od głównej drogi i zamaskowali je stosem gałęzi.

Przez cały czas miałam na sobie amulet i bransoletkę od Rena, martwiłam się jednak o kolekcję wstążek. Nie chciałam, żeby coś im się stało, gdybyśmy musieli nagle wyjechać z miasta. Ren zasugerował, by wysłać je w paczce panu Kadamowi, posłaliśmy więc całe pudełko wstążek i kilka innych cennych dla mnie rzeczy do Indii.

Trudno było nam zachować swobodny nastrój, ponieważ wszyscy mieliśmy złe przeczucia. Kishan spędzał z nami wieczory na oglądaniu filmów i zazwyczaj zjadał cały popcorn, co denerwowało Rena. Ren jadł dużo, ale jego brat — dwa razy więcej. Dostawca z supermarketu myślał pewnie, że prowadzimy pensjonat, sądząc po ilościach zamawianego co tydzień jedzenia.

W pewną marcową sobotę zaproponowałam braciom wycieczkę do Tillamook<sup>1</sup>. Pogoda miała być wyjątkowo słoneczna jak na tę porę roku. Wprawdzie istniała duża szansa, że się popsuje, lecz uznałam, że oregońskie plaże są piękne nawet w deszczu. Ren przekonał się do mojego pomysłu w stu procentach, gdy tylko wspomniałam o lodach o smaku masła orzechowego.

Spakowaliśmy do hummera ubrania na zmianę oraz cukierki-pianki do upieczenia nad ogniskiem. Ruszyliśmy w stronę Lincoln City, gdzie skręciliśmy na autostradę 101, biegnącą wzdłuż wybrzeża. Okolica była bardzo malownicza. Gdy tylko otworzyłam okna, oba tygrysy wystawiły nosy na zewnątrz, wężąc zapach oceanu. Zaparkowałam przed słynnym sklepikiem w Fabryce Sera, jak najdalej od tłumów odwiedzających.

— Zobaczmy się w środku.

Włożyłam lekką kurtkę. Wbrew optymistycznej prognozie, niebo było szare i tylko co jakiś czas przez warstwę chmur prześwitywały promienie słońca. Wiał lekki wietrzyk, ale na razie nie zanosilo się na deszcz. Weszłam do sklepu i zaczęłam oglądać rozmaite rodzaje serów na wystawie.

Ren splótł palce z moimi. Miał na sobie jasnobłękitny sweter z kapturem i wielkim smokiem na piersi.

Dotknęłam palcem nadruku.

— Gdzie go kupiłeś?

Ren wzruszył ramionami.

— W sieci. Ostatnio jestem specem od zakupów przez internet.

— Hmm. Podoba mi się. Ren uniósł brew.

— Naprawdę. Ech... — westchnęłam. — Lepiej trzymaj się z daleka od lodów.

Ren wyglądał na urażonego.

— A to czemu?

i Tillamook — niewielka miejscowość w stanie Oregon, położona nad Oceanem Spokojnym.

— Bo istnieje niebezpieczeństwo, że roztopią się, kiedy tylko podejdziesz, a to może doprowadzić Kishana do płaczu. Zobacz, kasjerki już się za tobą oglądają.

— Być może nie zwróciłaś uwagi na wpatzonego w ciebie młodego dżentelmena za ladą. Wyglądał na bardzo zawiedzionego, kiedy innie zobaczył.

— Ty kłamczuchu!

— Nie kłamię, spójrz.

Zerknęłam na chłopaka za kasą. Rzeczywiście nam się przyglądał.

— Pewnie boi się, że zjemy za dużo darmowych próbek.

— Nie sądzę, Kelsey.

Podeszliśmy do lady lodziarni, gdzie unosił się zapach świeżo upieczonych wafli. Kishan zdążył już zamówić trzy gałki o smaku sernika jagodowego, czekolady z pomarańczami i piwa korzennego.

— Interesujący zestaw, Kishanie.

Uśmiechnął się od ucha do ucha znad swojego ogromnego wafła, po czym jednym kęssem pochłonął połowę gałki o smaku piwa korzennego. Ren był następny w kolejce, ale najwyraźniej miał jakiś dylemat.

— Nie mogę wybrać.

— Między czym a czym?

— Czekoladą z masłem orzechowym a brzoskwiniami ze śmietanką.

— Uwielbiasz masło orzechowe. Wybór powinien być prosty.

— Ach, to prawda. — Zniżył głos do szeptu. — Ale jeszcze bardziej przepadam za brzoskwiniami ze śmietanką.

Pocałował mnie w policzek i zamówił dwie gałki o smaku brzoskwiń ze śmietanką. Ja poprosiłam ekspedienta o podwójną porcję lodów o smaku masła orzechowego oraz o moje ulubione czekoladowe i obiecałam Renowi, że oddam mu połowę porcji. Zamówiłam jeszcze orzechową polewę i zapłaciłam rachunek.

Wyszliśmy z lodziarni i wkrótce dotarliśmy na plażę, pustą z powodu chmur i dość niskiej temperatury. Towarzyszyły nam tylko mewy i głośny szum zimnych fal oceanu. Lodowata błękitna woda oblewała szary piasek i rozbryzgiwała się na czarnych kamieniach, liył to ocean Północnego Zachodu: piękny, chłodny, ciemny. Zupełnie inny od tego przy plażach Południowej Kalifornii czy Florydy. W dali fale przecinała niespiesznie rybacka łódka.

Ren rozłożył na piasku duży koc i zaczął układać stos drewna, który już wkrótce zajął się trzaskającym płomieniem. Księżę usiadł

obok mnie. Jedliśmy, śmialiśmy się i dyskutowaliśmy o sztukach walki. Ren klócił się z Kishanem o różne style i ich zastosowanie w konkretnych sytuacjach.

W końcu zamilkli. Ren zaproponował mi spacer po plaży. Ściągnęliśmy buty, wzięliśmy się za ręce i ruszyliśmy w stronę położonych kilometr dalej czarnych skał, pozwalając, by chłodna woda obmywała nam bose stopy.

— Lubisz ocean? — spytał Ren.

— Lubię na niego patrzeć albo wybrać się w rejs, ale przeraża mnie myśl o pływaniu w pław. Mogę najwyżej brodzić tuż przy brzegu.

— Czemu? Zdawało mi się, że uwielbiasz morskie historie.

— Owszem, o oceanach napisano wiele wspaniałych książek, choćby *Robinsona Crusoe*, *20000 mil podmorskiej żeglugi*, *Wyspę skarbów* czy *Moby Dicka*.

— Czemu więc się boisz?

— Odpowiedź jest prosta: rekiny.

— Rekiny?

— Tak. Wygląda na to, że nigdy nie widziałeś filmu *Szczęki*. — Westchnęłam. — Wiem, że statystycznie rzecz biorąc, bardzo mały odsetek plażowiczów kończy w paszczy rekina, ale sam fakt, że pływając, nie widzę tego, co czai się pod wodą, mocno mnie przeraża.

— Ale baseny są w porządku.

— Tak. Uwielbiam pływać, po prostu widziałam w telewizji zbyt wiele programów o rekinach, żeby czuć się swobodnie w oceanie.

— Może zmienisz zdanie, kiedy spróbujesz nurkowania?

— Może, chociaż wątpię.

— Ja bardzo chciałbym spróbować.

— Nic nie stoi na przeszkodzie.

— Wiesz co, statystycznie rzecz ujmując... istnieje większe prawdopodobieństwo, że zostaniesz pożarta przez tygrysa.

Próbował chwycić mnie ze ręce, ale wyrwałam się ze śmiechem.

— Ten tygrys musiałby mnie najpierw złapać.

Ruszyłam przed siebie pędem, a Ren roześmiał się i zaczął mnie gonić po piasku, starając się mnie złapać. Przez chwilę pozwolił mi uciekać, choć z łatwością mógł mnie dogonić. W końcu poderwał mnie do góry i przerzucił sobie przez ramię.

Roześmiałam się.

— Chodź, tygrysie, zaczyna się przypyływ, a my zostawiliśmy Kishana samego.

Ren zaniósł mnie z powrotem i posadził na kocu. Wyjęłam pianki, żeby upiec je nad ogniskiem, a Ren zaproponował Kishanowi wyścig do skał i z powrotem.

— No dalej, pierwszy, który będzie z powrotem, wygrywa.

— A jaka jest nagroda?

— Może pierwsza pianka? — powiedziałam. Kishan pokręcił głową.

— A może pocałunek od Kelsey? Ren nachmurzył się.

— Ee, to chyba kiepski pomysł - rzuciłam pośpiesznie. Kishan jednak był uparty.

— Pomysł jest świetny, Kelsey. Ren będzie miał motywację, żeby się postarać. No chyba że nie liczy na zwycięstwo.

— Nie przegram — warknął Ren. Kishan szturchnął go palcem w pierś.

— Nie masz szans.

— W porządku, przekonajmy się.

— Chłopaki, ja naprawdę myślę, że...

— Start!

Obaj pomknęli przed siebie z taką prędkością, że wyglądali jak dwie rozmazane smugi na piasku. Zapomniałam o piankach i wstałam, żeby przypatrywać się wyścigowi. Kishan był jak błyskawica, ale Ren też potrafił szybko biegać. Deptał bratu po piętach. Gdy zawrócili przy skale, Ren ściał zakręt i wyprzedził Kishana. W połowie drogi Kishan chwycił go za kaptur, pociągnął i popchnął na piasek. Ren upadł, ale szybko się podniósł i pędem ruszył przed siebie z zaciętym wyrazem twarzy. Przebierał nogami szybciej, niż się to wydawało możliwe. Piasek pryskał mu spod stóp. Wkrótce Ren biegł łeb w łeb z bratem. Kishan wygrał wyścig przewagą zaledwie paru metrów.

Ren był wściekły. Kishan roześmiał się i odepchnął go na bok, by odebrać swoją nagrodę.

Stałam na palcach i cmoknęłam go w policzek. Ren rozluźnił się nieco. Podniósł z ziemi kamień i cisnął go do wody.

— Oszukiwałeś — mruknął.

— Wygrałem, bo wiem, co zrobić, by wygrać - odparł Kishan. -Oszukiwanie nie ma tu nic do rzeczy. Cel uświęca środki. A przy okazji, nie taką nagrodę miałem na myśli.

Chwycił mnie za łokieć, obrócił, teatralnym gestem przechylił do tyłu i pocałował.

Więcej w tym było aktorstwa niż uczucia, ale Ren nie posiadał się ze złości.

- Puszczaj ją...

Kishan postawił mnie prosto. Cofnęłam się o krok, a wtedy Ren uderzył brata głową w brzuch, skutecznie ucinając dźwięczny wybuch śmiechu, i powalił go na piasek. Przez kolejne dziesięć minut, porykując, tarzali się po plaży. Postanowiłam się me wtrącać. Wyglądało na to, że braterskie przepychanki to ich ulubiony sposób spędzania wolnego czasu.

Kiedy się uspokoiłi, usiedliśmy wszyscy razem i zajadaliśmy pieczone pianki. Ren położył mi głowę na kolanach. Delikatnie odgarnęłam mu włosy z czoła i powiedziałam:

- Przecież wiesz, że on tylko żartował. Specjalnie się z tobą drażni.

- Wcale nie jestem pewien, czy żartował. Przysięgam, jeśli dalej będzie cię podrywał, to nie ręczę za siebie. Hej, to jest pyszne, tylko przydałoby się trochę...

- ... masła orzechowego - dokończyliśmy chórem.

Ren parsknął śmiechem, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

- Masz klejące paluchy! I usta też! - krzyknęłam.

Ren zasypał mnie gradem lepkich pocałunków. Roześmiałam się, zepchnęłam go z kolan i wstałam szybko. Skoczył na równe nogi, żeby mnie złapać, gdy nagle rozległ się sygnał mojego telefonu. Dzwonił Jason.

- Cześć, Jason. Co słyhać?

- Nic, tylko jacyś faceci przyszli wczoraj na uczelnię i pytali o ciebie. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć. Mówili, że są z kancelarii prawniczej i mają jakieś nowiny dotyczące testamentu twoich rodziców.

- Rozumiem. Jak wyglądali?

- Wysocy, drogie garnitury. Nawet wzbudzali zaufanie, ale nic im nie powiedziałem. Uznałem, że wcześniej powinienem z tobą porozmawiać.

- Dobrze, dziękuję, Jason. Miałaś rację, że nic im nie mówiłeś.

- Kelsey, czy ty wpadłaś w jakieś kłopoty? Wszystko w porządku?

- Wszystko jest okej. Nie martw się.

- No dobrze, w takim razie do zobaczenia.

- Cześć.

Zamknęłam klapkę telefonu. Spojrzałam na Rena, a on na mnie. Oboje wiedzieliśmy, co się stało. Lokesh mnie znalazł. Usłyszałam cichy głos Kishana, a kiedy się odwróciłam, dostrzegłam, że rozmawia przez telefon, zapewne z panem Kadamem.

Natychmiast zaczęłam pakować rzeczy. Nagle atmosfera zupełnie się zmieniła. Plaża, jeszcze niedawno przyjazna i bezpieczna, nagle wydała mi się ponura, mroczna i złowroga. Niebo zasnuwały złowieszcze, ciężkie chmury. Wiał zimny wiatr. Zadrżałam.

Ren i Kishan zgodnie uznali, że skoro Jason nic nie powiedział facetom, którzy pojawili się w kampusie, to raczej nie zdołali jeszcze znaleźć naszego domu. Postanowiliśmy wrócić tam jak najszybciej, załatwić ostatnie sprawy i natychmiast wyjechać z Oregonu.

Po drodze zadzwoniłam do Mike'a i Sary. Oświadczyłam im, że wracam do Indii. — Pan Kadam dokonał ważnego odkrycia i potrzebuje mojej pomocy. Ren jedzie ze mną. Odezwę się, jak tylko wyląduję.

Następnie zatelefonowałam do Jennifer, której opowiedziałam tę samą historię. Choć nie mówiła tego wprost, podejrzewała chyba, że mam zamiar uciec, by wziąć z Renem potajemny ślub, i wyraźnie starała się dać mi do zrozumienia, że powinnam jej o tym powiedzieć. W końcu uwierzyła i obiecała przekazać moją wersję wydarzeń Li. Uważnie pilnowałam, by nie wymknęła mi się nazwa miasta ani informacja o tym, jak długo mnie nie będzie. Starałam się ujawniać jak najmniej szczegółów.

Kiedy się rozłączyłam, Ren zapewnił mnie, że moja rodzina jest bezpieczna. Powiedział, że pan Kadam zorganizował dla Sary, Mike'a i dzieciaków wakacje niespodziankę: trzytygodniową, całkowicie darmową wycieczkę na Hawaje, która jednak dojdzie do skutku jedynie pod warunkiem, że wyjadą natychmiast. Wycieczka miała być nagrodą w loterii zorganizowanej przez firmę produkującą ich ulubione obuwie sportowe.

Przez całą drogę do domu spoglądałam nerwowo w lusterko, ze strachem, że w każdej chwili mogą się za nami pojawić luksusowe czarne auta, a siedzące w środku typy spod ciemnej gwiazdy zaczną do nas strzelać. Właściwie powiedzieć, że się bałam, to mało. Spotkałam już w życiu zjawy i demony, ale do współczesnych bandziorów z krwi i kości miałam zupełnie inny stosunek. Mogłam sobie wmawiać, że upiory w Kiszkindzie w rzeczywistości nie istnieją, lecz prawdziwi ludzie, którzy porywają, torturują i mordują, znacznie bardziej mnie przerażali.

Gdy dotarliśmy na miejsce, wjechałam do garażu i poczekałam 1 am, aż bracia sprawdzą, czy w domu jest bezpiecznie. Ren wrócił po dziesięciu minutach. Położył palec na ustach i cicho otworzył drzwi z mojej strony. Miał na sobie ciemny strój, ciężkie buty i czarną kurtkę.



— Co się dzieje? — spytałam szeptem.

— Ktoś był w domu, w obu domach — odszepnęła Ren. — Wszędzie czuję ich zapach, ale nic nie zginęło. Teraz nikogo nie ma, więc idź na górę, przebierz się szybko w ciemne rzeczy i wygodne buty. Spotkamy się na dole. Kishan obserwuje drzwi. Wyjdziemy tyłem, pobiegniemy okrężną drogą do samochodu Kishana i pojedziemy prosto na lotnisko.

Pokiwałam głową, pomknęłam do domu i wbiegłam po schodach na górę. Umyłam twarz, założyłam ciemne dżinsy, czarny sweter oraz adidasy. Chwyciłam kurtkę i zbiegłam na dół, gdzie czekali na mnie Ren i Kishan.

Kishan poprowadził nas po cichu do mieszkania Rena. Obaj bracia uzbroili się w oręż z mojej paczki od pana Kadama. Kishan zatknął sobie za pasek trzyczęściowe nunczako, Ren zaś kilka japońskich sztyletów. Tylnymi drzwiami wyszliśmy na zewnątrz i wkroczyliśmy do lasu. Kishan zatrzymywał się co chwilę, węsząc i szukając śladów na ziemi. Od samochodu dzieliło nas mniej więcej półtora kilometra. Każdy szelest czy trzask pękającej gałązki sprawiał, że podskakiwałam nerwowo. Wciąż oglądałam się za siebie, w oczekiwaniu na atak. Czułam swędzenie między łopatkami, zupełnie jakby ktoś nas obserwował.

Po pięciu minutach drogi Kishan nagle znieruchomiał. Gestem pokazał nam, żebyśmy przykucnęli między paprociami. Ktoś szedł po naszych śladach. Nawet ja go słyszałam, co oznaczało, że jest blisko.

— Na mój sygnał uciekajcie — szepnęła Kishan, a po kilku pełnych napięcia minutach syknął: — Teraz!

Pognaliśmy za nim w głąb lasu. Starłam się poruszać jak najciszej, ale wciąż bałam się, że ten, kto nas śledzi, mnie usłyszy. Straciłam kontrolę nad tym, jak stawiam stopy, i co chwilę następowałam na gałęzie, które łamały się z trzaskiem, bądź ślizgałam się na wilgotnym poszyciu. Gdy wybiegliśmy na polanę, Kishan znieruchomiał i syknął:

— Pułapka!

Odwróciliśmy się za siebie. Mężczyzna, który za nami biegł, dogonił nas i odciął drogę powrotną. Kishan błyskawicznie ruszył w jego stronę. Gdy był kilka metrów od nieprzyjaciela, wyciągnął nunczako i wziął zamach. Spodziewałam się, że broń jest ciężka i nieporęczna, ale w rękach księcia zawirowała jak śmigło helikoptera. Kishan zwałił przeciwnika z nóg, po czym skoczył i przyłożył leżącemu zbirowi w plecy i tył głowy. Następnie jednym ruchem nadgarstka zwinął broń i zatknął ją z powrotem za pasek.

Mężczyzna już się nie podniósł.

Ren chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. Zatrzymaliśmy się pod kępą drzew. Ren wepchnął mnie za zwalony pień, zakazał się ruszać i pobiegł do Kishana. Stał niedaleko brata, w pełnej gotowości. Dostrzegłam błysk japońskich sztyletów. Obaj bracia czekali, ze wzrokiem wbitym w leśną gęstwinę.

W pobliżu pojawili się kolejni napastnicy. To, co nastąpiło, me przypominało cywilizowanej walki w zaciszu sali treningowej. To była prawdziwa bitwa. Wojna. Ren i Kishan wyglądali jak dwaj superżołnierze. Na ich twarzach nie malowały się żadne emocje. Poruszali się szybko i sprawnie. Nie marnowali energii. Byli zgrani jak para morderczych baletmistrzów - Ren ze sztyletami i Kishan z nunczako. Powalili na ziemię co najmniej tuzin facetów, ale wtedy zza drzew wyłonił się następny tuzin.

Ren zaprawił jednego z napastników łokciem w tchawicę. Gdy mężczyzna zgiął się wpół, Ren poszybował w górę, przeleciał nad nim, obrócił się i kopnął stojącego obok zbira w twarz. Kishan był nie mniej brutalny. Złamał rękę jednemu z bandziorów, jednocześnie kopiąc drugiego w kolano. Usłyszałam okropny chrzęst pękającej kości, potem wrzask i obaj przeciwnicy osunęli się na ziemię. Zupełnie jakbym znalazła się w samym środku jednego z filmów, których tyle obejrzelśmy z Li, tyle że tym razem krew i niebezpieczeństwo były prawdziwe.

Gdy żaden z napastników nie był już w stanie się podnieść, bracia podbiegli do mojej kryjówki.

- Jest ich więcej - stwierdził krótko Kishan.

Biegiem ruszyliśmy przed siebie. Ren podniósł mnie i przerzucił sobie przez ramię. Nawet tak obciążony biegł szybciej niż ja. Bracia pędzili ile sił w nogach, lecz udawało im się stąpać bezszelestnie. Kishan zwolnił i zajął pozycję na tyłach. Po dziesięciu minutach wydawało mi się, że udało nam się uciec, gdy nagle usłyszałam serię dziwnych świstów i trzasków. Coś uderzało w drzewa wokół nas.

Ukryliśmy się za zwalonym pniem.

- Strzelają do nas? - szepnęłam.

- Nie - odparł cicho Kishan. - W każdym razie nie nabojami. Naboje brzmią inaczej. Siedzieliśmy przyczajeni. Oddychałam głośniejsz niż bracia, chociaż to oni powinni być bardziej zdyszani. Czekaliśmy. Ren i Kishan nasłuchiwali uważnie. Chciałam zadać im pytanie, ale Ren przycisnął palec do ust.

Bracia porozumiewali się za pomocą gestów, których nie potrafiłam zrozumieć, choć przyglądałam im się uważnie. Ren zatoczył palcem kółko, a wtedy Kishan wręczył mu nunczako, zmienił się w tygrysa i bezszelestnie zniknął między drzewami.

Pytającym gestem wskazałam na miejsce, w którym pogrzyżył się w gęstwinie. Ren przycisnął usta do mojego ucha i ledwo dosłyszalnym szeptem wyjaśnił:

— Odciągnie ich uwagę.

Przesunął mnie w wydrażoną część drzewa i zasłonił własnym ciałem.

Kucałam w napięciu, z twarzą wciśniętą w jego pierś, przez bardzo długi czas — przynajmniej tak mi się zdawało. Nagle usłyszałam przeraźliwy ryk. Ren objął mnie i wyszeptał:

— Poszli za nim. Są jakiś kilometr od nas. Ruszajmy.

Wziął mnie za rękę i zaczął prowadzić w stronę ukrytego samochodu Kishana. Staralam się zachowywać jak najciszej. Po kilku minutach drogę zastąpiła nam jakaś ciemna sylwetka. Kishan zmienił się w człowieka i powiedział:

— Są wszędzie. Odwiodłem ich tak daleko, jak się dało, ale wygląda na to, że Lokesh wysłał za nami całą armię.

Po kolejnych dziesięciu minutach Kishan znieruchomiał i zaczął węszyć. Ren zrobił to samo. Nagle z drzew skoczyło na nas kilku facetów: po linach już spuszczała się kolejni. Dwóch z nich złapało mnie, odciągnęło od Rena i trzymało mocno, podczas gdy pięciu innych zaatakowało księcia. Ren zaryczał wściekle i zmienił się w tygrysa. Napastników najwyraźniej wcale to nie zdziwiło. Kishan już od paru chwil walczył jako tygrys i zdążył w tym czasie powalić kilku z nich na ziemię.

Ren stanął na tylnych łapach, a przednimi oparł się o ramiona przeciwnika i zaryczał mu prosto w twarz. Wgryzł mu się w szyję, powalił na ziemię, dał susa i odbił się od jego ciała. Wyskoczył w powietrze i przejechał pazurami przez klatki piersiowe dwóch zbirów. Miał zjeżoną sierść i szczyrzył zakrwawione zęby. Jego ogon poruszał się sztywno jak dźwignia. Skoczył i wylądował na plecach faceta atakującego Kishana, unieruchamiając go samym ciężarem swojego ciała.

Wyrывałam się, ale bandziory trzymały mnie mocno. Kishan ryknął. Jeden ze zbirów wyciągnął broń przypominającą widły zakończone elektrycznym paralizatorem. Czarny tygrys obrócił się, wytrącił mu broń i złamał ją na pół. Następnie skoczył na przeciwnika,

powalił go na ziemię, wgryzł mu się w bark i uniósł w powietrze, szarpiąc zębami, aż mężczyzna przestał się ruszać, po czym gwałtownym ruchem głowy rzucił go w pobliskie krzaki. I<sup>o</sup>tem stanął na tylnych łapach jak niedźwiedź, zaatakował kolejnego bandziora i warknął, szczerząc ociekające krwią zębiska.

Ren przez cały czas usiłował się do mnie zbliżyć, ale kolejni przeciwnicy stawali mu na drodze. Gdy rzucił jednego z nich tuż pod nasze nogi, wykorzystałam moment nieuwagi trzymającego mnie bandziora i z całej siły kopnęłam go w krocze, jednocześnie wymierzając drugiemu łokciem cios w żołądek. Napastnik zgiał się wpół, ale przez cały czas ścisnął moje ramię. Uderzył mnie w skroń, tak że straciłam ostrość widzenia.

Usłyszałam straszliwy ryk Rena. Wyrываłam się, ale czułam, że t racę przytomność. Napastnik trzymał mnie przed sobą jak przynętę. I<sup>o</sup>otrząsał mną brutalnie, usiłując w ten sposób sprowokować tygrysy, i niestety mu się udało. Ren i Kishan wciąż próbowali dostać się do mnie i co chwilę zerkali w moją stronę, przez co przeciwnikom było łatwiej zająć ich od tyłu.

Wciąż pojawiali się nowi napastnicy, najwyraźniej wezwani na pomoc. Wszyscy byli uzbrojeni. Jeden z nich wyciągnął pistolet i strzelił do Rena strzałką, która ugodziła go w szyję i sprawiła, że na chwilę zachwiał się na nogach. Fala wściekłości, która mnie zalała, sprawiła, że znów ujrzałam wszystko wyraźnie. Poczułam przypływ siły. Uderzyłam napastnika głową w nos i z satysfakcją usłyszałam dźwięk łamanej chrząstki. Oprych wrzasnął i rozluźnił uścisk na tyle, że udało mi się wyrwać. Popędziłam do Rena, który zmienił się w człowieka. Trafiony kolejną strzałką, wciąż stał na nogach, ale poruszał się wolniej. Zaczęłam wyciągać strzałki z jego ciała, ale on odepchnął mnie do tyłu.

- Kelsey! Cofnij się! Teraz!

Kolejna strzałka ugodziła go w udo. Zachwiał się i upadł na jedno kolano.

Bandziory otoczyły go. Wiedząc, że jestem w pobliżu, Ren robił wszystko, by utrzymać ich z daleka ode mnie.

Kishan wpadł w furję i masakrował przeciwników, starając się do nas zbliżyć, ale było ich coraz więcej i więcej. Sam ledwo sobie radził i nie był w stanie mi pomóc. Staralam się odwieść oprychów od Rena, ale byli zbyt rośli i silni. Wyglądali na zawodowych żołnierzy i przez większość czasu nie zwracali na mnie szczególnej uwagi, koncentrując się na dwóch groźniejszych przeciwnikach. Odganiaли mnie jak natrętą muchę. Gdybym tylko była uzbrojona...

Ogarnęła mnie rozpacz. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby pomóc Renowi. Książę rozprawił się właśnie z ostatnim z otaczających nas napastników i upadł na kolana, dysząc ciężko. Wokół nas leżały sterty ciał. Część bandziorów nie żyła, część była ranna, a jednak wciąż zjawiali się kolejni. Widziałam, jak podkradają się coraz bliżej, wszyscy wpatrzeni w znużonego mężczyznę obok mnie.

Strach o życie Rena dodał mi sił. Jak matka chroniąca swoje dziecko zasłoniłam go własnym ciałem, zdeterminowana, by powstrzymać zbliżających się napastników albo przynajmniej utrudnić im zadanie.

W naszą stronę skradał się ponad tuzin bandziorów. Większość z nich była uzbrojona. Poczułam wewnętrzny ogień, potrzebę obrony ukochanego mężczyzny. Zatrzęsłam się z wściekłości. Stałam twarzą w twarz z najbliższym napastnikiem i spojrzałam na niego złowrogo. Uniósł broń, a ja obronnym gestem podniosłam rękę. Poczułam straszliwe gorąco wędrujące mi przez ramię w stronę dłoni. Nagle wyblakłe dotąd rysunki szamana Pheta rozjarzyły się purpurą. Z mojej dłoni wystrzeliła błyskawica i trafiła w napastnika, uniosła go i cisnęła nim o drzewo tak mocno, że aż się zatrzęsło. Zmasakrowany bandzior osunął się na ziemię.

Nie miałam czasu rozważyć, co się stało. Zwróciłam się w stronę kolejnych napastników. Gniew gotował się we mnie, w myślach krzyczałam, że nie pozwolę skrzywdzić tych, których kocham. Zachwycona nowo odkrytą mocą, zaczęłam unicestwiać wrogów, jednego po drugim.

Nagle coś ukłuło mnie w ramię, a potem w bark. Rolało jak ugryzienie osy, ale ręka zamiast piec, zaczęła mi drętwieć. Krążący w moich żyłach ogień zgasł i upadłam na ziemię obok Rena, który nadal walczył, starając się odpierać napastników, chociaż trafiło go już kilka strzałek. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Czulałam, że tracę przytomność.

Ren podniósł mnie i usłyszałam jego krzyk:

— Kishan! Zabierz ją stąd!

— Nie... — wymamrotałam resztką sił.

Poczułam jego usta muskające mój policzek i usłyszałam niewyraźny szept, a potem poczułam na sobie mocny uścisk ramion.

— Uciekaj! — wrzasnął Ren.

Ktoś w pośpiechu unosił mnie przez gęstwinę drzew, ale nie widziałam, by Ren biegł za nami. Nadal walczył, coraz ciaśniej otoczony przez napastników. Znowu zmienił się w tygrysa. Usłyszałam

jego ryk, pełen wściekłości i bólu, i choć rzeczywistość ledwo do mnie docierała, wiedziałam, że nie był to ból fizyczny, ponieważ ja czułam to samo. Straszliwa, rozrywająca serce rozpacz, którą słyszałam w jego głosie, spowodowana była tym, że mu mnie odebrano. Nie mogłam już powstrzymać opadających powiek.

Wyciągnęłam rękę, słabo chwytając powietrze, i poprzez wszechogarniającą mgłę niemocy wychrypiałam: - Ren! Nie!

A potem zapadła ciemność.

## POWRÓT DO INDII

Obudził mnie głęboki, głuchy szum silnika. Ból rozrywał mi głowę, a na języku czułam dziwny smak. Wiedziałam, że stało się coś bardzo złego, choć wciąż nie byłam w stanie pozbierać myśli. Pragnęłam się obudzić, ale przeczuwałam, że po drugiej stronie świadomości czeka na mnie nowy koszmar, pozwoliłam więc sobie na to, żeby jeszcze na moment zanurzyć się w mętną ciemność i ukryć w niej jak tchórz. Potrzebowałam punktu zaczepienia.

Leżałam na łóżku. Czułam wokół siebie miękką pościel. Niepewnie wyciągnęłam rękę. Moje palce natrafiły na kosmaty łeb. Ren. Był ze mną. To właśnie jego obecności potrzebowałam, żeby powstać z mroku i ruszyć w stronę światła.

Z trudem podniosłam powieki.

— Ren? Gdzie ja jestem? — Bolały mnie wszystkie części ciała. Ujrzałam nad sobą ładną kobiecą twarz.

— Kelsey? Jak się czujesz?

— Nilima? Och... jesteśmy w samolocie.

Nilima przyłożyła mi do czoła chłodną, moką szmatkę.

— Uciekliśmy im. Tak się cieszę — wymamrotałam. Poglaskałam kosmaty łeb.

Nilima zerknęła przelotnie na tygrysa siedzącego obok mnie i skinęła głową.

— Przyniosę ci wodę, Kelsey.

Odeszła, a ja znów zamknęłam oczy, przykładając dłoń do pulsującego bólem czoła.

- Tak się bałam, że ci się nie uda - szepnęłam. - Ale to już nieważne. Mieliliśmy wielkie szczęście. Nie rozstawajmy się już nigdy więcej. Wolałabym, żeby schwytali nas oboje, niż żebyśmy mieli zostać rozdzieleni.

Zanurzyłam palce w jego futrze. Nilima wróciła z wodą. Pomogła mi wstać.

Wypiłam wodę, a potem narzuciłam sobie mokry ręcznik na twarz.

- Proszę... przyniosłam ci aspirynę - powiedziała.

Z wdzięcznością połknęłam tabletkę i spróbowałam znów otworzyć oczy.

Spojrzałam na zatroskaną twarz Nilimy i uśmiechnęłam się.

- Dzięki. Od razu lepiej się czuję. Przynajmniej wszyscy zdołaliśmy uciec. To najważniejsze. Prawda?

Spojrzałam na tygrysa. Nie. Nie! Zaczęłam gwałtownie łapać powietrze. Płuca jakby odmówiły mi posłuszeństwa.

- Nie! Kishan! Gdzie jest... - wychrypiałam błagalnym tonem. -Gdzie on jest?

Powiedz, że go nie zostawiliśmy! Ren!? - krzyknęłam. - Ren? Jesteś tu? Ren? Ren?

Czarny tygrys spoglądał na mnie smutnymi złotymi oczami. Zwróciłam się do Nilimy i chwyciłam ją za rękę.

- Nilimo! Mów! Czy on tu jest?

Dziewczyna potrząsnęła głową ze łzami w oczach. Obraz zamazał się i zrozumiałam, że i ja płaczę. Desperacko uczepliłam się jej ręki.

- Nie! Musimy wrócić! Powiedz, żeby zawrócili samolot! Nie możemy go tak zostawić! Nie możemy!

Nilima patrzyła na mnie w milczeniu. Zwróciłam się do tygrysa.

- Kishanie! To nie w porządku! On by cię nie zostawił! Będą go torturować! Zabijają go! Musimy coś zrobić! Nie możemy na to pozwolić!

Kishan zmienił się w człowieka i przysiadł na łóżku. Spojrzał na Nilimę i skinął głową. Dziewczyna wyszła i zostawiła nas samych. Księżę przemówił cicho, trzymając mnie za rękę.

- Kelsey, nie było wyboru. Gdybyśmy go nie zostawili, wszyscy wpadlibyśmy w ich łapy.

Uparcie pokręciłam głową.

- Nieprawda! Mogliśmy na niego poczekać.

- Nie mogliśmy. Do mnie też strzelali usypiaczem. Trafili tylko raz, a i tak, mimo że szybko się regeneruję, ledwo dobiegłem do samolotu. Ren dostał co najmniej sześć razy. To niezwykle, że jeszcze trzymał się na nogach. Dzielnie walczył i dzięki niemu zyskaliśmy czas.



Ścisnęłam jego dłoń, a po brodzie spłynęły mi łzy.

- Czy on... - Załkałam. - Zabili go?

- Nie sądzę. Nie mieli prawdziwej brom, tylko te strzałki i paralizatory.

Najwyraźniej rozkazano im pojmać nas żywcem.

- Nie możemy im na to pozwolić, Kishame. Musimy mu pomóc.

- Pomożemy. Pan Kadam już szuka miejsca jego pobytu. Nie będzie łatwo. Lokesh ukrywał się przed nami setki lat. Mamy jednak pewną przewagę. Ren nie miał ze sobą amuletu, więc Lokesh może zechcieć dokonać wymiany.

- Świetnie. Dostanie amulet i odda nam Rena.

- Będziemy się o to martwić, kiedy przyjdzie czas, Kelsey. Na razie odpoczywaj. Za kilka godzin będziemy w Indiach.

- Tak długo spałam?

- Trafili cię dwa razy. Byłaś nieprzytomna przez piętnaście godzin.

- Czy ci bandyci gonili cię aż do samolotu?

- Próbowali. Na szczęście samolot był gotowy do odlotu. Jason prawdopodobnie uratował nam życie.

Pomyślałam o Renie, otoczonym ciasnym kręgiem napastników, i zakrztusiłam się szlochem. Kishan nachylił się, objął mnie i delikatnie poklepał po plecach.

- Przykro mi, Kelsey. Gdybym mógł, zamieniłbym się z nim. Żałuję, że me miałem na tyle siły, żeby uratować was oboje.

Moje łzy kapały na jego koszulę.

- To nie twoja wina. Gdyby nie ty, złapaliby i mnie. Usiadłam, pociągnęłam nosem i wytarłam łzy rękawem. Kishan pochylił się i spojrzał na moją zapłakaną twarz.

- Obiecuję ci, Kelsey, że zrobię wszystko co w mojej mocy, by go ocalić. Ren żyje, czuję to. Znajdziemy sposób, żeby pokonać Lokesha.

Żałowałam, że ja nie mam tej pewności. Pokiwałam głową, ścisnęłam jego dłoń i zapewniłam, że nic mi nie jest. Kishan zapytał, czy chcę coś zjeść, i choć miałam skurczony z nerwów żołądek, odpowiedziałam twierdząco. Wyraźnie mu ulżyło i poszedł porozmawiać z Nilimą.

Zastanawiałam się, czy mu wierzyć. Czy to możliwe, że Ren wciąż żyje? Od pierwszego dnia, gdy ujrzałam go w cyrku, nawiązała się między nami dziwna więź. Z początku słaba, z czasem rosła w siłę. Gdy wróciłam do Oregonu, przez cały czas ciągnęła mnie do mego. A przez ostatnie kilka miesięcy, gdy byliśmy sobie coraz bliżej, wzmocniła się jeszcze bardziej. Byliśmy częścią siebie. Czułam jego nieobecność, ale połączenie między nami wciąż było silne.

Wiedziałam, że Ren żyje. Moje serce nadal było z nim związane. To tii dawało nadzieję. Postanowiłam, że odnajdę go za wszelką cenę.

Nilima poprosiła, żebym coś zjadła. Postawiła przede mną kolację i szklanę wody z cytryną, którą sączyłam, myśląc, jak pomóc Renowi. Kishan zmienił się w tygrysa i ułożył u moich stóp. Obserwował mnie swoimi złotymi ślepiami, a ja pogłaskałam go po głowie, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy wylądowaliśmy, nadal nie miałam pojęcia, jak odnaleźć Rena, ale wiedziałam jedno: nigdy więcej nie dam się zaskoczyć. Następnym razem będę walczyć do końca. Teraz, gdy już zdaję sobie sprawę ze swojej niezwykłej siły, udoskonale ją. Postanowiłam również poprosić Kishana, by dalej uczył mnie sztuk walki, a może nawet używania broni. Być może i pan Kadam będzie ze mną trenował. Niezależnie od wszystkiego, póki żyję, już nigdy nie pozwolę, by odebrano mi kogoś, kogo kocham.

Pan Kadam wyszedł po nas na prywatne lotnisko. Uściskał mnie na powitanie.

— Panno Kelsey, tęskniłem za panią.

— Ja za panem też — odparłam, powstrzymując piekące łzy.

— Jedźmy do domu. Mamy wiele do omówienia.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Kishan zabrał mój bagaż na górę i zostawił mnie z panem Kadmem w jego barwnej bibliotece. Piękne mahoniowe biurko, zwykle idealnie uporządkowane, zawały książki i papiery. Przyjrzałam się notatkom, zrobionym eleganckim, starannym pismem.

— Czy udało się panu ustalić treść drugiej przepowiedni?

— Jestem już blisko, a to wszystko dzięki pani. Miejscem, które tak trudno było mi ustalić, okazały się Himalaje. Przez cały czas szukałem konkretnego szczytu, aż wreszcie zrozumiałem, że chodzi

o cały łańcuch górski. Pomógł mi w tym pani tekst dotyczący klimatu w Himalajach. Dzięki temu mój umysł się otworzył i doprowadził do nowych odkryć.

— Cieszę się, że mogłam pomóc. — Odłożyłam papiery na blat

i zapytałam cicho: — Co teraz zrobimy? Jak go znajdziemy?

— Uda nam się, panno Kelsey. Proszę się nie martwić. Jest nawet szansa, że on sam zdoła uciec i skontaktować się z nami.

Nagle coś przyszło mi do głowy.

— Czy Ren w niewoli będzie w stanie przeobrażać się w człowieka?

— Nie wiem. Wcześniej nie potrafił tego zrobić, ale przecież częściowo złamała pani zaklęcie. To mogło zmienić całą sytuację.

Pochyliłam ku niemu głowę.

— Chciałabym, żeby uczył mnie pan walczyć, tak samo jak kiedyś uczył pan chłopców.

Pan Kadam spojrział na mnie w zamyśleniu.

— Dobrze, panno Kelsey. Ale to będzie wymagało dyscypliny i wielu, wielu godzin treningu. Proszę nie oczekiwać, że dorówna pani Renowi i Kishanowi. Oni uczyli się całe życie, a tygrysia część ich natury czyni ich silniejszymi.

— W porządku. Jestem na to przygotowana. Mam zamiar poprosić również Kishana, by ze mną trenował. W ten sposób szybciej się czegoś nauczę.

Pan Kadam skinął głową.

— To dobry pomysł. Nie tylko zdobędzie pani nowe umiejętności, ale i nie będzie siedziała beczynn timer. Ja muszę dalej koncentrować się na swoich badaniach, ale z pewnością znajdę czas na codzienny trening. Mogę również zadawać pani ćwiczenia, które będzie pani wykonywać sama lub z Kishanem.

— Dziękuję. W badaniach również chciałabym panu pomóc. Mogę robić notatki, przyda się panu dodatkowa para oczu.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, by zacząć choćby dzisiaj. Pokiwałam głową. Usiedliśmy na skórzanej kanapie.

— Proszę mi opowiedzieć o tej mocy, którą pani w sobie odkryła. Kishan wyjaśnił mi, co się stało, ale pragnę teraz usłyszeć pani wersję wydarzeń.

— Chciałam stanąć w obronie Rena, byłam naprawdę wściekła. Trafili go tymi strzałkami, słał się na nogach i był coraz słabszy. Wiedziałam, że nie wytrzyma długo. Zasłoniłam go swoim ciałem. Rylał zdesperowana, wciąż pojawiali się nowi napastnicy. Nagle rozjarzył się we mnie ten ogień...

— Co pani czuła?

— Nagły przyływ niesamowitej mocy, jak płomień w piecyku gazowym, który po podkręceniu nagle wybucha. Miałam ściśnięty żołądek i płomień nie miał ujścia. Wędrował w górę, palił serce. Ogarnęła mnie ślepa furia i wyładowałam ją na napastnikach. Krew zagotowała mi się w żyłach, ale nie czułam bólu. Coś, buzując, popłynęło mi w dół ramienia, a rysunki na dłoni znów się pojawiły i zaświeciły na czerwono. Usłyszałam coś w rodzaju cichego trzasku, po którym ta dziwna moc wezbrała i wylała się ze mnie. Podniosła jednego z napastników w powietrze i z całej siły walnęła nim o drzewo.

— I to się powtórzyło jeszcze kilka razy?

— Tak. Rozłożyłam na łopatki kilku zbirów, ale trafili mnie środkiem usypiającym. Wtedy moc jakby się wypaliła.

— Czy błyskawice ich zabiły, czy tylko ogłuszyły?

— Mam nadzieję, że ogłuszyły. Niestety, nie zdążyłam się o tym przekonać. Wydaje mi się jednak, że ten, który uderzył w drzewo, był w kiepskim stanie. Dostał naprawdę mocno, to był mój pierwszy raz, poza tym byłam zdesperowana.

— Jestem ciekawy, czy powtórzy to pani przy braku bezpośredniego zagrożenia. Myślę, że powinniśmy to poćwiczyć. Chciałbym również sprawdzić, czy da pani radę rozszerzyć zasięg tak, by objąć nim więcej niż jedną osobę, no i jak długo jest pani w stanie utrzymać jeden promień.

— Chętnie poćwiczyłabym również intensywność. Nie chcę nikogo zabić.

— Oczywiście.

— Jak pan myśli, co to jest?

— Mam... pewną teorię.

— Naprawdę? Jaka?

— Jeden ze starożytnych indyjskich mitów mówi, że bogowie Brahma, Wisznu i Siwa walczyli z demonem Mahiszasurą i za nic nie mogli go pokonać. Połączyli więc swoje moce. Przybrały one postać promienia, z którego wyłoniła się bogini Durga. Narodziła się po to, by zwalczyć demona.

— A więc Durga to światło i ona właśnie obdarzyła mnie tą mocą?

— Tak. Kilka legend wspomina również o tym, że bogini nosi naszyjnik, który lśni jak błyskawica. Być może ma pani podobną moc.

— To... Ja nawet nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

— Wyobrażam sobie, że musi pani czuć się zagubiona.

— I to jak.

Zamilkłam na chwilę i splotłam dłonie.

— Proszę pana... martwię się o Rena. Chyba nie poradzę sobie bez niego.

— Domyślam się, że bardzo się do siebie zbliżyliście? — zaryzykował pan Kadam.

— No tak. On... ja... my... Ja go chyba po prostu kocham. Pan Kadam uśmiechnął się.

— Wie pani, że i on panią kocha, prawda? Przez te kilka miesięcy po pani wyjeździe nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

— Smucił się, co?

— Był zrozpaczony. Dopóki nie wyjechał, nie mieliśmy z Kisha-nem ani chwili spokoju.

— Czy mogę pana o coś zapytać?

— Oczywiście.

— W Oregonie pewna studentka, Induska, zainteresowała się Renem i chciała, żeby jej rodzice zaaranżowali małżeństwo. Ren powiedział mi wtedy, że związek z osobą z innej kultury jest tu uważany za coś niewłaściwego.

— Ach, to prawda. Nawet w dzisiejszych czasach często przestrzega się tego zwyczaju. Czy to panią niepokoi?

— Trochę. Nie chcę, żeby Ren był skazany na ostracyzm.

— Czy dla niego to również stanowi problem?

— Nie. Nie wyglądało na to, żeby się tym przejmował. Powiedział, że dokonał już wyboru.

Pan Kadam pogładził się po krótko przyszczyżonej brodzie.

— Panno Kelsey, nie sądzę, by Ren potrzebował czyjejkolwiek aprobaty. Skoro chce być z panią, nikt nie będzie się temu sprzeciwiał.

— Może nikt nie powie mu tego w twarz, ale czy on zdaje sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji?

— Zapewniam panią, że tak. Proszę pamiętać, że jako następca tronu dogłębnie przestudiował protokół.

— Ale co jeśli związek ze mną utrudni mu życie?

— Panno Kelsey! - zbeształ mnie delikatnie pan Kadam. — Gwarantuję, że związek z panią to j e d y n e, co zapewni mu minimum spokoju. Zanim panią poznał, jego życie było niezwykle ciężkie i zaryzykowałbym stwierdzenie, że aprobata innych jest bardzo nisko na jego liście priorytetów.

— Ren mówił mi, że jego rodzice pochodzili z różnych kultur. Jakim cudem pozwolono im się pobrać?

— Hmm, to ciekawa historia. Musiałbym najpierw opowiedzieć pani o dziadku Rena i Kishana.

— Z chęcią usłyszę więcej o jego rodzinie.

Pan Kadam rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu i podparł palcami brodę.

— Dziadek Rena miał na imię Tarak. Był wielkim wojownikiem, ale na starość zapragnął spokoju. Zmęczyły go zatargi między królestwami. Choć jego kraj był największy, a armie najwspanialsze, rozesłał posłów do władców pomniejszych księstw, wzywając ich na spotkanie.

Każdemu z gości zaproponował część swojej ziemi, pod warunkiem że podpiszą pakt o nieagresji i zmniejszą swoje armie. Wszyscy się zgodzili, skuszeni perspektywą bogactwa i nowych terytoriów. W kraju zapanowała radość, a król zorganizował wielką ucztę. Dzień ten został uznany za święto państwowe.

- I co było dalej?

- Jakiś miesiąc później jeden z sygnatariuszy paktu podburzył innych, namawiając, by zaatakować Taraka, a potem podzielić się władzą w Indiach. W pierwszej kolejności chcieli zająć ziemie będące dziś spuścizną Rena. Stamtąd mogli z łatwością podbić pomniejsze księstwa.

Złamali obietnicę i brutalnie napadli na królestwo Taraka. Wielu z żołnierzy króla przeszło już na emeryturę i zamieszkało na darowanych im ziemiach. Osłabiona armia nie zdołała więc pokonać połączonych wojsk napastników. Na szczęście Tarak zdążył wysłać posłańców z prośbą o posiłki.

- Gdzie szukał pomocy?

- W Chinach.

- W Chinach?

- Tak, a właściwie w Tybecie. Granic między Indiami a Chinami nie traktowano wówczas tak poważnie jak dziś i handel pomiędzy tymi dwoma państwami był na porządku dziennym. Tarak żył w szczególnie dobrej komitywie z ówczesnym dalajlamą.

- Chwileczkę. Zwrócił się o pomoc do dalajlamy? Myślałam, że to przywódca religijny, nie polityczny.

- Owszem, dalajlama był i jest nadal przywódcą religijnym, ale w owych czasach w Tybecie religia i wojsko były mocno ze sobą związane, zwłaszcza za sprawą konfliktów z imperium mongolskim. Czyngis-chan najechał Chiny, ale zadowolony z daniny złożonej mu przez Tybet, zostawił te ziemie w spokoju. Jednak po śmierci władcy jego syn Ugedej powrócił, by przejąć kontrolę nad krajem.

Nilima weszła do biblioteki, niosąc dwie szklanki wody z cytryną. Pan Kadam podziękował jej i ciągnął swoją opowieść:

- Trzysta lat później Ałtan-chan zaprosił do siebie buddyjskich mnichów, by nauczali jego ludzi i zbudowali im klasztor. Religia buddyjska rozprzestrzeniła się i na początku siedemnastego wieku prawie wszyscy mieszkańcy Mongolii byli już buddystami. Człowiek imieniem Ratu-chan, potomek Czyngis-chana, który dowodził mongolską armią, został wysłany przez dalajlamę na pomoc dziadkowi Rena.

Sącząc wodę z cytryną, spytałam:

- No i co się stało? Wygrali wojnę, tak?

- Owszem. Połączone siły króla Taraka i mongolskich oddziałów pokonały zdradzieckie wojska. Tarak i Batu-chan byli w tym samym wieku i wkrótce się zaprzyjaźnili. Wdzięczny Tarak obdarował sprzymierzeńca klejnotami i złotem, ten zaś w zamian obiecał swoją córkę za żonę synowi Taraka. Oczywiście młodzi nie pobrali się od razu. Rajaram, ojciec Rena, miał zaledwie dziesięć lat, matka zaś była jeszcze niemowlęciem.

- A więc matka Rena była spokrewniona z Czyngis-chanem?

- Nie badałem dokładnie genealogii, ale z pewnością było między nimi jakieś pokrewieństwo.

Zdumiona, odchyliłam się w fotelu.

- Jak miała na imię?

- Deschen.

- Jak wyglądała?

- Była bardzo podobna do Rena. Miała te same błękitne oczy oraz długie, ciemne włosy. Była bardzo piękna. Gdy przyszedł czas na małżeństwo, Batu-chan osobiście przywiózł ją do Indii i został, by dopilnować uroczystości zaślubin. Rajaramowi nie wolno było zobaczyć narzeczonej aż do dnia ślubu.

- Czy to był ślub hinduistyczny czy buddyjski?

- Z tego, co wiem, połączono obie tradycje. Zwyczaj hinduistyczny wymaga ceremonii zaręczyn, uczy połączonej ze składaniem darów, zwykle biżuterii i szat, a potem ślubu, podczas którego panna młoda dostaje od pana młodego *mangalsutra*, czyli małżeński naszyjnik, który nosi do końca życia. Wszystkie te ceremonie trwają około tygodnia. Z kolei w tradycji buddyjskiej ślub to uroczystość raczej prywatna niż religijna. Zaprasza się kilka najbliższych osób, pali świece i kadzidła oraz składa kwiaty w świątyni. Nie ma mnichów, kapłanów ani ustalonej przysięgi małżeńskiej. Wyobrażam sobie, że Rajaram i Deschen zdecydowali się raczej na obrzędy hinduistyczne, być może połączone ze składaniem darów Buddzie.

- Ile czasu minęło, zanim zrozumieli, że się kochają?

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Wiem jednak na pewno, że darzyli się wyjątkową miłością oraz szacunkiem. W czasach, gdy ich poznałem, byli w sobie bardzo zakochani, a król Rajaram często zasięgał rady żony w sprawach państwowych, co w owym czasie właściwie się nie zdarzało. Wychowali swoich synów w poszanowaniu dla różnych kultur i światopoglądów. Byli dobrymi ludźmi

i mądrze rządili krajem. Brakuje mi ich. Czy Ren opowiadał pani o nich?

- Mówił, że opiekował się pan nimi aż do końca.

- To prawda - odparł pan Kadam ze wzrokiem wbitym w jakiś niewidzialny dla mnie punkt. Oczy mu się zaszkliły. - Gdy król Rajaram umierał, trzymałem Deschen w objęciach, a potem i jej towarzyszyłem w odejściu. - Odchrząknął. - Właśnie wtedy powierzyła mi to, co było dla niej najdroższe: swoich synów.

- I zrobił pan dla nich więcej, niż którakolwiek matka mogłaby pragnąć dla swoich dzieci. Jest pan cudownym człowiekiem. Zastępuje im ojca. Ren powiedział mi, że nigdy nie będzie w stanie odwdziżyć się panu za wszystko, co pan zrobił.

Pan Kadam wiercił się w fotelu, zakłopotany.

- Ren wie, że nie musi mi za nic odpłacać.

- I to właśnie czyni pana wspaniałym człowiekiem.

Pan Kadam uśmiechnął się, wstał i dolał mi wody, prawdopodobnie chcąc w ten sposób odwrócić od siebie uwagę, zmieniłam więc temat:

- Czy Rajaram i Deschen wiedzieli, że ich synów zamieniono w tygrysy?

- Jak pani wie, byłem doradcą militarnym króla. W związku z tym powierzono mi dowództwo nad armią. Gdy na Rena i Kishana rzucono zaklęcie, zakradli się nocą do pałacu pod postacią tygrysów. Nawet nie próbowali dostać się do rodziców, strażnicy zabiliby ich na miejscu. Nawet tak rzadkich stworzeń nie wpuszczono by na teren pałacu. Przyszli więc do mnie.

- Co pan zrobił na ich widok?

- Drapali w moje drzwi. Może sobie pani wyobrazić moje zdumienie, gdy je otworzyłem i ujrzałem dwa tygrysy, czarnego oraz białego, siedzące w progu i wpatrujące się we mnie. Na początku chwyciłem za miecz. Trudno powściągnąć wojskowe odruchy. Tygrysy jednak nie zareagowały. Uniosłem miecz nad głowę, by zadać cios, ale one wciąż siedziały spokojnie. Zdawało mi się, że śnię. Po kilku minutach szerzej otworzyłem drzwi i cofnąłem się w głąb domu, wciąż trzymając miecz w gotowości. Tygrysy weszły do środka i usiadły na dywanie.

Godzinami przypatrywaliśmy się sobie nawzajem w milczeniu. Gdy wezwano mnie, bym przeprowadził musztrę, wykręciłem się, mówiąc służbie, że jestem chory.

Przez cały dzień siedziałem w fotelu i patrzyłem na tygrysy, które najwyraźniej na coś czekały.



Z nadejściem wieczoru przygotowałem posiłek i poczęstowałem je mięsem. Zjadły i ułożyły się do snu. Przez całą noc nie spuszczałem ich z oczu. Umiałem obyć się bez snu przez kilka dób. Tygrysy jednak spały twardo, nieszkodliwe jak kocięta.

— Co było dalej?

— Nad ranem, tuż przed wschodem słońca, biały tygrys zmienił się w księcia Dhirena, czarny zaś po chwili poszedł w jego ślady i stanął przede mną młodszy książę Kishan. Ren wyjaśnił, co się stało, a ja natychmiast poprosiłem o audiencję u królewskiej pary. Namówiłem Deschen i Rajarama, by poszli za mną bez obstawy. Najtrudniej było przekonać dowódcę straży. Jedynie absolutne zaufanie, które pokładał we mnie król, sprawiło, że zastosował się do mojego życzenia.

Poprowadziłem ich do swojego domu. Kiedy otworzyłem drzwi, Deschen krzyknęła na widok tygrysów. Rajaram zrobił krok w przód, zasłaniając żonę przed atakiem. Był na mnie bardzo zły. Ubłagałem ich, by weszli do środka, tłumacząc, że tygrysy nie mają złych zamiarów.

Gdy w końcu przekonałem króla, żeby zamknął za sobą drzwi, bracia przybrali ludzką postać i stanęli przed rodzicami. Zostało im niewiele czasu, więc szybko przeobrazili się z powrotem w zwierzęta, a ja opowiedziałem królewskiej parze całą historię. Resztę dnia spędziliśmy wszyscy w moim domu, naradzając się. Wkrótce nadbiegli posłańcy z wiadomością, że wielka armia Lokesha zbliża się do królestwa i zdążyła już zniszczyć kilka wiosek po drodze do pałacu.

— Co postanowiliście?

— Rajaram chciał unicestwić Lokesha, Deschen powstrzymywała go jednak, tłumacząc, że jeśli to zrobi, być może chłopcy już na zawsze pozostaną uwięzieni w tygrysiej skórze. Otrzymałem specjalne zadanie: zabrać I\ena i Kishana i niezwłocznie opuścić królestwo. Deschen nie potrafiła jednak rozstać się z synami, zdecydowaliśmy więc, że pojedzie ze mną, tłumacząc, iż zamierza złożyć wizytę w swojej ojczyźnie. W rzeczywistości schroniliśmy się w niewielkim letnim domku niedaleko wodospadu, nad którym po raz pierwszy spotkała pani Kishana. Mimo wysiłków Rajaramowi nie udało się pokonać i schwytać Lokesha. Wprawdzie zdołał na jakiś czas odeprzeć atak nieprzyjacielskiej armii, Lokesh rósł jednak w siłę, podczas gdy Rajaram ją tracił. Minęło kilka lat. Rozłąka z żoną i synami sprawiła, że Rajaram nie chciał dalej być królem. Również Deschen

pogrążyła się w rozpacz, widząc, że dla książąt nie ma nadziei, zaś jej mąż przebywa daleko.

Wysłałem list do Rajarama, informując go, że jego żona cierpi. Król był zmuszony przekazać władzę radzie wojskowej. Opowiedział poddanym nieprawdziwą historię o tym, jak Ren i Kishan zginęli, królowa zaś uciekła do Chin, by tam znaleźć ukojenie. Oświadczył, że musi wyjechać na jakiś czas, aby sprowadzić ją z powrotem. Już nigdy nie wrócił. Zamieszkał z nami w leśnej głuszy. Przywiózł ze sobą najcenniejszą część dobytku, aby zapewnić chłopcom przyszłość.

- Czy to wtedy Deschen umarła? - spytałam.

- Nie. Deschen i Rajaram żyli jeszcze kilka lat. Było im dobrze razem i cieszyli się każdą minutą spędzoną z synami. Wkrótce dotarło do nas, że Ren i Kishan się nie starzejają. Stałem się opiekunem rodziny i jej łącznikiem ze światem zewnętrznym. Chłopcy polowali i przynosili do domu jedzenie. Deschen uprawiała warzywa w ogródku. Często wybierałem się do miasta, by zrobić zakupy i posłuchać, co mówią ludzie.

Po kilku latach król zachorował. Teraz wiemy, że było to zapalenie nerek. Dochodziły nas wieści o tym, że Lokesh wciąż walczy z naszymi wojskami, jednak mieszkańcy Mudżulain nie dawali się łatwo pokonać. Opowiadali sobie legendy o rodzinie królewskiej, które wkrótce przekształciły się w mity przekazywane z pokolenia na pokolenie. Historia, którą opowiedziałem pani w cyrku, znana jest w tych stronach do dziś.

Pewnego razu Ren poprosił mnie, bym zaczął nosić jego amulet. Nie wiedzieliśmy, jak na mnie podziała. Zdawaliśmy sobie jedynie sprawę z tego, że jest ważny i ma potężną moc. Ren bał się, że jeśli wpadnie w ręce myśliwych, stracimy amulet na zawsze. Być może rzeczywiście coś przeczuwał, bo wkrótce został schwytany. Kishan wytropił brata. Okazało się, że sprzedano go hodowcy w odległej części królestwa. Byłem załamany. Wiedziałem, że ta wiadomość będzie dla Rajarama ostatecznym ciosem. Rzeczywiście, niecały tydzień później król zmarł. Deschen pogrążyła się w rozpacz i przestała jeść. Pomimo wysiłków moich i Kishana umarła w ciągu miesiąca.

Kishan był zdruzgotany śmiercią matki. Coraz więcej czasu spędzał w dżungli. Kilka miesięcy później oświadczyłem mu, że czas podjąć próbę odbicia Rena. Kazał mi zabrać pieniądze, klejnoty i wszystko, czego potrzebuję, by ocalić jego brata. Spakowałem więc

majątek, najcenniejsze rzeczy pozostawiając pieczy księcia, i wyruszyłem w drogę. Jak pani wie, nie udało mi się uratować Rena. Przystudiowałem każdy mit i każdą możliwą legendę dotyczącą tygrysów i amuletów. Przez wiele lat inwestowałem królewski majątek, stopniowo go powiększając. Zaangażowałem się w handel przyprawami, aż Ren i Kishan stali się bogaci.

W tamtych czasach ożeniłem się i założyłem rodzinę. Gdy moja żona umarła, a dzieci się usamodzielniały, zacząłem jeździć za Renem z miejsca na miejsce, całe dni spędzając na studiach i badaniach. Dziesiątki lat szukałem Lokesha i sposobu na złamanie klątwy. Po tym, jak nie udało mu się przejąć Imperium Mudżulain, Lokesh zniknął w tajemniczych okolicznościach i już nie wyszedł z ukrycia, lecz przez cały czas podejrzewałem, że podobnie jak ja, wciąż żyje. W końcu trafiłem na panią. Resztę historii pani zna.

- Skoro Ren i Kishan przez kilka lat żyli w dżungli wraz z Deschen i Rajaramem, jak to możliwe, że pozostawali skłóceni?

- Tolerowali się nawzajem ze względu na rodziców, ale starali się me przybierać ludzkiej postaci w tym samym czasie. Właściwie do momentu, gdy pani się pojawiła, nie widywałem ich razem jako ludzi. To naprawdę wielkie osiągnięcie, że udało nam się skłonić Kishana do powrotu na łono rodziny.

- Cóż, trzeba przyznać, że Ren nie ułatwia mu życia. To takie dziwne. Czuję, że się kochają i szanują, choć nie potrafią zapomnieć o starych ranach.

- A jednak wiele z nich zabił się, od kiedy pani pojawiła się w naszym życiu, panno Kelsey. Rajaram byłby panią zachwycony, a Deschen szłochałaby z radości u pani stóp. Przywróciła pani życie jej synom. Proszę ani przez chwilę nie wątpić, że przyniosła pani szczęście Renowi i całej naszej rodzinie.

Moje rozdarte serce głucho załomotało. Na samą myśl o Renie czułam ból, a jednak z determinacją zacisnęłam pięści.

- Od czego zaczynamy? Studiowanie legend czy walka na miecze?

- Czy ma pani siłę, by zacząć od treningu?

- Tak.

- Dobrze. Proszę się rozpakować, a za pół godziny spotkamy się w sali.

- W porządku. Aha, proszę pana... dobrze być znów w domu. Mój przyjaciel uśmiechnął się, mrugnął, po czym zniknął za drzwiami.

Ruszyłam na górę, gdzie odnalazłam wszystkie skarby, które swego czasu przysłałam tu dla bezpieczeństwa. Pudełko ze wstążkami leżało w łazience, książki i czasopisma ustawiono w nowej biblioteczce. Rodzinne zdjęcia, oprawione w ramki, stały na górnej półce obok wazonu pełnego świeżych różowych lilii tygrysi. Babciny pled spoczywał w nogach łóżka, w którym wśród ciemnofioletowych poduszek królował biały pluszowy tygrys.

Otworzyłam torbę i wyjęłam z niej Fanindrę, przepraszając, że nie zaangażowałam jej w leśną bitwę. Obiecałam sobie i jej, że następnym razem obie będziemy lepiej przygotowane. Ułożyłam ją na półce, na okrągłej jedwabnej poduszeczce.

Szybko przebrałam się w strój do wushu i zesłam na dół. Kishan usłyszał mnie na schodach i podreptał za mną. Zwinął się w kłębek na macie w rogu sali, ułożył łeb na łapach i przyglądał nam się sennie.

Pan Kadam już na mnie czekał. Odsunięty panel w ścianie ukazywał kolekcję broni. Na początek mój przyjaciel wybrał dwa drewniane kije.

— To *shinai*, bambusowe miecze używane w sztuce walki zwanej kendo, czyli japońskiej odmianie szermierki. Posłużą nam do ćwiczeń, zanim przejdziemy do broni stalowej. Proszę chwycić kij obiema dłońmi. Trzeba wyciągnąć rękę, tak jakby chciała się pani z kimś przywitać, objąć kij trzema palcami, kciuk i wskazujący pozostawiając rozluźnione.

Staralam się wykonywać polecenia, a tymczasem, zanim się obejrzałam, pan Kadam przeszedł do kolejnej części wykładu.

— Idąc do przodu, stawiamy stopy od pięty, wycofujemy się od palców. W ten sposób zawsze będzie pani gotowa, bo ciężar ciała zostanie prawidłowo rozłożony.  
-Tak?

— Bardzo dobrze, panno Kelsey. A teraz proszę wychylić się do przodu. W chwili ataku proszę cofnąć nogę, przesunąć ciało w bok i zasłonić się mieczem, o tak. Jeśli atak nadejdzie z drugiej strony, należy zrobić krok w tył, w ten sposób.

Wszystko było bardzo skomplikowane. Bolały mnie mięśnie ramion, a kroki były trudne do zapamiętania. Pan Kadam mówił dalej.

— W końcu przejdziemy do cięższych mieczy, żeby wzmocniła pani barki i ramiona, ale na razie skupmy się na ćwiczeniu k roków.

Pan Kadam kazał mi powtarzać je przez godzinę, jednocześnie udzielając wskazówek z dziedziny szermierki. Po jakimś czasie zaczęłam rytmicznie i płynnie wykonywać kolejne ruchy.

Pan Kadam patrzył, jak trenuję, od czasu do czasu mnie poprawiając. Potem zaczęliśmy ćwiczyć ciosy mieczem.

— Proszę wyciągnąć miecz, zanim zbliży się pani do przeciwnika. W ferworze walki wręcz zajmuje to zbyt dużo czasu. I proszę pamiętać, żeby trzymać równowagę i mocno stać na ziemi...

Nie należy zbyt mocno się rozciągać! Łokcie trzymać zgięte i blisko ciała...

Walczy pani po to, żeby wygrać. Proszę szukać słabości przeciwnika i wykorzystywać je. W razie potrzeby niech się pani nie waha użyć innych sposobów, na przykład swojej nowo odkrytej mocy...

Łatwiej zrobić unik, niż zablokować cios. Blokując przeciwnika, zużywa pani dużo więcej energii, niż uchylając się...

Proszę mieć na uwadze długość miecza oraz zasięg broni przeciwnika. Grunt to zachować odległość, z której nie będzie mu łatwo uderzyć...

Choć warto ćwiczyć z większym, cięższym mieczem, ten lżejszy może być dla napastnika równie groźny, a przy tym mniej się pani zmęczy...

Kiedy skończyłam, byłam spocona, a od trzymania *shinai*, choć było lekkie, bolały mnie mięśnie ramion. Pan Kadam poradził, bym codziennie przez godzinę trenowała kroki, i obiecał, że popracujemy znów jutro.

Gdy odpoczęłam, Kishan przybrał ludzką postać i przez kolejne dwie godziny ćwiczyliśmy razem wushu. Wchodząc po skończonej lekcji po schodach, byłam wykończona. W sypialni czekała już na mnie gorąca kolacja, ale postanowiłam najpierw wziąć prysznic. Wykąpana i gotowa do snu, uniosłam pokrywkę, pod którą znalazłam grillowanego kurczaka z warzywami oraz liścik od pana Kadama. Starszy pan zapraszał, bym rano dołączyła do niego w bibliotece. Zjadłam kolację i poszłam do pokoju Rena. Drzwi były otwarte. Od czasu mojej ostatniej wizyty wiele się zmieniło w środku. Na podłodze leżał gruby dywan. Na komodzie stały książki, w tym kilka pierwszych wydań Dr. Seussa i wysłużony egzemplarz *Romea i Julii* w hindi. W rogu pokoju znajdował się nowoczesny odtwarzacz oraz płyty CD, zaś biurko zajmowały przybory do pisania i laptop.

Znalazłam również *Hrabiego Monte Christo*, książkę, którą Ren dostał ode mnie na walentynki. Wzięłam ją ze sobą. Po chwili do-

strzegłam kilka arkuszy pergaminu, zwiniętych w rulon i przewiązanych moją starą wstążką do włosów. Gdy je rozwinęłam, ujrzałam napisane ręką Rena wiersze w niezrozumiałym dla mnie języku. Postanowiłam wziąć je do swojego pokoju i spróbować przetłumaczyć.

Otworzyłam szafę. Ostatnim razem była pusta, teraz wisiało w niej mnóstwo markowych ubrań, w większości nigdy nienoszonych. Znalazłam niebieską bluzę, podobną do tej, którą miał na sobie na plaży. Pachniała nim — jak wodospad i drzewo sandałowe. Zarzuciłam ją na ramię i również zabrałam do siebie.

Kiedy wróciłam do swojej sypialni, położyłam pergamin na biurku i weszłam do łóżka. Właśnie ułożyłam się wygodnie pod kocem, z niebieską bluzą i białym pluszowym tygrysem, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

— Mogę wejść, Kelsey? To ja, Kishan.

— Jasne, wchodź.

Kishan wetknął głowę do pokoju.

— Chciałem tylko życzyć ci dobrej nocy.

— Dzięki. Dobranoc.

Kishan zauważył białego pluszaka i podszedł, by przyjrzeć mu się z bliska.

Uśmiechnął się z przekąsem i wymierzył maskotce prztyczka w nos.

— Hej! Zostaw go!

— Ciekawe, co na to Ren.

— Skoro już musisz wiedzieć, było mu miło. Kishan roześmiał się, ale po chwili spoważniał.

— Znajdziemy go, Kells. Obiecuję. Pokiwałam głową.

— Dobranoc, *bilauta*. Podparłam się na łokciu.

— Nigdy mi nie mówiłeś, co oznacza to słowo.

— *Bilauta* to w hindi kocię. Uznałem, że skoro my jesteśmy kotami, tobie przypada rola kociaka.

— Hmm, w takim razie lepiej nie używaj więcej tego słowa przy Renie.

Kishan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A jak myślisz, czemu wcześniej go przy nim używałem? Do zobaczenia rano.

Zgasił światło i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Tej nocy śniłam o Renie.

## PRZEPOWIEDNIE I PRZYGOTOWANIA

W nocy znów przyśnił mi się ten sam okropny sen. Rozpaczliwie szukałam czegoś w ciemnościach. Weszłam do oświetlonej sali i ujrzałam Rena przywiązanego do ołtarza oraz stojącego nad nim mężczyznę w fioletowej szacie. Tym razem wiedziałam już, że to Lokesh. Nikczemnik uniósł nóż i wbił go Renowi prosto w serce. Rzuciłam się na niego, próbując wyrwać mu sztylet, ale było już za późno. Ren umierał. Resztkami sił wyszeptał:

— Uciekaj, Kelsey! Robię to dla ciebie!

Ale ja nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam mu pomóc. Osunęłam się bezwładnie na podłogę, z myślą o tym, że życie bez Rena nie ma sensu.

Potem sen nagle się zmienił. Było ciemno. Riał tygrys siedział, zamknięty w klatce. Grzbiet pokrywały mu krwawe szramy. Uklękałam obok.

— No dalej, Ren. Musimy się stąd wydostać. Tygrys zmienił się w księcia i dotknął mojej twarzy.

— Nie, Kelsey. Nie odejdę stąd. Jeśli to zrobię, on cię dopadnie, a na to nie pozwolę. Nie możesz tu zostać. Uciekaj, proszę.

Pocałował mnie.

— Idź! — Odepchnął mnie od siebie i zniknął. Krążyłam w kółko, nawołując:

— Ren!? Ren!

Jakaś postać wyłoniła się z mgły. Ren. Był cały i zdrowy. Śmiał się i najwyraźniej z kimś rozmawiał.

Dotknęłam jego ramienia.

- Ren?

Nie słyszał mnie. Stałam przed nim i machałam. Nie widział mnie. Roześmiał się i objął ramieniem jakąś ładną dziewczynę. Chwyciłam go za klapy marynarki i potrząsnęłam nim, ale on nic nie poczuł.

- Ren!

Odszedł razem z dziewczyną, odtrącając mnie na bok jak zawalidrogę. Rozpłakałam się.

Obudził mnie śpiew ptaków. Choć spałam twardo, nie byłam wypoczęta, gdyż całą noc śniłam o Renie, który, niezależnie od sytuacji, za każdym razem odpychał mnie od siebie.

Pięć tygodni. Pięć krótkich, cudownych tygodni — oto, ile czasu spędziliśmy razem. Nawet gdyby liczyć chwile, kiedy był w pobliżu, a widywałam go tylko podczas naszych oficjalnych randek, nie wychodziło tego więcej niż dwa miesiące. Za mało. Zwłaszcza kiedy się kogoś kocha. Po raz kolejny straciłam ukochaną osobę. Jak mam dalej żyć bez niego?

A jednak... był przy mnie. Tak samo jak moi rodzice. Czasem czułam ich tak blisko, że niemal mogłam ich dotknąć. Podobnie było z Renem, tyle że to uczucie było jeszcze silniejsze. Tak wiele dziwnych rzeczy przytrafiło mi się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Miałam oswojonego węża, który służył mi również jako biżuteria. Cudem uniknęłam pożarcia przez przypominającą morskiego konika małpę-wampira. Mój chłopak większość swego życia spędzał jako tygrys. A do tego najwyraźniej potrafię ciskać błyskawice jednym ruchem ręki.

Tak bardzo zajmowała mnie kwestia pojmania Rena, że nie miałam czasu choćby zacząć zastanawiać się nad swoją nową umiejętnością, godną boga Thora. Co jeszcze mi się przydarzy? Wolałam o tym nie myśleć, gdyż byłam pewna, że cokolwiek przyjdzie mi do głowy, rzeczywistość i tak okaże się znacznie gorsza. Ubrałam się i zeszłam na dół, żeby pomóc panu Kadamowi. Zastałam go przed ekranem komputera.

— Dzień dobry, panno Kelsey. Jeśli jest pani gotowa, chciałbym, żeby przejrzała pani kilka map.

— Nie ma sprawy.

Starszy pan rozłożył na biurku ogromną mapę Indii, po czym przesunął w moją stronę karteczkę z przetłumaczoną przepowiednią. Czarny kosmaty łeb otarł się o moją nogę. Pogłaskałam go. Cieszyłam się z towarzystwa Kishana, choć w skrytości duszy żałowałam, że to nie biały tygrys siedzi obok mnie.



— Dzień dobry, tygrysie. Jadłeś już śniadanie? Później upiekę dla ciebie ciastka, o ile pan Kadam ma wszystkie składniki.

Zwierz sapnął i ułożył się u naszych stóp. Wzięłam karteczkę i odczytałam tekst przepowiedni:

*Gdy zdobyć łaskę chcesz bogini, W podróż wyruszaj po raz wtóry, Aż dotrzesz do świętego grodu U stóp Noego śnieżnej góry Ocean oczy ci otworzy, Pradawne zwoje podaruje, Do świętej bramy doprowadzi, Co raj przed tobą wyczaruje. Tam cię centralny głaz powiezie, gdzie tkwi drewniany świata tron. Podążaj w górę, a niechybnie Znajdziesz liściasty życia tron. Po drodze — próba czterech domów, Gdzie nietoperzy skrzydeł szum, Ptaków skrzek i syrenie śpiewy, I tykw magicznych cały tłum. Na czubku czeka dar przestworzy; Miej w pogotowiu dysk i łuk. Skraj szala ściśnij, a pokonasz Żelaznej straży powietrzny huk. W końcu ubierzesz Indii lud, Na który spłynie mocy cud.*

— Hmm... — zaczęłam głośno myśleć. — Cóż, pierwsze dwie linijki wydają się dość oczywiste. Musimy znów odwiedzić świątynię Durgi. Tym razem złożymy jej właściwą ofiarę.

— Tak. Sporządziłem listę wszystkich świątyń Durgi w Indiach, a nawet kilku w sąsiednich krajach.

— Kishanie, przypomnij mi, żebyś założyła moją bransoletkę z dzwoneczkami. Pan Kadam pokiwał głową i pochylił się nad notatkami. Przygryzłam wargę, myśląc o dniu, w którym Ren podarował mi bransoletkę. Błagał mnie wówczas, żeby z nim została, a ja mimo to wyjechałam.

Co za strata czasu. Mogliśmy spędzić razem te wszystkie miesiące, gdybym tylko nie była taka uparta. Oddałabym wszystko, żeby

cofnąć czas. A teraz Rena ze mną nie było i być może już nigdy go nie zobaczę. Z trudem otrząsnęłam się z ponurych myśli i znów skupiłam uwagę na przepowiedni.

— Góra Noego? Chodzi o Himalaje? Jak pan na to wpadł?

— Chodzi o Noego z Biblii.

— Tego, który zbudował arkę?

— Zgadza się.

— Hmm, czy arka Noego nie zakończyła przypadkiem swojej podróży u stóp góry Ararat?

— Dobrze pani pamięta. Ja też na początku o tym myślałem, ale góra Ararat znajduje się na terytorium dzisiejszej Turcji, a współcześni badacze wcale nie są pewni, czy właśnie tam spoczęła biblijna arka.

— No dobrze, ale co sprawiło, że pomyślał pan o Himalajach?

— Jest kilka powodów. Po pierwsze: nie sądzę, by nasz kolejny przedmiot został ukryty tak daleko od Indii. W końcu przepowiednia głosi, że ma on pomóc Indusom. Po drugie: Noe. Biblia to nie jedyne źródło wspominające o wielkim potopie. Motyw ten pojawia się w wielu starożytnych legendach. Wiele na ten temat czytałem. Grecy mieli Deukaliona i Pyrrę, Sumeryjczycy epos o Gilgameszu, Aztekowie opowieść o Tapim i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie te historie łączy jedno: kiedy deszcz ustał, znalazł się ktoś, kto poprowadził ludzi ku suchej ziemi. Induski mit opowiada o Manu, który uratował życie rybce. Ryba w dowód wdzięczności ostrzegła go przed nadchodzącą powodzią. Manu wybudował łódź, którą ryba pociągnęła aż do górskich szczytów. Istnieje kilka hipotez co do tego miejsca, ale odrzuciłem część z nich, bo góra, o której mówimy, jest pokryta śniegiem. Najbardziej do tego opisu pasuje mi...

— Mount Everest.

— Tak. Gdyby potraktować opowieść dosłownie i założyć, że powódź zalała cały świat, to jako pierwsze wyłoniłyby się po niej właśnie Himalaje. Ponieważ himalajskie szczyty są wyjątkowo wysokie, można by założyć, że drugi filar i drugi przedmiot są związane z powietrzem. Poza tym w przepowiedni ważną rolę odgrywają ptaki i inne fruujące stworzenia, a przedmiot, którego szukamy, określono jako „dar przestworzy”.

— Ale Mount Everest? Czy to znaczy, że ja i Kishan będziemy musieli...

— Nie, nie. Zaledwie garstce śmiałków udało się wspiąć na szczyt. Nie nakłaniałbym pani do takiego wyczynu. Nie, naszym celem będzie miasto u podnóża góry, w którym mieszka mądry nauczyciel. Miałem nadzieję, że sporządzi pani dla mnie listę możliwych miejsc i być może przyjdzie pani do głowy takie, na które ja nie wpadłem.

— Podejrzewam, że długo już pan nad tym rozmyślał.

— Rzeczywiście. Ale jak pani wcześniej wspomniała, dodatkowa para oczu zawsze się przyda.

Pan Kadam wręczył mi swoją listę i zaczęłam odhaczać na mapie kolejne miasta. Tak jak się spodziewałam, pan Kadam skreślił już wiele z tych znajdujących się w promieniu kilkuset kilometrów od Mount Everestu. Jedyny nieskreślony obszar znajdował się po północnej stronie szczytu, a jego nazwa zapisana była po chińsku.

— Co to za miasto, proszę pana? — spytałam.

— Nazywa się Lhasa i leży w Tybecie.

— A więc może nauczyciel mieszka tam, po drugiej stronie Himalajów, ale przedmiot, którego szukamy, jest ukryty w Indiach?

Pan Kadam znieruchomiał, po czym pobiegł po książkę o Tybecie.

— Chwileczkę... święty gród. — Otworzył książkę i zajrzał do indeksu. Kartkując, mamrotał pod nosem: — Ocean... święta brama... tak... tak!

Zatrzasnął książkę i uściskał mnie pośpiesznie. Oczy mu błyszczały.

— To jest to! Wszystko dzięki pani, panno Kelsey!

— Ale co ja takiego zrobiłam?

— Lhasa to miasto „u stóp Noego śnieżnej góry"! A jej nazwa oznacza „miasto bogów"! —

— A co z oceanem?

— To właśnie jest najlepsze! Sądzę, że chodzi tu o mądrość, głęboką jak ocean.

Najprawdopodobniej przepowiednia mówi o którymś z łamów. Być może nawet o dalajlamie we własnej osobie!

— No dobrze, w takim razie jedziemy do Lhasy i prosimy o audiencję u dalajlamy.

— Szturchnęłam czarnego tygrysa w bark. — Widzisz w tym coś trudnego, Kishanie?

Zwierz sapnęła i podniósł łeb.

— No tak. To może być problem — mruknął pan Kadam.

— Nie kumpluje się pan przypadkiem z dalajlamą jak dziadek Rena?

— Nie. Poza tym obecny dalajlama żyje na wygnaniu w Indiach. Możliwe, że to on jest nauczycielem, którego szukamy, a jednak

przepowiednia wyraźnie nakazuje nam udać się do miasta „u stóp Noego śnieżnej góry” i tam zacząć naszą wyprawę. Mówi i o tym, że nauczyciel otworzy nam oczy, podaruje pradawne zwoje i doprowadzi do świętej bramy.

— A co to takiego?

— Sądzę, że chodzi o bramy wiodące do japońskich świątyń, które według tradycji stanowią przejście pomiędzy światem fizycznym a duchowym. Mijając je, człowiek oczyszcza się i przygotowuje na duchową podróż, którą odbędzie po wejściu do środka.

— Czy można je znaleźć również w Tybecie?

— Nic o tym nie wiem. Ryć może w przepowiedni chodzi o coś innego.

— No dobrze, a co z „centralnym głazem”?

— Ach tak, tu mam większą pewność. Sądzę, że szukamy kamienia znanego jako omfalos. Symbolizuje on środek Ziemi. Kilka takich głazów znajduje się w krajach basenu Morza Śródziemnego, a najśłynniejszy pochodzi ze świątyni Apollina w Delfach. Niektórzy badacze uważają, że w siedzibie słynnej wyroczni unosiły się opary, które sprawiały, że przebywające tam kapłanki miały wizje.

Omfalos miał być sposobem na komunikację z bóstwami. Mówiono również, że ten, kto dotknie kamienia, zobaczy przyszłość. Podobne kamienie znajdują się w Tajlandii i w Bazylice Grobu Świętego w Jerozolimie. Również kamień węgielny Kopuły na Skale uważany jest za podwalinę całego świata.

— Jak wygląda omfalos?

— Kształtem przypomina ustawione pionowo jajo z otworem na górze i rzeźbionymi ściankami.

— A więc myśli pan, że znajdziemy omfalos, dotkniemy go albo powdychamy unoszące się wokół niego opary, a on wskaże nam drogę do „drewnianego trzonu świata”?

— Tak jest.

— Nie wiem o nim zbyt wiele.

— To kolejny motyw, powszechny w wielu kulturach i mitach. Istnieje legenda o drzewie, które spełniało życzenia Hindusów, zwanym Kalpawriksza. Drzewo pięknie rośło, gdy ludzie byli mądrzy i dobrzy, ale kiedy natura ludzkości zmieniła się, zmarniało i zwiędło.

Badając historię złotego owocu, znalazłem wzmiankę o niezwykłym drzewie w świątyni Kamakszi w południowej części Indii. Jest to mangowiec, który rodzi cztery rodzaje owoców, według wierzeń reprezentujących cztery kasty. Starożytni mieszkańcy Skandynawii

opowiadali o symbolizującym świat drzewie Igdrasil. W mitologii słowiańskiej oraz fińskiej święte „drzewo życia” to dąb, w kulturze hinduskiej zaś — figowiec. O „drzewach życia” wspominają też legendy Korei, Ameryki Środkowej, Mongolii, Litwy, Syberii, Węgier, Grecji... i tak dalej, i tak dalej.

— Hmm, rozumiem. A więc szukamy świętego drzewa. Czy wiemy przynajmniej, jak ono wygląda?

— Nie. Wszystkie te mity posługują się gatunkami typowymi dla danego regionu. Wiemy tylko, że to duże drzewo i że w jego gałęziach śpiewają ptaki, co może mieć związek ze wspomnianymi w przepowiedni testami.

— Jasne. Najważniejsze to nie połasić się na owoce, zgadza się? Pan Kadam parsknął śmiechem.

— Nie we wszystkich tych mitach drzewa mają owoce, ale ma pani rację. Do wielu z nich niełatwo się zbliżyć. Niektóre legendy wspominają nawet o strzegącym drzewa ogromnym wężu. Liście wiążą ziemię z niebem, a korzenie sięgają podziemnego świata.

— A jeśli chodzi o te testy... Myśli pan, że znów znajdzie się jakiś potwór, który będzie chciał mnie zjeść jak *kappa*?

Pan Kadam natychmiast spoważniał.

— Mam szczerą nadzieję, że nie, panno Kelsey. Wzmianka o raju sprawia, że jestem dobrej myśli. Mam nadzieję, że testy okażą się bardziej sprawdzianami umysłu niż ciała.

— Świetnie. W takim razie pozostaje mi uważać na „żelazną straż”. Musimy wspiąć się na wierzchołek, żeby zdobyć dar przestworzy i zdać cztery sprawdziany. Ciekawe, co oznacza fragment „ubierzesz Indii lud”?

— Szczerze mówiąc, nie jestem tego pewien.

— Cóż, wygląda na to, że ma pan wszystko zaplanowane, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. Ale chyba najpierw musimy wrócić do świątyni Durgi? Czy myśli pan, że damy radę bez Rena?

— Nie zaszkodzi spróbować. Mówiła pani, że Ren musiał przybrać postać tygrysa, żeby Durga przyjęła ofiarę. Zgadza się?

— Tak. Podkreślała, że moja relacja z tygrysem jest ważnym elementem.

— W takim razie tygrys powinien pani towarzyszyć. Kishan zastąpi Rena. Oczywiście, o ile się zgodzi. Kishanie?

Czarny tygrys sapnął, co potraktowaliśmy jako potwierdzenie. Pogłaskałam go po głowie.

— Miejmy nadzieję, że bogini lubi czarny kolor.

— Ja tymczasem dyskretnie zatelefonuję gdzie trzeba i być może uda mi się zorganizować kogoś, kto spotka się z nami w Tybecie. Może nawet dotrę do zaufanego dalajlamy.

— Myśli pan, że to się uda? Zgodzi się z nami spotkać?

— Nie mam pojęcia.

— Ale czy nie powinniśmy poczekać na Rena? Może najpierw należy go odnaleźć?

— Panno Kelsey, nie sądzę, by Ren życzył sobie, żebyśmy na niego czekali. Szczerze mówiąc, nie udało mi się jeszcze ustalić miejsca jego pobytu i miałem nadzieję, że kiedy odszuka pani drugi dar...

— Znow przeżyję wizję, jak ostatnim razem.

— Właśnie tak.

— I dowiemy się, gdzie przebywa Lokesh, co doprowadzi nas do Rena.

— Wiem, że to mało prawdopodobne, ale chyba nie mamy wyboru.

— W porządku. Pojadę do Tybetu. Ale proszę mi wierzyć, nie potrzebuję niańki. Kishan warknął i zmienił się w człowieka.

— Oczywiście, że nie możesz pojechać sama — wycedził przez zęby. — Ren powierzył mi opiekę nad tobą i mam zamiar dotrzymać słowa. Nie jestem tchórzem. Dotknęłam jego dłoni.

— Kishanie, nigdy w życiu tak o tobie nie pomyślałam. Dziękuję ci. Będę się czuła bezpieczniejsza z tygrysem przy boku.

Napięcie zniknęło z jego twarzy.

— W porządku — powiedział. — Skoro już wszystko ustaliliśmy, może trochę poćwiczymy?

— Sądzę, że to dobry pomysł.

Pan Kadam wygonił nas z biblioteki.

— Popracujemy razem po południu, panno Kelsey.

— Dobrze. Do zobaczenia później.

Przebrałam się i dołączyłam do Kishana w sali treningowej. Ćwiczyliśmy powalanie na ziemię znacznie większego przeciwnika. Musiałam kilkanaście razy wypróbować tę technikę na nim, po czym przeszliśmy do rozciągania i zadań siłowych. Ogłosivszy koniec lekcji, Kishan ujął mnie pod brodę i oświadczył, że jest ze mnie dumny.

Ruszyłam na górę, na umówiony lunch z panem Kadamem. Kishan zaszedł mnie od tyłu, chwycił i przerzucił sobie przez ramię.

Nie zważając na moje protesty, wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

— Skoro nie masz na tyle refleksu, żeby odeprzeć atak przeciwnika, musisz cierpieć! — zawołał ze śmiechem. Posadził mnie na krześle naprzeciwko pana Kadama i zabrał się do swojego lunchu. Byłam obolała i zmęczona.

— Chyba nie mam już siły, żeby ćwiczyć dziś walkę na miecze, proszę pana — powiedziałam. — Kishan dał mi niezły wycisk.

— Nie szkodzi, panno Kelsey. Możemy potrenować coś innego. Na przykład ciskanie błyskawic.

Skrzywiłam się.

— A jeśli to był tylko przypadek? Jednorazowy fuks?

— A jeśli miała pani tę moc zawsze, tylko nigdy nie było motywacji, by jej użyć? — odbił piłeczkę pan Kadam.

— No dobrze, spróbuję. Mam tylko nadzieję, że nie porażę pana prądem.

— Proszę się postarać.

Skończyliśmy jeść i przez salę treningową wyszliśmy na dwór. Nigdy wcześniej nie byłam w tym miejscu. Schodki prowadziły na dużą polanę wielkości boiska do piłki nożnej, ze wszystkich stron otoczona dżunglą. Pan Kadam poustawiał w różnych miejscach sterty siana z tarczami jak w turnieju łuczniczym.

— Poćwiczymy na tym, a z czasem przejdziemy do celów ruchomych — oświadczył. — Powiedziała pani, że wtedy, w lesie, była pani wściekła i chciała chronić Rena. Wspomniała pani o wrażeniu, jakby ogień rozgorzał pani w brzuchu i przeszedł do ramienia. Proszę spróbować przypomnieć sobie tamto uczucie.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie siebie i Rena, ślaniającego się na nogach za moimi plecami, oraz skradających się do nas napastników. Gorąca iskra zapłonęła mi w brzuchu. Skoncentrowałam się na niej, pozwalając, by rozlała się po moim ciele jak lava i wystrzeliła z dłoni. Mocny, biały, pulsujący strumień światła uderzył w pierwszy cel. Cała tarcza wybuchła jak bomba, a jedyne, co z niej zostało, to unoszące się w powietrzu żdzbla, które spłonęły, zanim dotknęły ziemi. W miejscu, gdzie przed chwilą stała sterta siana, ziała teraz czarna dziura. Ciemne smużki dymu wznosiły się ku niebu, rozplywając się w powietrzu.

Pan Kadam chrząknął, gładząc brodę.

— Bardzo skuteczna broń.

— Tak, tylko nie chciałabym zrobić tego samego z człowiekiem. Chociaż na zbirów w lesie nie podziałało to tak mocno.

— Tym będziemy się martwić później. Najpierw poćwiczmy trafianie z różnych odległości. Proszę spróbować z kolejnymi tarczami.

Rozsadziłam oba cele z dokładnie tą samą mocą.

— Kishanie, bądź tak dobry i rozstaw więcej tarcz. Tym razem chciałbym, żeby stały dalej i w jednej linii.

Kishan zabrał się do pracy, a pan Kadam wyjaśnił:

— Proszę spróbować rozszerzyć zasięg na wszystkie trzy tarcze. Proszę sobie wyobrazić coś wielkiego, jak słoń czy dinozaur, co musi pani trafić na całej długości.

— W porządku, spróbuję.

Skupiłam się na tarczach po drugiej stronie polany, czekając, aż Kishan usunie się z drogi. Mrużąc oczy pod słońce, wystrzeliłam, lecz trafiłam tylko w cel po lewej stronie.

— Nic nie szkodzi. Proszę spróbować jeszcze raz, panno Kelsey.

Tym razem skupiłam się na tym, by dłużej utrzymać panowanie nad błyskawicą, i zatoczyłam ramieniem łuk, tak by trafić we wszystkie trzy tarcze.

— Hmm, ciekawe. Teraz wiemy już, że potrafi pani utrzymać kontrolę nad promieniem.

Gestem pokazał Kishanowi, by ustawił kolejne cele.

— Proszę spróbować jeszcze raz, tym razem wyobrażając sobie, że rozkłada pani chiński wachlarz.

— Dobrze, ale niech pan lepiej stanie za mną.

Pan Kadam skinął głową i się wycofał. Wyciągnęłam rękę i jeszcze raz pozwoliłam, by ogień przewędrował przez moje ramię. Wyobraziłam sobie, że trzymam wachlarz, i uniosłam dłoń. Tym razem szeroki biały promień wystrzelił wolniej.

Rozpostarłam palce tak, jakbym rozkładała wachlarz. Podziałało... wręcz za dobrze.

Unicestwiłam nie tylko wszystkie trzy tarcze, ale i drzewa po obu stronach polany.

Kishan ledwo uszedł z życiem, gwałtownie rzucając się na ziemię.

— Przepraszam! — krzyknęłam.

Książę machnął ręką na znak, że wszystko w porządku. Pan Kadam gestem przywołał go do nas i powiedział:

— Bardzo dobrze! Jeszcze odrobina praktyki i myślę, że doskonale opanuje pani tę sztukę. Jutro sprawdzimy, czy uda nam się zmniejszyć siłę uderzenia tak, aby przeciwnika osłabić, ale nie... hmm...



— Unicestwić?

Starszy pan się roześmiał.

— Tak jest. To wszystko kwestia kontroli. Głęboko wierzę w to, że okiełzna pani swoją niezwykłą moc, panno Kelsey.

— Mam nadzieję, że się pan nie zawiedzie.

— Chciałbym, żeby przez następne dni poćwiczyła pani walkę z Kishanem. Proszę się skupić na celności i poszerzaniu zasięgu, a ja jutro potrenuję z panią siłę promienia.

— Dobrze, dziękuję.

Kolejne tygodnie przeleciały jak z bicza strzelił. Zanim się zorientowałam, minęło półtora miesiąca. Dokończyłam trymestr przez internet. Moi profesorowie zdawali się zafascynowani wyjaśnieniem pana Kadama, który oświadczył im, że znalazł niezwykle rzadki artefakt i potrzebował mojej pomocy przy skatalogowaniu go; obiecał również, że gdy tylko skończymy, przedstawię pracę o jego znalezisku. Z niecierpliwością zastanawiałam się, co takiego przyjdzie mi opisać. Zdałam wszystkie kolokwia, co pozwoliło mi choć na chwilę oderwać myśli od ukochanego. Pan Kadam i jego usprawiedliwił, oznajmiając, że Ren musiał powrócić do Indii w ważnej sprawie rodzinnej. Dziekan okazał się bardzo wyrozumiały i skory do pomocy.

Gdy już zdałam wszystkie egzaminy, zaczęłam spędzać poranki, pomagając panu Kadamowi w jego badaniach, po czym ćwiczyłam z Kishanem aż do lunchu.

Popołudnia przeznaczone były na trening z użyciem broni. Kishan uczył mnie też, jak o nią dbać i jaki rodzaj wybrać w poszczególnych sytuacjach. Ćwiczyliśmy również walkę wręcz i poznałam kilka sposobów pokonania silniejszego przeciwnika.

Wczesnym wieczorem pracowałam z panem Kadamem nad okiełznaniem mojej nowej magicznej mocy. Potrafiłam już kontrolować jej intensywność, tak by nie niszczyć kompletnie swojego celu. Byłam w stanie przestrzelić środek tarczy promieniem cienkim jak strzała lub uderzyć trzy rozstawione cele jednocześnie, przewracając je na ziemię. Gdybym zechciała, mogłabym całkowicie unicestwić je wszystkie bądź wybrać tylko jeden.

Dawało mi to poczucie mocy, lecz równocześnie przerażało. Z takimi umiejętnościami mogłam zostać superbohaterką lub czarnym charakterem, jednak ani jedna, ani druga opcja nie bardzo mi odpowiadała. Jedyne, czego naprawdę pragnęłam, to pomóc braciom w złamaniu klątwy. No i odzyskać Rena.

Wieczory spędzałam samotnie, czytając bądź pisząc pamiętnik. Dom wydawał mi się inny, gdy nie było w nim Rena. Wciąż łapałam

się na tym, że czekam, aż ujrzę go w oknie wychodzącym na taras. Śniłam o nim co noc. Za każdym razem był uwięziony, przywiązany do stołu ofiarnego lub zamknięty w klatce. Zawsze próbowałam go ratować, a on mnie odganiał. Pewnej nocy obudziłam się z jednego z tych koszmarów. Wstałam z łóżka, wzięłam pled i ruszyłam w stronę werandy. Ujrzałam ciemną głowę, wystającą sponad oparcia huśtawki, i na krótką chwilę serce mi zamarło. Odsunęłam przeszkłone drzwi i wyszłam na zewnątrz. Głowa poruszyła się.

- Kelsey? Dlaczego nie śpisz?

Moje nieszczęsne serce zapadło w zwykły letarg.

- Och. Witaj, Kishanie. Miałam zły sen. A co ty tutaj robisz?

- Często tu śpię. Lubię świeże powietrze, no i będąc bliżej ciebie, mogę mieć cię na oku.

- Nie sądzę, żeby w domu czyhały na mnie jakieś niebezpieczeństwa. Nie musisz nade mną czuwać.

Kishan posunął się i gestem zachęcił, żebym usiadła obok niego.

- Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało, Kelsey. To moja wina, że już raz na ciebie napadli.

- Nieprawda. Nic nie mogłeś zrobić.

Książę oparł głowę o poduszkę, zamknął oczy i potarł skronie.

- Powinienem był zachować większą czujność. Ren uważał, że twoja obecność będzie mnie rozpraszać mniej, niż rozpraszała jego. Mylił się. W rzeczywistości było wręcz przeciwnie. W ogóle nie powinienem był przylatywać do Stanów.

- Jak to? — spytałam. — Czemu tak mówisz?

Spojrzał na mnie. Jego złociste oczy przeszywały mnie na wylot w poszukiwaniu odpowiedzi na niezadane pytanie. W końcu oderwał ode mnie wzrok i wymamrotał:

- Nie uczę się na błędach. Wzięłam go za rękę.

- Co się dzieje? Niechętnie spojrzał mi w oczy.

- Wszystko, co nas spotkało, wydarzyło się z mojej winy. Gdybym zostawił Yesubai w spokoju, wyszłaby za Rena. Nie zginęłaby. A ty byłabyś bezpieczna. Moi rodzice żyliby normalnie. A tak wszyscy ucierpieli, i to tylko dlatego, że nie potrafiłem pohamować swoich żądz.

Ujęłam jego dłoń, a on splótł palce z moimi.

- Kishanie, kochałeś ją, co, jak się ostatnio dowiedziałam, rzadko się w tamtych czasach zdarzało. Miłość sprawia, że robimy szalone

rzeczy. Yesubai też chciała z tobą być, bez względu na wszystko. Założę się, że nawet gdyby przeczuwała swoją przedwczesną śmierć, postąpiłaby tak samo.

— Nie jestem tego do końca pewien. Miałem wiele czasu, żeby o tym myśleć, i doszedłem do wniosku, że Yesubai i ja ledwie się znaleźliśmy. Nasze sekretne schadzki były bardzo krótkie i szczerze mówiąc, nie mam całkowitej pewności, czy nie była tylko pionkiem w rękach swego ojca. Właściwie nie wiem, czy mnie kochała. Myślę, że gdybym był tego pewien, to owszem, uznałbym, że było warto.

— Ale przecież Yesubai próbowała ocalić was obu. Kishan skinął głową.

— Nie sprzeciwiłaby się ojcu, gdyby jej na tobie nie zależało. Zresztą jak miałyby ci się oprzeć? Urodą dorównujesz bratu. Jesteś miły i naprawdę czarujący, gdy tylko Rena nie ma w pobliżu. Yesubai musiałyby być szalona, żeby się w tobie nie zakochać. Poza tym jak mogłaby odrzucić kogoś takiego jak Ren, gdyby cię nie kochała? A i moje życie byłoby o wiele smutniejsze bez ciebie i Rena. — Ścisnęłam go za rękę. — To, co się wydarzyło, nie jest twoją winą. To Lokesh zrobił te wszystkie straszne rzeczy, nie ty. Zapewne chciałby zdobyć amulet niezależnie od waszych relacji z Yesubai.

— Podpisałem pakt z diabłem, Kelsey, a za to się płaci.

— Masz rację. Podejmując złe decyzje, musimy liczyć się z konsekwencjami. Ale zakochanie się w kimś to nie jest zła decyzja.

Kishan roześmiał się gorzko.

— W moim przypadku owszem.

— Nie. Sprzeniewierzenie się bratu było złą decyzją, ale i tak, gdy przyszło co do czego, stanąłeś po stronie rodziny. Postanowiłeś chronić Rena, stanąć u jego boku i pomóc mu w ucieczce.

— A jednak popełniłem błąd. Nie trzeba było ufać Lokeshowi. Przez chwilę huśtaliśmy się w milczeniu. W końcu wyszeptałam:

— Jesteśmy tylko ludźmi i często popełniamy błędy. Sztuką jest się na nich uczyć. Moja mama zawsze mówiła, że złe jest tylko powtarzanie tych samych błędów.

Kishan nachylił się i cichym, drwiącym głosem powiedział:

— No tak. Jak widać, świetnie się uczę.

— Czyżbyś miał zamiar popełnić drugi raz ten sam błąd? A może jesteś w kontakcie z Lokeshem? — spytałam uszczypliwym tonem.

— Zabiłbym Lokesha, gdyby jeszcze kiedykolwiek stanął mi na drodze. Ale owszem, istnieje niebezpieczeństwo, że powtórzę swój błąd.

— Nie sądzę, byś miał jeszcze kiedyś zdradzić swojego brata.

- Nie w taki sposób, jak myślisz. Westchnęłam.

- Kishanie, nie chcę, żebyś marnował czas na pilnowanie mnie. Za bardzo rozpamiętujesz przeszłość. Powinieneś cieszyć się swoim nowym życiem. Spotykałeś się z kimś tej jesieni? Wychodziłeś z domu? Uczyłeś się czegoś? Książę odwrócił wzrok.

- To nie przeszłość zajmuje całą moją uwagę. - Westchnął. - A szkoła niespecjalnie mnie interesuje. - Wstał i podszedł do balustrady. Wychylił się i zapatrzył w oświetlony basen na dole. - A poza tym - dodał cicho - wygląda na to, że podobają mi się tylko i wyłącznie dziewczyny mojego brata.

Spojrzałam na niego, zaskoczona. Odwrócił się i wsparł biodrem o balustradę. Z poważnym, pełnym bezbronnej czułości wyrazem twarzy obserwował moją reakcję.

- Ty... nie żartujesz? - wyjąkałam.

- W żadnym wypadku. Szczery ze mnie chłopak. Nigdy nie dowcipkuję na te tematy.

- Jak to? Rozumiem Yesubai, miała takie piękne, fiołkowe oczy, długie, czarne włosy... Ale jak to możliwe, że...

- Przestań, Kells. Nie drażnię się z tobą, nie prowadzę żadnych gier. Bardzo długo zastanawiałem się, czy w ogóle powinienem ci to powiedzieć. Posłuchaj, wiem, że kochasz Rena, i nie mam zamiaru wchodzić wam w paradę. Przynajmniej dopóki zdaję sobie sprawę, że nie mam u ciebie żadnych szans. - Uśmiechnął się z goryczą. - Niezbyt dobrze radzę sobie z odrzuceniem. - Stał z założonymi rękami. - Ale jeśli nie byłabyś z Renem, zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, żeby zdobyć twoje uczucie.

Wstrząśnięta, opadłam na oparcie huśtawki.

- Kishanie! Ja...

- Poczekaj. Wysłuchaj mnie, Kelsey. Ty... mnie uspokajasz. Leczysz moje rany i dajesz nadzieję na przyszłość. I niezależnie od tego, co myślisz na swój temat, jesteś równie piękna jak Yesubai. Czuję. .. - Odwrócił wzrok, jakby się zawstydził, i mruknął pod nosem: - Co ze mnie za człowiek? Jak to możliwe, że to samo przydarzyło mi się po raz drugi? Dobrze mi tak. Tym razem Ren wygrał. Historia zatoczyła koło. - Znów na mnie spojrzał. - Proszę, wybac mi. Nie chciałem cię tym obarczać.

Kishan zachowywał się inaczej niż w towarzystwie brata. Okazywał swoje słabości, nie przykrywał ich maską arogancji i brawury,

która tak drażniła Rena. Czułam, że jest ze mną całkowicie szczerzy. Jego słowa wywarły na mnie ogromne wrażenie. Zasmuciły mnie. Wiedziałam, że przeszłość jest dla niego równie bolesna jak dla jego brata. Postanowiłam rozładować jakoś napięcie. Wstałam i uściskałam go. Miał to być krótki uścisk, ale Kishan mnie nie puszczał, zupełnie jakbym była ostoją jego człowieczeństwa. Poklepałam go po plecach i odsunęłam się.

Potem wzięłam go za rękę i pociągnęłam z powrotem na huśtawkę. Postanowiłam zastosować taktykę mojej mamy, która do trudnych spraw zawsze podchodziła trzeźwo i rzeczowo. Często mi powtarzała, że aby kogoś wesprzeć, należy traktować go po przyjacielsku i zawsze być szczerym.

— Cóż, Kishanie, wiedz o tym, że gdyby nie Ren, umówiłabym się z tobą bez namysłu.

— Posłuchaj, Kells, zapomnij w ogóle, że cokolwiek powiedziałem, okej? — burknął ksiączę. — To nie ma najmniejszego sensu.

— Wiesz, nigdy ci nie podziękowałam za to, że dałeś Renowi kopa w tyłek i skłoniłeś, żeby przyjechał za mną do Oregonu. Sama nie miałabym odwagi zrobić pierwszego kroku.

— Nie rób ze mnie bohatera, Kells.

— Ale ty jesteś moim bohaterem. Być może gdyby nie ty, nie zeszedłabym się z Renem.

— Nawet mi o tym nie przypominaj, prawda jest taka, że równie mocno jak on pragnąłem znów cię zobaczyć. Być może gdybym to ja pierwszy do ciebie przyjechał, ta rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej.

Przez chwilę wyobrażałam sobie, co by się stało, gdyby to Kishan stanął w Boże Narodzenie w progu domu Mike'a i Sary. Wymierzyłam mu przyjacielskiego kuksańca w ramię.

— Nie martw się, przecież jestem przy tobie. Zresztą mam pewność, że jedyne, co we mnie kochasz, to mój talent kulinarny. W końcu jestem mistrzynią w wypieku ciasteczek z podwójną czekoladą i masłem orzechowym.

— Jasne... ciastka — wymamrotał Kishan pod nosem.

— Możemy zostać przyjaciółmi?

— Zawsze byłem twoim przyjacielem.

— Świetnie. Mam przyjaciela i bohatera w jednym. Dobranoc, Kishanie.

— Dobranoc, *bilauta*.

Dotarłszy do drzwi, odwróciłam się po raz ostatni.

- I nie martw się. Jestem pewna, że to, co czujesz, szybko ci przejdzie. Kiedy poznasz mnie lepiej, przekonasz się, że jestem strasznie irytująca. Nawet nie masz pojęcia, jak potrafię zrzędzić.

Kishan uniósł tylko brew w milczeniu.

Pomimo moich zapewnień, że nie musi nade mną czuwać, miło było wiedzieć, że na tarasie śpi tygrys, gotów obronić mnie przed niebezpieczeństwem.

Zasnęłam szybko i po raz pierwszy od dawna nie miałam koszmarów.

## WATSALA DURGA

Kolejne dni upływały nam w tym samym rytmie. Po kilku tygodniach poczułam, że potrafię już się bronić. Nie chodziło o siłę fizyczną, lecz o moją nową magiczną moc. Opanowałam ją bez trudu. Byłam w stanie trafić w pojedyncze źdźbło trawy po drugiej stronie polany.

Pan Kadam większość czasu poświęcał próbom odnalezienia Rena. Odkąd uznaliśmy, że miastem, którego szukamy, jest Lhasa, reszta przepowiedni również nabrała sensu. Pan Kadam był pewien, że jeśli właśnie tam rozpoczniemy naszą podróż, znajdziemy to, czego szukamy. Jednak przed wyjazdem w Himalaje musieliśmy jeszcze odwiedzić świątynię Durgi.

Wkrótce do domu zaczęły docierać paczki. Pan Kadam kupił mi mnóstwo nowych ciuchów, w tym kilka par butów trekkingowych, kilkanaście par wełnianych skarpet, swetry z wełny i polaru, grube skafandry, spodnie, rękawiczki, ciepłe bluzy, parę białych ocieplanych śniegowców, kombinezony i zimowe czapki.

Otworzywszy ostatnią paczkę, zawierającą okulary przeciwsłoneczne, krem z filtrem i inne kosmetyki, zesłam na dół.

- A mówił pan, że nie będę się wspinać na Mount Everest. Ile walizek mam pana zdaniem ze sobą zabrać?

Pan Kadam zachichotał.

- Proszę, panno Kelsey, proszę wejść. Chcę pani coś pokazać.

- Co takiego? Jakiś szczególny rodzaj kurtki, w której będzie mi ciepło nawet pod lawiną?

- Nie, nie. Proszę. - Wręczył mi książkę.
- Co to?
- *Zaginiony horyzont* autorstwa Jamesa Hiltona. Czytała to pani?
- Nie. Nawet nie słyszałam o tej książce
- A czy obija się pani o uszy nazwa Shangri-La?
- Jasne. Tak się nazywały... hm, nocne kluby dla VIP-ów w starych hollywoodzkich filmach. Wydaje mi się, że nawet jedno kasyno w Vegas nosi tę nazwę.
- Naprawdę? W każdym razie wpadłem na trop łączący tę książkę z naszą wyprawą. Ma pani teraz trochę czasu?
- Tak. Powiem tylko Kishanowi, żeby i on przyszedł posłuchać. Zawołałam tygrysa i rozsiadłam się wygodnie na fotelu, a on opadł na ziemię u moich stóp.
- *Zaginiony horyzont* to powieść z 1933 roku, opisująca utopijne społeczeństwo, którego członkowie żyją niezwykle długo i w idealnej harmonii. Miasto, które zamieszkują, znajduje się w górach Kunlun, stanowiących część Himalajów. Co najciekawsze, James Hilton oparł swoją historię na starożytnym tybetańskim micie o Śambhali, mistycznym, tajemniczym mieście, odizolowanym od reszty świata. Współcześnie Shangri-La stało się synonimem krainy szczęścia, utopii bądź raju.
- A więc szukamy krainy za świętą bramą?
- Tak właśnie sądzę. Ten mit jest arcyciekawy. Czy wie pani, że Hilton czerpał z opisów kilku różnych słynnych miast na świecie? Poza tym inspirował się historią Świętego Graala, Fontanny Młodości, Eldorado, biblijnego miasta Henoch i Hyperborei, legendarnej greckiej krainy szczęśliwości. W każdej z tych opowieści ludzie szukają czegoś, co zapewni im nieśmiertelność lub stanie się kolebką idealnego społeczeństwa. Te same motywy znajdziemy również w historii Adama i Ewy: drzewo, wąż, rajskie ogrody. Wielu szukało takich miejsc i nigdy ich nie znalazło.
- Świetnie. Im więcej się dowiaduję, tym trudniejsze staje się całe zadanie. Może lepiej byłoby nie wiedzieć tego wszystkiego i mniej się denerwować.
- Może nie powinienem był pani tego mówić? Westchnęłam.
- Nie, to dobrze, że wiem. Dzięki temu lepiej wszystko rozumiem. A więc nikt nigdy nie odnalazł Shangri-La?
- Nie, choć wielu próbowało. Odkryłem pewien interesujący fakt: Adolf Hitler wierzył, że Shangri-La istnieje i zamieszkuje



je idealna starożytna rasa nadludzi. W 1938 roku wysłał nawet do Tybetu ekspedycję pod przywództwem niejakiego Ernsta Schafera.

— Jak dobrze, że im się nie powiodło.

— Ma pani rację.

Pan Kadam wręczył mi egzemplarz *Zaginionej horyzontu* 1 ostrzegł, że prawdopodobnie wyruszymy już pod koniec tygodnia. Następne kilka dni upłynęło w normalnym rytmie, choć byłam coraz bardziej podenerwowana. Podczas ostatniej wyprawy przeżyłam kilka groźnych przygód, ale przez cały czas był przy mnie Ren. Przez większość czasu to się kłóciliśmy, to godziliśmy czule, lecz mimo tej emocjonalnej zawieruchy czułam się przy nim bezpieczna. Wiedziałam, że obroni mnie przed okrutnymi małpami i demonami *kappa*.

A teraz na horyzoncie majaczyło nowe wyzwanie, a ja czułam w środku bolesną pustkę. Jedyne, co trzymało mnie przy życiu, to świadomość, że robię to dla niego. Nie wyobrażałam sobie, że Ren może nie przeżyć kolejnych tygodni. Musi żyć. Bez niego wszystko straciłoby sens. Chociaż i tak dokończyłabym to, co zaczęliśmy -dla Kishana. Nie mogłam go opuścić. To nie leżało w mojej naturze. Wiedziałam, że będzie mnie chronił, sama też czułam, że potrafię więcej. A jednak bez Rena nic nie byłoby takie samo.

Czas mijał, a nam wciąż nie udawało się go odnaleźć. Nie dzieliłam się moimi zmartwieniami z Kishanem, gdyż i tak był już wystarczająco smutny. Zresztą po jego ostatnim wyznaniu niezręcznie byłoby rozmawiać o Renie. Ilekroć zaś poruszałam ten temat z panem Kadamem, na jego twarzy malowało się poczucie winy i natychmiast chował nos w książki. Odkąd wspomniałam, jak trudno mi jest bez Rena, starszy pan w ogóle przestał spać i cały czas spędzał na swoich badaniach. Kishan i ja nie rozmawialiśmy więcej o jego uczuciach do mnie. Na początku atmosfera między nami była lekko napięta, jednak -uparcie unikając tego tematu - już wkrótce uczyniliśmy naszą relację nieco swobodniejszą. Codziennie trenowaliśmy razem sztuki walki. Odkryłam, że naprawdę go lubię.

Poza tym okazało się, że bracia, choć pod pewnymi względami podobni, w wielu sprawach znacznie się różnili. Kishan, na przykład, był ostrożniej szy. Chętnie rozmawiał na każdy temat, ale zawsze ważył słowa. Miał wiele głębokich przemyśleń. Był wobec siebie bardzo surowy i nie opuszczało go poczucie winy.

Jednak pewne rzeczy, które mówił, a nawet dobierane przez niego słowa, przypominały mi o Renie. Tak jak z jego bratem, z Kishanem łatwo się rozmawiało. Nawet ich głosy brzmiały podobnie. Czasem zapomniałam, kto przede mną stoi, i niechcący nazywałam go imieniem brata. Uspokajał mnie, twierdząc, że to zrozumiałe, ale wiedziałam, że w ten sposób go ranię.

Przez cały tydzień przed podróżą w domu panowało napięcie. W końcu nadszedł dzień wyjazdu. Kishan załadował jeepa naszymi bagażami, usadowił się na miejscu Rena i ruszyliśmy. Pan Kadam załatwił nam dokumenty podróżne i wyjaśnił, że będziemy jechać przez trzy kraje. Zerknęłam na swoje papiery i dostrzegłam, że widnieje w nich nieznane mi nazwisko K.H. Khan, a obok niego jedno z moich starych szkolnych zdjęć. Co za koszmarna fryzura, pomyślałam.

Celem naszej podróży było miasto Bhadgaun w Nepalu. Sama podróż przez Indie zajęła nam trzy dni. Wjechaliśmy do Nepalu przez granicę Birgańdź-Raxaul. Na przejściu pan Kadam miał mnóstwo papierkowej roboty - okazało się, że musimy przedstawić *Carnet de Passage en Douane*, czyli dokument celny, pozwalający wjechać do Nepalu samochodem.

Gdy już urządziliśmy się w hotelu Jahur, zostawiliśmy Kishana drzemiącego w pokoju i pojechaliśmy riksą zwiedzić wieżę zegarową w Birgańdź. Po powrocie wszyscy wybraliśmy się na kolację do pobliskiej restauracji. Pan Kadam zamówił dla mnie ćatamari, czyli rodzaj nepalskiej pizzy pieczonej z mąki ryżowej z dowolnymi dodatkami na wierzchu - wybrałam te kilka produktów, których nazwy coś mi mówiły. Mój przyjaciel wziął masu, czyli mięso przyprawione curry, oraz ryż. Zdecydował się na kurczaka, choć do wyboru była również baranina i bawół, co przyjąłam z zaskoczeniem, gdyż nie wiedziałam, że w Nepalu występują bawoły. Kishan zamówił warzywne pulao, potrawę ze smażonego ryżu z kminkiem i kurkumą, a także masu z baraniny i thukpę, czyli tradycyjny bulion z makaronem i warzywami.

Następnego dnia wstaliśmy wcześnie i wyruszyliśmy do Bhadgaun. Pan Kadam zameldował nas w hotelu, po czym wybraliśmy się do centrum miasta. Nigdzie nie było riks ani taksówek - starszy pan wyjaśnił, że w ten sposób mieszkańcy pilnują czystości i ciszy tego miejsca. Przeszliśmy przez duży pchli targ, na którym sprzedawano przeróżne wyroby ceramiczne. Większość z nich była ulepiona z niezwykle popularnej w tych stronach czarnej gliny i pomalowana na rozmaite kolory.

Na straganach były również porozkładane maski demonów, zwierząt oraz rozlicznych bóstw, a także warzywa, owoce i inne produkty spożywcze. Kupiliśmy trochę słynnego jogurtu z bawolego mleka, zwanego dżdżu dhau, pełnego miodu, orzechów, rodzynków i cynamonu.

Przez targ dotarliśmy do głównego placu.

- Oto plac Darbar - wyjaśnił pan Kadam. - A to miejsce, którego szukamy, czyli Watsala Durga.

Wejścia do świątyni strzegły dwa kamienne lwy. Budynek kształtem przypominał świątynię Wirupakszy w Hampi, tyle że ze wszystkich stron otaczał go brukowany taras. Obok stał kamienny łuk, na którym wisiał dzwon.

~ Hej, proszę pana, okazuje się, że moja bransoletka z dzwoneczkami nie będzie nam potrzebna.

- Tak, to dzwon Taledżu. Odlano go z brązu. Czy chciałaby pani dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

- Jasne.

- Nazywają go „szczekającym dzwonem”. Jeden ze starożytnych władców tego miejsca miał kiedyś sen, w którym potworne, podobne do psów istoty zaatakowały w nocy jego poddanych.

- Podobne do psów? Może chodziło o wilkołaki?

- Niewykluczone. W śnie króla jedynym sposobem na odstraszenie bestii i ocalenie mieszkańców był dźwięk dzwonu. Jego bicie było tak głośne i mocne, że potwory uciekły. Sen był na tyle realistyczny, że gdy król się obudził, natychmiast zlecił wykonanie specjalnego dzwonu, który później służył jako sygnał, by opuścić ulice miasta i udać się na spoczynek. Wierzono, że dopóki ludzie go słuchają, dopóty będą bezpieczni. Wielu wciąż mawia, że gdy rozlega się bicie dzwonu, okoliczne psy zaczynają szczekać i skomleć.

- Świetna historia. - Szturchnęłam Kishana łokciem. - Ciekawe, czy dzwon działa też na tygrysy.

Kishan złapał mnie za łokieć i przyciągnął do siebie.

- Lepiej na to nie licz - zagroził przekornie. - Gdy któryś postanowi cię złapać, nie odstraszysz go tak łatwo. Tygrysy to niezwykle uparte stworzenia.

Coś mi mówiło, że mamy na myśli dwie różne sprawy. Zaczęłam desperacko kombinować, jak by tu zmienić temat.

Większość mijanych przez nas mężczyzn nosiła wysokie nakrycia głowy. Spytałam pana Kadama, co one oznaczają, a on rozpoczął długi i szczegółowy wykład na temat historii ubioru oraz szat religijnych.

- Jest pan jak chodząca encyklopedia, i to na każdy możliwy temat. Świetnie mieć pana przy sobie, a do tego opowiada pan ciekawiej niż jakikolwiek znany mi nauczyciel.

Starszy pan się uśmiechnął.

- Dziękuję za komplement. Ale proszę dać mi znać, gdyby zanadto mnie poniosło. Wiem, że to moja słabość.

- Nie sądzę, żeby to się zdarzyło - odparłam ze śmiechem. - Ale obiecuję, że w takim wypadku dam panu znać.

Kishan uśmiechnął się i potraktował moje słowa jako wymówkę, żeby mnie objąć i pogładzić po nagim ramieniu.

- Gwarantuję, że przy mnie też się nigdy nie znudzisz - przemówił szelmowskim tonem.

Jego dotyk był miły. Zbyt miły. Dźgnięta wyrzutami sumienia, zareagowałam nerwowo, wykręciłam się i odepchnęłam jego rękę.

- Rany! Co ty sobie myślisz? Może byś najpierw zapytał? Kishan pochylił się i powiedział cicho:

- A co mi zrobisz?

W odpowiedzi zmarszczyłam tylko brwi.

Resztę popołudnia spędziliśmy na dalszym zwiedzaniu. Postanowiliśmy wrócić do świątyni następnego wieczoru, o zmierzchu. Nie byłam pewna, czy pan Kadam pociągnął za jakieś sznurki, czy po prostu sięgnął do swojego zasobnego portfela, ponieważ udało mu się przekonać kogo trzeba, żeby wpuszczono nas tam samych po zamknięciu wrót.

Kolorowe smugi zasnuwały ciemniejące niebo, gdy zgodnie z planem znaleźliśmy się przed świątynią. Pan Kadam odprowadził nas do schodów i wręczył mi plecak wypakowany przedmiotami, które mieliśmy złożyć bogini w ofierze. Ryły to różne rekwizyty związane z powietrzem: ptasie pióra, chiński wachlarz, ogon latawca, balon wypełniony helem, plastikowy samolocik na gumkę, miniaturowy barometr, model żaglówki oraz pryzmat, rozszczepiający światło w tęczę. Pamiętaliśmy również o owocach na szczęście.

Pan Kadam podał mi Fanindrę. Włożyłam ją na ramię. Już wcześniej zwinęła się w bransoletkę, co odebrałam jako sygnał, że chce iść z nami. Kishan i ja wspieliśmy się po kamiennych stopniach prowadzących do świątyni. Minęliśmy strzegące wejścia kamienne słonie i parę kamiennych lwów. Już z dołu widać było posąg Durgi, umieszczony w wysokiej wnęce. Martwiłam się, że jeśli tak

jak poprzednim razem statua ożyje, jakiś przechodzień może ją zobaczyć z brukowanej ulicy.

Po cichu okrążyliśmy budowlę i odnaleźliśmy kręte schody, prowadzące do górnej części świątyni. Kishan podał mi rękę. W środku było ciemno i chłodno. Korytarz wiodący w stronę posągu rozjaśniało dobiegające z zewnątrz światło ulicznych latarni. Kishan szedł za mną, równie cichy, mroczny i chłodny jak wewnątrz świątyni. Pomyślałam, że bardzo go lubię, ale brakuje mi światła i ciepła, które zawsze roztaczał wokół siebie Ren.

Weszliśmy do niedużej sali i stanęliśmy przed kamienną ścianą. Wiedziałam, że po drugiej stronie znajduje się posąg bogini, oświetlony przez uliczne latarnie. Na szczęście umieszczono go ponad pół metra od wejścia, więc nawet gdybyśmy stanęli przy nim od frontu, nadal skrywałby nas cień.

— No dobrze. Ostatnio było tak: złożyliśmy ofiarę, zadzwoniliśmy dzwonkiem, poprosiliśmy o mądrą radę, a potem Ren zmienił się w tygrysa.

— Mów, co mam robić.

Wyciągnęliśmy z plecaka nasze dary i ułożyliśmy je u stóp posągu, po czym znów wycofaliśmy się w cień. Podniosłam stopę i zadzwoniłam dzwoneczkami, dyndającymi mi przy kostce. Uśmiechnęłam się przy tym, myśląc o Renie. Odsunęliśmy się od ściany. Kishan znów wziął mnie za rękę. Byłam mu za to wdzięczna. Choć już raz widziałam ożywający posąg, to i tak byłam podenerwowana.

— Ja zacznę, a potem ty się odezwiesz. Książę skinął głową i ścisnął moją dłoń.

— O wielka bogini Durgo, znów zwracamy się do ciebie o pomoc. Pobłogosław naszą wyprawę w poszukiwaniu kolejnego daru, który pozwoli nam ocalić królewskich braci. Czy obdarzysz nas swoją pomocą i mądrością?

Odwrociłam się do Kishana i skinęłam głową. Książę milczał przez chwilę, po czym przemówił:

— Nie zasługuję na błogosławieństwo. — Zerknął na mnie i westchnął smutno. —

Wszystko, co się wydarzyło, to moja wina. Proszę cię jednak, byś ocaliła mojego brata. Chroń go od niebezpieczeństw... zrób to dla niej. Pomóż mi w czasie tej podróży opiekować się moją towarzyszką i strzec jej przed zagrożeniami.

Spojrzał na mnie, szukając w mojej twarzy potwierdzenia. Stanęłam na palcach, pocałowałam go w policzek i szepnęłam:

— Dziękuję.

— Proszę.

— A teraz zmień się w tygrysa.

Czarny zwierz stał się niemal niewidoczny w mrocznym pomieszczeniu. Przez budynek przeniknął ostry, chłodny powiew. Zatopiłam dłoń w kosmatym karku Kishana i starając się przekrzyczeć szum wiatru, zawołałam:

— Teraz dopiero się zaczniesz!

Tysiącletni pył uniósł się ze szczelin w kamiennej podłodze i zawirował wokół nas. Zmrużyłam oczy i zakryłam rękawem usta oraz nos. Kishan popchnął mnie w róg sali, z dala od wichru wpadającego przez okna.

Tygrys wbijał pazury w podłogę, by nie upaść, i przyciskał mnie do ściany swoim ciałem. Uklękałam i mocno objęłam go za szyję, zanurzając twarz w jego futrze.

Powoli spod warstw pyłu na ścianach zaczęły się wyłaniać misterne rzeźbienia.

Wicher wygładził podłogę, która miała teraz fakturę marmuru. Jedną ręką chwyciłam się kolumny, drugą zaś nadal obejmowałam Kishana.

Po jakichś dziesięciu minutach wiatr się uspokoił. Otworzyłam oczy. Wnętrze świątyni uległo dramatycznej przemianie. Pozbawione wiekowej warstwy pyłu i brudu, lśniło niezwykłą urodą. Zalana światłem księżyca sala nabrała baśniowego wyglądu. Na tylnej ścianie, za posągiem bogini, pojawił się znajomy odcisk dłoni. Kishan przybrał ludzką postać i stanął obok mnie.

— Co teraz? — zapytał.

— Chodź.

Pociągnęłam go za sobą i przyłożyłam dłoń od odcisku w ścianie. Strumień energii przeszedł przez moje ramię i wniknął w kamień. Murem wstrząsnął głuchy łomot.

Cofnęliśmy się. Ściana obróciła się

o sto osiemdziesiąt stopni i stanęliśmy twarzą w twarz z podobizną

Durgi.

Ten wizerunek bogini był podobny do posągu w Hampi - wieloręka, z tygrysem u stóp, brakowało tylko odyńca. Usłyszałam delikatny dźwięk dzwoneczków i piękny głos przemówił:

— Witaj, córko. Twoja ofiara została przyjęta.

Wszystkie przedmioty, które złożyliśmy u podstawy posągu, zaślniły i znikły.

Kamień barwy piasku przeobraził się w ciało i ramiona bogini zaczęły się poruszać.

Zimne, twarde wargi zamigotały rubinową czerwienią i uśmiechnęły się.

Tygrys Damon wydał z siebie cichy pomruk i otrząsnął się z kamiennej skorupy, jakby to był tylko kurz. Po chwili kichnął i usiadł u stóp swojej pani.

Kishan wpatrywał się w całą tę scenę z niemym zachwytem. Durga zadrżała lekko i przez całe pomieszczenie przeszedł delikatny powiew wiatru, który zdmuchnął z niej pył, odkrywając to, co pod spodem, jak lśniący klejnot. Skóra bogini miała bladoróżowy odcień. Durga rozluźniła się i pustą ręką zdjęła z głowy złotą czapę. Gęste czarne włosy spłynęły jej na ramiona.

— Kelsey, moje dziecko — odezwała się dźwięcznym głosem. — Tak się cieszę, że udało ci się odnaleźć złoty owoc.

Spojrzała na Kishana, przekrzywiła głowę i zaskoczona uniosła piękną brew.

Podniosła delikatne różowe ramię i wskazała na niego.

— A któż to? Gdzie twój tygrys, Kelsey?

Kishan śmiało wystąpił na przód i uklonił się nisko.

— O pani, ja również jestem tygrysem — odparł, po czym zademonstrował swoją przemianę. Po wnętrzu świątyni rozniósł się dźwięczny, radosny śmiech. Kishan uśmiechnął się. Durga przeniosła wzrok na mnie i dostrzegła węża, owiniętego wokół mojego ramienia.

— Ach, moja najdroższa Fanindra.

Gestem nakazała mi podejść bliżej. Fanindra ożyła, przesunęła się po mojej ręce do nadgarstka i wyciągnęła łeb w stronę dłoni bogini. Durga z uczuciem poklepała węża po głowie.

— Twoje zadanie nie dobiegło końca, moja miła. Musisz jeszcze zostać z Kelsey.

Wąż zasyczał cicho, ponownie owinał się wokół mojego ramienia i zastygł, na powrót przybierając formę złotej bransolety, lecz jego oczy nadal lśniły delikatnym zielonym światłem.

Durga znów zwróciła się do mnie.

— Wyczuwam u ciebie smutek, droga córko. Powiedz, co cię trapi.

— Ren, mój biały tygrys, wpadł w zasadzkę i został uwięziony przez złych ludzi.

Nie możemy go odnaleźć. Mieliśmy nadzieję, że nam w tym pomożesz.

Rogini uśmiechnęła się melancholijnie.

— Niestety, nie mogę działać tyle, ile bym chciała. Pomogę ci odnaleźć kolejny przedmiot z przepowiedni, ale mój czas jest ograniczony.

Łza spłynęła mi po policzku.

— Ale bez niego szukanie kolejnych przedmiotów straci dla mnie sens.

Durga łagodnie wyciągnęła rękę i złapała w locie lśniąca łzę, która w jej palcach stwardniała i zmieniła się w migoczący diament. Wręczyła go zachwyconemu Kishanowi.

- Pamiętaj, Kelsey, że wyprawa, na którą cię posyłam, nie pomoże wyłącznie twoim tygrysom, ale całym Indiom. Musisz odnaleźć święte przedmioty, to niezwykle ważne.

Pociągnęłam nosem i wytarłam oczy rękawem. Bogini uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

- Nie obawiaj się, moja droga. Obiecuję, że będę miała pieczę nad twoim białym tygrysem, obronię go przed niebezpieczeństwem!... och... rozumiem... - Mrugnęła powiekami, wpatrując się w przestrzeń, jakby zobaczyła coś, czego my nie dostrzegaliśmy. - Tak... I roga, którą teraz obierzesz, pomoże ci ocalić twojego tygrysa. Strzeż dobrze drugiego przedmiotu, a także złotego owocu, i nie pozwól, by wpadły w niewłaściwe ręce.

- Co mam zrobić ze złotym owocem?

- Na razie zachowaj go, gdyż pomoże ci w podróży. Pamiętaj, by mądrze z niego korzystać.

- A czego szukamy tym razem?

- Na to pytanie odpowie ci ktoś, kogo zaraz poznasz. Uniosła różowe ramię i wskazała na tylną część sali, za naszymi plecami. Usłyszałam rytmiczne terkotanie. Oboje z Kishanem odwróciliśmy się. W zalanym światłem księżycy rogu sali siedziała na drewnianym stołku stara, zgarbiona kobieta. Spod wyblakłej czerwonej chustki wystawały jej pasma siwych włosów. Była ubrana w prostą, ręcznie tkaną brązową sukienkę oraz biały fartuch i miała przed sobą nieduże krosno. Przez chwilę patrzyłam w milczeniu, jak wyciąga z kosza przepiękne, barwne nici, naciąga je na wałek i zaczyna tkąć.

Po chwili ciszy spytałam:

- Co tkacie, babciu?

Miłym, choć znużonym głosem starowinka odparła:

- Świat, moje dziecko. Tkam cały świat.

- Masz piękne nici, nigdy takich nie widziałam. Staruszka zachichotała.

- Używam pajęczyny, żeby były lekkie, elfich skrzydeł, żeby lśniły, tęcza nadaje im barw, a obłoki miękkości. Podejdź i dotknij tkaniny.

Ścisnęłam Kishana za rękę i zbliżyłam się do staruszki. Materiał pod moimi palcami zadrżał i lekko zatrzeszczał.

- Jak żywy!



— Owszem, to miejsce ma wielką moc. Ale muszę cię jeszcze nauczyć kilku rzeczy o sztuce tkackiej.

— Słucham, babciu.

— Te długie pionowe nici to osnowa, a te barwne pasma to wątek. Nici osnowy są grube, mocne i często wyglądają zupełnie zwyczajnie, ale bez nich bajecznie kolorowy wątek nie miałby się na czym oprzeć. Twoje tygrysy opierają się na tobie, potrzebują cię. Bez ciebie wiatr zdmuchnąłby je z powierzchni ziemi.

Pokiwałam głową.

— Czego jeszcze mnie nauczycie, babciu?

Staruszka nachyliła się w moją stronę i konspiratorskim tonem wyszeptała:

— Sztuka tkacka opanowana do mistrzostwa tworzy wyjątkowy materiał, a w ten wplotłam nici o niezwykłej mocy. Dobra tkanina musi służyć wielu celom. Ta zbiera, stwarza i odmienia. Pilnuj jej dobrze.

— Dziękuję, babciu.

— Jeszcze jedno, moje dziecko. Zawsze pamiętaj o tym, by cofnąć się o krok i wyobrazić sobie efekt. Jeśli skupisz się tylko na niciach, które trzymasz w ręku, zapomnisz o tym, co jesteś zdolna stworzyć. Durga potrafi dostrzec całą tkaninę. Zaufaj jej.

Nie pozwalaj sobie na zniechęcenie, gdy któraś z nici nie pasuje. Czekaj i przyglądaj się. Bądź cierpliwa i poświęcaj się swojej pracy, a gotowy wzór ukaże ci się w całej swojej wspaniałości.

Puściłam rękę Kishana i podeszłam bliżej. Pocałowałam staruszkę w miękki, pomarszczony policzek i jeszcze raz jej podziękowałam. Oczy babci zalśniły i krosna znów poszły w ruch, terkocząc rytmicznie. Kobieta powoli rozmyła się w powietrzu. Już po chwili słychać było jedynie niknący odgłos warsztatu, a potem zapadła cisza.

Odwróciliśmy się w stronę Durgi, która uśmiechała się do nas, głaszcząc łeb swojego tygrysa.

— Czy zaufasz mi i powierzysz Rena mojej pieczy, Kelsey?

— Tak, pani.

— To cudownie! — ucieszyła się bogini. — A teraz, zanim wyruszysz w dalszą drogę, mam coś dla ciebie. — Durga zaczęła przekładać narzędzia walki z ręki do ręki, aż znieruchomiała, trzymając przed sobą łuk i strzały. Uniosła je. Kishan wystąpił do przodu.

— Cierpliwości, hebanowy książę. I dla ciebie mam prezent, ale to jest dla mojej córki.

Wręczyła mi średniej wielkości złoty łuk i kołczan, pełen strzał o złotych grotach. Dygnęłam.

- Dziękuję ci, pani.

Durga zwróciła się do Kishana.

- A teraz twoja kolej.

Książę skłonił się nisko, z olśniewającym uśmiechem na twarzy.

- Z radością przyjmę, cokolwiek mi zaoferujesz, piękna bogini. Wywróciłam oczami. Typowe.

Durga lekko skinęła głową i nie byłam pewna, czy dobrze widzę, ale zdawało mi się, że w jej policzku ukazał się dołeczek. Ha, najwyraźniej jej się to spodobało. Mam tylko nadzieję, że następnym razem to nie jego zażąda w ofierze.

Spojrzałam na Kishana. Jego twarz rozjaśniał rozmarzony, nieco cielecy uśmiech.

Cóż, książę jest w końcu bardzo przystojny. Czy Afrodyta nie miewała przypadkiem romansów ze śmiertelnikami? Będę musiała zapytać o to pana Kadama.

Durga wręczyła oczarowanemu Kishanowi złoty dysk, co ośmieliło go na tyle, że złożył na jej dłoni delikatny pocałunek. Hola, hola, czy to nie zbytnia poufałość?, pomyślałam. Nie byłam zazdrosna, raczej zdumiona jego brawurą.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. W końcu odchrząknęłam znacząco.

- Ekhm. Pani, czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć, zanim ruszymy w drogę? Nasz cel to Lhasa i Himalaje. Arka Noego w Shangri-La.

Durga spojrzała na mnie jak wyrwana z transu.

- Tak... - odparła. Jej dźwięczny głos zaczął słabnąć, a ciało powróciło do pierwotnej pozycji. - Strzeż się czterech domów. Zgotują ci wiele prób. Korzystaj z tego, czego się nauczyłaś. Gdy zdobędziesz kolejny przedmiot, on wybawi cię z opresji i pozwoli ocalić tego, którego kochasz. Użyj go, by...

Bogini znieruchomiła. Jej miękka skóra zastygła w kamień.

- A niech to! Trzeba było pytać najpierw!

Wiatr znów zaczął hulać po sali, a posąg poruszył się i już po chwili stał jak dawniej, zwrócony w stronę ulicy.

- Halo! Ziemia do Kishana! - Książę tkwił w bezruchu do momentu, gdy bogini zniknęła mu z oczu.

- Ona jest... wyjątkowa.

— Jasne — zadrwiłam. — Hej, o co chodzi z tobą i nieosiągalnymi kobietami? Światło w jego oczach zgasło. Widziałam, jak zamyka się w sobie. Skrzywił się.  
— Rzeczywiście. Masz rację, Kelsey. — Roześmiał się z goryczą. — Może powinienem pójść na terapię.

Zachichotałam, ale już po chwili zrobiło mi się smutno.

— Wybacz, Kishanie. To nie było miłe. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Nie przejmuj się, Kells. Nadal mam ciebie. Pamiętaj, jesteś moją osnową, a ja twoim wątkiem.

— Pewnie. Choć to dość nietypowy komplement.

— Jesteś piękną osnową.

— Dobrze już, dobrze. Chodź, hebanowy książę. Wracajmy do pana Kadama. Kishan uśmiechnął się.

— Panie przodem, moja piękna.

Wywróciłam oczami i ruszyłam po schodach w dół.

— Nie dość ci było flirtu z boginią? Nie wysilaj się, na mnie to nie działa.

Kishan roześmiał się i podążył za mną.

— Będę więc próbował, aż znajdę coś, co zadziała.

— Nie licz na to, Casanovo.

— Kto to jest Casanovą?

— Nieważne.

Księżyc zniknął za chmurami. Podłogę i ściany świątyni znów pokrywała gruba warstwa kurzu. Kishan wziął mnie za rękę i razem wyszliśmy w ciemność nocy.

## AUTOSTRADA PRZYJAŹNI

Pan Kadam czekał na nas przed świątynią. Gdy zapytaliśmy, czy zauważył ruch posagu, odparł, że nie. Nie czuł również wiatru. Zaproponowałam, żeby następnym razem poszedł z nami. Zawsze stawał na czatach, wychodząc z założenia, że Durga mu się nie ukáže. I Jwazał, że tylko wszedłby nam w paradę.

— Oczywiście, gdyby pan z nami poszedł, pewnie uległby czarowi I Jurgi tak samo jak Kishan - dodałam z przekąsem. - A wtedy wam obu musiałabym opatrywać rany po strzałach Amora.

Kishan zmarszczył brwi, zaś twarz pana Kadama pojaśniała z zachwyty.

— A więc bogini rzeczywiście jest piękna?

— Nie najgorsza — mruknęłam.

— Urodą przewyższa jakąkolwiek inną kobietę — wybuchnął Kishan. — Jej usta są tak pąsowe, ciało tak delikatne, a włosy tak długie i ciemne, że każdy mężczyzna straciłby głowę.

— Och, błagam cię! - prychnęłam. - Ren tak nie reagował. Kishan rzucił mi gniewne spojrzenie.

— Być może Ren miał powód, by patrzeć w innym kierunku. Pan Kadam parsknął śmiechem.

— Mam nadzieję, że uda mi się ją poznać.

— Nie zaszkodzi spróbować. Najwyżej nic się nie wydarzy. Zawsze może pan wtedy wyjść, a my spróbujemy jeszcze raz.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, pokazaliśmy panu Kadamowi broń, którą dostaliśmy w prezencie. Kishan wygłaszał wciąż nowe peany:

bogini to, bogini tamto, i obracał w świetle swój złoty dysk, który rzucał na ścianę migotliwe smugi. Starszy pan opowiedział nam, że dysk symbolizuje życiodajne słońce, a także cykl narodzin, śmierci i odrodzenia. Ja jednak nie mogłam skupić się na rozmowie. Kishan bezustannie wychwalał Durgę i jej zjawiskowe kobiece rysy, co doprowadzało mnie niemal do mdłości.

Stałam w drzwiach łączących ich pokoje i drwiącym tonem skomentowałam:

— Powinieneś, rzucając nim, wydawać bojowy okrzyk jak wojownicza księżniczka Xena. Albo wiem, kupimy ci skórzaną spódniczkę!

Kishan spojrzał na mnie swoimi bursztynowymi oczami.

— Mam nadzieję, że twoje strzały okażą się równie ostre jak twój język, Kelsey.

Wstał i podszedł do mnie. Nie ruszałam się z miejsca, blokując mu przejście, ale on po prostu mnie podniósł i przesunął na bok. Przytrzymał mnie przez chwilę, nachylił się i szepnął:

— Chyba jesteś zazdrosna, *bilauta*. — A potem zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie w towarzystwie pana Kadama.

Zmieszana, opadłam na krzesło i wymamrotałam pod nosem:

— Wcale nie!

Pan Kadam spojrzał na mnie z namysłem.

— Rzeczywiście, nie. Przynajmniej nie w taki sposób, na jaki on ma nadzieję.

Wyprostowałam się.

— Co pan ma na myśli?

— Chroni go pani.

— Niby przed czym? — prychnęłam. — Przed jego własnymi złudzeniami?

Starszy pan się roześmiał.

— Nie. Zależy pani na nim. Chciałaby pani, żeby znalazł w życiu szczęście. A ponieważ Rena nie ma z nami, cały swój instynkt macierzyński przelała pani na Kishana.

— Nie sądzę, żebym miała wobec Rena instynkt macierzyński.

— Ależ oczywiście, że tak. Przynajmniej w pewnym sensie. Czy pamięta pani, co tkaczka w świątyni opowiadała o różnych rodzajach nici?

— Tak. Mówiła, że jestem osnową.

— Zgadza się. Wątki Rena i Kishana są tkane wokół pani. Bez pani siły tkanina nie powstanie.

— Hmm.

— Panno Kelsey, co pani wie o obyczajach lwów?

— Niewiele.

— Samiec lwa nie jest w stanie polować samotnie. Zginąłby bez swojej lwicy.

— Chyba nie do końca rozumiem.

— Chodzi mi o to, że lew umiera bez lwicy. Kishan pani potrzebuje. Ryć może nawet bardziej niż Ren.

— Ale ja nie mogę być wszystkim dla nich obu.

— Nie wymagam tego od pani. Chodzi mi tylko o to, że Kishanowi potrzebna jest... nadzieja. Coś, czego mógłby się uchwycić.

— Mogę być dla niego przyjaciółką. Mogę dla niego polować. Ale to Rena kocham i będę o niego walczyć.

Pan Kadam poklepał mnie po ręce.

— Przyjaciółka, ktoś, komu na nim zależy, ktoś, kto go kocha i nie pozwoli, żeby przestał walczyć o siebie. Oto, kto potrzebny jest Kishanowi.

— Ale czy to nie pan pełnił dotąd tę funkcję? Starszy pan zachichotał.

— O, tak. Oczywiście. Tylko że księżę jest młodym mężczyzną i potrzebuje młodej kobiety, która będzie w niego wierzyć. Nie zrzędlivego tetryka.

Wstałam i uściskałam go.

— Nigdy bym pana w ten sposób nie określiła. Dobranoc.

— Dobranoc, panno Kelsey. Wyjeżdżamy z samego rana. Proszę się dobrze wyspać. Tej nocy śniłam o obu braciach. Stali przede mną, a Lokesh nakazał mi zdecydować, który ma przeżyć, a który zginąć. Ren uśmiechnął się smutno i skinął głową w stronę brata. Kishan odwrócił wzrok, bo wiedział, że go nie wybiorę. Nadal zastanawiałam się nad odpowiedzią, gdy ze snu wyrwał mnie dźwięk hotelowego budzika.

Spakowałam torby. Pan Kadam wraz z Kishanem czekali już na mnie w holu.

Podróż do Katmandu - największego miasta i stolicy Nepalu - upłynęła nam w milczeniu. Gdy dojechalśmy na miejsce, zostałam z Kishanem w samochodzie, podczas gdy pan Kadam wszedł do urzędu, by załatwić do końca wszystkie sprawy związane z naszą podróżą przez Himalaje.

— Ee... Kishanie? Chciałam cię przeprosić, wczoraj zachowywałam się jak kretyńka. Jeśli zakochałeś się w bogini, to przecież tylko twoja sprawa.

— Nie mam zamiaru się w niej zakochiwać, Kells — prychnął książę. — Nie martw się o mnie.

— Tak czy inaczej, nie byłam wobec ciebie zbyt delikatna. Wzruszył ramionami.

— Kobiety nie lubią, gdy mężczyźni zachwycają się innymi kobietami. Nie powinienem był tyle gadać. Szczerze mówiąc, wychwalałem jej urodę tylko po to, żeby cię sprowokować.

Obróciłam się na siedzeniu.

— Słucham? Czemu miałbyś robić coś takiego?

— Chciałem, żebyś była zazdrosna, ale nie byłaś... i to mnie zabolalo.

— Och, Kishanie, wiesz przecież, że ja...

— Wiem, wiem. Nie musisz mi przypominać. Kochasz Rena.

— Tak. Ale to nie znaczy, że ty mnie nie obchodzisz. Pamiętaj, że jestem i twoją ośnową.

Na te słowa jego twarz się rozjaśniła.

— To prawda.

— A więc nie zapominaj o tym. Wszystko będzie dobrze. W porządku?

Wyciągnęłam do niego rękę, a on ujął ją w dłoń i uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Obiecujesz? Odwzajemniłam uśmiech.

— Słowo honoru.

— Dobrze. Rękę się tego trzymał. Może powinienem dostać to na piśmie? Ja, Kelsey, obiecuję Kishanowi, że wszystko dobrze się dla niego skończy. Czy mam od razu wyszczególnić, co przez to rozumiem?

— Hmm, nie, chyba wolę nie wiedzieć.

— W porządku. Ale pomyślę nad tym i jeszcze wrócimy do tego tematu.

— Proszę bardzo.

Książę ucałował moje palce z nieco bezwstydnym wyrazem twarzy, podczas gdy ja usiłowałam wyrwać dłoń z jego uścisku.

— Kishan!

Roześmiał się i w końcu puścił moją rękę. Zmienił się w tygrysa, zanim zdążyłam powiedzieć mu, co sędzę o jego zachowaniu.

- Tchórz - burknęłam i odwróciłam się. Usłyszałam jego cichy pomruk, ale postanowiłam nie reagować.

Przez następne kilka minut całkiem poważnie zastanawiałam się nad tym, co faktycznie by go uszczęśliwiło. Doszłam do wniosku, że nie wiem już nawet, jakiego zakończenia tej historii pragnę dla siebie. Miałam tylko nadzieję, że uda się osiągnąć nasz cel, wykonać wszystkie cztery zadania, a wtedy jakoś to będzie.

Wrócił pan Kadam.

- Dostaliśmy pozwolenie na podróż do Tybetu Autostradą Przyjaźni - oświadczył. - To w pewnym sensie cud.

- Jak się to panu udało?

- Pewien wysoki chiński urzędnik był mi winien przysługę.

- Jak wysoki?

- Najwyższy. Mimo to musimy robić regularne przystanki i meldować się, by mieli na nas oko. Wyruszamy natychmiast. Pierwszy postój mamy w Nyalam, sto pięćdziesiąt trzy kilometry stąd, przy granicy nepalsko-tybetańskiej. Podróż powinna zająć nam około pięciu godzin.

- Pięć godzin? Chwileczkę, powiedział pan: sto pięćdziesiąt kilometrów? To trzydzieści kilometrów na godzinę. Czemu tak mało?

Pan Kadam zachichotał.

- Przekona się pani.

Wręczył mi przewodnik, mapę i kilka folderów, żebym śledziła trasę i pilotowała go w razie potrzeby. Wcześniej myślałam, że Góry Skaliste są ogromne, ale w porównaniu do Himalajów wypadają równie blado jak Appalachee w porównaniu z Górami Skalistymi. Mimo wiosny w pełni przesuwanej się za oknem szczyty były pokryte grubymi śnieżnymi czapami. Co jakiś czas wyrastały przed nami posępne lodowe wierchy. Pan Kadam wyjaśnił, że im wyżej, tym bardziej krajobraz zaczyna przypominać tundrę, by w końcu przeobrazić się w krainę wiecznego śniegu i lodu. Z rzadka dało się dostrzec pojedyncze drzewko. Ziemię porastały trawa, krzewinki i mech. Pan Kadam powiedział, że w innych częściach Himalajów zdarzają się lasy iglaste, my jednak będziemy przejeżdżać głównie przez trawiaste tereny.

Jego słowa: „przekona się pani”, okazały się prorocze. Pięliśmy się w górę z prędkością jakichś piętnastu kilometrów na godzinę, to omijając wciąż nowe dziury, to w nie wpadając. Od czasu do czasu na drodze stawały nam stada owiec lub jaków.

Dla zabicia czasu zapytałam pana Kadama o początki jego kariery w biznesie.



— To była Kompania Wschodnioindyjska, założona przed moim narodzeniem, na początku siedemnastego wieku, która swoje największe sukcesy osiągnęła w połowie wieku osiemnastego.

— Czym pan handlował?

— Och, wieloma rzeczami. Tkaninami, głównie jedwabiem. Herbatą, indygowcami, przyprawami, saletrą i opium.

— Proszę pana! — udałam oburzenie. — Czyżby był pan kiedyś dilerem narkotyków?

Starszy pan skrzywił się lekko.

— Oczywiście nie we współczesnym rozumieniu tego słowa. Proszę pamiętać, że w owych czasach opium sprzedawano jako lekarstwo. Ale owszem, na początku zajmowałem się jego transportem. Byłem właścicielem kilku okrętów i opłacałem duże karawany. Kiedy w Chinach zakazano handlu tym specyfikiem, dając tym samym początek wojnom opiumowym, dałem spokój i skupiłem się głównie na przyprawach.

— Coś podobnego! Czy to dlatego zawsze używa pan świeżo zmielonych przypraw?

Pan Kadam uśmiechnął się.

— Owszem, nadal szukam najlepszych i gotując, sam z przyjemnością ich używam.

— A więc zawsze zajmował się pan transportem?

— Zgadza się, chociaż nigdy tak o tym nie myślałem.

— Mam do pana dwa pytania. Wiem, że zatrzymał pan jeden z używanych kiedyś przez swoją firmę samolotów, ale czy nadal ma pan również któryś ze statków? To by było niesamowite. A drugie pytanie brzmi: „Co to jest saletra?”

— Saletra, inaczej azotan potasu, była wykorzystywana do produkcji prochu, a także, paradoksalnie, jako konserwant żywności. A jeśli chodzi o pierwsze pani pytanie: chłopcy mają łódź, nie jest to jednak jeden ze statków, których kiedyś używałem.

— Och. Co to za łódka?

— Nieduży jacht.

— Powinnam była się domyślić.

Zatrzymaliśmy się blisko granicy chińsko-nepalskiej, w mieście o nazwie Zhama, gdzie należało wypełnić kolejne dokumenty. Następnie, po przejechaniu ponad stu pięćdziesięciu kilometrów, co zajęło nam cały dzień, przekroczyliśmy roгатki Nyalam i zameldowaliśmy się na noc w niewielkim pensjonacie.

Następnego dnia wjechaliśmy w jeszcze wyższe rejony. W przewodniku wyczytałam, że jesteśmy już około czterech kilometrów nad poziomem morza. Po drodze widzieliśmy sześć głównych szczytów Himalajów, w tym Mount Everest. W pewnym momencie zatrzymaliśmy się, by podziwiać niesamowity widok na górę Sziszapangma.

Trzeciego dnia zaczęłam się nie najlepiej czuć. Pan Kadam doszedł do wniosku, że cierpię na chorobę wysokościową, powszechną przypadłość wśród ludzi przebywających na wysokości większej niż trzy i pół kilometra nad poziomem morza.

- Wkrótce powinno pani przejść. Większość podróżników przyzwyczaja się do nowych warunków w ciągu paru godzin, choć zdarza się, że zajmuje to i kilka dni. Jęknęłam i odchyliłam siedzenie do tyłu, by choć trochę odpocząć od zawrotów głowy. Właściwie nie pamiętam reszty dnia. Byłam rozczarowana tym, że nie jestem w stanie podziwiać zjawiskowych widoków za oknem.

Gdy dojechaliśmy do Rigaze, zostałam w hotelu, podczas gdy pan Kadam wraz z Kishanem wybrali się zwiedzać klasztor Tazilhiinpo.

Gdy wrócili, niosąc mi kolację, odwróciłam się tylko na drugi bok i odprawiłam ich gestem dłoni. Pan Kadam wyszedł, Kishan jednak nie dał się wygonić.

- Nie lubię patrzeć, jak chorujesz, Kelsey. Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie sądzę.

Na chwilę zostawił mnie w spokoju, jednak szybko wrócił i przyłożył mi do czoła wilgotną szmatkę.

- Proszę. Przyniosłem ci wodę z cytryną. Pan Kadam mówił, że musisz dużo pić.

Wmusił we mnie całą szklanę, a gdy była już pusta, napełnił ją na nowo. Dopiero gdy wypiliśmy trzecią, był zadowolony.

- No i jak się czujesz?

- Dziękuję, lepiej. Tylko strasznie boli mnie głowa. Nie masz przypadkiem aspiryny?

Książę zniknął za progiem, ale już po chwili wrócił z fiolką w dłoni. Połknęłam dwie tabletki, usiadłam, oparłam łokcie na kolanach i zaczęłam rozcierać sobie skronie.

Kishan obserwował mnie przez moment w milczeniu, po czym powiedział:

- Poczekaj. Pomogę ci.

Usiadł za mną i lekko przyciągnął mnie do siebie. Położył ciepłe dłonie z obu stron mojej głowy i zaczął masować mi skronie. Po kilku minutach zanurzył dłonie w moich włosach, a potem zszedł niżej i zaczął ugniatać mi kark, kompletnie zeszywniały po trzech dniach spędzonych w samochodzie.

Gdy doszedł do barków, spytałam:

— Gdzie ty i Ren nauczyliście się tak masować? Obaj jesteście w tym bardzo dobrzy.

Kishan znieruchomiał na chwilę, po czym znów zaczął powoli przesuwając dłońmi po moich ramionach.

— Nie wiedziałem, że Ren robił ci masaże. Nauczyła nas tego matka. W młodości szkolono ją w tej sztuce.

— Aha. Jest fantastycznie. Masz takie ciepłe ręce. Już prawie nie boli mnie głowa.

— To dobrze. Połóż się i rozluźnij, a ja zajmę się twoimi ramionami i stopami.

— Nie musisz, naprawdę. Już czuję się lepiej.

— Po prostu zamknij oczy i niczym się nie martw. Matka nauczyła nas, że masaż działa nie tylko na ciało, ale i na duszę. — Zaczął ugniatać moje lewe ramię na całej długości, dużo czasu poświęcając dłoni.

— Kishanie, jak to było żyć w ciele tygrysa przez te wszystkie lata?

Książę długo milczał. Otworzyłam jedno oko i spojrzałam na niego. Był wpatrzony w punkt między moim kciukiem a palcem wskazującym. W końcu zerknął na mnie.

— Nie podglądaj mnie, Kells. Myślę.

Posłusznie zamknęłam oko i cierpliwie czekałam na odpowiedź.

— Właściwie to tygrysia część mojej natury zawsze walczyła z ludzką. Po śmierci rodziców, kiedy uwięziono Rena, a Kadam wyruszył go szukać, zostałam sam i nie było sensu zmieniać się w człowieka. Pozwoliłem, by tygrys przejął nade mną kontrolę. Zupełnie jakbym go obserwował z pewnej odległości. Bestia zwyciężyła, a mnie to w ogóle nie obchodziło. — Zaczął masować mi stopy. Na początku łaskotało, ale już po chwili, zadowolona, głęboko westchnęłam.

— Musiałeś być strasznie samotny.

— Biegałem po dżungli, polowałem... Robiłem wszystko, co podpowiadał mi instynkt. Dziwię się, że nie straciłem do cna swojego człowieczeństwa.

— Ren powiedział mi kiedyś, że gdy był daleko ode mnie i czuł się samotny, zdawało mu się, że jest bardziej zwierzęciem niż człowiekiem.

- Zgadza się. Tygrysia część naszej natury jest bardzo silna i trudno zachować równowagę, zwłaszcza jeśli jest się tygrysem przez większość dnia.

- A czy teraz coś się zmieniło? -Tak.

-Co?

- Powoli, krok po kroku, odzyskuję swoje człowieczeństwo. Bycie tygrysem jest dość proste, znacznie trudniej stać się na powrót człowiekiem. Muszę nawiązywać kontakty z innymi, na nowo uczyć się świata, no i znaleźć sposób na poradzenie sobie z przeszłością.

- W pewnym sensie Ren miał więcej szczęścia od ciebie, choć to ty byłeś wolny. Kishan przekrzywił głowę i zajął się moją drugą stopą.

- Czemu tak myślisz?

- Bo on zawsze przebywał wśród ludzi. Nigdy nie był całkiem sam. To znaczy: żył w niewoli, doznawał krzywd, musiał występować w cyrku, ale nadal brał udział w życiu ludzi. Miał okazję się uczyć, choć w mocno ograniczonym zakresie.

Kishan roześmiał się cierpko.

- Zapominasz o jednym, Kelsey: ja mogłem zakończyć swoją samotność, a tego nie zrobiłem. Rena uwięzili źli ludzie, ja zaś siedziałem w klatce, w której sam się zamknąłem.

- Nie rozumiem, jak mogłeś sobie to zrobić. Masz przecież tyle do zaoferowania światu.

Książę westchnął.

- Zasługiwałem na karę.

- Nieprawda! Musisz wreszcie przestać myśleć o sobie w ten sposób. Powinieneś wciąż sobie powtarzać, że jesteś dobrym człowiekiem i zasługujesz na szczęście.

Kishan uśmiechnął się szeroko.

- W porządku. Jestem dobry i zasługuję na szczęście. Zadowolona?

- Na razie może być.

- Postaram się zmienić swoje nastawienie, jeśli cię to uszczęśliwi.

- Dziękuję ci bardzo.

- Ależ proszę - odparł i zabrał się do masażu mojej prawej ręki.

- A więc co się zmieniło? Czy sześć godzin dziennie w ludzkiej skórze sprawia, że znów masz ochotę żyć?

- W ogóle nie o to chodzi.

- Nie?

— Nie. Wszystko zmieniło się w chwili, gdy spotkałem przy wodospadzie piękną dziewczynę, która oznajmiła, że wie, kim jestem.

-Ach...

— To ona uratowała mnie przed tygrysem, który mnie pożerał, i wyciągnęła z powrotem na powierzchnię. I niezależnie od tego, co się stanie, chcę, żeby wiedziała, że już zawsze będę jej za to wdzięczny. — Delikatnie pocałował wnętrze mojej dłoni, uśmiechnął się czarująco i odłożył moją rękę z powrotem na łóżko. Spojrzałam w jego szczerze złote oczy i już otwierałam usta, by po raz kolejny przypomnieć mu, że kocham Rena, kiedy wyraz twarzy księcia się zmienił.

— Cśś... — powiedział. — Nic nie mów. Chociaż dziś nie protestuj, Kelsey. Obiecuję ci, że zrobię wszystko, żebyście znów byli razem, oraz że będę cieszył się twoim szczęściem, ale to nie znaczy, że będzie mi łatwo, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Dobranoc, Kells.

Pocałował mnie w czoło, wyszedł z pokoju, zgasił światło i cicho zamknął za sobą drzwi.

Następnego dnia czułam się już lepiej i z radością stwierdziłam, że choroba wysokościowa ustąpiła. Zatrzymaliśmy się w Gyangze, kolejnym punkcie na trasie naszej podróży. Pan Kadam powiedział, że już tam kiedyś był, ponieważ miasto znajdowało się na szlaku handlowym. Obejrzeliśmy czorten Kumbum, tybetańską buddyjską świątynię, a potem zjedliśmy syczuński lunch w jednej z pobliskich restauracji. Miasto było przepiękne, a poza tym przyjemnie było wysiąść z samochodu i wybrać się na spacer.

Tej nocy znów spaliśmy w hotelu. Kishan spędził większość wieczoru jako tygrys. Pan Kadam starał się nauczyć mnie gry w szachy, nie potrafiłam się jednak skupić. Po tym, jak błyskawicznie pokonał mnie trzeci raz z rzędu, oświadczyłam:

— Przepraszam. Chyba jestem kiepskim strategiem. Kiedyś nauczę pana grać w Osadników z Catanu.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie o Li, jego kolegach i babci Zhi. Ciekawe, czy Li próbował się ze mną kontaktować? Pan Kadam zlikwidował nasze stare telefony i gdy tylko przybyliśmy do Indii, załatwił nam nowe aparaty i nowe numery.

Stwierdził, że w ten sposób kontakt z kimkolwiek w Stanach będzie bezpieczniejszy. Co jakieś dwa tygodnie pisałam do Mike'a i Sary, informując ich,

że jestem poza zasięgiem sieci komórkowych. Pan Kadam wysyłał moje listy z odległych miejsc, tak żeby nikt nie odgadł miejsca naszego pobytu, w razie gdyby wpadły w nieodpowiednie ręce. Nigdy nie podawałam adresu zwrotnego, zapewniając Mike'a i Sarę, że jesteśmy w ciągłej podróży.

Mike i Sara pisali do mnie na adres skrytki pocztowej, a Nilima odbierała listy i czytała mi je przez telefon. Pan Kadam wyjaśnił mi, o czym mogę pisać. Wynajął również ludzi, którzy dyskretnie obserwowali moją rodzinę. Gdy Mike, Sara i dzieciaki wrócili ze swoich hawajskich wakacji z miłymi wspomnieniami i ładną opalenizną, w domu wszystko było w porządku. Na szczęście wyglądało na to, że Lokeshowi nie udało się ich znaleźć.

Piątego dnia podróży wyjechaliśmy z Gyangze. Następnym przystankiem było jezioro Yamzho Yumco, nie bez kozery zwane Turkusowym. Woda lśniła jak misa pełna klejnotów na tle ośnieżonych szczytów.

Pan Kadam wyjaśnił, że jezioro to jest uznawane przez Tybetańczyków za święte miejsce i że często odwiedzają je pielgrzymki. Tutejsi mieszkańcy uważali je za siedzibę opiekuńczych bóstw. Pilnowano, by nie wyschło, gdyż wedle lokalnej legendy byłby to koniec Tybetu.

Kishan i ja czekaliśmy cierpliwie, podczas gdy pan Kadam wdał się w ożywioną rozmowę z napotkanymi rybakami, którzy najwyraźniej usiłowali sprzedać mu swój połów.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, spytałam:

— Ile pan właściwie zna języków?

— Hmm, nie jestem pewien... Posługuję się tymi niezbędnymi do prowadzenia handlu w Europie: hiszpańskim, francuskim, portugalskim, angielskim i niemieckim. Dogaduję się też w większości języków azjatyckich. Trudniej mi porozumiewać się z Rosjanami i Skandynawami, nie mam pojęcia o językach afrykańskich, no i znam jedynie połowę narzeczy Indii.

— Połowę? — powtórzyłam, zaskoczona. — To ile właściwie ich jest?

— Na terenie Indii istnieją setki języków, zarówno współczesnych, jak i klasycznych. Jednak zaledwie około trzydziestu z nich zostało oficjalnie uznanych przez państwo.

Gapiałam się na niego w zdumieniu.

— Oczywiście większość z nich znam bardzo pobieżnie. Wiele to miejscowe dialekty. Najbardziej powszechne jest jednak hindi.

Ruszyliśmy dalej, mineliśmy dwie przełęcze i w końcu zaczęliśmy zjeżdżać w dół, w stronę Wyżyny Tybetańskiej. Pan Kadam przez cały czas nie przestawał opowiadać, widząc, że jest mi odrobinę niedobrze od tej jazdy w dół, i chcąc w ten sposób zająć moją uwagę.

— Wyżyna Tybetańska, ze względu na swoje położenie, cztery tysiące pięćset metrów nad poziomem morza, zwana jest czasem dachem świata. To trzecie, po Antarktydzie i Północnej Grenlandii, najslabiej zaludnione miejsce na Ziemi. Znajduje się tu kilka sło-nawych jezior.

Jęknęłam i zamknęłam oczy, jednak wcale nie poczułam się lepiej.

— Co to jest słonawe jezioro? — rzuciłam.

— Istnieje kilka stopni zasolenia wody. Jezioro słonawe albo inaczej mezohalinowe, takie jak na przykład Morze Kaspjskie, to coś pomiędzy słodko- a słonowodnym. Większość słonawych jezior znajduje się przy ujściach rzek.

Kishan wydał z siebie cichy pomruk, a pan Kadam zakończył wykład.

— Proszę spojrzeć, panno Kelsey. Już prawie zajechaliśmy. Miał rację. Kilka minut później droga była już normalna, płaska, choć nieco wyboista, i poczułam się znacznie lepiej. Po kolejnych kilku godzinach podróży wjechaliśmy do Lhasy.

## JIN I JANG

Pan Kadam umówił nas na spotkanie z przedstawicielem dalajlamy w Tybecie, starał się przy tym udzielić jak najmniej informacji dotyczących celu naszej wizyty. Nie było to idealne wyjście, ale musiało nam wystarczyć. Spotkanie było zaplanowane na poniedziałek, co oznaczało trzydniowe oczekiwanie.

Tymczasem nasz przyjaciel zabrał nas na szybką wycieczkę po Tybecie.

Odwiedziliśmy klasztory Rongbuk, Sera i Drepung, zamek Potala, świątynię Jokhang, a także wybraliśmy się na zakupy na targ Barkhor.

Zwiedzanie oraz towarzystwo Kishana i pana Kadama sprawiały mi przyjemność, jednak w głębi duszy nadal czułam smutek. Tępy ból samotności atakował wieczorem. Każdej nocy śniłam o Renie. Ufałam Durdze, wiedziałam, że dotrzyma obietnicy i zaopiekuje się nami obojgiem, ale mimo to bardzo pragnęłam już mieć go przy sobie.

W sobotę pan Kadam zabrał nas za miasto, żebyśmy poćwiczyli korzystanie z łuku i dysku. Zaczął od Kishana. Dysk, podobnie jak maczuga *gada*, był ciężki dla pana Kadama, ale lekki dla nas obojga.

Gdy przyszła kolej na mnie, byłam gotowa. Najpierw starszy pan nauczył mnie napinać łuk.

- Od mocy, z jaką napina pani cięciwę, czyli od siły naciągu, zależy szybkość i zasięg strzały.

Spróbował naciągnąć mój łuk, ale mu się nie udało. Kishan zrobił to bez wysiłku.

Pan Kadam wpatrywał się przez chwilę w łuk w milczeniu, po czym ustąpił pola Kishanowi.



— Czemu strzały są takie małe? — spytałam.

— Długość strzały zależy od budowy strzelającego — odpowiedział książę. — Twoja siła naciągu jest nieduża, więc te strzały powinny być dla ciebie idealne. Długość łuku zależy również od twojego wzrostu.

Pokiwałam głową.

Kishan opowiadał dalej o majdanach, cięciwach i grotach. W końcu nadszedł czas na zajęcia praktyczne.

— Wysuń prawą nogę jakieś dziesięć—dwadzieścia centymetrów do przodu — polecił Kishan. — Stopy na szerokości ramion.

Robiłam, co kazał, i choć było to dla mnie trudniejsze niż dla niego, szło mi całkiem nieźle.

— Dobrze. Napnij łuk i oprzyj strzałę między kciukiem a palcem wskazującym. Cięciwę przytrzymaj trzema pierwszymi palcami. A teraz spójrz na cel. Napnij cięciwę, aż dotkniesz kciukiem ucha. Wypuść strzałę.

Kilka razy zademonstrował mi kolejne czynności, wbijając dwie strzały w odległe drzewo. Robiłam to co on. Kiedy przyszło do napinania łuku, zadrżała mi ręka.

Kishan stanął za mną i pokierował moimi ruchami.

Gdy wreszcie przybrałam właściwą pozycję, powiedział:

— Dobrze, jesteś gotowa. A teraz wyceluj i puść. Usłyszałam świst i strzała wylądowała na ziemi u stóp drzewa.

— Świetnie, panno Kelsey! — zawołał pan Kadam. — Wspaniale jak na pierwszy raz!

Po kilku kolejnych próbach nabrałam już na tyle wprawy, by tak jak Kishan trafić w pień, choć nie dokładnie w jego środek.

Pan Kadam był zachwycony moimi postępami. Uznał, że to zasługa naszych wspólnych ćwiczeń z piorunami. Szybko zauważyliśmy, że — niezależnie od tego, ile razy wystrzeliłam — kołczan zawsze pozostawał pełny oraz że po jakimś czasie strzały zniknęły z miejsca, w które trafiałam. Dobrze wiedzieć, to nam się z pewnością przyda.

Po chwili zrobiłam sobie przerwę i popijając wodę z butelki, patrzyłam, jak Kishan ćwiczy ze swoją bronią.

— Jak mu idzie z tym dyskiem? — spytałam. Pan Kadam roześmiał się.

— Technicznie rzecz biorąc, panno Kelsey, to nie jest dysk. Dyskiem rzuca się na zawodach olimpijskich, Kishan zaś trzyma w dłoni ćakram. To przedmiot o kształcie dysku, ale po bliższych oględzinach dostrzeże pani, że jego zewnętrzna krawędź jest ostra

jak nóż. Jest to tak zwana broń dystansowa, jeden z atrybutów hinduskiego boga Wisznu, niezwykle cenna we wprawnych rękach. Na szczęście Kishan już kiedyś trenował walkę taką bronią, chociaż niezbyt długo.

Ćakram był ze złota, wysadzany brylantami, tak samo jak moje *gada*. Miał okrągły, obciążony skórą uchwyt, przywodzący na myśl symbol *jin-jang*. Metalowa krawędź była szeroka na pięć centymetrów i ostra jak brzytwa. Patrzyłam, jak Kishan ćwiczy. Ani razu nie omsknęła mu się ręka i nie złapał ćakramu za ostrze.

- Czy to normalne, że ćakram wraca do właściciela jak bumerang?

- Nie. - Pan Kadam w zamyśleniu pogłodził brodę. - Proszę popatrzeć. Widzi pani? Nawet kiedy Kishan trafia w drzewo, ćakram robi głębokie nacięcie w korze, a potem wraca. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.

- A kiedy zbliża się z powrotem do Kishana, wyraźnie zwalnia. Patrzyliśmy na kolejne rzuty.

- Rzeczywiście, ma pani rację. Dysk zwalnia, żeby Kishanowi było łatwiej go złapać. Coś takiego...

Kilka godzin później zjedliśmy kolację w hotelu, po czym Kishan rozłożył na stole grę planszową. Parsknęłam śmiechem.

- Czyżbyś był fanem chińczyka? Kishan uśmiechnął się.

- Niezupełnie. To *paćisi*, ale gra się podobnie. Ustawiliśmy pionki na planszy. Pan Kadam wszedł do pokoju.

Gdy dostrzegł planszę, klasnął w ręce, a w jego oczach pojawił się błysk rywalizacji.

- Ach, Kishanie, toż to moja ulubiona rozrywka. Pamiętasz, jak graliśmy w nią z twoimi rodzicami?

- Jak mógłbym zapomnieć? Ojciec zawsze spokojnie znosił przegraną, lecz kiedy ostatnim rzutem kostki pokonałeś matkę, w jego oczach pojawiała się chęć mordy. Pan Kadam pogłodził się po brodzie.

- Rzeczywiście, przypominam sobie.

- Czy to znaczy, że grywaliście w tę grę w dawnych czasach?

- Owszem, choć w nieco inny sposób. - Kishan się zaśmiał. - W roli pionków występowali żywi ludzie. Skonstruowaliśmy

ogromną planszę. Zabawa była przednia. Każda „drużyna” ubierała się w kolor gracza. Ojciec preferował błękitny, matka niebieski. Pan, zdaje się, wybrał czerwony, a ja żółty.

— A Ren?

Kishan wziął do ręki jeden z pionków i w zamyśleniu obrócił go w palcach.

— Był wówczas w podróży dyplomatycznej. Kadam grał za niego. Starszy pan odchrząknął.

— Ekhm, no tak. Jeśli nie macie nic przeciwko, pozostanę przy czerwieni, ostatnim razem przyniosła mi szczęście.

Kishan obrócił planszę tak, że czerwone pola znalazły się przed panem Kadamem. Ja wybrałam żółty, a Kishan niebieski. Graliśmy przez godzinę. Nigdy wcześniej nie widziałam Kishana tak ożywionego. Wyglądał jak bez troskie dziecko. Z łatwością mogłam wyobrazić sobie tego dumnego, pięknego, małomównego mężczyznę jako szczęśliwego chłopca, wzrastającego w cieniu starszego brata, którego kocha i podziwia, ale i czuje się przez niego zepchnięty na drugi plan.

Pod koniec partii pan Kadam przegrał z kretelem, a ja i Kishan mieliśmy jeszcze po jednym pionku i to mój był bliżej celu. Po ostatnim rzucie kostką Kishan miał szansę zbić mojego pionka i wygrać partię. Przez chwilę uważnie wpatrywał się w planszę. Pan Kadam złożył dłonie i postukiwał palcami w lekko uśmiechnięte usta. Złote oczy na moment zetknęły się z moimi, po czym Kishan uniósł pionka i przesunął go, omijając mój.

— Kishanie, co ty wyprawiasz? Mogłeś mnie zbić i wygrać, nie widziałeś?

Księżę odchylił się na krześle i wzruszył ramionami.

— Ha, rzeczywiście. Nie zauważyłem. Twoja kolej, Kelsey.

— Akurat - mruknęłam pod nosem. - W porządku, twoja strata. - Wyrzuciłam dwunastkę i doprowadziłam pionka do bazy. - Hura! Wygrałam!

Pan Kadam wybuchnął śmiechem.

— Rzeczywiście, udało się pani. Dobranoc.

— I^obranoc.

Kishan pomógł mi pozbierać pionki.

— No dobra, przyznaj się - zagałam. - Czemu pozwoliłeś mi wygrać? Nie potrafisz zbyt dobrze blefować. Wyczytałam prawdę z twojej miny. Myślałam, że twoim zdaniem zwycięstwo jest najważniejsze, a cel uświęca środki.

- Nadal tak uważam. Być może przegrywając w *pacisi*, wygrałem coś znacznie lepszego.

- Coś lepszego? — Roześmiałam się. — Niby co? Kishan odsunął planszę na bok i wziął mnie za rękę.

- Uśmiech na twojej twarzy. Taki jak kiedyś. Ostatnio nawet gdy się śmiejesz, nie zmienia to wyrazu twoich oczu. Od kilku miesięcy nie widziałem cię naprawdę wesolej.

Ścisnęłam jego dłoń.

- Bo to trudne. Ale jeśli Kishan, urodzony zwycięzca, mógł poświęcić dla mnie swoją wygraną, to postaram się. Dla ciebie.

- Dobrze. - Kishan niechętnie puścił moją rękę, wstał i się przeciągnął.

Odstawiłam grę na półkę i powiedziałam:

- Kishanie, co noc mam koszmary, a wszystkie dotyczą Rena. Boję się, że Lokesh go torturuje.

- Mnie on się również śnił. W moich snach błaga mnie, abym się tobą opiekował. - Książę uśmiechnął się szeroko. - A przy okazji grozi, co ze mną zrobi, jeśli nie będę trzymał łap przy sobie.

- To do niego podobne. Myślisz, że to sny, czy raczej wizje tego, co się dzieje naprawdę?

Kishan potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Przycisnęłam rękami wieczko pudełka.

- Za każdym razem, gdy próbuję go ocalić, odpycha mnie, jakbym to ja była w niebezpieczeństwie. Wydaje mi się, że to się dzieje naprawdę, ale jak się o tym przekonać?

Kishan objął mnie od tyłu i przytulił.

- Nie wiem, ale czuję, że Ren żyje.

- Ja też. - Odwróciłam się i ruszyłam do drzwi. - Kishanie?

- Słucham?

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu.

- Dzięki, że pozwoliłeś mi wygrać. I że trzymasz łapy przy sobie. Przeważnie.

- Zapominasz, że to była tylko jedna bitwa. Wojna jeszcze się nie skończyła i jestem przekonany, że znajdziesz we mnie godnego przeciwnika. Na każdym polu.

- Świetnie - odparłam. - W takim razie proponuję rewanż. Jutro. Książę skłonił się lekko.

- Z przyjemnością podejmę wyzwanie, *bilauta*. Dobranoc.

- Dobranoc, Kishanie.

Następnego dnia przy śniadaniu wypytywałam pana Kadama o dalajlamę, buddyzm, karmę i reinkarnację. Czarny tygrys przysłuchiwał się w milczeniu, zwinięty w kłębek u moich stóp.

— Widzi pani, panno Kelsey, karma polega na przekonaniu, że wszystko, co robimy, każda nasza decyzja ma wpływ na naszą teraźniejszość oraz na naszą przyszłość. Ci zaś, którzy wierzą w reinkarnację, mają nadzieję, że jeśli dokonują właściwych wyborów lub na przykład poświęcają się w dobrej sprawie, zostanie im to wynagrodzone w przyszłym życiu.

W dharmie chodzi o utrzymanie porządku we wszechświecie i zbiór zasad oraz świeckich i religijnych zwyczajów, którymi powinna kierować się ludzkość.

— A więc życie zgodne z dharmą to życie z dobrą karmą?

— Mniej więcej. — Pan Kadam się roześmiał.

— Moksza to stan nirwany. Człowiek, który przeszedł już wszystkie testy śmiertelników, wznosi się do stanu wyższej świadomości i wtedy osiąga oświecenie, inaczej mokszę. To ostatni etap, po którym nie odradzamy się ponownie. Stajemy się istotami duchowymi, świat materii i przemijania nie jest już dla nas ważny. Cieleśne namiętności tracą znaczenie, a dusza jednoczy się z absolutem.

— Zaraz, przecież i pana nie obejmują już prawa śmiertelności. Czy to znaczy, że dostąpił pan mokszy? Myśli pan, że można tego dokonać za życia?

— Ciekawe pytanie. — Starszy pan odchylił się w fotelu i zastanowił. — Chyba mimo wielu, wielu lat spędzonych na tej planecie, nie doświadczyłem duchowego oświecenia. Choć specjalnie go też nie szukałem. Moja relacja z tym, co boskie, to wciąż nieodbyta podróż. I na razie nie mam zamiaru jej odbywać. Zamiast tego proponuję pani spacer na targ.

Zgodziłam się chętnie. Targ był pełen ciekawych przedmiotów. Mijaliśmy stragany z figurkami Buddy, kadzidłami, biżuterią, ubraniami, książkami, pocztówkami i paciorkami *mala*, czyli tutejszymi odpowiednikami katolickiego różańca.

Widzieliśmy również śpiewające misy oraz dzwonki wydające dźwięki, które pomagały skupiać energię i były wykorzystywane podczas niektórych obrzędów religijnych oraz do medytacji.

Oglądałam też tanki, czyli malowane bądź haftowane zwoje, przedstawiające mity, ważne wydarzenia historyczne i epizody z życia Buddy.

O umówionym czasie wpuszczono nas do biura dalajlamy. To, że zaszliśmy tak daleko, zawdzięczaliśmy jedynie wyjątkowej przedsiębiorczości pana Kadama. Powiedziano nam, że zwykle trafiają tu tylko dygnitarze. W progu powitał nas oschły mężczyzna w garniturze, który oznajmił, że przeprowadzi z nami pierwszą rozmowę i jeśli nasza sprawa okaże się wystarczająco pilna, odeśle nas do wyższego biura.

Poprosił, byśmy usiedli. Z ulgą stwierdziłam, że pan Kadam wziął na siebie trud rozmowy. Mężczyzna zadał kilka pytań na temat celu naszej podróży, na co pan Kadam udzielił dość niejasnych odpowiedzi, sugerując, że nie są to informacje przeznaczone dla zwykłych uszu. Mężczyzna, zaintrygowany, naciskał, ale pan Kadam odparł jedynie, że odpowiedzi na jego pytania są przeznaczone jedynie dla Nauczyciela o Mądrości jak Ocean.

Gdy to powiedział, zauważyłam w spojrzeniu mężczyzny delikatny błysk. Rozmowa zakończyła się i poprowadzono nas do innego pokoju, gdzie czekała kobieta, która zaczęła zadawać nam te same pytania. Pan Kadam udzielał na nie tych samych uprzejmych, lecz wymijających odpowiedzi.

- Jesteśmy wędrowcami i prosimy o audiencję w sprawie ogromnie ważnej dla wszystkich mieszkańców Indii.

Kobieta machnęła ręką.

- Jaka to sprawa ma tak wielkie ogólnonarodowe znaczenie? Pan Kadam uśmiechnął się i nachylił w jej stronę.

- Nasza misja zawiodła nas do wspaniałego państwa Tybet. Tylko wewnątrz jego granic możemy odnaleźć to, czego szukamy.

- Czy szukacie bogactw? Jeśli tak, to tu ich nie znajdziecie. Jesteśmy skromnym ludem i nie mamy niczego wartościowego.

- Pieniądze? Klejnoty? To nie jest nasz cel. Szukamy wiedzy, którą ma tylko Nauczyciel o Mądrości jak Ocean.

Na dźwięk tej nazwy nasza rozmówczyni, podobnie jak jej poprzednik, gwałtownie zamilkła. Wstała i poprosiła, byśmy poczekali. Pół godziny później zaprowadzono nas do prywatnego pokoju.

Wnętrze było skromniejsze niż dwa poprzednie. Usiedliśmy na starych, chwiejnych drewnianych krzesłach. Do środka cicho wkroczył mnich w czerwonej szacie. Przez dłuższą chwilę przyglądał się nam sponad zakrzywionego nosa, po czym usiadł.

— Rozumiem, że chcą państwo rozmawiać z Nauczycielem o Mądrości jak Ocean. Pan Kadam skinął głową.

— Nie zdradziliście nikomu swoich powodów. Czy zdradzicie je mnie?

— Mogę panu powiedzieć tylko to, co już powiedziałem innym — odparł pan Kadam.

Mnich pokiwał głową, zniecierpliwiony.

— Rozumiem. W takim razie przykro mi, ale Nauczyciel nie ma dla was czasu, zwłaszcza że nie chcecie nam zdradzić swoich zamiarów. Jeśli uznam, że sprawa, o której chcecie z nim rozmawiać, jest wystarczająco istotna, przekażę mu wiadomość od was.

— Ale my musimy z nim porozmawiać — wtrąciłam się. — Zdradzimy mu swoje zamiary. To kwestia zaufania.

Mnich przyjrzał się z namysłem całej naszej trójce.

— Być może odpowiecie mi na ostatnie pytanie. Pan Kadam skinął głową.

Mnich zdjął z szyi medalion, podał go panu Kadamowi i zapytał:

— Co pan widzi?

— Widzę symbol podobny do znaku *jin-jang*. *Jin*, czyli ciemna strona, reprezentuje pierwiastek kobiecy, a jasna, *fang*, pierwiastek męski. Obie części pozostają z sobą w idealnej równowadze i harmonii.

Mnich pokiwał głową, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał, i cofnął rękę. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony, ale coś w jego postawie mówiło mi, że ma zamiar odprawić nas z kwitkiem.

Wtrąciłam się pośpiesznie:

— Czy i my moglibyśmy spojrzeć na medalion?

Jego dłoń znieruchomiła na chwilę w powietrzu, po czym podał medalion Kishanowi. Kishan obracał go przez chwilę w palcach.

— Widzę dwa tygrysy - szepnął. - Czarnego i białego. Gonią nawzajem za swymi ogonami.

Mnich przycisnął ręce do powierzchni biurka, a tymczasem Kishan podał mi medalion. Z zaciekawieniem pokiwałam głową. Zerknęłam na pana Kadama, a potem na mnicha, który wychylony w moją stronę czekał, aż przemówię.

Medalion rzeczywiście przypominał symbol *jin-jang*. Biała i czarna część kształtem mogły przywodzić na myśl koty, me dziwne więc, że Kishan wziął je za tygrysy z wygiętymi w łuk ogonami, a kropki za tygrysie oczy.

Spojrzałam na mnicha.

— Widzę część tanki. Długa środkowa nić to pierwiastek żeński, osnowa, wokół której owijają się tygrysy: czarny i biały. Tygrysy to pierwiastek męski, wątek. Wszystkie elementy razem tworzą tkaninę. Dopełniają się.

Mnich nachylił się mocniej w moją stronę.

— A jak powstaje ta tkanina?

— Na boskich krosnach.

— Co symbolizuje?

— Tanka to cały świat. Opowiada jego historię.

Mnich odchylił się na krześle i przesunął dłonią po łysej głowie. Oddałam mu medalion. Wziął go, obejrzał w zamyśleniu, po czym powiesił na szyi. Wstał.

— Przepraszam na chwilę. Pan Kadam skinął głową.

— Oczywiście.

Nie czekaliśmy długo. Młoda kobieta, która rozmawiała z nami wcześniej, zaprowadziła nas do dużego, wygodnego apartamentu. Wysłała do hotelu polecenie, by spakowano nasze bagaże i przysłano je tutaj.

Zjedliśmy razem wczesną kolację, po której pan Kadam i Kishan udali się do swoich pokoi. Ponieważ me miałam nic lepszego do roboty, uczyniłam to samo.

Mnich przyniósł mi herbatę z kwiatu pomarańczy, po której szybko zasnęłam. Nie był to jednak spokojny sen. Po raz kolejny ujrzałam w nim Rena. Był zrozpaczony. Tym razem jeszcze gwałtowniej i bardziej stanowczo nalegał, bym go zostawiła. Powtarzał, że Lokesh jest coraz bliżej i że muszę trzymać się od niego z daleka. Sen był tak realistyczny, że obudziłam się z płaczem. Poczułam straszną bezsilność. Jedyne, czym mogłam się pocieszać, to obietnica Durgi, że zaopiekuje się moim tygrysem.

Następnego ranka Kishan dołączył do mnie przy zastawionym stole. Nakładałam właśnie jogurt do miseczki, kiedy do sali wszedł pan Kadam, stanął za mną i zapytał, jak mi upłynęła noc.

Skłamałam, że dobrze, ale on przyjrzał się ceniom pod moimi oczami i poklepał mnie po ręce, pragnąc dodać mi otuchy. Uciekłam



przed jego badawczym wzrokiem i zaczęłam przyglądać się, jak mnich przede mną nakłada sobie owoce na talerz.

Jego dłoń zadrżała, gdy sięgał do miseczki po kawałek mango. Upuścił go na talerz i rozpoczął mozolny proces wydłubywania z miski kolejnego kawałka. Nie patrząc na nas, stary mnich przemówił: -<sup>r</sup>

- A więc pragniecie złożyć mi wizytę.

Pan Kadam natychmiast złożył dłonie, skłonił się i powiedział:

— *Namaste*, mistrzu.

Znieruchomiałam, z łyżką jogurtu uniesioną w powietrzu, po czym powoli odwróciłam się i spojrzałam prosto w uśmiechniętą twarz Nauczyciela o Mądrości jak Ocean.

## NAUCZYCIEL

Mnich uśmiechnął się szeroko na widok moich rozdziawionych ze zdumienia ust. Na szczęście pan Kadam przyszedł mi z pomocą, delikatnie prowadząc mnie do stołu.

Kishan już zasiadł do śniadania, zupełnie nie przejmując się sceną, która właśnie rozegrała się przy bufecie. No tak. Tygrysy myślą tylko o dwóch rzeczach: jedzeniu i dziewczynach. Zazwyczaj w tej właśnie kolejności.

Pan Kadam postawił moją miskę na stole i podsunął mi krzesło. Usiadłam i zaczęłam mieszać łyżeczką jogurt, popatrując ukradkiem na pomarszczonego starego mnicha, który, nucąc z zadowoleniem, powolutku i metodycznie napełniał swój talerz. Kiedy skończył, usiadł przy stole naprzeciwko mnie i zaczął jeść śniadanie.

Pan Kadam jadł w milczeniu, a Kishan ruszył już do bufetu po dokładkę. W ciszy popijałam swój sok. Zdenerwowanie odebrało mi apetyt i nie miałam pojęcia, czy wypada pierwszej zacząć zadawać pytania, postanowiłam więc zdać się na pana Kadama.

Wszyscy zdążyliśmy już opróżnić swoje talerze i obserwowaliśmy Nauczyciela, który nie śpiesząc się, jeden za drugim pochłaniał małe kęski. Gdy wreszcie skończył, wytarł starannie usta i przemówił:

— Moje ulubione wspomnienie z dzieciństwa to matka nawijająca nici na krosna oraz to, jak pomagałam jej gotować poranną owsiankę. Zawsze o niej myślę, kiedy jem śniadanie.

Pan Kadam pokiwał głową. Kishan mruknął coś pod nosem. Nauczyciel spojrział na mnie i się uśmiechnął.

Z nadzieją, że go nie urażę, odzywając się pierwsza, spytałam:

- Dorastał pan na farmie? Czy łamowie nie rodzą się, by być łamami?

Stary człowiek przekrzywił głowę i odparł wesoło:

- Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak. Moi rodzice byli biednymi wieśniakami, którzy karmili się owocami własnej pracy, a tę niewielką ilość, która im pozostawała, sprzedawali na targu. Moja matka była tkaczką i tworzyła piękne tkaniny, jednak tylko wtedy, gdy starczyło nam pieniędzy na nici. Rodzice nazwali mnie Jigme Karpo. Nie wiedzieli jeszcze, kim naprawdę jestem. Musiałem najpierw zostać odnaleziony.

- Odnaleziony? Przez kogo?

- Regent zawsze poszukuje inkarnacji dawnych łamów. Zazwyczaj miewa wizje ukazujące mu miejsce pobytu nowego wcielenia danej osoby i wysyła tam swoich ludzi. W moim przypadku jego przedstawiciele wiedzieli, że szukają wiejskiego domku na wzgórzu, po którym pnie się wysoki krzew różany, a obok stoi studnia. Gdy w końcu do nas trafili, wiedzieli, że dotarli we właściwe miejsce. Pokazano mi przedmioty należące do zmarłych łamów. Wybrałem książkę, która była własnością poprzedniego Nauczyciela. To upewniło ich, że jestem wcieleniem tego właśnie mnicha. Miałem wtedy dwa lata.

- I co było dalej?

Pan Kadam poklepał mnie po ręce.

- Jestem pewien, że to bardzo interesujące, panno Kelsey, ale być może Nauczyciel nie ma dla nas wiele czasu i powinniśmy skupić się na innych sprawach.

- No tak. Przepraszam. Poniosła mnie ciekawość. Nauczyciel nachylił się i podziękował mnichom sprzątającym ze stołu.

- Mogę poświęcić kilka minut, by odpowiedzieć na twoje pytanie, młoda damo. W skrócie historia wygląda tak, że zabrano mnie od rodziców i oddano na naukę do dobrego starego mnicha. Matka utkała dla mnie moją pierwszą amarantową szatę. Gdy rozpocząłem nowicjat, ogolono mi głowę. Zmieniono również moje imię i otrzymałem wspaniałe wykształcenie w rozmaitych dziedzinach, w tym w sztuce, medycynie, kulturze i filozofii. To wszystko ukształtowało mnie w człowieka, którym jestem dzisiaj. Czy zaspokoilem twoją ciekawość, czy może moja odpowiedź zrodziła w twojej głowie nowe pytania?

- Owszem, i to nawet kilka. - Roześmiałam się.
- Świetnie! - zawołał mnich z uśmiechem. - Umysł, który zadaje pytania, to umysł gotów na zrozumienie.
- Pańskie dzieciństwo tak bardzo różniło się od mojego.
- Domyślałam się, że historia twego życia jest równie interesująca.
- Jaka jest pana rola tutaj?
- Uczę dalajlamów. Popatrzyłam na niego w zdumieniu.
- Jest pan nauczycielem najwyższego nauczyciela?
- Owszem, zajmowałem się edukacją dwóch z nich. Jestem bardzo starym człowiekiem. Miałem sposobność poznać wielu ludzi z całego świata i doszedłem do wniosku, że wszyscy jesteśmy fundamentalnie do siebie podobni. Jesteśmy jedną wielką rodziną. Być może inaczej się ubieramy, mamy różne kolory skóry i mówimy różnymi językami, ale to tylko pozory. Wszyscy mamy marzenia i pragniemy odnaleźć prawdziwe szczęście. Aby poznać świat, wystarczy poznać samego siebie.

Pokiwałam głową.

- Jak wiesz, mistrzu, przybyliśmy tu, byś wspomógł nas swoją mądrością - odezwał się pan Kadam. - Mamy zadanie do wykonania i chcemy prosić cię o radę.

Mnich podwinął rękawy szaty i wstał od stołu.

- W takim razie chodźcie za mną. Udamy się w miejsce, gdzie będziemy mieli więcej prywatności. - Wstał ostrożnie, podpierany przez dwóch mnichów, którzy zajęli miejsca po obu jego stronach, lecz ruszył przed siebie już bez ich pomocy.

- Mówił pan, że uczył dwóch dalajlamów, to znaczy, że ma pan...

- Sto piętnaście lat.

- Co takiego!? — krzyknęłam zdumiona.

- Mam sto piętnaście lat i jestem z tego dumny.

- Nigdy nie spotkałam człowieka, który tak długo żyje - oświadczyłam, po czym natychmiast uświadomiłam sobie, że przecież znam trzy osoby, które są jeszcze starsze. Spojrzałam na pana Kadama, a on mrugnął do mnie i się uśmiechnął.

Nauczyciel nie zauważył mojej dziwnej miny i mówił dalej:

- Gdy człowiek pragnie czegoś dokonać i ma wystarczająco dużo silnej woli, uda mu się.

Pan Kadam przez chwilę patrzył na niego w zamyśleniu, po czym powiedział:

Ja również jestem starszy, niż się wydaje. To zaszczyt poznać ciebie, mistrzu. Mnich odwrócił się i ujął go za rękę. Stare, mądre oczy lśniły radośnie.

- Przebywanie w klasztorze w towarzystwie mnichów sprawia, że i ja nie tracę pokory.

Obaj panowie roześmiali się. Poszliśmy za lamą szarymi, krętymi korytarzami, aż przekroczyliśmy próg przestronnej sali. Na gładkiej kamiennej posadzce stało duże, wypolerowane biurko. Mnich wskazał nam miejsca na miękkich, wygodnych fotelach, sam zaś usiadł na zwykłym drewnianym krześle.

- Im mniej wygodne jest moje siedzisko, tym większa szansa, że codziennie będę zajmował się tym, czym należy.

Pan Kadam skinął głową i zaczął:

- Dziękuję, że zgodziłeś się z nami spotkać. Mędrzec uśmiechnął się szeroko.

- Za nic nie przepuściłbym takiej okazji. - Nachylił się w naszą stronę i porozumiewawczym tonem dodał: - Muszę przyznać, że nieraz zastanawiałem się, czy misja tygrysa dokona się za mojego życia. Wiecie, właśnie przyszło mi do głowy, że urodziłem się w pobliżu miasta Takster, którego nazwa oznacza ryczącego tygrysa. Być może w takim razie spotkanie z wami było mi pisane od początku.

Pan Kadam spojrzał na mego z zaskoczeniem.

- Czy to znaczy, że wiesz o naszej misji?

- Tak. Historia dwóch tygrysów była przekazywana z pokolenia na pokolenie, od czasów poprzedzających panowanie pierwszego dalajlamy. Kluczem do niej jest niezwykle medalion. Kiedy ten tutaj młody człowiek powiedział, że widzi w nim dwa tygrysy, czarnego i białego, powzięliśmy podejrzenie, że to właśnie wy jesteście tymi, których szukamy. Inni dostrzegali kocie kształty, a nawet jednego białego tygrysa, nikt jednak nie określił w ten sposób czarnego kształtu, a już na pewno nikt nie wspomniał o dzielącej je linii jako o boskiej nici. To upewniło nas, że jesteście właściwymi ludźmi.

- A więc pomoże nam pan? - spytałam.

- Och, oczywiście, że tak. Ale najpierw mam do was prośbę. Pan Kadam uśmiechnął się serdecznie.

- Co możemy dla ciebie zrobić?

- Opowiecie mi coś więcej o dwóch tygrysach? Wiem, dokąd chcecie dotrzeć, i wiem, co wam poradzić, ale... znaczenie tygrysów w całej wyprawie nigdy nie zostało do końca wyjaśnione i po

dziś dzień pozostaje nieprzeniknioną tajemnicą. Czy potraficie ją rozwiązać? Wszyscy troje spojrzeliśmy po sobie. Kishan uniósł brew, kiedy pan Kadam niemal niedostrzegalnie skinął głową w jego stronę.

— Czy to bezpieczne pomieszczenie? — zapytał pan Kadam.

— Oczywiście.

Oboje zwróciliśmy się w stronę Kishana, który wzruszył ramionami, wstał i przemienił się w tygrysa. Czarny kot mrugnął złotymi ślepiami, wydał z siebie cichy pomruk i usiadł obok mnie na pod łodze. Pochyliłam się i podrapałam go za uchem. Stary mnich wyprostował się na krześle i ze zdumieniem przyglądał Kishanowi. Potem potarł łysą głowę i roześmiał się radośnie.

— Dziękuję, że mi zaufaliście i podzieliliście się ze mną tym niezwykłym darem! Kishan znów przybrał ludzką postać i zajął miejsce na swoim fotelu.

— Nie nazwałbym tego darem.

— A cóż to, jeśli nie dar?

— Tragedia.

— W Tybecie istnieje przysłowie, które głosi, że z każdej tragedii należy czerpać siłę. — Mnich rozsiadł się wygodniej na krześle i oparł palce na skroni. — Zamiast zastanawiać się, czemu tak się stało, powinieneś być może pomyśleć nad tym, czemu przydarzyło się to właśnie tobie. Pamiętaj, że czasem większym szczęściem jest nie dostać tego, czego się pragnie — powiedział. Potem zwrócił się do mnie i z nadzieją w głosie zapytał: — A co z białym tygrysem?

— Biały tygrys to brat Kishana, Ren, który został pojmany przez naszych wrogów. Lama przekrzywił głowę i przez chwilę przyglądał mi się z namysłem.

— Wrogowie często uczą nas tolerancji. A co z tobą, moje dziecko? Jak jest twoja rola w tej historii?

Podniosłam rękę, odwróciłam się i pozwoliłam, żeby zebrała się we mnie świetlista moc. Wycelowałam w wazon z kwiatem na jego biurku. Moja ręka błysnęła, a w stronę rośliny wystrzelił biały promień. Kwiat zalsnił, po czym zniknął w miękkiej chmurze pyłu, który lekko opadł na drewniany blat biurka.

— Jestem centralną linią medalionu, osnową. Mam przywrócić tygrysom wolność.

— Wskazując na cichego mężczyznę po mojej prawej stronie, dodałam: — A pan Kadam to nasz przewodnik i mentor.

Ta demonstracja mocy niezbyt zdziwiła starego mnicha. Zaklaskał w dłonie, uradowany jak mały chłopiec, który otwiera prezenty w świąteczny poranek.  
— Świetnie! Cudownie! A teraz pozwólcie, że pomogę wam w miarę swoich możliwości.

Lama wstał, zdjął medalion z szyi i wsunął go w szczelinę obok półki z książkami. Otworzyła się wąska szafka, z której wyjął bardzo stary zwój pergaminu w szklanej oprawie oraz buteleczkę z zieloną, oleistą substancją. Gestem zachęcił nas, byśmy podeszli bliżej. Ostrożnie obrócił w naszą stronę szklaną oprawę z pergaminem.

— Ten zwój istnieje od wielu stuleci. Są na nim wymienione znaki związane z tygrysim medalionem i tymi, którzy pragnęli go zdobyć. Powiedzcie, co już wiecie o swojej misji?

Pan Kadam pokazał mu przetłumaczoną przepowiednię.

— Ach tak. Według waszej przepowiedni spoczywają na mnie trzy zadania.

Wykonam je. Mam wam ukazać zwój mądrości, namaścić wasze oczy i poprowadzić was do Świętej Bramy. Ten starożytny dokument, który leży przed wami, jest właśnie zwojem zawierającym mądrość tego świata.

— Czyli co? — spytałam.

— Legendy, mity, opowieści o korzeniach ludzkości... One wszystkie bazują na pewnych wiecznych prawdach i te właśnie prawdy zawarte są w manuskrypcie. Tak mi przynajmniej powiedziano.

— Nie czytał pan go?

— Nie. Moja filozofia głosi, że nie trzeba znać wszystkich prawd. Część procesu oświecenia to odkrywanie prawdy poprzez introspekcję. Żaden z dalajlamów nie czytał zwoju. Nie jest on przeznaczony dla nas. Trzymaliśmy go w bezpiecznym miejscu, by w odpowiednim czasie przekazać go w wasze ręce.

— Skoro zwój był przekazywany z dalajlami na dalajlamę, skąd znalazł się w twoim posiadaniu?

— Tajemnicę manuskryptu musi znać dwoje ludzi. Dalajlama nie wie, kto będzie jego następcą, powierza więc sekret swojemu nauczycielowi. Gdy nauczyciel umiera, dalajlama przekazuje tajemnicę jego nowemu wcieleniu. Gdy dalajlama umiera, nauczyciel dzieli się tajemnicą z następnym dalajlamą. Dzięki temu zwój nigdy nie zaginął. Ponieważ obecny dalajlama przebywa na uchodźstwie, obowiązek przekazania wam zwoju spada na mnie.

— Czy to znaczy, że ten zwój był przechowywany przez tyle stuleci. .. specjalnie dla nas? — spytałam z niedowierzaniem.

- Owszem. Razem z instrukcjami, jak was odnaleźć.

Pan Kadam pochylił się, by bliżej się przyjrzeć zwojowi za szybką.

- To niezwykle! Nie mogę się doczekać, kiedy go zbadam.

- Nie wolno ci tego zrobić. Nie należy czytać zwoju, dopóki nie dokona się piąta ofiara. Przedwczesne rozwinięcie go mogłoby spowodować straszliwą katastrofę.

- Piąta ofiara? - mruknełam. - Ale - zwróciłam się do pana Kadama - przecież my nawet nie wiemy, co to ma być. Wszystko, co nam do tej pory wiadomo -

wyjaśniłam mnichowi - to to, że musimy złożyć bogini cztery ofiary i odnaleźć cztery dary. Jeszcze długo nie dowiemy się, czym jest piąta ofiara. Czy jest pan pewien, że wypełnimy misję, nie przeczytawszy manuskryptu?

Nauczyciel wzruszył ramionami.

- To nie ja powinienem udzielić odpowiedzi na to pytanie. Moim obowiązkiem jest przekazanie wam zwoju oraz dwie inne rzeczy. Podejdź. Usiądź tu, młoda damo, i pozwól, bym namaścił twoje oczy.

Podsunał mi krzesło i zbliżył się do mnie z zieloną buteleczką w dłoni.

- Drogi panie Kadamie, czy w czasie swoich badań natknąłeś się na wzmiankę o ludzie zwanym Chewong?

Pan Kadam usiadł.

- Muszę wyznać, że nie. Nigdy.

Zaśmiałam się cicho. Niebywałe. Pan Kadam czegoś nie wie? Czy to w ogóle możliwe?

- Chewong pochodzą z Malezji. To fascynujący naród. Mimo ogromnych nacisków tych, którzy pragną, by przeszli na islam i włączyli się w główny nurt malezyjskiego społeczeństwa, oni nadal walczą o prawo do zachowania swojego języka i kultury. Są pokojowo nastawieni i nie wierzą w przemoc. W ich mowie nie ma nawet słów oznaczających wojnę, korupcję, konflikt czy karę. Mają wiele interesujących obyczajów, na przykład wierzą we wspólną własność. Uważają, że jedzenie w samotności jest niebezpieczne i złe, dlatego zawsze spożywają posiłki razem. Ale was dotyczy inny ich zwyczaj. Słowo-klucz to oczy.

Oblizyłam nerwowo wargi.

- Ee... co oni robią z oczami? Podają je gościom na kolację? Mnich wybuchnął śmiechem.

- Ależ nie, nic podobnego. Chewong mawiają, że ich szamani i przywódcy religijni mają chłodne oczy, zaś przeciętny człowiek ma



je gorące. Osoba o chłodnych oczach widzi świat inaczej i dostrzega to, co niewidzialne dla innych.

Pan Kadam, zaintrygowany, począł zadawać pytania, ja zaś mimowolnie spojrzałam na buteleczkę z zielonym, oleistym płynem, którym stary mnich pokropił swoje palce o suchej i cienkiej jak papier skórze.

— Ee... ostrzegam, że jestem bardzo wrażliwa na punkcie swoich oczu. Kiedy w dzieciństwie miałam zapalenie spojówek, rodzice musieli mnie trzymać i na siłę wpuszczać mi krople.

— Bez obaw — odparł Nauczyciel. — Namaszczę tylko twoje powieki i przekażę ci kilka słów mądrości.

Usłyszawszy to, rozluźniłam się i posłusznie zamknęłam oczy. Poczułam na powiekach ciepły dotyk jego palców. Spodziewałam się, że oleista maź spłynie mi po policzkach, ale tajemnicza substancja okazała się gęsta jak balsam i miała ostry apteczny zapach, od którego zakręciło mi się w nosie. Przypomniałam sobie mentolową maść, którą mama wcierała mi w klatkę piersiową, kiedy byłam chora, żeby łatwiej mi było oddychać. Poczułam na powiekach mrowienie, a potem lodowate zimno. Lama przemówił cicho:

— Oto moja rada dla ciebie, drogie dziecko, po pierwsze: szczęście jest sensem życia. Z mojego krótkiego doświadczenia wynika, że okazywanie względów innym wpływa na nasze własne dobre samopoczucie. Sprawia, że osiągamy spokój. Eliminuje strach oraz niepewność i daje nam siłę, by pokonywać przeszkody. Po drugie: lekarstwem na rozterki jest medytacja. Często w ten sposób odnajdywałam odpowiedzi na gnębiące mnie pytania. I po trzecie: pamiętaj o starym przysłowiu, które głosi, że miłość zawsze zwycięża. Kiedy dajesz miłość innym, ona wróci do ciebie w dwójnasób.

Ostrożnie otworzyłam oczy. Nie czułam bólu czy dyskomfortu, moje powieki były tylko nieco wrażliwsze niż zwykle. Nadeszła kolej Kishana. Zamieniliśmy się miejscami. Mnich po raz drugi zanurzył koniuszki palców w zielonym płynie. Kishan zamknął oczy. Patrzyłam, jak Nauczyciel naciera oleistą substancją jego powieki.

— A teraz ty, czarny tygrysie. Masz młode ciało, lecz twoja dusza jest stara. Pamiętaj, nieważne na jakie natrafisz przeszkody. Nawet jeśli będą bolesne i przysporzą trudności, nie wolno ci tracić nadziei. Utrata nadziei to jedyne, co naprawdę może cię zniszczyć. Lamowie mawiają, że pokonanie siebie i swoich słabości to większy sukces niż pokonanie wielotysięcznej armii.

Ciąży na tobie odpowiedzialność poprowadzenia twojej rodziny we właściwym kierunku. Mam na myśli twoją najbliższą rodzinę, ale

i globalną. Dobre chęci nie wystarczą, musisz działać. Kiedy aktywnie zaangażujesz się w bieg wydarzeń, odpowiedzi przyjdą do ciebie same. I ostatnia rzecz: skała nie ugnie się przed wiatrem i tak samo stabilny jest umysł sprawiedliwego człowieka.

Taki człowiek jest jak filar, zawsze można na nim polegać.

Nauczyciel zatkał korkiem buteleczkę. Kishan otworzył oczy. Zielona substancja zniknęła z jego powiek. Książę wstał, usiadł obok mnie i dotknął mojego ramienia. Nauczyciel o Mądrości jak Ocean, wielki tybetański lama, wyciągnął rękę do pana Kadama i uściśnął jego dłoń.

- Przyjacielu - powiedział - wyczuwam, że twoje oczy już dawno zostały otwarte i że widziałeś więcej, niż potrafię sobie wyobrazić. Pozostawiam zwój w twoich rękach i proszę, byś odwiedzał mnie od czasu do czasu. Bardzo pragnę poznać zakończenie waszej historii.

Pan Kadam skłonił się uprzejmie.

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt, mistrzu.

- Dobrze. A teraz pozostaje mi tylko pokazać wam drogę do Świętej Bramy. - Lama zwrócił się do mnie i Kishana. - Brama ta wyznacza granicę pomiędzy światem fizycznym i duchowym. Przechodząc przez nią, oczyścicie się z ziemskich trosk i skupicie na tym, co istnieje poza nimi. Nie zbliżajcie się do bramy, jeśli nie jesteście gotowi jej przekroczyć. To jest zakazane. Bramy, o których wiemy, znajdują się w Chinach i Japonii, ale istnieje również jedna w Tybecie. Tylko wtajemniczeni wiedzą gdzie. Pokażę wam to miejsce na mapie.

Zadzwoił po mnicha, który przyniósł nam mapę Tybetu.

- Brama, której szukacie, wygląda skromnie i niepozornie. Zabierzcie ze sobą w podróż tylko najniezbędniejsze przedmioty, gdyż aby odnaleźć bramę, musicie udowodnić, że prowadzi was wiara. Brama jest oznaczona jedynie flagami modlitewnymi nomadów. Nie będzie to łatwa wyprawa. Bramę możecie przekroczyć tylko wy dwoje. Wasz mentor nie będzie mógł przez nią przejść.

Lama pokazał nam miejsce rozpoczęcia wspinaczki. Przełknęłam ślinę, gdyż choć nie znałam języka, w którym opisana była mapa, zrozumiałam, że naszym celem jest Mount Everest. Na szczęście wyglądało na to, że brama nie mieści się na samym jego szczycie, a jedynie w małej odległości od granicy wiecznego śniegu.

Pan Kadam oraz mnich wdali się w ożywioną dyskusję na temat trasy, którą powinniśmy obrać. Kishan i ja uważnie wsłuchiwalismy

się w każde ich słowo. Jak tego dokonam? Będę musiała. Ren mnie potrzebuje. Odnajdę go i nic mnie nie powstrzyma — ani choroba wysokościowa, ani ogromna lodowa góra.

Mędrzec przekazał panu Kadamowi zwój wraz z mapami oraz szczegółowymi wskazówkami dotyczącymi naszej trasy. Poczułam na dłoni ciepły dotyk. To Kishan wziął mnie za rękę.

— Dobrze się czujesz, Kelsey?

— Tak. Tylko trochę się boję tej wyprawy.

-Ja też. Ale pamiętaj, on powiedział, że nrrnsimy wierzyć.

— I wierzysz?

Kishan zastanowił się przez chwilę.

— Tak. Chyba tak. Na pewno bardziej niż kiedyś. A ty?

— Nie tracę nadziei. Czy to wystarczy?

— Myślę, że tak.

Pan Kadam zbliżył się do nas, a stary lama serdecznie uścisnął nam dłonie, mrugnął i pożegnał się. Wyszedł z pokoju w towarzystwie swoich pomocników. Jeden z mnichów zaprowadził nas do pokojów, żebyśmy zebrali swoje rzeczy.

Pan Kadam spędził resztę dnia na przygotowaniach do podróży. Kishan i ja pamiętaliśmy wskazówki Nauczyciela i spakowaliśmy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Pan Kadam zdecydował, że nie powinniśmy brać ze sobą jedzenia ani wody, gdyż wystarczy nam moc złotego owocu. Oświadczył, że przetestował jego możliwości i że owoc działa z odległości do trzydziestu metrów i choć nie można za jego pomocą wyczarować wody, to można ją zastąpić na wiele sposobów. Polecił nam ziołowe herbaty i wszelkie napoje bez cukru, dzięki którym się nie odwodnimy. Podziękowałam mu, ostrożnie zawinęłam owoc w babciny pled i schowałam do plecaka.

Przez dłuższy czas debatowaliśmy nad koniecznością zabrania z sobą namiotu, aż w końcu zdecydowaliśmy się na duży śpiwór. Kishan i pan Kadam uznali, że nie powinnam dźwigać namiotu, zwłaszcza że w moim plecaku musiały się zmieścić ubrania Kishana, Fanindra oraz broń. Kishan będzie się zmieniać z człowieka w tygrysa i odwrotnie, potrzebne mu więc będą ciepłe rzeczy.

Następnego dnia pojechaliśmy samochodem do miejsca u stóp góry. Pan Kadam odprowadził nas kawałek, ale w końcu przystanął i pożegnał każde z nas krótkim uściskiem. Obiecał, że rozbije obóz nieopodal i zaczeka na nas.

— Proszę na siebie uważać, panno Kelsey. Włożyłem do plecaka wszystkie moje notatki. Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałem.

— Jestem tego pewna. Poradzimy sobie. Proszę się nie martwić. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, ani się pan obejrzy, jak będziemy z powrotem. Ryc może nawet czas się dla nas zatrzyma, tak samo jak w Kiszkindzie. Ale jeżeli z jakiegoś powodu mielibyśmy nie wrócić, proszę powiedzieć Renowi...

— Wróćcie, wróćcie. Nie mam co do tego wątpliwości. A teraz ruszajcie. Do zobaczenia wkrótce.

Kishan zmienił się w tygrysa i ruszyliśmy pod górę. Pół godziny później spojrzałam za siebie, by sprawdzić, jak daleko zaszliśmy. Po horyzont rozciągała się Wyżyna Tybetańska. Pomachałam drobnej figurce pana Kadama w dole, a potem odwróciłam się, wspierałam między dwie sterczące skały i postawiłam stopę na ścieżce.

## ŚWIĘTA BRAMA

Zadrżałam i podciągnęłam wyżej nieprzemakalne rękawice. Po całodniowej wspinaczce postanowiliśmy rozbić obóz pod skałą, która osłaniała nas od wiatru. Z wdzięcznością zrzuciłam plecak i rozprostowałam kości.

Przeszukawszy okolicę, znalazłam nieco drewna na ognisko. Po gorącej kolacji, wyczarowanej przez złoty owoc, wczołgałam się do wielkiego śpiwora. Dwoma kopnięciami zrzuciłam buty, w obawie przed chłodem postanowiłam jednak nie rozbierać się.

Kishan wetknął głowę do środka i wlaź za mną do śpiwora. Przez chwilę czułam się niezręcznie, ale już wkrótce doceniłam jego ciepłe futro. Byłam tak wykończona, że pomimo straszliwego wycia wichru bardzo szybko zasnęłam.

Rano poprosiłam złoty owoc o gorącą czekoladę oraz owsiankę z syropem klonowym i brązowym cukrem. Pomyślałam, że kwestia posiłków dla Kishana będzie bardziej skomplikowana. Uparł się, że w tygrysiej skórze jest mu cieplej, dałam mu więc do wyboru duży półmisek dziczyzny lub wielką porcję owsianki, takiej samej jak moja, z michą mleka. Zaczął od mięsa, ale owsianką i mlekiem również nie pogardził i jedzenie zniknęło w mgnieniu oka. Zwinęłam rzeczy, upchnęłam je w plecaku i ruszyliśmy w dalszą podróż.

Następne cztery dni minęły nam bez przygód. Kishan prowadził, a ja zajmowałam się rozpalaniem ogniska i posiłkami. Spaliśmy razem, przytuleni w wielkim śpiworze, dziewczyna i tygrys, podczas gdy wokół szalał mroźny wichor. Droga była trudna i gdybym przez

ostatnie miesiące nie spędzała tyle czasu na treningach, z pewnością nie dałabym rady.

Wprawdzie obywaliliśmy się bez sprzętu wspinaczkowego, ale nie była to przechadzka po parku. Im wyżej, tym trudniej było nam oddychać, więc często przystawaliśmy, by odpocząć i się czegoś napić.

Piątego dnia dotarliśmy do granicy wiecznego śniegu. Czarne futro Kishana było teraz bardzo widoczne na tle białych śniegowych zasp, nawet z dużej odległości.

Miał szczęście, że nie żyło tu wiele stworzeń, które byłyby większe od niego.

Ciekawe, czy spotkamy niedźwiedzia polarnego. Nie, one przecież mieszkają na biegunie. Hm, pewnie są tu jakieś inne odmiany niedźwiedzi albo na przykład pumy. Nie mówiąc już o Wielkiej Stopie czy yeti.

Idąc po śladach łap Kishana, zaczęłam wyteżać wzrok w poszukiwaniu tropów innych zwierząt. Gdy dojrzałam w śniegu ślady czegoś niedużego, zabawiałam się zgadywaniem, co to mogło być. Niektóre ślady bezsprzecznie zrobiły ptaki, inne mogły należeć do królików czy drobnych gryzoni. Ponieważ nie dopatryłam się niczego większego, a zoologiczne rozważania wkrótce mnie znudziły, rozluźniłam się i odpłynęłam myślami, cały czas podążając za czarnym tygrysem.

Drzewa przerzedzały się, a ziemia powoli przechodziła w skałę. Zaspły śnieżne były coraz głębsze i z każdym krokiem było mi trudniej oddychać. Ogarnął mnie niepokój. Nie sądziłam, że wyprawa zajmie aż tak dużo czasu. Ale dopiero siódmego dnia stanęliśmy oko w oko z niedźwiedziem.

Kishan wyruszył jakieś pół godziny przede mną, żeby poszukać drzewa na ognisko i dobrego miejsca na obóz. Miałam pójść po jego śladach, a on w tym czasie planował zatoczyć koło i wrócić. Przez całą wyprawę nie opuszczał mnie na dłużej niż pół godziny.

Brnęłam powoli po tygrysiach śladach, gdy usłyszałam za plecami głuchy pomruk.

Domyśliłam się, że to Kishan zatoczył koło i stara się zwrócić moją uwagę.

Odwróciłam się, by zapytać, czego chce, i zamarłam ze zduszonym okrzykiem przerażenia. Wielki brązowy niedźwiedź galopował z wściekłością prosto na mnie.

Zbliżał się błyskawicznie, szczerząc ostre zębiska. Z krzykiem rzuciłam się do ucieczki.

Zwierz zatrzymał się półtora metra ode mnie, wspiął się na tylne łapy i ryknął, przecinając pazurami powietrze. Zmierzwione futro miał mokre od śniegu. Małe czarne oczka obserwowały mnie sponad długiego pyska, jakby oceniając moje siły. Niedźwiedź zmarszczył

nos, a wargi zadrżały mu groźnie, ukazując imponujący garnitur ostrych zębów, gotowych rozedrzeć mnie na strzępy.

Natychmiast rzuciłam się na ziemię, przypomniawszy sobie zasłyszana niegdyś opowieść o traperach, wiodących pełne niebezpieczeństw życie w mroźnej dzicy. Wedle tej historii najlepszym, co można zrobić w przypadku niedźwiedziego ataku, to przywrzeć do ziemi, zwinąć się w kłębek i udawać trupa.

Schowałam głowę w ramionach. Drapieżnik opadł na cztery łapy i zaczął podskakiwać, starając się sprowokować mnie do ruchu, co dałoby mu okazję do ataku. Zamachnął się łapą i przejechał pazurem po plecaku. Usłyszałam trzask rozrywanego materiału.

Zwierz był tak blisko, że czułam woń jego futra, pachnącego mokrą trawą, ziemią i wodą z jeziora. W jego ciepłym oddechu wyczułam lekko rybny odór. Jęknęłam cicho i się poruszyłam. Niedźwiedź zatopił zęby w plecaku i położył łapę na moim udzie, przyciskając mnie do ziemi tak mocno, że zdawało mi się, jakby kość za chwilę miała mi pęknąć. Tak by się zapewne stało, gdyby nie to, że szczęśliwie nie leżałam na gołej ziemi, więc ciężar niedźwiedziej łapy wbijał mnie tylko głębiej w śnieg. Nie wiedziałam, czy zwierz broni swego terytorium, czy raczej ma ochotę zjeść mnie na kolację. Tak czy inaczej, byłam pewna, że zaraz zginę.

Wtedy właśnie usłyszałam ryk Kishana. Niedźwiedź podniósł łeb i zawył w obronie swojej zdobyczy. Odwrócił się przodem do tygrysa i przeorał pazurami moje udo i łydkę. Krzyknęłam z bólu, gdy szpony godne Freddy'ego Kruegera, należące do trzystukilo-gramowej bestii, rozcięły mi skórę. Dobra wiadomość była taka, że zwierz nie zrobił tego, żeby mnie zabić, było to raczej przyjacielskie klepięcie, jakby mówił: „Hej, kochanie, zaraz wrócę. Muszę tylko rozprawić się z intruzem, zanim cię zjem — za chwilę będę z powrotem”.

Straszliwy ból palił mi nogi, łzy spływały po policzkach, ale starałam się leżeć cicho jak myszka. Kishan okrążał niedźwiedzia przez chwilę, po czym ruszył do ataku.

Wbił zęby w jego łapę, podczas gdy ten drugą rozorał mu grzbiet. Walczące bestie odsunęły się nieco i mogłam spojrzeć na tył swojego uda. Nie byłam w stanie wykrecić szyi na tyle, żeby dojrzeć ranę, ale wielkie krople karminowej krwi zabarwiły śnieg wokoło tak, że wyglądał jak makabryczna porcja lodów.

Niedźwiedź stanął dęba i zaryczał. Potem opadł na cztery łapy, podbiegł kilka kroków bliżej i znów wzniósł się na tylne nogi.

Kishan okrążał go z bezpiecznej odległości. Niedźwiedź zamachnął się na niego kilka razy, jakby chciał go odstraszyć.

Kishan zbliżył się, a niedźwiedź ruszył do ataku. Tygrys wspiął się na tylne łapy i rzucił na przeciwnika. Bestia objęła go łapami i rozcięła mu pazurami grzbiet, nadając nowe znaczenie wyrażeniu „niedźwiedzi uścisk”. Oba drapieżniki walczyły z furją. Niedźwiedź zatopił kły w uchu Kishana i prawie mu je wyrwał. Tygrys machnął łbem tak, że obaj stracili równowagę, runęli w śnieg i zaczęli turlać się po ziemi w kłębowisku brązowego i czarnego futra.

Odzyskałam zmysły na tyle, żeby uświadomić sobie, że mam przecież swoją specjalną broń. Idiotka ze mnie.

Kishan okrążał przeciwnika, starając się go zdezorientować i zmęczyć.

Wykorzystując to, że się nieco oddalił, podniosłam rękę i trafiłam niedźwiedzia w sam nos niedużą błyskawicą, która nie zraniła go wprawdzie, ale za to odstraszyła i pozbawiła apetytu. Bestia pogalopowała ciężko przed siebie, rycząc z bólu i frustracji. Kishan natychmiast przybrał ludzką postać i rzucił się oglądać moje poranione nogi. Zdjął plecak i błyskawicznie ubrał się w ciepłe rzeczy. Potem pochylił się nade mną. Moja krew powoli zamarzała na śniegu. Kishan ciasno obwiązał mi udo podkoszulkiem.

- Wiem, że cię boli. Przykro mi, ale muszę cię przenieść. Zapach krwi może zwabić niedźwiedzia z powrotem.

Schylił się i ostrożnie wziął mnie w ramiona. Choć był bardzo delikatny, noga strasznie mnie piekła. Krzyknęłam i wyrwałam się odruchowo. Wtuliłam twarz w jego pierś i zacisnęłam zęby. A potem wszystko jakby się zatarło.

Nie wiem, czy zemdlalam, czy zasnęłam, to zresztą nie miało znaczenia. Gdy się ocknęłam, leżałam na brzuchu przy ognisku, a Kishan ostrożnie opatrywał moje rany. Podarł kolejny podkoszulek i czyścił je jakimś ciepłym, śmierdzącym płynem, wyczarowanym przez złoty owoc.

Syknęłam z bólu.

- Au, piecze! Co to za maź?

- Ziołowe lekarstwo. Łagodzi ból, powstrzymuje infekcję i przyśpiesza krzepnięcie krwi.

- Nie pachnie zbyt dobrze. Co w nim jest?

- Cynamon, jeżówka, czosnek, gorzknik kanadyjski, krwawnik i jeszcze kilka innych roślin, których nazwy znam tylko po łacinie.

- Boli!

- Wyobrażam sobie. Trzeba ci będzie założyć szwy.



Syknełam i zaczęłam zadawać mu pytania, żeby nie skupiać się na bólu.

— Jak... skąd wiedziałeś, jak zrobić to lekarstwo?

— Brałem udział w wielu bitwach. Wiem co nieco o opatrywaniu ran. Nie martw się, Kells, niedługo przestanie boleć.

— Opatrywałeś wcześniej rany? -Tak.

— Opowiesz... — jęknęłam płaczliwie — opowiesz mi o tym? To mi się pozwoli skupić na czymś innym niż ból.

— Dobrze. — Kishan zanurzył szmatkę w lekarstwie i zaczął opatrywać mi łydkę.

— Pewnego razu Kadam zabrał mnie wraz ze swoim elitarnym oddziałem piechoty na wojnę z bandytami.

— Czy ci bandyci byli jak Robin Hood?

— Kto to jest Robin Hood?

— Człowiek, który rabował bogatych i pomagał biednym.

— Nie. Tamci byli mordercami, napadali na karawany, gwałcili kobiety, a potem zabijali wszystkich. Rozpanoszyli się w pewnej okolicy, w której kwitł handel. Ich bandy bogaciły się i rozrastały. W owym czasie szkolono mnie w teorii sztuki militarnej, a Kadam uczył mnie strategii i specyfiki walki partyzanckiej.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Szesnaście.

— Au!

— Wybacz.

— Nic nie szkodzi — jęknęłam. — Mów dalej.

— Podeszliśmy dużą grupę bandziorów, która schowała się w jaskini. Myśleliśmy właśnie nad tym, jak ich stamtąd wykurzyć, kiedy zostaliśmy zaatakowani. Zbiry wymknęły się tyłem i zaczęły po cichu zabijać naszych wartowników. Nasi żołnierze walczyli dzielnie, otoczywszy ich ze wszystkich stron, ale kilku zginęło, zaś wielu innych doznało poważnych obrażeń. W ferworze walki zwichnąłem ramię, ale Kadam od razu mi je nastawił, tak że mogliśmy wojować dalej. Właśnie wtedy nauczyłem się oceniać stan rannego. Ci, którym starczyło sił, dołączyli do naszego lekarza i pomagali mu opatrywać rany. On opowiedział mi trochę o roślinach i ich leczniczych właściwościach. Moja matka również interesowała się ziołami. Miała szklarnię pełną roślin, z których kilku używała jako lekarstw. Dlatego ilekroć szedłem walczyć, miałem ze sobą torbę lekarską, żeby pomagać, kiedy tylko się dało.

— Już się lepiej czuję. Ból ustępuje. Ale co z tobą? Nie boli cię?

— Moje rany już się zagoiły.

— To nie jest w porządku — odparłam z zazdrością.

— Gdybym mógł, zamieniłbym się z tobą, Kells - szepnął Kishan, po czym ostrożnie owinał moje udo i łydkę paskami podartej koszulki i zabezpieczył bandażem elastycznym, który pan Kadam zapakował nam do apteczki. Potem dał mi dwie aspiryny, odchylił moją głowę do tyłu i pomógł mi popić lekarstwo.

— Zatomowałem krwawienie. Tylko jedna rana jest groźna. Dziś odpoczniemy, a jutro ruszymy w dalszą drogę. Będę cię musiał nieść, Kelsey, nie sądzę, abyś była w stanie iść o własnych siłach. Twoje rany mogłyby się znów otworzyć.

-Ale...

— Na razie niczym się nie zajmuj. Odpocznij, a jutro rano zobaczymy.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego dłoni.

— Kishanie?

Książę zwrócił na mnie baczne spojrzenie swoich złotych oczu. -Tak?

— Dziękuję, że się mną opiekujesz. Ścisnął mnie za rękę.

— Szkoda, że nie mogę zrobić więcej. Spróbuj się przespać.

Zamknęłam oczy, ale co chwila budziłam się, gdy Kishan dorzucał do ognia. Nie wiedziałam, jak udało mu się znaleźć suche drewno, ale nie miałam siły go o to pytać. Książę postawił garnuszek z ziołowym lekarstwem tuż obok ogniska, żeby nie ostygł. Leżałam na brzuchu, otulona ciepłym śpiworem, i zamglonym wzrokiem obserwowałam płomień liżące dno kociołka. Ostra woń ziół unosiła się w powietrzu, a ja odpływałam w niespokojny, przerywany sen.

Śniłam o Benie. Był przywiązany do słupa, z rękoma skrępowanymi nad głową.

Stałam przy ścianie, za drugim słupem, schowana tak, że Lokesh mnie nie widział.

Nikczemnik przemówił w nieznanym mi języku, lekko uderzając biczem w dłoń.

Ren otworzył oczy i dostrzegł mnie. Nie poruszył choćby jednym mięśniem, ale zmienił się wyraz jego oczu: pojaśniały, a w zewnętrznych kąciach pojawiły się delikatne zmarszczki. Uśmiechnęłam się do niego i zrobiłam krok naprzód. Niemal niezauważalnie pokręcił głową. Usłyszałam trzask bicza i zamarłam.

Ren wydał z siebie stłumiony okrzyk bólu. Wskoczyłam ze swojej kryjówki, wrzasnęłam i rzuciłam się na zaskoczonego Lokesha. Chwyciłam bicz, ale nie byłam w stanie wyrwać mu go z dłoni.

Czarnoksiężnik był niezwykle silny. Moje wysiłki okazały się jałowe, byłam jak drobny ptaszek, który zapragnął powalić drzewo. Walcząc wściekle, dostrzegłam na jego twarzy wyraz absolutnego zachwytu — Lokesh mnie rozpoznał. Gorączkowe podniecenie zalśniło w jego czarnych oczach. Chwycił mnie za ręce, wykręcił mi je nad głową i trzy razy uderzył mnie biczem w tylną część nóg. Krzyknęłam z bólu. Za moimi plecami rozległ się dziki ryk, który odwrócił uwagę Lokesha. Chwyciłam go za poły koszuli i przeorałam paznokciami jego szyję i pierś. Potrząsnął mną i... — Kelsey! Kelsey! Obudź się! Ocknęłam się gwałtownie.

— Kishan?

— Znowu coś ci się śniło.

Kishan leżał obok mnie w śpiworze. Delikatnie wyciągnął z mojego uścisku materiał swojej koszuli. Spojrzałam na jego szyję i pierś i dostrzegłam paskudne, krwawe zadrapania. Ostrożnie dotknęłam jednego z nich.

— Och, Kishanie, przepraszam. Tak mi przykro. Bardzo cię boli?

— Nic się nie stało. Za chwilę nie będzie śladu.

— Wybacz, to niechcący. Znów przyśnił mi się Lokesh i... ja nie chcę zawracać, Kishanie. Chcę iść dalej, szukać Świętej Bramy. Ren cierpi. Czuję to.

Ku własnemu przerażeniu wybuchnęłam płaczem — po trosze z powodu bólu i stresu, ale głównie dlatego że czułam niedolę Rena. Kishan poruszył się i mnie objął.

— Cśś, Kelsey, wszystko będzie dobrze.

— Nie wiesz tego. Ryc może Lokesh go zabije, zanim znajdziemy tę głupią bramę — szlochałam.

Kishan pogłaskał mnie po plecach.

— Durga obiecała, że będzie go chronić, pamiętaj o tym.

— Wiem, ale... — Nie dokończyłam i znów zaniostałam się płaczem.

— Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze. Ren na pewno przyznałby mi rację. Roześmiałam się przez łzy.

— Pewnie tak, ale...

— Żadnych „ale”. Musimy zawrócić, Kelsey. Kiedy wyzdrowiejesz, spróbujemy jeszcze raz. Zgoda?

— Dobrze.

— To świetnie. Ren... ma szczęście, że takiej wspaniałej kobiecie tak bardzo na nim zależy.

Obróciłam się na bok i spojrzałam na niego. Ognisko wciąż płonęło. Obserwowałam płomienie tańczące w zatroskanych złotych oczach Kishana. Dotknęłam jego szyi, która już zdążyła się zagoić, i cicho powiedziałam:

— A ja mam szczęście, że w moim życiu pojawili się tacy cudowni mężczyźni.

Kishan uniósł moją dłoń do ust. Poczułam na palcach jego ciepły pocałunek.

— Wiesz przecież, że on by nie chciał, żebyś dla niego cierpiała.

— Zapewne nie chciałby również, żebyś to ty mnie pocieszał. Książę się uśmiechnął.

— Masz rację. Nie chciałby.

— Dziękuję, że przy mnie jesteś.

— Nie ma miejsca, w którym pragnąłbym być bardziej. A teraz śpij, *bilauta*.

Przyciągnął mnie do siebie i przytulił do piersi. Miałam wyrzuty sumienia, że tak mi dobrze w jego ramionach. Mimo to szybko zasnęłam.

Przez następne dwa dni podróż z konieczności przebiegała wolniej. Staralam się iść sama, ale ból był zbyt silny, więc Kishan musiał mnie nieść. Schodziliśmy wolno w dół, od czasu do czasu przystając, by odpocząć, zaś przez ostatnią godzinę każdego dnia Kishan rozbijał obóz i zmieniał mi opatrunek. Większość zadrapań się goiła, ale to najgłębsze zaczęło ropieć. Skóra wokół zaczerwieniła się i pojawiła się opuchlizna. Było coraz gorzej. Dostałam gorączki i Kishan wyraźnie się przestraszył. Przeklinał fakt, że może mi towarzyszyć tylko przez sześć godzin dziennie. Próbował każdej ziołowej mikstury, jaka mu przyszła do głowy — niestety, złoty owoc nie dostarczał antybiotyków.

Gdy rozpętała się burza, Kishan niósł mnie na rękach w lodowatej zawiei, do mnie jednak wszystko docierało jak przez mgłę. To, że nie poruszałam się na własnych nogach, sprawiło, że było mi jeszcze zimniej. Przemarznięta, raz po raz traciłam przytomność, dzień zlewał mi się z nocą i całkowicie straciłam poczucie czasu.

W którymś momencie przyszło mi do głowy, że Fanindra mogłaby mnie uleczyć tak samo, jak to zrobiła w Kiszkindzie, ona jednak pozostała zimnym, sztywnym kawałkiem metalu. Wiedziałam,

że pogoda nie sprzyja węzom. Pocięczałam się tym, że pewnie wie, iż nie jestem jeszcze tak bliska śmierci, jak mogłoby się wydawać.

Szalejąca burza sprawiła, że straciliśmy orientację. Nie wiedzieliśmy już, czy idziemy w kierunku pana Kadama, czy posuwamy się naprzód, w stronę upragnionej bramy. Kishan bardzo się martwił tym, że wciąż zasypiam, więc gdy szliśmy, cały czas ze mną rozmawiał. Nie pamiętałam zbyt wiele z tego, co mówił. Opowiadał mi o sposobach przetrwania w dziczy i o tym, jak ważne jest to, by nie przemarznąć oraz jeść i pić dużo wody.

Kiedy zatrzymaliśmy się na nocleg, otulał mnie śpiworem i kładł się obok, całą noc ogrzewając mnie swoim tygrysim ciałem. Złoty owoc zapewniał nam w bród posiłków i napojów. Kiedy zachorowałam i dostałam gorączki, straciłam apetyt i Kishan musiał mnie zmuszać do jedzenia i picia. Trzęsłam się i wciąż mi się zdawało, że marznę lub że jest mi za gorąco. Mój towarzysz musiał często przybierać w nocy ludzką postać i ciągle na nowo okrywać mnie śpiworem, który rozkopywałam, mającąc.

Byłam bardzo słaba. Kolejne kilka dni spędziłam, wpatrując się tępo w niebo lub w twarz Kishana, który jak zwykle snuł rozmaite opowieści. Jedną z niewielu, które zapamiętałam, była obrzydliwa historia o „ryżu Buszmenów”. Kishan przeżył kiedyś jako jedyny bitwę na terytorium wroga. Powiedział, że nie mógł nigdzie znaleźć pożywienia i musiał jeść „ryż Buszmenów”, który jednak tylko tak się nazywał — w rzeczywistości były to białe poczwarki termitów.

Stęknęłam cicho, usłyszawszy tę straszną opowieść, ale nie miałam siły poruszyć ustami, żeby ją skomentować. Kishan spojrzał na mnie, zmartwiony, i mocniej naciągnął mi kaptur, żeby śnieg nie padał mi na twarz. Pochylił się nade mną i wyszeptał:

— Kelsey, obiecuję, że z tego wyjdziemy. Nie pozwolę ci umrzeć.

Umrzeć? A kto mówi o umieraniu? Nie miałam najmniejszego zamiaru umierać, nie byłam jednak w stanie mu tego powiedzieć. Czułam, jakby usta całkiem mi zamarzyły. Nie mogę teraz umrzeć. Muszę znaleźć pozostałe trzy przedmioty i uratować moje tygrysy, muszę ocalić Rena przed Lokeshem. Muszę skończyć szkołę. Muszę... Zasnęłam.

Śniłam o tym, że przesuwam palcem po zamrożonej szybie. Narysowałam serduszko, a w środku napis *Ren+Kelsey*. Rysowałam właśnie drugie, w którym napisane było: *Kishan+...*, kiedy poczułam, że ktoś mną potrząsa.

— Kells, Kells! Cały czas myślałam, że zawróciliśmy, ale teraz widzę, że chyba odnaleźliśmy bramę!

Wyrzalam spod kaptura i natrafilam wzrokiem na fioletowo-szare niebo. lodowata ulewa siekla bezlitośnie i musialam zmrużyć oczy, żeby dostrzec to, na co wskazywał Kishan. W samym środku pustej śnieżnej polaci stały dwa drewniane maszty wielkości słupów telefonicznych. Wokół każdego owinięte były długie pasy materiału, niektóre przymocowane do przeciwległego masztu, niektóre do wbitych w ziemię obręczy, inne trzepoczące dziko na wietrze jak ogony latawców. Do słupów przywiązane były też w różnych miejscach kolorowe flagi.

Oblizalam usta, lecz na próżno, bo język też miałam suchy.

— Jesteś pewien? — spytałam cicho.

Na szczęście Kishan miał, jak to tygrys, bardzo dobry słuch. Nachylił się nad moim uchem i przekrzykując wicher, odpowiedział:

— Możliwe, że to jakiś pomnik wzniesiony przez nomadów, ale jest w nim coś wyjątkowego. Chciałbym to sprawdzić.

Pokiwałam słabo głową, a Kishan ułożył mnie w śpiworze w pobliżu jednego z masztów. Ostatnio zaczął nosić mnie otuloną w śpiwór, żeby było mi cieplej. Gdy tylko położył mnie na ziemi, zapadłam w głęboki sen. Kiedy mnie obudził, nie wiedziałam, czy minęło kilka godzin, czy kilka sekund.

— To tutaj, Kelsey. Znalazłem odcisk dłoni. A teraz musimy zdecydować, czy wchodzimy do środka, czy zawracamy. Czuję, że powinniśmy zawrócić i przyjść tu później.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego piersi. Zaczęłam szeptać, czując, jak wicher wyrywa mi słowa z ust. Na szczęście Kishan mnie usłyszał. Powiedziałam:

— Nie... nie uda nam się... trafić... po raz drugi... za trudne. Nauczyciel mówił... żeby dowieść... wia... wiary. To... próba. Musimy. .. spró... bować.

-Ale Kells...

— Zanieś mnie... do... odcisku.

Kishan spojrział na mnie. Dostrzegłam w jego oczach, że walczy z sobą. Delikatnie wyciągnął dłoń i odgarnął płatki śniegu z mojego policzka.

Złapałam go za rękę.

— Musimy wierzyć — wyszeptałam w szalejący wicher.

Książę westchnął głęboko, wziął mnie na ręce i zaniósł do drewnianego masztu.

— To tu, po lewej stronie, pod tą niebieską tkaniną.

Dostrzegłam odcisk i zaczęłam ściągać rękawicę. Kishan postawił mnie na ziemi i podparł ramieniem. Ściągnął mi rękawicę i wcisnął ją do kieszeni. Potem ujął moją dłoń i skierował ją w zimne zagłębienie w korze. Teraz, gdy stałam blisko, widziałam misterne rzeźbienia na drewnianym słupie, częściowo przysypane śniegiem. Gdybym czuła się lepiej, z chęcią uważniej bym się im przyjrzała, ale bez wsparcia Kishana nie byłam nawet w stanie utrzymać się na nogach. Usiłowałam wywołać iskrę, która wcześniej sprawiała, że moja dłoń rozbłyskiwała światłem, ale czułam się martwa w środku.

— Kishanie... nie... nie mogę... za zimno... — Myślałam, że zaraz się rozplacę. Kishan zdjął rękawice, rozpiął kurtkę, rozerwał koszulę i położył moją zmarzniętą dłoń na swojej nagiej piersi. Miał gorącą skórę. Przycisnął ciepły policzek do mojego i przez kilka minut rozcierał wierzch mojej dłoni. Mówił coś, ale go nie rozumiałam. Osłaniał mnie przed wiatrem i gdy tak trzymał mnie w ciepłym kokonie, prawie zapadłam w sen. W końcu książkę odsunął się nieco i stwierdził: — Proszę. Od razu lepiej. A teraz spróbuj jeszcze raz. Pomógł mi właściwie ułożyć dłoń w zagłębieniu. Poczułam

w brzuchu drobną, mrowiącą iskierkę i zaczęłam ją podsycać. Żar rozniecał się powoli, aż w końcu odcisk w drewnie rozbłysł, a maszt zadrżał i rozjarzył się światłem. Coś się stało z moimi oczami — nagle ujrzałam wszystko jakby przez zieloną szybę. Rozbłysk z mojej dłoni był teraz jaskrawopomarańczowy i pomarańczowy promień powędrował przez pas materiału w górę drugiego masztu. Ziemia się zatrzęsła. Nagle otoczyła nas bańka ciepłego powietrza. Byłam zbyt słaba, moja dłoń zsunęła się z zagłębienia i opadła z powrotem na pierś Kishana, który chwycił mnie w objęcia. Bańka pomiędzy dwoma słupami się powiększała. Wewnątrz tańczyły barwne smugi, z początku niewyraźne, które jednak powoli składały się w jakiś obraz. Nagle usłyszałam grzmot, po którym poszczególne kształty trafiły na swoje miejsce.

Zobaczyłam zieloną trawę i żółte słońce. Stada zwierząt leniwie pasły się pod drzewami gęsto porośniętymi liśćmi. Poczułam zapach kwiatów i ciepłe promienie słońca na twarzy, choć lodowate płatki śniegu wciąż kęsały mnie w policzki. Kishan zrobił kilka kroków naprzód, unosząc mnie w ciepły raj. Oparłam głowę o jego ramię i słuchałam cichnących za moimi plecami odgłosów zamieci. Zimny wiatr był coraz słabszy, aż nagle z cichym pyknięciem ustał. Wtedy właśnie zemdlałam.

## KRAINA SZCZĘŚLIWOŚCI

Obudziłam się o świcie. Kishan grzał dłonie przy trzaskającym ognisku.

Poruszyłam się i jęknęłam.

— Hej.

— Hej, jak się czujesz?

— Hmm... Właściwie to lepiej.

— Zaczęłaś zdrowieć, gdy tylko przekroczyliśmy bramę.

— Jak długo spałam?

— Jakieś dwanaście godzin. Twoje rany tutaj goją się prawie tak szybko jak moje i Rena na zewnątrz.

Wyciągnęłam nogi i z ulgą stwierdziłam, że jest lepiej. Wcześniej martwiłam się bólem, ale najgorsza była infekcja. Miałam nadzieję, że amulet Kishana mnie uleczy, ale nie działał tak, jak przewidywał pan Kadam. Być może miał inne właściwości niż amulet Rena. Poszcęściło mi się.

— Umieram z głodu. Co jest na śniadanie? - spytałam.

— A na co masz ochotę?

— Hmm... naleśniki z czekoladą i mleko w wysokiej szklance.

— Brzmi dobrze. Zjem to samo.

Kishan poprosił złoty owoc o posiłek i oboje usiedliśmy do śniadania. Nadal byłam słaba, więc przyciągnął mnie do siebie, żebym się na nim oparła. Nie protestowałam i z przyjemnością zaczęłam jeść naleśniki.

— Gdzie my właściwie trafiliśmy?



- Nie jestem pewien. Znajdujemy się jakieś półtora kilometra od bramy.
  - Cały czas mnie niosłeś?
  - Tak. - Kishan odstawił talerz i mnie objął. - Bałem się, że umrzesz.
  - Najwyraźniej w tych wszystkich mitycznych krainach jestem wyjątkowo żywotna.
  - Mam nadzieję, że więcej nie będziemy musieli się o tym przekonywać.
  - Ja też. Dziękuję ci. Za wszystko.
  - Nie ma za co. *A propos*, wygląda na to, że utrzymuję tu ludzką postać tak samo jak Ren w Kiszkindzie.
  - Naprawdę? I jak się z tym czujesz?
  - Dziwnie. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Wciąż mi się wydaje, że za chwilę zmienię się w tygrysa. Chociaż mógłbym, gdybym chciał.
  - To samo było z Renem. Cóż, ciesz się, póki możesz. Ren zmienił się, gdy tylko opuściliśmy Kiszkindę.
- Kishan wymamrotał coś pod nosem i zaczął grzebać w plecaku.
- Czy możesz mi podać tekst przepowiedni i notatki pana Kada-ma? - poprosiłam. - Najpierw musimy odnaleźć omfalos, wróżbiarski kamień. Gdy w niego spojrzymy, przekonamy się, jak odnaleźć drzewo z przepowiedni. Kamień powinien wyglądać jak piłka do futbolu z dziurą w środku.
  - A jak wygląda piłka do futbolu?
  - Hmm, powiedzmy, że jest podłużna i lekko spiczasta z obu stron. - Wstałam, choć nogi wciąż trzęsły mi się jak galareta.
  - Myślę, że powinnaś jeszcze odpoczywać.
  - Nie jestem zmęczona, a poza tym im szybciej odnajdziemy kamień, tym szybciej uratujemy Rena.
  - No dobrze, ale pójdziemy powoli. Tutaj jest dosyć ciepło, może chcesz się przebrać?
- Spojrzałam na swoje podarte nogawki.
- No tak.
- Kishan wprawdzie zdjął mi kurtkę, ale i tak spociłam się w ocieplanych spodniach. Książę zdążył przebrać się wcześniej — miał na sobie džinsy, traperki i czarny podkoszulek.
- Nie znudziła ci się jeszcze czerń? Wzruszył ramionami.

- Pasuje do mnie.

- Hmm...

- Zbadam teren i może znajdę drogę, którą powinniśmy pójść, a ty się przebierz. -  
Uśmiechnął się szeroko. - Nie martw się, me będę podglądał.

- Mam nadzieję.

Roześmiał się i ruszył w stronę drzew.

Zmieniając ubranie, przyjrzałam się podartym spodniom. Niedźwiedź nieźle mnie urządził. Obejrzałam swoje nogi. Po ranach me było śladu. Skóra miała zdrowy różowy odcień, zupełnie jakby w ogóle nic się nie stało.

Gdy mój towarzysz wrócił, byłam już umyta. Użyłam do tego ciepłej wody różanej, wyczarowane, przez złoty owoc, oraz drugie, połowy podartej koszuli Kishana.

Resztą wody polałam włosy, rozczesałam je i związałam w długi kucyk. Przebrałam się właśnie w dżinsy, bluzę, i traperki, gdy usłyszałam nawoływanie Kishana, który dawa mi w ten sposób znać, że zbliża się do naszego obozowiska. Zmierzył mnie wzrokiem i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Z czego się cieszysz?

- Uśmiecham się do ciebie, wyglądasz znacznie lepiej.

- Ha. Wiele bym dała za prysznic. Ale rzeczywiście dużo lepiej się czuję.

- Tam, niedaleko drzew płynie potok, wzdłuż którego wywęszyłem zwierzynę. Myślę, że to dobry szlak. Idziemy?

Pokiwałam głową. Kishan założył plecak i ruszył w kierunku drzew. Potok okazał się zachwycająco piękny. Okolice skał i pni drzew porastały cudownie kolorowe kwiaty. Rozpoznałam narcyzy i opowiedziałam Kishanowi historię przystojnego młodzieńca z mitologii greckiej, który zakochał się we własnym odbiciu.

Książę słuchał mnie z wyteżoną uwagą. Oboje tak mocno wciągnęliśmy się w opowieść, że me zauważyliśmy, jak zaczęły nas otaczać zwierzęta. Zatrzymaliśmy się. Przykicały dwa króliki i przyglądały nam się z ciekawością. Wiewiórki skakały z drzewa na drzewo, żeby znaleźć się bliżej, zupełnie jakby i one miały ochotę posłuchać opowiedanej przeze mnie historii. Wskoczyły na gałąź, która ugięła się pod ich ciężarem, tak że zawisły zaledwie parę metrów nad nami. Las okazał się pełen stworzeń. Dostrzegłam lisy, jelenie i ptaki przeróżnych gatunków. Kiedy wyciągnęłam rękę, sfrunął na nią piękny czerwony kardynał i delikatnie przysiadł na moim palcu.

Kishan zrobił to samo i już po chwili na przedramieniu siedział mu złotooki jastrząb. Podeszłam do lisa, który obserwował mnie bez strachu. Pogłaskałam go po miękkim, kosmatym łebku.

— To niesamowite, czuję się jak Królowna Śnieżka! Co to za miejsce?

Kishan się roześmiał.

— Raj, nie pamiętasz? Sama mówiłaś.

Wędrowaliśmy cały dzień w towarzystwie rozmaitych zwierząt. Po południu wyszliśmy z lasu na łąkę pełną dzikich kwiatów, na której pasły się konie. Idąc, zbierałam kwiaty i po kilku chwilach miałam w ręce okazały bukiet. Konie odwracały się z zainteresowaniem i podchodziły, by lepiej nam się przyjrzeć. Kishan zajadał jabłka z pobliskiego drzewa, a ja tymczasem wplatałam kwiaty w grzywę urodziwej białej klaczy. Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, konie odprowadziły nas kawałek, po czym wróciły na swoje pastwisko.

W pewnej chwili, wczesnym wieczorem, dostrzegłam jakiś duży kształt u stóp rozległego wzgórza. Kishan postanowił, że rozbijemy obóz, a jutro pójdziemy zbadać, co to takiego.

Tego wieczoru, leżąc na boku, zawinięta w śpiwór, z policzkiem opartym na dłoni, powiedziałam:

— To miejsce jest jak rajski ogród. Nie sądziłam, że coś takiego w ogóle istnieje.

— Ach, lecz pamiętaj, że w rajskim ogrodzie mieszkał wąż.

— Cóż, tutaj też jest przynajmniej jeden.

Zerknęłam na Fanindrę. Jej złote sploty nadal były twarde i nieruchome. Spojrzałam na Kishana, który grzebał patykiem w ognisku.

— Hej, nie jesteś zmęczony? Sporo się dziś nachodziliśmy. Czemu nie idziesz spać?

Książę obrzucił mnie krótkim spojrzeniem.

— Pójdę. Już niedługo.

— Hmm, okej, zostawię ci miejsce w śpiworze.

— Kelsey, myślę, że lepiej będzie, jeśli położę się po drugiej stronie ogniska. Jest tu na tyle ciepło, że nie zmarzniesz sama.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

— Pewnie nie, ale mam tu mnóstwo miejsca i obiecuję, że nie będę chrapać.

Kishan roześmiał się nerwowo.

- Nie o to chodzi. Po prostu... no cóż, ponieważ nie muszę zmieniać się w tygrysa, byłoby mi trudno spać obok ciebie i... me przytulać cię. Kiedy śpię przy tobie jako tygrys, me ma problemu, ale kiedy jestem człowiekiem, wszystko wygląda inaczej.

- Ach, kiedyś powiedziałam to samo Renowi. Masz rację. Powinnam była się domyślić i nie stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

Kishan prychnął drwiąco.

- Nie martwię się tym, że byłoby mi niewygodnie, wręcz przeciwnie... mogłoby mi być zbyt wygodnie.

- No tak. - Teraz to ja byłam zdenerwowana. - Hmm... chcesz wziąć śpiwór? Ja mogę owinąć się w swój pled.

- Nie. Nie trzeba, *bilauta*.

Po kilku minutach Kishan ułożył się wygodnie po drugiej stronie ogniska.

Podłożył ręce pod głowę.

- Opowiedz mi jeszcze jakiś grecki mit - poprosił.

- W porządku. - Zastanowiłam się przez chwilę. - Żyła kiedyś piękna nimfa imieniem Chloris, która opiekowała się kwiatami i sprawiała, że wiosną zakwitły drzewa. Jej długie, jasne włosy pachniały różami i zawsze zdobił je wianek. Skórę miała miękką jak płatki kwiatów. Jej krągłe usteczka były różowe jak peony, a policzki delikatne jak kwitnące orchidee. Wszyscy, którzy ją znali, kochali ją, a jednak brakowało jej towarzysza, mężczyzny, który doceniłby jej miłość do kwiatów i nadał jej życiu sens.

Pewnego popołudnia, gdy Chloris zajmowała się kalinami, poczuła we włosach lekki podmuch wiatru. Nieznajomy mężczyzna zjawił się na łące i zaczął podziwiać ogród nimfy. Był przystojny, miał ciemne, zmierzwiłone włosy i nosił purpurową szatę. Z początku jej nie zauważył, a ona obserwowała z liściastej altany, jak przechadza się wśród kwiatów. Na jego widok żonkile unosiły główki. Młodzieniec ujął pączek róży i wdychał jej zapach, a kwiat rozkwitł mu w dłoniach. Lilie drżały delikatnie pod jego dotykiem, a tulipany kłaniały mu się, zginając długie łodygi.

Chloris bardzo się zdziwiła. Do tej pory kwiaty reagowały tylko na nią. Żdźbła lawendy próbowały owijać się wokół nóg przechodzącego młodzieńca. Nimfa zmarszczyła brwi. Mieczyki otworzyły kielichy, a groszek pachnący kołysał się w przód i w tył, próbując zwrócić uwagę nieznajomego. Chloris wydała z siebie zduszony okrzyk przerażenia, gdy dostrzegła floksy, wyrrywające się w stronę intruza.

„Dość tego!”, zawołała. „Jak wy się zachowujecie!?” Mężczyzna odwrócił się i dostrzegł ją, ukrytą wśród liści. „Wyjdź” poprosił. „Nie zrobię ci krzywdy”. Nimfa westchnęła, wyłoniła się spomedzy gardenii i wyszła na słońce, stąpając bosymi stopami po trawie.

Przez ogród przeleciał lekki wietrzyk, a młodzieńcowi zaparło dech z wrażenia. Chloris była o wiele piękniejsza niż kwiaty, które przyszedł podziwiać. Nieznajomy od razu zakochał się w pięknej nimfie i padł przed nią na kolana. Chloris poprosiła, by wstał a gdy to zrobił, ciepły wiatr wydał jego szatę i otulił oboje jej purpurowymi fałdami. Nimfa roześmiała się, ujęła dłoń młodzieńca i złożyła w niej srebrny pączek róży. Mężczyzna uśmiechnął się, zerwał płatki kwiatu i rozrzucił je w powietrzu.

Nimfa rozgniewała się, ale wtedy młodzieniec zatrzepotał palcami, a płatki róży zaczęły tańczyć na wietrze. Chloris zaklaskała w dłonie z zachwytem. „Kim jesteś?”, spytała.

„Mam na imię Zefir”, odparł nieznajomy. „Jestem zachodnim wiatrem”. Podał jej rękę, a kiedy złożyła w niej swą dłoń, uśmiechnął się, przyciągnął nimfę do siebie i pocałował. Pogłaskał jej miękki policzek opuszkami palców. „Od wieków przemierzam świat, lecz ty jesteś najcudowniejszą panną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Proszę zdradź mi swoje imię”. Nimfa zarumieniła się i odparła: „Chloris”. Zefir ujął jej drobne dłonie w swoje i złożył przyrzeczenie: „Wrócę tu za rok, na wiosnę. Chcę, byś została moją żoną. Oczywiście jeśli się zgodzisz”. Chloris nieśmiało skinęła głową. Zefir znów ją pocałował, a jego purpurowa szata zatrzepotała na wietrze. „A więc do zobaczenia najdroższa Floro”, powiedział i odfrunął, niesiony wiatrem.

Nimfa przez cały rok przygotowywała się na jego powrót. Jej ogród był piękniejszy, a kwiaty szczęśliwsze niż kiedykolwiek wcześniej. Za każdym razem, gdy o nim myślała, czuła na policzku delikatny pocałunek wiatru. Następnej wiosny Zefir wrócił do swojej narzeczonej i młodzi wzięli ślub w otoczeniu tysięcy kwiatów. Żyli razem szczęśliwie. Nimfa dbała o swój ogród, a zachodni wiatr każdej wiosny delikatnie rozsiewał pyłek po całej łące.

Ich ogrody zyskały wielką sławę jako najpiękniejsze na świecie i ludzie ze wszystkich stron przybywali je podziwiać. Młodzi darzyli się nawzajem wielką miłością i mieli razem syna, którego nazwali Karpos, co oznacza „owoc”.

Umilkłam.

— Kishanie? — Z drugiej strony ogniska dobiegło mnie ciche pochrapywanie. Mój towarzysz najwyraźniej zasnął. — No proszę, a zdawało mi się, że to ciekawa historia — szepnęłam. — Dobranoc, Kishanie.

\*\*\*

Następnego ranka obudził mnie dziwny chrzęst nad głową. Otworzywszy oczy, ujrzałam nad sobą coś wysokiego, żółtego w czarne cętki.

— Kishanie! — syknęłam. — Obudź się!

— Nie śpię, Kells. Nie bój się, ona cię nie skrzywdzi.

— To żyrafa!

— Owszem, a tam, między drzewami, widziałem goryle. Starając się nie hałasować, zmieniłam pozycję i dostrzegłam rodzinę goryli, zrywającą owoce z drzewa.

— Zaatakują nas?

— Nie zachowują się jak normalne goryle, ale jest sposób, żeby to sprawdzić. Zostań tu.

Kishan zniknął w gęstwinie, a chwilę później wyłonił się z niej jako tygrys.

Podszedł do żyrafy, która na jego widok zamrugła swoimi wielkimi oczami o długich rzęsach, po czym spokojnie wróciła do skubania liści z czubka drzewa.

Kiedy ruszył w stronę goryli, te spojrzały na niego, zatrajkotały coś między sobą, po czym wróciły do śniadania, nie przerywając nawet wtedy, gdy tygrys zbliżył się do jednego z gorylątek.

Kishan przybrał z powrotem ludzką postać i zapatrzył się na zwierzęta.

— Hmm. To bardzo ciekawe. W ogóle się mnie nie boją. Wstałam i zaczęłam zwijać obozowisko.

— Straciłeś swoje podróżne ciuchy, mój panie. Znów jesteś w czerni.

— Wcale ich nie straciłem, tylko zostawiłem za drzewami. Zaraz wracam.

Po śniadaniu powędrowaliśmy w stronę dziwnego obiektu, który dostrzegliśmy poprzedniego dnia. Był wielki, drewniany i wyglądał na bardzo stary, a prowadził na niego szeroki drewniany trap.

— To statek! — zakrzyknęłam, gdy podeszliśmy bliżej.

— Nie sądzę, Kells. Statki nie są takie wielkie.

— Ale to jest statek, Kishanie. Wiem! To arka!

— Co takiego?

- Arka, arka Noego. Pamiętasz, jak pan Kadam opowiadał nam o potopie? Skoro to naprawdę jest góra, u stóp której wylądował Noe, to konstrukcja przed nami musi być wrakiem jego okrętu! Chodźmy!

Podeszliśmy do ogromnej drewnianej budowli i zajrzeliśmy do środka. Od razu chciałam się na nią wgramolić i dokładnie spenetrować wszystkie zakamarki, ale Kishan mnie powstrzymał.

— Poczekaj, Kells. To drewno jest zgniłe. Wejdę pierwszy i sprawdzę, czy wytrzyma.

Zniknął w czeluściach wraku. Wyłonił się kilka minut później.

- Powinno być bezpiecznie, jeśli będziesz trzymać się blisko mnie. Poszłam za nim. Wewnątrz było ciemno, nie licząc pojedynczych promieni słońca, wpadających przez wyrwy w pokładzie. Spodziewałam się ujrzeć pozostałości po zagrodach dla zwierząt, ale nic takiego tam nie było. Wnętrze arki miało kilka poziomów, połączonych drewnianymi schodami, jednak Kishan uznał, że nie powinniśmy się na nie wdrapywać. Wyciągnęłam aparat i zrobiłam kilka zdjęć dla pana Kadama.

Gdy już opuściliśmy wnętrze okrętu, powiedziałam:

- Kishanie, mam pewną teorię. Myślę, że Noe naprawdę wylądował tu w swej arce, a zwierzęta, które widzieliśmy, są potomkami tych, z którymi podróżował. To dlatego się tak dziwnie zachowują. Tutaj się urodziły i tu spędziły całe życie, nie znają innego świata.

— To, że zwierzęta mieszkają w raju, nie znaczy, że nie mają zwykłego instynktu. Instynkt to potężna rzecz. Każde zwierzę wie, że musi bronić swojego terytorium, polować i — tu spojrzał na mnie znacząco — szukać sobie partnera.

Odchrząknęłam.

- No tak. Ale tu pożywienia jest w bród i jestem pewna, że... nie brakuje również partnerów.

Kishan uniósł brew.

- Być może. Skąd jednak wiesz, że zawsze tak było? Może sytuacja zmienia się z nadejściem zimy.

— Możliwe, chociaż nie sądzę. Widziałam tu nie tylko wiosenne kwiaty, ale i te jesienne. To dziwne. Zupełnie jakby była to cudowna kraina, w której niczego nie brakuje. Wszystkie zwierzęta wyglądają na syte i zdrowe.

— Owszem, ale nie widzieliśmy dotąd żadnych drapieżników.

— To prawda. Lepiej miejmy się na baczności.

Wyjęłam z plecaka zeszyt i zaczęłam robić notatki. Wszystko wskazywało na to, że naprawdę trafiliśmy do rajskiej krainy. Uzna-

łam, że poza nami nie ma tu ludzi. Powietrze wypełniał zapach kwiatów, jabłek, cytrusów i trawy. Temperatura była idealna - ani za ciepło, ani za zimno. Okolica przypominała zadbane ogród. Nie dostrzegłam choćby najmniejszego chwastu. Zdawało się niemożliwe, żeby to były dzikie strony. Kiedy znaleźliśmy modelowo zbudowane gniazdo, pełne błękitnych nakrapianych jajek, ptasi rodzice siedzieli na gałązce obok, ćwierkając wesoło, bez cienia strachu, że podchodzimy zbyt blisko. Notowałam również w zeszycie nazwę każdego napotkanego zwierzęcia.

Widzieliśmy ich mnóstwo, w tym takie, które zazwyczaj żyją w zupełnie innym klimacie - słonie, wielbłądy, a nawet kangury.

Późnym popołudniem natrafiliśmy na pierwsze drapieżniki -stado lwów. Kishan wyczuł je z daleka i postanowiliśmy podejść bliżej. Wdrapałam się na drzewo, podczas gdy on wyszedł na zwiad. Wrócił z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Tuż obok nich pasie się duże stado antylop! Widziałem lwicę, która zajadała coś czerwonego, co wziąłem za mięso, ale okazało się, że to były owoce. Te lwy jedzą jabłka!

Zacząłam schodzić z drzewa. Kishan objął mnie w talii i postawił na ziemi.

- Aha! Moja teoria się sprawdziła. To naprawdę jest rajski ogród. Zwierzęta tu nie polują.

- Wygląda na to, że masz rację. Jednak na wszelki wypadek wolałbym nie rozbijać obozu zbyt blisko lwów.

Później napotkaliśmy więcej drapieżników - wilki, pantery, niedźwiedzie, a nawet jednego tygrysa. Żaden z nich nie wykazał najmniejszej oznaki wrogości. Co więcej, wilki zachowywały się jak domowe psy i podchodziły, domagając się pieszczot.

- Dziwne - mruknął Kishan. - To aż niepokojące.

- Wiem, co masz na myśli, ale... podoba mi się tu. Szkoda, że nie ma z nami Rena. Kishan nie odpowiedział, ponaglił mnie tylko do dalszej drogi.

O zmierzchu wyszliśmy na polanę w środku lasu, porośniętą żonkilami. Zaczęliśmy właśnie rozbijać obozowisko, kiedy usłyszałam ciche, czarowne dźwięki fletu.

Oboje zamarliśmy w bezruchu. To był pierwszy znak, że żyją tu ludzie.

- Co robimy? - spytałam.

- Pójdę się rozejrzeć.

- Myślę, że powinniśmy pójść razem.



Kishan wzruszył ramionami, poszłam więc za nim. Podążaliśmy za tęsknymi nutami tajemniczej melodii, aż znaleźliśmy jej źródło, siedzące na kamieniu nad potokiem i grające na piszczałce.

Z wahaniem podeszliśmy bliżej. Stworzenie przestało grać i uśmiechnęło się do nas. Miało zielone oczy i piękną twarz. Srebr-nobiałe włosy spływały mu po plecach, a ze splotów nad czołem wyrastały pokryte króciutkim aksamitnym włosiem brązowe różki, przypominające poroże jelonka. Indywiduum to było nieco mniejsze niż przeciętny człowiek i miało jasną skórę o lekko liliowym odcieniu. Było bose, ubrane w irchowe spodnie i kaftan barwy owocu granatu.

Nieznajomy zawiesił piszczałkę na szyi i spojrzał na nas.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry — odparł nieufnie Kishan.

— Czekałem na wasze przybycie. Wszyscy czekaliśmy.

— „Wszyscy”? Czyli kto? — spytałam.

— Po pierwsze: ja. Po drugie: sylwany i elfy.

— Spodziewaliście się nas? — zapytał zaskoczony Kishan.

— O tak, i to od dawna. Na pewno jesteście zmęczeni. Chodźcie za mną, odświeżycie się, posilicie i odpoczniecie.

Kishan stał jak wrośnięty w ziemię. Obeszłam go i zbliżyłam się do leśnego stwora.

— Witaj, jestem Kelsey.

— Miło cię poznać. Mam na imię Faunus.

— Faunus? Już to gdzieś słyszałam.

— Doprawdy?

— Tak! Ty jesteś Pan!

— Pan? Ależ skąd, mam na imię Faunus. Tak przynajmniej twierdzi moja rodzina. Chodźcie za mną.

Rogaty jegomość wstał, zeskoczył z głazu, na którym siedział, ruszył kamienną ścieżką i zniknął między drzewami. Odwróciłam się i wzięłam Kishana za rękę.

— Chodź. Mam do niego zaufanie.

— Ja nie.

Ścisnęłam jego dłoń i wyszeptałam:

— Wszystko jest w porządku. Myślę, że w razie czego dam sobie z nim radę.

Kishan odwzajemnił uścisk i ruszyliśmy za naszym przewodnikiem. Podążaliśmy za Faunusem przez las i już wkrótce doszły do naszych uszu salwy perlistego śmiechu. Gdy podeszliśmy bliżej, uswia-

domiłam sobie, że ludzie me wydają z siebie takich dźwięków. Było w nich coś nie z tego świata.

- Faunusie... kim są sylwany?

- To leśne stworzenia, nimfy drzewne.

- Nimfy drzewne?

- Tak. Czy nie macie ich w swoim kraju?

- Nie. Nie spotkaliśmy też nigdy elfa.

Nasz gospodarz wydawał się lekko zmieszany.

- A więc kto rodzi się z rozdartego drzewa?

- Z tego co mi wiadomo, nikt. Co więcej, nie sądzę, żebym kiedykolwiek w życiu widziała rozdarte drzewo, chyba że trafił w me piorun albo ściał je drwal.

Faunus przystanął w pół kroku.

- Wasi pobratymcy ścinają drzewa?

- Owszem.

Stwór ze smutkiem pokręcił głową.

- Bardzo się cieszę, że właśnie tu przyszło mi żyć. Biedne drzewa. Co w takim razie poczną przyszłe pokolenia?

Spojrzałam na Kishana, który niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową i ruszył dalej.

ściemniało się już, gdy znaleźliśmy się przed szeroką bramą porośniętą setkami miniaturowych pnących róż wszelkich odmian [kolorów. Przekroczyliśmy bramę i weszliśmy do wioski leśnego ludku. Z niezwykle wysokich drzew zwieszały się wmorosle, do których przymocowane były latarenki. Za szybkami podskakiwały w górę i w dół małe światełka - różowe, srebrne, turkusowe pomarańczowe, żółte i fioletowe. Przyjrzaawszy się bliżej, stwierdziłam, że światełka żyją. Elfy! .

- Kishanie, spójrz! One świecą jak robaczki świętojańskie!

Elfy wyglądały jak duże motyle. To me ich ciała świeciły. Delikatny blask bił z kolorowych skrzydełek, którym! poruszały lemmie, siedząc na miniaturowych drewnianych żerdkach.

Wskazałam na jednego z elfów.

- Czy to...

- Tak to nasze świetliki - odparł Faunus. - Co wieczór mają tu dwugodzinne zmiany. Lubią czytać na służbie. Dzięki temu me zasypiają. Kiedy zasną, ich światełko gaśnie.

- No tak, oczywiście - wymamrotałam.

Faunus poprowadził nas w głąb wioski. Małe, plecione z trzemy chatki stały wokół trawiastej polany. Pośrodku łąki ustawiono duży

stół. Za każdym domkiem rosnęło ogromne drzewo. Gałęzie wszystkich drzew spletały się, tworząc piękną zieloną altanę.

Faunus uniósł do ust flet i zagrał wesołą melodię. Z chatki i spośród listowia drzew poczęły wylegać na zewnątrz drobne, smukłe postacie.

— Chodźcie. Chodźcie i poznajcie tych, na których czekaliście. Oto Kelsey i Kishan. Powitajmy ich.

Błyszczące twarze zbliżyły się do nas. Wszyscy mieli srebrne włosy i zielone oczy jak Faunus. Piękni mężczyźni i kobiety ubrani byli w barwne, delikatne stroje, jakby utkane z pajęczej nici.

— Czy wolicie najpierw się posilić, czy wykapać? — zwrócił się do mnie Faunus.

— Wykapać — odparłam zaskoczona. — Jeśli to nie problem. Nowy znajomy skłonił nam się nisko.

— Oczywiście, że nie. Antracjo, Fiale, Dejopeo, czy zaprowadzicie Kelsey do damskiej łaźni?

Trzy piękne sylwany nieśmiało oderwały się od grupki i podeszły do mnie. Dwie wzięły mnie za ręce, a trzecia poprowadziła w stronę leśnej polany. Kishan patrzył za mną, marszcząc brwi, najwyraźniej niezadowolony z tego, że nas rozdzielają, ale już wkrótce i jego powiedziano w przeciwnym kierunku.

Kobiety były nieco mniejsze od Faunusa i mniej więcej o głowę niższe ode mnie. Poszłyśmy ścieżką oświetloną przez kolorowe elfy, aż dotarłyśmy do miejsca, gdzie wąski strumyk wpadał do sadzawki, położonej w niewielkim zagłębieniu. Woda spływała do niej po kamieniach jak z odkręconego kranu, tworząc mgiełkę drobnych kropelek.

Dziewczęta zdjęły mi plecak i zniknęły wśród drzew. Rozebrałam się i weszłam do sadzawki. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że woda jest ciepła. Pod powierzchnią znajdowała się półkolista kamienna ławka, służąca jako schodek, a jeszcze głębiej — siedzisko.

Zmoczyłam włosy. Trzy nimfy wróciły, niosąc ze sobą misy wypełnione pachnącymi płynami. Wybrałam zapach, który najbardziej mi się spodobał. Wręczyły mi kulę z mchu, która służyła za gąbkę, i zaczęłam zeskrobywać z siebie brud pachnącym mydłem. Fiale umyła mi włosy trzema różnymi specyfikami, za każdym razem spłukując je pod miniaturowym wodospadem, który tworzyła spływająca ze strumyka woda, a wszystko przy delikatnym, ciepłym blasku świetlików.

Kiedy po kąpieli wyszłam z sadzawki, a dziewczęta owinęły mnie miękką tkaniną, poczułam na skórze i włosach ciepłe, ożywcze

mrowienie. Byłam odświeżona i wypoczęta. Antracja natarła mnie pachnącym olejkiem, a Fiale ułożyła mi włosy. Dejopea zniknęła w zaroślach, a po chwili wróciła, niosąc przepiękną szarozieloną szatę z leciutkiej tkaniny, haftowaną w barwne, lśniące kwiaty. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam materiału.

— Jest cudowna! Co za misterny haft, kwiaty wyglądają jak prawdziwe.

— Bo są prawdziwe — odparła ze śmiechem nimfa.

— To niemożliwe! W jaki sposób wplotłyście je w materiał?

— Nie zrobiłyśmy tego. Same w niego wrosły, gdy je o to poprosiłyśmy.

— Nie podoba ci się szata? — spytała Antracja.

— Ależ nie, jest wspaniała! Z radością ją założę.

Nimfy uśmiechnęły się z zadowoleniem. Gdy skończyły mnie czesać i stroić, przyniosły wysokie, srebrzyste lustro w owalnej ramie rzeźbionej w splecione kwiaty.

— I jak, Kelsey? Jesteś zadowolona?

Z niedowierzaniem wpatrywałam się w postać w lustrze.

— To naprawdę ja?

Dziewczęta wybuchły perlistym chichotem.

— Ależ oczywiście, że ty.

Zamarłam z zachwytu. Bosa kobieta, spoglądająca na mnie z tafli zwierciadła, miała wielkie, brązowe oczy o długich, ciemnych rzęsach, podkreślone błyszczącym, zielonym cieniem do powiek, miękką, kremowobiałą skórę, od której bił zdrowy blask, czerwone usta i delikatnie zaróżowione policzki. Długa szata o greckim kroju, udrapowana na ramionach, nadawała mi krągłych kształtów. Loki spływały mi po plecach aż do pasa. Nie sądziłam, że moje włosy są aż tak długie. Nimfy ozdobiły je kwiatami i czymś, co wzięłam za skrzydełka motyli, lecz gdy zaczęły się lekko poruszać, zrozumiałam, że to nie motyle, lecz elfy.

— Och! Ależ one nie muszą tego robić, jestem pewna, że wolałyby zająć się własnymi sprawami.

Fiale pokręciła głową.

— Nic podobnego. Są zaszczycone, że mogą podtrzymywać włosy tak pięknej istoty. Czują się w nich, jakby siedziały na chmurce. Nasze elfy są najszcześniejsze, gdy mogą nam służyć. Proszę, pozwól im zostać.

Uśmiechnęłam się.

— No dobrze, ale tylko do końca kolacji.

Trzy nimfy krzątały się wokół mnie jeszcze kilka minut, aż uznały, że wyglądam, jak należy. Ruszyłyśmy w kierunku wioski. Tuż przed wejściem na polanę z zastawionym do uczty stołem Dejoepa wręczyła mi pachnący bukiet kwiatów.

— Ee... mam nadzieję, że nie zamierzacie wydać mnie za mąż?

— Za mąż? W żadnym wypadku — odparły chórem.

— Czy pragniesz wyjść za mąż? — zapytała Fiale.

— Och, nie. — Machnęłam ręką lekceważąco. — Tylko ta piękna suknia i bukiet kwiatów sprawiły, że przyszło mi to do głowy.

— Czy takie są obyczaje ślubne w twoim kraju?

— Owszem. Dejoepa zachichotała.

— Cóż, mężczyzna, z którym przybyłaś, jest bardzo przystojny, więc gdybyś chciała...

Wszystkie trzy nimfy wybuchnęły śmiechem i wskazały na stół, przy którym siedział wyraźnie zniecierpliwiony Kishan. W podskokach ruszyły w stronę polany i zniknęły w tłumie srebrnowłosych istot. Musiałam przyznać, że Dejoepa miała rację. Kishan wyglądał wspaniale. Był wykąpany i odświeżony, ubrany w białe spodnie i błękitną koszulę, utkaną z tego samego lekkiego materiału co moja szata. Rozglądał się dookoła. Najwyraźniej czuł się niezręcznie.

Chyba mnie usłyszał, bo podniósł głowę i rozejrzał się po zgromadzonych. W pewnym momencie spojrzął na mnie, ale minął mnie wzrokiem i dalej się rozglądał. Nie rozpoznał mnie! Roześmiałam się. Tym razem popatrzył na mnie i nie odwrócił wzroku. Wstał i powoli zbliżył się do mnie. Przyjrzał mi się uważnie, z szerokim uśmiechem na twarzy, po czym parsknął głośnym śmiechem.

— No i z czego się śmiejesz? — zapytałam, poirytowana. Wziął mnie za rękę i spojrzął mi w oczy.

— Z niczego, Kelsey. Jesteś najbardziej czarującą istotą, jaką w życiu spotkałem.

— Ach. Dzięki. Ale co w tym śmiesznego?

— Roześmiałem się, bo to ja jestem tym szczęściarzem, który cię teraz ogląda i znalazł się z tobą w tej rajskiej krainie, w przeciwieństwie do Rena, któremu trafiły się oszalałe małpy i kolczaste drzewa. Wygląda na to, że dostała mi się znacznie przyjemniejsza wyprawa.

— Bez wątpienia, przynajmniej na razie. Ale zabraniam ci się tym przed nim chwalić.

— Żartujesz? Zaraz zrobię ci zdjęcie i możesz być pewna, że opowiem mu wszystko ze szczegółami. Poczekaj. — Zniknął, a po krótkiej chwili wrócił z aparatem.

Zmarszczyłam brwi.

— Kishan!

— Ren na pewno będzie chciał zobaczyć tę fotografię. Zaufaj mi. A teraz uśmiech!

— Pstryknął kilka zdjęć, po czym wsunął aparat do kieszeni i wziął mnie za rękę. — Jesteś piękna, Kelsey.

Zaczerwieniłam się, ale już po chwili ogarnął mnie smutek. Pomyślałam o Renie.

Pokochałby to miejsce, jakby żywcem wyjęte ze *Snu nocy letniej*. Byłby przystojnym Oberonem, a ja — jego Ty-tanią.

Kishan dotknął mojej twarzy.

— Znowu jesteś smutna. Kells, to mi łamie serce. — Nachylił się i delikatnie pocałował mnie w policzek. — Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zjesz ze mną kolację, *apsara radżkumari*?

Otrząsnęłam się z trudem i uśmiechnęłam się do niego.

— Pod warunkiem, że zdradzisz mi, co to znaczy. Jego złote oczy zaśniły.

— Nazwałem cię księżniczką, a dokładniej księżniczką elfów. Parsknęłam śmiechem.

— A ty kim jesteś w takim razie?

— Przystojnym księciem, naturalnie. — Wetknął sobie moją dłoń pod ramię i pomógł mi usiąść. Faunus usadowił się naprzeciwko, tuż obok pięknej sylwany.

— Czy pozwolicie, żebym wam przedstawił naszą monarchinię?

— Ależ oczywiście.

— Kelsey, Kishanie, poznajcie Dryope, królową leśnych nimf. Królowa skinęła nam lekko głową, uśmiechnęła się, po czym ogłosiła:

— Czas na ucztę! Smacznego!

Nie wiedzieliśmy, od czego zacząć. Na stole stały półmiski pełne delikatnych ciastek migdałowych, miodowników, cytrynowych bez, duszonych owoców w syropie, miniaturowych kiszów i naleśników z cynamonem.

Nałożyłam sobie porcję sałatki z mlecza z suszonymi owocami i limonkowym dressingiem oraz kilka jabłkowo-cebulowo-grzybowych placuszków zapiekanych z serem stilton. Na stole stały również puddingi ze śliwkami, jagodowe babeczki, ciastka dyniowe z kremowym serem, bułeczki z masłem, dżemy i galaretki.

Piliśmy miodowy nektar i lekkie, młode wino arbuzowe. Kishan podał mi owocową przekąskę — maleńką orzechową tartalatkę z malinami i śmietaną. Wszystko było małe z wyjątkiem ostatniego dania — ogromnego tortu truskawkowego z kremem waniliowym, bitą śmietaną i cukrem pudrem.

— Nie miałam pojęcia, że wegetarianie tak smacznie jedzą — szepnęłam do Kishana, który roześmiał się i dołożył sobie ciasta.

Otarłam usta serwetką.

— Faunusie, czy mogę cię o coś zapytać? Faunus pokiwał głową.

— Znaleźliśmy niedaleko szczątki arki. Czy znacie tu opowieść o Noem i jego zwierzętach?

— Och, masz na myśli okręt? Owszem, pewnego dnia ujrzeliśmy u stóp wzgórza statek, z którego wyszły zwierzęta przeróżnych rodzajów. Wiele z nich opuściło nasze ziemie na rzecz waszego świata, inne zostały. Potomkowie niektórych z tych, co odeszły, zapragnęli wrócić. Wpuściliśmy ich, pod warunkiem że dostosują się do naszych zasad. Nikomu nie wolno tu nikogo skrzywdzić.

— Niebawale.

— Owszem, to wspaniale, że tak wiele zwierząt zechciało do nas powrócić. Znalazły tu spokój.

— Tak jak my. Faunusie... jesteśmy tu, bo szukamy czegoś, kamienia nazywanego omfalos. Czy widziałeś go kiedyś?

Sylwany potrząsnęły głowami, a Faunus odparł:

— Nie, obawiam się, że nie znamy takiego kamienia.

— A ogromne drzewo, wysokie na setki metrów? Po chwili zastanowienia Faunus pokręcił głową.

— Nie. Jeśli taki kamień i takie drzewo istnieją, to znajdują się poza naszym królestwem.

— To znaczy, że są w naszym świecie?

— Niekoniecznie. Są inne strony tej krainy, nad którymi nie mamy kontroli. Póki przemierzacie nasze ziemie, pod osłoną naszych drzew, będziecie bezpieczni. Jednak w chwili, gdy opuścicie nasze lasy, nie będziemy mogli was dłużej chronić.

— Rozumiem — odparłam, zawiedziona. Faunus się rozpozgodził.

— Jest jednak sposób, by uzyskać odpowiedzi, których szukacie: przespać się w Sennym Gaju. To dla nas wyjątkowe miejsce. Jeśli dręczą nas trudne pytania lub potrzebujemy życiowych wskazówek, śpimy tam, a gdy przyśni nam się odpowiedź lub obrazy z przy-

szłości, uświadamiamy sobie, że nasze pytanie wcale nie było takie ważne.

— Czy i my moglibyśmy spróbować?

— Oczywiście! Zaprowadzę was tam.

Na drugim końcu stołu rozbrzmiały podniecone głosy.

— Jakie to szczęście, że odwiedziliście nas właśnie teraz! Jedno z drzew właśnie pęka! — oświadczył Faunus, po czym objaśnił: — Kel-sey, Kishanie, chodźcie za mną, a będziecie świadkami narodzin leśnej nimfy.

Kishan wziął mnie za rękę, a Faunus poprowadził nas w stronę drzewa za jedną z chatek, przy którym zebrała się już cała wioska. Wszyscy cicho nucili jakąś melodię.

— Te drzewa są starsze niż wasz Noe z łodzią pełną zwierząt. Narodziło się z nich wiele pokoleń nimf. Za każdą z chatek stoi rodzinne drzewo. To znaczy, że wszyscy mieszkańcy domku narodzili się z drzewa, które za nim rośnie. Już czas. Spójrzcie na pozostałe drzewa.

Popatrzyłam na liściastą altanę nad naszymi głowami. Rzeczywiście wyglądało to, jakby wszystkie drzewa ścisnęły za rękę to, które właśnie napinało się z wysiłku.

Drzewo zatrzeszczało głucho, a jego liście zdrząły.

Wszystkie nimfy wpatrywały się w spore wybrzuszenie w pniu pod jedną z niższych gałęzi. Drzewo zaczęło się trząść. Przez kilka pełnych napięcia minut przysłuchiwalismy się dobiegającemu z jego wnętrza głuchemu rumorowi i obserwowaliśmy, jak pień to rozszerza się, to kurczy tak wolno, że gdybym nie zwracała na to uwagi, w ogóle nie zauważyłabym ruchu. Dolny konar odłamał się od potężnego pnia z głośnym trzaskiem.

Nimfy ucichły. Konar zwisał luźno, trzymając się jedynie na skrawku kory i dotykając ziemi niedaleko naszych stóp. Z miejsca, w którym podstawa gałęzi jeszcze przed chwilą wyrastała z pnia, wystawała teraz srebrna główka.

Grupka nimf podeszła i zaczęła gruchać łagodnie nad drobnym stworzonkiem spoczywającym w szczelinie. Wzięły je delikatnie na ręce i owinęły w kocyk. Jedna z nimf uniosła niemowlę w powietrze i oznajmiła:

— To chłopiec! — Zniknęła z nim w chatce, a cała polana rozbrzmiała głośnym aplauzem. Kilka nimf ostrożnie oderwało drżącą gałąź i natarło rozdartym pień kremowym balsamem. Potem wszyscy zaczęli tańczyć wokół drzewa, a elfy podfrunęły w górę korony i rozświetliły ją swoimi drgającymi skrzydełkami.



Uroczystość dobiegła końca. Było późno. Gdy Faunus odprowadzał nas ku Sennemu Gajowi, zapytałam:

— Wiemy już, skąd się biorą nimfy. Ale co z elfami? Czy one również rodzą się z pni drzew?

Nasz gospodarz się roześmiał.

— Ależ nie. Elfy rodzą się w pączkach róż. Każdy z nich ma skrzydełka w kolorze kwiatu, z którego powstał.

— Czy leśny ludek jest nieśmiertelny?

— Nie, ale żyjemy bardzo długo. Kiedy przedstawiciel leśnego ludku umiera, składamy jego ciało wśród korzeni drzewa, z którego się narodził. Jego wspomnienia stają się częścią następnych pokoleń. Elf umiera tylko wtedy, gdy umrze jego kwiat. Żyją długo, ale budzą się tylko wieczorami. W ciągu dnia odpoczywają w kielichach kwiatów, a ich ciała zmieniają się w poranną rosę. Ale, ale, oto dotarliśmy do Sennego Gaju.

Faunus przywiódł nas w ustronne miejsce, które wyglądało jak baśniowy apartament dla nowożeńców. Wśród wysokich drzew zwieszało się z pnączy uplecione z liści łóże. Z każdego z jego czterech rogów zwisały kosze pachnących kwiatów. Pościel była lekka, jakby utkana z pajęczych nici, pnączy i liści. Lecące za nami elfy zajęły miejsca w latarenkach.

— Cztery duże drzewa, tworzące baldachim, rosną na cztery strony świata.

Najlepsze sny pojawiają się wtedy, gdy tył głowy skierowany jest na zachód, tak że śpiący po przebudzeniu spogląda na wschód słońca. Powodzenia i dobrej nocy — powiedział Faunus, po czym uśmiechnął się i zniknął, zabierając ze sobą dwa świetliki.

— Hmm, to dość niezręczna sytuacja — stwierdziłam z wahaniem. Kishan wpatrywał się w łóżko jak w śmiertelnego wroga. Zwrócił się w moją stronę i złożył pełen galanterii ukłon.

— Nie przejmuj się, Kelsey. Będę spał na ziemi.

— No tak. Ale... ee... co jeżeli to tobie ma się przyśnić odpowiedź?

— Sądzisz, że ma znaczenie, czy leży się w łóżu czy nie?

— Nie mam pojęcia, ale myślę, że na wszelki wypadek powinniśmy położyć się w nim razem.

Kishan zeszywniał.

— W porządku, ale śpimy plecami do siebie.

— Umowa stoi.

Pierwsza wgramoliłam się na łóże i weszłam pod miękką pościel. Łóżko ugięło się pode mną jak hamak. Kishan położył plecak na ziemi, mruczając coś pod nosem.

Dotarły do mnie tylko urywki zdań:

„księżniczka elfów”, „jak niby mam spać w takich warunkach”, „lepiej, żeby Ren to docenił” i tak dalej, i tak dalej. Zduśliłam wybuch śmiechu i ułożyłam się na boku.

Kishan nakrył mnie, a potem poczułam, jak łożę zakołysało się po raz drugi.

Lekki wietrzyk rozwiał mi loki i usłyszałam, jak Kishan mamrocze poirytowany:

— Trzymaj włosy po swojej stronie, Kelsey. Łaskoczą mnie.

— Wybacz. — Roześmiałam się.

Odgarnęłam włosy do przodu. Kishan jeszcze chwilę gadał coś pod nosem o granicach męskiej wytrzymałości, wierząc się przy tym lekko. Bardzo szybko zasnęłam i całą noc śnił mi się Ren.

W pierwszym śnie nie poznał mnie i odwrócił się, obojętny. W kolejnym był szczęśliwy i roześmiany. Znów byliśmy razem, tulił mnie i szeptał, że mnie kocha.

Przyśniły mi się długi płonący sznur i naszyjnik z czarnych pereł. W innym śnie pływaliśmy razem pod wodą, otoczeni ławicami kolorowych ryb.

Choć wszystkie te sny były niezwykle wyraziste, ani razu nie ujrzałam omfalosa.

Obudziłam się rozczarowana i stwierdziłam, że leżę nos w nos z Kishanem.

Obejmował mnie ramieniem, a jego głowa spoczywała na moich włosach, przygważdżając mnie do łoża.

Odepchnęłam go.

— Kishanie, Kishanie! Obudź się.

Na wpół sennie przyciągnął mnie do siebie.

— Cśś, śpij dalej. Jeszcze nie rano.

— A właśnie, że rano — odparłam, szturchając go w żebra. — Czas wstawać. No już!

— W porządku, kochanie, ale najpierw mnie pocałuj. Mężczyzna potrzebuje motywacji, by wstać z łóżka.

— Tego rodzaju motywacja raczej sprawi, że nie wstanie. Nie mam zamiaru cię całować. A teraz rusz się wreszcie!

Książę ocknął się gwałtownie i nieprzytomnym gestem przetarł oczy.

— Kelsey?

— Owszem, Kelsey. A kto ci się przyśnił? Durga? Kishan znieruchomiał i zamrugał powiekami.

— Nie twoja sprawa. Ale skoro już chcesz wiedzieć, to przyśnił mi się omfalos.

— Naprawdę? Gdzie on jest?

— Nie potrafię tego opisać, będę musiał ci pokazać.

— Dobrze. — Zeskoczyłam z łoża i poprawiłam suknię.

Kishan popatrzył na mnie i stwierdził:

— Wyglądasz teraz jeszcze ładniej niż wczoraj wieczorem. Parsknęłam śmiechem.

— Aha, jasne. Ciekawe dlaczego to tobie przyśnił się omfalos.

— Być może zaprzętały cię inne pytania.

Otworzyłam usta z niemądrym wyrazem twarzy. Miał rację. Przed snem w ogóle nie myślałam o kamieniu. Byłam skupiona wyłącznie na Renie.

Kishan przyglądał mi się z zaciekawieniem.

— A co się tobie przyśniło, Kells?

— Nie twoja sprawa.

Książę zmrużył oczy i zmarszczył brwi, urażony.

— Nieważne, zapomnij, że pytałem. Zresztą chyba potrafię się domyślić.

Ruszyliśmy w stronę wioski. Po chwili Kishan zatrzymał się i biegiem wrócił do Sennego Gaju.

— Zaraz będę z powrotem. Zapomniałem o czymś! — zawołał przez ramię.

Kiedy mnie dogonił, uśmiechał się od ucha do ucha, ale choć bardzo się starałam, nie zdołałam go namówić, by zdradził mi powód swojego zadowolenia.

## KRAINA KOSZMARÓW

Zjedliśmy śniadanie w wiosce. Gospodarze podarowali nam nowe ubrania: lekkie koszule, szarozielone, połyskujące spodnie i wygodne wysokie buty podbite pluszem. Spytałam, czy są uszyte ze skóry, ale łagodny leśny ludek nie miał pojęcia, o czym mówię. Gdy im wytłumaczyłam swoje pytanie, nasi gospodarze wyglądali na wstrząśniętych i odparli, że w ich kraju nie krzywdzi się zwierząt. Dodali, że wszystkie materiały są tkane przez elfy i że na całym świecie nie ma równie delikatnej i pięknej tkaniny.

Przyznałam im rację. Usłyszałam również, że gdy podróżując przez ich krainę, rozwiesimy stroje na noc na gałęzi, elfy wyczyszczą nam je i naprawią.

Podziękowaliśmy nimfom za ich dary i z przyjemnością dokończyliśmy wyborne śniadanie. W pewnej chwili pojawił się przy nas Faunus z niemowlęciem na ręku. — Zanim ruszycie w drogę, mamy do was prośbę. Rodzina tego dziecka prosi, żebyście nadali mu imię.

— Jesteś pewien? — rzuciłam z niedowierzaniem. — A jeśli imię im się nie spodoba?

— Każde, jakie wybieriecie, sprawi im zaszczyt.

Zanim zdążyłam zaprotestować, Faunus ułożył mi niemowlę w ramionach. Z fałd miękkiego kocyka spoglądała na mnie para małych zielonych oczu. Chłopiec był piękny. Zakołysałam go delikatnie i cicho zaszczebotałam. Dotknęłam palcem jego noska i mięci utkiego puszkę na głowie. Dziecko, znacznie bardziej ruchliwe niż ludzkie niemowlę, wyciągnęło rączkę i pociągnęło mnie za włosy.

Kishan nachylił się, delikatnie wyjął mój lok z zaciśniętej piąstki i odgarnął mi go za ramię. Gdy wyciągnął rękę, żeby dotknąć dłoni malucha, ten chwycił go za palec.

Kishan się roześmiał.

— Ma mocny uścisk.

— Rzeczywiście. — Spojrzałam na niego. — Chciałabym nadać mu imię po twoim dziadku: Tarak.

Złote oczy księcia zaśmiały się.

— Dziadek ucieszyłby się, wiedząc, że ma imiennika.

Powiedziałam Faunusowi, jak chcę nazwać dziecko. Nimfy zaczęły wznosić radosne okrzyki. Tarak ziewnął sennie. Jego nowe imię najwyraźniej nie zrobiło na nim wrażenia, dalej spokojnie ssał kciuk.

Kishan objął mnie i szepnął mi do ucha:

— Rędziesz dobrą matką, Kelsey.

— Na razie jestem raczej ciocią. Proszę, twoja kolej.

Podaliśmy mu dziecko. Książę ułożył stworzonko w zgięciu ramienia i przemówił do niego cicho w swoim ojczystym języku. Poszłam się przebrać i uczesać. Gdy wróciłam, Kishan kołysał śpiącego chłopca w ramionach, w zamyśleniu wpatrując się w jego twarz.

— Gotowy do drogi?

Spojrzał na mnie z pełną czułości miną.

— Chyba tak. Pozwól tylko jeszcze, że i ja się przebiorę.

Oddał dziecko rodzinie i zanim się oddalił, musnął palcem mój policzek i się uśmiechnął. Jego dotyk był słodki i pełen wahania. Kiedy wrócił, pożegnaliśmy się ze wszystkimi, wzięliśmy plecak, w którym znajdowały się teraz moja zielona sukienka, kilka miodowników oraz pękata butelka nektaru, i ruszyliśmy na wschód. Kishan wyglądał na człowieka, który wie, dokąd zmierza, kroczył więc przodem. Często łapałam go na tym, że zerka na mnie z dziwnym uśmiechem. Po godzinie marszu spytałam:

— Co się dziś z tobą dzieje? Zachowujesz się jakoś inaczej.

— Doprawdy?

— Tak. Powiesz mi, o co chodzi?

Kishan zawahał się przez dłuższą chwilę, po czym westchnął:

— Jeden z moich snów był o tobie. Leżałaś na łóżku, podparta na łokciu. Byłaś piękna i roześmiana. Trzymałaś w ramionach ciemnowłosego chłopczyka. Mówiłaś na niego Anik. To był twój syn.

— Och... — To wyjaśniało, czemu tak dziwnie na mnie spoglądał. — Czy... był ze mną ktoś jeszcze?

— Tak, ale go nie widziałem.

— Rozumiem.

— On był do nas podobny, Kelsey. To znaczy... ten chłopiec był synem Dhirena albo... moim.

Co takiego? Czyżbym się przesłyszała? Wyobraziłam sobie uroczonego malucha z błękitnymi oczami Rena, które nagle zmieniły kolor i stały się złote jak pustynia w Arizonie. Nerwowo przygryzłam wargę. Niedobrze. Czy to możliwe, że Ren nie przeżyje? Że w przyszłości będę z Kishanem? Wiem, co Kishan do mnie czuje, ale nie mogę sobie wyobrazić, że to jego bym wybrała. A może nie będę miała innego wyjścia? Muszę to wiedzieć!

— A czy, ee... czy widziałeś oczy dziecka?

Kishan zamilkł na chwilę, bacznie przyjrzał się mojej twarzy, po czym odparł:

— Nie. Spało. Miało zamknięte oczy.

— Och — mruknęłam i znów ruszyłam przed siebie. Kishan mnie zatrzymał i położył mi rękę na ramieniu.

— Spytałaś mnie kiedyś, czy chciałbym mieć dom i rodzinę. Nie sądziłem, że kiedykolwiek tego zapragnę, skoro nie mogę tego mieć z Yesubai, ale kiedy cię tak zobaczyłem w swoim śnie, z tym maleńkim dzieckiem... stwierdziłem, że chcę. Chcę jego i chcę... ciebie. Widziałem go i czułem dumę. Pragnę takiego życia, i to bardzo, Kells. Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Pokiwałam głową bez słowa i przez chwilę zakłopotana uciekałam wzrokiem.

— Czy chcesz opowiedzieć mi o którymś z twoich snów? — zapytał Kishan.

Pokręciłam głową, obracając w palcach rąbek koszuli.

— Nie. Raczej nie.

Kishan burknął coś i ruszył przed siebie.

Dziecko? Zawsze chciałam być mamą, założyć rodzinę, ale nigdy nie wyobrażałam sobie, że dwóch facetów - i to braci — będzie walczyć o moje względy. Jeśli Ren z jakiegoś powodu nie przeżyje... nie! Nie mogę tak myśleć. Ren przeżyje! Zrobię wszystko, co się da, żeby znaleźć Lokesha. Żadne niebezpieczeństwa mnie nie powstrzymają.

Maszerowaliśmy całe popołudnie, z krótkimi przerwami na odpoczynek. Wyznanie Kishana nie dawało mi spokoju. Nie chciałam sprawiać mu przykrości. Po mojej głowie kołatało się mnóstwo pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Na końcu języka miałam słowa, których jednak nie odważyłam się wypowiedzieć. Co za okropna sytuacja!

Moje serce krzychało, że pragnie Rena, lecz rozum przypominał mi, że nie zawsze dostajemy to, czego pragniemy. Chciałam na przykład znów mieć rodziców, co było niemożliwe. Myśli kotłowały mi się w głowie, lecz gdy wypływały na powierzchnię, pękały i obracały się w nicość jak bańki powietrza we wrzącej wodzie.

Nie mówiliśmy wiele poza okazjonalnymi „uważaj na pieniek” albo „zaraz wejdiesz w kałużę”. Czułam się niezręcznie, jakby Ki-shan oczekiwał ode mnie czegoś, czego nie byłam w stanie mu dać.

W końcu dotarliśmy do łańcucha wzgórz i zajrzeliśmy w mroczną jamę niedużej jaskini u stóp jednego z nich.

— Świetnie. Kolejna jaskinia. Nie mam z nimi dobrych doświadczeń.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił mnie Kishan. — Zaufaj mi, Kells.

— Skoro tak twierdzisz... Prowadź!

Do naszych uszu dotarło jakieś bzyczenie, które wzmagało się, im dalej wchodziliśmy w głąb groty. Ryło ciemno. Wyjęłam latarkę i omiotłam nią otaczające nas ściany. Do wnętrza jaskini wpadało zaledwie kilka smug światła, rozjaśniających spoczywające na ziemi kamienie i wyrastające z niej wąskie filary. Nagle coś otarło się o moją twarz. Pszczoły! W jaskini roiło się od pszczoł. Ściany oblepione były plastrami miodu, zupełnie jakbyśmy się znaleźli w ogromnym ulu. Na podwyższeniu leżał płaski kamień z otworem pośrodku.

— Omfalos!

Jedna z pszczoł usiadła mi na dekolcie i mnie użądliła.

— Au! — Trzepnęłam owada dłonią.

— Cśś, Kells. Nie hałasuj. Musimy poruszać się powoli i po cichu.

— Spróbuję.

Pszczoły krążyły wokół nas z wściekłym bzyczeniem. Musiałam się z całych sił powstrzymać, żeby nie wymachiwać szaleńczo rękami. Kilka owadów usiadło mi na ubraniu, ale wyglądało na to, że ich żądła nie są w stanie przebić elfiej tkaniny. Poczułam ukłucie na nadgarstku i schowałam dłonie w rękawach. Podeszłam do kamienia i zajrzałam w jego otwór.

— Nic się nie dzieje — powiedziałam.

— Spróbuj użyć swojej mocy.

Spojrzałam na niego. Pszczoły pokasały go w twarz, jedna z brwi puchła. Wyjęłam dłonie z rękawów i skrzywiłam się, czując, jak pszczoła spaceruje mi po ramieniu.

Położyłam ręce na kamieniu z obu

stron i spróbowałam zebrać w sobie moc. Ogniste ciepło wystrzeliło z moich dłoni prosto w powierzchnię głazu. Kamień zrobił się żółty, potem pomarańczowy, a w końcu jasnoczerwony. Usłyszałam dobiegający z niego syk i poczułam opary gazu. Wnętrze jaskini wypełnił dym. Pszczoły jęły poruszać się coraz wolniej. Raz po raz któraś zasypiała w powietrzu i opadała na ziemię ze stłumionym plaśnięciem.

— Być może będziesz musiała zaciągnąć się oparami, jak te wieszczki, o których opowiadał pan Kadam.

— W porządku. Uwaga...

Nachyliłam się i wciągnęłam dym w płuca. Nagle zobaczyłam gwiazdy i cała jaskinia wypełniła się kolorami. Sylwetka Kishana wydłużyła się i zniekształciła. A potem wciągnęła mnie potężna wizja. Kiedy się ocknęłam, byliśmy znów na zewnątrz, a Kishan smarował mi ślady po ugryzieniach jakąś zielonkawą mazią, której fetor przeniknął moje włosy, ubranie i wszystko dookoła.

— Faj! Coś okropnego! Co to jest? Kishan pokazał mi słońce.

— Sylwany podarowały nam to, kiedy im powiedziałem, że znajdziemy się w siedlisku pszczół. Wprawdzie nigdy nie słyszały o pszczołach, które żądają, ale używają tej maści, gdy wiatr połamie drzewa. Uznały, że powinna zadziałać.

— Kiedy im powiedziałeś, że idziemy do jaskini pszczół?

— Kiedy się przebierałaś. Sylwany wyjaśniły mi, że jaskinia znajduje się poza granicami ich królestwa.

— Paskudny zapach.

— Ale jak się czujesz?

— Całkiem dobrze. Maść jest chłodna i kojąca.

— Myślę, że jakoś wytrzymamy jej woń.

— Chyba tak.

— Udało ci się? Widziałaś drzewo?

— Tak. Widziałam drzewo, cztery domy i coś jeszcze.

— Co takiego?

— Miałaś rację, w rajskim ogrodzie rzeczywiście mieszka wąż. Dokładnie rzecz ujmując, wokół pnia drzewa owinięty jest ogromny wąż, który strzeże go przed intruzami.

— Czy ten wąż to demon?

Po chwili zastanowienia odparłam:

— Nie. To po prostu bardzo duży gad, który wykonuje zadanie, jakie przed nim postawiono. Wiem, jak tam dotrzeć. Chodź za mną. Po drodze obmyślimy dalszy plan działania.



— W porządku. Daj mi jeszcze chwilę.

Powiedziawszy to, sięgnął do słoika z mazią i zaczął nacierać sobie szyję. Zdjął koszulę, żebym mogła dosięgnąć czerwonych śladów po ukąszeniach na jego piersi i plecach. Bardzo szybko przesunęłam się do tyłu, żeby nie widział, że oblałam się rumieńcem. Staralam się załatwić to jak najszybciej, ale trudno było nie zauważyć, jak gładka i ciepła jest jego brązowa skóra.

W końcu stanęłam przed nim, odgarnęłam mu włosy z twarzy i nasmarowałam zieloną mazią jego policzki i czoło. Nad górną wargą miał duży, opuchnięty ślad po użądleniu. Dotknęłam go delikatnie.

— Boli?

Przesunęłam wzrok z jego ust na oczy. Patrzył na mnie tak, że natychmiast się zaczerwieniłam.

— Tak — odparł cicho.

Dobrze wiedziałam, że nie mówi o ugryzieniu, więc nie odpowiedziałam. Czulałam na twarzy ciepło jego spojrzenia. Odsunęłam się i zakręciłam słoik, po czym, odwróciwszy się tyłem, poczekałam, aż z powrotem założy koszulę.

— Chodźmy! — Ruszyłam przed siebie, a on po chwili mnie dogonił.

Szliśmy jeszcze dwie godziny, a gdy zaszło słońce, rozbiliśmy obozowisko. Tej nocy Kishan znów poprosił mnie o jakąś historię, opowiedziałam mu więc jedną z legend o Gilgameszu.

— Gilgamesz był bardzo mądrym człowiekiem. Tak mądrym, że znalazł sposób, by zakraść się do królestwa bogów. Dokonał tego w przebraniu, udając, że przybywa z bardzo ważną sprawą. Zadając przebiegłe pytania, odkrył miejsce, gdzie ukrywano ziele wiecznej młodości.

— Co to takiego?

— Nie jestem pewna. Być może były to liście herbaty lub jakaś jadalna roślina. A może rodzaj przyprawy lub narkotyku, jak opium. W każdym razie Gilgamesz je ukradł. Przez cztery dni i noce uciekał przed gniewem bogów, ani razu nie zatrzymując się na odpoczynek. Kiedy bogowie odkryli, że ziele zostało skradzione, wpadli w furję i wyznaczyli nagrodę za schwytanie Gilgamesza. Piątego wieczoru Gilgamesz był już tak zmęczony, że położył się, żeby odpocząć choćby kilka chwil. Kiedy spał, obok przepelzł wąż, który wybrał się na wieczorne polowanie. Wąż natknął się na pachnące ziele, które Gilgamesz ukrył w sakiewce z króliczej skóry. Myśląc, że trafił mu się

łatwy obiad, gad połknął sakiewkę w całości. Następnego ranka Gilgamesz znalazł przy sobie tylko wylinkę. Od tamtego czasu ludzie uważają, że węże mają w sobie element wieczności. Gdy wąż zrzuca skórę, umiera i rodzi się ponownie. Ucichłam. Kishan milczał.

— Nie zasnęłaś tym razem? — spytałam.

— Nie. Podobała mi się twoja opowieść. Spij dobrze, *bilauta*.

— Ty też.

Ale nie mogłam zasnąć. Myśli o dziecku o złocistych oczach sprawiały, że jeszcze długo przewracałam się z boku na bok.

Po dwóch dniach wreszcie odnaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Wiedziałam, że drzewo rośnie w szerokiej dolinie i że dostrzeżemy je, jeśli uda nam się wspiąć pomiędzy dwa bliźniacze szczyty. Dotarliśmy do gór pierwszego dnia, a niemal cały drugi spędziliśmy na wspinaczce. W końcu spojrzeliśmy w dół. Byliśmy tak wysoko, że chmury zasłaniały nam widok. Kiedy wreszcie wiatr zaczął je rozganiać, ujrzeliśmy, że dolinę porasta gęsty las. Drzewa były tak wysokie, że ich czubki niknęły w chmurach. Coś się jednak nie zgadzało. W mojej wizji widziałam tylko jedno drzewo o gigantycznym pniu.

Zaczęliśmy schodzić w stronę doliny. Mniej więcej w połowie drogi, gdy chmury nieco się przeredziły, ze zdumieniem skonstatowałam, że nie patrzę wcale na las, lecz na płataninę gałęzi jednego ogromnego drzewa, wyższego niż otaczające je góry. Kishan przypomniał mi o notatkach pana Kadama, więc wyciągnęłam je z plecaka i zaczęłam czytać.

— Pan Kadam twierdzi, że mamy do czynienia z olbrzymim drzewem, którego korzenie sięgają podziemnego świata, a liście dotykają nieba. Pień ma kilkaset metrów grubości i jest wysoki na kilka kilometrów. Domyślam się, że dotarliśmy do celu.

— Na to wygląda — odparł Kishan.

Weszliśmy w trawiastą dolinę i ruszyliśmy w stronę olbrzymiego pnia. Ponieważ słońce nie zdołało przebić się przez gęstwinę nad naszymi głowami, wokół było ciemno, chłodno i cicho. Wiatr rozwiewał ogromne liście, które trzepotały, uderzając o gałęzie jak sztywne ubrania suszące się na sznurze. Do naszych uszu docierały dziwne, niesamowite odgłosy, skrzypienia i jęki, przez co miałam wrażenie,

że idziemy przez nawiedzony las. Kishan przysunął się bliżej i wyciągnął do mnie rękę. Ujęłam ją z wdzięcznością, starając się ignorować poczucie, że ktoś lub coś nas obserwuje. Kishan wyznał, że również czuje się nieswojo, jakby jakieś dziwne stworzenia przyglądały się nam spośród liści. Spróbowałam się roześmiać.

— Wyobraź sobie rozmiary nimfy, którą wydałoby na świat to drzewo.

Chciałam go rozbawić, ale zrozumiałwszy, że mogłaby to być prawda, oboje z lekkim przestachem spojrzeliśmy w górę.

Kilka godzin później dotarliśmy w końcu do pnia, który rozciągał się jak okiem sięgnąć, niczym ogromna drewniana ściana. Najbliższy konar znajdował się dziesiątki metrów nad nami. Był za wysoko, żeby go dosięgnąć, a nie mieliśmy ze sobą sprzętu wspinaczkowego.

— Proponuję, żebyśmy rozbili tu obóz, a rano ruszyli wzdłuż pnia — powiedział Kishan. — Może znajdziemy niższą gałąź albo obmyślimy sposób, jak wdrapać się na drzewo.

— Dobry plan. Jestem wykończona.

W tym momencie usłyszałam trzepot skrzydeł i ze zdumieniem ujrzałam, jak na ziemi niedaleko naszego obozowiska sadowi się kruk. Ptaszysko zakrakało, gwałtownie i z głośnym furkotem zamachało skrzydłami i odleciało. Nie mogłam pozbyć się poczucia, że to zły omen, ale postanowiłam nie przyznawać się do tego Kishanowi.

Gdy Kishan poprosił mnie o kolejną historię, opowiedziałam mu o czymś, co wyczytałam w jednej z książek od pana Kadama.

— Nordycki bóg Odyn miał dwa kruki, Huginą i Muniną. Ponieważ kruki znane są ze swych złodziejskich skłonności, Odyn wysyłał je w świat, żeby dla niego kradły.

— Co takiego mu przynosiły?

— A, to jest właśnie ciekawe. Hugin kradł myśli, a Munin wspomnienia. Rano Odyn wysyłał je w świat, a wieczorem ptaki wracały, przysiadły mu na ramionach i szeptały do ucha skradzione myśli i wspomnienia. W ten sposób Odyn wiedział o wszystkim, co działo się w głowach ludzi.

— Takie ptaki byłyby bardzo przydatne w czasie wojny. Mogłyby przewidzieć posunięcia wroga.

— Właśnie. Tak postępował Odyn. Pewnego dnia zdrajca schwytał Muniną. Kiedy Hugin wrócił ze swoim sprawozdaniem, Odyn natychmiast zapomniał to, co ptak wyszeptał mu do ucha. Nieprzyjaciel podkradł się nocą i pokonał Odyna. Od tego czasu ludzie prze-

stali wierzyć w bogów. Ta legenda to jeden z powodów, dla których spotkanie z krukami uważane jest za zły omen.

— Czyżbyś się bała, że kruk skradnie twoje wspomnienia, Kells? — zapytał Kishan.

— W tej chwili moje wspomnienia to najcenniejsze, co mam. Zrobiłabym wszystko, żeby je chronić, ale nie, nie boję się kruka.

— Ja przez wiele lat gotów byłem dać wszystko, żeby pozbyć się wspomnień.

Zdawało mi się, że gdy wyrzucę z pamięci to, co się wydarzyło, wreszcie będę mógł zacząć żyć.

— Ale chyba nie chciałbyś zapomnieć o Yesubai, tak jak ja nie chciałabym za nic zapomnieć o Renie albo o moich rodzicach. Nawet smutne wspomnienia są częścią tego, kim jesteśmy.

— Hmm. Dobranoc, Kelsey.

— Dobranoc, Kishanie.

Następnego ranka, pakując się, zauważyłam, że nie mam bransoletki z medalionem od Rena. Szukaliśmy wszędzie, ale nie udało nam się jej znaleźć.

— Kells, zniknęły też aparat i miodowniki.

— O nie! Coś jeszcze?

Kishan spojrzał znacząco na moją szyję.

— Co? O co chodzi?

— Nie masz amuletu.

— Co się stało!? Jakim cudem okradziono nas w takim miejscu!? Jak to możliwe, że nie poczułam nic przez sen!? — krzyczałam z przerażeniem.

— Podejrzewam, że to sprawa kruka.

— Ale przecież ta historia nie jest prawdziwa! To tylko legenda!

— Sama mówiłaś, że w mitach tkwi czasem ziarno prawdy. Może to właśnie kruk zabrał nasze rzeczy. Poczulibyśmy coś, gdyby to był człowiek. Ale kiedy śpię, nie zwracam uwagi na ptaki.

— Co teraz zrobimy?

— Jedyne, co możemy zrobić. Będziemy iść dalej. Nadal mamy broń i złoty owoc.

— No tak, ale amulet!

— Wszystko będzie dobrze, Kells. Miałaś wierzyć, pamiętasz?

— Łatwo ci mówić. Nie odebrano ci jedynej podobizny Yesubai. Kishan przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

— Jedyna podobizna Yesubai, jaką kiedykolwiek miałem, to ta w mojej pamięci.

— Wiem, ale...

Kishan ujął mnie pod brodę.

— Masz szansę odzyskać swojego ukochanego. Nie zajmuj się jakimś obrazkiem.

— Masz rację, masz rację. Wiem. Chodźmy.

Ruszyliśmy w lewo wzdłuż pnia, który był tak olbrzymi, że ledwo można było dostrzec w oddali miejsce, gdzie się zakrzywia.

— Co się stanie, kiedy zobaczymy węża, Kells?

— Ten wąż nie jest agresywny. Po prostu pilnuje drzewa. Przynajmniej tak to wyglądało w mojej wizji. Jeśli wąż wyczuje, że mamy należyty powód, żeby przejść, przepuści nas. Jeśli nie, będzie próbował nas zatrzymać.

— Hmm.

Po kolejnej godzinie czy dwóch marszu szłam, przesuwając palcem po powierzchni kory, kiedy nagle poczułam, że pień się poruszył.

— Kishanie! Widziałeś to?

Książę podszedł bliżej i dotknął pnia.

— Nic nie widzę.

— Połóż tu rękę. Widzisz? Faktura kory się zmienia. O, proszę, znowu! Połóż dłoń na mojej. Czujesz?

— Tak.

Kawałek pnia, szeroki na mniej więcej dwa metry, zaczął się poruszać. Kolejny, powyżej, przesunął się w drugą stronę. Te ruchy coś mi przypominały, nie wiedziałam tylko co. Ryłam zagubiona, tak samo jak w chwili, kiedy zdawało mi się, że olbrzymie drzewo to cały las. Poczuliśmy mocny, ciepły podmuch wiatru.

Kishan spojrzał w górę i zamarł.

— Nie ruszaj się, Kelsey.

Wiało coraz gwałtowniej, jakby ktoś z całej siły dął w miechy.

— Co się dzieje? — syknęłam.

Za mną rozległ się głośny szelest. Gałązki trzaskały, liście drżały, skrzypiały konary. Nagle usłyszałam głęboki syk:

— Ssskąd się wzięliście w moim lesie?

Odwrociłam się powoli i ujrzałam wielkie, nieruchome, drapieżne oko.

— Czy to ty pilnujesz drzewa?

— Tak jessst. Co wasss sssprowadza?

Uniosłam wzrok wysoko, wysoko. Dopiero teraz zrozumiałam, na co patrzę. Wokół drzewa owinięty był gigantyczny wąż, dwumetrowe poruszające się fragmenty pnia to było w rzeczywistości jego cielsko, idealnie zakamuflowane na tle kory. Wąż miał łeb wielkości samochodu, ciało zaś zdawało się nie mieć końca. Kishan wyszedł naprzód i wziął mnie za rękę. Zauważyłam, że w drugiej, niby od niechcienia, ściska ćakram.

— Przyszliśmy tu po dar przestworzy, spoczywający na czubku drzewa — oznajmiłam.

— Czemu miałbym wasss przepuścić? Do czego potrzebna wam chusssta?

— A więc dar przestworzy to chusta?

— W rzeczy sssamej.

— Hm. Cóż, będzie nam potrzebna do złamania zaklęcia rzuconego na dwóch indyjskich książąt i ocalenia mieszkańców ich kraju.

— Kim sssą ci książęta?

— To Kishan. Jego brat Ren został porwany.

Olbrzymi wąż, wyciągając i chowając język, spojrział na Kishana, który dzielnie wytrzymał to badawcze spojrzenie. Na jego miejscu rzuciłabym się do ucieczki.

— Nie znam ich. Nie przejdziecie, sss...

Wielka głowa zaczęła się obracać, a ciężkie zwoje węzowego cielska przesunęły się po ziemi. Poczulałam podobny ruch na ramieniu i zawołałam:

— Poczekaj!

Gad zwrócił się w moją stronę i zniżył łeb, by lepiej mi się przyjrzeć. Fanindra rozciągnęła się i przepęzła mi po karku. Podniosła głowę w kierunku węża i kilka razy wysunęła język.

— Kto to jessst?

— Ma na imię Fanindra. Należy do bogini Durgi.

— Durga. Sssłyszałam o niej. A więc to jessst jej wąż?

— Tak. Fanindra pomaga nam w naszej misji. To bogini Durga nas tu przysłała.

Podarowała nam też broń.

— Rozumiem...

Gad przez dłuższą chwilę przyglądał się Fanindrze, jakby zastanawiał się, co zrobić. Wyglądało na to, że oba węże bez słów wymieniają jakieś komunikaty.

— Możecie przejść, sss... Czuję, że nie macie złych zamiarów. Być może odniesiecie sssukcesss. Być może taki jessst wasz loss. Ssspot-kacie na ssswojej drodze cztery domy. Dom ptasssi. Dom tykw. Dom

sssyren. I siedlisssko nietoperzy. Ssstapajcie ossstrożnie. Ssstarannie podejmujcie decyzje. Ukłoniliśmy się.

— Dzięki, strażniku.

— Wszyssstkiego dobrego.

Wąż zarzucił swoim ciężkim cielskiem, tak że drzewo zatrzeszczało głucho. Zwoje, owinięte wokół pnia, zaczęły oddalać się od siebie, ukazując sekretne przejście w głąb drzewa i ukryte w nim schody. Fanindra z powrotem owinęła mi się wokół ramienia i znieruchomiła.

Kishan wkroczył do środka i wyciągnął rękę. Ujęłam jego palce i ruszyłam do przodu. Zdążyłam jeszcze zauważyć, że podłogę pokrywa warstwa trocin, gdy wąż znów się poruszył. Zwoje się zamknęły. Byliśmy uwięzieni w ciemnym wnętrzu olbrzymiego drzewa.

## TEST CZTERECH DOMÓW

Szmaragdowe oczy Fanindry zaczęły lśnić w ciemnościach, zapewniając akurat tyle światła, by Kishan mógł sięgnąć po latarkę. Półtora metra przed nami znajdował się kolejny pień, równie masywny jak ten na zewnątrz — pień w pniu.

Pomiędzy dwiema ścianami pięły się kręte schody. Kishan wziął mnie za rękę i ruszyliśmy w górę. Schody były na tyle szerokie, że mogliśmy iść obok siebie, i wystarczająco głębokie, by zatrzymać się na odpoczynek, a nawet ułożyć do snu. Wdrapywaliśmy się powoli, co jakiś czas przystając, by odsapnąć. Trudno było oszacować, jak wysoko się znajdujemy. Po kilku godzinach stanęliśmy przed czymś w rodzaju drzwi. Były jasnopomarańczowe i gruzłowate. Szorstki, drewniany sęk tkwił dokładnie tam, gdzie powinna znajdować się klamka. Napięłam łuk, a Kishan wznosił w gotowości swój ćakram. Stanął z boku i powoli popchnął drzwi.

Postawiłam stopę na progu i rozejrzałam się ostrożnie. Wewnątrz nie było nikogo. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu pełnym wyciętych w ścianach drewnianych półek. Na półkach i na podłodze zalegały setki tykw o różnych kształtach i kolorach. Wiele z nich miało piękną, wyrafinowaną formę, a oświetlało je migoczące światło świec. Mijaliśmy półkę za półką, podziwiając misterne rzeźbienia i wzory. Niektóre tykwy, pomalowane i natarte oliwą, lśniły jak klejnoty.

Kishan wyciągnął rękę.



— Poczekaj! Na razie niczego nie dotykaj. To test. Musimy postanowić, co robić dalej. Muszę spojrzeć w notatki pana Kadama.

Pan Kadam spisał dla nas trzy strony informacji na temat tykw. Usiedliśmy na wypolerowanej drewnianej podłodze i zaczęliśmy czytać.

— Piszą tu dużo o pochodzeniu tykw i o tym, jak żeglarze szukali nasion, żeby wyhodować z nich konkretne odmiany. — Przewróciłam stronę. - Istnieje mit o łodziach z tykw. Ale chyba też nie o to chodzi.

— Zobacz tu. — Kishan roześmiał się. — Tykwy jako symbol płodności. Chcesz sprawdzić tę informację, Kelsey? Jeśli tak, chętnie zostanę twoim królikiem doświadczalnym.

Na dźwięk jego śmiechu zmrużyłam oczy ze złości i powiedziałam:

— Ha! Możesz sobie pomarzyć. Stanowczo odmawiam. Spojrzałam na kolejną stronę.

— Ta legenda mówi, że wrzucając tykwę do wody, można zwołać morskie węże i potwory. Hm, chyba nie są nam potrzebne.

— A ta? To chiński mit. Głosi, że gdy chłopiec staje się mężczyzną, wybiera tykwę, która będzie go prowadzić przez życie. Każda zawiera w sobie coś innego. Niektóre są niebezpieczne, inne wręcz przeciwnie. W jednej znajduje się nawet eliksir wiecznej młodości. Może nam się poszczęści. Musimy którąś wybrać.

— Ale skąd mamy wiedzieć którą?

— Nie jestem pewien. Chyba musimy po prostu spróbować. Ja pierwszy, a ty uważaj.

Kishan wziął do ręki gładką, gruszkowatą tykwę. Nic się nie wydarzyło. Potrząsnął ją, podrzucił w powietrze, uderzył nią o ścianę... nadal nic.

— Spróbuję ją rozbić. — Cisnął tykwą o ziemię. Ze środka wyleciała gruszka.

— Hej! Mam dla nas lunch.

Chwycił owoc i ugryzł, zanim zdążyłam go przestrzec. Gdy w końcu zwrócił na mnie uwagę, gruszki już prawie nie było. Zignorował moje ostrzeżenia i stwierdził, że owoc był całkiem dobry. Rozbita tykwa rozplynęła się i wsiąkła w podłogę.

— Okej, moja kolej. - Wzięłam do ręki okrągłą tykwę pomalowaną w kwiaty, uniosłam ją nad głowę i cisnęłam o ziemię. Z roztrzaskanej skorupy wypełził z sykiem czarny wąż. Skulił się, gotowy do skoku, i napluł mi na nogę. Zanim zdążyłam podnieść rękę, usłyszałam metaliczny szum i ciekram Kishana wrył się w podłogę

u moich stóp. Głowa węża odpadła od ciała. Po chwili i wąż, i rozbita skorupa wsiąkły w podłogę.

- Hmm, twoja kolej. Może powinniśmy wybierać raczej te gładkie.

Kishan ujął w dłoń tykwę w kształcie butelki, z której wypłynęło coś w rodzaju mleka. Zabroniłam mu je pić, gdyż mogło okazać się czymś zupełnie innym, niż nam się zdawało. Przyznał mi rację, okazało się jednak, że jeśli go nie wypijemy, kolejna tykwa nie pęknie, a ta już rozbita nie zniknie. Kishan wypił więc mleko i ruszyliśmy dalej.

Wybrałam dużą białą tykwę, z której wylało się światło księżyca. W następnej, małej i sękatej, znajdował się piasek. Duża i wąska uraczyła nas piękną muzyką. Z dużej, szarej tykwy, kształtem przypominającej delfina butelkonosego, trysnęła morska woda, prosto na nogę Kishana.

Następna, którą wybrałam, miała kształt łyżki. Kiedy ją rozłamałam, w powietrze wzbił się czarny pył i zaczął unosić się w moim kierunku. Odskoczyłam, ale pył poleciał za mną, prosto do moich ust i nosa. Kishan nie mógł już nic zrobić.

Wciągnęłam pył do płuc i zaczęłam kasłać. Wszystko straciło ostrość. Zakręciło mi się w głowie i runęłam na podłogę. Kishan złapał mnie w ostatniej chwili.

- Kelsey! Ty bledniesz! Jak się czujesz?

- Niezbyt dobrze. To chyba jakaś choroba.

- Lepiej się połóż i odpocznij. Może uda mi się znaleźć lekarstwo. .Zaczęłam się trząść i oblał mnie zimny pot. Kishan gorączkowo roztrzaskiwał o podłogę kolejne tykwy. Z jednej wybiegł skorpion, którego rozgniółł butem. Kolejna była pełna wiatru, trzecia miała w środku rybę, a czwarta małą gwiazdkę, która świeciła tak mocno, że musieliśmy zamknąć oczy i poczekać, aż jej blask przygaśnie i wszystko wsiąknie w ziemię.

Za każdym razem, gdy Kishan znalazł w tykwie jakiś płyn, podbiegał i kazał mi go pić. Napiałam się dziwnego nektaru, zwykłej wody i czegoś w rodzaju gorzkiej czekolady. Odmówiłam wypicia cieczy, która pachniała jak spirytus salicylowy, ale gdy wtarłam ją w skórę, tykwa zniknęła.

Kolejne trzy tykwy zawierały obłok, ogromną tarantulę, którą Kishan kopnął w przeciwległy róg sali, oraz rubin, który wsadził do kieszeni. Robiło mi się już ciemno przed oczami, a Kishan był coraz bardziej przerażony. Z następnej tykwy wypadła dziwna tabletki. Zastanawialiśmy się, czy powinnam ją zażyć. Byłam już bardzo słaba,

kręciło mi się w głowie i oblewał mnie zimny pot. Nie mogłam złapać tchu, a serce waliło mi jak szalone. Zaczęłam panikować i byłam pewna, że jeśli zaraz czegoś nie znajdziemy, umrę. Pogryzłam tabletkę i ją połknęłam. Smakowała jak witamina dla dzieci. Nie poprawiło mi się.

Kolejne dwie tykwy zawierały ser i pierścień. Kishan zjadł ser i wsunął pierścień na palec. Z następnej wylał się biały płyn. Mogła to być trucizna lub lekarstwo, a nawet eliksir wiecznej młodości. Przywołałam Kishana gestem do siebie.

— Wypiję. Pomóż mi.

Kishan uniósł mi głowę, przechylił tykwę i płyn spłynął pomiędzy moje wyschnięte, blade wargi. Przełknęłam słabo. Natychmiast poczułam, jak wraca mi siła.

— Jeszcze.

Jeszcze kilka kropel spłynęło mi do gardła. Smakowały pysznie. Miałam już na tyle siły, by odebrać Kishanowi tykwę. Ujęłam ją w dłonie i wypiałam resztę płynu dwoma haustami. Poczułam się silniejsza niż wtedy, gdy weszliśmy do pomieszczenia.

— Wyglądasz znacznie lepiej, Kells. Jak się czujesz? Wstałam.

— Czuję się świetnie. Silna, wręcz niepokonana.

— To dobrze.

— Hej. A co to?

Odepchnęłam kilka tykw i chwyciłam tę stojącą w głębi, dużą, w kształcie pękatej butelki.

— Na skorupie wyrzeźbiony jest tygrys. Rozbij tę, Kishanie. Wziął ode mnie tykwę i cisnął nią o podłogę. W środku znajdował się zwitek papieru.

— Jak ciasteczko z wróżbą! — Roześmiałam się. — Co tam jest napisane?

— „Ukryte naczynie wskazuje drogę”.

— Ukryte naczynie? Może chodzi o ukrytą tykwę?

— Nietrudno schować tykwę w pokoju pełnym tykw, Kells.

— Racja. Skupmy się na tych z tyłu sali lub pochowanych po kątach.

Zebraliśmy kilkanaście mniejszych sztuk. Najpierw Kishan rozbił swoje, a w środku znalazł: ryż, motyla, ostrą papryczkę, śnieg, ptasie pióro, lilię, kulkę waty, mysz, kolejnego węża, którego zabił — mógł być nieszkodliwy, ale lepiej dmuchać na zimne — oraz dżdżownicę.

Rozczarowana, zajęłam się swoimi tykwami. W pierwszej był kawałek nici, w drugiej dźwięk bębna, w trzeciej zapach wanilii, a w czwartej, kształtem przypominającej małe jabłko — nie było nic. Czekaliśmy przez chwilę, aż wreszcie zaczęliśmy się bać, że znów jedno z nas się rozchoruje. Rozbita tykwa zniknęła jak poprzednie, więc coś musiało się stać.

— To już? Widzisz coś?

— Nie. Cśś, daj mi posłuchać.

— I co? Słyszysz coś? — spytałam po chwili.

— Tak. Coś jest inaczej, chociaż nie potrafię określić co. Poczekaj. Powietrze! Powietrze jest trochę inne niż było. Czujesz to?

-Nie.

— Daj mi minutę.

Kishan ostrożnie obszedł całe pomieszczenie, badając każdy kąt. Położył rękę na jednej ze ścian i przysunął się bliżej, przewracając przy tym kilka tykw, które potoczyły się po ziemi.

— Tu jest przewiew. To chyba drzwi. Pomóż mi przesunąć tykwy. Opróżniliśmy po kolei wszystkie półki na tym fragmencie ściany.

— Tej nie mogę przesunąć. Jest jak przyklejona.

Całkiem mała tykwa wyglądała, jakby wyrastała ze ściany. Ciągnęłam, pchałam, ale nie ustępowała. Kishan cofnął się o krok i parsknął śmiechem. Wciąż z uporem szarpałam małą tykwę.

— O co chodzi? Z czego się śmiejesz?

— Odsuń się na chwilę, Kells.

Odstąpiłam od ściany. Kishan położył rękę na tykwie.

— Nie wiem, czego chcesz dowieść. Zapewniam cię, że jej nie ruszysz.

Kishan przekreślił tykwę, a potem lekko nacisnął.

— To kłamka, Kelsey. — Roześmiał się i popchnął kawałek ściany, który rzeczywiście okazał się drzwiami. Po drugiej stronie dostrzegliśmy kolejne schody, wiodące w górę drzewa.

Książę wyciągnął rękę.

— Idziemy?

— Już nigdy nie spojrzę w ten sam sposób na placek z dyni. Jego śmiech odbił się echem po wnętrzu pnia.

Po kilku godzinach wspinaczki Kishan zarządził odpoczynek.

— Zatrzymajmy się i zjedzmy coś, Kells. Nie mogę dotrzymać ci kroku. Ciekawe, jak długo jeszcze będzie działał ten twój napój energetyczny.

Zatrzymałam się jakieś dziesięć kroków przed nim i poczekałam, aż mnie dogoni.  
— Teraz wiesz, jak się czuję, ganiając wciąż za wami, tygrysami. Kishan prychnął i zsunął plecak z ramion. Rozsiedliśmy się wygodnie na wysokim stopniu. Mój towarzysz otworzył bagaż i wydobyl z niego złoty owoc. Po chwili namysłu uśmiechnął się szeroko i powiedział coś cicho w swoim ojczystym języku. Natychmiast załśnił przed nami talerz. Parujące warzywa pachniały znajomo.

Zmarszczyłam nos.

— Curry? Fuj! Moja kolej.

Zażyczyłam sobie ziemniaki zapiekane w śmietanie, szynkę w wiśniowej glazurze, zieloną fasolkę z migdałami oraz bułki z masłem miodowym. Kishan zazdrośnie zajrzał mi w talerz.

— Może się wymienimy?

— Nie, dzięki. Nie przepadam za curry.

Kishan szybko skończył swój posiłek i raz po raz próbował sprawić, bym rozglądała się za nieistniejącymi potworami, podczas gdy on podkradał z mojego talerza kolejne smaczne kąski. W końcu oddałam mu połowę swojej porcji i zostawił mnie w spokoju.

Po kolejnej godzinie wspinaczki moc wypitego przeze mnie napoju zaczęła słabnąć. Nie miałam siły. Kishan pozwolił mi odpocząć i sam kontynuował poszukiwania następnego domu. Kiedy wrócił, robiłam właśnie zapiski w pamiętniku.

— Znalazłem następne drzwi, Kells. Chodź. Chyba lepiej, jeśli tam odpoczniemy. Kręte schody powiodły nas do chatki porośniętej gęstym bluszczem i pnącymi kwiatami. Ze środka dobiegał perlisty śmiech.

— Tam są ludzie — szepnęłam. — Lepiej bądźmy ostrożni. Kishan skinął głową i odwiązał ćakram od paska, ja zaś napięłam łuk.

— Gotowa?

— Gotowa — wyszeptałam.

Ostrożnie uchylił drzwi. W progu powitały nas najpiękniejsze istoty, jakie kiedykolwiek widziałam. W ogóle nie zwróciły uwagi na to, że jesteśmy uzbrojeni, i zaprosiły nas do swojego domu.

Piękna dziewczyna o długich, gęstych, falujących brązowych włosach, zielonych oczach, miękkiej białej skórze i wiśniowoczerwonych ustach, ubrana w powłóczystą, blad różową suknię, wzięła Kishana pod rękę.

— Biedactwo. Na pewno jesteś zmęczony po długiej podróży. Wejź do środka. Wykąpiesz się i odpoczniesz.

— Kąpiel brzmi wspaniale - odparł Kishan jak zahipnotyzowany. Dziewczyna nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Patrzyła tylko na Kishana. Głaskała go po ramieniu i mruzczała mu do ucha coś o miękkich poduszkach, gorącej wodzie i wyśmienitej stawie. Po chwili dołączyła do niej druga. Ryła niebieskooką blondynką, ubraną w migotliwą srebrną szatę.

— Chodź z nami — powiedziała. — Tu odnajdziesz spokój. Zaczęły odwozić ode mnie Kishana. Zaprotestowałam. Książę odwrócił się. Już, już miał do mnie wrócić, kiedy podeszła do nas kolejna piękna postać. Tym razem był to mężczyzna. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był opalony, umięśniony, nagi od pasa w górę, błękitnooki i jasnowłosy. I nie zwracał uwagi na nikogo poza mną.

— Witaj w naszym domu. Moje siostry i ja rzadko miewamy gości. Rylibyśmy zachwyceni, gdybyś zgodziła się zostać na trochę. -Uśmiechnął się, a ja mimowolnie oblałam się rumieńcem.

— Ymm... to bardzo miło z waszej strony — wydukałam.

Kishan spojrział na nieznanego, marszcząc brwi, ale wystarczyło, że dziewczęta z wdziękiem zatrzepotały rzesami, żeby na powrót odciągnąć jego uwagę.

— Ee, Kishanie, chyba nie powinniśmy...

Zza kotary wyłonił się drugi młodzieniec, jeszcze przystojniejszy niż pierwszy. Miał ciemne włosy i oczy oraz niezwykle pociągające usta, które wydał i powiedział:

— Na pewno nie możesz z nami zostać? Tylko na chwilę. Tak bardzo pragniemy towarzystwa. — Tu westchnął dramatycznie. — Jedyne, co nas zajmuje, to nasz księgozbiór.

— Macie tu książki?

— Owszem. - Piękny adonis uśmiechnął się i podał mi ramię. -Czy pozwolisz, bym ci go pokazał?

Kishan zdążył już zniknąć w towarzystwie kobiet, postanowiłam więc rzucić okiem na księgozbiór. Uznałam, że w razie niebezpieczeństwa zawsze mogę cisnąć w kogoś piorunem.

Riblioteka rzeczywiście okazała się imponująca i zawierała wiele z moich ukochanych książek. Właściwie, to przyjrzawszy się bliżej, stwierdziłam, że znam je wszystkie. Mężczyźni poczęstowali mnie przekąskami.

— Proszę, spróbuj tych babeczek. Są fantastyczne, nasze siostry to wspaniałe kucharki.

— Och... Ee... nie, dziękuję. Kishan i ja dopiero co jedliśmy.

— W takim razie może masz ochotę nieco się odświeżyć?

— Macie tu łazienkę?

— Oczywiście. Jest tam, za kotarą. Mamy również prysznic. Pociągnij za tamto długie pnące, a z liści spłynie woda. Przygotujemy ci strawę i wygodne łóżko.

— Dziękuję.

Najwyraźniej trafiliśmy do domu syren. Łazienka na szczęście była prawdziwa, skorzystałam więc z okazji, żeby się umyć i przebrać. Gdy wyłoniłam się zza kotary, odkryłam, że czeka na mnie złocista suknia, podobna do tych, które miały na sobie piękne gospodynie. Ubranie, w którym tu przybyłam, nadal było podarte, rozwiesiłam je więc z nadzieją, że w drzewie mieszkają elfy, w zamian zaś przywdziałam złotą suknię.

Zaczęłam po cichu czytać notatki pana Kadama na temat syren. Przejrzałam wzmianki o syrenach w *Odysei* oraz mit o Jazonie i argonautach. Znałam już te historie, ale pan Kadam zadbał o informacje na temat morskich nimf oraz wodnych boginek występujących w baśniach. Te postacie to jednak raczej nimfy drzewne niż wodne. „Zachowują piękno i młodość do śmierci...” bla bla bla. „Potrafią latać i prześliznąć się przez najmniejszą dziurkę”. Hmm, to coś nowego. „Żyją niezwykle długo... Czasem są niewidzialne... Wyjątkowe pory to dla nich południe i północ”. Hmm... Północ wkrótce nadejdzie. „Bywają niebezpieczne, doprowadzają do utraty zmysłów, udarów, odbierają mowę, potrafią zacczarować”.

Ciche pukanie do drzwi sprawiło, że poderwałam się gwałtownie.

— Słucham?

— Czy jesteś już gotowa?

— Prawie.

Szybko przejrzałam resztę notatek i wsunęłam papiery z powrotem do plecaka. Dwóch pięknych młodzieńców stało tuż za drzwiami, wpatrując się we mnie jak para węży obserwujących ptasie gniazdo.

— Ymm, przepraszam.

Wśliznęłam się pomiędzy nich, przeszłam na drugi koniec pokoju i usiadłam na czymś, co wyglądało jak wielka miękka sofa pokryta delikatnym futerkiem.

Mężczyźni natychmiast otoczyli mnie z obu stron.

Jeden z nich lekko szturchnął mnie w ramię.

— Jesteś strasznie sztywna. Połóż się i rozluźnij. Sofa dostosuje się do kształtu twojego ciała.

Nie przyjęli mojej odmowy i popchnęli mnie do tyłu, delikatnie, lecz stanowczo.  
— Tak, rzeczywiście jest mi bardzo wygodnie. Dziękuję. Ee... a gdzie Kishan?  
— Jaki Kishan?  
— Mężczyzna, z którym tu przybyłam.  
— Nie zauważyliśmy żadnego mężczyzny - odparł jeden z młodzieńców.  
— Trudno było cokolwiek zauważyć, gdy ty się tu zjawiałaś - dodał drugi.  
— O tak, zgadzam się. Jesteś cudowna — dorzucił jego brat. Jeden z młodzieńców zaczął głaskać mnie po ramieniu, podczas gdy drugi masował mi barki. Wskazali na stojący przed nami stół, zastawiony smakołykami.  
— Czy zechcesz spróbować kandyzowanych owoców? Są wyśmienite.  
— Nie, dziękuję. Na razie nie jestem głodna.  
Mężczyzna, który mnie masował, zasypał mój kark pocałunkami.  
— Masz niezwykle delikatną skórę.  
Próbowałam usiąść prosto, ale on popchnął mnie z powrotem na sofę.  
— Rozluźnij się. Jesteśmy tu po to, by dbać o twoją przyjemność. Drugi podniósł wysoki, wąski kieliszek z jakimś musującym czerwonym płynem.  
— To sok z bzu.  
Wręczył mi kieliszek, ujął mnie za drugą dłoń i zaczął całować moje palce. Oczy zaszyły mi mgłą. Zamknęłam je na chwilę, skupiając uwagę na dotyku warg całujących moją szyję i ciepłych dłoni na ramionach. Ciało przeszył mi dreszcz rozkoszy, chciwie pragnęłam więcej. Jeden z mężczyzn pocałował mnie w usta, ale jego pocałunek dziwnie smakował. Coś było nie tak. Za to masaż był bardzo przyjemny. Młodzieniec przesunął dłonie w stronę mojego karku i zaczął okrężnymi ruchami jeździć po nim kciukiem.  
— Nie — wymamrotałam słabo i odepchnęłam ich od siebie, na próżno jednak. Czulałam niewyraźne laskotanie w tyle głowy, jakby kołatało mi się po niej coś, czego usiłowałam się złapać. Coś, co pozwoliłoby mi odzyskać zmysły. W końcu zrozumiałam, co to takiego: Ren! To Ren zawsze w ten sposób masował mnie po karku. Wyobraziłam sobie jego twarz. Na początku była nieostra, ale gdy zaczęłam w myślach wymieniać cechy, które w nim kocham, obraz stał się wyraź-



niejszy. Pomyślałam o jego włosach, oczach, o tym, jak trzymał mnie za rękę. O tym, jak leżał z głową na moich kolanach, kiedy mu czytałam. O jego zazdrości, o miłości do naleśników z masłem orzechowym i o tym, jak zamówił lody brzoskwińowe, bo kojarzyły mu się ze mną. Usłyszałam jego głos: „*Main tumse mohabbat karta hun, iadala*”.

— *Mudźhe tumse pjar hai*, Ren — wyszeptałam.

Nagle pękła bańka, która mnie otaczała, i wyprostowałam się gwałtownie. Mężczyźni z niezadowoleniem odsunęli wargi i próbowali pociągnąć mnie z powrotem. Zaczęli cicho śpiewać jakąś melodię. Poczułam, że znów tracę ostrość widzenia, więc zanuciłam piosenkę, którą napisał dla mnie Ren, a potem wyrecytowałam jeden z jego wierszy. Wstałam. Młodzieńcy zaczęli mnie namawiać, bym coś zjadła i napiła się jeszcze soku z bzu. Odmówiłam. Próbowali pociągnąć mnie z powrotem na miękkie łóżko. Nie dawałam się, choć błagali i kusili. Komplementowali moje włosy, uszy, moją piękną suknię. Biadolili, że jestem ich pierwszym gościem od tysiący lat i jedyne, czego pragną, to spędzić trochę czasu w moim towarzystwie.

Odmówiłam twardo, uparcie twierdząc, że muszę już ruszać w drogę. Mężczyźni nie dawali za wygraną i pociągnęli mnie z powrotem na sofę. Wyrwałam się i chwyciłam łuk. Rłykawkicznie napięłam go i wycelowałam. Bracia cofnęli się, jeden z nich obronnym gestem podniósł rękę. Spojrzeli po sobie, komunikując się bez słów, a potem smutno potrząsnęli głowami.

— Uczynilibyśmy cię szczęśliwą. Zapomniałabyś przy nas o problemach.

Kochalibyśmy cię.

Pokręciłam głową.

— Kocham kogoś innego.

— Z czasem stalibyśmy ci się drodzy. Potrafimy zastąpić wszystkie myśli uczuciem namiętności i rozkoszy.

— Nie wątpię — odparłam sarkastycznie.

— Jesteśmy samotni. Nasza ostatnia towarzyszka umarła setki lat temu. Kochaliśmy ją.

— Tak, kochaliśmy — wtrącił się drugi. — Odkąd nas spotkała, nie zaznała smutku.

— Ale jesteśmy nieśmiertelni, a jej życie zbyt szybko się skończyło.

— Tak. Musimy znaleźć kogoś, kto nam ją zastąpi.

— Cóż, chłopcy, bardzo mi przykro, ale ja nie zamierzam być waszą — tu przełknęłam ślinę — waszą zniewoloną kochanką. A poza tym, ja wcale nie chcę zapomnieć.

Obaj mężczyźni przyglądali mi się przez dłuższą chwilę.

— Niech tak będzie. Możesz iść.

— A co z Kishanem?

— On sam musi dokonać wyboru.

To powiedziawszy, młodzieńcy zakręcili się wokół własnej osi, zmienili w dwie smużki dymu i zniknęli. Kiedy wróciłam do łazienki po swoje ubranie, stwierdziłam z zachwytem, że jest czyste i naprawione.

Wzięłam plecak i przeszłam do sąsiedniego pokoju. Zamiast kuszącego buduaru ujrzałam proste, puste wnętrze. Otworzyłam drzwi, wyszłam na zewnątrz i znów znalazłam się na krętych schodach wewnątrz gigantycznego drzewa. Drzwi zamknęły się za mną i zostałam sama.

Przebrałam się z powrotem w elfie szatki i zaczęłam się zastanawiać, kiedy i czy w ogóle dołączy do mnie Kishan. Na miękkim łóżu w domu syren z pewnością śpi się lepiej niż na twardych drewnianych stopniach.

Roześmiałam się cierpko. Gdybym tam została, pewnie miałabym lepsze rzeczy do roboty niż sen. Podziękowałam w myślach Renowi za ocalenie przed syrenimi kawalerami. Byłam wykończona. Zwinęłam się w kłębek w śpiworze i zasnęłam.

W środku nocy poczułam lekkie szturchnięcie w ramię. Kishan.

- Hej.

Wsparłam się na łokciu i ziewnęłam.

— Kishan? Co tak późno?

— Wierz mi, nie było łatwo się uwolnić.

- Wiem, o czym mówisz. Ja musiałam nastraszyć ich łukiem, żeby zostawili mnie w spokoju. Właściwie to dziwię się, że tak szybko się stamtąd wydostałeś. Ja musiałam pomyśleć o Renie, żeby wyzwolić się spod ich wpływu. A ty? O czym pomyślałeś?

- Porozmawiamy o tym później, Kells. Jestem zmęczony.

- Dobrze. Dobranoc. Proszę, weź mój pled. Wpuściłabym cię do śpiwora, ale na razie mam dość mężczyzn.

- Całkowicie cię rozumiem. Dzięki. Dobranoc, Kells.

Rano, po przebudzeniu, zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy się i znów ruszyliśmy w górę. Nad naszymi głowami rozjarzyło się jasne światło. Ściany pnia się rozwarły i wyszliśmy na zewnątrz. Cieszyły mnie promienie słońca, ale już po chwili przywarłam kurczowo do drzewa, starając się nie patrzeć w dół.

Kishan przeciwnie, był zafascynowany tym, jak wysoko weszliśmy. Nie było widać ziemi, a kiedy spuścił w dół kawałek drewna, nie doszedł do nas żaden odgłos.

Olbrzymie gałęzie były tak szerokie,

że moglibyśmy spacerować po nich ramię w ramię, nie obawiając się, że spadniemy. Kishan co jakiś czas wchodził na którąś z nich, zwiedzając okolice. Ja jednak trzymałam się tak blisko pnia, jak to było możliwe.

Po kilku godzinach powolnej wspinaczki zatrzymałam się przed ciemnym otworem, wiodącym z powrotem w głąb pnia. Poczekalam, aż Kishan mnie dogoni, i razem weszliśmy do środka. Ta część drzewa była ciemniejsza, a w powietrzu unosiła się wilgoć. Po ścianach spływała woda, a powierzchnie były tu szorstkie i pełne drzazg. Nasze głosy odbijały się dookoła głośnym echem.

- Wygląda, jakby drzewo było martwe, jakby ktoś je zniszczył -powiedziałam.

- Rzeczywiście. Podłoga jest przegniła. Trzymaj się możliwie blisko ściany.

Mmeło kilka minut. Schody skończyły się czarną dziurą, na tyle dużą, by się przez nią prześliznąć.

- Nie ma innej drogi. Wchodzimy?

- Będzie trudno.

- W takim razie pozwól, że pójde pierwsza i rozejrzę się trochę -zapropnowalam. -  
Jeśli dalej nie ma przejścia, bez sensu, żebyś gramolił się do środka. Wtedy pomyślimy, co robić dalej.

Kishan przystał na mój plan, odebrał mi plecak i podał latarkę. Podsadził mnie i wcisnęłam się w otwór. Szłam na czworakach, aż korytarz zrobił się zbyt wąski. Jedyne, co mogłam zrobić, to wstać i zacząć przeciskać się bokiem. Po chwili sufit obniżył się, więc znów skuliłam się tuż przy ziemi. Drewno było tu skamieniałe. Z góry zwisał duży odłamek, blokujący część korytarza. Przeczolgałam się pod nim i znalazłam się w dużej pieczarze. Czulałam się, jakbym przemierzyła z trzydzieści metrów, choć w rzeczywistości było ich pewnie niecałe dziesięć. Uznałam, że Kishan z trudem, ale jednak przecisnie się do środka.

- Spróbuj przejść! — zawołałam.

Czekając na niego, zauważyłam, że podłoga w tym miejscu przypomina gąbkę. To pewnie dlatego, że drewno gnije, pomyślałam. Ściany pokrywała jakaś substancja, wyglądająca jak wysuszona brązowa musztarda. Usłyszałam nad głową trzepot skrzydeł i dziwny ni to skrzek, ni to pisk. Hm, pewnie jest tam jakieś gniazdo. Dźwięki odbijały się echem wewnątrz pieczary, coraz głośniejsze i bardziej niepokojące.

- Ee, Kishanie? Pośpiesz się!

Uniosłam latarkę, ale nic nie dostrzegłam. Czułam jednak ruch powietrza, zupełnie jakby w ciemnościach kotłowało się stado ptaków. Coś musnęło mnie w ramię i oddaliło się z gwałtownym łopotem. Jeśli to był ptak, to z pewnością duży.

— Kishan!

— Zaraz będę.

Słyszałam, jak czołga się na brzuchu. Już prawie przecisnął się do środka. Coś — albo kilka „cosiów” — znów zbliżyło się do mnie z łopotem skrzydeł. Pomyślałam, że może to wielkie ćmy. Zgasiłam latarkę, by je zniechęcić, i patrzyłam, jak Kishan prześlizguje się przez dziurę. Najpierw zobaczyłam plecak, a potem jego głowę. Nagle przestraszył mnie przenikliwy odgłos tuż nade mną. Ostre, zakrzywione palce chwyciły mnie za ramiona. Krzyknęłam. Uścisk zacieśnił się, usłyszałam gwałtowne bicie skrzydeł i głośny pisk. Obce szpony uniosły mnie w powietrze.

Kishan szybko przeczołgał się przez otwór i złapał mnie za nogę, ale tajemnicze stworzenie było silniejsze. Usłyszałam krzyk Kishana:

— Kelsey!

Odpowiedziałam mu, ale echo zniekształciło moje słowa. Byłam już bardzo wysoko, lecz wciąż dostrzegałam w dole jego sylwetkę. Wkrótce otoczyli nas pobratymcy mojego porywacza i wchłonęła mnie skrzecząca, trzepocząca, drżąca masa ciepłych ciał. Od czasu do czasu czułam na skórze musnięcie futra, dotknięcie skórzanej błony lub drapnięcie pazurów.

Stworzenie zwolniło, zawisło w powietrzu i rozluźniło szpony. Zanim zdążyłam krzyknąć, z łomotem wylądowałam na pupie. Sięgnęłam po latarkę. Bałam się rozglądać, ale ciekawość zwyciężyła. Włączyłam latarkę i spojrzałam w górę. Z początku nie rozumiałam, na co patrzę. Widziałam tylko masę czarnych i brązowych ciał. Potem zrozumiałam, że to nietoperze. Olbrzymie nietoperze. Stałam na drewnianej półce, dziesiątki metrów nad ziemią. Błyskawicznie przywarłam z powrotem do ściany.

Kishan z przerażeniem wykrzykiwał moje imię.

— Nic mi nie jest! — zawołałam. — Nie zrobiły mi krzywdy! Jestem tu, na górze!

— Trzymaj się, Kells! Już do ciebie idę!

Nietoperze obserwowały wysiłki Kishana dużymi, czarnymi ślepiami. Masa ciał była w ciągłym ruchu. Niektóre przełaziły po towarzyszach, by zyskać lepsze miejsce. Inne trzepotały skrzydłami,

by po chwili owinać je ciasno wokół tułowia. Jeszcze inne kołysały się w przód i w tył. Niektóre jadły, inne spały. Były bardzo hałaśliwe i obserwując nasze poczynania, porozumiewały się między sobą serią pyknięć, mlaśnieć i kłaskań. Kishan wspinał się po ścianie, ale wkrótce dotarł do miejsca, gdzie stracił wszelkie punkty zaczepienia i musiał się wycofać. Kilka razy próbował dotrzeć do półki, na której tkwiłam, ale bezskutecznie. Po szóstej próbie stanął obok otworu, przez który dostaliśmy się do pieczary, i zawołał:

— To niemożliwe, Kells! Nie wejść tam!

Już, już otwierałam usta, żeby mu odpowiedzieć, kiedy olbrzymi nietoperz przemówił:

— On myśli, że to niemożliwe — zapiszczał, machając skrzydłami. — Możliwe, tygrysiu, możliwe!

— Skąd wiesz, że to tygrys? — spytałam.

— Wiidziimy go! Słyszimy. Ma rozszczepioną duszę.

— Rozszczepioną duszę? Jak to?

— Ciierpii. Kiiedy zagoń się rana... ocalii cię.

— Ocali mnie, kiedy zagoi się rana? Ale jak do tego doprowadzić?

— On jest jak my! Pół człowiek, pół tygrys. My jesteśmy pół ptaki, pół ssaki.

Półwki muszą się spotkać. On musi przyjąć swojego tygrysa.

— Ale jak sprawić, żeby dwie półwki połączyły się w jedno?

— Musi się nauczyć.

Właśnie miałam zadać kolejne pytanie, kiedy w pieczarze nastąpiło jakieś poruszenie. Kilka nietoperzy wzbilo się w powietrze i zaczęło fruwać z miejsca na miejsce. Wydawane przez nie dźwięki odbijały się od ścian rytmicznym stukotem. Wibracje były tak silne, że czułam je na skórze.

Wkrótce wrośnięte w ściany kamyki zaczęły delikatnie świecić. Im dłużej nietoperze wydawały swoje odgłosy, tym światło było jaśniejsze. W końcu pieczara została całkowicie oświetlona.

— Swiatło zgaśnie, kiiedy skończy się czas. On musi zdążyć. Musi skorzystać z człowieka i tygrysa. Powiedz mu.

— Dobrze — odparłam, po czym zawołałam do Kishana: — Nietoperze chcą, żebyś użył obu części swojej natury i dotarł do mnie, zanim zgasną światła. Mówią, że musisz zaakceptować swojego wewnętrznego tygrysa!

Teraz, gdy w pieczarze panowała jasność, stało się oczywiste, że nie będzie to łatwe zadanie. Z ziemi wyrastał rząd nacieków,

przypominających stalagmity, ale z płaskimi czubkami. Były zbyt szeroko rozstawione, by człowiek mógł przeskoczyć z jednego na drugi, ale wydawało się to możliwe dla tygrysa. Kishan zadarł głowę, spojrzął na mnie, wyrzucił ćakram w powietrze, zmienił się w czarnego tygrysa i dał susa. Był szybki. Wstrzymując oddech, patrzyłam, jak przeskakuje z jednego wąskiego stożka na drugi, nie zatrzymując się nawet, by złapać równowagę. Wydałam stłumiony okrzyk przerażenia, wiedząc, że każdy skok mógł oznaczać śmierć. Przy ostatnim Kishan źle wymierzył odległość i skoczył za daleko. Wbił pazury w skamieniałą drewnianą krawędź, dziko wymachując ogonem, by złapać równowagę.

Zmienił się w człowieka, złapał ćakram i znów cisnął go w powietrze. Czubek stalagmitu miał bardzo małą powierzchnię, tak małą, że Kishan ledwo się na nim mieścił. W pobliżu nie było żadnego występu, na który mógłby przeskoczyć, nawet jako tygrys. Rozglądał się przez chwilę, rozmyślając nad następnym ruchem. Nietoperze obserwowały go wielkimi oczami, mrugając co chwilę. Światło zaczęło przygasać. Im ciemniej się robiło, tym bardziej niebezpieczna była przeprawa. Wiedziałam, że Kishan widzi w ciemności lepiej ode mnie, lecz droga była zdradliwa. Podjął decyzję, przykucnął, zmienił się w tygrysa i skoczył. Nie miał gdzie wylądować.

— Kishan! Nie! — wrzasnęłam.

W pół skoku zmienił się w człowieka i spadł w dół. Położyłam się na brzuchu, żeby zerknąć poza krawędź mojej wąskiej półki, i odzyskałam dech, ujrzawszy go, zwisającego z długiego pnącza. Powoli wdrapywał się po nim na górę, ręka za ręką, a jednak wciąż był za daleko. Złapał ćakram i trzymając go w zębach, rozhuścił się, aż dosięgnął wystającego fragmentu w ścianie. Wdrapał się na niego i przez chwilę odpoczywał na płytkim występie.

Oceniwszy swoje położenie, chwycił kolejne pnącze i skoczył. Wykonał serię skomplikowanych akrobatycznych numerów, co najmniej trzy razy zmieniając się z człowieka w tygrysa i z powrotem. W pewnej chwili rzucił się w powietrze, trzymając lianę, odepchnął się nogami od przeciwległej ściany i skierował w moją stronę, chwytając kolejne pnącze. Gdy zbliżał się do mnie, zrozumiałam, że liana jest zbyt krótka i że zabraknie mu co najmniej trzech metrów. Chciałam zamknąć oczy, ale wiedziałam, że jedyne, co mogę teraz dla niego zrobić, to patrzeć, jak ryzykuje dla mnie życie. Kishan przeleciał z powrotem do przeciwległej ściany. Tym razem, gdy dotknął jej

stopami, chwycił pnącze w zęby, szybko zmienił się w tygrysa, i odepchnął się silnymi tylnymi łapami. Znow przybrał ludzką postać i poleciał tak daleko, jak się dało, po czym puścił pnącze. Wywinął fikołka w powietrzu, zmienił się w tygrysa i wyciągnął łapy w stronę półki, na której siedziałam. Zatopił pazury w skamieniałym drewnie u moich stóp, a ćakram wbił się w występ kilka centymetrów od mojej dłoni. Tygrysie łapy zmieniły się w ludzkie ręce.

— Kishan!

Chwyciłam go za koszulę na plecach i pociągnęłam z całej siły. Książę przeturlał się po powierzchni półki i leżał obok mnie przez kilka minut, dysząc ciężko.

Światła zgasły.

— Wiidziisz? Zrobił to.

Kishanowi trzęsły się ramiona, a ja otarłam łzę z twarzy.

— Tak. Udało mu się — powiedziałam cicho.

Kishan usiadł, a ja przytuliłam go mocno i pocałowałam w policzek. Przez chwilę trzymał mnie w objęciach i nie chciał puścić. Wreszcie niechętnie oderwał się ode mnie i odgarnął mi włosy z twarzy.

— Przykro mi, że nie wziąłem plecaka — powiedział.

— Nic nie szkodzi. Z plecakiem nie dałbyś rady.

— Przyniiesiemy go!

— Szkoda, że nie przyniosłyście Kishana — mruknęłam ironicznym tonem.

— Musiał przejść test. Zrobił to.

Jeden z nietoperzy sfrunął w dół, chwycił plecak i spuścił go prosto w moje ręce.

— Dziękuję. — Dotknęłam ramienia Kishana. - Nic ci się nie stało?

— Wszystko w porządku. — Tjśmiechnął się szeroko. — Po dłuższym namyśle stwierdzam, że w zamian za prawdziwy pocałunek mógłbym to zrobić jeszcze raz. Wymierzyłam mu lekkiego kuksańca.

— Pocałunek w policzek powinien ci wystarczyć, nie uważasz? Kishan odburknął coś pod nosem.

— Co dalej?

— Weźmiemy was — przemówił jeden z nietoperzy.

Dwa nietoperze opadły w powietrze i rozłożyły skrzydła. Zaczęły bić nimi gwałtownie, unosząc się do góry, i zawisły nad nami. Potem spuściły się powoli.

Pazurzaste łapy złapały mnie za ramiona i ścisnęły.

— Nie ruszajcie się — usłyszałam.

Gwałtownie trzepocząc skrzydłami, nietoperze wystartowały, unosząc nas wyżej i wyżej. Nie była to zbyt przyjemna jazda, ale z pewnością zaoszczędziła nam kilku godzin wspinaczki. Sądziłam, że nietoperze poniosą nas prosto w górę, one jednak zataczały powolne koła wewnątrz pnia.

W końcu wokół zaczęło się robić coraz jaśniej i dostrzegłam szeroką szczelinę w ścianie, przez którą przezierały pomarańczowe smugi słonecznego światła.

Poczułam na skórze chłodny powiew wiatru, a stęchlą woń pleśni, amoniaku i spalonych cytrusów zastąpił świeży zapach żywego drzewa. Nasi skrzydlaci towarzysze przelecieli przez otwór z łopotem skrzydeł i ostrożnie usadzili nas na gałęzi. Konary były tu cieńsze, ale nadal wystarczająco mocne, by utrzymać nas oboje. Udzieliwszy nam ostatniej przestrogi („Bądźcie ostrożni”), nietoperze wróciły do wnętrza drzewa. Zostaliśmy sami.

— Hej, Kells, rzuć mi plecak. Chciałbym zdjąć te czarne ciuchy i włożyć buty. Podałam mu plecak i odwróciłam się plecami.

— Szkoda, że przez te wszystkie przemiany straciłeś swój elfi strój. Na szczęście pan Kadam uparł się, by zapakować ci kilka par butów.

— Ee, Kells? Ubranie od elfów jest w plecaku.

— Co? - Odwróciłam się i ujrzałam Kishana nagiego od pasa w górę. Natychmiast popatrzyłam w inną stronę.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem. To pewnie magia elfów. A teraz się odwróć, chyba że chcesz patrzeć, jak się przebieram.

Czerwona ze wstydu obróciłam się szybko.

Słońce już zachodziło. Postanowiliśmy zjeść kolację i odpocząć. Byłam wyczerpana, ale bałam się spać na gałęzi, nawet dwa razy szerszej od dwuosobowego łoża.

Przycupnęłam na samym środku konaru.

— Boję się, że spadnę.

— Jesteś zmęczona. Musisz odpocząć.

— Nie zasnę tu.

— Będę cię trzymał. Nie spadniesz.

— A jeśli ty spadniesz?

— Koty nie spadają z drzew, chyba że chcą. Chodź tutaj. - Kishan objął mnie ramieniem, drugim służąc mi za poduszkę. Nie sądziłam, że zdołam zasnąć, a jednak się udało.



Gdy obudziłam się następnego ranka, ziewnęłam, przetarłam zaspane powieki i zobaczyłam Kishana, który przyglądał mi się uważnie. Jednym ramieniem obejmował mnie w talii, drugie wciąż tkwiło pod moją głową.

— Nie spałeś?

— Drzemałem.

— Dawno się obudziłeś?

— Jakaś godzinę temu.

— Czemu mnie nie szturchnąłeś?

— Potrzebowałam odpoczynku.

— Och. Dziękuję, że nie pozwoliłeś mi spać. Przyglądał mi się przez chwilę.

— Kells? Chcę ci coś powiedzieć.

— Co? — Obróciłam się na bok i spojrzałam mu w oczy. — O co chodzi?

— Jesteś... jesteś dla mnie bardzo ważna.

— Ty dla mnie też.

— Nie. Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że... czuję... i chyba niebezpiecznie... że moglibyśmy stać się dla siebie ważni.

— Ale ty już jesteś dla mnie ważny.

— No tak, lecz ja nie mówię o przyjaźni.

— Kishan...

— Czy naprawdę nie ma choćby najmniejszej szansy, żebyś mnie pokochała? Zupełnie nic do mnie nie czujesz?

— Oczywiście, że tak. Ale...

— Ale co? Czy gdyby nie Ren, mogłabyś ze mną być? Czy mógłbym stać się kimś, na kim by ci zależało?

Położyłam mu rękę na policzku.

— Kishanie, zależy mi na tobie. To jasne, że coś do ciebie czuję. Kocham cię. Książę uśmiechnął się i nachylił nade mną. W głowie rozbrzmiał mi sygnał alarmowy. Odsunęłam się i poczułam, jakbym spadała w otchłań. Kurczowo chwyciłam go za rękę.

Kishan przywrócił mnie do pionu i bacznie przyjrzał się mojej twarzy. Z pewnością zauważył na niej wyraz paniki, zrozumiał też bez wątpienia, że nie była ona spowodowana utratą równowagi.

Powściągnął emocje, odsunął się nieco i szepnął:

— Nigdy nie pozwolę ci upaść, Kells.

Wiedziałam, że niezbyt dobrze radzę sobie z tą sytuacją, ale najlepsze, co mogłam zrobić, to powiedzieć:

— Wiem o tym.

Kishan puścił mnie i zaczął przygotowywać śniadanie.

Znów ruszyliśmy po schodach w górę. Wąskie stopnie wiły się na zewnątrz drzewa. Pień był tu znacznie cieńszy i okrażenie go zajmowało nam około pół godziny. Po kilku przerażających godzinach wędrówki po schodach, których stopnie wciąż malały, natrafiliśmy na linę zwisającą z czegoś, co wyglądało jak domek na drzewie. Uważałam, że powinniśmy iść dalej, Kishan jednak chciał wspiąć się po linie. W końcu zgodził się pójść ze mną, pod warunkiem że jeśli po trzydziestu minutach wspinaczki nigdzie nie dojdziemy, wrócimy tu. Nasza dyskusja okazała się jednak pozbawiona sensu, gdyż po pięciu minutach drogi schody zmieniły się w duże sęki, które stopniowo nikły w pniu.

Ruszyliśmy więc z powrotem w stronę liny.

— Chyba nie mam na tyle siły w ramionach, żeby się po niej wspiąć — powiedziałam.

— Nie martw się. Ja mam dość siły na nas oboje.

— Co dokładnie masz na myśli?

— Zobaczysz.

Gdy dotarliśmy do liny, Kishan wziął ode mnie plecak i założył go, po czym skinął na mnie dłonią.

— Co takiego?

Książę gestem nakazał, bym stanęła przed nim.

— Co niby mam robić?

— Obejmij mnie za szyję i wsuń nadgarstki w górne ucho plecaka.

— W porządku, tylko bez numerów. Mam straszne łaskotki. Kishan wziął mnie na rękę, co sprawiło, że jego twarz znalazła się bardzo blisko mojej. Uniósł brew.

— Gdybym chciał zrobić ci jakiś numer, to wierz mi, nie po to, żeby cię rozśmieszyć.

Zachichotałam nerwowo, ale on nie stracił powagi.

— No dobrze. Ruszajmy już.

Poczułam, jak napinają się jego mięśnie, gdy gotował się do skoku, ale zanim się ruszył, jeszcze raz na mnie spojrzął. Jego wzrok powędrował w stronę moich ust. Nagle nachylił się i poczułam w ich kąciku jego ciepły, miękki pocałunek.

— Kishan!

— Wybacz. Nie mogłem się powstrzymać, widząc, że nie masz dokąd przede mną uciec. Poza tym masz usta stworzone do całowania. Powinnaś się cieszyć, że powstrzymałem się od tego, na co naprawdę miałem ochotę.

— Masz szczęście.

Kishan dał susa. Pisnęłam z przestachu, a on zaczął wspinać się po linie. Przesuwał się w górę, co jakiś czas wspierając stopy na wystających konarach, które łapał czasem jedną ręką, by odzyskać równowagę.

Przez cały czas bardzo uważał, żeby nie zrobić mi krzywdy. Poza tym, że bujaliśmy się setki, a może i tysiące metrów nad ziemią, a każdy skok z gałęzi sprawiał, że żołądek wywijał mi salto, czułam się całkiem komfortowo. Właściwie, to nawet nieco zbyt komfortowo, zważywszy, że cały czas byłam mocno przytulona do Kishana. Najwyraźniej mam słabość do mężczyzn w typie Tarzana.

Gdy wreszcie znaleźliśmy się przed wejściem do domku, Kishan wdrapał się po linie jeszcze trochę wyżej i poczekał, aż ostrożnie odcepię się od jego szyi. Gdy wgramoliłam się do domku, odepchnął się nogami od krawędzi i wleciał do środka, lądując stylowo na belkach podłogi. Najwyraźniej świetnie się bawił.

— Na miłość boską, przestań się popisywać. Czy ty w ogóle rozumiesz, jak wysoko się znajdujemy i że w każdej chwili możemy spaść i roztrzaskać się o ziemię? Zachowujesz się, jakby to była kapitalna przygoda.

— Nie mam pojęcia, jak wysoko zaszliśmy — odparł Kishan. — Ale owszem, dobrze się bawię. Lubię być człowiekiem i lubię twoje towarzystwo. — Objął mnie w talii i przyciągnął do siebie.

— Hmm — mruknęłam, po czym natychmiast się odsunęłam. Nie mogłam go winić za radość z bycia człowiekiem przez cały czas, nie wiedziałam jednak, jak zareagować na drugą część jego wypowiedzi, milczałam więc. Usiedliśmy na drewnianej podłodze domku i zajrzeliśmy do notatek pana Kadama. Przeczytaliśmy je dwa razy i czekaliśmy, jednak nic się nie wydarzyło. Powinniśmy byli dotrzeć do siedziby ptaków, nie widzieliśmy jednak ani jednego.

Przyszło mi do głowy, że nie jesteśmy tam, gdzie mieliśmy dojść. Powoli zaczął ogarniać mnie gniew.

— Halo! Jest tu kto? — Mój głos odbił się echem po pomieszczeniu.

W odpowiedzi usłyszałam trzepot skrzydeł i jakiś skrzeczący odgłos. W kącie dostrześliśmy ukryte gniazdo, z którego spoglądała na nas para kruków.

Nawoływały się dziwnym stukotem z głębi gardeł. Wkrótce opuściły swoją żerdź i zaczęły krążyć po wnętrzu domku, wykonując powietrzne akrobacje. Chwilami latały nawet do góry nogami.

Z początku nie zauważyłam, że z każdym okrążeniem coraz bardziej się do nas zbliżały. Kishan ujął ćakram i wznosił go do góry jak nóż.

Powstrzymałam go gestem i lekko pokręciłam głową.

— Poczekajmy i zobaczymy, co zrobią. Czego od nas chcecie? — spytałam.

Ptaki wylądowały kilkadziesiąt centymetrów od nas. Jeden z nich wykręcił łeb, spojrział na mnie lśniącem okiem i powoli zaczął się przysuwać, to wystawiając, to chowając czarny język.

— Nasecie? — powtórzył szorstkim, ochrypłym głosem.

— Rozumiecie mnie?

Ptaki zaczęły kiwać głowami, co jakiś czas nieruchomiejąc, by wyczyścić piórka.

— Co to za miejsce? Kim jesteście?

Kruki przybliżyły się nieco w podskokach. Jeden z nich powiedział:

— Hugn.

Mogłabym przysiąc, że od drugiego usłyszałam:

— Munan.

Spojrzałam na nie z niedowierzaniem.

— Nazywacie się Hugin i Munin?

Znów pokiwały czarnymi łepkami i zbliżyły się o kilka centymetrów.

— Czy to wy ukradłyście moją bransoletkę? Ptasie głowy zaczęły poruszać się w górę i w dół.

— I amulet? — odezwał się Kishan. Znów potwierdzenie.

— W takim razie chcemy je dostać z powrotem. Możecie sobie zatrzymać miodowniki. Zresztą pewnie i tak już je zjadłyście.

Ptaki zakrakały ochryple, kłapnęły dziobami i zatrzepotały skrzydłami. Nastroszyły pióra, przez co wyglądały na większe niż w rzeczywistości.

Założyłam ręce na piersi.

- Nie chcecie oddać nam naszych rzeczy, co?

Kruki niepewnym, tanecznym krokiem podeszły bliżej i wskoczyły mi na kolano, co wywołało natychmiastową reakcję Kishana. Musnęłam ręką jego ramię.

- Jeśli to naprawdę Hugin i Munin, które szeptały skradzione myśli do ucha boga Odyna, to może przemówią, kiedy usiądą nam na ramionach.

Najwyraźniej miałam rację, bo gdy tylko lekko przechyliłam głowę, jeden z ptaków zamachał skrzydłami i wleciał mi na ramię. Przysunął dziób do mojego ucha i delikatnie coś z niego wyciągnął, nie poczułam jednak bólu.

- Co robisz?

- Myślitkneły.

- Co takiego?

- Myślitkneły.

Pociągnął jeszcze raz. Wtem rozległo się ciche klaśnięcie, a Hugin zeskoczył na podłogę, trzymając w dziobie coś w rodzaju śluzowatej, poplątanej nici.

Zakryłam ucho dłonią.

- Co ty zrobiłeś? Ukradłeś część mojego mózgu? Będę miała uszkodzony mózg?

- Myślitkneły!

- Co to znaczy?

Śluzowata nić powoli rozpląnęła się w powietrzu, a ptak zaklekotał dziobem.

Wpatrywałam się w niego z szeroko otwartymi ustami, z przerażeniem zastanawiając się, co mi zrobił. Czy ukradł jedno z moich wspomnień? Zaczęłam gorączkowo przypominać sobie wszystkie ważne rzeczy. Szukałam dziury, pustki. Jeśli jednak ptak rzeczywiście ukradł mi wspomnienie, nie miałam pojęcia, co to mogło być.

Kishan dotknął mojej dłoni.

- Wszystko w porządku? Jak się czujesz?

- Dobrze, tylko... - zaczęłam i w tym momencie w mojej głowie zaszła jakaś zmiana.

Coś się działo. Coś przesunęło się po powierzchni mojego umysłu jak gumowa ściągaczka po namydlonej

szybie. Czułam, jak warstwa niezrozumienia, myślowego bałaganu i — z braku lepszego określenia — brudu odpada niczym martwy naskórek po oparzeniu słonecznym. Zupełnie jakby do tej chwili pory mojej świadomości były zatkane przez chaotyczne lęki, zmartwienia i ponure myśli. Przez moment widziałam wszystko idealnie ostro i przejrzyście. Wiedziałam, że jesteśmy już bardzo blisko celu. Ze chusty strzegą zajadłe istoty. Wiedziałam też, do czego zdolna jest owa chusta. W tamtej chwili wiedziałam, jak ocalić Rena. Munin skakał przed Kishanem, czekając na swoją kolej.

— W porządku, Kishanie! Pozwól mu usiąść sobie na ramieniu. Nie skrzywdzi cię, wierz mi.

Książę spojrział na mnie z powątpiewaniem, a mimo to posłusznie przechylił głowę na bok. Zafascynowana patrzyłam, jak Munin z łopotem ląduje mu na ramieniu. Nie złożył skrzydeł i wciąż nimi łopocąc, zagłębił dziób w uchu Kishana.

— Czy Munin robi z Kishanem to samo co ty ze mną? — spytałam Hugina.

Ptaka potrząsnął głową i przestąpił z nogi na nogę. Zaczął czyścić piórka.

— W takim razie na czym polega różnica?

— Czekaj.

— Mam czekać? Ptak skinał łepkiem.

Munin zeskoczył na podłogę, trzymając w dziobie delikatne czarne pasmo rozmiarów dżdżownicy. Otworzył dziób i połknął je.

— Uh... to rzeczywiście wyglądało inaczej. Kishanie? Co się stało? Wszystko w porządku?

— Nic mi nie jest — odparł Kishan cicho. — On... on mi wszystko pokazał.

— Co ci pokazał?

— Moje wspomnienia... w najdrobniejszych detalach. Zobaczyłem jeszcze raz wszystko, co się zdarzyło. Widziałem siebie z Yesubai, rodziców, Kadama, Dhirena... wszystko. Z jedną dużą różnicą.

Wziął mnie za rękę.

— O czym ty mówisz? Z jaką różnicą?

— To czarne pasmo, które widziałaś... trudno to wyjaśnić. Jakby Munin zdjął mi z oczu ciemne okulary. Zobaczyłem wszystko takim, jakie było naprawdę, z zupełnie innego punktu widzenia. Jakbym obserwował swoje życie z boku.

— Czy twoje wspomnienia się zmieniły?

— Nie, po prostu... są bardziej przejrzyste. Teraz wiem, że Yesu-bai była uroczą dziewczyną, której na mnie zależało, ale ktoś inny kierował jej uczuciami. Nie kochała mnie tak, jak ja kochałem ją. Bała się ojca. Była mu całkowicie posłuszna, ale i rozpaczliwie pragnęła się od niego uwolnić. Skończyło się na tym, że zginęła z jego ręki. Jak mogłem nie dostrzec jej strachu? - mówił dalej, pocierając szczękę. - Dobrze go ukrywała. Lokesh wykorzystał jej uczucia do mnie. Powinienem być od początku przejrzeć jego zamiary, ale byłem ślepy, beznadziejnie zadurzony. Jak mogłem wcześniej tego wszystkiego nie dostrzegać?

— Czasami miłość sprawia, że zachowujemy się jak szaleńcy.

— A ty? Co ty zobaczyłaś?

— Tb było mniej więcej tak, jakby ktoś poodkurzał mi w mózgu.

— Poodkurzał?

— Posprzątał. Moje myśli są czyste, tak samo jak twoje wspomnienia. Wiem już, jak zdobyć chustę i co wydarzy się dalej.

— Co się wydarzy?

— Powiem ci po drodze, ale najpierw...

Podskoczyłam i złapałam gniazdo wciśnięte w kąt pod sufitem. Ptaki zaczęły podrygiwać, skrzecząc z rozdrażnieniem. Podfrunęły do mnie i biły skrzydłami tuż przy mojej twarzy.

— Przykro mi, ale to tylko wasza wina. To wy oczyściłyście mi umysł. Poza tym to nasza własność. Potrzebujemy tych rzeczy.

Wyjęłam z gniazda aparat, bransoletkę i amulet. Kishan zapiął mi bransoletkę i łańcuszek, a potem wetknął aparat do plecaka. Ptaki spoglądały na mnie nadąsane.

— Może damy wam coś w zamian? - zaproponowałam.

Kishan wyciągnął z plecaka haczyk na ryby, pałeczkę fluorescencyjną oraz kompas i złożył je w gnieździe. Odłożyłam gniazdo na miejsce, a ptaki natychmiast podfrunęły, by obejrzyć swoje nowe skarby.

— Dziękuję wam! Za mną, Kishanie.

## CHUSTA BOSKIEJ TKACZKI

Wstałam i podeszłam do jednego z czterech kątów domu. Z sufitu zwisała lina. Ujęłam ją mocno i pociągnęłam. Sponad dachu doszedł głośny terkot, otworzyła się klapka i o podłogę uderzyła drabina.

— Teraz będzie najtrudniejsza część — wyjaśniłam Kishanowi. — Ta drabina wiedzie na zewnątrz. Musimy wspiąć się po gałęziach, aż dotrzemy na czubek drzewa, gdzie tkwi ogromne ptasie gniazdo. W gnieździe leży chusta, ale strzegą go żelazne ptaki.

— Żelazne ptaki!?

— Tak, musimy je pokonać, żeby zdobyć chustę. Poczekaj chwilę. — Zaczęłam szybko kartkować notatki pana Kadama, aż znalazłam to, czego szukałam. — Proszę. Oto z czym przyjdzie nam walczyć.

Pokazałam mu ilustrację przedstawiającą mityczne ptaki stymfalijskie, które wyglądały wystarczająco groźnie i bez towarzyszącego im opisu. Kishan zaczął czytać:

— „Strasliwe, drapieżne ptaki o żelaznych dziobach, pazurach z brązu i toksycznych odchodach. Zazwyczaj żyją w dużych stadach”.

— Niezłe, co?

— Trzymaj się blisko mnie, Kells. Nie wiemy, czy rany będą ci się tu goić.

— Skoro już o tym mówimy, o tobie również tego nie wiemy. — Uśmiechnęłam się zaczepnie. — Ale spokojnie, postaram się zbyt długo nie zostawiać cię samego.

— Bardzo śmieszne. Panie przodem.



Wdrapaliśmy się po drabinie i już po chwili otaczała nas plątanina gałęzi, tak gęsta, że przypominała małą gaj. Wspinaczka nie była trudna, jeśli nie myślało się o upadku. Kishan uparł się, bym szła przodem, tak żeby w razie potrzeby mógł mnie podtrzymać, co zresztą raz rzeczywiście musiał zrobić. Kiedy stopa ześliznęła mi się z mokrej gałęzi, Kishan ją złapał i popchnął z powrotem w górę.

Po dłuższej wspinaczce odpoczęliśmy, siedząc okrakiem na gałęziach, oparci plecami o pień — ja wyżej, Kishan niżej. Rzucił mi menażkę z lemoniadą.

Opróżniłam naczynie kilkoma długimi łykami i zauważyłam, że konar, na którym siedzę, jest uszkodzony.

— Kishanie, spójrz na to.

Czubek gałęzi pokrywała gęsta, gumowata, żółtozielona maź, która najwyraźniej pożarła połowę pędu.

— Coś mi się zdaje, że mamy przed sobą toksyczne odchody — stwierdziłam cierpko.

Kishan zmarszczył nos.

— Są stare, może nawet dwutygodniowe. Co za smród. Ostry i gorzki, aż pali mnie w nozdrza.

— Trzeba będzie uważać na toksyczne bomby, co?

Teraz, gdy Kishan złapał trop, zapach doprowadził nas do gniazda. Po kolejnej godzinie wspinaczki ujrzeliśmy je, spoczywające na trzech konarach.

— Ale ogromne! Większe od gniazda Wielkiego Ptaka.

— Kto to jest Wielki Ptak?

— Żółta pierzasta kukła z programu dla dzieci. Myślisz, że mieszkańcy gniazda są w pobliżu?

— Nic nie słyszę, ale ta woń jest wszędzie.

— Na szczęście masz tygrysi nos. Ja zupełnie nic nie czuję.

— Zazdroszczę ci. Już chyba nigdy nie zapomnę tego smrodu.

— Cóż, gwoli sprawiedliwości powinieneś stoczyć walkę z cuchnącymi ptakami.

Jak pamiętasz, Renowi trafiły się demony *kappa* i zaczarowane mały.

Kishan burknął coś w odpowiedzi i zaczął się przesuwać w stronę olbrzymiego gniazda. Konary były osłabione w miejscach, gdzie zalegały na nich stare odchody.

Gdy zbyt blisko do nich zbliżałam, z powierzchni gałęzi osypywał się biały pył, a czasem łamała się na pół.

Podkradliśmy się bliżej, polegając na słuchu Kishana. Gniazdo było rozmiarów sporego basenu, splecione z martwych gałęzek grubości mojego ramienia.

Wyglądało trochę jak olbrzymi kosz piknikowy. Wdrapaliśmy się na górę i wleźliśmy do środka.

W gnieździe leżało pięć ogromnych jaj. Każde z nich wypełniłoby wnętrze jacuzzi. Lśniące i brązowe, odbijały promienie słońca, które raziły nas w oczy. Gdy Kishan postukał lekko w jedno z jaj, usłyszeliśmy głucho, metaliczne echo.

Okrzyknęłam gniazdo i wydałam z siebie stłumiony okrzyk zachwytu. Jaja leżały na precudnej urody przezroczyściej tkaninie. Chusta Boskiej Tkaczki! Materiał wyglądał jak żywy. Na jego powierzchni wirowały jak w kalejdoskopie wielobarwne geometryczne wzory, raz bladobłękitne, po chwili różowe, żółte, zielonkawe i złote, a zaraz potem połyskliwie czarne niczym skrzydła kruka. Patrzyłam na nie jak zahipnotyzowana.

Kishan spojrzał w niebo i dał mi znak, że na razie nic nam nie grozi, po czym przykucnął obok mnie i przyjrzał się chuście.

— Będziemy musieli przeturlać jaja pojedynczo, Kells. Są za ciężkie.

— Dobrze. Zaczniemy od tego.

Chwyciliśmy lśniące jajo i ostrożnie przetoczyliśmy je na skraj gniazda, po czym wróciliśmy po następne, obok którego znaleźliśmy pióro. Zazwyczaj ptasie pióra są lekkie, giętkie i puste w środku. To było dłuższe niż moje ramię, ciężkie i metalowe. Kishan z trudnością je poruszył, miało krawędź ostrą jak piła tarczowa.

— Hmm, źle mi to wygląda — powiedziałam.

— Rzeczywiście — zgodził się Kishan. — Lepiej się pośpieszmy. Właśnie turlaliśmy na bok trzecie jajo, kiedy do naszych uszu

dobiegł głośniejszy skrzek. W oddali pojawił się ptak, który w szybkim tempie zbliżał się do gniazda. Nie miałam pojęcia, jakim cudem dojrzał nas z takiej odległości, ale z pewnością nie wyglądał na zadowolonego. Osłoniłam oczy dłonią, by lepiej mu się przyjrzeć. Na początku wydawał się mały, ale przybliżał się błyskawicznie i prędko zmieniłam zdanie na temat jego rozmiarów. Potężne stworzenie z rozpostartymi skrzydłami szybowało prosto na nas.

Łup! Promień słońca odbił się od metalicznego tułowia olbrzymiego ptaszyska i oślepił mnie na chwilę. Łup! Ptak był już znacznie bliżej i wydawał się dwa razy większy. Zaskrzeczał głośnie i przenikliwie. Odpowiedziały mu nieco cichsze odgłosy i za pierwszym ptakiem pojawił się drugi.

Drzewo zatrzęsało się na znak, że coś wylądowało na pobliskiej gałęzi. Ptak wrzasnął i zaczął zbliżać się do gniazda. Kishan osłonił mnie i oboje cofnęliśmy się o krok, wciąż mając za plecami pień.

Łup! Łup! Łup! Monstrum znalazło się tuż nad naszymi głowami. Bardziej przypominało potwora niż ptaka. Przyjrzałam mu

się uważnie. Miało przekrzywioną głowę i wpatrywało się w nas nieruchomymi oczami. Rozpiętość jego skrzydeł musiała liczyć około dwunastu metrów, czyli mniej więcej połowę długości samolotu pana Kadama. Napięłam łuk. W tej chwili powietrzem i całym moim ciałem wstrząsnął straszliwy, piskliwy jazgot. Ręka mi zadrżała i spudłowałam.

Ptaszyisko przypominało olbrzymiego orła. Jego tułów pokrywały rzędy gęstych, nachodzących na siebie piór, które były jeszcze większe na jego długich, szerokich skrzydłach, gdzie rozmiarem przypominały deski surfingowe. Żelazny ptak bił skrzydłami powietrze i rozkładał ogon, by zahamować tuż nad nami i znów poszybować w górę.

Poruszał się w sposób typowy dla drapieżnika. Gdy po raz drugi zaczął pikować w naszą stronę, wyciągnął potężne, umięśnione łapy, zakończone ostrymi jak brzytwa pazurami. Kishan popchnął mnie na podłoże, twarzą w dół, i straszliwe szpony minęły nas o kilka centymetrów. Z łba ptak przypominał mewę o masywnym, długim, zakrzywionym dziobie, z którego górnej części wyrastał żelazny szpikulec. Jeden z ptaków był już bardzo blisko. Kłapnął dziobem, a ja usłyszałam metaliczny chrzęst uderzających o siebie ostrych krawędzi.

Gdy znalazł się niebezpiecznie blisko, cisnęłam w niego piorunem. Błyskawica odbiła się od piersi potwora i osmalila powierzchnię gniazda tuż pod nogami Kishana.

— Uważaj, Kells!

Sytuacja nie wyglądała dobrze.

— Pioruny się od nich odbijają! — zawołałam.

— Moja kolej! — odkrzyknął Kishan i rzucił ćakramem. Dysk zatoczył w powietrzu szeroki łuk, omijając ptaka.

— Kishanie! Jak można nie trafić w coś tak wielkiego?

— Cierpliwości!

Ćakram zatoczył pełny łuk i wirując wokół własnej osi, wracał do Kishana. Po drodze trafił jedno z ptaszydeł, przecinając ogromne skrzydło ze straszliwym odgłosem, przypominającym wiercenie w blasze. Ptak wrzasnął i runął w dół, odzierając przy tym pień z gałęzi. Gdy rozbił się o ziemię, drzewem wstrząsnął potężny dreszcz.

Jeszcze trzy ptaki zataczały koła nad naszymi głowami, starając się dosięgnąć nas ostrymi szponami i szpikulcowatymi dziobami. Napięłam łuk, celując w najbliższego. Trafiłam prosto w jego pierś, ale to go jedynie rozwścieczyło.

Kishan rzucił się pomiędzy ptasie jaja, gdy jeden z potworów niemal nadział go na pazur.

— Celuj w podgardle albo w ślepie, Kells!

Wypuściłam kolejną strzałę w szyję i następną, prosto w oko pta-szydła, które runęło w dół, wirując jak zestrzelony bombowiec, i roztrzaskało się o ziemię.

Teraz dopiero ptaki były wściekłe.

Nadlatywało ich coraz więcej. Zdawały się inteligentne i zaradne. Jeden dźgał Kishana dziobem, zmuszając go do cofania się ku krawędzi gniazda, a drugi w tym czasie zaatakował go od tyłu i pochwycił w szpony.

— Kishan!

Podniosłam rękę, celując w olbrzymie oko. Tym razem błyskawica zadziałała.

Żelazny ptak zaskrzeczał przenikliwie i puścił Kishana, który z łomotem wylądował z powrotem w gnieździe. Cisnęłam piorunem w kolejnego ptaka i potwór odfrunął, jazgotliwie nawołując swoich pobratymców.

Podbiegłam do Kishana.

— Nic ci nie jest?

Miał podartą, zakrwawioną koszulę. Żelazne szpony przeorały mu z obu stron klatkę piersiową. Z ran ciurkiem lała się krew.

— To nic poważnego — odparł książę, dysząc ciężko. — Boli, jakby mnie kto rozcinał rozpalonym ostrzem, ale już się goi. Nie pozwól, żeby te potwory się do ciebie zbliżyły.

Skóra wokół rozcięć jątrzyła się zajadłą czerwienią.

— Wydaje mi się, że one mają na pazurach kwas — powiedziałam ze współczuciem.

Kishan syknął z bólu, gdy dotknęłam jego skóry.

— Nic mi nie będzie. — Zamarł w bezruchu. — Posłuchaj. Komunikują się ze sobą. Zaraz tu wrócą. Przygotuj się. — Kishan wstał, stękając z bólu, podczas gdy ja ukryłam się za dwoma jajami, które zostały na środku gniazda.

— Chyba jednak wolałbym spotkanie z małpami! — zawołał Kishan.

Zadrżałam.

— Kiedy to się skończy, wypożyczymy *King Konga* i *Ptaki*. Wtedy zdecydujesz.

Kishan się uśmiechnął.

— Zapraszasz mnie na randkę? Bo jeśli tak, to znaczy, że mam dodatkową motywację, by wyjść cało z tej opresji.

— Skoro tak, to gra jest warta świeczki.

— Trzymam cię za słowo.

Kishan wziął rozbieg, skoczył i przekoziółkował w powietrzu, lądując na wystającym konarze. Rzucił ćakramem, który wystrzelił w niebo. Słońce odbijało się od powierzchni złotego dysku, kiedy wirując, wznosił się w górę i podcinał skrzydła tuzinowi metalowych potworów. Ptaki rozpierzchnęły się na różne strony, po czym zbiły w nowe grupki. Wyglądały zupełnie tak, jakby kalkulowały swój następny ruch. Nagle wszystkie zaczęły pikować prosto na nas. Stado zaatakowało z przeraźliwym skrzekiem i piskiem. Przypominały mi w tym grupkę mew, które widziałam kiedyś na plaży, dręczące i szczypiące dziobami człowieka z kanapką w dłoni, uparcie i bez ustanku, aż uciekł z krzykiem. Były brutalne i zdeterminowane. Ptaki runęły prosto na nas, pustosząc koronę drzewa. Ponad połowa zaatakowała Kishana, który zwinnymi skokami przemieszczał się z gałęzi na gałąź, aż znalazł się obok mnie, w kryjówce za jajami. Powietrze mącił wściekły łopot skrzydeł. Czulałam się jak wewnątrz tornada. Kishan raz po raz ciskał ćakramem, to odcinając nogę, to rozdzierając brzuch któremuś z agresorów. Ja pozbyłam się dwóch osobników, wpuszczając im strzałę prosto w oko, zaś kolejnych dwóch oslepiłam uderzeniem pioruna.

— Kells, czy możesz na chwilę utrzymać je z dala ode mnie!? — zawołał Kishan.

— Chyba tak! Co chcesz zrobić?

— Przesunę ostatnie dwa jaja!

— Pośpiesz się!

Zrobiłam eksperyment. Napięłam łuk, wpuściłam błyskawicę w strzałę i strzeliłam. Trafiłam jednego z ptaków w oko, odrywając mu łeb. Spalony, dymiący, bezgłowy tułów spadł z łomotem i zawisł na krawędzi gniazda, które przechyliło się z trzaskiem, po czym powróciło do poprzedniej pozycji. Wskoczyłam w powietrze jak na trampolinie. Rozpaczliwie chwyciłam się krawędzi, ale już po sekundzie zaczęłam się obsuwać. Z ramienia kapłała mi krew. Mocno zacisnęłam palce i zaryłam stopami w gałęzie. Złamałam kilka paznokci, podrapałam się cała, ale było warto — nie runęłam w dół, na pewną śmierć. Na razie.

Kishan lepiej sobie radził. Szybko złapał równowagę i podczołgał się do mnie.

— Trzymaj się, Kells!

Podpełzł na skraj gniazda i leżąc na brzuchu, wyciągnął rękę. Złapał mnie za ramię, potem za drugie, i pociągnął do góry, aż wylądowałam prosto na nim.

— Nic ci nie jest? — zapytał.

— Wszystko w porządku.

— To dobrze. — Uśmiechnął się i mnie przytulił. Nagle dostrzegł coś w górze.

Podłożył mi rękę pod głowę, drugą chwycił mnie w talii i przeturlaliśmy się kilka razy, aż uderzyliśmy w przeciwną krawędź gniazda. Gdy się zatrzymaliśmy, przykrywał mnie swoim ciałem.

— Uważaj! — wrzasnęłam.

Dwa ptaki wisiały tuż nad nami, usiłując przeciąć nas na pół metalowymi dziobami. Chwyciłam leżącą nieopodal złamaną gałąź i dźgnęłam nią ptaka w oko, w ostatniej chwili ratując Kishana przed wypatroszeniem, po czym wystrzeliłam piorunem w drugiego napastnika.

— Dzięki.

Uśmiechnęłam się, dumna ze swojego wyczynu.

— Nie ma za co.

Gniazdo znów się przechyliło. Ciężar martwego ptaka zwisającego z krawędzi był zbyt duży. Żelazny tułów spadał, pociągając je za sobą. Kishan chwycił się gałęzi z obu stron mojej głowy.

— Trzymaj się! — zawołał.

Objęłam go za szyję i trzymałam mocno, a tymczasem gniazdo przechyliło się o kilka metrów i pękło. Połowa spadła razem z martwym ptakiem, a druga — ta, w której leżeliśmy — zawisała niebezpiecznie na dwóch nadłamanych konarach.

Żołądek ścisnął mi się boleśnie, gdy gniazdo i wszystko wokół, włącznie z dwiema gałęziami, których się trzymaliśmy, opadło około metra z przenikającym kości łomotem. Trzy z pięciu jaj wypadły i rozbiły się o gałęzie poniżej.

— Gdzie chusta!?! — krzyknęłam.

— Tutaj!

Wiatr wywiał czarodziejską chustę z gniazda i udrapował ją luźno na ułamanym konarze parę metrów niżej. Materiał łopotął na wietrze, w każdej chwili grożąc odfrunięciem.

— Kells, szybko! Złap mnie za rękę. Opuszczę cię, żebyś mogła jej dosięgnąć.

— Jesteś pewien?

— Jestem! Już!

Złapał mnie za rękę i opuścił w stronę gałęzi. Nie sądziłam, że ma tyle siły, ale on mocno chwycił się drugą ręką konaru i utrzymywał na nim nas oboje. To jednak nie wystarczyło.

— Muszę zejść niżej! Czy możesz złapać mnie za nogę?

— Tak. Wracaj na górę.

Stęknął, podciągnął mnie, wyrzucając w powietrze jak worek ziemniaków, i złapał w pasie w momencie, gdy zaczęłam spadać. Krzyknęłam i chwyciłam go za szyję.

— Co mam robić?

— Po pierwsze... — Opuścił głowę i mocno mnie pocałował. — A teraz obejmij mnie w pasie lewą nogą.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

— No już!

Po chwili zdołałam zaczepić nogę o jego talię. Kishan złapał mnie za stopę ręką, którą do tej pory podtrzymywał mnie w pasie. Bałam się. Po raz kolejny musiałam zaufać, że utrzyma nas oboje. W porównaniu z tym wdrapanie się Renowi na barki w Kiszkindzie wydało mi się dziecinną zabawą.

Skrzywiłam się, myśląc o tym, jakie wariackie zadania czekają nas podczas kolejnych misji. Modliłam się, by gałąź wytrzymała jeszcze trochę, ale wrodzony realizm podpowiadał mi, że może się złamać w każdej chwili i sprawić, że runiemy setki metrów w dół.

Puściłam szyję Kishana i powoli zawisłam do góry nogami, trzymając go za pasek, potem za nogawkę, a w końcu za stopę. Opuszczając się w dół, mamrotałam pod nosem:

— Czemu nie mogli wybrać do tego jakiejś akrobatki z Cirque du Soleil? Zwisanie do góry nogami z nadłamanej gałęzi tysiące metrów nad ziemią to nieco zbyt wysokie wymagania w stosunku do początkującej adeptki wushu!

— Kells!

— Co?

— Zamknij się i łap chustę!

Mocno wyciągnęłam rękę i usłyszałam cichy jęk Kishana.

— Jeszcze tylko kilka centymetrów!

Jego ręka ześliznęła się z mojej łydki na kostkę. Zakołysałam się nad zieloną otchłanią.

Przestraszona, krzyknęłam do Kishana i zamknęłam na chwilę oczy. Przełknęłam ślinę i rozhuštałam się. Wiatr zerwał chustę z gałęzi. Zawirowała w powietrzu i przeleciała tuż przed moim nosem. W ostatniej chwili chwyciłam róg tkaniny i kiedy tak wisiałam do

góry nogami, z krwią pulsującą w głowie, rozpaczliwie ściskając w palcach rąbek materiału ze świadomością, że Kishan utrzymuje nas oboje resztkami sił, nawiedziła mnie wizja.

Zielona gęstwina, huśtająca się tam i z powrotem przed moimi oczami, zbladła i usłyszałam znajomy głos:

— Kelsey. Panno Kelsey! Słyszysz mnie pani?

— Pan Kadam! Tak, słyszę!

Dostrzegłam za jego plecami niewyraźny zarys namiotu.

— Widzę pański namiot!

— A ja widzę panią i Kishana!

— Co? - Wykręciłam głowę, spojrzałam do tyłu i ujrzałam zamgloną sylwetkę Kishana ściskającego moją nogę oraz własne osłabione ciało, wiszące głową w dół. Chusta niebezpiecznie wyslizgiwała mi się z palców. Usłyszałam krzyk Kishana, dobiegający jakby z bardzo daleka:

— Kelsey! Trzymaj się!

Wtem pojawiła się przede mną kolejna niewyraźna postać.

— Proszę nic nie mówić — poinstruował mnie pan Kadam. — Proszę się nie dać sprowokować.

— Dobrze.

Medalion pana Kadama jarzył się czerwienią. Z moim działa się to samo. Gdy znów podniosłam wzrok, rozmyta sylwetka intruza nabrała masy i ostrości.

Lokesh. Był ubrany w garnitur. Ciemne włosy miał przylizane do tyłu. Zauważyłam na jego palcach kilka pierścieni. Jego medalion również świecił na czerwono, przy czym był o wiele większy od naszych. Nikczemnik uśmiechnął się, a w jego oczach zapłonęły iskierki okrucieństwa.

— Aa! Rozmyślałem nad tym, kiedy się znowu spotkamy - przemówił uprzejmie, zupełnie jakby ponownie przedstawiono nas sobie na proszonym podwieczorku. - Kosztowałaś mnie, moja droga, wiele czasu i wysiłku.

Obserwowałam go w milczeniu. Skrzywiłam się lekko, gdy czarownik zmierzył mnie lubieżnym wzrokiem.

Lokesh przemówił cichym, złowrogim głosem:

— Nie mamy czasu na wymianę uprzejmości, powiem więc wprost. Pragnę medalionu, którynosisz na szyi. Oddasz mi go. Jeśli to zrobisz, pozwolę twojemu tygrysowi żyć. Jeśli nie... - Wyciągnął z kieszeni nóż i przejechał nim po kciuku, jakby chciał sprawdzić, czy jest wystarczająco ostry. - Jeśli nie, to znajdę cię i poderżnę ci



gardło... — Spojrzał mi prosto w oczy i dokończył: — A potem zdejmę amulet z twojej zakrwawionej szyi.

- Nie mieszaj w to tej młodej damy - odpowiedział mu pan Ka-dam. — Spotkam się z tobą i dam ci to, czego żądasz. W zamian za to uwolnisz tygrysa.

Lokesh zwrócił się do pana Kadama z nieprzyjemnym uśmiechem.

- Nie znam cię, przyjacielu. Bardzo chciałbym wiedzieć, jak zdobyłeś amulet. Jeśli chcesz negocjować, skontaktuj się z moim biurem w Mumbaju.

- A gdzie znajduje się to biuro, przyjacielu?

- Znajdź najwyższy wieżowiec w Mumbaju. Moje biuro mieści się na ostatnim piętrze.

Pan Kadam pokiwał głową i Lokesh podał mu kolejne instrukcje. Gdy rozmawiali, zaczęłam się przyglądać zamazanej scenie za plecami Lokesha. Jakiś mężczyzna przemawiał do niego, lecz Lokesh nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Przypomniałam sobie, jak pan Kadam mówił, że podczas wizji mogą pojawić się wskazówki, które pomogą nam odnaleźć Rena, starałam się więc zapamiętać

możliwie dużo szczegółów. Służący, który zwracał się do Lokesha, miał czarne włosy zaczesane w koczek tuż nad czołem. Przez czoło przebiegał mu tatuaż,

składający się ze znaczków przypominających zapisane w sanskrycie słowa przepowiedni Durgi. Nagi od pasa w górę mężczyzna miał na szyi sznury koralików,

a w jego przekłutych w kilku miejscach uszach tkwiły złote kółka. Na jego ramieniu wspierał się drugi mężczyzna. Służący wskazywał na niego ręką. Tamten stał nieco

z tyłu, ze spuszczoną głową. Twarz zakrywały mu matowe, brudne czarne włosy.

Zakrwawiony i posiniaczony, wyrwał się trzymającemu go służącemu, który krzyknął coś i popchnął go do przodu. Mężczyzna zrobił kilka chwiejnych kroków i upadł na kolana. Wtedy sługa uderzył go w twarz i wykręcił mu ramiona do tyłu.

Gdy poturbowany więzień podniósł głowę, włosy opadły mu z twarzy. Spojrzałam w jego przejrzyste, kobaltowe oczy.

Nie mogłam się powstrzymać i krzyknęłam:

- Ren!

Nie słyszał mnie. Głowa znów opadła mu na pierś. Rozplakałam się.

Za to usłyszał mnie ktoś inny — Lokesh. Rozejrzał się gwałtownie i oczy zmieniły mu się w dwie szparki. Próbował powiedzieć coś do swoich sług, ci go jednak nie słyszeli. Odwrócił się do mnie i po raz

pierwszy przyjrzał się zatartej scenie za moimi plecami. Wszystko powoli zachodziło mgłą. Nie wiedziałam, czy Lokesh rozpoznał Kishana. Zamarłam i w myślach błagałam go, by patrzył tylko na mnie.

Lokesh spojrzał na mnie. Gestem pokazał na Rena i współczująco zakłaskał językiem.

- Jakież to musi być bolesne, widzieć go w tym stanie. A tak między nami, on woła cię, kiedy go torturuję. Na własne nieszczęście, nie zdradził mi jednak dotychczas miejsca twojego pobytu.

Czarownik zachichotał.

- Nie chciał nawet powiedzieć, jak masz na imię, choć to akurat już wiem. Kelsey, jeśli się nie mylę.

Lokesh przyglądał mi się bacznie, czekając, aż się z czymkolwiek zdradzę. Ciągnął szyderczym tonem:

- Właściwie można powiedzieć, że utknęliśmy w martwym punkcie. On nawet nie chce potwierdzić twojego imienia. Choć muszę przyznać, że spodziewałem się tego, zawsze był uparty. Wciąż płaczesz? Jakie to smutne. On już długo nie wytrzyma, wiesz o tym? Aż dziw, że dotąd nie umarł z samego bólu. Na szczęście dla mnie, jego ciało wydaje się wyjątkowo odporne. - Lokesh obserwował mnie kątem oka, wydłubując mikroskopijny brud spod paznokcia. - Muszę przyznać, że torturowanie go sprawia mi sporą przyjemność. Zwłaszcza że dane mi jest przyglądać się cierpieniu człowieka i zwierzęcia. I wierz mi, korzystam z tego przywileju. Jego rany goją się tak szybko, że nawet ja nie zdołałem do końca zbadać granic jego wytrzymałości. Zapewniam cię jednak, że robię, co mogę.

Przygryzłam drżącą wargę, tłumiąc szloch, i spojrzałam na pana Kadama. Mój przyjaciel nieznacznie pokręcił głową na znak, że mam się nie odzywać. Lokesh uśmiechnął się zgryźliwie.

- Być może gdybyś sama potwierdziła swoje imię, mógłbym podarować mu odrobinę wytchnienia. Wystarczy kiwnięcie głową. Nazywasz się Kelsey Hayes, prawda?

Wpatrywałam się nieruchomo w Rena. Nie poruszyłam się ani nawet nie spojrzałam na Lokesha, co najwyraźniej go rozgniewało.

- Jeśli ci na nim zależy, z pewnością zechcesz oszczędzić mu bólu. Ryć może źle oceniłem twoje uczucia do niego. Jestem jednak niemal całkiem pewny, że dobrze znam jego uczucia do ciebie. Nie chce o tobie mówić, ale przez sen nawołuje swoją ukochaną. Być może jednak nie chodzi mu o ciebie. - Głos Lokesha rozbrzmiewał coraz ciszej. - Cóż. Obaj bracia zawsze mieli pecha w miłości, nie

sądzisz? Być może czas już skrócić jego cierpienia. Zdaje mi się, że wyświadczę mu w ten sposób przysługę. Nie mogłam się powstrzymać.

- Nie! — krzyknęłam.

Lokesh uniósł brew i znów zaczął coś mówić, ale tak cicho, że nie rozpoznawałam słów. Gdy stało się jasne, że już się nie słyszemy, pan Kadam obrócił się i spojrzał na mnie. Lokesh obserwował nas, gestykulując, ale zignorowałam go i skupiłam się na blednącej sylwetce pana Kadama. Otarłam łzy, a on uśmiechnął się do mnie współczująco i mrugnął, po czym znikł.

Zamrugałam oczami i biel zmieniła się w zieleń. Krew pulsowała mi w skroniach.

Do moich uszu dobiegł krzyk Kishana:

- Kelsey! Kelsey! Obudź się!

Na szczęście wciąż ściszałam w dłoni rąbek chusty.

- Mam ją! Podciągnij mnie! - zawołałam.

- Kelsey! Uważaj!

Usłyszałam ptasi skrzek. Obróciłam głowę, spojrzałam w górę i dostrzegłam ziejącą czarną czeluść żelaznego dzioba. Jego ostre krawędzie pokryte były zieloną śniedzią. Cisnęłam błyskawicę, trafiłam, tak że ptak odleciał z dymem unoszącym się z dzioba.

Kishan pociągnął mnie do góry z głośnym stęknięciem. Chwyciłam go kurczowo w pasie, zaciskając chustę w splecionych palcach. Kishan puścił mnie, ufając w siłę moich mięśni, i podciągnął się nad krawędź zniszczonego gniazda. Gdy pomagał mi wgramolić się na górę, dostrzegłam, jak ramiona trzęsą mu się ze zmęczenia.

Kishan usiadł i zaczął oglądać moje ręce i nogi.

- Nic ci nie jest? Co się stało?

- Znów miałam wizję - wyszeptałam zdyszana. - Później ci o niej opowiem.

W pobliżu zaskrzeczał ptak. Odruchowo przywarliśmy do ziemi. Po chwili podniosłam plecak i schowałam do środka łuk i kołczan, który za sprawą czarów znów był pełen złotych strzał.

- No dobrze, co teraz? - zapytał Kishan.

- Teraz stąd uciekniemy.

Zaczęliśmy schodzić w dół, aż byliśmy na tyle schowani, że żelazne ptaszyska nas nie widziały. Nadal słyszeliśmy, jak ze skrzekiem krążą wokół drzewa, ale im niżej schodziliśmy, tym odgłosy były cichsze, aż w końcu całkiem ustały.

- Zatrzymaj się, Kells. Musimy odpocząć.

- Dobrze.

Złoty owoc wyczarował jedzenie i picie. Kishan uparł się, że musi obejrzeć moje rany. On sam czuł się całkiem dobrze. Skaleczenia na piersi już się zagoiły, ja z kolei miałam paskudne zadrapania na rękach i nogach oraz połamane, zakrwawione paznokcie. Pod jednym tkwiła na dodatek długa drzazga, którą Kishan zaczął ostrożnie wyciągać.

— Będzie bolało — ostrzegł. — Drzazgi, ciernie i kolce to najgorsi wrogowie każdego tygrysa.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Ocieramy się i drapiemy drzewa, żeby zaznaczyć swoje terytorium, od czasu do czasu polujemy też na jeżozwierze. Mądry tygrys atakuje je od frontu, ale zdarza się, że ofiara nagle się obraca. Nieraz miałem w łapach kolce, które sprawiają ból i ropieją. Łamią się, kiedy chodzisz. Tygrys nie jest w stanie wyciągnąć sobie kolca z łapy, dlatego musiałem czekać, aż zmienię się w człowieka, żeby się ich pozbyć.

— Och! Czy kolce nie wychodzą w końcu same?

— Nie. Zaginają się i wrastają w skórę. Nie murszeją, w przeciwieństwie do drzazg. Zostają w ciele na całe życie. To dlatego niektóre tygrysy atakują ludzi. Nie mogą już polować na szybką i zwinną zwierzynę. Spotkałem nawet kilka tygrysów, które umarły przez to z głodu.

— Cóż, rozwiązanie wydaje mi się proste: nie jeść jeżozwierzy. Kishan uśmiechnął się szeroko.

— Ale są takie pyszne.

— Fuj — skrzywiłam się, po czym syknęłam z bólu. — Au!

— Prawie skończyłem. Proszę bardzo, już po wszystkim.

— Dzięki.

Kishan oczyścił najgorsze zadrapania chusteczkami nasączonymi alkoholem i zabandażował, co się dało.

— Myślę, że wyzdrowiejesz tu szybciej niż normalnie, choć z pewnością nie tak szybko jak ja. Powinniśmy odpocząć.

— Odpoczniemy, kiedy zejdziemy na dół. Kishan westchnął i poskrobał się w czoło.

— Kells, wejście tu zajęło nam wiele dni. Z zejściem będzie tak samo.

— Ależ nie. Znam skrót. Kiedy kruki oczyściły mój umysł, zobaczyłam, co może chusta. Musimy tylko wejść na gałąź.

Widziałam niedowierzanie w jego oczach, ale mimo to poszedł za mną. Wkrótce dotarliśmy do końca długiej gałęzi.

— Co teraz?

— Patrz.

Rozpostarłam tkaninę na dłoniach i powiedziałam:

— Spadochron dla dwóch osób poproszę.

Chusta skręciła się, napięła i wydłużyła. Z wszystkich czterech rogów rozciągnęły się sznurki, które zaczęły się splatać, tworząc uprząż, linki i paski nośne. Po chwili ujrzeliśmy przed sobą duży pakunek z dwiema uprzężami.

Na twarzy Kishana pojawiło się zdumienie.

— Co to jest, Kelsey?

— Zobaczysz. Załóż go.

— Powiedziałaś: „spadochron”. Mamy stąd skoczyć ze spadochronem?

-Aha.

— Nie sądzę.

— Daj spokój. Tygrysy nie miewają chyba lęku wysokości?

— Nie o to chodzi. Siedzimy na gałęzi niemożliwie wysokiego drzewa, a ty chcesz rzucić się w nie wiadomo jak głęboką otchłań, trzymając się dziwnego kawałka materiału, który według ciebie jest teraz spadochronem.

— Bo jest. Uda nam się, zobaczysz.

— Kelsey.

— Trochę wiary, Kishanie. Pamiętaj, co mówił Nauczyciel? Ta chusta jest zdolna jeszcze do wielu innych świetnych rzeczy. Opowiem ci o nich po drodze. Zaufaj mi.

— Ależ ja ci ufam. Nie ufam tylko tej szmatce.

— Cóż, ja skaczę. Będiesz mi towarzyszył czy nie?

— Czy ktoś ci już mówił, że jesteś strasznie uparta? Ren też miał z tobą tyle kłopotów?

— Musiał sobie radzić nie tylko z moim uporem, ale i sarkazmem, więc możesz uważać się za szczęściarza.

— Tak, ale przynajmniej mógł liczyć na to, że pocałujesz go w nagrodę za poświęcenie.

— Tobie też się trafiło kilka pocałunków.

— Musiałem je sam wygzekwować.

— Aha, raczej ukraść.

— Lepsze skradzione pocałunki niż żadne. Uniosłam znacząco brew.

— Czyżbyś sprzeczał się ze mną tylko dlatego, że tchórzysz i chcesz zyskać na czasie?

— Nic podobnego. W porządku. Skoro nalegasz, wytłumacz mi proszę, co mam robić.

— To proste. Zakładamy uprząże, skaczemy i pociągamy za sznurek. Przynajmniej tak to powinno zadziałać - dodałam pod nosem.

— Kelsey.

— Nie martw się. Tak miało być. Wiem, że nam się uda.

— Jasne.

Kishan założył uprząż, a ja włożyłam nasz zwykły plecak tyłem do przodu i podeszłam do niego.

— Hmm, jesteś za wysoki. Muszę stanąć na gałęzi. Zaczęłam się rozglądać za odpowiednią podpórką, ale Kishan po prostu objął mnie w pasie i podniósł. Przycisnął mnie do piersi, a ja założyłam uprząż.

— Ee... dzięki. No dobrze, teraz musisz się rozpędzić i skoczyć z gałęzi. Dasz radę?

— Z pewnością — odparł z nutką ironii w głosie. — Gotowa? -Tak.

Kishan mocno przytulił mnie do siebie.

— Raz... dwa... trzy!

Wziął rozbieg i rzuciliśmy się w otchłań.

## WYJŚCIE

Wiatr owiewał nas ze świstem, kiedy lecieliśmy w dół, wirując jak dom Dorotki unoszony przez trąbę powietrzną. Kishanowi udało się przybrać poziomą pozycję twarzą w dół. Chwycił mnie za nadgarstki i oboje rozpostarliśmy ramiona, lecąc naprzeciw siebie. Właśnie udało nam się złapać jako taką równowagę, kiedy usłyszeliśmy nad głowami przenikliwe skrzeczenie. Żelazny ptak był tuż nad nami. Kishan uniósł moje lewe ramię i wykonaliśmy dramatyczny obrót w prawo, nabierając większej prędkości. Ptak również przyśpieszył. Podnieśliśmy prawe ręce i przechyliliśmy się w lewo. Ptaszydło wciąż było blisko.

- Trzymaj się, Kells! - zawołał Kishan.

Rozpostarłszy szerzej ramiona i pochyliwszy głowy, runęliśmy w dół jak pocisk. Ptak ustawił skrzydła wzdłuż ciała i pikował tuż za nami.

- Przekręcę nas, a ty spróbuj trafić go piorunem! Gotowa?

Pokiwałam głową, a Kishan wykonał manewr, wskutek którego lecieliśmy teraz plecami do ziemi. Miałam w związku z tym świetny widok na ptasi brzuch, który zaatakowałam szybką serią błyskawic. Nie udało mi się trafić w oko, za to strzeliłam mu w dziób, co na tyle rozzłościło ptaka, że odleciał, kracząc wściekle, i zostawił nas w spokoju.

- Trzymaj się!

Kishan przekręcił nas z powrotem i już po chwili złapaliśmy równowagę. Pociągnął linkę i usłyszałam głośny szelest materiału.

Spadochron otworzył się z trzaskiem i nabrał powietrza. Kishan trzymał mnie mocno, a gdy zwolniliśmy, puścił i złapał uchwyty sterownicze.

— Celuj w przełęcz między dwiema górami! — zawołałam.

W tej chwili nad naszymi głowami rozległ się jazgot, oznaczający, że ptaszydła znów nas znalazły. Trzy z nich zaczęły krążyć tuż nad nami, starając się nas dosięgnąć. Próbowałam ciskać w nie piorunami, ale z tej odległości trudno było trafić w oko. Otworzyłam więc plecak i wydobyłam z niego łuk. Kishan przechylił się w lewo, a ja wypuściłam strzałę, która przeleciała ze świstem tuż nad ptasim łbem. Kolejna trafiła ptaka w szyję i, naładowana energią pioruna, go oszołomiła. Potwór spadł na ziemię. Kolejny ptak uderzył nas skrzydłem, co sprawiło, że zawirowaliśmy w powietrzu, ale już wkrótce udało mi się go zranić i odleciał. Trzeci był bardziej przebiegły i trzymał się z tyłu. Gdy zaatakował, wydarł pazurem dużą dziurę w powłoce spadochronu. Zaczęliśmy spadać. Szarpący wiatr udaremniał próby złapania balansu.

Nagle materiał sam zaczął się naprawiać. Nici splatały się ze sobą i po chwili tkanina wyglądała tak, jakby nigdy nie została podarta. Znów złapaliśmy wiatr, a Kishan pociągnął za linki i skierował nas we właściwą stronę.

Rozzłoszczony ptak wrócił i tym razem mimo wysiłków nie udało mi się trafić w niego strzałą. Zaskrzeczał głośno i wkrótce odpowiedzieli mu jego towarzysze.

— Musimy wylądować!

— Już za chwilę, Kells!

Nagle z różnych stron zaczął pikować na nas przynajmniej tuzin ptaków.

Wiedziałam, że będziemy mieli szczęście, jeśli przeżyjemy na tyle długo, by wylądować na ziemi. Ptaki krakały jazgotliwie, biły skrzydłami powietrze i z głośnym szczękiem kłapały dziobami. Od ziemi dzieliła nas już niewielka odległość. Żeby tylko wytrzymać jeszcze kilka sekund! Ale w tym momencie jeden z ptaków runął prosto na nas. Był bardzo szybki i zauważyłam go dopiero w ostatniej chwili. Potwór otworzył dziób, żeby pogruchotać nam kręgosłupy. W myślach słyszałam już chrzęst łamanych kości i wyobrażałam sobie, jak żelazne ptaszydło przecina mnie na pół.

Wypuściłam kilka strzał, lecz chybiłam. Targnął nami silny podmuch wiatru i nic już nie mogłam zrobić. Kishan manewrował spadochronem, pilotując go tak, że zanurkowaliśmy w dół po



okręgu. Zamknęłam oczy, poczułam mocne szarpnięcie, a pod stopami — twardą ziemię.

Kishan podbiegł i przycisnął mnie płasko do ziemi. Rzucił się na mnie i gorączkowo zaczął wypinać nas z uprzęży.

- Nie podnoś głowy, Kells!

Ptak był tuż nad nami. Chwycił dziobem tkaninę spadochronu i szarpnął, rozdzierając ją na pół. Skrzywiłam się, słysząc okropny trzask cennego materiału. Rozwścieczony ptak puścił spadochron, zatoczył koło i znów runął do ataku. Kishan wyswobodził się z uprzęży, złapał ćakram i cisnął nim, podczas gdy ja, skulona, zbierałam fałdy tkaniny.

- Proszę, napraw się.

Nic się nie wydarzyło. Kishan jeszcze raz rzucił ćakramem.

- Przydałaby mi się pomoc, Kells!

Wypuściłam kilka strzał. Kącikiem oka dostrzegłam ruch materiału, który zaczął się zrastać, najpierw powoli, a potem coraz szybciej, aż z powrotem skurczył się do rozmiarów chusty.

- Kishame, musisz na chwilę odwrócić ich uwagę! Wiem, co powinniśmy zrobić!

Podniosłam chustę i powiedziałam:

- Wietrze, do mnie!

Wzory i kolory zmieniły się, a chusta zaczęła się rozrastać, aż stała się czymś w rodzaju ogromnego worka, łopoczącego na wietrze. Silny podmuch uderzył mnie w twarz i wypełnił worek. Po chwili materiał oklapł, a wtedy kolejny podmuch rozpedzonego powietrza nadleciał z tyłu i na powrót wypełnił magiczny żagiel. Wkrótce wiatr zaczął dąć ze wszystkich stron, niemal zwalając mnie z nóg. Ledwo udało mi się utrzymać w rękach worek pełen potężnych podmuchów.

W końcu wiatr ustał. Nie czułam choćby najdelikatniejszej bryzy, a jednak worek wydymał się gwałtownie.

Spojrzałam na Kishana, otoczonego dziesiątką ptaków, od których z trudnością opędzał się za pomocą ćakramu.

- Kishanie! Schowaj się za mną!

Książę wziął zamach i potężnym wyrzutem ramienia cisnął ćakram w powietrze. Gdy złoty dysk, wirując, zataczał koło, on podbiegł do mnie, chwycił worek z drugiej strony, po czym złapał pędzący ćakram, w ostatniej chwili ratując mnie przed ucięciem głowy.

Uniosłam brew, a Kishan uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

- Okej, gotowy!?! - krzyknęłam. - Raz, dwa, trzy!

Otworzyliśmy worek i wypuściliśmy wiatry Shangri-La w stronę kołujących ptaków. Trzy z nich roztrzaskały się o skały, podczas gdy reszta, koziołkując w powietrzu, szybowała w stronę olbrzymiego pnia drzewa, rozpaczliwie usiłując wyrwać się z wietrznego tumultu.

Gdy wiatr się uspokoił, pusty wór opadł na ziemię u naszych stóp, a Kishan wlepił we mnie pełne niedowierzania spojrzenie.

— Kelsey. Jak ty to... — umilkł, zanim zdążył dokończyć zdanie.

— Chusta, proszę.

Worek zaczął się skręcać i składać, przybierając delikatne odcienie złota i błękitu, i znów skurczył się do rozmiarów dużego szala. Owinęłam go wokół szyi, zarzucając koniec na ramię.

— Odpowiedź brzmi: nie mam pojęcia. Kiedy Hugin i Munin oczyścili nam umysły, przypomniałam sobie wszystkie zasłyszane w życiu historie i mity, to, co powiedziała nam Roska Tkaczka, oraz przypuszczenia, którymi dzielił się z nami pan Kadam. Kiedyś opowiedział mi o japońskim bogu Fujinie. Panował on nad wiatrem, który nosił ze sobą w worku. Poza tym pamiętałam, że chusta to przedmiot magiczny, tak samo jak złoty owoc. Być może wiedziałam to wszystko wcześniej, a być może dopiero Hugin szepnął mi to do ucha. Nie jestem pewna. Wiem jednak, że chusta potrafi coś jeszcze, coś, co pomoże nam ocalić Rena, ale na razie musimy stąd uciekać, zanim wrócą ptaki.

— Dobrze, tylko najpierw muszę coś zrobić.

— Co?

— To.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Na całego. Czulałam na ustach pełen pasji dotyk jego warg. Pocałunek był szybki, szaleńczy i dziki. Kishan zakleszczył mnie w uścisku, podtrzymując jedną dłońią tył mojej głowy, drugą zaś mocno trzymając mnie w talii. Całował żarliwie, z zapamiętaniem, którego nie potrafiłam już powstrzymać, tak samo jak nie potrafiłabym powstrzymać lawiny. Gdy dopadnie cię lawina, masz dwie możliwości: stać w miejscu, starając się oprzeć jej sile, bądź poddać się, poturlać razem z pędzącym z góry śniegiem z nadzieją, że wyjdiesz z tego cało. Tak więc poddałam się pocałunkowi Kishana. W końcu podniósł głowę, podrzucił mnie do góry i wydał z siebie zwycięski okrzyk radości, który odbił się echem wśród okolicznych szczytów.

Kiedy w końcu postawił mnie na ziemi, z trudnością złapałam oddech. Dysząc, zapytałam:

— A to za co?

- Po prostu cieszę się, że żyję!
- W porządku, ale następnym razem zachowaj swoje pocałunki dla siebie.  
Kishan wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Nie gniewaj się, Kells.
- Nie gniewam się. Ja tylko... nie wiem, co o tym myśleć. To się zdarzyło tak szybko, że nawet nie zdążyłam zareagować.  
Kishan się uśmiechnął.
- Następnym razem zrobię to powoli.
- Jakim znów następnym razem? Książę nachmurzył się lekko.
- Robisz z igły widły. To normalne zachowanie w sytuacji, kiedy człowiek był o włos od śmierci. Pomyśl o tym, jak żołnierze wracający z wojny całowali dziewczyny, gdy tylko zeszli z okrętu na ląd.
- Może i tak. Różnica polega na tym, że tym razem dziewczyna była z tobą na okręcie - odparłam złośliwie. - Więc możesz sobie całować kogo chcesz po zejściu na ląd, marynarzu, ale na razie trzymaj ręce przy sobie.  
Kishan stanął z założonymi rękami.
- Doprawdy? A zdawało mi się, że twoje ręce też zawędrowały na chwilę tam, gdzie nie trzeba.
- Jeśli moje ręce choć na chwilę cię dotknęły - wykrzyczałam oburzona - to tylko po to, żeby cię odepchnąć!
- Jasne, powtarzaj to sobie, nie chciałbym, by dopadły cię wyrzuty sumienia. Po prostu nie chcesz przyznać, że ci się podobało.
- Hmm, pomyślmy. Masz rację, Casanovo. Podobało mi się. Kiedy przestałeś!  
Kishan potrząsnął głową.
- Ależ jesteś uparta. Nic dziwnego, że Ren miał z tobą tyle kłopotów.
- Jak śmiesz choćby wspominać jego imię!
- Kiedy wreszcie pogodzisz się z prawdą, Kells? Podobam ci się. Zresztą gdyby tak podsumować, to zdążyłaś już spędzić ze mną więcej czasu, niż kiedykolwiek spędziłaś z nim.
- Nawet jeśli, to szczerze mówiąc, w tej chwili nie szaleję jakoś za tobą. Czy możemy już skończyć tę rozmowę i wrócić do Świętej Rramy?
- Możemy. Ale dokończymy jeszcze tę rozmowę. ~ Prędzej zamierznie Shangri-La.  
Kishan wziął plecak i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie mogę się doczekać. Ruszajmy, *bilauta*.

— Bezcelny brutal — mruknęłam pod nosem. Kishan uniósł brew i uśmiechnął się złośliwie. Wędrowaliśmy kilka godzin. Kishan próbował ze mną rozmawiać, ale ja uparcie odmawiałam zwrócenia na niego uwagi. Problem polegał na tym, że on miał rację. Rzeczywiście spędziłam z nim w sumie więcej czasu niż z Renem. Przez kilka miesięcy żyliśmy pod jednym dachem, a potem spędziliśmy wiele tygodni, wędrując przez Shangri-La.

Taki codzienny kontakt stwarza między ludźmi atmosferę bliskości, wręcz intymności. Kishan po prostu chętniej się do tego przyznawał. Nie zdziwiło mnie, że czuł się swobodnie, mówiąc o swoich uczuciach do mnie, przecież wyznał mi je już jakiś czas temu. Kłopot w tym, że nie przeszkadzało mi to tak mocno, jak powinno. Pocałunek Kishana był czymś zupełnie innym niż buziak od Artiego, Jasona, a nawet Li.

Kiedy całowałam się z Li, czułam, że kontroluję sytuację. Pocałunki z Renem to też była inna historia. Ren był jak wspaniały wodospad w środku dżungli — lśniący i migocący w słońcu. Egzotyczny raj, czekający na odkrycie. Kishan był inny. Przypominał raczej rwącą rzekę — szybką, nieprzewidywalną i niemożliwą do poskromienia nawet przez najbardziej doświadczonych poszukiwaczy przygód. Obaj bracia byli nadzwyczajni, fascynujący i potężni, ale pocałunki Kishana były niebezpieczne.

Nie zagrażały mi w ten sam sposób, co syreni kusiciele — kontakt z nimi wydawał mi się niewłaściwy i niepokojący. Jeśli miałabym być ze sobą szczerą, gdy całowałam Kishana, nie czułam, że robię coś złego. Wręcz przeciwnie, niemal mi się zdawało, że całuję bardziej dziką i gwałtowną wersję Rena. Zupełnie jakbym dosłownie złapała za ogon tygrysa, który w każdej chwili mógł się odwrócić i skoczyć na mnie. Co gorsza, ta myśl wcale nie była mi niemiła, i to właśnie najbardziej mnie niepokoiło.

Najwyraźniej zbyt długo przebywam z dala od swojego chłopaka, pomyślałam, starając się wytłumaczyć sobie jakoś to dziwne uczucie. Tęsknię za nim, a Kishan tak bardzo mi go przypomina, pocieszałam się, idąc.

Podobnie jak Ren, Kishan był tak czarujący, że wkrótce zupełnie zapomniałam o swojej złości na niego.

Gdy zmierzch zmienił się w noc, postanowiliśmy rozbić obóz. Byłam wykończona długą drogą.

— Weź śpiwór Kelsey, ja się prześpię na ziemi.

— To nie będzie konieczne. Zdjęłam chustę z szyi i powiedziałam:

— Poproszę o duży namiot, śpiwór, dwie miękkie poduszki i dwie zmiany czystych ubrań.

Chusta poruszyła się, nici zaczęły się rozplatać i skręcać w sznurki, które owinęły się wokół silnych gałęzi pobliskich drzew. Gdy były już mocno zawiązane, chusta wyczarowała dach, ściany i podłogę namiotu. Wetknęłam głowę do środka.

— Chodź, Kishanie.

Kishan wszedł za mną do wnętrza przestronnego namiotu i razem patrzyliśmy, jak barwne nici splatają się w gruby zielony śpiwór i dwie duże, miękkie białe poduszki. Na każdej z nich leżał komplet świeżej odzieży. Kishan rozciągnął na podłodze nasz stary śpiwór, podczas gdy ja trzepałam poduszkę.

— Jak chusta wybiera kolor? — zapytał.

— Myślę, że to zależy od nastroju albo od tego, o co prosisz. Namiot, śpiwór i poduszki wyglądają jak należy.

Kishan wyszedł z namiotu, żeby przebrać się w leśnej gęstwinie. Założyłam świeże ubranie i powiesiłam elfi strój na gałęzi przed namiotem. Kiedy wrócił Kishan, leżałam już szczelnie otulona śpiworem i odwrócona na bok — z nadzieją, że uniknę dalszej rozmowy.

Kishan wgramolił się do śpiwora i przez kilka pełnych napięcia chwil czułam na plecach uporczywe spojrzenie jego złotych oczu. W końcu burknął coś pod nosem i powiedział:

— Dobranoc, Kells.

— Dobranoc.

Byłam wykończona, więc bardzo szybko zasnęłam. We śnie zobaczyłam Rena siedzącego w tylnym kącie ciemnej klatki. Miał brudne, matowe włosy i właściwie nie poznałam go do chwili, kiedy otworzył oczy i na mnie spojrzał. Wszędzie rozpoznałabym to błękitne spojrzenie. Jego oczy lśniły w ciemności jak dwa szafiry. Podkraślałam się bliżej, pozwalając, by prowadził mnie ich blask. Patrzyłam w nie jak zrozpaczony żeglarz, który w ciemną burzową noc wpatruje się w światło latarni morskiej.

Kiedy podeszłam do klatki, Ren zamrugał, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. Głos miał ochryply jak człowiek, który umiera z pragnienia.

— Kells?

Chwyciłam pręty klatki, żałując, że nie jestem na tyle silna, by pogruchotać je gołymi rękami.

- Tak. To ja.

- Nie widzę cię.

Przez jedną straszliwą chwilę bałam się, że Lokesh go oślepił. Uklękałam przed klatką.

- Lepiej?

- Tak. - Ren przysunął się bliżej i złapał mnie za rękę. Chmury rozeszły się i przez nieduże okienko wpadło do ciemnego pomieszczenia światło księżyca, oblewając twarz Rena miękkim blaskiem.

Wydałam z siebie zduszony okrzyk przerażenia i oczy wypełniły mi się łzami.

- Co on ci zrobił?

Twarcz Rena była spuchnięta i fioletowa. Z kącików ust kapiała krew, a od czoła do policzka biegła głęboka, czerwona szrama. Wyciągnęłam palce i delikatnie dotknęłam jego skroni.

- Nie dowiedział się ode mnie tego, czego chciał, musiał więc wyładować złość.

- Tak... tak mi przykro! - Moje łzy pociekły na jego dłoń.

- Nie płacz, *prijatama*. - Ren przycisnął mi rękę do policzka. Obróciłam głowę na bok i ucałowałam wewnątrz jego dłoni.

- Nie mogę patrzeć na ciebie w tym stanie. Jesteśmy już w drodze. Błagam, wytrzymaj jeszcze trochę.

Ren opuścił głowę, jakby się czegoś wstydził.

- Chyba już nie mogę.

- Nie mów tak! Nigdy tak nie mów! Przyjdę po ciebie. Już wiem, co mam robić.

Musisz wytrzymać. Choćby nie wiem co! Obiecuj mi!

Ren westchnął boleśnie.

- On jest zbyt blisko, Kells. Za każdym razem, kiedy Lokesh mnie torturuje, ty jesteś w niebezpieczeństwie. Ma obsesję na twoim punkcie. Przez cały czas grzebie w moim umyśle w poszukiwaniu informacji o tobie. Nic go nie powstrzyma. Nigdy nie da za wygraną. On... czuję, że niedługo mnie złamie. Gdyby chodziło tylko o męki fizyczne, chyba bym to zniósł, ale on używa czarnej magii. Ćwiczy na mnie różne sztuczki. Wywołuje halucynacje. Jestem tak strasznie, strasznie zmęczony.

- W takim razie zacznij mówić - odparłam drżącym głosem. - Powiedz mu to, co chce usłyszeć, a może zostawi cię w spokoju.

- Nigdy mu tego nie powiem, *prema*.

- Nie mogę cię stracić — wyłkałam.

— Zawsze będę przy tobie, wciąż o tobie myślę. - Ren chwycił kosmyk moich włosów i podniósł go do ust. Zaciągnął się jego zapachem. — Przez cały czas.

— Nie poddawaj się! Nie teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko! Coś w jego spojrzeniu się zmieniło.

— Istnieje pewne wyjście.

— Jakie?

— Durga... — Zamilkł na chwilę. — Durga zaproponowała mi swoją pomoc, ale za bardzo wysoką cenę. Zbyt wysoką.

— Żadna cena nie jest zbyt wysoka, żeby ocalić ci życie! Przyjmij propozycję! Nawet się nie zastanawiaj. Możesz zaufać Durdze. Zrób to! Niezależnie od tego, o co prosi w zamian. Bylebyś tylko przeżył.

— Ale Kelsey...

— Cśś. — Przycisnęłam palec do jego opuchniętych warg. — Musisz żyć. Zgoda? Kishan wydał z siebie ciężkie, urywane westchnienie i spojrzał na mnie jasnymi, zropaczonymi oczami.

— Musisz już iść. On niedługo wróci.

— Nie chcę cię zostawiać.

— Ja też nie chcę być sam, ale nie możesz zostać. Zrezygnowana, odwróciłam się i ruszyłam do wyjścia.

— Poczekaj, Kelsey. Zanim pójdziesz... pocałujesz mnie? Przełożyłam rękę przez pręty klatki i lekko dotknęłam jego twarzy.

— Boję się, że sprawię ci ból.

— To nieistotne. Proszę. Pocałuj mnie, zanim znikniesz. Ukląkł przede mną, wydając z siebie zduszone stęknięcie, gdy przynosił ciężar ciała na kolano, a potem wysunął z klatki drżące ręce i przyciągnął mnie do siebie. Ujął moją twarz w dłonie i nasze usta spotkały się między żelaznymi prętami. Jego pocałunek był ciepły, delikatny i zbyt krótki. Poczułam słony smak własnych łez. Ren cofnął się i uśmiechnął do mnie spękanymi ustami. Cofając ręce, skrzywił się lekko i syknął z bólu. Dopiero wtedy zauważyłam, że kilka palców ma złamanych.

Rozpłakałam się. Ren otarł mi łzę z policzka i zacytował wiersz Richarda Lovelace'a:

Kiedy przenika grube ściany Miłości wiew skrzydlaty I szept Altei ukochanej  
Dobiega spoza kraty,

Gdy mnie pętają więzy włosów I oczu jej okowy — Wtedy i żaden bóg z niebiosów  
Nie zna swobody owej. Bezsilne są kamienne ściany I sztaba krat żelazna: Umysł  
niewinny, niezachwiany Wytchnienia w lochu zazna I nikt kochania nie odbierze  
Duszy, podobnej ptakom: Tylko anioły w górnej sferze Znają swobodę taką<sup>1</sup>.

Skończywszy, przycisnął czoło do prętów klatki.

- Jedyne, czego bym nie zniósł, to gdyby on ciebie skrzywdził. Nie pozwolę na to.  
Nie pozwolę mu cię znaleźć, Kelsey. Choćby me wiem, co się działo.

- Co masz na myśli? Książę się uśmiechnął.

- Nic, moje serce. Nie martw się. - Cofnął się i oparł swoje poranione ciało o ścianę.

- Musisz już iść, *iadala*.

Podniosłam się do wyjścia, ale tuż przed progiem przystanąłam, gdy powiedział:

- Kelsey? Odwróciłam się.

- Niezależnie od tego, co się stanie, pamiętaj że cię kocham, *hri-daj patni*. Obiecuj  
mi, że będziesz pamiętać.

- Będę. Obiecuję. *Mudźhe tumse pjar hai*, Ren.

- Idź już.

Uśmiechnął się blado, a potem coś się zmieniło w jego oczach. Uciekł z nich  
błękitny blask, a zastąpiła go mętna, martwa szarość. Być może spowodowała to gra  
światał i cieni, ale wyglądał prawie, jakby umarł. Cofnęłam się o krok z wahaniem.

-Ren?

- Proszę, idź już, Kelsey - odpowiedział cichy głos. - Wszystko będzie dobrze.

5<sup>27</sup>

---

1 R. Lovelace, *Do Altei, z więzienia*, [w:] *Miłość jest wszystkim, co istnieje. 300 najświetniejszych angielskich i amerykańskich wierszy miłosnych*. Antologia, tłum. S. Barańczak, Poznań 1992, s. 290.

2 R. Lovelace, *Do Altei, z więzienia*, [w:] *Miłość jest wszystkim, co istnieje. 300 najświetniejszych angielskich i amerykańskich wierszy miłosnych*. Antologia, tłum. S. Barańczak, Poznań 1992, s. 290.



- Ren?

- Do widzenia, ukochana.

- Ren!

Działo się coś złego. Poczułam dziwny trzask i na moment straciłam dech. Działo się coś bardzo, bardzo złego. Więź, która była między nami, chwilami zdawała mi się niemal namacalna, jak łańcuch, a im bliżsi się sobie stawaliśmy, tym zyskiwała na sile. Była moją opoką, zupełnie jakby łączyła nas linia telefoniczna. A teraz ktoś przeciął kabel. Poczułam szarpnięcie i coś ostrego przejechało po moim sercu, jak gorący nóż wbity w masło. Po raz pierwszy, odkąd ujrzałam mojego białego tygrysa, byłam sama.

Kishan potrząsał mną gwałtownie, starając się wyrwać mnie z ciężkich oparów snu.

- Kelsey! Kelsey! Obudź się!

Gdy tylko otworzyłam oczy, nowe łzy spłynęły mi po policzkach, wciąż mokrych po przeżytych koszmarze. Objęłam Kishana za szyję i zanosłam się szlochem.

Pociągnął mnie na swoje kolana, mocno przytulił i zaczął głaskać po plecach, a ja zanosłam się niepowstrzymanym, rozpaczliwym łkaniem nad losem jego brata. W pewnej chwili chyba zasnęłam, bo obudziłam się zaplątana w śpiwór, a Kishan wciąż mnie obejmował. Pięść miałam wciśniętą w policzek, oczy napuchnięte, a rzęsy sklezione.

- Kelsey? — szepnął Kishan.

- Nie śpię — wymamrotałam.

- Wszystko w porządku?

Rezwiednie uniosłam dłoń do pulsującej pustką, ziejącej dziury w sercu, a z kącika oka spłynęła mi łza. Przytuliłam głowę do poduszki i zaczęłam oddychać głęboko, próbując się uspokoić.

- Nie - odparłam pustym głosem. - On... nie ma go. Coś się wydarzyło. Myślę... myślę, że Ren nie żyje.

- Czemu? Co się stało?

Opowiedziałam mu swój sen, próbując wytłumaczyć uczucie zerwanej więzi.

- Kelsey, możliwe, że to był tylko sen, straszny, ale sen. Po takich dramatycznych przygodach, jakie ostatnio przeżyliśmy, zdarzają się nocne koszmary.

- Może. Ale mnie się nie śniły żelazne ptaki, tylko Ren.

- Mimo to nie możemy mieć pewności. Durga obiecała go chronić, pamiętasz?

- Pamiętam. Ale to było takie prawdziwe.

- Nie ma sposobu, żeby zdobyć pewność.
  - Może jest.
  - Jaki?
  - Myślę, że znów powinniśmy odwiedzić leśne nimfy. Może kiedy prześpimy się w Sennym Gaju, znów zobaczę przyszłość. Wtedy okaże się, czy Rena da się uratować.
  - Sądzisz, że to pomoże?
  - Sylwany mówiły, że zawsze gdy mają problem, właśnie tam szukają odpowiedzi. Kishanie, proszę, spróbujmy.
- Książę przyglądał mi się przez chwilę, a potem otarł mi kciukiem łzę z policzka.
- Dobrze, Kells. Poszukajmy Faunusa.
  - Kishanie, jest jeszcze coś. Co znaczy *hridaj patni*?
  - Gdzie usłyszałaś te słowa? - zapytał Kishan cicho.
  - W moim śnie. Wypowiedział je Ren tuż przed naszym rozstaniem.
- Kishan wstał i wyszedł z namiotu. Ruszyłam za nim i zastałam go zapatrzonego w przestrzeń, z ramieniem wspartym o konar. Nie odwracając się, powiedział:
- Tymi słowami nasz ojciec zwracał się do matki w chwilach czułości. Znaczą one: żona mego serca.
- Powrót do wioski leśnych nimf zabrał nam cały dzień. Mieszkańcy osady byli uradowani naszym widokiem i natychmiast zaczęli przygotowania do uczy. Ja jednak nie podzielałam świątecznego nastroju. Spytałam, czy pozwolą mi jeszcze raz przespać się w Sennym Gaju. Faunus zapewnił mnie, że cała kraina jest do mojej dyspozycji. Nimfy przyniosły mi skromny posiłek i pozwoliły odpocząć w jednej z chatek aż do zapadnięcia zmroku. Kishan zjadł kolację z gospodarzami, gdyż rozumiał, że pragnę być sama.
- Gdy nadszedł wieczór, Kishan przyszedł po mnie do chatki, prowadząc ze sobą gościa. Był tu malutki chłopczyk o srebrnych włosach.
- Kto to?
  - Powiesz tej ładnej pani, jak się nazywasz?
  - Rock - odparł chłopiec.
  - Masz na imię Rock? — spytałam.
- Śliczna buzia dziecka rozjaśniła się w uśmiechu.
- Właściwie to jego pełne imię brzmi: Tarak - wyjaśnił Kishan.

- Tarak? - zdumiałam się. - To niemożliwe! Wygląda na prawie dwa lata!  
Kishan wzruszył ramionami.

- Widocznie sylwany dorastają szybciej niż ludzie.

- To niesamowite! Podejdź tu, Taraku, niech ci się przyjrzę. - Wyciągnęłam ręce, a Kishan zachęcił chłopczyka, by podszedł. Tarak zrobił kilka niezgrabnych kroków i wpadł prosto w moje ramiona. - Jesteś już taki duży! A jaki przystojny. Pobawisz się ze mną? Patrz.

Zdjęłam z szyi chustę, na której roztańczył się kalejdoskop barw. Kiedy dziecko dotknęło tkaniny, odbił się na niej ciepły, różowy odcisk małej dłoni, który już po chwili zniknął w żółtym wirze.

- Zabawki poproszę.

Materiał złożył się, skręcił i zmienił w dziesiątki maskotek przeróżnego rodzaju. Kishan usiadł obok mnie i razem z Tarakiem bawiliśmy się pluszowym zwierzyńcem. Ból w moim sercu nieco osłabł i śmiałam się razem z małym dzieckiem leśnych nimf.

W pewnej chwili Kishan sięgnął po pluszowego tygrysa, ucząc małego Taraka warczeć jak prawdziwy kot, i spojrzał na mnie. Gdy nasze oczy się spotkały, mrugnął zawadiacko. Złapałam go za rękę, ścisnęłam mocno i szepnęłam bezgłośnie:

- Dziękuję.

Kishan ucałował moje palce, uśmiechnął się i powiedział:

- A teraz ciocia Kelsey musi się trochę przespać. Czas, żebyś wrócił do rodziny, maluchu. - Podniósł Taraka, posadził go sobie na ramionach i szeptem dodał: - Zaraz wrócę.

Zebrałam maskotki i powiedziałam chuście, że już ich nie potrzebujemy. Nici zawirowały w powietrzu i splotły się w swoją zwykłą formę. W tym momencie wrócił Kishan. Ukucnął przy mnie, ujął mnie pod brodę i przechylił moją głowę, uważnie patrząc mi w oczy.

- Kelsey, jesteś wykończona. Sylwany przygotowały dla ciebie kąpiel. Spotkamy się w gaju, dobrze?

Pokiwałam głową i pozwoliłam, żeby Antracja, Dejopea i Fiale zaprowadziły mnie na polanę z sadzawką. Tym razem zostawiły mnie sam na sam z myślami i w milczeniu, delikatnie myły mi włosy, a potem nacierały moją skórę pachnącym balsamem. Ubrały mnie w jedwabną suknię, a elf o pomarańczowych skrzydełkach wskazał mi drogę do Sennego Gaju. Tam czekał już na mnie Kishan — z hamakiem wyczarowanym przez magiczną chustę.

— Widzę, że tym razem rezygnujesz z miejsca w łożu nowożeńców? — zadrwiłam lekko.

Książę wypróbował właśnie supeł hamaka, stojąc plecami do mnie.

— Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli... — Odwrócił się i spojrzał na mnie. Jego złote oczy rozszerzyły się na sekundę, ale już po chwili wrócił do testowania węzłów hamaka. Odchrząknął i powiedział: — Tym razem powinnaś spać sama, Kells. Będzie mi tu bardzo wygodnie.

Wzruszyłam ramionami.

— Jak chcesz.

Kishan ułożył się w hamaku, z rękoma pod głową, i patrzył, jak okrywam się pościelą. Po chwili dobiegły mnie jego ciche słowa:

— A tak przy okazji, wyglądasz... przepięknie.

Odwróciłam się do niego, podniosłam rękę i przyjrzałam się błękitnemu jedwabnemu rękawowi. Włosy, czyste i miękkie, spływały mi po plecach gęstymi falami. Moja blada skóra lśniła, wyszorowana z wigorem przez nimfy i natarta połyskującym balsamem. Być może wyglądałam pięknie, ale czułam się pusta jak wielkanocna wydmuszka. Na zewnątrz barwna i strojna, w środku nie miałam nic. Wyssano ze mnie życie.

— Dziękuję — odparłam mechanicznie, układając się w miękkim łożu.

Długo leżałam bezsennie, gapiąc się na gwiazdy. Czułam na sobie spojrzenie Kishana. Podłożyłam dłoń pod policzek, zamknęłam oczy i wreszcie odpłynęłam w sen.

Nic mi się nie przyśniło. Ani Ben, ani ja sama, ani Kishan, ani pan Kadam... Śniłam o pustce. Mój umysł wypełniała ciemna otchłań, pozbawiona kształtu, głębi, różnorodności i radości. Gdy się obudziłam, Kishan jeszcze spał. Bez Rena moje życie straciło sens. Było bezwartościowe i puste. To właśnie chciał mi powiedzieć Senny Gaj. Straciłam zbyt wiele.

Kiedy zginęli moi rodzice, czułam się, jakby ktoś wyrwał z korzeniami dwa najdroższe mi, potężne drzewa. Gdy w moim życiu pojawił się Ren, wypełnił pustkę w sercu. Rany się zagoiły, a wyschniętą, jałową ziemię porosły świeża trawa, drzewa sandałowe, pnący jaśmin i róże, zaś na samym środku stanęła fontanna otoczona tygrysimi liliami. W moim sercu zagościły ciepło, spokój i miłość. A teraz z fontanny zostały jedynie gruzy, lilie wyrwano z korzeniami, drzewa zwały się, a żyzna ziemia stała się zbyt jałowa, by

kiedykolwiek jeszcze coś na niej wyrosło. Czułam się opuszczona przez wszystkich — jak pustynia, na której nigdy nie zagości życie.

Lekki wiaterek zdmuchnął mi włosy na twarz. Nie miałam nawet tyle siły, żeby je odgarnąć. Nie słyszałam, jak Kishan wstał, po prostu w pewnej chwili poczułam, że delikatnie, koniuszkami palców unosi mi z twarzy niesforne pasma i zakłada je za ucho.

— Kelsey?

Milczałam, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w jaśniejące świtem niebo.

— Kells?

Wziął mnie na ręce, usiadł na łóżku i przytulił mnie do piersi.

— Kelsey, odezwiąj się, proszę. Porozmawiaj ze mną. Nie mogę patrzeć, jak się martwisz.

Kołysał mnie w ramionach. Słyszałam, co mówi, i w myślach mu odpowiadałam, ale czułam się, jakbym opuściła własne ciało. Nagle kropla deszczu spadła mi na policzek i to nagłe doznanie sprawiło, że się ocknęłam. Uniosłam rękę i otarłam kroplę.

— Pada? Nie wiedziałam, że tutaj pada.

Kishan nie odpowiedział. Kolejna kropla kapnęła mi na policzek.

— Kishanie?

Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że to nie deszcz, tylko łzy. Jego złote oczy były pełne łez.

Zdumiona, uniosłam dłoń do jego policzka.

— Kishanie? Czemu płaczesz? Uśmiechnął się nieśmiało.

— Myślałem, że cię straciłem, Kelsey. -Och...

— Powiedz, co cię tak ode mnie oddaliło? Widziałaś Rena?

— Nie. Nic nie widziałam. Mój sen był zimny i czarny. Myślę, że on nie żyje.

— Chyba nie masz racji, Kells. Zobaczyłem go we śnie. Nagle moje ciało wypełniła ożywcza siła.

— Widziałeś go!? Jesteś pewien!?

— Tak. Klóciliśmy się na statku.

— Jesteś pewien, że to nie był sen o przeszłości?

— Jestem pewien. Staliśmy na pokładzie nowoczesnego jachtu. Wydaje mi się zresztą, że to był nasz jacht.

Wyprostowałam się.

— Ale jesteś absolutnie, na sto procent pewien, że to była przyszłość?

— Tak, Kelsey.

Uściskałam go i ucałowałam w policzek i w czoło, wołając przy tym:

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

— Poczekaj, Kells. Chodzi o to, że w moim śnie klóciliśmy się o... Roześmiałam się, chwyciłam go za koszulę i lekko nim potrząsnęłam, pijana radością i ulgą. Ren żyje!

— Nie obchodzi mnie, o co się klóciliście. Wy się zawsze klóćcie.

— Myślę jednak, że powinnaś wiedzieć...

Jednym skokiem wyrwałam się z jego objęć i zaczęłam się krzątać, błyskawicznie zbierając nasze rzeczy.

— Później mi powiesz. Nie mamy czasu. Ruszajmy w drogę. Na co czekamy? No już!

Biegałam w kółko, pełna szaleńczej energii. Mój umysł wypełniła desperacka,

gorączkowa determinacja. Każda minuta zwłoki oznaczała więcej bólu dla

mężczyzny, którego kochałam. Sen o Renie był prawdziwy, sama nie

wymyśliłabym tamtych słów w hindi, zwłaszcza że był to czuły przydomek, który

ojciec Rena nadał jego matce. Jakimś cudem znalazłam się przy ukochanym.

Dotykałam go, całowałam. Coś zniszczyło więź między nami, ale Ren wciąż żyje!

Jeszcze można go ocalić. I dokonamy tego! Przecież Kishan widział przyszłość!

Sylwany przygotowały dla nas obfite śniadanie, więc zapakowaliśmy je na drogę,

pożegnaliśmy się pośpiesznie i ruszyliśmy w stronę Świętej Bramy. Kierując się

wskazówkami nimf, dotarliśmy tam po dwóch dniach szybkiego marszu. Przez całą

drogę Kishan był dziwnie milczący, a mnie zbytnio zajmowały myśli o odnalezieniu

Rena, by spytać go, o co chodzi.

Kiedy znaleźliśmy się przed bramą, poprosiłam magiczną chustę o zimowe stroje.

Gdy już się przebraliśmy, położyłam dłoń na wyżłobionym w filarze odcisku i

zebrałam w sobie moc błyskawicy. Moja skóra zaczęła promieniować światłem,

potem stała się przezroczysta i różowa, aż wreszcie brama zaśniła czarodziejskim

blaskiem. Spojrzeliśmy po sobie. Kishan zdjął rękawicę i ciepłą dłonią dotknął

mojego policzka, z poważną miną przyglądając się mojej twarzy. Uśmiechnęłam się

i go uściskałam.

Uścisk miał być krótki, ale Kishan przytulił mnie mocno, tak jakbyśmy mieli się już

nigdy nie zobaczyć. W końcu niezdarnie wyplątałam się z jego objęć, włożyłam

rękawiczki i przeszłam przez bramę, wprost na zalane słońcem zbocze Mount

Everestu. Moje zimowe buty z chrzęstem zapadły się w połyskujący śnieg. W tym

momencie z bramy wyszedł Kishan i zmienił się w czarnego tygrysa.

## POWRÓT DO DOMU

Gdy przeszliśmy przez bramę, odwróciłam się, by obserwować, jak kraina Shangri-La znika w wirze kolorów. Pulsujący czerwonym światłem odcisk dłoni zbladł i brama przybrała dawną formę -dwóch wysokich drewnianych kolumn, na których powiewały flagi modlitewne.

Zamrugałam i lekko przetarłam powieki. Coś przykleiło mi się do rzęs. Ostrożnie zdjęłam z nich przezroczystą, zieloną błonkę, która zsunęła się z powierzchni każdego oka jak soczewki kontaktowe. Ki-shan najwyraźniej utknął na jakiś czas w ciele tygrysa, podobnie jak Ren po wyjściu z Kiszkindy. Kiedy zamrugał ślepiami, dostrzegłam, że i od nich odkleja się zielona błonka.

- Stój w miejscu. Muszę to zdjąć, bo będzie ci przeszkadzać przez całą drogę.

Chwyciłam błonkę w palce i zaczęłam ściągać ją ostrożnie, od zewnętrznego kącika oka. Zajęło mi to sporo czasu, ale byłam dumna, że w ogóle potrafiłam to zrobić.

Nauczyciel o Mądrości jak Ocean mówił, że kiedy wyjdziemy z Shangri-La, łuski opadną nam z oczu i znów ujrzemy realny świat. Nie spodziewałam się, że jego przepowiednia okaże się aż tak dosłowna.

Poprawiłam plecak i rozpoczęliśmy przyprawiające o zawrót głowy zejście do obozowiska pana Kadama. Świeciło słońce, ale było zimno. Ja jednak czułam, że paląca energia popycha mnie do przodu. Nie chciałam zatrzymać się na choćby najkrótszy odpoczynek, mimo że Kishan najwyraźniej usiłował mnie na to namówić. Zachęcałam

go do dalszej drogi i przystanąłam dopiero, gdy było już zbyt ciemno, aby cokolwiek dostrzec.

Od czasu spotkania z Muninem mój umysł był przejrzysty. Stworzyłam w głowie plan, wiedziałam, jak uratować Rena. Jedyne, czego nie wiedziałam, to gdzie go znaleźć. Miałam nadzieję, że pan Kadam opowie mi co nieco o kulturze ludzi, których ujrzałam w swojej wizji, a także o miejscu, gdzie mieszkają.

Miałam nadzieję, że opis ich wyglądu mu wystarczy i że będzie wiedział, gdzie zacząć poszukiwania. Liczyłam też na to, że w Shangri-Ija czas się zatrzymał lub chociaż zwolnił. Nie miałam wątpliwości, że Lokesh wykorzystuje każdą chwilę na dręczenie Rena. Myśl o tym, że Ren cierpi, była nieznośna, tym bardziej biorąc pod uwagę długi czas, jaki spędziliśmy w świecie za Świętą Rramą.

Tej nocy leżałam bezsennie w namiocie, obmyślając strategię i analizując ją z przeróżnych punktów widzenia. Nie pozwolę, by Lokesh wziął kolejnego jeńca. Nie będziemy z nim negocjować. Ocalimy Rena i wszyscy razem wrócimy do domu.

Następnego ranka Kishan obudził się i przybrał ludzką postać. Szybko poprosiłam chustę o ciepłe ubranie dla niego i gdy przebierał się w namiocie, przygotowałam śniadanie. Książę wkrótce dołączył do mnie w rudej ocieplanej bluzie, czarnej nieprzemakalnej kurtce, czarnych spodniach ze ściągaczami do kompletu, ocieplanych rękawicach, grubych wełnianych skarpetach i śniegowcach. Obejrzałam go od stóp do głów i w myślach pogratulowałam sobie dobrej roboty.

Wkrótce odkryliśmy, że zdobycie chusty oznacza dla Kishana dodatkowe sześć godzin dziennie w ludzkim ciele. Byliśmy więc w połowie drogi. Bracia mogli teraz pozostawać ludźmi przez dwanaście godzin na dobę. Chociaż bardzo się śpieszyłam, Kishan przypomniał mi, że zejście z góry zajmie nam przynajmniej dwa dni. Gdy drugiego wieczoru rozbiliśmy obóz, uznałam, że czas przedstawić mu mój plan ratowania Rena i pokazać, co jeszcze potrafi nasza magiczna chusta.

Gdy już siedzieliśmy wygodnie w namiocie, rozpięłam śpiwór i rozłożyłam go na podłodze. Poprosiłam Kishana, by usiadł naprzeciwko mnie, i wzięłam do ręki chustę.



— Chusta potrafi kilka rzeczy — zaczęłam. — Może zmienić się lub stworzyć wszystko, co jest zrobione z materiału lub naturalnych włókien. To, co wyczaruje, może, ale nie musi zniknąć, gdy przestaje być potrzebne, jednak w przypadku gdy chusta nie wchłania tego z powrotem, przedmiot traci swoje magiczne właściwości. Materiał może się również zmienić w worek pełen wiatru, jak w opowieści o bogu Fujinie. Można jej też używać, by zmieniać swój wygląd.

— Zmieniać wygląd? Co masz na myśli?

— Hm, zastanawiam się, jak to opisać. Czy widziałeś kiedyś magika, który wyciąga królika z kapelusza?

— Od czasu do czasu nasz dwór odwiedzali magicy. Jeden z nich zmienił mysz w psa.

— Tak! To coś podobnego. Iluzja. Sztuczka wykonana za pomocą światła i luster.

— Jak to się robi?

— Pamiętasz, co Boska Tkaczka mówiła o niezwykłej mocy tej tkaniny, która zbiera, stwarza i odmienia? A więc nie tylko zbiera wiatr, nie tylko stwarza to, co potrzebne, ale i odmienia, sprawiając, że wyglądasz jak ktoś inny. Chodzi o to, by dokładnie wyobrazić sobie osobę, do której chcesz się upodobnić. Patrz i powiedz mi, czy się udało.

— Chcę się zmienić w Nilimę! — powiedziałam.

Chusta rozrosła się w długi i szeroki pas czarnej tkaniny, migoczącej kolorami na całej powierzchni. Zalśniła, jakby na chwilę ozdobiły ją barwne cekiny, po czym zgasła. Wnętrze namiotu rozbłysło ruchomymi promieniami światła, jakby tysiące pryzmatów wysyłały na wszystkie strony tęczowe smugi.

Owinęłam się tkaniną, która przykryła mnie całą, razem z włosami i twarzą. Moja skóra nabrała ciepła i poczułam lekkie mrowienie. Kolorowe światła zaczęły wirować wokół mnie. Gdy przygasły, zdjęłam z siebie magiczną płachtę i spojrzałam na Kishana.

— No i co?

Książę spoglądał na mnie z otwartymi ze zdumienia ustami.

— Kells? - Aha.

— Ty... nawet mówisz jak Nilima. I jesteś ubrana tak jak ona. Opuściłam wzrok i dostrzegłam, że mam na sobie jasnoblękitną jedwabną sukienkę do kolan, a przy tym gołe nogi.

— Rzeczywiście! Strasznie mi zimno!

Kishan otulił mnie swoją kurtką, po czym ujął moją dłoń i przyjrzał jej się uważnie.

— Twoja skóra wygląda jak jej skóra. Masz nawet jej długie, pomalowane paznokcie. Nie do wiary!

Zadrzałam.

— No dobrze, koniec pokazu. Naprawdę umieram z zimna. — To powiedziawszy, znów owinęłam się chustą i oświadczyłam:

— Chcę znów być sobą.

Kolory zaczęły płaszać po powierzchni tkaniny. Po dość długiej chwili zdjęłam ją z siebie i znów wyglądałam jak ja.

— Teraz twoja kolej, Kishanie. Nie mogłam spojrzeć w lustro, a chciałabym zobaczyć, jak duże jest podobieństwo.

— W porządku. — Książę wziął ode mnie chustę i powiedział: — Chcę się zmienić w pana Kadama!

Owinał się cłmstą, a gdy po chwili ją zdjął, pan Kadam stał przede mną jak żywy.

Wyglądał kropka w kropkę tak samo jak wtedy, gdy go ostatni raz widziałam.

Wyciągnęłam przed siebie palec i dotknęłam jego krótko przystrzyżonej brody.

— Niesamowite! Wyglądasz dokładnie tak samo! — Pomacałam skraj jego spodni. Materiał był jak prawdziwy. Kishan dotknął swojej twarzy i przesunął dłonią po krótkich włosach.

— Chwileczkę! — zawołałam. — Przecież ty nawet masz na szyi jego amulet! Czy on też jest prawdziwy?

Kishan dotknął amuletu i obrócił w palcach łańcuszek.

— Wygląda jak prawdziwy, ale to iluzja.

— Skąd wiesz?

— Nosilem ten amulet przez większość życia i odkąd ci go oddałem, odczuwam jego brak. Ten tutaj nie wydaje mi się prawdziwy. Nie czuję jego mocy. Poza tym jest lżejszy i nieco inny w dotyku.

— Hmm, ciekawe. Ja chyba jeszcze nie poczułam jego mocy. Dotknęłam amuletu na jego szyi i porównałam go ze swoim.

— Ten chyba jest zrobiony z materiału.

— Naprawdę? — Kishan potarł medalion palcami. — Masz rację. Coś jest z nim nie tak. Naprawdę nie czujesz mocy mojego amuletu?

— Nie.

— Gdybyś nosiła go przez wiele lat, tak jak ja, z pewnością byś ją poczuła.

— A może to coś, co czujecie tylko wy, tygrysy? W końcu to przedmiot, z którym jesteście bardzo silnie związani.

— Możliwe. Będziemy musieli zapytać o to pana Kadama. — Kishan zarzucił na siebie chustę i wkrótce wyłonił się spod niej już we własnej postaci. — A więc jaki właściwie masz plan, Kells?

— Nie obmyśliłam jeszcze wszystkich szczegółów, ale chyba moglibyśmy podszyć się pod strażników Lokesha i zakraść się do miejsca, gdzie przetrzymuje Rena.

— A więc nie masz zamiaru pertraktować? Nie chcesz oddać Lo-keshowi amuletu w zamian za uwolnienie mojego brata?

— Nie, przynajmniej dopóki da się tego unikać. Chciałabym, żeby to był nasz plan awaryjny. Jednak największy kłopot w tym, że nie wiemy, gdzie Lokesh więzi Rena. Mówiłam ci już, że w swojej wizji ujrzałam Rena, jednak widziałam też kogoś, kogo przy odrobinie szczęścia pan Kadam będzie w stanie zidentyfikować.

— Zidentyfikować? Ale jak?

— Ta postać miała wyjątkową fryzurę i tatuaże. Nigdy wcześniej takich nie widziałam.

— To będzie trudne, Kelsey. Nawet jeśli dowiemy się, skąd ten człowiek pochodzi, nie znaczy to przecież, że w tym samym miejscu Lokesh trzyma Rena.

— Wiem, ale to nasza jedyna szansa.

Następnego dnia opuściliśmy wreszcie krainę wiecznego śniegu i szybkim krokiem ruszyliśmy w dół zbocza. Kishan spędził noc jako tygrys, w związku z czym przez większość dnia towarzyszył mi w ciele człowieka. Dzięki temu mogliśmy rozmawiać. Kishan wyjaśnił, jakie go ogarnęło przygnębienie, gdy po wyjściu z Shangri-La uwiązał w ciele tygrysa. Podobnie jak Ren, zakosztowawszy bycia człowiekiem przez cały czas, jeszcze bardziej tego zapragnął. Tłumaczyłam mu, że dwanaście godzin to zawsze więcej niż sześć i może teraz spędzać noce jako tygrys, a na cały dzień odzyskiwać ludzką postać. On jednak nadal był niepokieszony.

W pewnej chwili rozmowa urwała się i zapadła cisza.

— Kishanie? — odezwał się po kilku minutach.

Książę stęknął, pośliznąwszy się na żwirze, co sprawiło, że osunął się o kilka metrów.

— Słucham.

— Chciałabym, żebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o Lokeshu. Gdzie po raz pierwszy go spotkałeś? Jaki jest? Opowiedz mi o jego rodzinie, żonie i o tym, skąd pochodzi. Wszystko, co powinnam wiedzieć.

— Dobrze. Zacznijmy od tego, że nie pochodzi z królewskiej rodziny.

— Jak to? Myślałam, że był władcą.

— Owszem, lecz nie od urodzenia. Kiedy go poznałem, pełnił funkcję królewskiego doradcy. Gdy prawowity król umarł nagle, nie pozostawiając po sobie potomstwa, Lokesh zajął jego miejsce.

— Hm, to ciekawa historia. Czy wszyscy przyjęli go jako nowego króla? Nikt nie protestował?

— Jeśli nawet, to Lokesh zdusił protesty w zarodku i zabrał się do budowania swojej potężnej armii. W królestwie, które przejął we władanie, zawsze panował spokój i do tamtej pory nie mieliśmy z nim problemów. Zresztą nawet jako król Lokesh bardzo ostrożnie postępował z moją rodziną. Pomiedzy oddziałami naszych wojsk wywiązywały się wprawdzie drobne swary, ale Lokesh zawsze twierdził, że nic o nich nie wiedział. Teraz sądzę jednak, że te zatargi wywoływali jego szpiedzy, ponieważ zawsze dochodziło do nich w ważnych strategicznie okolicach. Lokesh zbywał nasze pretensje, mówiąc, że to drobne nieporozumienia i że skarci prowodyrów, oczywiście tych, którzy przeżyli potyczkę.

— Przeżyli? Jak to „przeżyli”?

— Konflikty często kończyły się śmiercią jego żołnierzy. Wykorzystywał ich jak narzędzia, które zawsze można zastąpić nowymi. Zmuszał do absolutnego posłuszeństwa, a oni go słuchali.

— I nikt z twojej rodziny nic nie podejrzewał?

— Tylko pan Kadam. Był wtedy głównym dowódcą armii i czuł, że problemy wynikają z czegoś więcej niż niezrozumienia rozkazów. Poza tym jednak nikt niczego nie podejrzewał. Gdy Lokesh nas odwiedzał, był uprzejmy i elegancki. Zawsze okazywał memu ojcu szacunek, choć w duchu kalkulował zimno, jak doprowadzić nas do upadku.

— Czy Lokesh ma jakieś słabości?

— Myślę, że on lepiej zna moje słabe punkty niż ja jego. Przypuszczam, że krzywdził Yesubai. Twierdził, że jego żona umarła na długo przed tym, jak go poznaliśmy. Yesubai nigdy nie mówiła o matce, a mnie nie przyszło do głowy, by ją wypytywać. Z tego co wiem, Lokesh nie miał więcej dzieci, chyba że ożenił się po raz drugi. Najbardziej na świecie pożąda władzy. To może być jego słabość.

— Czy jest chciwy? Ryc może istnieje sposób, by kupić wolność Rena?

— Nie. Lokesh używa pieniędzy tylko jako środka do zdobycia władzy. Nie obchodzą go złoto ani klejnoty. Może twierdzić, że jest inaczej, ale nie wierzyłbym w jego słowa. To niezwykle ambitny człowiek, Kelsey.

— Czy wiemy coś o pozostałych fragmentach amuletu? Na przykład gdzie je znalazł?

— Wiem o amulecie tylko to, co powiedzieli mi rodzice. Mówili, że jego fragmenty należą do pięciu potężnych rodów i są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Rodzina mojej matki miała jeden z nich, ten, który teraz nosisz, rodzina ojca drugi, który należy do pana Kadama. Nie mam pojęcia, jak Lokesh zdobył pozostałe trzy. Zanim o nich wspomniał, nie wiedziałem nawet, że istnieją. Ren i ja nosiliśmy swoje fragmenty pod ubraniem i były to starannie strzeżone pamiątki rodzinne.

— Może Lokesh znalazł gdzieś listę rodzin, do których należały? — zasugerowałam.

— Ryc może. Ale ja nigdy nie słyszałem o takiej liście.

— Czy twoi rodzice zdawali sobie sprawę z mocy amuletu?

— Nie. Odkryli ją dopiero, gdy zmieniono nas w tygrysy.

— Nie mieliście nigdy przodka, który żyłby tak długo jak pan Kadam?

— Nie. Zarówno matka, jak i ojciec pochodzili z licznych rodzin. Zawsze było komu przekazać amulet, a zgodnie z tradycją otrzymywał go młody władca, kiedy skończył osiemnaście lat. Nasi przodkowie żyli dłużej niż przeciętny człowiek, ale pamiętaj, że w tamtych czasach ludzie umierali znacznie młodziej niż dziś.

— Niestety, żadna z tych informacji chyba nie posłuży mi do odkrycia słabości Loksha.

— A może jednak...

— Co masz na myśli? — spytałam.

— Lokesh nade wszystko pragnie władzy. Ponieważ gotów jest zdobyć amulet dowolnym kosztem, można to uznać za jego słabość.

— Ale jak ją wykorzystać?

— Kiedy zmieniałem się w pana Kadama, chusta wyczarowała replikę amuletu. Gdyby Lokesh dostał ją w swoje ręce, zdawałoby mu się, że wygrał.

— Tylko że nie wiemy, czy fałszywy amulet można zdjąć z szyi. A nawet jeśli można, nie wiemy, po jakim czasie zniknie.

Kishan wzruszył ramionami i powiedział:

— Możemy to sprawdzić po powrocie do obozu.

— Dobry pomysł.

Potknęłam się o kamień. Kishan złapał mnie i podtrzymał przez chwilę, po czym z uśmiechem odgarnął mi włosy z twarzy.

— Jesteśmy prawie na miejscu. Dasz radę iść czy wolisz odpocząć? — spytał poważnym tonem.

— Nie martw się, dam radę. Puścił mnie i odebrał mi plecak.

— Kishanie, chciałam ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś w Shangri-La. Nie udałooby mi się bez ciebie.

Książę zarzucił plecak na ramię i przez chwilę stał nieruchomo, przyglądając mi się w zamyśleniu.

— Chyba nie sądziłaś, że puściłbym cię samą?

— Nie, ale i tak jestem wdzięczna, że przy mnie byłeś.

— Wdzięczna? I to wszystko?

— A czego byś jeszcze chciał?

— Adoracji, oddania, uczucia. Albo żebyś najzwyczajniej w świecie uznała mnie za faceta, któremu nie sposób się oprzeć.

— Wybacz, Don Juanie. Będzie ci musiała wystarczyć moja dozgonna wdzięczność. Kishan westchnął dramatycznie.

— Cóż, od czegoś trzeba zacząć. Myślę, że jesteśmy kwita. Przecież jeszcze nie podziękowałam ci za to, że mnie namówiłaś na powrót z dżungli do domu.

Odkryłem, że... całkiem mi się w nim podoba.

Uśmiechnęłam się.

— W porządku. Jesteśmy kwita. Kishan objął mnie i ruszyliśmy dalej.

— Ciekawe, czy natkniemy się znów na tamtego niedźwiedzia — powiedział po chwili.

— Jeśli tak, to tym razem lepiej sobie z nim poradzę. Nie wpadłam na to, żeby zaatakować go piorunem. Najwyraźniej kiepska ze mnie wojowniczką.

— Z ptakami poszło ci całkiem nieźle — odparł, uśmiechając się szeroko. — Nie bałbym się pójść na bitwę, mając cię u boku. Pozwól, że ci opowiem o tym, jak kiedyś zapomniałem wziąć ze sobą miecza. .. — Pocałował mnie w czoło i pograżył się we wspomnieniach.

O zmierzchu ujrzeliśmy z daleka jakiś maleńki ogieniek u stóp zbocza. Kishan zapewnił mnie, że to obóz pana Kadama. Powiedział, że czuje na wietrze jego zapach. Przez ostatni kilometr drogi trzymał mnie za rękę, bo było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Kiedy zbliżyliśmy się do obozowiska, rozpoznałam cień pana Kadama wewnątrz namiotu.

Podeszłam i powiedziałam:

— Puk, puk. Czy znajdzie się tu miejsce dla pary znużonych wędrowców?  
Cień poruszył się, a uchwyt suwaka przesunął się w dół.

— Panna Kelsey? Kishan?

Pan Kadam wyszedł z namiotu i mocno mnie uściskał, a potem poklepał Kishana po plecach.

— Na pewno jesteście przemarznięci! Wejdźcie do środka. Zrobię wam gorącej herbaty. Już stawiam czajnik na ogniu.

— Nie trzeba, proszę pana. Możemy przecież poprosić złoty owoc!

— Ach, tak, zapomniałem.

— Poza tym mamy jeszcze coś.

Ściągnęłam z szyi chustę, która z ametystowej przybrała barwę turkusową.

— Poproszę o miękkie poduszki i większy namiot — powiedziałam.

Turkusowe nici poruszyły się, rozciągnęły i już po chwili siedzieliśmy wygodnie na dużych, kolorowych poduszkach w dwa razy większym namiocie. Pan Kadam obserwował cały proces jak urzeczony.

Kishan pomógł mi zdjąć kurtkę, a pan Kadam zapytał:

— Czy chusta działa tak jak złoty owoc, tyle że szyje zamiast wyczarowywać jedzenie?

— Mniej więcej.

— „W końcu ubierzesz Indii lud...” — wymamrotał pod nosem nasz przyjaciel.

— Rzeczywiście, moglibyśmy chyba ubrać w ten sposób wszystkich mieszkańców Indii. Zabawne, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Chwileczkę, czy przepowiednia nie wspomina też o szalu?

Pan Kadam zaczął grzebać w papierach, aż wydobył spośród nich właściwą kartkę.

— Ma pani rację. „Skraj szala ściśnij, a pokonasz żelaznej straży powietrzny huk”.

O to pani chodziło?

Roześmiałam się.

— Aha. Wszystko nabiera sensu. Proszę pana, ta chusta potrafi jeszcze coś. Można w nią zebrać jak do worka wiatry z czterech stron świata, tak jak to zrobił bóg Fujin.

— Podobny worek otrzymał Odyseusz od Eola! — zakrzyknął pan Kadam. — Była to skórzana sakwa, związana srebrnym sznurkiem.

— Wszystko się zgadza oprócz tej skóry.

— Być może ma coś wspólnego z którymś z bogów wiatru? Waju? Strzybogiem? Njórdem? Pazuzu?

— Proszę nie zapominać o Boreaszu i Zefirze.

— Czy moglibyście zacząć mówić po angielsku? — wtrącił się Kishan.

Pan Kadam wybuchnął śmiechem.

— Wybacz, na chwilę mnie poniosło.

— Pokażemy mu, Kishanie? — spytałam.

— Dobrze.

Pan Kadam nachylił się w naszą stronę.

— Co chcecie mi pokazać?

— Przekona się pan.

Kishan wziął chustę, mruknął: „przemiana”, i owinał się nią od stóp do głów. Chusta wydłużyła się i czarna tkanina zaczęła mienić się kolorami.

— Chcę sprawdzić, czy zadziała, jeśli nie wypowiem życzenia na głos.

— Dobry pomysł — odparłam.

Kiedy Kishan zdjął z siebie chustę, zobaczyłam coś, na co nie byłam przygotowana. Stał przede mną Ren. Kishan przybrał postać Rena. Najwyraźniej dostrzegł moją gwałtowną reakcję.

— Przepraszam. Nie chciałem przestraszyć pana Kadama, pokazując mu jego własną twarz.

— Nic nie szkodzi, ale zmień się już z powrotem.

Kishan spełnił moją prośbę. Pan Kadam siedział bez ruchu, oszołomiony, a ja nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Widok Rena — nawet jeśli wiedziałam, że tak naprawdę to wciąż Kishan - był dla mnie dużym wstrząsem. Z trudem powstrzymałam emocje.

Kishan wyjaśnił szybko:

— Dzięki chuście możemy przybrać postać kogoś innego. Kelsey zmieniła się wcześniej w Nilimę, a ja w pana. Musimy teraz wypróbować jej wszystkie możliwości.

— To wprost nie do wiary! - zawołał pan Kadam. - Ee... czy mogę?

— Proszę bardzo.

Kishan rzucił chustę panu Kadamowi. Gdy tylko mój opiekun dotknął materiału, kolory zawirowały i chusta przybrała jasnobrązową barwę, a gdy pogładził ją palcami, zrobiła się oliwkowozielona.

— Chyba pana lubi — zażartowałam.

— Tak... Wyobraźcie sobie, jakie to nam daje możliwości. Może pomóc ludziom, podobnie jak złoty owoc. Tak wiele osób cierpi głód i zimno, i to nie tylko w Indiach. To prawdziwie boskie dary.

Pan Kadam przyglądał się chuście, a ja tymczasem poprosiłam złoty owoc o dwie herbaty rumiankowe ze śmietanką i cukrem.



Kishan, który nie był entuzjastą herbaty, dostał gorącą czekoladę z cynamonem i bitą śmietaną.

- Jak długo nas nie było? - spytałam.

- Nieco ponad tydzień - odparł pan Kadam. Szybko obliczyłam, ile dni spędziliśmy w górach.

- Świetnie. A więc w Shangri-La czas rzeczywiście się zatrzymał.

- Jak długo tam byliście?

- Nie jestem pewna, ale myślę, że prawie dwa tygodnie. Zgadza się?

Zerknęłam na Kishana, który skinął głową, w milczeniu popijając czekoladę.

- Proszę pana, jak prędko możemy ruszyć w dalszą drogę?

- Z nadejściem świtu.

- Chciałabym jak najszybciej wrócić do domu. Musimy przygotować się do odbicia Rena.

- Zamiast znów przemierzać Himalaje, możemy wjechać do Indii od strony prowincji Sikkim. Zaoszczędzi nam to sporo czasu.

- Ile dokładnie?

- Zależy, jak szybko dotrzemy do granicy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, być może kilka dni.

- Dobrze. Mamy panu mnóstwo do opowiedzenia.

Pan Kadam spojrział na mnie w zamyśleniu, popijając herbatę.

- Panno Kelsey, jest pani niewyspana. Widzę to w pani oczach. -Zerknął na Kishana i znów napił się herbaty. - Myślę, że powinna się pani przespać. Mamy przed sobą długą drogę, będzie więc czas, by wszystko przedyskutować.

~ Zgadzam się - wtrącił Kishan. - Te ostatnie dni były dla ciebie bardzo trudne.

Musisz odpocząć, *bilauta*. Dokończyłam herbatę.

~ Chyba zostałam przegłosowana. W porządku. Prześpijmy się wszyscy, dzięki temu będziemy mogli wcześniej wyruszyć.

Poprosiłam chustę o jeszcze jeden śpiwór i poduszki dla całej naszej trójki.

Zasnęłam, wsłuchana w cichą rozmowę Kishana z panem Kadamem w ich ojczystym języku.

Następnego dnia wyruszyliśmy w podróż do domu. Minęliśmy granicę i w połowie drogi zatrzymaliśmy się na noc w hotelu w miejscowości Gaja. Przez całą drogę zmienialiśmy się przy kierownicy,

żeby każdy miał szansę uciąć sobie drzemkę na tylnym siedzeniu. Kiedy przyszła kolej Kishana, by prowadzić, pan Kadam nie spuszczał go z oka, ponieważ wciąż nie wybaczył mu rozbicia jeepa.

Podczas jazdy opisywaliśmy panu Kadamowi naszą wyprawę. Zaczęłam od Mount Everestu i niedźwiedzia. Kishan opowiedział

o tym, jak niósł mnie do Świętej Rramy i o wędrówce przez rajsą krainę. Pan Kadam był niezwykle zainteresowany leśnym ludkiem

i zadawał nam dziesiątki pytań. Gdy zmieniał go za kierownicą, jak szalony zaczął robić notatki. Pragnął spisać wszystkie szczegóły naszej podróży, słuchał uważnie i wypełniał stronę za stroną swoim starannym, kaligraficznym pismem.

Zadawał wiele drobiazgowych pytań o test czterech domów i o żelazne ptaki.

Słuchając naszych odpowiedzi, kiwał głową, jakby się ich spodziewał.

Gdy przybyliśmy do hotelu, usiedliśmy przy niewielkim stole i pokazaliśmy mu zdjęcia, które Kishan zrobił w pobliżu arki Noego, drzewa życia, wioski nimf oraz czterech domów. Dzięki fotografiom przypomnieliśmy sobie kolejne szczegóły. Pan Kadam znów wyciągnął zeszyt i zaczął notować.

Kishan podał mi aparat i zapytał:

— A to co?

Zaczęłam obracać aparat na wszystkie strony, aż wreszcie się roześmiałam:

— Chyba oko Hugina? Zobacz, tu widać gniazdo.

— Czemu nie wzięliście aparatu do Kiszkindy? Wzruszyłam ramionami, ale pan Kadam pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Nie chcieliśmy obciążać Kelsey zbyt wielką ilością bagażu. Musiała wziąć z sobą wodę i jedzenie, poza tym nie mieliśmy pojęcia, że nie będzie jej tak długo ani że w ogóle odnajdą wejście do królestwa.

Kishan parsknął i powiedział:

— To zdjęcie będzie dla mnie, *apsara radzkumari*.

Podał mi aparat. Ujrzałam siebie w zielonej sukni i z elfami we włosach. Skóra mi lśniła, oczy błyszczały i wyglądałam jak księżniczka. Włosy miękkimi falami spływały mi po plecach, a różowy elf wyglądał ukradkiem zza jednego z pasm, przypatrując się mojej twarzy.

Pan Kadam zajrzał mi przez ramię.

— Wygląda pani bardzo efektownie, panno Kelsey. Kishan się roześmiał.

— Trzeba ją było zobaczyć na żywo. „Efektownie” to dość powściągliwe określenie.

Pan Kadam zachichotał i poszedł do samochodu po swój bagaż. Kishan zamknął za nim drzwi, wrócił do stołu, wsparł się o niego biodrem i spojrzał na mnie z powagą. — Właściwie to chyba nigdy nie widziałem piękniejszej istoty — powiedział.

Wykręciłam nerwowo dłonie.

— Cóż, gdy ktoś przejdzie taką przemianę, zawsze wzbudza zachwyt. Elfy zrobiłyby furorę w naszych salonach piękności.

Kishan wyprostował się, ujął mnie za łokieć i obrócił do siebie.

— To nie suknia i elfy we włosach uczyniły cię piękną. Zawsze byłaś piękna. Ten strój podkreślił tylko wszystkie twoje walory. — Wziął mnie pod brodę i spojrzał mi w oczy. — Jesteś cudowną kobietą, Kelsey.

Położył ciepłe dłonie na moich ramionach i lekko je pomasaował. Przyciągnął mnie do siebie, a jego wzrok zsunął się na moje usta. Przysunął wargi do moich. Oparłam mu ręce na piersi i karcącym tonem powiedziałam.

— Kishanie!

— Lubię, jak wymawiasz moje imię.

— Puść, proszę.

Kishan uniósł głowę, westchnął lekko i szepnął:

— Ren... jest wielkim szczęściarzem.

Puścił mnie niechętnie i podszedł do okna. Udałam, że zajmuję mnie zbieranie kosmetyków i pizamy. Kishan przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, podrapał się po policzku i oznajmił:

— Ja chyba też muszę o siebie zadbać. Czuję, że wzywa mnie gorący prysznic.

— Aha — odparłam, wciąż zdenerwowana. — Mnie też. Cudownie będzie wziąć gorący prysznic.

Kishan uniósł brew.

— Chcesz iść pierwsza?

— Nie, nie trzeba.

Książę zerknął na mnie z błyskiem w oku.

— Cudownie by było, gdybyś zechciała zaoszczędzić ze mną trochę wody.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

— Kishanie!

Mój towarzysz puścił do mnie oko.

— Tak myślałem. Ale spróbować zawsze warto. Uratował mnie powrót pana Kadama.

Następnego dnia rozmawialiśmy o Lokeshu. Pan Kadam również zauważył tamtego wytatuowanego sługę i uznał, że jego charakterystyczny wygląd pozwoli nam zorientować się, skąd pochodzi. Starszy pan zaplanował również dyskretne śledztwo w biurze Lokesha w Mumbaju.

Na zewnątrz w powietrzu wisiała taka wilgoć, że wystarczyłoby pewnie wystawić butelkę za okno, żeby napełnić ją wodą. Mijaliśmy świątynie ze złotymi kopułami i ludzi pracujących na polach, przejeżdżaliśmy przez wezbrane rzeki i zalane drogi, ale ja cały czas myślałam tylko o Renie. Właściwie to jedynym, który potrafił odciągnąć moją uwagę od Rena, był Kishan.

W Shangri-La coś się między nami zmieniło i nie bardzo wiedziałam, co z tym zrobić. Poza tym spędziliśmy ze sobą mnóstwo czasu, a Kishan od niewinnego flirtu zdążył przejść do poważnych aluzji. Na początku miałam nadzieję, że im lepiej mnie pozna, tym mniej będzie mnie lubił. Wyglądało jednak na to, że jest wprost przeciwnie. Owszem, kochałam go, ale nie taką miłością, jakiej by pragnął.

Wiedziałam, że mogę mu ufać i na nim polegać. Zaprzyjaźniliśmy się, ale byłam zakochana w jego bracie. Gdybym to Kishana poznała wcześniej, być może sprawy wyglądałyby inaczej. Tak się jednak nie stało.

Myśli o braciach dręczyły mnie przez całą drogę. Czy to, że najpierw poznałam Rena, było kwestią ślepego trafu? Czy zakochaliśmy się w sobie przez przypadek? A gdyby to Kishan, a nie Ren przyjechał za mną do Stanów? Czy dokonałabym innego wyboru?

Nie wiedziałam. Kishan był bardzo atrakcyjny, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz. Miał w sobie coś, coś co sprawiało, że każda dziewczyna pragnęłaby złapać go i nie wypuścić. Był samotny. Szukał domu i miłości, tak samo jak Ren. Potrzebował kogoś, kto by się nim zaopiekował i pozwolił zagubionemu tygrysowi wreszcie odpocząć. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić siebie w tej roli.

Wyobrażałam sobie, że mogłabym się w nim zakochać i być z mm szczęśliwa. Ale wtedy pomyślałam o Renie. Miał te same cechy, które kochałam w Kishanie. I on potrzebował miłości, jego udreńczona tygrysia dusza także pragnęła spokoju. Poza tym ja i Ren pasowaliśmy

do siebie idealnie, zupełnie jakbyśmy byli sobie przeznaczeni. Był wszystkim, o czym mogłam marzyć, i to na dodatek w zabójczo przystojnym ciele.

Ren i ja mieliśmy tak wiele wspólnego. Uwielbiałam jego czułe słówka i to, jak mi śpiewał oraz grał na gitarze. Przepadałam za tym, jak emocjonował się Szekspirem i jak oglądając filmy, trzymał kciuki za pozytywnych bohaterów. I za tym, że nigdy nie oszukiwał, nawet po to, by zdobyć ukochaną dziewczynę.

Gdybym nigdy nie poznała Rena, gdyby to Kishan tkwił w tamtej klatce w cyrku, i z nim mogłabym być szczęśliwa. Ale miłość Rena sprawiała, że nie chciałam nikogo innego. Wypełniał cały mój świat, nawet kiedy go przy mnie nie było.

Ren nie uznawał szarości. Był białym kotem, Kishan zaś był czarny. Problem polegał na tym, że ja nie odbierałam Kishana w ten sposób. Kishan też był bohaterem. Obaj zaznali cierpienia. A Kishan tak samo jak jego brat zasługiwał na szczęście.

Teraz, siedząc za kierownicą, spoglądał na mnie raz po raz, obserwując moją twarz. Przygryzałam wargę, pogrążona w myślach, kiedy usłyszałam jego głos:

— O czym myślisz? Zaczerwieniłam się i odparłam:

— O tym, jak ocalić Rena. — Po czym odwróciłam się na bok i zapadłam w drzemkę.

Kiedy samochód w końcu zatrzymał się na podjeździe, Kishan potrząsnął mną lekko i oznajmił:

— Jesteśmy w domu, *bilauta*.

## WYZNANIA

Powrót do domu tak mnie uszczęśliwił, że chciało mi się płakać. Kishan wziął bagaże i szybko zniknął w środku. Pan Kadam udał się do gabinetu, by przeprowadzić kilka ważnych rozmów telefonicznych. Postanowiłam wziąć długi, gorący prysznic i zrobić pranie.

Już w piżamie i kapciach podreptałam do pralni. Nie byłam pewna, co zrobić z ubraniami, które podarowały mi nimfy. W końcu postanowiłam wywiesić je na noc na werandzie, żeby sprawdzić, czy i w prawdziwym świecie istnieją elfy. Potem przeszłam się po domu, zobaczyć, co robią moi towarzysze.

Pan Kadam tkwił w bibliotece i rozmawiał przez telefon. Usłyszałam zaledwie połowę rozmowy. Kiedy mnie zobaczył, podsunął mi krzesło, żebym mogła usiąść obok niego.

- Tak. Oczywiście. Proszę zadzwonić tak szybko, jak to będzie możliwe. Zgadza się. Proszę przysłać tyle, ile potrzeba. Będziemy w kontakcie. - Rozłączył się i spojrzał na mnie.

Bawiąc się mokrymi włosami, zapytałam:

- Kto to był?

- Pewien utalentowany człowiek, który dla mnie pracuje. Jedną z jego umiejętności jest infiltracja dużych przedsiębiorstw.

- Co będzie dla nas robił?

- Spróbuje wysledzić, kto pracuje w biurze na ostatnim piętrze najwyższego wieżowca w Mumbaju.

- Chyba nie ma pan zamiaru tam wejść? Lokesh pana złapie, tak samo jak złapał Rena!

- Nie. Ostatnim razem Lokesh zdradził nam więcej, niż zdołał się dowiedzieć od nas. Zwróciła pani uwagę na jego garnitur?

- Garnitur? Wyglądał normalnie.

- Ależ skąd. Lokesh zamawia garnitury u indyjskich projektantów. W całym kraju tylko dwie firmy specjalizują się w tak drogich i eleganckich strojach. Wysłałem ludzi, którzy mają ustalić właściwy adres.

Pokręciłam głową z uśmiechem.

- Czy ktoś już panu mówił, że jest pan niebywale spostrzegawczy?

Staruszek się uśmiechnął.

- Może raz czy dwa.

- Cóż, cieszę się, że mamy pana po swojej stronie. Jestem pod wrażeniem! Nie przyszłoby mi do głowy, żeby spojrzeć na jego ubranie. A co ze służącym?

- Mam kilka pomysłów na to, skąd mógłby pochodzić. Biorąc pod uwagę naszyjnik, włosy i tatuaż, do jutra wybiorę te najbardziej prawdopodobne. Może coś pani przegryzie i pójdzie uciąć sobie drzemkę?

- Spałam w samochodzie, ale chętnie coś zjem. Dołączy pan do mnie?

- Z wielką chęcią. Gwałtownie zerwałam się z miejsca.

- Och! Byłabym zapomniała! Coś panu przywiozłam! Odnalazłam plecak u podnóża schodów, po czym przyniosłam

z kuchni kieliszki i dwa małe talerze. Ustawiłam naczynia przed panem Radamem i rozpięłam plecak.

- Nie wiem, czy ciastko wciąż będzie jadalne, ale nektar na pewno da się wypić.

Pan Kadam nachylił się, zaciekawiony. Otworzyłam pakunki podarowane nam przez sylwany i ułożyłam na talerzyku kilka wykwintnych specjałów. Niestety, paczuszka cieniutkich, koronkowych ciasteczek z cukrem zmieniła się w paczkę okruchów. Jednak pozostałe przysmaki wyglądały równie świeżo i pysznie co w Shangri-La.

Pan Kadam obejrzał miniaturowe smakołyki ze wszystkich stron, zachwycając się ich misterną urodą. Potem ostrożnie spróbował placuszka z grzybami i malinowej tartaletki, a ja wyjaśniłam, że leśny ludek to wegetarianie, którzy uwielbiają słodczyce. Wyciągnęłam korek z wysokiej butelki i nalałam mu do kieliszka słodkiego,

złocistego nektaru. Do pokoju wszedł Kishan i przysunął sobie krzesło obok mnie. — Hej! Czemu nie zaprosiliście mnie na podwieczorek? — zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu. Podsunęłam mu swój talerzyk i poszłam po trzeci kieliszek.

Roześmiani, cieszyliśmy się miłymi chwilami, ze smakiem próbując to dyniowych bułeczek z masłem z włoskich orzechów, to miniaturowych placków z jabłkami, serem i cebulą. Wypiliśmy nektar do ostatniej kropelki i z zachwytem odkryliśmy, że możemy poprosić złoty owoc o więcej.

Tylko jedno mogłoby uczynić ten moment jeszcze przyjemniejszym: gdybym mogła dzielić go z Renem. Obiecałam sobie w duchu, że zanotuję opis każdego pysznego dania, które jedliśmy w Shangri-La, żeby potem za pomocą złotego owocu spróbować ich razem z ukochanym.

Tej nocy nie położyliśmy się wcześniej. Kishan zmienił się w tygrysa i drzemał u moich stóp, a ja i pan Kadam czytaliśmy książki o plemionach Indii. Około trzeciej nad ranem przewróciłam kartkę piątego z kolei tomu i ujrzałam zdjęcie kobiety z tatuażem na czole.

— Niech pan na to spojrz.

Pan Kadam wstał od biurka i usiadł w skórzanym fotelu naprzeciwko mnie.

Wręczyłam mu książkę, a on uważnie przyjrzał się fotografii.

— Tak. To jedno z plemion, o których myślałem. Nazywają się Raiga.

— Co pan o nich wie? Gdzie mieszkają?

— W większości to koczownicy, którzy unikają kontaktów ze światem poza swoją społecznością. Są myśliwymi i zbieraczami, raczej nie uprawiają roli. Wierzą, że to krzywdzi matkę ziemię. Wiem o dwóch grupach: jedna żyje w Madhja Pradeś, w centralnej części Indii, druga na wschodzie kraju, w Dźharkhandzie. Mam tu chyba jakąś książkę o ich kulturze.

Pan Kadam przejrzał kilka półek, aż wreszcie trafił na tom, którego szukał. Usiadł obok mnie i otworzył książkę.

— To tekst o Adiwasi. Powinno tu być coś więcej o plemienu Baiga.

Pochyliłam się i podrapałam Kishana za uchem.

— Co oznacza słowo „Adiwasi”?

— To termin określający rdzenne ludy Indii. Kryje się pod nim kilka różnych kultur.

O, proszę: Irulowie, Oraonowie, Santalowie. — Przewrócił stronę. — A oto i lud Baiga.



Odnalazł właściwy rozdział i przesuwając palcem w dół strony, przeczytał głośno: — „Wypalanie lasu pod uprawę... Tatuaze... Życie w dżungli... Starożytna medycyna... Czary... Wyroby z bambusa...” Aha! Oto, czego szukaliśmy, panno Kelsey. Mężczyźni z plemienia Baiga zapuszczają włosy i układają je w *dżura*, czyli kok. Mężczyzna, który trzymał Rena, pasuje do opisu. Dziwne jest tylko jedno: Baiga raczej nie opuściłby swoich pobratymców, żeby służyć Lokeshowi.

— Nawet gdyby Lokesh sownie go opłacił?

— Nawet. Ich życie koncentruje się wokół plemienia. Nie miałyby powodu, żeby opuszczać swoich ludzi. To nie leży w ich naturze. To prosty lud o prostych potrzebach. Zupełnie nie pasuje do Lo-kesha. A jednak warto zbadać tę sprawę. Jutro zacznę badania nad plemieniem Baiga. A na razie, panno Kelsey, czas na odpoczynek. Nalegam. Jest późno, a jutro oboje powinniśmy mieć wypoczęty umysł.

Skinęłam głową i odłożyłam książki na miejsce. Pan Kadam przyglądał mi się przez chwilę, a potem ścisnął mnie krzepiąco za ramię.

— Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. Czuję to. Zrobiliśmy duże postępy. Chalil Dżubran powiedział kiedyś: „im bardziej dusza człowieka przeżarta jest przez troski, tym więcej w niej miejsca na radość”. Wiem, że ma pani wiele zmartwień, ale wróżę pani szczęśliwą przyszłość, panno Kelsey.

Uśmiechnęłam się do niego.

— Dziękuję. — Uściskałam mego przyjaciela i wyszeptalam w jego koszulę: - Nie wiem, co bym bez pana zrobiła. Niech i pan dobrze się wyśpi.

Pożegnaliśmy się i pan Kadam zniknął w swoim pokoju, ja zaś ruszyłam w stronę schodów. Kishan podreptał za mną do sypialni. Podszedł do szklanych drzwi i poczekał, aż wypuszczę go na werandę. Uklękłam obok niego, klepiąc go po grzbiecie.

— Dzięki, że dotrzymujesz mi towarzystwa.

Tygrys wskoczył na huśtawkę i natychmiast zasnął. Zamknęłam werandę, wśliznęłam się do łóżka i mocno przytuliłam białego pluszaka, pragnąc, by sprawił, że myśli o Renie wypełnią pustkę w moim sercu.

Obudziłam się około jedenastej rano. Pan Kadam rozmawiał przez telefon, lecz rozłączył się, gdy tylko usiadłam naprzeciwko niego.

- Chyba nam się udało, panno Kelsey. Badając losy ludu Baiga, odkryłem, że jego część zamieszkująca Madhja Pradeś żyje normalnie, lecz plemię ze wschodu zniknęło.

- Jak to: zniknęło?

- Mieszkańcy wiosek sąsiadujących z ich osadami atakują ich od czasu do czasu w związku z wypalaniem lasów lub innymi drobnymi zatargami. Plemię, o którym mówię, opuściło swoje ostatnie miejsce pobytu. To wprawdzie normalne, gdyż Baiga mają koczowniczą naturę, ci jednak zniknęli już dawno i od tamtego czasu nikt ich nie widział. Baiga są teraz ograniczeni zapisami prawa i nie mogą już poruszać się tak swobodnie jak kiedyś. Dziś przyjrę się tej sprawie bliżej. Mam znajomych, którzy mogą zrobić satelitarne zdjęcia okolicy i spróbować ich odnaleźć. Jeśli moje śledztwo się powiedzie, dam wam znać. Pani i Kishan sporo przeszliście przez te kilka tygodni, chciałbym więc, byście odpoczęli. I tak nie możecie nic zrobić, póki nie zdobędę więcej informacji. Zaslługujecie na małe wakacje.

- Jest pan pewien, że nie możemy pomóc? I tak nie zaznam spokoju, póki wiem, że Ren cierpi.

- To, że się pani zamartwia, w niczym mu nie ulży. Z pewnością i on chciałby, żeby pani wypoczęła. Wkrótce go znajdziemy, panno Kelsey. Proszę nie zapominać, że nieraz już prowadziłem żołnierzy do boju i jeśli się czegoś nauczyłem, to tego, że każda armia czasem potrzebuje wytchnienia. To dotyczy i pani, więc proszę zmykać i nie chcę widzieć żadnego z was aż do wieczora.

Uśmiechnęłam się i zasalutowałam.

- Tak jest, panie generale. Przekażę rozkazy Kishanowi.

- Mam nadzieję.

Parsknęłam śmiechem i wyruszyłam na poszukiwanie Kishana. Znalazłam go ćwiczącego na sali. Przystanąłam na najniższym schodku i przez kilka chwil obserwowałam go w milczeniu. Wykonywał skomplikowane salta i obroty, których nie zdołałby się nauczyć, gdyby nie jego tygrysia siła. W pewnym momencie wylądował zaledwie metr ode mnie z figlarnym uśmiechem na twarzy.

- Gdybyście z Renem wystartowali na igrzyskach olimpijskich, jestem pewna, że wrócilibyście z medalami. Nieważne, czy byłaby to gimnastyka, pięciobój, zapasy czy jeszcze coś innego. Zdobylibyście milionowe kontrakty.

— Niepotrzebne mi miliony.

— Piękne dziewczęta byłyby się o ciebie. Kishan parsknął śmiechem.

— Jedyna dziewczyna, której pragnę, nie jest mną zainteresowana. A teraz słucham, co cię tu sprowadza? Chcesz potrenować?

— Nie. Zastanawiałam się, czy nie masz ochoty popływać. Pan Kadam kazał nam dziś odpocząć.

Kishan chwycił ręcznik i wytarł nim sobie twarz oraz włosy.

— Popływać, co? Dobrze będzie trochę ochłonać. — Zerknął na mnie zza ręcznika.

- No chyba że planujesz założyć bikini.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Nie sądzę. Bikini nie jest w moim stylu.

Kishan wydał z siebie głębokie, teatralne westchnienie.

— Wielka szkoda. No dobrze, spotkamy się przy basenie. Weszłam na górę i przebrałam się w jednoczęściowy czerwony kostium kąpielowy. Włożyłam szlafrok i wyszłam na werandę.

Kishan czekał na mnie, ubrany w luźne spodenki kąpielowe. Rozkładał właśnie siatkę do siatkówki wodnej. Bzuciłam szlafrok na leżak i sprawdzałam właśnie stopą temperaturę wody, gdy poczułam na plecach coś zimnego.

— Rety, co ty wyprawiasz!

— Nie ruszaj się. Muszę cię posmarować, masz taką białą skórę, że zaraz ją spalisz. Kishan pokrył mi plecy i kark grubą warstwą kremu z filtrem. Kiedy zaczął nacierać mi ramiona, stanowczo go powstrzymałam:

— Już sobie poradzę, dzięki — powiedziałam, wyciągając rękę po tubkę z kremem. Posmarowałam sobie ramiona i nogi. Krem pachniał kokosem.

Kishan uśmiechnął się, zerknął na moje nogi i puścił do mnie oko.

— Nie śpiesz się.

Tymczasem wydobył ze schowka piłkę i dwa ręczniki. Rzucił je na mój szlafrok i zaproponował:

— Zagramy?

— Nie mam z tobą szans.

— Rękę grał w głębokiej części basenu. To mi utrudni zadanie.

— No dobrze, spróbujmy.

— Poczekaj chwilę.

— Na co?

Kishan uśmiechnął się przekornie.

— Ominęłaś kawałek.

— Gdzie?

— Tu.

Położył mi na nosie wielki kleks kremu i wybuchnął śmiechem. Szturchnęłam go wesoło.

— Ty łobuzie!

Zaczęłam rozsmarowywać krem.

— Poczekaj, pomogę ci.

Opuściłam ręce, a on delikatnie wtarł mi balsam w nos i policzki. Na początku jego dotyk był swobodny i przyjacielski, lecz po chwili atmosfera się zmieniła. Zrobił krok do przodu, wpatrując się we mnie złotymi oczyma.

Odetchnęłam głęboko, wzięłam rozbieg i rzuciłam się „na bombę” do basenu, pryskając wodą na niego i wszystko, co znajdowało się w pobliżu. Kishan roześmiał się i zanurkował za mną. Pisnęłam i przepłynęłam pod wodą na drugą stronę siatki. Kiedy wytknęłam głowę spod wody, nigdzie go nie dostrzegłam. Nagle coś złapało mnie za kostkę i pociągnęło w dół. Po chwili znów się wynurzyłam, kaszląc i odgarniając włosy z oczu. On wyskoczył na powierzchnię obok mnie, odrzucił włosy do tyłu i wybuchnął śmiechem, gdy próbowałam wepchnąć go pod wodę. Oczywiście mi się nie udało, więc go ochlapałam, a on nie pozostał mi dłużny. Zrozumiałam, że nie mam szans. Najwyraźniej nigdy się nie męczył, a wyrzucane przez niego potężne fale były jak tsunami w porównaniu do moich żalonych bryzgów. Poddałam się. Kishan z radością przerwał bombardowanie, wygramolił się z basenu i złapał piłkę. Zaczęliśmy grać, a ja z zachwytem stwierdziłam, że oto wreszcie mam szansę go w czymś pokonać.

Gdy po raz trzeci ścięłam piłkę, zdobywając kolejny punkt, Kishan spytał:

- Gdzie nauczyłaś się tak grać? Jesteś naprawdę dobra!

- Nigdy wcześniej nie grałam w wodzie, ale w szkole na wuefie szło mi całkiem nieźle. Miałam nawet dołączyć do reprezentacji, ale w tym samym roku zginęli moi rodzice. Siatkówka przestała mnie interesować, ale to nadal moja ulubiona gra. W kosza też szło mi całkiem nieźle, ale nie byłam na tyle wysoka, by myśleć o tym poważnie. A wy uprawialiście w pałacu jakieś sporty?

- Nie mieliśmy czasu na gry. Braliśmy udział w turniejach łuczniczych, zapaśniczych, graliśmy też w gry typu *paćisi*, ale nie uprawialiśmy sportów zespołowych.

— A jednak, mimo że przypadł ci głęboki koniec basenu i nigdy nie grałeś w siatkówkę, i tak ledwo dajesz sobie z tobą radę.

Kishan chwycił piłkę w powietrzu i zanurkował. Wyłonił się po mojej stronie siatki. Moje stopy ledwo dotykały dna basenu, tak że jedynie twarz wystawała mi ponad powierzchnię. Nasze głowy znajdowały się na tym samym poziomie. Kishan wciąż był dobry metr ode mnie. Patrzyłam na niego podejrzliwie spod zmrużonych powiek, zastanawiając się, co knuje. Uniosłam ręce, przygotowana na kolejną wodną bitwę.

Kishan raz machnął pod wodą nogami i błyskawicznie znalazł się przy mnie. Oplótł mnie ramionami, przyciągnął do piersi i z szelmowskim uśmiechem powiedział:

— Cóż począć? Nie lubię przegrywać.

I wtedy mnie pocałował. Zamarłam, przerażona. Nasze usta były mokre od wody. Kishan na początku się nie ruszał, a posmak chloru był tak mocny, że równie dobrze mogłabym całować kafelki basenu. Ale potem ścisnął mnie w pasie, jego dłonie ześliznęły się na moje nagie plecy, głowa się przechyliła i nagle beznamietny, mokry całus przeszedł w bardzo prawdziwy pocałunek bardzo prawdziwego mężczyzny, który zdecydowanie nie był Renem. Ciepłe wargi Kishana przyjemnie muskały moje usta — aż zapomniałam na moment, że wcale nie chcę go całować. Nagle przestałam go odpychać i zacisnęłam palce na jego silnych ramionach. Miał gładką, nagrzaną słońcem skórę. Moja reakcja wzbudziła w nim entuzjazm. Jedną ręką przyciskał mnie do piersi, drugą głaskał po włosach i na krótką jak mgnienie chwilę zatonełam w jego objęciach. Ale potem oprzytomniałam. Posmutniałam. Odsunęłam się. Kishan wciąż obejmował mnie w talii. Ujął palcami moją brodę i lekko uniół moją głowę, by spojrzeć mi w oczy. Przez chwilę w milczeniu obserwował moją twarz. Łzy napłynęły mi do oczu. Jedna spłynęła po policzku i kapnęła mu na rękę.

Kishan uśmiechnął się blado.

— Nie takiej reakcji się spodziewałem.

Wyrwałam się, a on niechętnie wypuścił mnie z objęć. Podpłynęłam na skraj basenu i przysiadłam na schodku.

— Nigdy nie twierdziłam, że jestem mistrzynią w całowaniu, jeśli o to ci chodzi.

— Nie o to mi chodzi.

— A o co?

Nie odpowiedział.

Rozpostarłam palce i położyłam dłoń na powierzchni wody. Poczułam delikatne łaskotanie.

Nie patrząc na niego, spytałam cicho:

- Czy kiedykolwiek dałam ci jakąś nadzieję?

Kishan westchnął i znużonym ruchem odgarnął włosy z czoła.

- Nie, ale...

- Ale co?

Podniosłam wzrok, to był duży błąd.

Kishan był smutny. W jakiś sposób pełen nadziei, a jednocześnie jej pozbawiony. Jakby chciał w coś uwierzyć, ale nie miał śmiałości. Wyglądał jak człowiek wzburzony, sfrustrowany i niespełniony. Jego złote oczy były pełne rozpaczy i tęsknoty, ale jednocześnie pojawił się w nich błysk determinacji.

- Ale... wciąż myślę, choć wcale tego nie chcę, że Rena nie porwano bez powodu. Może zadziałało przeznaczenie. Może to ze mną miałaś być od początku.

- Jedynym powodem porwania Rena - odparłam ze złością - było to, że poświęcił się, żeby uratować nam życie. Czy naprawdę tak chcesz mu się odplacić?

Patrzyłam, jak dociera do niego jad zawarty w moich słowach. Łatwo było winić Kishana, ale w głębi duszy bardziej rozgniewała mnie moja własna reakcja i to, że w ogóle pozwoliłam na ten pocałunek. Mój oskarżycielski ton w równym stopniu wymierzony był we mnie samą. A to, że jego bliskość sprawiła mi taką przyjemność, jeszcze bardziej pogarszało sytuację.

Kishan oparł plecy o krawędź basenu.

- Myślisz, że jest mi wszystko jedno, prawda? Zdaje ci się, że nic nie czuję do własnego brata. To nieprawda. Pomimo wszystkiego, co się zdarzyło, żałuję, że to nie mnie zabrały zbiry Lokesha. Wtedy Ren miałby ciebie, ty miałabyś Rena, a ja dostałbym to, na co zasłużyłem.

- Kishan!

- Ja nie żartuję. Każdego dnia nienawidzę się za to, co zrobiłem. I za to, co czuję. Skrzywiłam się.

- Naprawdę myślisz, że chciałem się w tobie zakochać? Przecież specjalnie trzymałem się z daleka! Dałem mu szansę, żeby z tobą był! Ale przez cały czas jakaś część mnie pytała: „A co by było, gdyby...?”. Gdyby to nie Ren był ci przeznaczony? Gdybyś była odpowiedzią na moje, a nie jego modlitwy?

Patrzył na mnie z przeciwległego krańca basenu i nawet z tej odległości widziałam, że cierpi.

— Kishanie, ja...

— Zanim coś powiesz, chcę cię przestrzec, że nie potrzebuję twojego współczucia. Lepiej, żebyś nic nie mówiła, jeśli masz mi powiedzieć, że jedyne, co do mnie czujesz, to przyjaźń.

— Nie to chciałam powiedzieć.

— To dobrze. A więc przyznajesz, że ci się podobało? Że faktycznie jest coś między nami? Że ci się podobam?

— A muszę to przyznawać? Kishan skrzyżował ręce na piersi.

— Myślę, że powinnaś. Zamachałam rękami.

— W porządku! Przyznaję, podobało mi się. Coś między nami jest. Tak! Podobasz mi się. Pocałunek był bardzo miły. Sprawił, że zapomniałam o Renie. Na jakieś pięć sekund! Zadowolony?

— Owszem.

— A ja wręcz przeciwnie.

— Widzę. — Przyjrzał mi się z odległości dzielącego nas basenu. — A więc trafiło mi się pięć sekund? Nie więcej?

— Uczciwie rzecz biorąc, mogło ich być około trzydziestu. Kishan parsknął z założonymi rękami i typowym męskim uśmiezkim samozadowolenia na twarzy. Westchnęłam ciężko.

— Kishanie, ja...

— Pamiętasz, jak uciekliśmy z domu syren w Shangri-La? — przerwał mi książkę.

— Owszem, pamiętam.

— Mówiłaś, że udało ci się odzyskać wolność, bo pomyślałaś o Renie.

Skinęłam głową twierdząco.

— Ja pomyślałem o tobie. Nie sądzisz, że to coś znaczy? Może naprawdę jesteśmy sobie pisani? Prawdę mówiąc, Kells, zastanawiam się nad tym już od dawna. Odkąd cię poznałem, nie mogę przestać o tobie myśleć.

Łza spłynęła mi po policzku.

— Przykro mi, że to wszystko się wydarzyło — szepnęłam. — Przykro mi, że tyle przeszedłeś. A najbardziej mi przykro, że przysporzyłam ci cierpienia. Nie wiem, co ci powiedzieć, Kishanie. Jesteś

cudownym facetem. Zbyt cudownym. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, prawdopodobnie nadal bym cię całowała.

Schowałam twarz w dłoniach, a on zanurkował i podpłynął do mnie. Spojrzałam mu w oczy. Woda spływała strużkami po jego śniadym torsie. Rył naprawdę zabójczo przystojny. Każda inna dziewczyna marzyłaby o takim facecie.

Wyciągnął do mnie rękę.

- W takim razie chodź tu i mnie pocałuj. Potrząsnęłam głową.

- Ja... nie mogę. - Westchnęłam ze smutkiem. - Posłuchaj, wiem tylko jedno: że kocham Rena. I nie mogę z tobą być, choć to kusząca perspektywa. Nie mogę się od niego odwrócić. Proszę, nie wymagaj tego ode mnie.

Wyszłam z basenu i owinięłam się ręcznikiem. Usłyszałam plusk i po chwili poczułam, że Kishan stanął obok mnie.

Chwycił mnie za ramiona, obrócił i zmusił, żebym spojrzała mu w oczy.

- Wiedz tylko, że nie chodzi tu o rywalizację, nic nie knuję za jego plecami. Nie jest to też zwykłe zadurzenie. - Przesunął kciukiem po moich policzkach, ujmując moją twarz w dłoń. - Kocham cię, Kelsey.

Przybliżył się o krok.

Położyłam dłoń na jego ciepłym torsie i powiedziałam:

- Skoro naprawdę mnie kochasz, to więcej mnie nie całuj. Odsunęłam go i czekałam na reakcję. Nie było mi łatwo. Miałam ochotę uciec, ale wiedziałam, że musimy wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze.

Kishan stał w miejscu i oddychał głęboko. Spuścił wzrok. Widziałam emocje malujące się na jego twarzy. Potem znów spojrzał mi w oczy.

- Nie mogę ci tego obiecać - powiedział. - Ale przyrzekam, że cię nie pocałuję, póki jest coś między tobą a Renem.

Chciałam zaprotestować, ale on mówił dalej, musnąwszy lekko mój policzek:

- Nie jestem typem faceta, który potrafi ukrywać emocje. Zamartwianie się i pisanie wierszy nie jest w moim stylu. Nie jestem marzycielem, lecz wojownikiem.

Człowiekiem czynu. A jednak zrobię wszystko, żeby tym razem utrzymać uczucia na wodzy. Kiedy trzeba coś zrobić, robię to. Kiedy coś czuję, idę za głosem serca.

Nie widzę powodu, by Ren dostał swoją wymarzoną dziewczynę, a ja



nie. To niesprawiedliwe, że takie samo nieszczęście przytrafia mi się po raz drugi. Położyłam mu rękę na ramieniu.

— Masz rację. To nie jest sprawiedliwe. To niesprawiedliwe, że od kilku tygodni jesteś nieustannie skazany na moje towarzystwo. I *niefair* jest wymagać od ciebie, byś zapomniał o swoich uczuciach. Nie powinnam w takiej sytuacji prosić cię o przyjaźń. A jednak cię proszę. Potrzebuję twojej pomocy. Twojego wsparcia. A zwłaszcza twojej przyjaźni. Bez ciebie nie przeżyłabym w Shangri-La. I nie sądzę, bym bez twojej pomocy była w stanie ocalić Rena. Wiem, że nie powinnam, ale proszę cię. Błagam. Zapomnij o mnie.

Kishan spojrzał na dom nieobecny wzrokiem. Po chwili przeniósł spojrzenie na mnie. Dotknął moich mokrych włosów i z niezadowoleniem powiedział:

— W porządku. Ustąpię, ale nie robię tego dla niego ani tym bardziej dla siebie. Robię to dla ciebie. Pamiętaj.

Skinęłam głową w milczeniu, a potem patrzyłam, jak znika na werandzie. Kolana ugięły się pode mną i ciężko usiadłam na rozkładanym leżaku.

Resztę dnia spędziłam w swoim pokoju, czytając o plemieniu Baiga, ale nie mogłam się skupić. Byłam rozdarta, niepewna, zagubiona. Zupełnie jakby ktoś kazał mi wybrać, które z moich rodziców przeżyje, a które zginie. Jakiegokolwiek dokonałabym wyboru, i tak czułabym się winna śmierci jednego z nich. Nie decydowałam o tym, któremu z nich przypadnie szczęście, lecz któremu przypadnie cierpienie. Któremu mam sprawić ból?

Nie chciałam tego dla żadnego z braci. Moje szczęście nie miało już znaczenia. To było coś zupełnie innego niż zerwanie z Li czy z Jasonem. I Ren, i Kishan mnie potrzebowali. Obaj mnie kochali. Nie istniało rozwiązanie, które zadowoliliby ich obu. Odepchnęłam na bok książki i wzięłam do ręki jeden z wierszy Rena oraz słownik. Ryły to strofy, które napisał po moim wyjeździe z Indii. Przetłumaczenie ich zajęło mi dużo czasu, ale było warto.

Czy żyję? Czuję

Oddycham Smakuję

Ale w moich płucach brak powietrza Powierzchnie są szorstkie

Smaki mdłe Czy żyję? Widzę Słyszę Czuję

Ale świat jest czarno-biały

Dźwięki blaszane, stłumione

Dotyk nierzeczywisty

Kiedy jesteś ze mną

Moje płuca wypełnia powietrze

Światło

I szczęście

Żyję!

Świat pełen jest barw i dźwięków Tysiąc smaków kusi podniebienie Wszystko jest miękkie i pachnące I czuję twoje ciepło Wiem, kim jestem i czego chcę Chcę ciebie Na papier kapnęła wielka łza. Szybko przesunęłam kartkę, żeby jej nie zmoczyć. Mimo szczerych słów Kishana i całego mojego zagubienia, jednemu nie mogłam zaprzeczyć: kocham Rena. Całym sercem. Gdyby on był teraz ze mną, nie miałabym w ogóle tego problemu. Kiedy Ren był przy mnie, wiedziałam, czego chcę. I nawet po zerwaniu łączącej nas silnej więzi, czytając jego słowa, czułam, jak w moim sercu wzbiera fala uczuć. Wyobrażałam sobie, jak Ren pisze te słowa, siedząc przy biurku.

Szukałam odpowiedzi, ale tak naprawdę miałam ją w sercu. Myśląc o Kishanie, byłam zagubiona, a uczucie do niego mieszało się z wyrzutami sumienia. Przy Renie czułam się swobodnie. Ryłam wolna i szaleńczo szczęśliwa. Kochałam Kishana, ale zakochana byłam w Renie. Nieważne, jak to się zaczęło. Kishan miał rację: spędziłam z nim więcej czasu. Nic dziwnego, że zbliżyliśmy się do siebie. Ale moje serce biło dla Rena.

Pragnęłam sprawić Kishanowi jak najmniej bólu. Wiedziałam, co to znaczy mieć złamane serce. Pan Kadam miał rację, gdy twierdził, że Kishan też mnie potrzebuje. Musiałam postawić sprawy jasno i dać mu do zrozumienia, że darzę go przyjaźnią. Że mogę dla mego być, kim tylko zechce, lecz nie mogę być jego dziewczyną.

Poczułam się lepiej. Poezja Rena sprawiła, że odzyskałam grunt pod nogami. Czulałam to samo co on. Wsunęłam kartkę z wierszem do pamiętnika i zeszałam na dół na kolację.

Kishan uniósł brew, widząc mój uśmiech. Pochylił się nad talerzem, postanowiłam więc go ignorować i chwyciłam widelec.

— Ryba wygląda przepysznie, proszę pana. Dziękuję.

Mój przyjaciel machnął lekceważąco ręką, nachylił się w moją stronę i powiedział:

— Cieszę się, że dołączyła pani do nas. Mam nowiny.

## ODSIECZ

Poczułam, że mam sucho w ustach. Przełknęłam rybę i się zakrztusiłam. Pan Kadam podsunął mi szklanekę wody. Wypiłam chłodny płyn, odchrząknęłam i nerwowo spytałam:

— Jakie nowiny?

— Znaleźliśmy plemię Baiga, ale coś jest nie tak. Osiedlili się w dżungli, z dala od innych wiosek. Dalej niż kiedykolwiek na przestrzeni ostatnich stu lat. Dalej, niż zezwala im prawo. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że zdjęcia satelitarne pokazują, iż miejsce, w którym się zaszyli, to wcale nie głusza.

— Jak to? — zapytał Kishan.

— Obok osady parkują duże pojazdy, a Baiga nie używają samochodów. Poza tym w pobliżu stoi sporych rozmiarów budynek. Znacznie większy od domów, które buduje plemię. Uważam, że może to być teren wojskowy.

Pan Kadam odsunął od siebie talerz.

— Lasu pilnują uzbrojeni strażnicy. Wygląda na to, że chronią lud Baiga przed atakiem.

— Ale kto miałby ich atakować z dżungli? — spytałam.

— Sam się nad tym zastanawiam — odparł pan Kadam. — Baiga nie mają zatargów z żadnym innym plemieniem. Nie ma wśród nich wojowników. Nie mają też niczego, co mogłoby dla kogoś z zewnątrz przedstawiać wartość. Nie mają powodu się bać. Chyba że uważają, iż niebezpieczeństwo nadejdzie pod postacią... — zerknął na Kishana — tygrysa.

Kishan prychnął.

— Chyba rzeczywiście coś pan znalazł.

— Ale czemu akurat Baiga? — zastanowiłam się. — Czemu nie przetrzymują Rena w mieście albo w prawdziwej bazie wojskowej?

Pan Kadam wyciągnął jakieś papiery.

— Chyba znam odpowiedź. Zadzwoiłem do znajomego profesora historii starożytnej z uniwersytetu w Bangalurze. Odbyliśmy w życiu wiele pasjonujących dyskusji na temat dawnych ludów Indii. Zawsze intrygował go mój punkt widzenia. Ten człowiek wiele czasu poświęcił studiom nad plemieniem Baiga i podzielił się ze mną kilkoma ciekawymi informacjami. Po pierwsze: oni straszliwie boją się czarownic i złych duchów. Wierzą, że wszystko, co złe: choroby, nieurodzaj, śmierć, to robota demonów. Wierzą też w magię i nade wszystkich innych szanują swego gunię, czyli szamana. Jeśli Lokesh dał im pokaz czarów w jakiegokolwiek formie, możliwe, że zrobią, co im rozkaże. Uważają się za strażników i opiekunów lasu. Może Lokesh przekonał ich, że las jest w niebezpieczeństwie i że rozstawił strażę, by go chronić. Mój znajomy wspomniał również o czymś, co uważam za najciekawsze: istnieje wśród ludu Baiga przekonanie, że gunia ma władzę nad tygrysami.

— Co takiego!?! — krzyknęłam zdumiona. — Jak to możliwe?

— Nie jestem do końca pewien, ale w jakiś sposób potrafili chronić wioski przed tygrysimi atakami. Być może Lokesh odkrył, że w micie tkwi prawda.

— Myśli pan, że trzymają tam Rena za pomocą magii?

— Nie wiem, ale sądzę, że rzecz warta jest sprawdzenia. A dokładniej mówiąc: infiltracji.

— Na co czekamy? Ruszajmy!

— Potrzebuję nieco czasu, by ułożyć plan, panno Kelsey. W końcu chcemy wszyscy wyjść z tego żywi. A skoro już o tym mówimy, powinniście chyba wiedzieć, że zniknęło dwóch moich informatorów. Byli to ludzie, których wysłałem w celu zbadania biura na ostatnim piętrze najwyższego wieżowca w Mumbaju. Nie skontaktowali się ze mną od jakiegoś czasu. Przeczuję najgorsze.

— Chodzi panu o to, że nie żyją?

— Nie byli to ludzie, którzy pozwoliliby wziąć się żywcem — odparł chłodno pan Kadam. — Nie pozwolę, by zginęła jeszcze choć jedna osoba. Od dziś działamy sami.

Przełknęłam ślinę.

Pan Kadam spojrzał na Kishana.

— Oto kolejne stulecie pod znakiem wojny z Lokeshem. Kishan zacisnął pięści.

— Tym razem nie będziemy uciekać z podkulonymi ogonami.

— W żadnym wypadku. Odchrząknęłam i powiedziałam:

— Wszystko świetnie, ale ja nie potrafię walczyć. Czy wygrana w ogóle jest możliwa? Zwłaszcza że stajemy w trójkę przeciw całej armii.

Kishan dotknął mojej dłoni.

— Jesteś najwspanialszą wojowniczką, jaka stała u mego boku, Kells. Odważniejszą niż wielu żołnierzy. Poza tym dzięki sprytności pana Kadama już nieraz pokonywaliśmy silniejszego nieprzyjaciela.

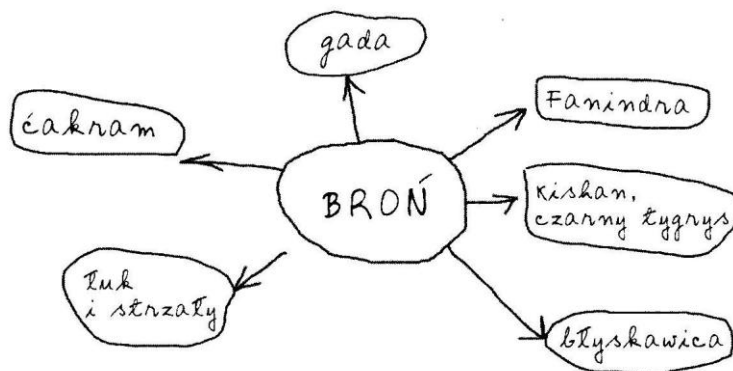
— Jeśli czegoś się nauczyłem przez te wszystkie lata, panno Kelsey, to tego, że starannie zaplanowana strategia niemal zawsze bywa skuteczna.

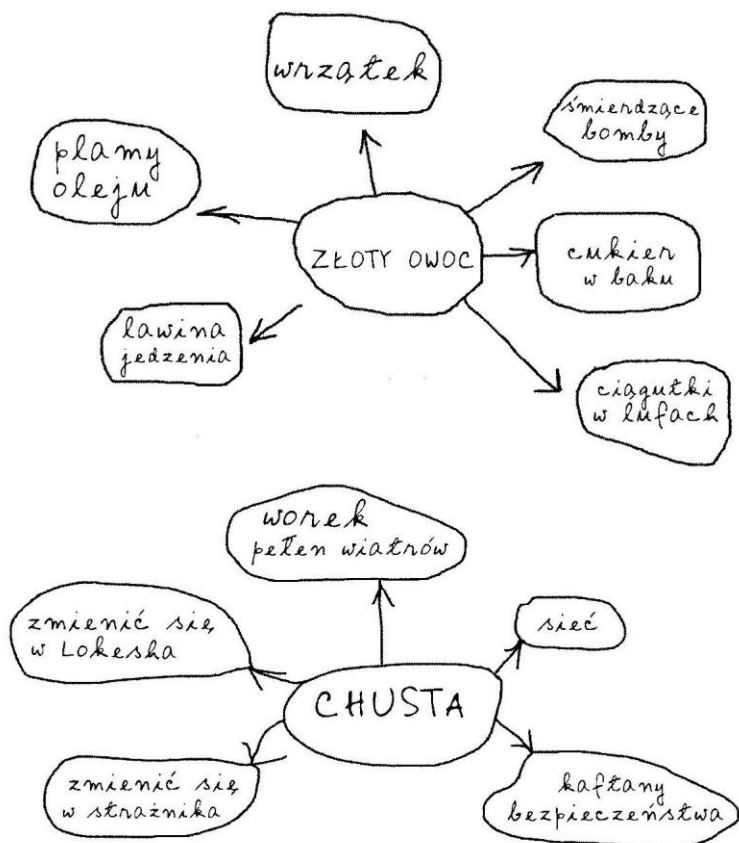
— No i nie zapominaj, że dysponujemy niezwykłą bronią.

— Podobnie jak Lokesh — zauważyłam przytomnie. Pan Kadam poklepał mnie po ręce.

— My mamy jej więcej. — Wyciągnął zdjęcie satelitarne oraz czerwony długopis i zaczął zakreślać istotne punkty. Potem wręczył mi pióro i kartkę papieru. — Zaczynamy?

Najpierw spisaliśmy swoje atuty i sposoby, w jakie można je wykorzystać. Zdarzały się niemądre, ale i sensowne pomysły. Zapisywałam wszystko, jak leci, wychodząc z założenia, że nigdy nie wiadomo, co się przyda.





Pan Kadam zaznaczył gwiazdką na mapie miejsce, gdzie, jak sądził, przetrzymywany był Ren. Uznał, że nasz plan powinien być jak najprostszy: wkraść się na teren bazy, odnaleźć Rena i uciec. Sytuację nieco komplikowało to, że stary wojak lubił analizować każdą strategię z kilku różnych punktów widzenia. Przygotowywał się na każdą ewentualność. Zadawał dziesiątki pytań zaczynających się od „a jeśli...”. A jeśli Kishan nie będzie w stanie przekroczyć granic bazy, bo jest tygrysem? A jeśli w dżungli pozostawiane są pułapki? A jeśli armia Lokesha jest większa, niż sądzimy? A jeśli nie uda nam się dostać tam od strony dżungli? A jeśli Rena wcale tam nie ma?

Dla każdego z tych problemów stworzył osobny scenariusz, gwarantujący powodzenie, a potem zaczął łączyć ze sobą różne wersje

wydarzeń i odpytywać mnie oraz Kishana z naszych ról. Musieliśmy pamiętać, co robić, w razie gdyby na kolejnym etapie sytuacja uległa zmianie. Czułam się, jakby kazano mi nauczyć się na pamięć jednej z tych książeczek, w których czytelnik sam decyduje, jak toczy się akcja.

Poza tym pan Kadam urządził nam kilka prób. Musieliśmy przetestować złoty owoc i magiczną chustę oraz nauczyć się kilku dość skomplikowanych sztuczek z bronią. Przez większość dnia ćwiczyliśmy walkę wręcz, i to kilka technik naraz. Pierwszego wieczoru byłam wykończona. Bolał mnie każdy mięsień, przegrzewał mi się mózg, a ubranie oblepiał syrop klonowy z kłaczkami bawełny — czyli wynik nieudanej próby połączenia właściwości owocu i chusty.

W końcu powiedziałam „dobranoc”, znużona wdrapałam się po schodach na górę i odkręciłam kurek prysznic. Zdjęłam z ramienia Fanindrę i ułożyłam ją na poduszce. Pan Kadam i dla niej obmyślił rolę, ale gdy tłumaczył jej co i jak, magiczna kobra się nie poruszyła. Nie wiedzieliśmy więc, czy zrobi to, czego od niej oczekujemy. Mimo to zamierzałam zabrać ją ze sobą. Już wiele razy uratowała mi życie, zasługiwała więc, by włączyć ją do akcji. Patrzyłam, jak jej złote sploty poruszają się i skręcają, aż ułożyła się wygodnie. Jej szmaragdowe oczy zgasły i zgasły.

Zauważyłam jakiś trzepot za oknem. Elfie ciuszki! Zapomniałam, że wywiesiłam je na werandzie. Najwyraźniej tej okolicy nie zamieszkiwały elfy. Ubranie wciąż było całe, potrzebowało jednak prania, więc wrzuciłam je do kosza z brudami, a potem wróciłam do łazienki i weszłam pod gorący prysznic. Rozluźniłam obolałe mięśnie. Pozwoliłam sobie na to, by przez chwilę myśleć tylko o trywialnych sprawach, jak to, czy powinnam wyprać elfi strój w zimnej czy może gorącej wodzie. Prawie zasnęłam na stojąco.

Pan Kadam przepytywał nas przez cały tydzień, aż wreszcie uznał, że jesteśmy gotowi na wyprawę do wioski Baiga. Staliśmy przed dużym drzewem w środku ciemnej dżungli. Podając sobie magiczną chustę, przyjęliśmy wygląd postaci, które były nam przypisane. Tuż przed przeobrażeniem pan Kadam wyszeptał:

— Wiecie, co robić. Powodzenia.

Owinęłam mu chustę wokół szyi, zawiązałam ją i odparłam:

— Niech pan uważa na pułapki!

Pan Kadam skinął głową i zniknął w dżungli.



Kishan uściskał mnie i stając cicho, również oddalił się w swoją stronę. Zostałam sama w ciemnej gęstwinie. Przesunęłam wyżej Fanindrę, napięłam łuk i czekałam. Nagle dżunglą wstrząsnął potężny ryk i rozległy się podniesione męskie głosy. To był sygnał, na który czekałam. Natychmiast ruszyłam w stronę obozu, rozbitego około czterystu metrów dalej. Zbliżając się do niego, wyciągnęłam złoty owoc i wymamrotałam życzenie. Moim zadaniem było zająć się reflektorami oraz wieżami strażników.

Najpierw światła, pomyślałam. Rozejrzałam się po okolicy, rozpoznając kolejne budynki. Przygotowując się do wyprawy, studiowaliśmy zdjęcia satelitarne, aż wbiliśmy sobie w pamięć układ bazy. Chaty Baiga stały półkolem blisko skraju dżungli, za wojskowymi schronami i rzędem opancerzonych jeepów.

Były to plecione z trzciny domki, na tyle duże, by pomieścić jedną, a czasem dwie rodziny. Musiałam uważać, by w nie nie uderzyć. Poszłyby z dymem w mgnieniu oka.

Centrum dowodzenia składało się z czterech metalowych bud, każda długości naczepy ciężarówki, ale o wiele wyższa. Połączone były parami. Konstrukcje wyglądały solidnie. Po obu stronach bazy stały wieże strażnicze, a każdej pilnowało pięciu ludzi: trzech na górze i dwóch na dole. Obok południowej wieży dostrzegłam wysoki słup, zakończony anteną satelitarną.

Policzyłam reflektory. Było ich w sumie sześć, w tym po jednym na czubku każdej wieży. Wiedziałam, że powinnam znaleźć generator, nie było go jednak nigdzie widać. Może jest ukryty w jednej z chat? Uznałam, że muszę zgasić każde światło osobno. Wyciągnęłam rękę i wycelowałam. Ciepło przebiegło przez moje ramię, a dłoń rozjarzyła się czerwienią. Wystrzelił z niej długi biały promień. Po kolei cztery naziemne reflektory eksplodowały, gdy dosięgła je siła pioruna.

Ktoś włączył światła w jednym z samochodów. Silnik pyknął, zadławił się i ucichł — prawdopodobnie za sprawą biszkoptów, które napchałam do baków. Akumulator jednak wciąż działał i mocne światła omiatały drzewa. Posłałam w stronę pojazdu silny strumień energii, ponieważ wiedziałam, że nie będzie łatwo go zniszczyć.

Samochód z potężnym hukiem wyleciał w powietrze na jakieś dziesięć metrów i wybuchł chmurą ognia, po czym zwałił się na auto stojące obok, wbijając je w ziemię z metalicznym zgrzytem gniecionej blachy. Wycelowałam w kolejny pojazd — tym razem terenówka przeturlała się trzy razy i wylądowała na boku, uderzając w pień potężnego drzewa.

Przyszła kolej na wieże. Były zbudowane dość prosto: drewniane konstrukcje, zwieńczone budką z reflektorem. Na górę wchodziło się po zwykłej drewnianej drabinie.

Żołnierze już zdążyli mnie zlokalizować. Światła latarek omiatały drzewa. Wypuściłam kilka złotych strzał. Usłyszałam stęknienie i łomot uderzającego o ziemię ciała. Musiałam się śpieszyć. Strzałki usypiające ze świstem przecinały powietrze, trafiając w kępę krzaków, za którą się kryłam. Najwyraźniej żołnierzom rozkazano wziąć nas żywcem.

Biegłam w ciemnościach. Oczy Fanindry świeciły delikatnym blaskiem, pozwalając mi dotrzeć do kolejnego punktu. Skulona za krzakiem, znów zebrałam w sobie siłę pioruna i wystrzeliłam w jedną z wież. Konstrukcja wyleciała w powietrze wraz z ogromną kulą ognia, która rozświetliła okolicę. Ujrzałam przerażonych ludzi rozbiegających się na wszystkie strony.

Podeszłam pod drugą wieżę. Ukryłam się pomiędzy budynkami, gdy tymczasem obok przebiegła grupa ludzi. Trafiłam kilku z nich od tyłu. Pan Kadam krzyczał, zagrzewając żołnierzy do walki. Jego zdolności aktorskie sprawiły, że uśmiechnęłam się przelotnie. Zostawiłam *gada* w umówionym miejscu i ruszyłam dalej.

Czas wrócić do pracy. Przekradłam się wzdłuż zacienionej ściany budynku i zmierzyłam wzrokiem drugą wieżę. Musiałam zniszczyć również antenę. Napięłam łuk, wpuściłam białe światło w strzałę i wystrzeliłam. Strzała odbiła się od talerza, zasyczała, trzasnęła snopem iskier i wybuchła. Tymczasem wartownicy zdążyli zorientować się, gdzie jestem. Wskoczyłam za stertę skrzyń, cudem unikając gradu świszczących strzałek.

Serce waliło mi ze strachu. Gdyby trafili, byłoby po mnie. Nie mogłabym już pomóc Kishanowi ani odnaleźć Rena. Na dźwięk nawoływań szukających mnie żołnierzy wzięłam się w garść i napięłam łuk. Złota strzała zalśniła w świetle księżyca, gdy wpuszczałam w nią biały elektryczny strumień. Tym razem jednak byłam zbyt blisko. Eksplozja wstrząsnęła budynkami, a potężny podmuch uniósł mnie w powietrze i rzucił przy wejściu do kompleksu, na beton, o który rozbiłam głowę. Z góry posypały się ciężkie, osmalone drewniane odłamki i kilka z nich uderzyło we mnie, gdy się podnosiłam, ostrożnie macając tył czaszki. Na rękę została mi krew. Nagle zaatakował mnie jeden z żołnierzy. Przeturlaliśmy się po ziemi. Z całej siły uderzyłam go w brzuch i zerwałam się na równe nogi. On też zaczął wstawać, skoczyłam mu więc na plecy, tak jak

mnie uczył Ren, i zaczęłam dusić. Rosły mężczyzna już po chwili wyrwał się z mojego uścisku, przekręcił się, złapał mnie i cisnął mną o leżący na ziemi spory głaz. Poczułam mokrą stróżkę krwi, spływającą mi ze skroni po policzku.

Leżałam zdyszana, walcząc z zawrotami głowy, a krew zalewała mi twarz. Żołnierz wstał, uśmiechnął się okrutnie i wyciągnął ręce w stronę mojej szyi. Uniosłam ramię, zmrużonymi oczami popatrzyłam w jego umazaną sadzą twarz i trafiłam go piorunem. Wyrzuciło go na metalową ścianę budynku, po której zsunął się do pozycji siedzącej, a głowa ciężko opadła mu na pierś.

Teraz musiałam znaleźć Rena. Biegłam niepewnie pomiędzy chatami. Kolejny żołnierz zastąpił mi drogę. Rzuciłam się na ziemię i przeturlałam w bok. Gdy wystrzelił, zerwałam się, uklękłam i powaliłam go szybką błyskawicą. Drzwi do głównego budynku strzegło dwóch wartowników gotowych do walki. Gdy się do nich zbliżyłam, wypowiedzieli kilka słów w nieznanym mi języku. Skinęłam głową, a jeden z nich otworzył kluczem drzwi i wpuścił mnie do środka. Tym razem mi się udało. Wyglądałam jak oni, nie widzieli mnie w akcji. Przeszłam pomiędzy nimi i cicho wśliznęłam się do środka. Niestety, drzwi zamknęły się za mną automatycznie. Zignorowałam problem, uznając, że najwyżej wysadzę je w drodze powrotnej. Skronie pulsowały mi boleśnie, ale poza tym dopisywało mi szczęście. Wprawdzie miałam kilka paskudnych zadrapań i sporego guza na głowie oraz siniaki na całym ciele, jednak obrażenia nie były na tyle poważne, by groziły śmiercią. Miałam nadzieję, że pan Kadam i Kishan również wyszli z tego cało.

Wewnątrz budynku panowała ciemność. Znajdowałam się w czymś w rodzaju magazynu, pełnego skrzyń i zapasów. Przekradłam się do koszar. Chwilę później nastąpił niezręczny moment, gdy wpadłam prosto na człowieka, pod którego się podszywałam. Na jego twarzy odbił się wyraz zdumienia. Zaatakowałam. Pomieszczenie rozświetliła krótka eksplozja i mężczyzna ciężko upadł na ziemię. Choć budynek był raczej pustawy, przemierzając kolejne sale, potykałam się w ciemnościach o rozstawione na podłodze skrzynki. Dopiero lekki blask oczu Fanindry sprawił, że zaczęłam lepiej widzieć to, co znajdowało się wokół mnie. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły mnie głosy Lokesha i Kishana. Sytuacja robiła się gorąca. Czas uciekał. Zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami powinnam już była znaleźć Rena.

Niszcząc generator, zyskałabym na czasie. Okazało się jednak, że musiałam rozprawić się z każdym reflektorem osobno i pokonać większą liczbę żołnierzy, niż to było w planach. W związku z tym postanowiłam najpierw przedostać się do Kishana. Na szczęście pan Kadam przygotował nas na tę ewentualność. Przekradłam się na tyły budynku i wdrapałam na kilka ustawionych jedna na drugiej skrzyń, aż mogłam spojrzeć na wszystko z góry. Pomieszczenie było duże. Na metalowych półkach leżały broń i zapasy prowiantu. Sterta ciał żołnierzy wskazywała na to, że Kishanowi udało się pokonać straż Lokesha. Teraz jednak znajdował się w wydzielonym z reszty pomieszczenia prywatnym biurze, bez szans na ucieczkę.

Biuro, jak na wojskowe standardy, było całkiem luksusowe. Podłogę przykrywał gruby dywan. W rogu stało duże, zdobne biurko, a na jednej ze ścian kilka monitorów błyskało scenami chaosu, które rozgrywały się na zewnątrz.

Kolejna ściana przypominała wnętrze łodzi podwodnej. Była pokryta pokrętłami, ekranami i mrugającymi czerwonymi światłkami alarmowymi.

Trzy zwieszające się z sufitu lampy bzycały cicho, przygasając co jakiś czas, jakby z budynku uciekała energia. W szklanej gablocie nieopodal biurka lśniło kilka rodzajów broni z różnych epok.

Kishan dobrze odgrywał swoją rolę. Napięłam łuk, czekając, aż się odsunie.

Zarozumiały i pewny siebie Lokesh krążył wokół niego, starając się zastraszyć Kishana na tyle, by ten oddał mu przedmiot jego pożądania.

Lokesh, w przeciwieństwie do swych żołnierzy, nie nosił munduru, lecz czarny garnitur i jedwabną błękitną koszulę. Wyglądał młodziej niż pan Kadam, włosy na skroniach miał lekko posiwiałe. Nosił je zaczesane do tyłu, w czym przypominał współczesnego mafiosa. Po raz kolejny zauważyłam, że ma na palcach po kilka pierścieni, którymi bawi się, przemawiając do swojego rozmówcy. Moją uwagę przykuła jego pełna nienawiści wypowiedź:

— Jedno moje słowo wystarczy, by rozszarpano cię na strzępy, ja jednak lubię patrzeć na cierpienie innych. Bardzo długo na ciebie czekałem. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co miałaś zamiar osiągnąć, wdzierając się tu. Nie masz ze mną najmniejszych szans. Muszę jednak przyznać, że zaimponował mi sposób, w jaki rozprawiłaś się z moją przyboczną strażą. Byli to żołnierze o szczególnych umiejętnościach.

— Jak widać nie tak szczególnych — odparł Kishan ze zjadliwym uśmiechem, okrążając przeciwnika.

— Rzeczywiście — zachichotał Lokesh. — A może jesteś zainteresowana pracą dla mnie? Widać, że nie brak ci dobrych pomysłów, a ja sownie wynagradzam tych, którzy mi służą. Oczywiście muszę ci ostrzec, że również surowo karzę tych, którzy mi się sprzeciwią.

— Nie szukam pracy, zresztą przypuszczam, że nie jesteś zbyt popularny wśród swoich podwładnych.

Wypowiedziawszy te słowa, Kishan rzucił się do ataku, wyskoczył w górę i z półobrotu kopnął Lokesha prosto w twarz.

Nikczemnik splunął krwią. Uśmiechnął się, gdy z ust pociekła mu szkarłatna strużka. Otarł ją delikatnie palcem i przesunął nim po dolnej wardze, którą polizał, po czym roześmiał się. Najwyraźniej ból sprawiał mu przyjemność. Zadrżałam z obrzydzenia.

— Miło było pogawędzić, ale dość tego — ciągnął. — Masz fragment amuletu. Ja władam mocą pozostałych trzech. Oddaj mi swoją część, a pozwolę ci zabrać tygrysa i odejść. Oczywiście nie zajdziesz daleko, ale dam ci fory, zanim puszcę moich ludzi w pogoń. Dzięki temu polowanie będzie jeszcze przyjemniejsze.

— A ja myślę, że wyjdę stąd z tygrysem i amuletem. A skoro już o tym mówimy, to planuję cię zabić i zabrać z sobą również twoje części talizmanu.

Lokesh zaniósł się szaleńczym, skrzekliwym rechotem.

— Ależ oczywiście, że oddasz mi to, czego żądam. Co więcej, już wkrótce pożałujesz odrzucenia mojej hojnej propozycji. Za kilka chwil będziesz gotowa oddać mi wszystko, czego zapragnę, byle tylko powstrzymać ból.

— Skoro tak bardzo pragniesz amuletu, to może zbliżysz się i sam go weźmiesz? Zobaczmy, czy walczysz tak dobrze, jak ci się wydaje. A może powinieneś już pozostawić to innym... staruch?

Uśmiech zniknął z twarzy Lokesha. Czarownik uniósł rękę, a spomiędzy jego palców sypnęły iskry.

Kishan dał susa w jego stronę, lecz zatrzymała go jakaś niewidzialna bariera.

Lokesh zaczął mrużyć pod nosem zaklęcia. Wzniósł w górę rozpostarte ramiona.

Wszystkie leżące luzem przedmioty wzbiły się w powietrze i zaczęły wirować, coraz szybciej i szybciej. Lokesh powoli złączył dłonie i wir przedmiotów zbliżył się do Ki-shana. Nagle spadł na niego grad uderzeń, a czoło przecięły mu ostre nożyczki. Na szczęście rana natychmiast zaczęła się goić.

Lokesh dostrzegł to i chciwym spojrzeniem zagapił się na amulet.

— Oddaj mi go! Moim przeznaczeniem jest połączyć wszystkie pięć elementów!

Kishan zaczął łapać w locie co większe przedmioty i miażdżyć je w dłoniach.

— Po moim trupie! — odkrzyknął.

Lokesh roześmiał się straszliwym śmiechem, w którym brzmiał czysty zachwyt.

— Jak sobie życzysz.

Klasnął i zatarł ręce. Ziemia zaczęła się trząść. Skrzynie, na których siedziałam, zachybotwały się niebezpiecznie. Kishan upadł i natychmiast zbombardowała go lawina śmiercionośnych przedmiotów, wśród których były zszywacze, nożyczki i długopisy, a także większe obiekty: szuflady, książki i monitory komputerów.

Zadrżałam ze strachu. Ten człowiek przerażał mnie bardziej niż ktokolwiek inny.

Wolałabym uciekać przed hordą demonów *kappa*, niż spojrzeć mu w oczy. Z jego postaci emanowało czyste zło. Wszystko, czego dotknął, czerniało i ta ciemność mnie dławiała. Choć jeszcze nie wiedział, że jestem w pobliżu, ja już niemal czułam dotyk jego czarnych paluchów, czekających tylko, by wysać ze mnie życie.

Roztrzęsiona, uniosłam rękę i wypuściłam błyskawicę. Chybiłam o niecałe pół metra. Lokesh był tak zajęty Kishanem, że nawet tego nie zauważył. Zwrócił jednak uwagę na drżenie gąbki z bronią, które przypisał własnym czarom. Szkło pękło z trzaskiem, a jego odłamki włączyły się w wir, który krążył wokół Kishana, kalecząc go okrutnie. Wkrótce w powietrze uniósł się również cały śmiercionośny arsenał.

Lokesh roześmiał się radośnie, patrząc, jak ostre szkło raz po raz rozcina skórę Kishana, która natychmiast zaczyna się goić. Duży odłamek wbił się księciu w ramię. Wyciągnął go jednym szarpnięciem. Krew spłynęła z rany i włączyła się w szalejący wir.

Byłam śmiertelnie przerażona. Trzęsły mi się ręce. Uda mi się!, powtarzałam sobie w duchu. Muszę tylko wziąć się w garść! Kishan mnie potrzebuje! Napięłam łuk i wycelowałam w serce Lokesha.

Tymczasem dobiegły mnie nawoływania ludzi na zewnątrz budynku. Wolałam myśleć, że są to mieszkańcy wioski i że wszystko idzie zgodnie z planem, bo w przeciwnym razie znaleźlibyśmy się z Kishanem w ogromnych tarapatach. Chwilę później rozległ się potężny grzmot. Uśmiechnęłam się z ulgą. Nic nie łomocze tak jak *gada*.

Budynek zatrzęsł się w posadach. Teraz liczyła się każda sekunda. Atak na budynek oznaczał, że mieszkańcy wioski rozprawili się już z żołnierzami. Chyba że to okrucieństwo Lokesha doprowadziło ich do przedwczesnej rebelii.

Wypuściłam strzałę prosto w serce Lokesha, ale ten obrócił się w ostatniej chwili na dźwięk uderzeń *gada* i strzała wbiła mu się głęboko w bark. Otaczający Kishana wir zatrzymał się i wszystkie przedmioty runęły na podłogę zdradziecką nawałnicą. Ciężki metalowy sejf wylądował mu na stopie. Kishan stęknął głośno i odrzucił go na bok. Byłam pewna, że ma złamaną kość.

Lokesh zakręcił się w furii i mnie dostrzegł. Strumienie elektryczności wystrzeliły z jego palców, a oddech zamarzał w powietrzu i zmierzał w moją stronę lodowatą chmurą. Zamarłam w bezruchu i czułam, jak krew krzepnie mi w żyłach. Mój oddech był szybki i płytki. Jeszcze nigdy w życiu niczego tak się nie bałam.

"Ty!

Poczułam, jak moje ciało pokrywa gęsia skórka. Wypluwając szorstkie komendy w języku, o którym myślałam, że jest mi znany, Lo-kesh wyrwał zakrwawioną strzałę i zaczął recytować zaklęcia. Strzała błyskawicznie poleciała w moją stronę. Instynkt samozachowawczy zadziałał i, wyrwana z letargu, zasłoniłam dłońmi twarz. Strzała zatrzymała się kilka centymetrów od mojego nosa, a gdy wyciągnęłam rękę, leniwie opadła prosto w moją dłoń. Wściekły Lokesh klasnął w ręce i zatarł je złośliwie. Skrzynia, na której stałam, zachwiała się i runęła na podłogę boleśnie objijając się o ostre kandy pozostałych pojemników. Jęknęłam i wygrzebałam się spod lawiny pudeł. Miałam skreconą kostkę, a w barku poczułam ostry ból.

Kishan sięgnął po ukryty pod koszulą ćakram i cisnął nim w lampy na suficie.

Usłyszałam metaliczny świst i pomieszczenie pograżyło się w ciemnościach. Książkę wykonał jeszcze kilka rzutów, ale nie udało mu się trafić Lokesha, ponieważ nagle wokół rozszał się wiatr, który zmieniał trasę lotu ćakramu. Z trudem przeczołgałam się do nowej kryjówki. Kishan złapał dysk i rzucił się na Lokesha. Obaj mężczyźni ciężko przeturlali się po podłodze.

Lokesh wrzasnął coś do swoich żołnierzy. Jego głos rozbrzmiał donośnie, a wiatr poniosł go na teren obozu. Brzmiało to zupełnie, jakby krzyczał przez mikrofon, ale nikt się nie zjawiał, bo wszyscy byli już unieszkodliwieni. Szczepieni w ferworze walki przeciwnicy przetoczyli się w moją stronę.

Lokesh wymamrotał coś pod nosem i potężna bańka powietrza wyrosła między walczącymi, z impetem odrzucając Kishana do tyłu. Lokesh wstał.

Zerwałam się na równe nogi i drżącym ruchem uniosłam rękę. Choć zebrałam całą odwagę, ogień nie nadchodził. Lokesh dostrzegł

mój gest i roześmiał się z pogardą. Znow zaczął mrużyć pod nosem zaklęcia i nagle zeszywniałam. Nie mogłam się ruszyć. Łza spłynęła mi po policzku i zamarzła.

Kishan wykorzystał chwilę nieuwagi Lokesha, chwycił go za ramię i wykręcił. W mgnieniu oka przyłożył mu ćakram do gardła. Po ostrzu spłynęły strużki krwi i wsiąkły w błękitną jedwabną koszulę. Lokesh stęknął i wymamrotał:

— Czy naprawdę chcesz, by on zginął? Mogę go zabić jednym zaklęciem. Mogę zamrozić mu krew w żyłach i sprawić, że jego serce przestanie bić.

Kishan spojrzał na mnie i nieco rozluźnił uścisk. Mógłby pozbawić Lokesha głowy jednym ruchem nadgarstka, ale tego nie zrobił. Spojrzawszy mu w oczy, odczytałam myśli, które kłębiły mu się w głowie. Powstrzymał się od śmiertelnego ciosu. Dla mnie. Lokesh roześmiał się ochryple, dysząc ciężko z wysiłku. Budynkiem po raz drugi wstrząsnął głęboki łomot - to pan Kadam i mieszkańcy wioski z całej siły uderzali w ścianę.

— Jeśli mnie nie puścisz — zagroził znow Lokesh — wierz mi, zabiję go. Wybieraj!

— W jego oczach zalśnił gniew, niszczycielski ogień, którego nie da się ugasić.

Kishan zwolnił uścisk. Choć nie mogłam się poruszyć, w duchu głośno jęknęłam.

Już prawie nam się udało, a teraz jesteśmy na łasce potwora.

Lokesh zaczął szybko mamrotać zaklęcia i już po chwili Kishan podzielił mój los.

Czarownik wyprostował się i ostentacyjnie otrzepał poły marynarki. Przycisnął czystą białą chusteczkę do krwawiącego gardła. Potem roześmiał się, podszedł do Kishana i czule poklepał go po policzku.

— No już, już. Widzisz? Posłuszeństwo popłaca. Czy teraz rozumiesz, że żalosne próby walki ze mną nie mają sensu? Być może cię nie doceniłem. Stanowczo jesteś najdzielniejszą osobą, jaką spotkałem od wieków. Dlatego cieszę się z wyzwania, którym będzie złamanie twego ducha.

Wyciągnął z kieszeni bardzo stary, groźnie lśniący nóż i niemal z uczuciem zamachał nim Kishanowi przed nosem. Podszedł bliżej i przejechał mu po policzku tępą stroną ostrza.

— Tego samego sztyletu użyłem wiele lat temu przeciw twojemu ukochanemu księciu. Minęło tyle lat, a nóż wciąż wygląda jak nowy. Cóż, możesz mnie nazwać sentymentalnym starym głupcem. Miałem sekretną nadzieję, że kiedyś dane mi będzie użyć go ponownie



i dokończyć to, co zacząłem. Czy nie uważasz, że będzie bardzo stosowne wypróbować go także na tobie? Być może zachował się właśnie po to.

Od czego więc mam zacząć? Blizna uczyniłaby twoją twarz nieco mniej atrakcyjną, nieprawdaż? Oczywiście najpierw odbiorę ci amulet. Widziałem, jak sprawia, że goją się twoje rany. Tak długo na niego czekałem. Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnąłem jego mocy. To smutne, że nie dane ci będzie patrzeć, jak z niej korzystam. — Skrzywił się lekko i ciągnął: — Szkoda też, że nie mam czasu na mały zabieg chirurgii eksperymentalnej. Jakaż przyjemność sprawiłoby mi nauczenie cię tego i owego o posłuszeństwie. Choć jeszcze miłszą rozrywką byłoby uczynienie tego w obecności twego księcia. Ale to nic. I tak będzie miał szansę docenić moją zręczność, gdy zabiorę się za niego.

Bałam się. Nawet gdyby Lokesh nie rzucił na mnie czaru, i tak nie byłabym w stanie się ruszyć. Choćbym była nie wiem jak dobrze przygotowana, konfrontacja z wcielonym złem nie była prosta. Żelazne ptaki, mały i *kappa* robiły tylko to, co do nich należało. Chroniły magiczne przedmioty powierzone ich pieczy. Rozumiałam to. Ale Lokesh wymachujący nożem przed gardłem Kishana przerażał mnie do szpiku kości.

Staralam się nie słuchać, jak snuje plany wypatroszenia Kishana. Ogarnęły mnie mdłości. Z pewnością zwymiotowałabym, gdybym mogła.

Nie mogłam i nie chciałam sobie wyobrazić, co dzieje się w głowie kogoś tak okrutnego. Żałowałam, że nie jestem w stanie zakryć uszu. Ten psychopata dręczył biednego Rena od miesięcy. Na samą myśl o tym pękało mi serce. Lokesh zdawał mi się połączeniem imperatora Palpatine'a z sadystycznym bestialstwem Hannibala Lectera. Jak Lord Voldemort pragnął władzy za wszelką cenę, wykazując przy tym barbarzyńską brutalność Mínga Bezlitosnego, który, podobnie jak on, zamordował własną córkę. Nie mogłam patrzeć, jak krzywdzi Kishana. Nie potrafiłam tego znieść.

Czarownik złapał Kishana za podbródek i właśnie miał przeorać nożem jego twarz, gdy przypomniałam sobie, że choć nie mogę się ruszać, mam przecież złoty owoc. Poprosiłam o pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy. Landrynki. Grad landrynek. Lawina twardych jak kamień cukierków wtargnęła do pomieszczenia, wybijając szyby i roztrzaskując monitory. Z potężnym hukiem, od którego prawie pękły mi bębenki, landrynki runęły na centrum dowodzenia.

Odgłos ten przywodził mi na myśl szklane kulki spadające na marmurową podłogę. Kishan i ja padliśmy plackiem na ziemię. Tylko plecak ocalił mnie przed złamaniem kręgosłupa. Byłam pewna, że Kishan jest ranny, pocieszałam się jednak, że jego obrażenia szybko się goją.

Wkrótce każdy centymetr kwadratowy pomieszczenia pokrywała gruba na trzydzieści centymetrów warstwa kolorowych cukierków. Część wysypała się do sąsiednich pomieszczeń. Lokesh, trafiony w oko, zachwiał się i upadł. Miotając przekleństwa w ojczystym języku, starał się zerwać z podłogi, zastanawiając się, skąd spadła na niego ta plaga. Po chwili uświadomił sobie, że nie ma w ręku noża, i zaczął rozgarniać landrynki w poszukiwaniu śmiertelnej broni. Kishan i ja byliśmy już wtedy niemal całkowicie przysypani.

Nagle budynek zadrżał od kolejnego wstrząsu i w pomieszczeniu obok zawalił się fragment ściany. Lokesh wyprostował się z trudem, znalazł nóż i brutalnie zerwał Kishanowi amulet z szyi, pozostawiając czerwoną pręgę.

Na krótką chwilę pochylił się nad nim i dotknął nożem jego twarzy.

- Jeszcze się spotkamy - wycedził z sadystycznym uśmiechem. - Wkrótce. -

Przesunął nożem wzdłuż policzka Kishana aż do szyi. Ostrze pozostawiło krwawą szramę, która nie groziła śmiercią, lecz potworną blizną. Potem Lokesh odskoczył i oddalił się, brnąc przez morze landrynek. Nacisnął ukryty guzik i zniknął w otworze w ścianie.

Do biura wkroczył pan Kadam w towarzystwie kilku mieszkańców wioski. Szybko pomogli nam wstać. Rany Kishana już się goiły, ale całą koszulę miał splamioną krwią. Cięcie było głębokie. Usłyszałam ryk silnika i jakiś pojazd odjechał z piskiem opon. Mogłam użyć złotego owocu, żeby zatrzymać silnik, ale postanowiłam dać spokój.

Wstydziałam się tego, ale bałam się znów stanąć twarzą w twarz z Lokeshem.

Chciałam, żeby uciekł. Wolalabym go już nigdy więcej nie zobaczyć. Stałam sztywno, strofując się w myślach za własne tchórzostwo. Byłam słaba. Gdybym mogła się poruszyć, skuliłabym się, chlipiąc żałośnie w rogu sali. Lokesh był zbyt silny. Nie mieliśmy szans.

Najlepsze, co mogłam zrobić, to starać się go unikać. Wiedziałam, że pan Kadam i Kishan byliby rozczarowani moim zachowaniem.

Ale ze mnie wojowniczką! Ogromne żelazne ptaszyska? Żaden problem. *Kappa?* Pomogli mi Fanindra i Ren. Małpy? Od kilku ugryzień i siniaków jeszcze nikt nie umarł. Ale Lokesh? Uciekłam przed nim z podkulonym ogonem. Sama nie mogłam zrozumieć własnej reakcji. Ot, kolejny potwór stanął na mojej drodze. Tyle że tym razem potwór miał ludzką twarz. I to właśnie było najgorsze.

Po kilku chwilach zakłęcie, które na nas rzucił, zaczęło słabnąć. Powoli rozcieraliśmy zeszywniałe kończyny. Gdy Kishan na dobre odzyskał władzę w mięśniach, przedarł się przez morze landrynek i do mnie podszedł. Pan Kadam wydał polecenia mieszkańcom wioski, a tymczasem Kishan podtrzymał mnie, bym mogła chodzić mimo skręconej kostki. Po chwili wyruszyliśmy szukać Rena. Fanindra obudziła się, by pomóc nam w poszukiwaniach. Poruszyła się i zaczęła rosnać. Opuściłam ramię, żeby mogła ześliznąć się na podłogę, a ona popęzła pomiędzy skrzyniami pełnymi broni i workami z prowiantem. Zatrzymała się i skosztowała językiem powietrza w miejscu, które wyglądało na ślepy zaułek. Gładko wśliznęła się pomiędzy skrzynki, a Kishan natychmiast przyjrzał im się dokładniej, po czym zaczął przesuwać je na bok.

Zza sterty skrzyń wyłoniły się zamknięte drzwi. W ostatnim momencie dostrzeżliśmy, jak złoty ogon Fanindry znika pod spodem. Kishan nie był w stanie ich wyważyć, użyłam więc siły pioruna, żeby wysadzić zamek. Potrzebowałam kilku sekund, by znów zebrać w sobie moc. Dopiero myśl o cierpieniu Rena sprawiła, że wzięłam się w garść i pokonałam wewnętrzny paraliż.

Drzwi otworzyły się z łomotem. Nozdrza Kishana się rozszerzyły. Pomieszczenie wypełniał słodkawy, wilgotny zapach krwi i ludzkiego potu. Wiedziałam, gdzie jesteśmy. Już tu kiedyś byłam. Znaleźliśmy się w sali tortur, w której Lokesh znęcał się nad Renem. Ze ścian zwisały straszliwe przyrządy, inne rozłożone były na lśniących stołach chirurgicznych. Zeszywniałam z przerażenia, widząc te wszystkie upiorne instrumenty i wyobrażając sobie ból i cierpienie, jakie Lokesh zadawał nimi mężczyźnie, którego kochałam.

Nowoczesne narzędzia chirurgiczne leżały w równych rzędkach na metalowych tacach, zaś bardziej wiekowe przyrządy zalegały w kątach lub wisały na hakach wbitych w ścianę. Nie mogłam się powstrzymać od tego, by nie dotknąć wytartych końcówek bicia. Potarłam palcem rękojeść dużego młotka, z drzeniem wyobrażając sobie, jak gruchocze kości Rena. Obok zwiślał ze ściany rząd noży różnych długości i rozmiarów.

Widziałam drewniane belki, gwoździe, obcęgi, szpikulce do lodu, rzemienie, żelazny kaganiec, wiertarkę, nabijane kolcami obroże, imadło do łamania kości, a nawet palnik spawalniczy. Mijając kolejne przedmioty, dotykałam ich, szlochając gorzko. Ten gest dotknięcia narzędzia tortur zdawał mi się jedynym sposobem, by w pewnym sensie zjednoczyć się z Renem w jego cierpieniu i podjąć próbę zrozumienia tego, co musiał przeżywać.

Kishan delikatnie ujął mnie za ramię.

— Nie patrz na to, Kelsey. Patrz na mnie albo w podłogę. Nie musisz tego robić.

Lepiej by było, gdybyś zaczekała na zewnątrz.

— Nie. Muszę tu być dla niego. Po prostu muszę.

— W porządku.

Klatka stała w rogu. Ledwie dostrzegłam wynędzniałą postać znajdującą się w środku, którą oświetlał zgaszony blask zwiniętego nieopodał złotego ciała węża. Sięgnęłam po Fanindrę, podziękowałam jej, cofnęłam się nieco i wysadziłam zamek. Podeszłam i gwałtownym ruchem otworzyłam okratowane drzwi.

— Ren? — odezwałam się cicho.

Nie odpowiedział. Nie poruszył się nawet.

— Ren... nie śpisz?

Postać drgnęła nieznacznie i zwróciła ku mnie bladą, zmizer-niałą twarz. Błękitne oczy zwięzły się. Gdy Ren spojrział na Kishana, podniósł powieki i przesunął się nieco w stronę drzwi. Kishan skinął na niego i podał mu rękę.

Bardzo ostrożnie Ren wyciągnął drżące ramię i złapał się pręta na skraju klatki. Miał połamane, zakrwawione palce. Poczulałam łzy w oczach i cofnęłam się, by zrobić mu miejsce. Kishan podszedł, żeby mu pomóc. Kiedy Ren w końcu wstał, wydałam z siebie zduszony okrzyk grozy. Spodziewałam się sińców pokrywających całe jego ciało. Zresztą widać było, że już zaczynają się goić. Przeraziła mnie jednak jego wychudzona sylwetka. Lokesh go głodził. Podejrzewałam, że jest również odwodniony. Jego ciało, niegdyś silne, było wychudłe i zniszczone. Błękitne oczy miał zapadnięte i podkrążone. Kości policzkowe - wystające, a jedwabiste zwykle włosy zwisały w matowych, wilgotnych strąkach.

Zrobił krok w moją stronę.

- Ren? - powiedziałam, wyciągając rękę.

Spojrział na mnie zwięzonymi oczyma, zacisnął pięść i zamachnął się z niespodziewaną siłą. Ostry ból przeszył mi szczękę i wokół zapadła ciemność, a moje ciało bezwładnie osunęło się na ziemię.

## BAIGA

Poczułam powiew powietrza, a gdy otworzyłam oczy, ujrzałam nad sobą ciemny baldachim liści. Kishan niósł mme przez dżungle. Znow był sobą, co - muszę przyznać - przyniosło mi ulgę. Dziwnie się czułam spoglądając na niego i widząc kogoś innego.

- Kishanie? Dokąd idziemy?

- Cśś. Spokojnie. Baiga prowadzi nas głębiej w dżunglę. Musimy jak najszybciej znaleźć się z dala od obozu Lokesha.

- Długo byłam nieprzytomna?

- Mniej więcej trzy godziny. Jak się czujesz? Ostrożnie dotknęłam szczęki.

- Jakbym dostała w twarz od niedźwiedzia. Czy z nim... wszystko w porządku?

- Zemdlał. Baiga zrobili dla niego nosze.

- Ale jest bezpieczny?

- Raczej nic mu nie będzie.

Kishan przemówił cicho w hindi. Pan Kadam zbliżył się do nas i przyjrzał się mojej twarzy. Uniósł mi do ust menażkę i zaczęłam pic powoh, przełykając z bólem i starając się jak najmniej poruszać szczęką.

- Możesz mme puścić, Kishanie? Chyba mogę już iść o własnych siłach.

- Dobrze. Jeśli chcesz, oprzyj się o mnie.

Kishan ostrożnie postawił mnie na ziemi i podtrzymał, gdy się zachwijałam, usiłując złapać równowagę. Przez chwilę kuśtykałam

na skrzyżowanej kostce. Kishan mruknął i znów wziął mnie na rękę. Oparłam głowę na jego piersi. Bolało mnie całe ciało, ramiona miałam pokryte siniakami i ledwo mogłam ruszać szczęką.

Szliśmy w długim pochodzie, zmierzającym w głąb ciemnej dżungli. Baiga poruszali się cicho, nie słyszałam nawet ich kroków na gęstym poszyciu. Mijały nas dziesiątki osób, kiwających głowami na znak szacunku. Nawet kobiety i dzieci kroczyły cicho jak duchy.

W końcu minęło nas czterech roślących mężczyzn, dźwigających nosze, na których leżała bezwładna postać. Wyciągnęłam szyję, by na niego spojrzeć. Kishan ruszył za nimi równym krokiem, przyciskając mnie do piersi z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Szliśmy jeszcze godzinę. Ren przez cały ten czas nie obudził się nawet na chwilę. Kiedy dotarliśmy na polanę, jakiś starszy mężczyzna z plemienia Baiga podszedł do pana Kadama i padł przed nim na twarz. Pan Kadam zwrócił się do nas z wyjaśnieniem, że nasi przewodnicy pragną rozbić tu obozowisko. Zaprosili nas na uroczystą ucztę.

Zastanawiałam się, czy nie lepiej by było, gdybyśmy się nie zatrzymywali, postanowiłam jednak zdać się na pana Kadama. W końcu to on był naszym strategiem i skoro sądził, że jest tu bezpiecznie, to zapewne miał rację. Właściwie to miło było dla odmiany postępować wedle jego decyzji. Poza tym doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli Ren odpocznie przed dalszą drogą.

Staliśmy na uboczu, przyglądając się, jak Baiga rozbijają obozowisko. Byli bardzo szybcy, ale mieli niewiele namiotów. Pan Kadam zlitował się i poprosił magiczną chustę o schronienie na noc dla każdej z rodzin.

Spojrzałam na Bena. Mężczyźni właśnie wnosili go do namiotu, gdy pan Kadam przywołał mnie do siebie.

Widząc moje wahanie, Kishan obiecał, że sprawdzi, co u Rena. Ostrożnie postawił mnie na ziemi obok pana Kadama i ruszył w stronę namiotu. Wspomniał, że najlepiej, bym trzymała się blisko starszego pana, nie wyjaśnił jednak dlaczego.

Kiedy się oddalił, pan Kadam spytał, czy poproszę złoty owoc o posiłek dla Baiga. Byli głodni, kilku nawet bardzo. Lokesh zmuszał ich, by pozostawali w bazie, wykorzystywał ich magię, by utrzymać Rena w niewoli. Od dawna nie mogli wyjść na polowanie. Starszy pan polecił mi również, bym za pomocą chusty wyczarowała wielki, gruby dywan, na którym zmieści się całe plemię.

Wyjęłam z plecaka złoty owoc i zaczęłam przywoływać zamówione przez pana Kadama dania: gorący ryż z aromatycznymi

grzybami, sałatkę z mango i tutejszych owoców, których nazwy wymawiałam z pewnym trudem, pieczoną rybę, dziko rosnącą zieleninę, gnllowane warzywa. Od siebie dodałam wielkie kruche ciasto z truskawkami, bitą śmietaną i kremem bawarskim, podobne do tego które jedliśmy w Shangri-La. Widząc je, pan Kadam uniósł brew, ale mc me powiedział.

Zaprosił Baiga, by usiedli i wzięli udział w uczcie. Po chwili wrócił Kishan i usiadł obok mnie. Szepnął mi na ucho, że Ren ma dobrą opiekę. Gdy wszyscy zajęli miejsca, zapragnęłam przeprosić towarzystwo i poszukać namiotu Rena. Jednak gdy z trudem usiłowałam się podnieść, Kishan stanowczym gestem objął mnie za ramiona i cicho poprosił, bym trzymała się blisko pana Kadama, zapewniając że z Renem jest wszystko w porządku. Widząc jego poważną, przejętą minę, postanowiłam go posłuchać.

Pan Kadam przemówił w języku Baiga. Cierpliwie czekałam aż skończy, jednocześnie rozglądając się po namiotach z nadzieją, że w którymś z nich mignie mi sylwetka Rena.

Gdy pan Kadam umilkł, na środek wyszły dwie kobiety i skropiły ręce wszystkich zebranych pachnącą wodą z kwiatem pomarańczy. Gdy już przemyły każdą parę dłoni, zaczęto podawać sobie misy z jedzeniem. Nie było talerzy ani sztućców. Wprawdzie mogliśmy poprosić o me złoty owoc, ale pan Kadam wolał ucztować wedle zwyczaju Baiga. Kiedy więc podano nam miskę, braliśmy kilka garści, jedliśmy i przekazywaliśmy naczynie następnej osobie. Nie czułam głodu, ale Kishan uparł się, że bym zjadła przynajmniej kęs. Gdy potrawy zatoczyły pełne koło i każdy dostał swoją porcję, miska poszła w ruch po raz drugi. Powtarzało się to, aż posiłek zniknął. Umyłam ręce wodą z menażki i starałam się zachować cierpliwość, widząc, że Baiga przechodzą do kolejnego rytuału. Gdy szepnęłam Kishanowi, że tracimy cenny czas, on odparł, że nigdzie nam się nie spieszy i że Ben nie zdążył jeszcze odzyskać sił.

Tymczasem Baiga przeszli do prawdziwie odświętnej części wieczoru. Wyciągnęli instrumenty, zaczęli śpiewać i tańczyć. Dwie kobiety zbliżyły się do mnie z miseczkami czarnego płynu. Pan Kadam tłumaczył.

- Pytają, czy chciałaby pani zrobić sobie tatuaż, aby upamiętnić zwycięstwo pani męża nad złym człowiekiem.
- A kto ich zdaniem jest moim mężem? Pan Kadam się zaczerwienił.
- Uważają, że jest pani moją żoną.

— Nie wydaje im się, że jestem dla pana trochę za młoda?

— Według ich zwyczajów to całkiem normalne, że młoda kobieta poślubia starszego, mądrzejszego mężczyznę. Widzieli, jak korzysta pani ze złotego owocu, i wierzą, że jest pani boginią, moją małżonką.

— Bozumiem. Cóż, proszę im przekazać, że dziękuję bardzo, ale nie potrzebuję pamiątek, by nigdy nie zapomnieć tego dnia. A tak z ciekawości: kim ich zdaniem jest Kishan?

— Uważają go za naszego syna. Myślą, że przybyliśmy tu, aby uratować swojego drugiego syna.

— Naprawdę sądzą, że mam dwójkę dorosłych dzieci?

— Boginie na zawsze pozostają młode i piękne.

— Szkoda, że ja nie.

— Proszę im pokazać dłoń, panno Kelsey.

— Dłoń? Po co?

— Chodzi mi o tę z rysunkami szamana. Niech pani sprawi, by zabłysła, to ujrzą znaki.

Podniosłam rękę i zebrałam w niej moc pioruna. Moja dłoń błysnęła, rozświetlona od środka. Skóra stała się przezroczysta i rysunki Pheta rozjarzyły się czerwienią na bladym tle.

Pan Kadam powiedział coś szybko do kobiet, a one skłoniły się z wdzięcznością i zostawiły mnie w spokoju.

— Co im pan powiedział?

— Ze ma już pani ognisty tatuaż, dzięki któremu nie zapomni o dzisiejszym dniu. Baiga wierzą, że tatuaże czynią ich kobiety jeszcze piękniejszymi. Nie zrozumieliby, gdybym powiedział, że nie chcę, by wytatuowali pani skórę. Każdy mężczyzna z plemienia pożąda kobiety z misternym tatuażem.

Baiga tańczyli i świętowali. Jeden z nich okazał się połykaczem ognia. Byłam pod wrażeniem jego umiejętności, ale jednocześnie słałam się ze zmęczenia i bólu. Wsparłam się na Kishanie, który objął mnie ramieniem. Chyba zapadłam w sen, bo gdy się ocknęłam, połykacz ognia siedział już na swoim miejscu, a uwagę wszystkich przykuł ruch w jednym z namiotów. Natychmiast oprzytomniałam. Już po chwili z namiotu wyłonił się Ren w towarzystwie dwóch mężczyzn. Był opatrzony i, na wzór Baiga, ubrany w lnianą spódniczkę, nagi od pasa w górę. Kulał, ale wyglądał dużo lepiej. Miał umyte i uczesane włosy. Rany nie wyglądały już tak groźnie. Rozejrzał się dookoła i zatrzymał wzrok na naszej trójce. Minał spojrzeniem pana Kadama oraz mnie i skupił się na Kishanie. Twarz rozjaśnił mu krzywy uśmiech



i ruszył w stronę brata, który wstał, by go przywitać i podać mu pomocną dłoń. Serce zaczęło walić mi jak szalone. Ren uściskał Kishana i słabo poklepał go po plecach.

- Dziękuję, że mnie uratowałeś, i dziękuję za stawę. Jeszcze nie bardzo mogę jeść, ale czuję się... cóż, lepiej.

Usiadł obok brata i zaczął przemawiać do niego w ojczystym ję zyku. Staralam się złapać jego spojrzenie, ale on najwyraźniej nie miał ochoty ze mną rozmawiać. W końcu odchrząknęłam i spytałam:

- Czy chciałbyś jeszcze coś zjeść? Ren zerknął na mnie przelotnie.

- Na razie nie, dziękuję — odparł uprzejmie i znów zwrócił się do Kishana.

Pan Kadam poklepał mnie po ręce, a tymczasem podszedł do nas gunia plemienia Baiga. Ukłękął przed panem Kadamem i szybko coś do niego powiedział. Potem wstał i zaklaskał w dłonie. Jeden z mężczyzn stanął przed Renem i się uklonił. Był to ten sam człowiek, którego widziałam podczas swojej wizji na czubku drzewa, ten, który krzywdził Rena. Ren spojrzał na niego spod zmrużonych powiek, na co mężczyzna natychmiast spuścił wzrok, wypowiedział kilka słów i wyciągnął z zanadrza nóż.

- Proszę, przebacz mi, szlachetny panic — tłumaczył pan Kadam. — Walczyłem z demonem tak długo, jak mogłem, ale on skrzywdził moją rodzinę. Moja żona i dzieci nie żyją. Nie mam już nic. Muszę odzyskać honor, bo inaczej będę musiał opuścić moje plemię i umrzeć samotnie w głuszy.

Mężczyzna rozpuścił *dżura*. Długie, czarne włosy opadły mu na podolek.

Wypowiedziawszy jeszcze dwa słowa, przejechał nożem po włosach, odcinając swój piękny, długi kucyk. Z pietyzmem ujął obcięte włosy i podał je Renowi, skłaniając głowę do samej ziemi. Ren patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową i wyciągnął ręce, przyjmując podarunek. Wypowiedział kilka słów, które przetłumaczył dla mnie pan Kadam:

- Przyjmuję twój dar. Wszyscy ucierpieliśmy z rąk demona. Ukarzemy go za jego zbrodnie, również za to, że pozbawił cię rodziny. Wybaczam ci wszystko i zwracam ci twój honor. Idź ze swoim plemieniem. Mam nadzieję, że odnajdziesz spokój.

Mężczyzna złożył włosy w dłoniach Rena i cofnął się. Następnie gunia przyprowadził do nas dwie piękne, młode dziewczyny. Ukłękły one przed Renem i Kishanem, splatając drobne dłonie i skromnie

spuszczając wzrok. Miały czarne, lśniące włosy i delikatne rysy twarzy. Ich wąskie talie były zaznaczone paskami z lśniących kamyków. Dziewczęta miały kształty, o jakich ja mogłam tylko marzyć. Przez ich ręce oraz nogi przebiegały misterne tatuaże, które znikwały na udach pod cienkimi spódniczkami. Zastanawiałam się, jak dużą część ich ciała pokrywają rysunki. Teraz widziałam, dlaczego tatuaże mogą być uważane za atrakcyjne. Nie przypominały tych, które widuje się u Amerykanów. Tatuaże tych dziewcząt przedstawiały miniaturowe zawijasy, zygzaki i esy-floresy, kwiaty, liście i motyle — precyzyjnie wyrysowane, przypominające kunsztowną ramkę obrazu lub ozdobne inicjały w średniowiecznych księgach. Podkreślały piękne rysy kobiet i kształty ich ciał, czyniąc je istotami niemal nie z tego świata.

Gunia przemówił, wskazując najpierw na jedną, a potem na drugą. Ren wstał niezgrabnie i uśmiechnął się szeroko. Wpatrywałam się w niego zachłannie. Wiedziałam, że przebranie sprawiło, iż na początku mnie nie poznał. Teraz pragnęłam już tylko przytulić się do niego i jak najszybciej go stąd wydostać. Niestety, każde z nas miało swoją rolę do odegrania. Ren, z godnością, choć utykając, obszedł dziewczęta dookoła, potem wziął jedną z nich za rękę, pocałował i uśmiechnął się do niej. Zmarszczyłam czoło, zmieszana. Dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała na Rena z nieśmiałym uśmiechem.

Pan Kadam zerknął na zdumionego Kishana.

— O co chodzi? Co się dzieje? — spytałam.

— Chwileczkę, panno Kelsey.

Kishan wstał i szepnął coś bratu na ucho. Ren założył ręce na piersiach, a potem wskazał na dwie dziewczyny. Kishan zaczął klócić się z nim po cichu. Spojrzał na mnie, a potem na pana Kadama, jakby szukał pomocy. Ren zdawał się bardziej zdezorientowany niż rozgniewany. Zadał jakieś pytanie. W odpowiedzi Kishan zaczął gestykulować z uczuciem, a potem wskazał na gunię. Ren roześmiał się, dotknął włosów dziewczyny, potarł ich pasmo palcami i powiedział do niej coś, co sprawiło, że się roześmiała.

— Czy te dziewczęta też mają zamiar obciąć sobie włosy? — spytałam.

Pan Kadam zmarszczył brwi.

— Nie. Nie sądzę.

Kishan uklonił się guni i obu kobietom, powiedział kilka słów, a potem odwrócił się tyłem do Rena i znów usiadł obok mnie. Ren

uśmiechnął się do dziewcząt, wzruszył ramionami i wrócił na miejsce obok brata.

- Proszę pana, co się stało? Pan Kadam odchrząknął.

- Tak, no cóż... Wygląda na to, że Baiga pragną przyjąć pani synów do plemienia.

- A więc proszą, żeby dołączyli do ich klubu? W porządku, czemu me? Chyba krzywda im się od tego nie stanie?

- Ren i Kishan mieliby poślubić te oto kobiety. Są siostrami i ofiarowały się naszym szlachetnym synom.

- Ach... - Zdumiona zmarszczyłam czoło. - A więc o co się przed chwilą kłócili?

- O to, czy powinni się zgodzić czy me.

- Aha. A kiedy Ren dotknął włosów tamtej dziewczyny?

- Naprawdę... naprawdę me wiem. - Pan Kadam odwrócił się, najwyraźniej nie mając ochoty kontynuować wyjaśnień.

Pomyślałam o tym, co właśnie zobaczyłam, i szturchnęłam łokciem Kishana.

- Kishame, jeśli chcesz wziąć sobie żonę z plemienia Baiga, to proszę bardzo.

Oczywiście o ile cię to uszczęśliwi - szepnęłam. - Obie są bardzo piękne.

Kishan mruknął cicho.

- Nie chcę żadnej żony, Kells. Później ci wytłumaczę.

Teraz byłam jeszcze bardziej zdezorientowana, a do tego odrobinę zazdrosna, ale wmawiałam sobie, że to przecież inna kultura, która pewne gesty interpretuje w inny sposób. Postanowiłam dać spokój i dalej przyglądać się uroczystościom. Gdy się skończyły, głowa ciężko opadła mi na ramię pana Kadama.

Kishan potrząsnął mną.

- Kells? Chodź. Czas ruszać w drogę.

Pomógł mi wstać i wziął mój plecak, a potem wydał Renowi jakieś polecenia. Ren zdawał się chętnie postępować według życzeń brata. Pan Kadam pożegnał się z plemieniem, które zaczęło układać się do snu, i ruszyliśmy przed siebie.

Pan Kadam włączył swój nowoczesny militarny gadżet. Był to zegarek z ekranikiem rozmiarów talii kart, który na bieżąco porównywał nasze otoczenie z mapę satelitarną. Pokazywał, na jakiej długości i szerokości geograficznej się znajdujemy oraz ile kilometrów dzieli nas od celu.

Ren zmienił się w tygrysa. Kishan powiedział, że w ten sposób jego rany szybciej się zagoją. Staralam się iść sama, ale kostka spuchła mi do rozmiarów grejpfruta. Pan Kadam przed kolacją owinał ją elastycznym bandażem i dał mi ibuprofen, ale wciąż czułam bolesne pulsowanie.

Ponieważ się uparłam, Kishan pozwolił mi iść, ale nalegał, żebym wsparła się na jego ramieniu. Gdy Ren przeszedł obok, wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego głowy. Tygrys warknął cicho. Kishan szybko stanął między nami.

— Kishanie? Co się z nim dzieje?

— On... nie jest sobą, Kells.

— Zachowuje się, jakby mnie nie znał. Starając się mnie pocieszyć, Kishan powiedział:

— Prawdopodobnie reaguje jak każde zranione zwierzę. To instynkt. Całkiem naturalna sprawa.

— Ale przecież już wcześniej bywaliście ranni i zajmowałam się wami, żaden z was mnie nie atakował. Zawsze wiedzieliście, kim jestem.

— Nie wiemy jeszcze, co Lokesh mu zrobił. Jestem pewien, że gdy zagoją mu się rany, otrząśnie się z tego. Na razie trzymaj się blisko mnie albo pana Kadama.

Ranny tygrys bywa bardzo niebezpieczny.

— Dobrze — zgodziłam się niechętnie. — Nie chcę sprawiać mu więcej bólu.

Po kilku minutach powolnego, bolesnego marszu Kishan znów wziął mnie na rękę. Zaprotestowałam, mówiąc, że zbyt się zmęczy, ale on prychnął tylko i oświadczył, że bez trudu może mnie nosić jeszcze przez kilka dni. Spałam w jego ramionach.

Kiedy się zatrzymaliśmy, ostrożnie postawił mnie na ziemi i podtrzymał, gdy się zachwiałam. Gdyby nie on, z pewnością bym upadła.

— Proszę pana? Co to za miejsce?

— Tama Maithon. Wkrótce powinien zjawić się nasz transport. Kilka chwil później usłyszeliśmy warkot śmigieł i przeleciał nad

nami mały samolocik. Pobiegliśmy na kamienisty brzeg sztucznego jeziora i

patrzyliśmy, jak ląduje na gładkiej, rozświetlonej księżycem tafli wody. Pan Kadam zamachał neonowym światełkiem i ruszył przed siebie, brodząc w ciemnej wodzie.

Kishan zrobił gest w moją stronę, ale ja zawahałam się, spoglądając do tyłu na białego tygrysa.

— Nie martw się, Kells. On umie pływać.

Kishan poczekał, aż pierwsza wejdę do jeziora. Woda była chłodna i przyniosła ulgę mojej rozpalonej kostce. Zanurzyłam się i zaczęłam płynąć. Pan Kadam był już w samolocie i trzymał się drzwi. Pochylił się, złapał mnie za rękę i pomógł mi wdrapać się do środka. Nilima uśmiechnęła się do mnie z fotela pilota i poklepała miejsce obok siebie.

Przeprosiłam za to, że ją zamoczyłam, i usadowiłam się w fotelu, podczas gdy Kishan gramolił się do samolotu. Odwróciłam się i obserwowałam płynącego białego tygrysa. Gdy Ren zbliżył się do samolotu, zmienił się w człowieka, podciągnął do góry i opadł na siedzenie obok Kishana.

Pan Kadam starannie zamknął drzwi i usiadł obok mnie. Nilima powiedziała:  
— Trzymajcie się mocno.

Śmigła zaczęły się kręcić i nagła siła wypchnęła nas do przodu. Nabraliśmy prędkości, kilka razy odbiliśmy się od powierzchni wody i wzbiliśmy się w nocne niebo. Ren znów zmienił się w tygrysa. Zamknął oczy i oparł głowę na kolanach Kishana. Uśmiechnęłam się przelotnie do młodszego księcia. Spojrzał na mnie w milczeniu, a potem wyrzwał przez okno.

Pan Kadam nakrył nas kocem. Oparłam głowę o jego mokre ramię, a monotony warkot silnika ukołysał mnie do snu.

## OPOWIEŚCI Z FRONTU

Obudziłam się, gdy samolocik odbijał się od powierzchni wody niewielkiego jeziora należącego do Rena i Kishana i położonego nieopodal ich posiadłości. Nilima zgasła silnik, a Kishan wyskoczył na pomost i przycumował samolot. Jeep był zaparkowany nad brzegiem. Moje ubranie zeszywniało od wilgoci. Pan Kadam zaproponował, żebym poprosiła chustę o nowe i od razu się przebrała, ale zrezygnowałam, kiedy wspomniał, że od domu dzieli nas zaledwie dziesięć minut drogi.

Pan Kadam prowadził, chłopcy siedzieli z tyłu, a ja i Nilima tkwiłyśmy ściśnięte na przednim siedzeniu. Ren wciąż pozostawał w skórze tygrysa i wydawał się zadowolony tylko wtedy, gdy Kishan był w pobliżu. Kiedy w końcu dojechaliśmy do domu, pan Kadam zaproponował, bym wzięła gorący prysznic i położyła się spać. Nadszedł już jednak świt i mimo ogromnego zmęczenia pragnęłam być z Renem.

Jedyne, co mnie przekonało, żebym dała mu spokój, to presja, którą wywierali Kishan i pan Kadam. Tłumaczyli, że Ren wciąż potrzebuje czasu, by poczuć się lepiej, i powinien na razie pozostać pod postacią tygrysa. Zgodziłam się wziąć prysznic, ale zapowiedziałam im, że wrócę, by sprawdzić, jak się czuje. Kishan zaniósł mnie do sypialni, pomógł mi zdjąć buty i ściągnął bandaże. Potem zostawił mnie w łazience, cicho zamykając za sobą drzwi.

Trzęsącymi się rękami odkręciłam kurek z gorącą wodą. Ren tu jest! Jest bezpieczny! Wygraliśmy. Pokonaliśmy Lokesha i nikogo

nie straciliśmy. Wciąż czułam zdenerwowanie. Weszłam pod ciepły strumień, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę z Renem. Miałam mu tyle do powiedzenia. Bolało mnie całe ciało. Czułam przeszywające pieczenie w barku. Zadrapałam się o kant jednej z ciężkich skrzyń i została mi po tym fioletowa szrama. Właściwie to powoli cała robiłam się fioletowa.

Starałam się wykapać jak najszybciej, ale każdy ruch oznaczał falę bólu. Nie byłam stworzona do takich przygód. Przyszło mi do głowy, że tak samo powinnam była czuć się w Kiszkindzie i Shangri-La. Po walce z żelaznymi ptakami powinnam była być nieźle poturbowana. Tymczasem wyzdrowiałam szybko, nawet tego nie zauważywszy. Z wyjątkiem ukąszenia *kappa* wszystkie moje rany bardzo prędko się goiły w tych magicznych krainach.

Ren chyba czuł się już lepiej, wiedziałam jednak, że odniósł nie tylko rany fizyczne. Tyle przeszedł... Sama nie wiedziałam, jakim cudem jeszcze żyje, ale byłam za to niebywale wdzięczna. Będę musiała podziękować Durdze za to, że mu pomogła, pomyślałam. Spełniła swoją obietnicę. Ochroniła mojego tygrysa.

Zakręciłam wodę, wyszłam spod prysznic i włożyłam starą flanelową piżamę. Spieszyłam się, ale nawet rozczesywanie włosów bolało. Zaplotłam je pośpiesznie i w ślimaczym tempie opuściłam pokój. Kishan czekał na mnie pod drzwiami, również wykapany i przebrany, z zamkniętymi oczami opierał się o ścianę. Bez słowa wziął mnie na ręce i zaniósł do biblioteki. Usadził mnie w skórzanym fotelu obok pana Kadama, a sam zajął miejsce naprzeciwko, koło Nilimy, u której stóp leżał biały tygrys.

Pan Kadam poklepał mnie po ramieniu.

— On się jeszcze nie przeobraził, panno Kelsey. Być może zbyt długo pozostawał człowiekiem.

— W porządku. Najważniejsze, że jest z nami.

Cały czas obserwowałam mojego białego tygrysa. Zerknął na mnie przelotnie, gdy wszłam do biblioteki, ale potem znów położył głowę na łapach i zamknął oczy. Byłam zawiedziona, że nie usiadł obok mnie. Tak dobrze byłoby choćby dotknąć jego futra. Ale po chwili zrugłam się w duchu za to, że bardziej martwię się o siebie niż o niego. To on przez wiele miesięcy był torturowany. Jedyne, co mogę zrobić, to nie wywierać na nim presji.

Nilima wypytywała, co stało się z plemieniem Baiga. Pan Kadam uznał, że najlepiej będzie, jeśli porównamy swoje relacje z różnych części tej przygody. Nilima zgodziła się przygotować posiłek

i poprosiła mnie o pomoc. Pan Kadam poszedł wziąć prysznic, a Kishan chciał zostać z Renem, który wyglądał na pogrążonego we śnie. Powiedział, że najlepiej będzie jeszcze przez jakiś czas go nie budzić. Zaniósł mnie do kuchni i posadził na taborecie, a potem wrócił do biblioteki. Nilima wyciągnęła z szafek składniki potrzebne do zrobienia omletów i francuskich tostów. Powierzyła mi utarcie sera oraz posiekanie cebuli i papryki. Przez chwilę pracowałyśmy w milczeniu, ale zauważyłam, że mi się przygląda.

- Wszystko jest w porządku, Nilimo, naprawdę. Nie musisz się o mnie martwić. Nie jestem taka słaba, jak się wydaje Kishanowi.

- Och, nie o to chodzi. Wcale nie uważam, że jesteś słaba. Myślę, że niezwykle odważna z siebie dziewczyna.

- Czemu więc tak uważnie mi się przyglądasz?

- Jesteś... wyjątkową osobą, Kelsey. Roześmiałam się.

- Jak to?

- Naprawdę jesteś centrum, które trzyma tę rodzinę razem. Dziadek był taki... zrozpaczony, zanim się pojawiłaś. Uratowałaś go.

- Sądzę, że ostatnio to raczej pan Kadam mnie ratował.

- Nie. Staliśmy się rodziną, gdy zjawiłaś się w naszym życiu. Chociaż niebezpieczeństwo wciąż czyha, on nigdy nie czuł się tak szczęśliwy i spełniony. Kocha cię. Oni wszyscy cię kochają.

Zakłopotana, spytałam:

- A co z tobą, Nilimo? Czy naprawdę odpowiada ci to wariackie życie? Te wszystkie szpiegowskie przygody i intrygi?

Nilima uśmiechnęła się, smarując masłem patelnię, na której ułożyła cztery kromki chleba.

- Dziadek mnie potrzebuje. Jak mogłabym go opuścić? Oczywiście mam też swoją rodzinę. Mama i ojciec zastanawiają się, czemu jeszcze nie wyszłam za mąż i czemu tak bardzo skupiam się na pracy. Mówię im, że sprawia mi ona przyjemność. Nie rozumieją tego, ale akceptują mój wybór. Dzięki pomocy dziadka mają spokojne, wygodne życie.

- Czy wiedzą, że są z nim spokrewnieni?

- Nie. Utrzymuję to przed nimi w tajemnicy. Dużo czasu minęło, zanim powierzył mi ten sekret. Nie zdradziłabym go nikomu bez jego pozwolenia.

Nilima ubiła jajka w misce, dodała śmietankę i zaczęła smażyć pierwszy omlet.

Siedząc z nią w kuchni i gotując, czułam miłe, domowe ciepło.



— Teraz, gdy mamy ciebie — ciągnęła Nilima — widzę, że dziadek ma szansę w końcu odnaleźć spokój. Wreszcie ma z kim podzielić się kłopotami i zapomnieć na chwilę o wielkiej odpowiedzialności za Rena i Kishana. Bardzo jestem dumna z tak szlachetnego i bezinteresownego przodka. To wielki zaszczyt go znać.

— Tak, pan Kadam jest wspaniałym człowiekiem. Nigdy nie poznałam żadnego ze swoich dziadków. Byłabym bardzo dumna, gdyby on był jednym z nich.

Beszte posiłku przygotowałyśmy w milczeniu. Poprosiłam złoty owoc o miodowy nektar i pokroiłam melona. Nilima ustawiła talerze na dużej tacy i zniosła je do biblioteki. Kishan przyszedł po mnie do kuchni, a po chwili dołączył do nas pan Kadam. Biały tygrys uniósł łeb i zaczął węszyć.

Postawiłam przed nim na podłodze talerz z dużą porcją omletu. Natychmiast zabrał się do jedzenia. Wykorzystując okazję, pogłaskałam go po głowie i podrapałam za uszami. Tym razem nie warknął, pochyliłam się więc i dalej go pieściłam. Musiałam trafić na obolałe miejsce, gdyż z jego piersi dobiegł głuchy pomruk.

— Wszystko w porządku, Ren — powiedziałam szybko. — Chciałam się tylko przywitać i przynieść ci śniadanie. Przykro mi, jeśli sprawiłam ci ból.

Kishan nachylił się ku mnie.

— Kelsey, proszę. Odsuń się.

— Wszystko będzie dobrze. Przecież nic mi nie zrobi.

Biały tygrys podniósł się i przesunął w stronę Kishana. Zabolało. Nie mogłam powstrzymać poczucia krzywdy, zupełnie jakby moje własne domowe zwierzątko nagle ugryzło mnie w rękę. Wiedziałam, że to irracjonalne, ale Ren sprawił mi przykrość. Ułożył łapy po obu stronach talerza i wpatrywał się we mnie, póki nie spuściłam wzroku. Wtedy znów zabrał się do jedzenia.

Pan Kadam poklepał mnie lekko po ręce i powiedział:

— Proponuję, byśmy, ciesząc się posiłkiem, opowiedzieli Nilimie o wszystkim, co się wydarzyło. Jestem pewien, że i Ren chętnie posłucha.

Skinęłam głową i zaczęłam dziobać widelcem jajka. Nagle straciłam apetyt. Kishan zwrócił się do Nilimy i zaczął:

— Skoczyliśmy ze spadochronem na polanę oddaloną o kilka kilometrów od wioski plemienia Baiga. Podrzucił nas tam stary pilot, który pracował kiedyś dla linii lotniczych Skrzydlaty Tygrys.

Nilima skinęła głową. Kishan podrapał się po brodzie.

- Ten facet musiał mieć przynajmniej dziewięćdziesiąt lat. Z początku wątpiłem w jego umiejętności, ale szybko zmieniłem zdanie. Wszystko poszło gładko, chociaż mało brakowało, żeby Kelsey nie skoczyła.

- To nie było to samo, co na treningach - wtrąciłam obronnym tonem.

- Przecież skakałaś wcześniej trzy razy, nie licząc przygody w Shangri-La, i nigdy nie miałaś z tym problemu.

- To co innego. Nie było ciemno, a poza tym nie musiałam sama sterować spadochronem.

- Podczas ćwiczeń skakaliśmy razem - wyjaśnił Kishan, po czym zwrócił się do mnie. - Wiedziałaś, że wystarczy poprosić. Skoczyłbym razem z tobą, ty sama uparłaś się, żeby zrobić to w pojedynkę.

- Cóż, gdybyś trzymał ręce przy sobie...

- A gdybyś ty nie miała takiej obsesji na punkcie mojego dotyku...

- To wszystko byłoby w porządku - dokończyliśmy zgodnym chórem.

- Proszę, możemy już zostawić ten temat? - rzuciłam, a w moim piskliwym tonie gniew mieszał się z paniką.

Kishan spojrział na mnie spod zmrużonych powiek, jakby chciał mi zakomunikować, że nie uważa tej rozmowy za zakończoną.

- A więc, jak mówiłem, Kelsey nie skoczyła we właściwym momencie. Pan Kadam wyskoczył pierwszy, więc musiałem prawie ją wypchnąć, bo inaczej nie wylądowalibyśmy na polanie.

- Rzeczywiście mnie wypchnąłeś, a raczej pociągnąłeś za sobą - mruknęłam.

Kishan wbił we mnie znaczące spojrzenie.

- Nie dałaś mi wyboru.

Za to on mi go dał, pomyślałam. Jego pomysł polegał na tym, żebym zapomniała o całej sprawie z Renem i uciekła z nim. Miałam do wyboru to albo skakać sama. A kiedy już otwierałam usta, żeby palnąć mu przemowę na temat utrzymywania przyzwoitej odległości, on warknął ze złością, złapał mnie za rękę i skoczył.

- Kiedy wylądowaliśmy na polanie - ciągnął Kishan - przeobrażiliśmy się w ustalone wcześniej postaci i ruszyliśmy każde swoją drogą. Ja przyjąłem postać Kelsey i miałem na szyi replikę jej amuletu.

- Ja zaś zmieniłam się w służącego z plemienia Baiga. A tak na marginesie, Kishanie, czułam się bardzo dziwnie, patrząc na ciebie, gdy byłeś mną.

— Bycie tobą było równie dziwne. Moim zadaniem było odszukać Lokesha i odciągnąć jego uwagę, więc schowałem się za głównym budynkiem, aż usłyszałem sygnał, ryk tygrysa.

— To byłem ja — wtrącił się pan Kadam. — Zmieniłem się w tygrysa i pobiegłem do dżungli, żeby odciągnąć część żołnierzy od bazy.

— Właśnie — potwierdził Kishan. — Kelsey zaczęła wysadzać w powietrze auta i reflektory, co odstraszyło tych, którzy zostali w bazie, więc właściwie nie natrafiłem już na opór i swobodnie wszedłem na teren obozu. Trudniej było zlokalizować Lokesha. Musiałem przedrzeć się przez wartowników, którzy nie odstępują go na krok. Byli świetnie wyszkoleni, ale część unieszkodliwiłem za pomocą ćakramu, a potem zgasilem nim światła, zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, co się dzieje. Do przeprawy z resztą strażników postanowiłem wykorzystać swój wygląd.

— A dokładnie w jaki sposób? — zapytałam podejrzliwie. Kishan uśmiechnął się szeroko.

— Zachowując się jak kobieta. Udając oszołomienie i strach, wpadłem do pomieszczenia, w którym siedzieli, i poprosiłem tych dużych, silnych mężczyzn o pomoc, tłumacząc, że goni mnie szaleniec ze złotym dyskiem. No wiecie, zatrzepotałem rzęsami i poplirtowałem odrobinę. Jak to kobieta.

Zmierzyłam go wzrokiem z góry na dół i powiedziałam:

— Aha. Mów dalej, proszę.

Kishan westchnął i przeczesał włosy dłonią.

— Wiem, że zaraz się naburmuszysz, jak zawsze gdy jestem w pobliżu, ale przestań, wiem, co sobie myślisz.

Siedziałam z założonymi rękami.

— Naprawdę? Co takiego?

— Myślisz, że sprowadzam wszystkie kobiety, a ciebie zwłaszcza, do roli głupich kokietek — powiedział, machając rękami w rozdrażnieniu. — Przecież wiem, że taka nie jesteś, Kells. Po prostu starałem się jak najlepiej wykorzystać swoje atuty!

— To sobie wykorzystuj, ale swoje, nie moje!

— W porządku! Następnym razem zamienię się w Nilimę!

— I lej! Trzymaj się z dala od moich atutów — wtrąciła się Nilima.

— Być może powinniśmy przejść do kolejnego punktu opowieści — przerwał nam pan Kadam.

Kishan zgodził się, nachmurzony, ale potem zaczął mamrotać coś pod nosem o kobietach, operacjach wojskowych i o tym, że następnym razem pójdzie sam.

— Słyszę cię. Gdyby nie ja, Lokesh pokroiłby cię na kawałki — zadrwiłam.

— To prawda, w całym przedsięwzięciu każdy miał swoją niezwykle ważną rolę — przytaknął pan Kadam. — A teraz pozwól, Kishanie, że zanim dokończysz opowieść, przedstawię wam wydarzenia z mojego punktu widzenia.

Kishan rozsiadł się wygodnie na krześle.

— Proszę bardzo.

Pan Kadam zaczął od wyjaśnienia Nilimie, jak swobodnie czuł się w tygryziej skórze.

— Moc tygrysa przekracza moje najśmielsze wyobrażenia. Nie byliśmy pewni, czy magiczna chusta potrafi zmieniać ludzi w zwierzęta. Okazało się, że jedyne dwa zwierzęta, w które może zamienić, to tygrysie postaci Rena i Kishana. Kiedy wylądowaliśmy na polanie, przybrałem więc postać czarnego tygrysa. Tuż przed tym, jak się rozstaliśmy, panna Kelsey zawiązała mi chustę wokół szyi.

Biegnąc przez dżunglę, znalazłem kilka pułapek. Uruchomiłem kilka z nich, na co rozległ się alarm i już wkrótce usłyszałem chrzęst buciorów goniących mnie żołnierzy. Padło kilka strzałów, ale byłem od nich szybszy. W pewnej chwili zdawało im się, że zapędzili mnie w kozi róg. W rzeczywistości wpadli we własną pułapkę.

Właśnie mieli zacząć strzelać, kiedy zmieniłem się w człowieka, co oszołomiło ich na tyle, że zyskałem chwilę, by uruchomić pułapkę. Pociągnąłem za sznurek, na którym wisiał kawał mięsa, i żołnierze polecili do góry, złapani w sieć. Zostawiłem ich, bujających się na drzewie, i pobiegłem w stronę bazy.

Gdy do niej dotarłem, panna Kelsey zniszczyła już wieże strażnicze. Mieszkańcy wioski biegali wokół, przerażeni. Stałem za drzewem i znów zmieniłem swój wygląd.

— Do kogo upodobniłeś się tym razem? — spytała z zaciekawieniem Nilima.

— Do czczonego przez lud Baiga bóstwa, zwanego Dulha Dao, które wedle ich wierzeń chroni przed chorobami i nieszczęśliwymi wypadkami. Zebrałem wszystkich mieszkańców wioski i powiedziałem im, że przybyłem, by rozprawić się z obcym, który ich tu przetrzymuje. Wszyscy z chęcią mi pomogli. Panna Kelsey zostawiła dla mnie w umówionym miejscu *gada*. Zazwyczaj jest ono dla mnie za ciężkie, ale gdy uniosłem je jako Dulha Dao, byłem w stanie spokojnie nim wywijać. Z pomocą mieszkańców wioski wdarłem się do budynku i razem unieszkodliwiliśmy ludzi Lokesha.

— Jak wyglądałeś? — zapytała Nilima.

Starszy pan zarumienił się, więc go wyręczyłam.

— Pan Kadam wyglądał bardzo dobrze. Był podobny do mężczyzn z plemienia, tylko wyższy, bardziej umięśniony i przystojniejszy. Miał długie, gęste włosy, z których część była spięta w *dżura* nad czołem, a część spływała na plecy. Miał zgrabny, szeroki tors i twarz pokrytą tatuażami. Był nagi od pasa w górę. Nosił ciężkie sznury paciorków i spódniczkę na biodrach. Był boso. Wyglądał niepokojąco, ale w pozytywnym sensie, zwłaszcza gdy trzymał w ręku *gada*.

Gdy umilkłam, uświadomiłam sobie, że wszyscy zebrani wpatrują się we mnie. Nilima parsknęła śmiechem.

— Co!/? — spytałam, zawstydzona. — No dobrze, a więc okazało się, że krzepcy Indusi są w moim typie. Co w tym złego?

Kishan marszczył brwi, pan Kadam wyglądał na... zadowolonego, a Nilima wciąż chichotała.

— Nic, nic, Kelsey. Jestem pewna, że i na mnie ten widok zrobiłby wrażenie — powiedziała.

Pan Kadam odchrząknął.

— No tak... Cóż... Tak czy inaczej, bardzo mi miło. Już od dawna żadna kobieta nie uważała mnie za... krzepkiego.

Parasknęłam śmiechem i wkrótce obie z Nilimą nie mogłyśmy przestać chichotać. Gdy się w końcu uspokoiłyśmy, pan Kadam zapytał:

— Czy mogę mówić dalej?

— Tak — odparłyśmy chórem.

— Jak już wspomniałem, ludzie mnie posłuchali i razem związaliśmy strażników. Weszliśmy do centrum dowodzenia. Ciężkie, pancerne drzwi były zamknięte na klucz. Łatwiej było mi zburzyć całą ścianę, niż je wyłamać. Przesztikaliśmy strażników, ale żaden z nich nie miał przy sobie klucza. W końcu udało nam się zburzyć ścianę. Wewnątrz znaleźliśmy zeszywniałych na podłodze Kelsey i Kishana, jednak Lokesha nigdzie nie było widać. Całe pomieszczenie było zasłane warstwą jakichś cukierków.

— Landrynek — wtrąciłam.

— Skąd się tam wzięły?

— Musiałam coś zrobić, a jedyną bronią, jaka mi pozostała, był złoty owoc, zażyczyłam więc sobie gradu landrynek.

— Bardzo sprytnie. Nie ćwiczyliśmy tego, a jednak pani pomysł sprawdził się doskonale.

— Lokesh z pewnością zaraz by po nas wrócił, gdyby nie pan. Pan i Baiga uratowaliście sytuację.

— A więc to Lokesh sprawił, że nie mogliście się ruszyć? -Tak.

— Pamięta pani, co jeszcze robił?

— Owszem.

— To świetnie. Porozmawiamy o tym później.

— W porządku. Zapiszę wszystko, co się wydarzyło, póki jeszcze mam to świeżo w pamięci.

— Znakomity pomysł. Wracając do tematu, po tym jak Kishan i Kelsey odnaleźli Rena, Baiga chcieli możliwie szybko wydostać się z obozu. W kilka chwil rozmontowali swoje chaty, zapakowali wszystko, co mieli siłę unieść, i ruszyli w dżunglę. Poszliśmy za nimi po trosze dlatego, że czułem się w obowiązku pomóc im uciec jak najdalej od Lokesha, a po trosze dlatego, że i tak zmierzaliśmy w tę samą stronę. Tuż przed tym, jak wyruszyliśmy w drogę, Ren wziął nóż i przeciął sobie skórę.

— Po co? — spytałam, przejęta.

— Zeby usunąć urządzenie naprowadzające, które wszył mu Lokesh.

Spojrzałam współczująco na mojego białego tygrysa. Miał zamknięte oczy, ale strzygł uszami. Słuchał nas.

— Przeszliśmy z plemieniem Raiga przez dżunglę, zjedliśmy razem posiłek, a właściwie była to uczta, i ruszyliśmy dalej po tym, jak dałem ci sygnał, Nilimo.

— Wyśmienicie zagrał pan rolę bóstwa — rzuciłam żartobliwym tonem.

— Tak. Cóż, oni chyba uwierzyli, że wszyscy czworo jesteśmy boskimi istotami. Zresztą gdybym zobaczył to co oni, też pewnie bym uwierzył.

— Czy naprawdę przetrzymywali Rena za pomocą magii? — spytałam.

— Gdy z nimi o tym rozmawiałem, gunia twierdził, że tak. Mówił, że potrafi stworzyć magiczną barierę, która chroni osadę przed atakiem tygrysa. Jednak mniej więcej tydzień temu zakłęcie zostało zmienione tak, by przywabiać tygrysy do obozu. Przez to przez cały tydzień żołnierze musieli się zmagać z tygrysimi napaściami.

— Ach, więc to dzięki temu Kishan mógł się dostać do bazy?

— Na to wygląda.

— Czy to znaczy, że przez ten tydzień Ren mógł uciec?

— Możliwe, ale i Lokesh dysponuje niezwykłymi mocami. Wydaje mi się, że obecność Baiga była mu potrzebna tylko na wypadek, gdyby z jakiegoś powodu sam nie był w stanie zatrzymać Rena w niewoli.

— To straszny człowiek — powiedziałam cicho. — Ren był dla niego jak trofeum, na które czekał od setek lat.

— Ren już go nie interesuje — wtrącił Kishan. - Teraz pragnie dostać w swoje ręce kogoś innego.

Pan Kadam niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

— Kogo? — spytałam. Nikt nie odpowiedział.

— Chodzi ci o mnie — stwierdziłam rzeczowym tonem. Kishan nachylił się w moją stronę.

— Tak. I lepiej, żebyś o tym wiedziała. Musimy się na to przygotować.

— Czemu? To znaczy... do czego jestem mu potrzebna?

— On wie, jaka jesteś dla nas ważna. A poza tym pokonałaś go. — Kishan uśmiechnął się z zadowoleniem.

— To nie ja go pokonałam, tylko ty.

— Owszem, ale on o tym nie wie.

Jęknęłam cicho i już tylko jednym uchem słuchałam, jak Kishan opowiada o naszej walce z Lokeshem. Włączałam się do rozmowy tylko wtedy, gdy zapominał wspomnieć o jakimś szczególe.

Ren obserwował nas i uważnie przysłuchiwał się każdemu słowu. Odłożyłam na stół talerz z nietkniętym śniadaniem, mając nadzieję, że go zainteresuje. Przyglądał mi się z ciekawością, a potem wstał i podszedł parę kroków, wciąż nie spuszczać mnie z oczu.

Zjadł jajka, popychając nosem tosty tam i z powrotem. Ostrożnie nabiłam na widelec grubą kromkę. Tygrys znów na mnie spojrzał, a potem delikatnie zdjął chleb z widelca i połknął kromkę w całości. To samo zrobił z drugim tostem.

Wylizawszy talerz do czysta, odwrócił się, położył obok Kishana i zaczął zlizywać z łąp lepki syrop klonowy.

Kishan umilkł, a gdy podniosłam wzrok, dostrzegłam, że mnie obserwuje. W jego lekko przymrużonych oczach czaił się smutek. Spojrzałam w inną stronę. Kishan zmarszczył brwi i podjął swoją opowieść. Gdy doszedł do momentu, w którym Lokesh zagroził, że zamrozi mi krew w żyłach, przerwałam mu i wyjaśniłam:

— Lokesh nie mówił o mnie.

— Owszem, mówił, Kells.

— Ale czemu niby miałby uważać, że ty, czyli ja, dbasz o los jego służącego?

Powiedział, że zabije jego, nie ją. Myślał po prostu, że jego podwładny go zdradził.

— Przecież nie zabiłem go tylko dlatego, że ci groził.

— Być może, ale on nie mówił o mnie.

— O kim więc?

Spojrzałam na białego tygrysa i poczułam, że się czerwienię.

— Och — powiedział Kishan bezbarwnym tonem. — Chodziło mu o niego. Żałuję, że o tym nie wiedziałem.

— Tak, Lokesh groził, że zabije Rena. Wiedział, że nie zrobię nic, co mogłoby mu zaszkodzić.

— No tali. Oczywiście, że nie zrobisz.

— A co to miało znaczyć? I jak to: żałujesz, że o tym nie wiedziałeś? Czy chcesz przez to powiedzieć, że gdybyś wiedział, nie przejąłbyś się groźbą?

— Nie. Tak. Sam nie wiem. Nie wiem, co bym zrobił.

Nasze słowa sprawiły, że tygrys nadstawił uszu i spojrzał na mnie.

— W takim razie cieszę się, że źle go zrozumiałeś. W przeciwnym razie Rena mogłoby nie być tu z nami.

Kishan westchnął.

— Kelsey...

— Nie! Dobrze wiedzieć, że byłbyś gotów poświęcić jego życie! Pan Kadam poruszył się w fotelu.

— To na pewno nie byłaby dla niego łatwa decyzja, panno Kelsey. Od zawsze uczyłem chłopców, że choć życie każdego człowieka jest ważne, czasem należy podejmować decyzje, mając na względzie dobro większości. Gdyby Kishan miał możliwość pozbyć się Lokesha, jego pierwszą reakcją byłoby zabicie tyrana. Sam fakt, że się od tego powstrzymał, oznacza, że targały nim silne emocje. Proszę nie poczytywać mu tego za słabość.

Spojrzałam na Kishana, który pochylił się do przodu, ścisnął razem koniuszki palców i wbił wzrok w podłogę.

— Wiem, ile on dla ciebie znaczy. Na pewno podjąłbym taką samą decyzję, gdybym wiedział, że Lokesh mówi o Renie, nie o tobie.

— Jesteś pewien?

Kishan spojrzał mi w oczy. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, porozumiewając się bez słów. W przeciwieństwie do Nilimy i pana Kadama wiedział dokładnie, o co go pytam. Pytałam o to, czy pozwoliłby bratu umrzeć, żeby zagwarantować sobie to, czego pragnął. Łatwo byłoby mu zająć miejsce Rena. Pytałam, czy byłby do tego zdolny.



Kishan przez kilka sekund uważnie mi się przyglądał, po czym z absolutną szczerością w głosie zapewnił:

— Obiecuję ci, Kelsey, że będę go chronił z narażeniem własnego życia, do końca swoich dni.

Przeszywał mnie spojrzeniem błyszczących złotych oczu. Wiedziałam, że mówi prawdę, i nagle zrozumiałam, że się zmienił. Nie był tym samym człowiekiem, którego rok temu spotkałam w dżungli. Opuściły go cynizm, frustracja i rozgoryczenie. Teraz był człowiekiem, który o coś walczy, walczy o swoją rodzinę. Wiedziałam, że już nigdy nie powtórzy błędu, który popełnił z Yesubai. Patrząc mu w oczy, rozumiałam, że cokolwiek się zdarzy, mogę na nim polegać.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, ujrzałam, że jest prawdziwym księciem. Człowiekiem gotowym poświęcić się dla innych. Człowiekiem, który ma zamiar spełnić swój obowiązek. Który poznał własne słabości i ciężko pracował, by je przezwyciężyć. Człowiekiem, który właśnie mi oświadczył, że nawet jeśli wybiorę innego, on będzie nas chronił, choćby miało mu od tego pęknąć serce.

— Ja... przepraszam, że w ciebie zwątpiłam — wyjąkałam zawstydzona. — Proszę, wybacz mi.

Kishan uśmiechnął się smutno.

— Nie mam ci czego wybaczać, *bilauta*.

— Czy mam mówić dalej? — spytałam cicho.

— Czemu nie — odparł.

Zacząłam od opowiedzenia Nilimie o tym, jak użyłam złotego owocu, by zapchać zbiorniki z paliwem biskoptami, a lufy karabinów — pszczelim woskiem. Problem w tym, że czar podziałał tylko na broń i auta w zasięgu mojego wzroku. To dlatego Lokeshowi udało się zbiec ukrytym samochodem, a mężczyźni, których nie widziałam, nadal mogli używać swoich karabinów.

Opisałam grad landrynek, ucieczkę Lokesha i to, jak Jjanindra powiodła nas do Rena. Potem opowiedziałam o spotkaniu z człowiekiem, pod którego się podszyłam. Był to służący Lokesha i uznałam, że to dlatego Ben uderzył mnie w twarz.

Wyjaśniłam Nilimie, że człowiek ten był zmuszony przez Lokesha do posłuszeństwa i że na znak skruchy obciął włosy, które potem ofiarował Renowi, błagając o przebaczenie.

Szczegółowo opowiedziałam o uroczystej uczcie z plemieniem Baiga i dwóch kobietach, wyznaczonych na żony dla moich „synów”. Nilima, przewracając oczami, podzieliła moją opinię co do

nedorzeczności tego pomysłu. Potem opowiedziałam jej, jak Kishan wyraził chęć wzięcia jednej z dziewcząt za żonę i jak Ren się z nim o to kłócił.

Kishan spochmurniał.

— Już ci mówiłem, że nie tak było.

— Skoro nie tak, to jak?

Znów zauważyłam kątem oka niemal niedostrzegalny ruch głowy pana Kadama i szybko zwróciłam się w jego stronę.

— O co znów chodzi? Coś przede mną ukrywacie. Pan Kadam pośpieszył z krzepiącymi wyjaśnieniami:

— Nic takiego, panno Kelsey. Po prostu... — tu zamilkł na chwilę z niezręczną miną

— po prostu plemię Baiga uznałoby za nietakt, gdybyśmy otwarcie pogardzili ich kobietami, chłopcy musieli więc odegrać tę małą scenkę, by udobruchać przywódców plemienia.

-Ach.

Pan Kadam i Kishan w milczeniu mierzyli się wzrokiem. W końcu Kishan odwrócił się z wyrazem niesmaku na twarzy. Zerknęłam na Nilimę, która najwyraźniej nie rozumiała, co się stało, ale bardzo uważnie przyglądała się panu Kadamowi. Kishan zaś wpadł w zły nastrój.

— Wiem, że coś się dzieje, ale jestem zbyt zmęczona, by się teraz nad tym zastanawiać. Właściwie to tamta scena z dziewczętami już mnie nie obchodzi.

Najważniejsze, że jest po wszystkim. Odzyskaliśmy Rena i tylko to się liczy.

Nilima odchrząknęła i wstała, zebrała naczynia i odniosła tacę do kuchni, by zająć się zmywaniem. To właśnie wtedy Ren postanowił znów przybrać ludzką postać.

Wszyscy znieruchomieliśmy. Ren po kolei omiółł nas wzrokiem, po czym uśmiechnął się do Nilimy.

— Czy mogę ci pomóc? — zapytał.

Nilima odwzajemniła uśmiech i lekko skinęła głową. Wszyscy wpatrywaliśmy się w Rena, czekając, aż przemówi, ale on tylko w milczeniu pomógł Nilimie odnieść tacę do kuchni. Usłyszeliśmy, jak pyta, czy potrzebuje pomocy przy zmywaniu. Nilima odparła, że sama się tym zajmie i że pozostali (czyli my) na pewno chcieliby teraz z nim porozmawiać. Ren z wahaniem wrócił do pokoju i przyjrzał się naszym twarzom.

Siadając obok Kishana, zapytał cicho:

— Czemu czuję się, jakbym stanął przed hiszpańską inkwizycją?

— Chcemy się tylko upewnić, że nic ci nie jest — uspokoił go pan Kadam.

— Czuję się dobrze.

Jego słowa zawisły w powietrzu, a ja wyobraziłam sobie, jak w duchu dokończył to zdanie: „Czuję się dobrze jak na człowieka, który miesiącami znosił tortury”.

— Ren? — powiedziałam. — Tak mi przykro... Nie powinniśmy byli cię zostawić. Gdybym wiedziała o tej ognistej mocy, którą mam, mogłabym cię ocalić. To wszystko moja wina.

Ren przyjrzał mi się spod zmrużonych powiek.

— Nic nie mogłaś zrobić, Kells — wtrącił się Kishan. — On popchnął cię w moją stronę. To była jego decyzja. Chciał, żebyś była bezpieczna. — Skinął głową w stronę Rena. — Powiedz jej.

Ren spojrział na niego jak na wariata.

— Niezupełnie tak to pamiętam, ale skoro tak twierdzisz...

Umilkł i przyglądał mi się z zaciekawieniem, jakbym była jakimś dziwnym, nieznanym stworzeniem, które znalazł w dżungli i nie wie, czy je zjeść, czy zacząć podzucać w łapach. Przez chwilę bez skrępowania taksował mnie wzrokiem, po czym zmarszczył nos, jakby powąchał coś lekko obrzydliwego, i zwrócił się do pana Kadama:

— Dziękuję za ratunek. Powinienem był wiedzieć, że w końcu obmyśli pan plan uwolnienia mnie.

— Właściwie to panna Kelsey wpadła na pomysł, żebym udawał bóstwo. Rez magicznej chusty, którą zdobyli z Kishanem, nie bylibyśmy w stanie cię ocalić. Nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. Dopiero po tym, jak Kelsey miała wizję, w której dostrzegła służącego z plemienia Baiga, doszliśmy do tego, gdzie Lokesh cię trzyma. A tylko dzięki broni podarowanej nam przez Durgę mogliśmy pokonać jego ludzi.

Ren pokiwał głową i uśmiechnął się do mnie.

— Wygląda na to, że mam wobec ciebie dług wdzięczności. Dziękuję ci za twoje starania.

Coś było nie tak. On zupełnie nie przypominał Rena, którego znałam. Traktował mnie chłodno, z dystansem. Kishan patrzył na niego jak na człowieka, który postradał zmysły.

Wszyscy siedzieliśmy w ciszy, przypatrując się sobie nawzajem. Napięcie wisiało w powietrzu. Nagle pozazdrościłam Nilimie, że myje naczynia w kuchni. Trzej mężczyźni wpatrywali się we mnie nieodgadzionym wzrokiem. Uznałam, że najpierw muszę pomówić z Renem. Później, gdy już wszystko sobie wyjaśnimy, przyjdzie czas na rozmowę z Kishanem.

Uniosłam brwi i posłałam panu Kadamowi wymowne spojrzenie. W końcu dotarło do niego, o co mi chodzi. Odchrząknął i powiedział głośno:

— Kishanie, czy mógłbyś pomóc mi z czymś w moim pokoju? Muszę przesunąć mebel, którego sam nie udźwignę.

Ren wstał i powiedział:

— Ja panu pomogę. Kishan może tu zostać. Pan Kadam się uśmiechnął.

— Proszę, nie ruszaj się, powinienesz jeszcze odpoczywać. Kishan i ja świetnie sobie poradzimy. Poza tym myślę, że panna Kelsey ma ochotę porozmawiać z tobą na osobności.

— Naprawdę nie sędę, że to bezpieczne... — zaczął Kishan. Wbiłam spojrzenie w Rena.

— Wszystko w porządku, Kishanie. Ren nic mi nie zrobi. Kishan spojrzał na brata, który skinął głową i powiedział:

— Nie skrzywdzę jej.

— Kishanie? Mógłbyś?

Księżę westchnął i odgadnąwszy, o co go proszę, ostrożnie wziął mnie na ręce i posadził na kanapie obok Rena. Zanim wyszedł, powiedział:

— Będę w pobliżu. Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu zawołaj. — Zwrócił się do Rena i zagroził: — Nie zrób jej krzywdy. Pamiętaj, że wszystko słyszę.

— Nie będziesz podsłuchiwał — nakazałam stanowczo.

— Owszem, będę.

Zmarszczyłam brwi. Pan Kadam i Kishan wyszli z pokoju. Kishan zerknął na mnie wymownie przez ramię, ale go zignorowałam. W końcu zostałam z Renem sama. Miałam mu tyle do powiedzenia, nie wiedziałam, od czego zacząć. Jego kobaltowe oczy obserwowały mnie uważnie, jakbym była jakimś dziwnym ptakiem, który nagle usiadł mu na ramieniu. Zajrzałam w jego przystojną twarz i w końcu się odezwałam:

— Jeśli nie jesteś zbyt zmęczony, chciałabym chwilę z tobą porozmawiać.

— Skoro sobie tego życzysz — odparł, wzruszając ramionami. Podwinęłam nogę, ułożyłam ją na poduszce i całym ciałem zwróciłam się w jego kierunku.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam — wyznałam, na co on spojrzał na mnie z uniesioną brwią. — Mam ci tyle do powiedzenia, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Wiem, że jesteś zmęczony i pewnie wciąż

obolały, będę więc się streszczać. Wiem, że potrzebujesz czasu, by wyzdrowieć, i że pewnie pragniesz być teraz sam. Ale gdybyś mnie potrzebował, pamiętaj, że jestem blisko. Będę się tobą opiekować, nie zważając na twoje humory. Będę ci przynosić rosół i ciasteczka z masłem orzechowym. Będę ci czytać Szekspira albo poezje, albo co tylko zechcesz. Moglibyśmy zacząć od *Hrabiego Monte Christo*. — Wzięłam go za rękę. — Proszę, powiedz mi tylko, czego ci potrzeba. Wystarczy jedno słowo.

Ren delikatnie cofnął rękę i podrapał się w policzek.

— To bardzo miło z twojej strony.

— To nie ma nic wspólnego z uprzejmością. — Przysunęłam się bliżej i ujęłam jego twarz w dłonie. — Ty jesteś moim domem. Kocham cię.

Nie chciałam wywierać na niego nacisku, ale prawda była taka, że go potrzebowałam. Tak długo byliśmy z dala od siebie, a teraz w końcu miałam go na wyciągnięcie ręki. Mogłam go dotknąć. Nachyliłam się i go pocałowałam.

Zesztywniał, zaskoczony. Nasze usta się zetknęły i poczułam na policzkach łzy.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i przysunęłam się tak blisko, że już niemal siedziałam mu na kolanach.

Ren opierał jedno ramię na oparciu kanapy za naszymi plecami, drugie zaś trzymał na udzie. Wydawał się strasznie odległy i oficjalny. Nie objął mnie i nie odwzajemnił pocałunku. Pocałowałam go w policzek i wtuliłam twarz w jego szyję, wdychając zapach drzewa sandałowego.

Po chwili cofnęłam się i nerwowo splotłam dłonie na kolanach. Na twarzy Rena wciąż malowało się zdumienie. Dotknął dłonią ust i się uśmiechnął.

— Takie powitanie to rozumiem.

Roześmiałam się, wariacko szczęśliwa, że znów jest sobą. Otrząsnęłam się z wątpliwości i smutków, myśląc, że mój ukochany pewnie po prostu potrzebuje czasu, żeby poczuć się jak normalny człowiek i na nowo zaangażować w związek. Nagle Ren stęknął z bólu, więc odsunęłam się szybko. Najwyraźniej spowodowało to, że poczuł się swobodniej.

— Czy mogę cię o coś zapytać? — odezwał się.

Ucałowałam spód jego dłoni. Przyglądał mi się, zaintrygowany, a potem cofnął rękę.

— Oczywiście, że tak — odparłam.

Ren lekko pociągnął mnie za warkocz i bawiąc się moją wstążką, zapytał:

— Kim jesteś?

## NAJGORSZE URODZINY W ŻYCIU

- To nie jest śmieszne, Ren — zachnęłam się nerwowo. — Jak to: kim jestem?
- Wprawdzie doceniam te deklaracje dozgonnego uczucia, ale walcząc z Lokeshem, chyba uderzyłaś się w głowę. Wydaje mi się, że mnie z kimś mylisz.
- Ja cię z kimś mylę? Chyba żartujesz. Przecież jesteś Ren, prawda?
- Owszem, tak mam na imię.
- No właśnie. Ren, facet, w którym jestem po uszy zakochana.
- Jak możesz mówić, że mnie kochasz, skoro cię nigdy wcześniej nie widziałem? Dotknęłam jego czoła.
- Masz gorączkę? Źle się czujesz? A może to ty dostałaś w głowę? Zaczęłam obmacywać mu czaszkę w poszukiwaniu guza. Delikatnie zdjął moje dłonie ze swojej głowy.
- Dobrze się czuję... Kelsey, tak? Wszystko ze mną w porządku, nie mam żadnej gorączki.
- To czemu mnie nie pamiętasz?
- Pewnie dlatego, że nigdy wcześniej cię nie spotkałem. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie! To niemożliwe!
- Znamy się prawie od roku. Jesteś... moim chłopakiem. Lokesh coś ci zrobił! Panie Kadamie! Kishanie! — zawołałam.
- Kishan wpadł do pokoju, jakby się paliło. Odepchnął Rena i stanął między nami. Wziął mnie na ręce i posadził w fotelu po drugiej stronie pokoju.

— Co się stało, Kells? Zrobił ci krzywdę?

— Nie, nie. Nie o to chodzi. On mnie nie zna! Nie pamięta mnie! Kishan odwrócił wzrok.

— Wiedziałeś! Wiedziałeś i ukryłeś to przede mną? Do pokoju wszedł pan Kadam.

— Obaj wiedzieliśmy.

— Co? Czemu nic nie mówiliście?

— Nie chcieliśmy pani straszyć. Sądziliśmy, że to chwilowy problem, który sam się rozwiąże, gdy Ren poczuje się lepiej — wyjaśnił pan Kadam.

Ścisnęłam Kishana za ramię.

— A więc kiedy tamte dziewczyny z plemienia...

— Ren chciał wziąć jedną z nich za żonę — powiedział Kishan.

— Oczywiście. Wszystko nabiera sensu. Pan Kadam usiadł obok Rena.

— Naprawdę nadal jej nie pamiętasz? Ren wzruszył ramionami.

— Nigdy w życiu nie widziałem tej młodej damy, do momentu, kiedy stanęła przed moją klatką i mnie ocaliła. Choć teraz wiem, że to był Kishan.

— Tak jest! Przed klatką! To właśnie przed klatką się poznaliśmy, pamiętasz? Byłeś w cyrku. Co wieczór robiłeś sztuczki. Rysowałam ci i czytałam. Pomogłam ci uwolnić.

— Pamiętam cyrk, ale ciebie tam nie było. Pamiętam, że sam się uwolniłem.

— Jak to? To niemożliwe. Skoro mogłeś sam stamtąd uciec, czemu nie zrobiłeś tego wiele lat wcześniej?

Ren nachmurzył przystojną twarz.

— Nie wiem. Pamiętam tylko, że wyszedłem z klatki, zadzwoniłem do pana Kadama, a on przybył, żeby zabrać mnie do Indii.

— Czy pamiętasz wizytę u Pheta w dżungli? — przerwał mu starszy pan. — A to, jak kłóciłeś się ze mną, że nie powinniśmy oszukiwać Kelsey?

— Pamiętam kłótnię, ale nie o nią. Pan nie chciał, żebym tracił czas na szukanie Pheta, a ja uważałem, że to jedyne wyjście.

Zdenerwowana, zapytałam drżącym głosem:

— A co z Kiszkindą? Przecież byliśmy tam razem.

— Ja pamiętam, że byłem sam.

— Jak to możliwe? Pamiętasz pana Kadama? Kishana? Nilimę?

— Oczywiście.

— A więc tylko o mnie zapomniałaś?

— Na to wygląda.

— A co z walentynkowym balem, z bójką z Li, ciasteczkami z masłem orzechowym, filmami, prażoną kukurydzą, Oregonem, uniwersytetem, wycieczką do Tillamook? Nic nie pamiętasz?

— Niezupełnie. Pamiętam, że biłem się z Li, jadłem ciastka, byłem w Tillamook, oglądałem filmy, pamiętam Oregon. Nie pamiętam tylko ciebie.

— A więc zamieszkałeś w Oregonie ot tak, bez powodu?

— Nie. Chodziłem do college'u.

— A co z wolnym czasem? Z kim go spędzałeś?

Ren zmarszczył czoło, jakby próbował się skoncentrować.

— Najpierw byłem sam, a potem z Kishanem.

— Pamiętasz kłótnie z Kishanem?

— Owszem.

— O co się kłóciliście?

— Nie wiem... Poczekaj! Ciastka. Kłóciliśmy się o ciastka. Poczułam łzy w oczach.

— To jakiś okrutny żart. Jak mogło do tego dojść? Pan Kadam wstał i poklepał mnie po plecach.

— Nie jestem pewien, być może to tylko chwilowa utrata pamięci.

— Nie sądzę. — Pociągnęłam nosem, rozgniewana. — On nie pamięta tylko mnie. To robota Loksha.

— Podejrzewam, że ma pani rację, ale nie traćmy nadziei. Zanim zaczniemy się martwić, dajmy mu trochę czasu. Ren potrzebuje odpoczynku, a my tymczasem spróbujemy pomóc mu w odzyskaniu pamięci. Skontaktuję się również z Phetem. Być może ma jakieś ziołowe lekarstwo, które mogłoby nam pomóc.

Ben podniósł rękę.

— Zanim zaczniecie te wszystkie testy, ziołowe kuracje i grzebanie we wspomnieniach, dajcie mi chwilę dla siebie.

To powiedziawszy, wyszedł z pokoju. Znów poczułam w oczach łzy.

— Ja... chyba też chcę zostać sama - wyjąkałam i kuśtykając, uciekłam z biblioteki. Dotarłam do schodów i po chwili bolesnej wspinaczki, przystanąłam. Mocno złapałam się balustrady, a wzrok zmały mi łzy. Poczułam rękę na ramieniu, odwróciłam się i zatopiłam mokrą twarz w koszuli Kishana, szlochając głośno. Książę wziął mnie na ręce, przytulił i zaniósł na górę. Położył mnie na łóżku, a potem przyniósł z łazienki paczkę chustek i postawił ją na nocnym stoliku.



Wymamrotał kilka słów w hindi, delikatnie odgarnął mi włosy z twarzy, pocałował mnie w czoło i wyszedł.

Jakiś czas później do moich drzwi zapukała Nilima. Siedziałam właśnie w białym fotelu, przyciskając do siebie pluszowego tygrysa. Cały poranek spędziłam, na przemian śpiąc i płacząc. Nilima uściskała mnie i przysiadła na sofie.

— On mnie nie zna — wyszeptałam.

— Musisz dać mu trochę czasu. Proszę, przyniosłam ci coś do zjedzenia.

— Nie jestem głodna.

— Nawet nie tknęłaś śniadania. Spojrzałam na nią smutnym wzrokiem.

— Chyba nie potrafię teraz jeść.

— W porządku.

Nilima wstała, weszła do łazienki i wróciła z moją szczotką do włosów.

— Wszystko będzie dobrze, Kelsey. On wrócił i wkrótce wszystko sobie przypomni.

Rozpuściła mi włosy i zaczęła je rozczesywać długimi, płynnymi pociągnięciami. Przypomniała mi się mama i poczułam się nieco lepiej.

— Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę. A nawet jeśli Ren nie odzyska wspomnień, to jestem pewna, że zakocha się w tobie na nowo. Moja matka mawia: „głęboka studnia nigdy nie wysycha”. Jego uczucia do ciebie są zbyt silne, żeby tak po prostu zniknąć, nawet w porze suchej, takiej jak ta.

Roześmiałam się przez łzy.

— Chętnie poznam kiedyś twoją mamę.

— Niewykluczone.

Nilima wyszła, a ja poczułam się lepiej i wolno zeszałam po schodach. Wszedłszy do kuchni, zastałam Kishana, wydeptującego ścieżkę w podłodze. Na mój widok zatrzymał się i patrzył, jak utykając, zawijam w folię przyniesione mi przez Nilimę jedzenie i chowam je do lodówki.

— Twoja kostka wygląda już lepiej.

— Pan Kadam przyłożył mi lód i kazał trzymać w górze.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— Tak. Nic mi nie będzie. Wprawdzie miałam nadzieję na inne przywitanie z Renem, ale przynajmniej nie znaleźliśmy go martwego.

— Pomogę ci. Możemy wszyscy razem z nim pracować. Wiedziałam, z jak wielkim trudem przysły mu te słowa. Ale

nie spodziewałam się po nim niczego innego. Chciał, żebym była szczęśliwa.

— Dziękuję. Doceniam to.

Podeszłam o krok bliżej i prawie upadłam. Kishan złapał mnie w ostatniej chwili i z wahaniem wziął w ramiona. Chyba oczekiwał, że go odepchnę, jak to miałam ostatnio w zwyczaju, ale ja objęłam go i przytuliłam. Westchnął i pocałował mnie w czoło. W tym momencie do kuchni wszedł Ren. Zesztywniałam. Przez chwilę здаowało mi się, że zareaguje jakoś, widząc, że Kishan mnie dotyka, ale on kompletnie nas zignorował, chwycił butelkę wody i wyszedł bez słowa.

Kishan ujął mnie pod brodę.

— On sobie wszystko przypomni, Kells. - Aha.

— Chcesz obejrzeć film?

— Czemu nie.

— W porządku. Tylko żeby miał akcję. Żadnych musicali. Roześmiałam się.

— Akcję, tak? Coś mi mówi, że spodoba ci się Indiana Jones. Kishan objął mnie w tali i poprowadził do sali kinowej.

Nie widziałam Rena aż do wieczora. Dostrzegłam go na werandzie. Patrzył na księżyc. Przystanąłam, myśląc, że pewnie chciałby być sam. Potem uznałam, że jeśli rzeczywiście tak jest, zawsze może poprosić, żebym sobie poszła.

Odsunęłam szklane drzwi i wyszłam na zewnątrz. Ren przekrzywił głowę, ale się nie poruszył.

— Nie przeszkadzam? — spytałam.

— Nie. Usiądziesz?

— Dobrze.

Wstał i pomógł mi usiąść naprzeciw siebie. Uważnie przyjrzałam się jego twarzy. Sińce już prawie zniknęły. Włosy miał czyste i świeżo ostrzyżone. Był ubrany swobodnie, lecz z klasą. Na widok jego stóp wydałam z siebie zduszony okrzyk przerażenia. Wciąż były fioletowe i okropnie spuchnięte.

— Co on ci zrobił?

Ren podążył za moim spojrzeniem i wzruszył ramionami.

— Łamał mi kości, a gdy się zrastały, łamał jeszcze raz. I tak w kółko.

— Och... — powiedziałam, zmieszana. — Czy mogę obejrzeć twoje dłonie?

Wyciągnął ręce, a ja ujęłam je delikatnie i bacznie się im przyjrzałam. Złocista skóra była gładka i nietknięta, a palce — długie i proste. Paznokcie, jeszcze niedawno powyrywane i zakrwawione, wyglądały już równo i zdrowo. Spojrzałam na spody dłoni. Oprócz paskudnego zadrapania po wewnętrznej stronie ramienia, które kończyło się przy nadgarstku, wszystko było w porządku. Gdyby normalnej osobie połamać ręce w kilku miejscach, pewnie straciłaby nad nimi władzę. A Ren nawet kłykcie miał sprawne i bez śladu opuchlizny.

Lekko przesunęłam palcem po ranie i spytałam: - A to?

— To pamiątka po tym, jak Lokesh próbował mnie wykrwawić, żeby sprawdzić, czy przeżyję. Przeżyłem. On za to lekko się wkurzył, bo zaplamił sobie krwią całe ubranie.

To powiedziawszy, Ren wyrwał swoje dłonie z moich i wyciągnął ramiona na tylnym oparciu huśtawki.

— Ren, ja...

Powstrzymał mnie ruchem ręki.

— Nie musisz mnie przeproszać, Kelsey. To nie twoja wina. Pan Kadam wszystko mi wyjaśnił.

— Jak? Co powiedział?

— Ze Lokesh ścigał ciebie, bo chciał zdobyć amulet Kishana, który nosisz na szyi, i że gdybym nie został wtedy w tyle, schwytałby całą naszą trójkę.

— Rozumiem.

Ren wychylił się do przodu.

— Cieszę się, że złapał mnie, a nie ciebie. Zginęłabyś okropną śmiercią. Nikt nie zasługuje na to, żeby tak umrzeć. Lepiej, żeby złapał mnie albo Kishana.

— Zachowałeś się jak prawdziwy rycerz.

Ren wzruszył ramionami i zapatrzył się w światelka nad basenem.

— Ren... co on ci robił?

Książę znów zwrócił się do mnie i spojrzał na moją spuchniętą kostkę.

— Mogę? Skinełam głowę.

Delikatnie uniósł moją nogę i położył sobie na kolanach. Lekko dotknął fioletowego sińca i podłożył mi pod stopę poduszkę.

— Przykro mi, że ją skrzywiłaś. Szkoda, że twoje obrażenia nie goją się tak szybko jak nasze.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— O pewnych rzeczach nie powinno się mówić. To, że je pamiętam, jest już wystarczająco okropne.

— A jednak rozmowa pomaga.

— Kiedy poczuję się gotowy, by o tym mówić, porozmawiam z Ki-shanem lub z Kadamem. Oni wiele przeżyli i widzieli wiele koszmarów.

— Ja też wiele przeżyłam. Roześmiał się.

— Ty? Jesteś o wiele za słaba i zbyt wrażliwa, żeby słuchać o tym, co mnie spotkało. Skrzyżowałam ramiona na piersiach.

— Nie jestem wcale taka słaba, jak ci się wydaje.

— Przepraszam. Uraziłem cię. Słaba to złe słowo. Jesteś zbyt... czysta, zbyt niewinna, żeby o tym słuchać. Nie chciałbym zbrukać twojego umysłu wyobrażeniem tego, do czego Lokesh jest zdolny.

— Ale to ci może pomóc.

— Wystarczająco dużo już dla mnie poświęciłaś.

— Ale to wszystko, co się stało, wydarzyło się dlatego, że chciałeś mnie chronić.

— Tego nie pamiętam, ale nawet gdybym mógł, z pewnością nadal nie chciałbym ci o tym powiadać.

— Możliwe. Wiem, jaki potrafisz być uparty.

— Tak. Są rzeczy, które się nie zmieniają.

— Czy czujesz się wystarczająco dobrze, żeby spróbować odświeżyć wspomnienia?

— Możemy spróbować. Od czego chcesz zacząć?

— Od początku.

Ren skinął głową, zaczęłam więc opowiadać o naszym pierwszym spotkaniu w cyrku. O tym, jak uciekł z klatki i spał na sianie, i jak obwinałam się za to, że nie dopilnowałam drzwi. Wspomniałam wiersz o kocie i to, jak go sportretowałam w swoim pamiętniku. Dziwne było to, że Ren pamiętał wiersz. Zacytował mi nawet kawałek.

Mówiłam przez dobrą godzinę. Ren słuchał uważnie i kiwał głową. Wyglądało na to, że najbardziej zainteresował go mój pamiętnik.

— Czy mógłbym go poczytać? — poprosił.

Drgnęłam, zawstydzona.

- Rzeczywiście, to powinno pomóc. Jest w nim też kilka twoich wierszy i mnóstwo zapisków o tym, co razem robiliśmy. To może uruchomić jakieś wspomnienie.

Tylko musisz się przygotować na dziewczęńskie wynurzenia i sporo emocji.

Ren spojrział na mnie z uniesioną brwią, więc pośpieszyłam z wyjaśnieniem:

- Na początku nie wszystko toczyło się gładko. Najpierw cię odrzuciłam, potem zmieniłam zdanie, a potem znów cię odrzuciłam. To nie była moja najlepsza decyzja, ale wtedy zdawało mi się, że wiem, co robię.

Ren się uśmiechnął.

- „Nigdy pogodnie prawdziwej miłości strumień nie płynął...”

- Kiedy przeczytałeś *Sen nocy letniej*?

- Nie czytałem. Natrafiłem na to zdanie w zbiorze słynnych cytatów z Szekspira.

- Nigdy mi o nim nie mówiłeś.

- Ach, wreszcie coś, o czym ja wiem, a ty nie. - Westchnął. -Przepraszam, to dla mnie bardzo dziwna sytuacja. Wybacz, jeśli cię uraziłem. Nie chciałem. Pan Kadam mówił, że twoi rodzice nie żyją, czy to prawda?

Skinęłam głową.

- Wyobraź sobie, że ich nie pamiętasz. Masz zdjęcia, słyszysz o nich opowieści, ale to dla ciebie obcy ludzie. Mieli o tobie wspomnienia, których nie rozpoznajesz.

Mieli wobec ciebie oczekiwania. Marzenia o twojej przeszłości, które całkowicie różniły się od twoich.

- To by było strasznie trudne. Być może wątpiłabym nawet w to, co mi się mówi.

- Właśnie. Zwłaszcza gdyby przez kilka miesięcy torturowano cię fizycznie i psychicznie.

- Rozumiem.

Wstałam, czując, jak serce znów pęka mi w piersi. Gdy przechodziłam obok Rena, on dotknął mojej ręki.

- Nie chcę sprawiać ci przykrości. Mogę sobie wyobrazić gorsze rzeczy niż wiadomość, że mam uroczą, troskliwą dziewczynę, której me pamiętam. Po prostu muszę jakoś dojść z tym do ładu.

- Ren? Czy myślisz... To znaczy... Czy to możliwe... czy możliwe, że znów mnie pokochasz?

1 W. Szekspir, *Sen nocy letniej*, tłum. S. Koźmian, Warszawa 1980, s. 12.

Przez chwilę spoglądał na mnie w zamyśleniu, po czym powiedział:

— Spróbuję.

Bez słowa skinęłam głową. Ren puścił moją rękę, wróciłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Spróbuj.

Minał tydzień, a Ren nie robił postępów. Nie pamiętał mnie, pomimo połączonych wysiłków Kishana, pana Kadama i Nilimy. Powoli tracił cierpliwość do wszystkich z wyjątkiem Nilimy, z którą lubił spędzać czas. Uznałam, że jej towarzystwo najmniej go męczy. Nie znała mnie tak dobrze jak pozostali i rozmawiała z nim o rzeczach, które pamiętali oboje.

Przyrządziłam mu po kolei każde danie, które tak uwielbiał w Oregonie, w tym słynne ciasteczka z masłem orzechowym. Za pierwszym razem wydawało się, że mu smakują, ale wyjaśniłam mu ich znaczenie i za drugim razem wykazał już mniej entuzjazmu. Nie chciał sprawić mi zawodu, ale ciastka nie uruchomiły wspomnień. Kishan wykorzystał sytuację i pochłonął całą porcję. Po czterech dniach przestałam piec i gotować, widząc, że Rena coraz bardziej irytują nasze naciski.

Pewnego wieczoru zeszłam na kolację i dostrzegłam, jak wszyscy wypatrują mnie z jadalni, ozdobionej serpentynami w kremowych i brzoskwiniowych odcieniach. Na środku pięknie udekorowanego stołu stał wielki tort.

— Sto lat, panno Kelsey! — zakrzyknął pan Kadam.

— Moje urodziny? Zupełnie zapomniałam!

— Ile masz lat, Kells? — spytał Kishan.

— Imm... dziewiętnaście.

— Ech, to wciąż dziecko. Prawda, Ren?

Ren skinął głową i uśmiechnął się uprzejmie. Kishan uściskał mnie mocno.

— Proszę. Siadaj, a ja przyniosę prezenty.

Kishan odsunął przede mną krzesło i pomógł mi usiąść. Pan Kadam poprosił złoty owoc o moje ulubione danie: cheeseburgera, frytki i koktajl czekoladowy. Każdy z nas wybrał swoją ulubioną potrawę i już wkrótce ze śmiechem porównywaliśmy nasze gusty. Po raz pierwszy od dawna się roześmiałam.

Po kolacji Kishan oznajmił, że pora na prezenty. Jako pierwszy otworzyłam podarunek od Nilimy. Był to flakonik drogich francuskich perfum.

Kishan powąchał je i prychnął.

— Twój naturalny zapach jest o wiele ładniejszy.

Kiedy flakonik dotarł do Rena, ten uśmiechnął się do Nilimy i powiedział:

— Podoba mi się.

Beztrouski uśmiech natychmiast zniknął mi z twarzy.

Następnie przyszła kolej na prezent od pana Kadama, który przysunął mi przez stół kopertę. Gdy ją otwierałam, puścił do mnie oko. Wewnątrz było zdjęcie samochodu.

Pokazałam mu je i spytałam:

— Co to?

— Nowe auto.

— Ja nie potrzebuję nowego auta. Mam boxstera, który został w Oregonie.

Pan Kadam smutno potrząsnął głową.

— Niestety. Musiałem sprzedać samochód i dom. Lokesh o nich wiedział i mogłyby doprowadzić go do nas.

Uśmiechnęłam się, wymachując fotografią.

— Jaki samochód tym razem jest mi pana zdaniem potrzebny?

— Ach, to nic takiego. Byle dojechać z punktu A do punktu B.

— Jak się nazywa to „nic takiego”?

— McLaren SLR 722 Roadster.

— Jaki jest duży?

— To kabriolet.

— Pomieści tygrysa?

— Nie, ale chłopcy mogą już być ludźmi przez cały dzień.

— Czy kosztował więcej niż trzydzieści tysięcy dolarów? Pan Kadam skrzywił się lekko i wymijającym tonem odparł:

— Tak, ale...

— Dużo więcej?

— Dużo.

— Jak dużo?

— Około czterystu tysięcy więcej. Otworzyłam usta ze zdumienia.

— Proszę pana!

— Panno Kelsey, wiem, że to ekstrawagancki prezent, ale gdy się nim pani przejedzie, przekona się, że był wart każdego centa.

- Nie mam zamiaru nim jeździć. Pan Kadam wyglądał na urażonego.  
- To samochód. Służy do jeżdżenia.  
- W takim razie proszę go sobie wziąć. Ja będę jeździć jeepem. W oczach pana Kadama pojawiły się ochocze iskierki.  
- Jeśli się pani zgodzi, możemy się umówić, że to nasze wspólne auto.  
Kishan klasnął w ręce.  
- Nie mogę się doczekać.  
Pan Kadam pogroził mu palcem.  
- O nie"! Nie mówiłem o tobie. Ty dostaniesz najwyżej zwykły samochód. I to używany.  
- Jestem dobrym kierowcą! - zaprotestował Kishan.  
- Musisz jeszcze dużo ćwiczyć.  
- No dobrze - przerwałam im ze śmiechem. - Porozmawiamy, kiedy samochód tu dotrze.  
- Ależ on już tu jest, panno Kelsey. Stoi w garażu. Może później wybierzemy się na przejażdżkę? - zaproponował, a oczy mu zalśniły.  
- Dobrze, tylko pan i ja. I dziękuję za ten cudownie ekstrawagancki i absolutnie nieprzyzwoity prezent.  
Starszy pan skinął głową, zadowolony.  
- W porządku. - Uśmiechnęłam się. - Co dalej?  
- Ode mnie - powiedział Kishan, wręczając mi spore białe pudełko przewiązane niebieską aksamitną wstążką. Otworzyłam je, rozchyliłam cienką bibułę i dotknęłam błękitnego jedwabiu. Wstałam i wyjęłam z pudełka delikatny materiał.  
- Kishanie, jaka piękna!  
- Została wykonana na specjalne zamówienie w Chinach, żeby przypominała szatę, którą miałaś na sobie w Sennym Gaju. Oczywiście nie mogliśmy wpleść w materiał prawdziwych kwiatów.  
Wzdłuż krawędzi i w górę, bokiem szaty, biegł przepiękny haft z misternym wzorkiem z chabrów o jasnozielonych łodyżkach i listkach, na których przysiadły elfy o pomarańczowych i fioletowych skrzydełkach.  
- Dziękuję ci! Jest prześliczna!  
Uściskałam go i cmoknęłam w policzek. W złotych oczach błysnęła radość.  
- Dziękuję wam wszystkim!  
- Ee, ja też mam dla ciebie prezent. Chociaż nie taki wspaniały jak pozostałe - Ren przesunął w moją stronę zapakowaną



w pośpiechu paczuszkę i natychmiast wbił wzrok we własne ręce, nie zauważając mojego nieśmiałego uśmiechu. W paczce znajdowało się coś miękkiego.

— Co to? Niech zgadnę. Kaszmirowa czapka i rękawiczki? Nie, po co mi one w Indiach. Ach, już wiem, jedwabna apaszka?

— Otwórz, to się przekonamy — powiedziała Nilima. Rozerwałam ozdobny papier i zamrużałam.

Pan Kadam nachylił się, zaciekawiony.

— Co to takiego, panno Kelsey?

Szybko otarłam wierzchem dłoni łzę, która spłynęła mi po policzku, i uśmiechnęłam się.

— Śliczne skarpetki. Dziękuję — zwróciłam się do Rena. — Dobrze odgadłeś, że potrzebna mi nowa para.

Ren skinął głową i zaczął dziobać widelcem jedzenie na swoim talerzu. Nilima wyczuła, że coś jest nie tak, ścisnęła mnie za ramię, a potem spytała głośno:

— Kto ma ochotę na tort?

Uśmiechnęłam się pogodnie, by rozładować atmosferę. Nilima pokroiła ciasto, a pan Kadam dodał do każdej porcji po dużej kulce lodów. Podziękowałam im i skosztowałam.

— Brzoskwiniowy! Jeszcze nigdy nie jadłam brzoskwiniowego tortu. Kto go zrobił? Złoty owoc?

— A nie. Upiekliśmy go razem z Nilimą — odparł pan Kadam znad pudełka z lodami.

— Lody też są śmietankowo-brzoskwiniowe — zauważyłam z uśmiechem.

— Owszem. — Pan Kadam się roześmiał. — I to, zdaje się, z pani ulubionej lodziarni w Tillamook.

Spróbowałam deseru.

— Wiedziałam, że znam skądś ten smak. To moje ulubione lody. Dziękuję, że pan o mnie pomyślał.

— O, to nie moja zasługa — odparł starszy pan. — Planowaliśmy to od długiego...

— zamilkł, uświadomiwszy sobie swój błąd. Od-kaszlnął z zakłopotaniem i wyjąkał: — No... w każdym razie to nie był mój pomysł.

-Ach... "

Pan Kadam mówił dalej, starając się odciągnąć moją uwagę od faktu, że to mój dawny Ren zaplanował dla mnie to przyjęcie już wiele miesięcy temu. Opowiadał o tym, że brzoskwinia jest w Chinach symbolem pomyślności i długiego życia.

Nie słuchałam go. Tort nagle stanął mi w gardle. Napiałam się wody.

Ren przesuwiał łyżeczką po talerzu porcję brzoskwiniowych lodów.

- Czy me zostały jeszcze czekoladowe albo orzechowe? Nie przepadam za brzoskwiniami ze śmietanką.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na mego, rozczarowana i oszołomiona. Słyszałam, jak pan Kadam odpowiada, że lody są w zamrażalniku. Ren odsunął od siebie talerzyk i wyszedł z pokoju. Siedziałam bez ruchu, z widelczykiem w uniesionej dłoni. Czekałam. Po chwili poczułam, jak zalewa mnie fala rozżalenia i goryczy.

Byłam w niebie świętowałam urodziny z ukochanymi ludźmi, i nagle znalazłam się w piekle. Łzy napłynęły mi do oczu. Przeprosiłam, wstałam i szybko się odwróciłam, żeby ukryć twarz. Kishan również wstał. Najwyraźniej me wiedział, co ma robić. Starając się przybrać radosną minę, zapytałam pana Kadama, czy możemy przenieść na jutro naszą przejażdżkę.

- Oczywiście - odparł cicho starszy pan.

Wchodząc na górę, usłyszałam, jak Kishan groźnym tonem pyta

Rena:

- Coś ty narobił?

- Nie wiem - zabrzmiała łagodna odpowiedź.

## EPILOG

### NIEKOCHANA

Następnego dnia obudziłam się z postanowieniem, by odłożyć żale na bok. W końcu Ren me zawinił. Nie wiedział, co zrobił ani czemu tak mnie to zraniło. Nie pamiętał, jak kiedyś mówił, że skarpetki me mają w sobie krzty romantyzmu. Nie pamiętał, z czym kojarzył mu się mój zapach ani tego, że kiedyś wybrał brzoskwiniowe lody, rezygnując z orzechowych. To tylko głupie lody! Kogo to obchodzi?

Teraz już nikt nie pamiętał o tych rzeczach. Nikt oprócz mnie. Pojechałam z panem Kadamem na przejażdżkę nowym bajeranckim kabrioletem i starałam się okazywać radość, kiedy demonstrował mi kolejne funkcje. W środku jednak czułam pustkę. Byłam zrozpaczona. Czułam się, jakbym miała do czynienia z sobowtórem Rena. Wyglądał jak mój ukochany, mówił jego głosem, ale czegoś mu brakowało. Jakiejś iskry.

Po powrocie byłam umówiona na trening z Kishanem, przebrałam się więc i przez pralnię zesłam na dół, do sali ćwiczeń. Jednak zatrzymałam się tuż przed progiem, gdy dotarły do mnie podniesione głosy. Nie chciałam podsłuchiwać, ale gdy usłyszałam swoje imię, nie mogłam już odejść.

- Krzywdzisz ją - powiedział Kishan.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Nie chcę robić jej przykrości, ale me zmusicie mnie, żebym poczuł coś, czego nie czuję.

- Nie możesz przynajmniej spróbować?

- Już próbowałem.

— Rywało, że wobec porcji lodów wykazywałeś większy entuzjazm, niż teraz wykazujesz wobec niej.

Ren westchnął, zniecierpliwiony.

— Słuchaj, w niej jest coś... coś zniechęcającego.

— Jak to?

— Nie potrafię tego opisać. Po prostu... kiedy jestem z nią... nie mogę się doczekać, aż się od niej uwolnię. Czuję ulgę, gdy nie ma jej w pobliżu.

— Ja możesz tak mówić!? Kochałeś ją! Bardziej niż kogokolwiek na świecie!

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić — odparł cicho Ren. — Ona jest ładna i miła, ale trochę za młoda. Szkoda, że to nie w Nilimie byłem zakochany.

Kishan nie posiadał się ze złości.

— W Nilimie!? Nilima jest dla nas jak siostra! Nigdy wcześniej nie mówiłeś o niej w taki sposób!

— Swobodniej się czuję w jej towarzystwie — powiedział Ren cicho. — Nie patrzy na mnie tymi wielkimi, brązowymi, pełnymi urazy oczami.

Obaj bracia zamilkli na chwilę. Przygryzłam wargę tak mocno, że poczułam na języku smak krwi, ale nie ból. Wreszcie Kishan przemówił z przejęciem:

— Kelsey jest wszystkim, o czym może marzyć mężczyzna. Jest dla ciebie idealną dziewczyną. Kocha poezję i gapi się w ciebie jak w obrazek, kiedy śpiewasz i grasz na tej swojej gitarze. Miesiącami czekała, aż przyjedziesz za nią do Stanów, i nie raz, nie dwa ryzykowała życie, żeby ocalić ten twój zapchlony biały tyłek. Jest urocza, kochająca, ciepła i piękna. Jestem pewien, że mogłaby cię uczynić bezgranicznie szczęśliwym.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem usłyszałam pełen niedowierzania głos Rena:

— Ty ją kochasz.

Kishan nie odpowiedział od razu, ale po chwili do moich uszu doleciał niemal niedosłyszalny szept:

— Każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach by się w niej zakochał, co tylko dowodzi, że ty postradałeś swoje.

— Może kiedyś, z wdzięczności, pozwoliłem jej wierzyć, że ją kocham — odparł Ren w zamyśleniu. — Ale teraz już tego nie czuję.

— Wierz mi: wdzięczność nie miała z tym nic wspólnego. Miesiącami usychałeś z tęsknoty za nią. Wydeptałeś ścieżkę w dywanie w swoirn pokoju. Nagryzmołeś tysiące miłosnych wierszydeł,

opisujących jej piękno i to, jak bardzo cierpisz, kiedy jej przy tobie nie ma. Jeśli mi nie wierzysz, idź i sam je przeczytaj.

— Czytałem je.

— To czego jeszcze nie rozumiesz? Nigdy podczas całego twojego nędznego życia nie widziałem cię szczęśliwszego niż wtedy, kiedy byliście razem. Kochałeś ją prawdziwą, głęboką miłością.

— Sam nie wiem! Może to przez te męki, które zadawał mi Lokesh. Może wszczepił mi w mózg coś, co na zawsze zepsuło jej obraz w mojej głowie. Kiedy słyszę jej imię, jej głos, to się kulę, jakbym oczekiwał bólu. Nie chcę tego. Ani ja, ani ona na to nie zasługujemy. Nie chcę jej okłamywać. Nawet gdybym nauczył się znów ją kochać, to i tak już zawsze podświadomie będzie przywodziła mi na myśl te straszne tortury. Za każdym razem, gdy na nią patrzę, widzę Lokesha, który zadaje mi pytania, wciąż te same pytania. Ja nie potrafię tak żyć, Kishanie.

— W takim razie... nie zasługujesz na nią. Zapadło długie milczenie.

— Chyba masz rację.

Ugryzłam się w rękę, żeby powstrzymać szloch, ale mi się nie udało. Usłyszeli mnie.

— Kells? — odezwał się Kishan. Biegiem ruszyłam na górę.

— Kells! Zaczekaj!

Usłyszałam za plecami kroki Kishana i pędem puściłam się przed siebie.

Wiedziałam, że jeśli się nie pośpieszę, jeden z nich mnie dogoni. Zatrzasnęłam za sobą drzwi pralni, wbiegłam po schodach na piętro, do swojej łazienki, i zamknęłam drzwi na zasuwkę. Wgra-moliłam się do pustej wanny i podciągnęłam kolana pod brodę. Słuchałam, jak pukają do drzwi — raz delikatnie, raz stanowczo i natarczywie, raz ledwie dosłyszalnie. Chyba każde z nich próbowało. Nawet Ren. W końcu zostawili mnie w spokoju.

Przycisnęłam dłonie do piersi. Więż została zerwana. Serce zniszczyła bezlitosna susza. Piękny bukiet tygrysiich lilii, o które tak dbałam pod nieobecność Rena, zwiędnął. Jeden po drugim delikatne, pachnące płatki zbrązowiały i opadły. Już nic nie było w stanie przywrócić ich do życia. Zapanowała zima. Łodygi zmarszczyły się i skurczyły. Kwiaty zwiótzczały. Suche, sztywne listki skruszały w pył, który rozwiały ostry, chłodny wiatr. Pozostało jedynie kilka brązowych kikutów — smutna pamiątka niegdyś tak wyjątkowego i drogiego sercu bukietu.

Późną nocą wyszłam z sypialni, włożyłam tenisówki i wzięłam kluczyki do nowego samochodu. Niezauważona, po cichu wymknęłam się

z domu i wśliznęłam na gładkie, skórzane siedzenie. Mknęłam leśną drogą, z opuszczonym dachem, aż znalazłam się na szczycie wzgórza z widokiem na szeroką, porośniętą drzewami dolinę. Odchyliłam się w fotelu i zapatrzyłam się w gwiazdy, rozmyślając o konstelacjach.

Przypomniała mi się opowieść ojca o Gwieździe Polarnej. Była stałym punktem na niebie, na niej zawsze polegali żeglarze. Jak on ją nazywał? Ach tak, Polaris.

Poszukałam wzrokiem Małej Niedźwiedzicy, ale nie potrafiłam jej dostrzec.

Przypomniałam sobie słowa taty, że to gwiazdozbiór widzialny jedynie na północnej półkuli. Mówił, że na półkuli południowej nie ma podobnej gwiazdy.

Ren powiedział mi kiedyś, cytując Szekspira, że jest jak Gwiazda Północna, która w stałości niewzruszonej nie ma na firmamencie żadnej konkurentki. On był moją Polaris. A teraz nie miałam już czego się złapać. Poczulałam, że znów ogarnia mnie rozpacz. Wtedy usłyszałam wewnątrz jakiś głos, który z błyskotliwym sarkazmem, przywodzącym mi na myśl mamę, powiedział: „To, że nie dostrzegasz gwiazdy, nie znaczy, że jej tam nie ma. Być może na chwilę skryła się przed twoim wzrokiem, ale bądź pewna, że wciąż błyszczy gdzieś jasno”. Możliwe, że kiedyś znów odnajdę tę iskrę. Może będę szukać jej całe życie. Dryfowałam po oceanie samotności, jak żeglarz, który stracił z oczu swoją gwiazdę. Czy potrafię być szczęśliwa bez Rena? Nie chciałam nawet o tym myśleć. Doświadczyłam już w życiu straty. Moi rodzice nie żyli. Ren był... daleko. Ale ja wciąż jestem. Wciąż mam przed sobą cele, które muszę osiągnąć. Mam zadanie do wykonania. Pokonałam wiele trudności i pokonam kolejne. Zwycięzę ból i będę żyła dalej. Jeśli po drodze odnajdę miłość z kimś innym, niech tak będzie. Jeśli nie, zrobię wszystko, by odnaleźć szczęście w samotności. Cierpiałam już wcześniej, gdy Rena przy mnie nie było, i teraz też będę cierpieć, ale przeżyję. Kochałam go, nadal go kocham, ale z pewnością jest na świecie wiele innych rzeczy, którymi można się cieszyć. Nauczyciel o Mądrości jak Ocean powiedział mi, że szczęście jest sensem życia. Boska Tkaczka radziła, by się nie zniechęcać, jeśli coś nie wychodzi — trzeba czekać cierpliwie i poświęcać się swojemu zadaniu.

Nici mojego życia splątały się i zasupłały. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się je rozplątać. Jedyne, co mi pozostaje, to wierzyć, że któregoś dnia znów ujrzę światło tej niezmiennej gwiazdy.

Powiedziałam kiedyś Renowi, że nasza historia nie dobiegła końca.

I nie dobiegła.

Jeszcze nie.